

PIERWSZY TOM BESTSELLEROWEJ TRYLOGII

LARS MYTTING



SIOSTRZANE
DZWONY

Lars Mytting pisze z taką
przenikliwością, empatią i uczciwością,
że niewielu może mu dorównać.

JO NESBØ



IARS MYTTING



SIOSTRZANE
DZWONY

TŁUMACZENIE
KAROLINA DROZDOWSKA



OTWARTE
KRAKÓW 2022

Dla mojej matki



A i to miejsce – rzekł nagle Marlow – było ongi jednym z mrocznych zakątków ziemi.

Joseph Conrad

Opowieść pierwsza

Krajobraz najwewnętrzniejszy

Dziewczynki, które dzieliły skórę

Poród był ciężki. Może nawet najcięższy w historii, mimo że w tej właśnie wsi każde jedno rozwiązanie zdawało się trudniejsze od poprzedniego. Położnica miała wielki brzuch, ale dopiero w trzecim dniu skurczów ludzie zrozumieli, że nosi pod sercem bliźnięta. Co się tam wtedy działo, jak długo w izbie drewnianej chaty rozlegały się krzyki rodzącej i jakim cudem przybyłym na ratunek kobietom udało się w końcu wydostać dzieci na świat – wszystko poszło w niepamięć, zbyt straszne, by o tym opowiadać, i zbyt bolesne, by to wspominać. Matka popękała i umarła z utraty krwi, a jej imienia nie zapisano w kronikach. Na zawsze zapamiętano za to bliźniaczki i wadę, z którą się urodziły. Były ze sobą zrosnięte od bioder w dół.

Ale nic innego im nie dolegało. Szybko złapały oddech i zaczęły wrzeszczeć, a z czasem okazały się również zdrowe na umyśle.

Ich rodzice byli gospodarzami z majątku Hekne, dziewczynkom dano zaś na chrzcie imiona Halfrid i Gunhild. Chowwały się dobrze, dużo się śmiały i nikomu nie były zawadą, za to wszystkim pociechą – sobie nawzajem, ojcu, rodzeństwu i całej wsi. Dość wcześnie posadzono je przed warsztatem tkackim i spędzały tak całe dni – cztery zwinne ręce tańczyły, wplatając wątek między nici osnowy tak szybko, że nie sposób było stwierdzić, która dziewczynka tka właśnie którą część gobelinu. Tworzone przez nie obrazy były niezwykle piękne, często zagadkowe i znajdowały wielu kupców, chcących zapłacić za gobelin w srebrze czy naturze. W tamtych czasach nikt w ogóle nie myślał, by oznaczać jakoś autorstwo tych prac, i w późniejszych latach wielu gotowych było wykosztować się na gobelin z Hekne, nie mając nawet pewności, czy kupuje autentyk.

Najsłynniejszym spośród wszystkich hekneńskich tkanych obrazów była *Noc oskrobana*, charakterystyczne dla tego regionu przedstawienie sądu ostatecznego, luźno zainspirowane staronordyckimi prorocत्वami o Ragnaroku. Wierzono, że morze płomieni zmieni noc w dzień, a gdy wszystko już się wypali i znów zapanuje ciemność, ziemia zostanie oskrobana do nagiej skały, zaś żywi i martwi pójdą w jednej gromadzie na sąd o wschodzie słońca. Gobelin ten został подарowany pobliskiemu kościołowi, gdzie wisiał przez wiele pokoleń, aż pewnej nocy zniknął, mimo że drzwi pozostały zamknięte na klucz.

Bliźniaczki rzadko opuszczały swoje gospodarstwo, choć poruszanie się nie sprawiało im takich trudności, jak większość ludzi sądziła. Chadzały dziwnym, trójmiarowym krokiem, zupełnie jakby niosły między sobą wiadro pełne wody. Nie były natomiast w stanie pokonać otaczających zabudowania zboczy. Hekne leżało na stromym wzgórzu, a zimowa ślizgawica była dla dziewczynek śmiertelnym zagrożeniem. Na szczęście słońce mocno tu przygrzewało i lód topniał wcześniej, często już w marcu. Siostry wychodziły więc na świat wraz z pojawieniem się pierwszych zwiastunów wiosny.

Hekne było jednym z najstarszych majątków w okolicy, dlatego należały do niego najlepsze połacie ziemi. Gospodarze mieli dwie górskie zagrody, z czego w Wielkiej Zagrodzie Hekne trzymano dobrze odkarmione stadko krów, pasących się latem na ciemnozielonej trawie. Z majątku był też dobry dostęp do Dolnego Glupen, obfitującego w ryby jeziora z solidną przystanią pobudowaną z dziewięciocalowych bali drewna. Ale największą miarę bogactwa w Gudbrandsdalen stanowiła ilość srebra w posiadaniu gospodarza. Kruszec ten był tu skarbem, konkretną i praktyczną rezerwą finansową. Każde porządne gospodarstwo musiało mieć na stanie srebrne sztucce dla osiemnastu osób. W Hekne kompletów sztucców było aż trzydzieści – a wszystko dzięki sprzedaży tkanych obrazów.

Gdy bliźniaczki były już na wpół dorosłe, jedna z nich zachorowała. Myśl o tym, co może się stać – że dziewczynka, która przeżyje, będzie zmuszona wlec za sobą zwłoki martwej siostry po kres swych dni – była nie do zniesienia, więc ojciec bliźniaczek, Eirik Hekne, poszedł do kościoła, gdzie modlił się o jednoczesną śmierć dla córek.

Jego modlitwy wysłuchał kapłan, a najpewniej również Pan Bóg. Śmierć przyszła do Hekne jeszcze tego samego dnia, bliźniaczki na koniec prosiły, żeby zostawić je same. Ojciec i rodzeństwo czekali przy drzwiach, słuchając, jak dziewczęta rozmawiają w izbie o czymś ważnym, czego chciały dopilnować. Tego samego dnia ukończyły *Noc oskrobaną*. Mówi się, że z początku tkwały jeszcze obie,

a potem, gdy Halfrid już nie żyła i jej martwe dłonie nie pomagały siostrze, dzieło doprowadziła do końca sama Gunhild. Ojciec pozwolił jej pracować w spokoju, bo bliźniaczki otaczała zawsze aura jakiejś wielkiej tajemnicy, czegoś, czego on sam i inni zwyczajni śmiertelnicy nie byli w stanie pojąć. Pod wieczór rozległ się kaszel, a potem stuk upadającego na ziemię grzebyka tkackiego.

Mieszkańcy Hekne weszli do izby i zobaczyli, że Gunhild umiera. Zdając się ich nie dostrzegać, odwróciła się twarzą do siostry i powiedziała:

– Ty podziergasz szeroko, ja podziergam wąsko, a jak wszystko już będzie utkane, obie tu wrócimy.

Chwyliła martwe ręce Halfrid, ułożyła się wygodniej i leżały tak ze złożonymi dłońmi, jakby odmawiały modlitwę na dwa głosy.

W późniejszych czasach ludzie różnie przekazywali znaczenie słów Gunhild, bo przez pewne cechy miejscowego dialektu można je było rozumieć na dwa sposoby. „Podziergać” mogło oznaczać zarówno „tkać”, jak i „szybko się przemieszczać”. Gdy gobelin trafił do kościoła, kapłan zapisał ostatnie słowa Gunhild na odwrocie drewnianej ramy. W języku pisanym zabrakło jednak miejsca na niuanse dialektu, stąd znaczenie zdania zostało uproszczone. Brzmiało ono: „Ty zajdziesz daleko, ja zajdę blisko, a gdy tkanina zostanie utkana, obie powrócimy”.

Dziewczęta pochowano pod kościelną podłogą, a w podzięce za ich jednoczesną śmierć Eirik Hekne nakazał odlać dwa dzwony. Otrzymały one miano Siostrzanych, ich ton miał w sobie niezwykły ciężar i głębię. Niósł się z kościoła, wypełniając całą dolinę, odbijał się od gór i wybrzmiewał echem między skałami. Gdy przykościelne jezioro Løsnesvatnet skuwały pierwsze lody, tony dało się słyszeć w trzech sąsiednich wioskach, gdzie wchodziły w dyskretną harmonię z dzwonami pozostałych okolicznych kościołów. Niektórzy mówili, że jak dobrze zawiąło, to dźwięki docierały nawet na wysokogórskie pastwiska.

Pierwszy dzwonnik ogłuchł po trzech niedzielnych nabożeństwach. Cieśle dostawili niżej w dzwonnicy podest, by mógł się na nim chronić jego następca, który dodatkowo pakował sobie do uszu pszczeli wosk i owijał głowę rzemieniem.

Brzmienie Siostrzanych Dzwonów nie napawało jednak niepokojem czy strachem. Każde uderzenie miało w sobie radosny ton, jak obietnicę pogodnej wiosny, i rozdzwięk zabarwiony długotrwałymi, rozkosznymi drganiami. Muzyka ta docierała do głębi ludzkich serc, budząc w nich marzenia i wzruszając najtwardszych nawet mężczyzn. Dobry dzwonnik potrafił dzięki takiemu instrumentowi zmienić wątpiącą duszę w gorliwego chrześcijanina, a wyjaśniając sekret niezwykłego brzmienia Siostrzanych Dzwonów, mówiło się często o ich wysrebrzeniu. Tak nazywano wtedy w tamtych stronach kosztowny zwyczaj dodawania srebra do stopu, z którego odlewano dzwony. Im więcej srebra, tym piękniejsze brzmienie.

Już same kunsztownie wykonane formy i brąz kosztowały Eirika Heknego majątek, dużo więcej, niż zarobił, sprzedając prace swych córek. Mimo to poszedł zaślepiony żałobą do wielkiego tygla i wrzucił do niego wszystkie srebrne sztuczce, po czym sięgnął do kieszeni i cisnął do gotującego się stopu dwie garście srebrnych talarów. Monety unosiły się na rozżarzonej powierzchni zaskakująco długo, by stopić się w końcu w bulgoczącym metalu.

Mówi się, że Siostrzane Dzwony po raz pierwszy ostrzegły przed niebezpieczeństwem, gdy dolinę nawiedziła wielka powódź. Roztopy przysły w tamtym roku nagle i niespodziewanie, ludzie chodzili z bólem głowy pod ciemnym letnim niebem, a tej samej nocy, gdy rzeka wystąpiła z koryta, mieszkańców wsi obudziło bicie w kościelne dzwony. Lunął deszcz, gospodarze z dwóch majątków ledwie zdążyli uciec, nim powódź sięgnęła ich zabudowań. Woda przewracała wielkie drewniane domy, grube bale płynęły przez dolinę niczym porzrucane przez dziecko patyczki. Na wodach Løsnesvatnet unosiły się duże, ciężkie białe tobołki i tylko nieliczni od razu pojęli, że to utopione owce. Dopiero później, gdy ludzie stali na deszczu, rachując się wzajemnie, i gdy doliczono się również wszystkich w rodzinie dzwonnika, okazało się, że mężczyzny nie było w kościele. A kiedy pastor poszedł do świątyni zbadać sprawę, zastał zamknięte na klucz drzwi i nie znalazł w środku śladów ludzkiej bytności.

Eirik nie żył już wtedy od wielu lat. Nie mówiono nigdy, by kiedykolwiek żałował przetopienia srebra, ale odlanie Siostrzanych Dzwonów kosztowało go tyle, że gospodarstwu kilkukrotnie groziła

ruina. Gdyby dało się podzielić Hekne, z pewnością by to zrobiono, lecz majątek mieścił się na stromej, dość wąskiej skarpie. W kolejnych latach zadłużone gospodarstwo utraciło prawo do połowów w Dolnym Glupen, dwie chaty dzierżawców i Wielką Zagrodę, a następne pokolenia długo jeszcze odczuwały skutki decyzji Eirika. Resztę majątku udało się jakoś zachować w rodzinie, spadkobiercy płodzili kolejnych spadkobierców, zaś każdy w tym rodzie miał swoje zdanie na temat znamienitego przodka. Niewielu uważało, by srebro bardziej się przydało w kościelnych dzwonach niż jako zapłata za pola i obory, lecz traktowali tę historię jako naukę, że biedę i znój łatwiej znieść niż żałobę. W każdą niedzielę do gospodarstwa docierały niosące pociechę tony dzwonów nazwanych przez Eirika Córczynymi. Po jego śmierci nikt tego miana nie używał, bo i nikt już nie miał do tego prawa.

Kościół

Siostrzane Dzwony brzmiały nad wsią przez całe wieki. Dzwoniły dla żywych, umierających i umarłych, dzwoniły na śluby i świąteczne nabożeństwa, na chrzty i konfirmacje, a czasem i wieszcząc pożary, powodzie czy osunięcia ziemi. Do wsi rzadko się ktoś sprowadzał, rzadko ktoś z niej wyjeżdżał, a jak już wyjechał, to nigdy nie wracał i wiele dzieci sądziło, że wszystkie dzwony brzmią jak ich Siostrzane, zupełnie jak ludzie, którzy mieszkają w domu z pięknym widokiem, mając go za oczywistość.

Dzwony wisiały bezpiecznie na kościelnej wieży aż do roku 1880, kiedy to razem z całą resztą wsi padły ofiarą gwałtownych zmian i działań ludzi o nieprzejeźdźnych charakterach. Jeden z dzwonów miał nawet zniknąć pod wodą, by zostać później wyłowionym, jedyną zaś istotą, która – jak później się okazało – miała władzę nad losami obu tych niezwykłych instrumentów, była młoda dziewczyna z rodu Hekne. Poniosła ona ofiarę nie mniejszą niż ta, którą wiele lat wcześniej ponieśli rodzice bliźniaczek, lecz w jej wypadku wszystko musiało się odbyć potajemnie i przez długi czas prawdę o niej miał pamiętać jeden tylko człowiek. Ci, którzy by o niej chcieli pamiętać, mieliby zresztą trudność ze zrozumieniem jej czynów, nie posiadłszy uprzednio wiedzy o kościele, którego była parafianką, i wsi, w której mieszkała.

Hekne podlegało pod kościół w wiosce Butangen leżącej w pobliskiej dolinie między Fåvang a Tretten. Mieszkało tam wtedy jakieś tysiąc dusz rozsianych po czterdziestu kilku majątkach i przynależnych do nich chatach dzierżawców. Znaczenie nazwy tego miejsca wymagało długich i pokrętnych tłumaczeń, na które ludzie rzadko musieli się silić, bo i nieczęsto pojawiał się w tych stronach ktoś nowy. Løsnesvatnet, jezioro oddzielające wieś od gościńca, było długie, wąskie i głębokie, otoczone gęstym lasem i skalistymi pagórkami, więc Butangen nosiło swoją nazwę od jedyne go miejsca nad brzegiem wody płaskiego na tyle, by dało się tam pobudować schronienie, w miejscowym języku „bu”. Nikt tam nie mieszkał na stałe, ale dzięki solidnej przystani, szopie na łodzie i dostępności – zimą łatwo się było stamtąd przeprawić przez lód – nazwę tego cypla nosiła cała pobliska wieś. Sam kościół wzniesiono nieco wyżej na zboczu, trochę przez wzgląd na piękny widok, a trochę przez to, że ludzie nauczeni smutnym doświadczeniem Fåvang wiedzieli, co fala powodziowa potrafi zrobić z przykościelnym cmentarzem.

Zamieszkujące zbocza doliny rody trzymały się kurczowo skrawków ziemi zajętych kiedyś przez ich przodków. Niektóre majątki leżały na terenach tak stromych i kamienistych, że trzy pokolenia dawały radę uprzętnąć i przygotować pod uprawę zaledwie trzy niewielkie poletka. Kamienne ogrodzenia były za to na tyle wysokie, że owce w Butangen z zasady nie padały łupem wilków.

Czas płynął tu powoli. Wieś była zapóźniona o mniej więcej dwie dekady w stosunku do sąsiednich osad, zapóźnionych o lat trzydzieści względem norweskich miast, które z kolei ciągnęły się jakieś pół wieku za resztą Europy. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy był dojazd. Ciekawscy, jeśli w ogóle się tacy znaleźli, musieli jechać na północ po właściwej stronie rzeki Laugen, a przy kościele w Fåvang, o ile do niego trafili i faktycznie chcieli dotrzeć do wsi, trzeba im było wspiąć się na zbocze doliny i iść dalej wąską ścieżką, pokonując żleb przy gospodarstwie Okshol. Trochę dalej ścieżka przecinała rumowisko i niknęła z oczu. W tym miejscu większość ludzi skręcała w lewo, docierając w ten sposób do niezamieszkanego doliny Oksholdalen. Ale oczom tych, którzy wybierali drogę w prawo, ukazywał się szybko dobry widok na Butangen, z kościołem na zboczu i otaczającymi go gospodarstwami. Jeszcze wcześniej wędrowiec dostrzegał wody głębokiego Løsnesvatnet i ponure bagna Løsnesmyrene. W tym miejscu zawracali niemal wszyscy, a reszta poddawała się, nie będąc w stanie znaleźć ścieżki i stojąc po kolana w grzęzawisku, zwłaszcza jeśli zaraz miał zapaść zmrok, a komary obsiadały człowieka tak, że skóra przypominała zwierzęce futro.

Tylko bardzo nieliczni okrążali w końcu Løsnesvatnet albo mieli na tyle szczęścia, że zabierali się się łodzią z jakimś małym łowcą wsi, który wcześniej zarzucił gdzieś w pobliżu sieci. Kiedy taki obcy dotarł wreszcie na miejsce, mógł się tam albo ożenić, albo zostać zadżgany nożem. Tak mówiono, choć to pewna przesada, bo Butangen było w rzeczywistości całkiem dobrym miejscem do

życia. Do płynącej przez dolinę Brei wpadało wiele pomniejszych strumieni, z których mieszkańcy mogli czerpać wodę. Krajobraz to się odsłaniał, to ukrywał, niczym wstydliva panna, bo rzeka i strumienie wiły się w niezliczonych zakrętach, tworząc w ten sposób ciągłe kontrasty między jasnymi zakątkami słońca a tajemniczymi ustroniami cienia, aż do miejsca, w którym Breia wpadała do Løsnesvatnet. Pomimo stromych zboczy w dolinie było na ogół ciepło i słonecznie. Kto zapuścił się w nią głębiej, napotykał mieszkańców Brekkom czy Imsdalen, a wówczas witał się z nimi skinieniem głowy czy wołając z oddali pozdrowienie.

Zimową porą można się było zresztą wydostać ze wsi szybko i wygodnie. Gdy lód skuwał Løsnesvatnet, wystarczyło przejść przez zamrożone bagna i jezioro, prosto ku zboczom prowadzącym do Fåvang. Dlatego życie towarzyskie toczyło się tu w rytmie półrocznym. Zima była czasem odwiedzin u bliskich, ustalania szczegółów ślubów, zakupów lemieszki do pługa i prochu. Niektórzy tęsknili do innych stron, lecz ci, którzy do tych innych stron zawitali, opowiadali, że ludzie robią tam dokładnie to samo co tu, może jedynie w trochę inny sposób, przy czym sposób tamtejszy nie był w niczym od tutejszego lepszy. W perspektywie człowiek miał co najwyżej znojną pracę, a tej mógł się równie dobrze oddawać w domu, pośród rodziny i bliskich.

I tak to z grubsza wyglądało w tych stronach, przybysze z daleka nie mieli okazji wpływać na ponure z natury usposobienie mieszkańców Gudbrandsdalen, wnosząc do miejscowej puli genetycznej swój spontaniczny wkład. Było tu inaczej niż na wybrzeżu, gdzie miejscową flegmatyczność przełamywali rozbitkowie z katastrof śródziemnomorskich statków – opuszczając po jakimś czasie norweskie porty, by wrócić do domu, zostawiali w brzuchach dziewcząt niespodziewane prezenty, dary, z których rosły potem energiczne dzieci o włosach czarnych jak węgiel. Mieszkańcy dolin żyli natomiast spokojnie za swoimi płotami, tańcząc miarowy, powolny taniec z porami roku. Każde gospodarstwo było samowystarczalnemu królestwem, a zbocza przypominały wysokie, odgradzające od zewnętrznego świata mury. Bezpieczna bariera tworzona przez porastające wzgórza sosny utwierdzała ludzi w wierze, że lepiej starym zwyczajem zbierać porosty na paszę i doczekać w ten sposób śmierci, niż zawracać nurt, którym płynie ich życie. Miejscowi często nocowali pod gołym niebem, harowali w deszczu i chłapie, lubili odgarniać śnieg, bo szło im to łatwiej niż kopanie w ziemi, a bogaci nie mieszały się z biednymi i pokolenie za pokoleniem pozostawało w tym samym majątku. Czas nie był istotny, ludzie podejmowali robotę porzuconą przez zmarłych, w przekonaniu, że przejmie ją od nich ktoś, kto się jeszcze nie narodził, prastare skalne rumowiska rosły, a ludzie nadal pracowali tak samo, używając często tych samych co niegdyś narzędzi. To wszystko wpływało na sposób, w jaki miejscowi mówili i się zachowywali, jak również myśleli i czuli.

Po tym jak kraj został ochrzczony, mieszkańcy Butangen wzniesli niezwykle kościół słupowy, dzieło sztuki z przeżywiczonego sosnowego drewna, zdobione kunsztowną snycerką, łbami smoków i wysokimi wieżyczkami. Jedzenia nie brakowało, a pojęcie czasu było tu względne, można było więc poświęcić miesiące, czy nawet całe lata, na mozolną pracę z drewnem i kamieniem. Budowę kościoła ukończono pod rządami króla Magnusa V, a na dolnym oczepie wyryto datę 1170. Słupy i klepki wykonano z wielkich sosen rosnących wtedy w Gudbrandsdalen i zgodnie z panującą w ówczesnej Norwegii tradycją, również i kościół w Butangen ozdobiony został szeregiem elementów nawiązujących do dawnych pogańskich wierzeń. Przypominał on coś w rodzaju siedziby wikińskiego wodza w wydaniu chrześcijańskim, a cieśle poświęcili całe lata dekoracyjnym motywom węży morskich i innymi sprawdzonych ornamentów z czasów staronordyckich. Od zewnątrz ściany kruchty ozdabiały ciągnące się przez całą ich wysokość figury lwów o długich szyjach, zaś wokół drzwi kościoła wił się ogromny, rzeźbiony w drewnie wąż. Po obu stronach ołtarza stały słupy z brodatymi twarzami przypominającymi maski – to dawni bogowie o szalonych oczach bez źrenic. Wszystko to stanowić miało ochronę przed złymi mocami, którym Norwegowie faktycznie musieli przez wieki stawiać czoła. Ciesle przyłożyli się do pracy, by zadowolić wszystkich możliwych bogów, w tym konkretnie wypadku dbając zwłaszcza o przychylność Odyńa i Thora.

Kościół nie został w kolejnych stuleciach ani przebudowany, ani ograbiony. Tak jak przybysze z obcych stron nie mieszały się do miejscowej puli genów, tak i ten ukryty średniowieczny skarb uchronił się od nowomodnych wymysłów. Nie dotarł tu reformacyjny zamysł pozbawiania kościołów duszy,

ostały się więc wszystkie dekoracje, na wyposażeniu nie odcisnęły swego piętna też wymysły pietystów. Osiem smoczych łbów nadal wznosiło się ku niebu, zaś podcienione ganki i ściany pachniały setkami lat pieczołowitej konserwacji i smołowania.

Historia kościelnych dzwonów i bliźniaczek Hekne poza wsią była raczej mało znana. Kiedyś, na początku dziewiętnastego wieku, przybył tu artysta, który naszkicował gmach świątyni, ale człowiek ten nie robił wokół siebie zamieszania i wkrótce wyjechał. Zaraz później jakaś inna osoba, niezwiązana z owym artystą i mająca zdaje się jakieś ukryte zamiary, wypytywała miejscowych o historię Siostrzanych Dzwonów, ale i ten niezajomy jakby zapadł się pod ziemię i po jakimś czasie nikt już nawet nie miał pewności, czy obaj ci mężczyźni faktycznie pojawili się we wsi.

W tamtych czasach pieniądze na konserwację świątyni już dawno przestały napływać z zewnątrz. Kościoły musiały utrzymać się ze środków, które była w stanie zgromadzić parafia, i tak zmieniały się w świadectwa dobrych i złych czasów. W tym stuleciu Gudbrandsdalen stało się zagłębiem ubóstwa, nękanym przeludnieniem, powodziami, zarazą ziemniaczaną, pijaństwem i wczesnymi mrozami, które ścinały zboże. Niewielkie szklane szybki, przez które słoneczne promienie wciąż wpadały do środka świątyni, migocząc pięknie na kościelnych ławach, rozszczelniły się, wpuszczając zimne podmuchy północnego wiatru w sam środek liturgii. Gonty na dachu zaczęły się obluźowywać, deszcz kapał do nawy przez coraz trudniejsze do znalezienia szpary. Tylko kościelne dzwony dzielnie stawiały czoła niepogodzie. Lecz świątynia wokół nich podupadała. Deszczówka odnajdowała sobie coraz to nowsze korytarze w konstrukcji, której szczegółów nikt do końca nie pojmował, zamarzała i rozsadzała drewno, tworząc w ścianach szpary, przez które wichur nawiewał do środka suchy śnieg. W kolejnych latach smocze łby odłamały się na wietrze i deszczu, spadały na ziemię jeden po drugim, rozdziawiając daremnie paszcze pomiędzy nagrobkami, a pozbawiony ich kościół zapadł się jakby w sobie, patrząc bez nadziei na czekające go mroczne czasy.

Srebrzysty ton

Czasy te zaczęły się w dniu, gdy Siostrzane Dzwony zabiły, zwołując wiernych na nabożeństwo w pierwszy dzień nowego roku 1880. Ich dźwięk dotarł do stajni w Hekne, doprowadzając do sprzeczki między dwojgiem z ośmiorga rodzeństwa w majątku.

– Oswald! – wytknęła Astrid. – Miałeś nas przecież zawieźć!

Brat rzucił jej w odpowiedzi, że prosi go o to za późno.

– Jełop z ciebie – odparła. – Przestań się ze mną droczyć i zaprzęgaj sanie!

Oswald wstał, podsuwając jej pod nos zerwany nakarczyk i natylnik z brakującą sprzączką.

– Wszystko by było gotowe, gdyby Emort miał się odwagę przyznać, że to wczoraj zniszczył.

– Mamy przecież inną uprząż. Przestań biadolić!

W stajni parsknął Blister, koń, którym najchętniej jeździli na nabożeństwa. Astrid strzepnęła słomę ze swojej odświętnej, tak zwanej kościołowej, spódnicy. Oswald nie przestawał marudzić.

– Słuchaj! – zaczęła. – Cały czas powtarzasz, ile trzeba zrobić, żeby postawić gospodarstwo na nogi. A nawet sań nie możesz zaprząć!

– Mówię przecież, że uprząż zniszczona.

– W takim razie mogę iść piechotą! – oświadczyła Astrid, robiąc w tył zwrot. – Nawet z Klarą.

Oswald cisnął uprząż w kąt.

– Mogę iść piechotą – powtórzyła Astrid. – A ty się tłumacz przed ojcem. To jego wezmą na języki, jak nie zajadę do kościoła sańmi.

Ruszyła pospiesznym krokiem przez podwórze. Śnieg chrzęścił pod podeszwami jej butów, otuliła się szczelniej szalem. Gdy tylko otworzyła tego poranka drzwi domu, zrozumiała, że na dworze panuje nie zwykły zimowy chłód, ale prawdziwe zimno. Początek stycznia był zresztą zazwyczaj najmroźniejszym okresem w całym roku. Wiatr smagał jej twarz niczym witki, powietrze było ostre i paliło w płucach. Właściwie teraz trochę bała się iść do kościoła, była tam w pierwszy dzień Bożego Narodzenia i zmarzła tak, że palce u stóp szczypały ją potem jeszcze przez trzy dni. Lecz dziś musiała wybrać się tam ponownie, a to wszystko przez Klarę Mytting, starą komornicę, która koniecznie chciała być na nabożeństwie i potrzebowała kogoś, kto służyłby jej pomocnym ramieniem na styczniowej ślizgawicy.

Potężne tony Siostrzanych Dzwonów rozbrzmiewały nadal między drewnianymi zabudowaniami. Bito w nie po raz pierwszy tego dnia, przyzywając wiernych do świątyni. Trasę z Hekne do kościoła przemierzyć dawało się szybko, ale nawa nie była przestronna, więc spóźnienie mogło pociągać za sobą konieczność stania w tłoku. Właściwie to Astrid, najstarsza córka w gospodarstwie takim jak Hekne, wcale nie musiała wychodzić na mróz po to tylko, by pomóc komuś takiemu jak Klara. Lecz świątynię odwiedza się przecież też z innych powodów niż chęć śpiewania psalmów i wznoszenia modłów, a powody te wymagają często miejsca siedzącego jak najbliższej ołtarza.

Astrid minęła pospiesznie spichlerz i ruszyła dalej wąską odśnieżoną ścieżką w kierunku obory, w której razem z krowami i kilkorgiem ludzi do pomocy mieszkała Klara. Rzadko zdarzało się, by napadało w tych stronach tyle śniegu co w tym roku, ze stodoły dochodziły wrzaski walczących ze sobą kotów. Biały puch zawęził ich rewiry polowań, umożliwiając jedynie prześlizgiwanie się pod ścianami budynków, nic dziwnego, że one także się nudziły i złościły na siebie nawzajem.

Dzwony zamilkły. Astrid już jako mała dziewczynka zauważyła, że ich tony brzmią zupełnie inaczej, gdy na ziemi leży śnieg. Dźwięk słabiej rozchodził się po wsi, odbijał od skał i powierzchni Løsnesvatnet bardziej przytłumionym echem, czuła się wtedy, jakby stała bliżej dzwonów, przy samych ich drżących sercach bijących w wysrebrzonej czasze. Znała doskonale historię o srebrnych ciśniętych do bulgoczącego tygla talarach, o początkach upadku gospodarstwa. To dlatego jej ojciec i bracia spoglądali teraz nienawistnie w kierunku przystani nad Dolnym Glupen za każdym razem, gdy szli do Imsdalen. Dostęp do łowisk był tam swobodniejszy, ale wymagał całego dnia marszu, a połowy i tak nigdy nie okazywały się tak obfite jak kiedyś w Glupen.

Astrid miała dwadzieścia lat i należała do tych nielicznych w swoim rodzie, którzy czuli dumę

na wspomnienie szaleńczego czynu przodka, ale nie była też z tych, co przesiadują na cmentarzu, pogrążeni w rozmowie ze zmarłymi. Myśli pędziły przez jej głowę z takim impetem, że nierzadko zdawały się wyprzedzać ją samą. Babka była zdania, że dziewczyna nie powinna chodzić do letniej szkoły, bo wiedza, którą tam zdobywa, budził w niej apetyt na więcej, a wszyscy przecież wiedzieli, że młoda dziewczyna ze wsi nie ma widoków na zaspokojenie takiego głodu.

Już kiedy Astrid Hekne była dzieckiem, nikt za nią nie nadażał, gdy śmigała po obejściu i wtrącała się ludziom do pracy, wciąż pytając, czemu coś robi się tak, a nie inaczej. Wspinając się na ogrodzenia i zbiegała po zboczu, aż dudniła szara skała, mimo że nie wypadało jej tego robić i takie zachowanie budziło w ludziach wściekłość. I tak biegała, pędziła, zdzierając z ziemi mech, dopadając w końcu skraju pól, gdzie za ogrodzeniem była już tylko przepaść i płynąca daleko dole rzeka. Roztaczał się stamtąd widok na Løsnesvatnet, a między skałami majaczyły w oddali Fåvang i Losna.

Najbardziej lubiła spoglądać w stronę brzegów Losny, wiedziała bowiem, co niedługo będzie tam można zobaczyć. Wiedziała, że z biegiem lat, o konkretnych godzinach, zacznie się w tamtych okolicach unosić strużka pary i czarnego dymu, rezultat ogromnej, mozolnej pracy robotników kolejowych, kładących tam teraz, łokieć po łokciu, wąskie szyny, nie szersze podobno od długości jej ramienia, na odcinku o niezwyklej skali – ludzie mówili, że tory prowadzą aż do Kristianii i dalej, do Szwecji, a stamtąd jeszcze gdzie indziej, na południe.

Gdy była mniejsza, nie mieściło jej się w głowie, że istnieją zwierzęta pociągowe niewymagające conocnego odpoczynku i wciąż wyobrażała sobie samą siebie w takich pociągach. Rodziło to myśl, którą nigdy nie mogła się nasycić – że prawdziwe życie dzieło się gdzieś indziej, a każdy dzień spędzony we wsi pogłębia tylko duże już opóźnienie. Tylko że Astrid nie wiedziała, gdzie dokładnie się wybiera, a jej marzenia były niczym drabina wznosząca się ku niebu, lecz prowadząca donikąd. Jej myśli płynęły w kolejnych dniach to tu, to tam i pewna była jedynie tego, że czegoś szuka oraz że tego czegoś nie ma i nigdy nie było we wsi. Każdy dzień chylący się ku wieczorowi niósł w sobie posmak porażki, bo nigdy nie dzieło się nic nowego. Zawsze przed zaśnięciem przybywał w jej duszy nowy gram smutku i Astrid wiedziała, że wszystkie te gramy wkrótce ją przygniotą, czyniąc z niej, jak ze wszystkich innych dziewcząt w tych stronach, kobietę ponurą i przedwcześnie postarzałą.

Już jako dorosła dziewczyna dwukrotnie odrzuciła oświadczyny, dwie dobre partie, chłopaka z Nordrum i drugiego, z Dolnego Løsnes. Minęło już sporo czasu, odkąd jakiś kawaler się nią interesował, co ludzie przypisywali jej bystrości umysłu i niespokojnej naturze. Cechy te sprawiały, że trudno jej było obudzić w sobie zainteresowanie chłopcami z sąsiednich gospodarstw, typowymi mieszkańcami Gudbrandsdalen, roslymi, flegmatycznymi pracusiami ceniącymi sobie milczenie. Na to wszystko jeszcze miała nietypową urodę. Choć aby w tych stronach zostać starą panną, trzeba było być naprawdę szpetną, z reguły preferowano dobrze zbudowane kobiety o szerokich biodrach, a najlepiej do tego obfitej piersi i mocnych plecach. Astrid zaś była koścista, miała długie, smukłe członki, chudą twarz oraz faliste, ciemne włosy i w innej wsi zapewne uchodziłaby za ładną. Odpowiedni mężczyzna nazwałby ją nawet piękną i doceniłby cudzoziemską linię brwi, podziwiałby, jak się nosi – z głową w górze, prostymi ramionami, których skóra przybierała na słońcu złocisty odcień. Ale po dwukrotnym odrzuceniu oświadczyn o najstarszej córce z Hekne zaczęto mówić, że jest uparta i zuchwała. Rozsądek podpowiadał zaś kawalerom, by wybierać do żeniaczki dziewczyny o dużych, silnych dłoniach. Takie, co to idą bez grymaszenia do najcięższej nawet roboty, rodzą bez większych problemów, a potem bez ceregieli od razu idą do obory, zostawiając za sobą parujące jeszcze łożysko.

Wyprowadziwszy wspierającą się na niej Klarę z obory, Astrid stwierdziła, że staruszka ubrana jest lepiej niż zazwyczaj, gdyż inna kobieta pożyczyła jej swoją spódnicę i buty. Ruszyły w drogę, obie owinięte wadmelowymi szalami, z chustami na głowach. Co jakiś czas mijały je sanie zaprzęgnięte w konie, Astrid wpatrywała się wtedy sztywno przed siebie. Klara zdawała się nie zwracać uwagi na mróz, dreptała rażno drogą, raz po raz ciągnąc Astrid za rękaw i pytając – przesadnie głośno – o nazwiska napotkanych ludzi. Dziewczyna nie nadażała z odpowiadaniem. Dzieci było we wsi tak wiele, że droga roiła się od maluchów, dla których zabrakło miejsca w saniach. Nie sposób było stwierdzić, kto jest kim, bo wiele twarzy zostało owiniętych w chusty i szmatki, a wystające spod nich brwi i nosy obrosły szronem. Przeszły dopiero połowę drogi do kościoła, ale już teraz Astrid czuła, że

szczypią ją płatki uszu. Zaczynała bać się powrotu do domu i przeraźliwego bólu tającej, odmrożonej skóry.

Wychwytywała strzępki rozmów mijających ich ludzi, którzy twierdzili, że jest czterdzieści stopni poniżej zera. W Hekne nie mieli już termometru, stary pękł im pewnej nocy, gdy zapomnieli go zabrać pod dach, a to znaczyło – o czym Astrid doskonale wiedziała – że musiało być zimniej niż minus trzydzieści dziewięć stopni, gdyż była to temperatura zamarzania rtęci.

Od mrozu nie było ucieczki. Hekne prezentowało się okazale, przynajmniej z daleka, lecz zdane było na łaskę i niełaskę pór roku. Spichlerz, co prawda przestronny, rzadko stał pełen. W przynależnym do majątku lesie wyrabano już prawie wszystkie drzewa, a zimową porą pozwalano sobie na palenie w piecach na jednej tylko kondygnacji. Popołudniowe ciemności zapadały wcześniej, każdego zaś wieczora rodzina zbierała się przed płonącym w kominku ogniem, by choć trochę się rozgrzać i uciec przed mrokiem. Mężczyźni majsterkowali, wyrabiając drobniejsze narzędzia i drewniane łyżki, a co jakiś czas zamiatali wióry i wrzucali je do kominka, gdzie natychmiast ginęły w płomieniach. Młodsze dzieci robiły mnóstwo hałasu i zamieszania, sprzeczały się, szarpiąc za swoje futrzane okrycia, i kasłały, zarażając się nawzajem katarem. Najgorsze dla Astrid było chyba to, że nie miała dokąd uciec. Karcono ją, gdy oddalała się z łojową świecą, czymś tak cennym należało dzielić się z innymi. Z nadejściem zimy we wsi zapadały nieprzeniknione ciemności, w ludziach budził się strach i wiara w duchy. Dlatego siedziała co wieczór w kiwającej się przed ogniem gromadce, otoczona chichotem młodszego rodzeństwa, powtarzanymi do znudzenia historiami starych ludzi, nuceniem starej ciotki i wiecznymi połajankami matki, żeby wszyscy się uspokoili.

Nie, myślała sobie często, na tym właśnie polega cały błąd: nie ma tu żadnej swobody. Nie ma żadnego światła.

Znów zabiły dzwony, tym razem ich dźwięk miał zachęcić wiernych do większego pośpiechu. Potężne tony przelewały się nad zaspami, pokonywały je i uderzały w górskie zbocza, skąd wracały echem i mieszały się z kolejnymi tonami.

– Stary dzwonnik, tak, dobry był z niego człowiek – wymamrotała Klara, gdy dzwony ucichły na tyle, że dało się ze sobą rozmawiać.

– Dobry, powiadasz? Jak to dobry?

– Dawał ludziom świętego parcha. A jakże. Prosił o pozwolenie Dzwonną Strażniczkę, zdrapywał go czasem i dawał chorym.

Klara nosiła nazwisko Mytting i pochodziła z majątku o tej samej nazwie, w którym wiodło się jeszcze gorzej niż w Hekne, dlatego też zarówno ona, jak i jej młodsza siostra zostały komornicami. Klara nie była w pełni sprawna na umyśle i nie umiała powiedzieć, w którym roku przyszła na świat, ale musiała być już naprawdę bardzo stara, bo jej siostra zmarła w wieku lat sześćdziesięciu dwóch. Komornica przez całe swoje życie była chudą, niewiele jedzącą, dobroduszną istotą, która nie przydawała się na wiele oprócz noszenia wody i dziergania na drutach, jeśli reumatyzm akurat jej zbytnio nie dokuczał. Cierpiała na niedokrwistość i miała sine kręgi wokół oczu.

– Nie rozumiem, co mówisz – przyznała Astrid. Poprawiła chustę i ruszyła dalej. – Jak to nazwałś?

– Święty parch. No a jakże inaczej? Rośnie w środku kościelnych dzwonów.

– To się chyba nazywa patyna. Taki rodzaj rdzy.

– A nie, nie rdzy, gdzieżby! W tym siedzą dobre moce. Dzwonnik skrobał nożykiem i podsuwał pod spód kubek, a jak wychodził z tym kubkiem na światło, to miał w nim takie suche okruchy. Dobre moce były w tych okruchach, a jakże. I silne. A pewnie. Dawniej to ludzie je mieszały z tłuszczem. I smarowali tym rany. A co poniekąd to nawet jedli. Dobrze im to robiło. Astrid, zapytaj tego nowego dzwonnika, dobrze? Poproś, żeby mi przyniósł świętego parcha. Od razu by mi przeszedł reumatyzm. Zapytaj go.

– No dobrze, zobaczymy – odparła Astrid.

– Czas ucieka, wieczność czeka – rzuciła Klara.

Dziewczyna zadrżała z zimna i nie zadawała już więcej pytań. „Ten nowy dzwonnik” pracował w kościele już jakieś trzydzieści lat. Klara była przesądna niemal tak samo jak dziadek Astrid, ale miała

w głowie taki nieporządek, że słuchając jej, trudno było stwierdzić, co wymyśla sobie na poczekaniu, a co faktycznie może należeć do dawnych wierzeń. Duża część dnia schodziła jej na żegnaniu się nad cebrzykiem z mlekiem czy podkradaniu resztek kaszy dla skrzatów i innych mitycznych stworzeń, które w ten sposób chciała udobruchać. Klara zawsze była dziwaczką, lecz mimo to obchodzono się z nią dobrze, bo mieszkańcy Butangen, a zwłaszcza dziadek Astrid, wychodzili z założenia, że ludzie tacy jak ona dostają w przydziale tyle zdolności co wszyscy inni, tyle tylko że zdolności te inaczej dochodzą do głosu, a niektóre z nich trudno dostrzec czy pojąć. Dzieci, które nie umiały dobrze mówić, okazywały się często fenomenalnymi grajkami czy rzeźbiarzami, ślepi potrafili w mgnieniu oka uspokoić konie i w ogóle większość takich dziwaków pozostawała w bliskim kontakcie z wielkimi siłami, których przychylność dobrze było sobie zjednać.

Klara przestała mamrotać i w ten sposób dotarły w końcu do kościoła ze znajomą czerwoną wieżą. Zachodnie ściany były czarne od smoły, a wschodnie, w lecie przypiekane słonecznymi promieniami, pałały złocistobrązowym blaskiem. Barwne niuanse tłumiła cienka warstewka białego szronu, a z wystających przez ściany kominowych rur unosił się dym.

Czy on już jest w kościele? – zastanawiała się Astrid. Tak samo zmarznięty jak ona?

Wnętrze świątyni znała doskonale, a plebanię – jeszcze lepiej. Przez dwa lata pracowała tam jako pokojówka. Było to jedno z niewielu miejsc odpowiednich dla najstarszej córki z gospodarstwa takiego jak Hekne, majątku, który w lepszych czasach byłby dość bogaty, by panna taka jak ona nie musiała iść na służbę. Astrid miała za sobą dwa lata szycia, sprzątanía i wycierania kurzy, a od minionej wiosny: coraz silniejszego kołatanía serca w czasie szycia, sprzątanía i wycierania kurzy, aż w końcu późną jesienią została pospiesznie zwolniona i musiała wrócić do prac gospodarskich w Hekne.

Astrid i Klara otrzępały się ze śniegu i weszły do kruchty, ale gdy miały przekroczyć próg, staruszka dygnęła nisko, mamrocząc coś o Wężu u Wrót. Astrid, która trzymała ją pod ramię, pomyślała, że kobieta upadła, i próbowała ją podnieść.

– A ty nie pokłanisz się Oblubienicy z Midtstrand? – spytała Klara i podreptała do środka dziwnym krokiem, na zgiętych kolanach.

Astrid rozejrzała się wśród zgromadzonych. Nie dostrzegła w pobliżu nikogo z majątku Midtstrand.

– Podnieś się – syknęła Astrid. – Ludzie patrzą!

– Pozdrów Oblubienicę z Midtstrand – powiedziała Klara. – Tak trzeba. Jak nie, to ona się może pogniewać.

– Cśśś!

– Węża u Wrót nie ma, a mimo wszystko jest – oświadczyła Klara.

Astrid pociągnęła ją za sobą. Nie do końca rozumiała, czy Oblubienica z Midtstrand i Wąż u Wrót to ta sama istota, ale nie zamierzała pytać, bo Klara miała to do siebie, że zmyślała takie rzeczy na poczekaniu, a nie daj Bóg zaczęłyby znów mamrotać i narobiłyby im jeszcze większego wstydu.

Gdy weszły w końcu do nawy, stwierdziły, że świątynia pęka w szwach.

Gospodarze z Hekne nie mieli tu już swojego stałego miejsca. Musieli zrezygnować z wykupionej ławy pewnego roku, gdy zalegali z podatkiem butowym. Nazwa ich gospodarstwa na drzwiczkach została zamalowana i zastąpiona inną. Po prawej stronie, gdzie siedzieli mężczyźni, było jeszcze teraz trochę wolnej przestrzeni, ale tradycja nakazywała, by kobiety siadały po stronie lewej, a tam zostały już tylko najgorsze, najchłodniejsze miejsca, tuż przy kościelnej ścianie. Astrid zaczęła przeproszać zgromadzonych, przepychając jednocześnie Klarę wzdłuż ławy. Parafianie przepuszczali je, podciągając nogi i wlepiając oczy w sufit.

– No gdzieżby, to tutaj mam siedzieć?!

– Klaro! Usiądź natychmiast – wyszeptała Astrid przez zaciśnięte wargi. – Widzisz przecież, że już nie ma miejsc.

– Nie? A tam z przodu? – Wskazała palcem miejsca, które faktycznie było lepsze. Astrid wcześniej ich nie dostrzegła, a teraz zajmowało je właśnie dwoje dziewcząt z Dolnego Romsås.

Astrid wpełznąła Klarę pod zimną ścianę i chciała zamienić się z nią miejscami, ale staruszka już usiadła i zaczęła coś do siebie szeptać, kiwając przy tym głową.

Bicie dzwonów zagłuszyło kolejne jej słowa, a do świątyni weszło kilkoro spóźnialskich, ośmioosobowa rodzina, która rozdzieliła się w przejściu między ławami. Spośród dziewcząt dwie były na tyle bezczelne, by wcisnąć się na miejsca siedzące z brzegu, tak że wierni musieli się przesunąć, wpychając Astrid i Klarę na ścianę. Astrid czuła teraz wyraźnie, jak bardzo wychudzona jest staruszka, kolce biodrowe i łopatki sterczały pod jej skórą.

Ludzie drżeli, ich oddech parował na zimnie. Przejście między ławami oświetlały świece łożowe, słyhać było mamrotanie wiernych i chrzęst wadmelowej odzieży. Jako tako wygodnie siedzieli tylko bogacze, którzy przywieźli ze sobą futra.

Astrid lubiła kościół, ale tylko wtedy, gdy było w miarę ciepło. Sama liturgia robiła na niej niewielkie wrażenie, ale – jeśli nie marzła – mogła snuć marzenia o wszystkim, co musiało się niegdyś tu dziać, poza tym wciąż znajdowała jakieś nowe elementy rzeźb i malowideł, wzruszało ją wszystko to, co było po prostu piękne, nie spełniając właściwie żadnej użytecznej funkcji, lubiła odczytywać z mozołem dziwaczne epitafia i kunsztownie kreślone litery.

Drzwi do kruchy zostały zamknięte. Kościelny palił pewnie ile wlezie we wszystkich piecach już od piątej rano, lecz drewniane ściany jeszcze się nie nagrzały.

Astrid postanowiła, że mimo wszystko wytrzyma mróz. A także wspomnienie o straconej nadziei, które za chwilę miało się przed nią objawić. Wytrzyma je, tak jak i wytrzymywała całą resztę życia. Taki właśnie los przypadł jej w udziale, to dostała od życia, proszę bardzo. Tak musiało być. I oto tu siedziała, w ten najmroźniejszy dzień roku, w najzimniejszym zapewne domu Bożym. Marzyła o cieplejszych ubraniach, ale ich nie miała, marzyła o ukochanym, lecz wątpiła, czy go kiedyś dostanie. I marzyła o lecie. Przynajmniej miała pewność, że ono kiedyś w końcu nadejdzie. W odróżnieniu od ukochanych czy ubrań, i dobrze, bo lato potrafiło właściwie zastąpić i jedno, i drugie. Niosło ze sobą ciepło słonecznych promieni, szelest liści osiki, doszorowane do czysta ciało, bieganie na bosaka i wolność.

Dzwony zabiły na rozpoczęcie modlitwy. Trzy razy po trzy uderzenia. Stary pastor był Duńczykiem, dlatego też dzwonnik przestrzegał duńskich zwyczajów, pilnując dziewięciu uderzeń poprzedzających nabożeństwo. Po nich zaś zapaść miała cisza, aż do chwili, gdy przed zebranych wystąpi on.

Lecz w cichości ducha Astrid przeczuwała, że jeszcze przed nim pojawi się inny, znany jej dobrze zalotnik. Przywrze do niej na jej miejscu w ławie i wślizgnie się pod ubrania.

Mróz.

Już czuła na sobie jego dłonie, niewidzialne i bezlitosne, ich dotyk jak stalowe ostrze noża. Próbowwała otulić się szczelniej szalem, ale zimno biło od desek podłogi, sięgając jej kolan, chwytając za palce u rąk i zeszywniało już stopy.

Astrid wiedziała, co ją czeka. Tego rodzaju chłód przenikał skórę i mięśnie, docierał aż do samego szpiku kości. Owszem, szpik również mógł się ochłodzić, był taki sam jak ten, który gotowali i wysysali po uboju owiec. A jak już ziąb wejdzie w kości, to tam zostaje, powodując zeszywnienie przechodzące po kilku dopiero dniach.

Wreszcie pojawił się on. Nie szedł, lecz kroczył. Wyłonił się ze swej izdebki z tyłu, za ołtarzem, jakby tam czekał, jakby był w kościele już o świcie. W ornacie, z Biblią w dłoni i bystrym spojrzeniem.

Kai Schweigaard.

Odchrząknął i rozpoczął modlitwę. Już po kilku chwilach Astrid zrozumiała, że kapłan ma tego dnia wyjątkowo wiele do powiedzenia. Przedłużanie nabożeństw było zresztą jedyną wadą wytykaną przez parafian „młodemu pastorowi”, jak mieli go pewnie jeszcze nazywać przez całe lata. Schweigaard mówił jasno i zrozumiale, z niezwykłym dostojeństwem. Jego kazania były zupełnie inne od sennych przemów poprzedniego pastora, sztywnej i nieprzystępnej postaci, kapłana, który nigdy nie pozbył się mamroczącego, duńskiego akcentu i wciąż głądził tylko o chrześcijańskim obowiązku i różdże karności.

Tymczasem Kai Schweigaard miał w sobie życie, charakter, niczym warzone na święta piwo. Twarz mu ogorzała od słońca, lubił podwijać rękawy koszuli, tak że opalały mu się też przedramiona, golił się codziennie brzytwą i poruszał z niezwykłą zwinnością. Jego słowa były jasne i celne, czasem pluskał wodą w chrzcielnicy, chcąc uspokoić płaczące dzieci trzymane do chrztu. Zachowywał się

inaczej niż reszta duchownych, nie pozostawiając jednocześnie wątpliwości, że jest jednym z nich. Z racji swojej posługi piastował również stanowisko przewodniczącego komisji do spraw ubogich i nie wzdragał się przed odwiedzaniem najbiedniejszych chat, gdzie w jednej izbie gnieździło się nawet po dziesięć osób.

Tyle wiedzieli o nim ludzie.

Astrid przekrzywiła głowę, by lepiej go widzieć. Pastor przybył do wsi w maju, czekała wtedy przed plebanią w fartuchu, ustawiona w rzędzie z całą resztą służby, która go miała witać. Wiedzieli, że duchowny będzie młody, nie mieli jednak pojęcia, że aż tak, i spodziewali się, że przywiezie ze sobą mnóstwo bagażu, elegancko odzianą małżonkę i kilkoro małych dzieci. Tymczasem z powozu wyskoczył ubrany na czarno, wesoły mężczyzna z dwiema walizkami, do których w zasadzie sprowadzał się cały jego dobytek.

I właśnie wtedy Margit Bressum pojęła, że otwiera się przed nią wielka szansa. Była to jazgotliwa, zadowolona z siebie wdowa o obwisłych piersiach, która nigdy wcześniej nie odgrywała w obejściu zbyt istotnej roli. Stary pastor zabrał ze sobą ulubionych służących, a ona, gdy tylko przyjechał Schweigaard, ustawiła się pierwsza w szeregu, by nikt jej nie uprzedził w powitaniach, starała się sprawiać wrażenie wiecznie zajętej i kompetentnej, a ponadto przedstawiała się jako gospodyni Bressum!

I tak oto w Prestangen, jak nazywano majątek pastora, zaczęła się nowa epoka. Pani Bressum oświadczyła, że wybrała nowe zasłony do pokoju dziennego, wypytywała, czy młody pastor lubi jeść na obiad wątróbkę i kaszankę i co w ogóle można jeszcze zrobić, żeby umilić mu życie. Poprzedni kapłan miał sześcioosobową rodzinę i dopiero po paru dniach Schweigaardowi udało się ukrócić pomysły pani Bressum, marzącej o wielkim, prowadzonym z rozmachem gospodarstwie i stołach uginających się pod ciężarem świątecznych kiełbas i marcepanów. Nowy przedstawiciel Kościoła w Butangen oświadczył, że nie jest żonaty, i po krótkiej pauzie, w trakcie której potoczył wzrokiem po zebranych służących, dodał: na razie. Później okazało się zresztą, że często mu się zdarzają takie niezręczności. Potrafił powiedzieć coś, co w rzeczywistości było zupełnie błahe, ale ponieważ mówiąc, nieustannie przenosił wzrok z jednej osoby na drugą, tak jak miał to zwyczaj robić podczas kościelnych kazań, w jego słowach często doszukiwano się niesłusznie drugiego dna. Tak czy inaczej, pastor nie planował wystawnego życia towarzyskiego, a raczej „gospodarowanie rozsądne i oszczędne”. Jedynym jego wyjątkowym życzeniem było wprowadzenie nowomodnego zwyczaju podawania na śniadanie kurzych jaj. Któryś parobek wydzielił kącik w oborze i dopilnował zakupu drobiu, ale oprócz tego niemal wszystko toczyło się po staremu. Margit Bressum musiała porzucić marzenia o dyrygowaniu całym sztabem pokojówek i zadowolić się zarządzaniem trzema codziennymi posiłkami pastora. Robiła to, skarżąc się i utyskując, ale nadal nalegała, by zwracać się do niej „gospodyni Bressum”, mimo że podlegało jej właściwie kilka tylko osób.

Astrid nadal pilnowała swojej roboty – szycia, sprzątanía, odkurzania w salonach, siania i pielienia kwiatowych rabatek w ogrodzie. Pracowała szybko, dla innych bywała nieco opryskliwa. Tylko do czasu do czasu zerknęła z ukosa na pastora, który pozdrawiał ją oszczędnym skinieniem głowy i zaraz zniknął, łopocząc połamiami płaszcza. Trzymała się od niego z daleka, aż do dnia, gdy na wypolerowanej do połysku komodzie w holu dostrzegła najnowszy numer „Morgenbladet”. Gazety przychodziły do Schweigaarda co tydzień w niewielkich, obwiązanych sznurkiem paczuszkach. Pastor czytał tylko jedną dziennie, niezależnie od tego, jak bardzo był ciekaw wieści z wielkiego świata i o jak wiele dni opóźniła się przesyłka.

A teraz gazeta leżała na komodzie. Złożona na czworo, zapełniona ciasno utkanymi literami biegnącymi w dół pięciu wąskich szpalt. Astrid podeszła bliżej i ją powąchała. Musiała zostać wydrukowana niedawno, wydzieliała bowiem delikatną woń przywodzącą na myśl świeżo zebrane grzyby. Astrid rozejrzała się pospiesznie dookoła i rozłożyła gazetę. „Morgenbladet” składała się z dwóch dużych arkuszy, pierwsza strona zadrukowana była gęsto tą samą gotycką czcionką co elementarz w letniej szkole, ale na drugim arkuszu znalazła niewielkie sekcje, które w pierwszej chwili wydały jej się napisane w innym języku. Dopiero po chwili pojęła, że to te nowe litery, które nauczyciel nazywał łacińskimi i które były jego zdaniem „pospolite i grubiańskie”.

Astrid wcale się one pospolite i grubiańskie nie wydawały. Wręcz przeciwnie. Małe kwadraty wypełniające całą stronę gazety musiały być chyba anonsami. Wielki arkusz przypominał gmach o niewielkich, pootwieranych okienkach, przez które napływały do środka na zmianę świeże powietrze i fascynujące odgłosy. W Kristianii odbywały się loterie, na których wylosować można było obraz, organizowano potańcówki, były tam koncerty i pomarańcze z Walencji, a nawet możliwość zakupu jaj lęgowych angielskich kaczek. Sprzedawano struny do skrzypiec ze świeżych jelit wieprzowych, rośliny dekoracyjne w donicach, bieliznę niezbiegającą się w praniu oraz cudo, o którego istnieniu Astrid ledwie miała pojęcie – francuskie gorsety.

Przeczytała o zapowiadanej na godzinę siódmą prelekcji dotyczącej ekspedycji na północne morza i w tej samej chwili stojący w salonie zegar zabił siedem razy. Na schodach rozległy się kroki, Astrid złożyła gazetę i umieściła ją z powrotem na komodzie, lecz gdy już miała opuścić hol, młody pastor wszedł do środka i powiew powietrza uniósł cienką jak listek stronę gazety, a ich spojrzenia się spotkały.

Do tamtej chwili pozdrawiali się tylko skinieniem głowy, ale skończyło się na tym, że Schweigaard, zupełnie naturalnie i nie przypisując temu wielkiego znaczenia, zaczął oddawać jej przeczytane gazety. Chciał też rozmawiać z nią o wsi. Pytał o nazwy majątków, liczbę mieszkańców, dzieci, wszystkie powiązania między ludźmi, których sam najwyraźniej nie był w stanie pojąć. Był to dziwny handel wymienny, bo on możliwością zerknięcia na wielki świat płacił za obraz maleńkiego wycinka. Astrid zaś czytała, chwytając ten wielki świat garściami, lecz gdy kończyła lekturę i musiała wracać do szycia, czuła się jeszcze bardziej nie na miejscu w tej wsi i tym stuleciu, a z czasem także w swoim wąskim łóżku.

Śledziła go uważnie co niedzielę. Pod koniec każdego nabożeństwa Schweigaard miał w zwyczaju przeznaczać nieco czasu na raport o stanie świata, w rzeczywistości będący jedynie krótkim referatem z wydarzeń w Kristianii i za granicą. Ale ponieważ Astrid czytała jego gazety, wiedziała też, o czym pastor będzie opowiadał, i przez cały tydzień przepelniało ją rozkoszne napięcie, zupełnie jakby dzieliła z nim jakąś tajemnicę.

Margit Bressum musiała się domyślić, że z tej tajemnicy może urodzić się kolejna, dużo większa. Choć przecież do niczego nie doszło, nikt nawet niczego nie spróbował, nie padły żadne niecodzienne słowa.

Niewiele może jednak brakowało, by ktoś coś powiedział czy podjął jakąś próbę. Margit Bressum oświadczyła, że w majątku „nie ma już pracy” dla Astrid, bo pastor to przecież kawaler bez szczególnych wymagań. „Zobaczymy, co będzie, jak się pojawi pani pastora”, oświadczyła.

Usta Astrid drgnęły wtedy nieznacznie, a gospodyni dodała z mściwą satysfakcją: „Przecież wiesz, że jest zaręczony”. Dopiero wtedy dziewczyna pojęła, że nie ma dymu bez ognia.

W końcu przyszedł czas na odśpiewanie głównego psalmu. Astrid szturchnęła Klarę, pomogła jej podnieść się z ławki i odnaleźć właściwą stronę w śpiewniku. Ci, którzy sądzą, że w kościele wstaje się z miejsc po to, by chwalić Pana, bardzo się mylą, pomyślała dziewczyna. Chodzi raczej o to, by przemarznięci na wskroś parafianie trochę się poruszali, choć na chwilę pobudzając przepływ krwi.

Klara oddychała przez nos, drobne włoski w jej nozdrzach były białe od szronu. Lubiła trzymać w dłoniach śpiewnik, mimo że nie umiała czytać. Nabożeństwo trwało w najlepsze, przy kolejnym psalmie wierni szcękali zębami do tego stopnia, że nie dało się zrozumieć śpiewanych słów. Od podłogi ciągnęło tak, że Astrid się czuła, jakby stała na niej boso, i już wkrótce do reszty straciła czucie w palcach stóp.

Zaczęły się chrzty. W Nowy Rok w tych okolicach tradycyjnie przyjmowano dzieci do kościelnej wspólnoty, na swoją kolej czekało zatem aż dziewięcioro niemowląt. Na początku nabożeństwa dzieci marudziły i krzyczały, ale teraz uspokoiły się na zimnie. Do chrzcielnicy przyniesiono pierwsze maleństwo, ale rytuał długo się nie zaczynał.

Ludzie w ławach z przodu zaczęli coś mamrotać.

Astrid wyciągnęła szyję i zobaczyła, że Schweigaard układa sobie dziecko na drugim ramieniu. Wolną dłoń zwinął w pięść i uderzył nią w powierzchnię wody, przebijając cienką warstewkę lodu. Następnie ochrzcił chłopca, oświadczając, że stał się nowym stworzeniem.

Do chrzcielnicy przynoszono kolejne dzieci, ich imiona były wypowiedane niepewnymi, drżącymi głosami. Rytuałów dopełniano szybko, wyglądało też na to, że niektórzy rodzice pomijali w pośpiechu uzgodnione wcześniej drugie imiona maluchów. Ostatni w kolejce był noworodek z Tromsnes. Astrid wiedziała, że rodzice chcieli nazwać dziewczynkę Johanne po jej babce, ale ojciec małej dygotał na mrozie tak, że połąkł jedną sylabę i Schweigaard ochrzcił dziecko jako Anne Tromsnes.

Na dworze zerwał się wiatr, zebranych w kościele parafian owiał lodowaty podmuch. Ogień w piecach już się wypalił, a kościelny nie mógł przecież dokładać do niego w trakcie nabożeństwa, żeby nie przeszkadzać. Silny poryw wiatru sprawił, że ściany kościoła zatrzeszczały, chłodny podmuch przedarł się do środka świątyni, aż zadrżały od niego płomienie świec na ołtarzu.

Schweigaard dalej odprawiał nabożeństwo. Wydawało się, że mróz nie robi na nim żadnego wrażenia. Wręcz przeciwnie – można było pomyśleć, że tylko dodaje mu sił. Astrid przypomniała sobie, jak pewnego razu składała razem z nim wielki obrus, jego twarz była coraz bliżej, on zaś z każdym kolejnym złożeniem tkaniny stawał się coraz mniej duchownym, a coraz bardziej mężczyzną, przypomniała sobie, jak drżenie ich ramion uwidoczniło się na obrusie, jak napięcie między nimi unaoczniało się niczym płynące ku sobie po białej wodzie fale, które spotykały się w połowie drogi.

Rozejrzała się dookoła. Na ławach siedzieli mieszkańcy wsi, robiąc wszystko, co w ich mocy, by jakoś to wszystko wytrzymać. Nawykli zresztą do wytrzymywania. Czyhały na nich różne życiowe przeciwności, a nie byli z tych, co to poddają się bólowi zębów, reumatyzmowi czy dokuczającym kolanom. Siedzieli w kościelnych ławach i wytrzymywali. Wytrzymywali, aż ich policzki stawały się najpierw białe, potem sine. Wkrótce dzieci zaczęły wpatrywać się przed siebie pustym wzrokiem, niektórzy tracili panowanie nad mięśniami i kiwali się mimowolnie na boki, zupełnie jakby byli na pokładzie statku, poddając się ruchom niespokojnych fal. Gdy mieli zaśpiewać *Stary rok zatonął w morzu*, jeden z psalmów, których nikt właściwie za dobrze nie znał, organista miał już tak przemarznięte palce, że ludzie nie rozpoznali granej przez niego melodii i wielu zaczęło śpiewać kolejną pieśń z tablicy.

Jedynym, który nie drżał na zimnie, był polujący na niedźwiedzie myśliwy Hallstein Huse, który siedział otulony w futro, przykrywszy kolana swoich czterech synów wielką wyprawioną skórą. Klara Mytting nie była nawet w stanie podnieść się z miejsca i Astrid pozwoliła jej siedzieć w półmroku.

W ściany kościoła znów uderzył przeciągły, dudniący podmuch wiatru, silniejszy niż za pierwszym razem.

– Noc oskrobana – szepnęła Klara. – Wkrótce nadejdzie.

Astrid tylko skinęła głową. Staruszka oparła się o ścianę.

I wtedy w kościele zaczął padać śnieg. Kredowobiałe drobinki szybowały na zebranych, na krucyfiks, na ołtarz i na Biblię Schweigaarda, wytrącając go wreszcie z równowagi.

Ludzie spojrzeli na strop, z którego padało, i szybko do nich dotarło, że leci na nich nie śnieg, ale szron. Poryw wiatru musiał zatrząść kościelnym strychem tak, że zebrana tam warstewka lodu rozbiła się na niezliczone drobiny.

Ostatnie białe ziarenka poszybowały na podłogę. Niektóre z nich spadły wprost na płomienie łożowych świec, które zasyczały, ale zaraz znów rozbłysły.

Kai Schweigaard potoczył wzrokiem po zebranych. Rozłożył ręce i powiedział głośno:

– Błogosławiona niech będzie ta próba, na którą wszyscy jesteście wystawieni! To znak od Boga, jeden z tych, które przyjął także Mojżesz, i obiecuję wam: następną zimę spędzimy tu w lepszych warunkach. Już tej wiosny zacznie się dziać coś wielkiego, coś, co uwolni nas od tych trudów.

Wrócił do czytania, lecz jego głos nie był już tak pewny jak dotychczas. Astrid zastanawiała się, o co mu chodziło. Kilka razy wcześniej zdarzało jej się już widywać go w takim stanie. Był rozgorączkowany, pełen niezdrowego zapału, co poprzedzało zresztą często odwiedziny naczelnika okręgu czy innych elegancko odzianych panów.

Przeniosła wzrok na dygoczącą ludzką masę ze szronem we włosach i na ramionach. Niewielu wiernych było jeszcze w stanie słuchać ze zrozumieniem, a ci nieliczni, którzy słuchali, i tak pewnie od razu zapominali słowa pastora.

Schweigaard stał na ambonie i widać było, że zaczyna się wahać. Dotarli za ledwie do połowy tablicy utkanej numerami psalmów, ale zaraz nadszedł kolejny podmuch, po którym pastor musiał znów strzepnąć drobiny lodu ze stron Biblii, i wtedy najwyraźniej postanowił skrócić nabożeństwo. Zdezorientowało to organistę i Schweigaard musiał oświadczyć wprost, że przeskoczą cztery zaplanowane psalmy.

Ostatni kwadrans stanowił demonstrację siły, którą pastor był w stanie czerpać z poznanych przeciwności losu. Jego słowa dźwięczały między drewnianymi słupami, rozpalając ogień woli i wiary. Na koniec śpiewał już sam w blasku drżących płomieni świec.

Gdy Siostrzane Dzwony wreszcie zabiły, ludzie rzucili się do wyjścia tak szybko, jak tylko pozwalały im na to zeszywniałe kolana. Astrid pchała wiernych w kierunku drzwi, starając się rozruszać nogi i biodra, rozprostować zastane mięśnie. Miała wrażenie, że kościelna ława przyrosła jej do pośladków, odciskając na skórze wzór rocznych słoików. Dopiero w przejściu pomiędzy rzędami zauważyła, że Klara nadal siedzi na swoim miejscu. Astrid podeszła do niej pospiesznie i pociągnęła ją za rękaw.

I w tej jednej chwili zmieniło się całe jej życie, bo ten jeden gram, który każdego wieczora kładł się nowym ciężarem na jej sercu, przyjął nagle barwę, sinawy odcień niemocy. Jednocześnie w jej pamięci na zawsze zapisał się ten obraz, był boleśnie wyraźny i wypalił się tam na zawsze – obraz tego, co stało się w chwili, gdy pociągnęła nieco mocniej za rękaw Klary. Kobieta padła w przód, lecz zawisła w nienaturalnej pozycji z policzkiem przymarzniętym do kościelnej ściany. Jej ostatnie wilgotne oddechy musiały zestalić się na deskach i wisiała tak dłuższy czas, aż w końcu głowa odlepiła się od ściany z trzaskiem rozdieranej tkaniny i ciało staruszki uderzyło ciężko w ławę.

Kościelny usłyszał krzyk Astrid i natychmiast przybiegł, po chwili był też przy niej Kai Schweigaard. Dzwonnik, nieświadomy tego, co się stało, bił w dzwony w najlepsze, a między ich kolejnymi uderzeniami do Astrid docierały strzępki słów pastora.

– Gdy przyjdzie wiosna – mówił, obejmując ją ramieniem – zostaniesz... wszyscy zostaną... będziesz uwolniona, oszczędzone ci będą takie cierpienia, Astrid.

Marna lupina na wzburzonym morzu

Trzeciego i czwartego stycznia kościelny robił, co w jego mocy, by wykopać grób dla Klary Mytting, ale grunt był tak zmarznięty, że nie zmogło go nawet dwudniowe palenie ogniska. Mężczyzna stał między rozżarzoną drewnem i raz za razem walił w ziemię kilofem, śnieg sypał, a z jego ust buchała para. Widok ten – upodabniający przykościelny cmentarz do piekielnych przedsionków – sprawił, że Kai Schweigaard nakazał kościelnemu zaprzestać robót, nie chcąc, by ludzie zaczęli sobie z niego dworować.

– Pochowajmy ją lepiej na wiosnę – powiedział pastor.

Kolejny raz musiał zmierzyć się z tym, co jego zdaniem było w pracy kapłana najtrudniejsze: z przypadkiem, w którym kwestie praktyczne zwyciężają nad duchowymi. W swojej posłudze codziennie zmagał się i z jednym, i z drugim, lecz gdy dochodziło do konfliktu, wygrywały zawsze siły natury, niczym duchy, które stawały na wieku trumny i wykonywały na nim taniec zwycięstwa, rzucając przy tym długie, rozedrgane cienie. Ale on nie chciał, żeby tak było, pragnął uczynić śmierć czymś piękniejszym, dyskretniejszym. Utrzymać duszę w czystości, niezależnej od martwego ciała.

– Jak tam pastor sobie chce – kiwnął głową kościelny, opierając się na kilofie. – Ale wątpliwe, żeby ludzie poczekali do tego czasu z umieraniem.

– Nad śmiercią i mrozem nie panuję ani ja, ani ty – odparł mu Schweigaard. – Jako słudzy Pana musimy odłożyć wszystkie pogrzeby do wiosny.

Była to trudna decyzja. I właściwie pierwsza jego duża porażka w Butangen. Ale pastor wystrzegął się mówienia rzeczy w rodzaju „zrobmy to tak jak zawsze” albo „wróćmy do starych sposobów”. Takie słowa nigdy nie padłyby z ust Kaia Schweigaarda.

Był jednym ze stu czterdziestu ośmiu młodych mężczyzn wyświęconych w poprzednim roku. Żaden z nich nie mógł wybierać miejsca posługi, leniwi i nieprzejawiający szczególnych zdolności zostali posłani na ubogie parafie w odległych zakątkach kraju, gdzie płomień wiary ledwie się tlił. Mieli tam albo zmienić i siebie, i wiernych na lepsze, albo też zatracić się w alkoholu i samotności. Marzyciele i romantycy, ci, którzy byli zbyt miękcy lub zbyt uparci, trafili na parafie, w których spadło na nich tyle pracy, że te defekty charakteru nie miały szans dojść do głosu. Niektórych z rocznika – tak zwanych poetów, słabeuszy o kiepskim zdrowiu lub pięknym głose – posłano do niesienia światła wiary mieszkańcom miast. Większość z tych stu czterdziestu ośmiu została wikariuszami, niektórzy rozwinęli się w swej posłudze, inni spełniali ją byle jak i przepadli w mrokach historii.

Trafiło się też kilku wybrańców. Mężczyzn wyróżniających się, energicznych, ale i nierównych. Wydawali się nad wiek dojrzałym, nierzadko coś się w nich gotowało, z ortografią radzili sobie o tyle, o ile, lecz przyszli na świat obdarzeni wyjątkowymi uzdolnieniami, cechami, które dostrzegano i uznawano – tych zaproszono na bok nieznacznym skinieniem głowy. Kapłani ci byli ulepieni z najtwardszej gliny i potrafili być szorstcy, przejawiali ogromną inicjatywę i mieli wolę niezłomną niczym górska skała, często nosząc w sobie przy tym jakąś niewielką skazę sprawiającą, że z wiekiem rozwijała się w nich wielka osobowość. Ci nieliczni mieli szybko zostać proboszczami w średniej wielkości wsiach zamieszkałych przez uparciuchów i pijaków, osadach, w których panowała nędza, a nierzadko i pogańskie zabobony. W takie miejsca wbijali biskupi swoje najdłuższe i najostrzejsze włócznie i taką właśnie włócznią miał być Kai Schweigaard.

Do Butangen posłał go biskup Folkestad z Hamaru i było między nimi obustronne porozumienie co do przyczyn tej decyzji. Jeśli sobie tu poradzi, zostanie szybko mianowany na bardziej prestiżowe stanowisko. Bo w końcu niektórzy z tych stu czterdziestu ośmiu młodych mężczyzn – choć trudno ich było wskazać na egzaminie – musieli sami kiedyś zostać biskupami.

Za czasów posługi starego pastora i najprawdopodobniej wszystkich pastorów przed nim nikogo nie chowano w Butangen przed nadejściem wiosny. Tymczasem w listopadzie, miesiącu otwierającym zimę w tej wsi, Schweigaard zaskoczył wszystkich, zażądawszy, by gromadzone przez kościół zapasy dobrze wysuszonego drewna na opał były przeznaczane do zmiękczenia skutej mrozem ziemi na cmentarzu. Usłyszał wtedy rzecz jasną, że mieszkańcy od niepamiętnych już czasów mają zwyczaj

przechowywać zwłoki bliskich w domach przez całą zimę, zmarznięte na kość i ułożone w trumnach, robiono to nawet z dziećmi i małeństwami, które rodziły się martwe, ludzie żyli z dnia na dzień w bliskim sąsiedztwie śmierci. Poza tym stary pastor nie był nigdy szczególnie zainteresowany pogrzebami. Jak większość kapłanów ze swojego pokolenia, odwiedzał tylko czuwających przy zwłokach możliwych gospodarzy. Mowy nad grobem wygłaszał, jeśli ktoś mu za to płacił, a ceremonia w kościele to dopiero był wydatek. Dlatego też ludzie zajmowali się większością tego rodzaju spraw na własną rękę. Sami zbijali trumny, czuwania organizowali po domach, śpiewali, wynosząc zwłoki za próg, szli za nimi na cmentarz, sami wykopywali grób, w miejscu, które przy odrobinie szczęścia było akurat wolne. Stary pastor siedział tymczasem za zasłonami okien plebanii niczym somnambulik i zadowalał się symbolicznym rzuceniem garści ziemi na świeży grób w najbliższą niedzielę. Trumny były wtedy już zakopane głęboko, czasem zdarzało się nawet, że kapłan pomylił imię zmarłego, lecz nikt nigdy się nie odważył albo nie zadał sobie kłopotu, by go poprawić.

Schweigaard zauważył skutki takich procedur już w pierwszym tygodniu swojej posługi: musiał kilka razy pędzić do grupki niezapowiedzianych żałobników, buszujących po cmentarzu z łopatami i kilofami. Grunt był tam nierówny i wyboisty niczym ziemia pośród lasów dopiero szykowana pod uprawę, a ponieważ ludzi z reguły stać było najwyżej na upamiętnienie zmarłego prostym drewnianym krzyżem lub tabliczką, nieliczni tylko mieli pojęcie, gdzie kto jest pochowany. Schweigaard wprowadził szybko kategorię nakaz zgłaszania pogrzebów i zobowiązał kościelnego do kopania grobów z wyprzedzeniem. Sam zaś przybywał na cmentarz, kiedy tylko trumnę opuszczano do ziemi, i błogosławił ją, gdy wieko było jeszcze widoczne. Zwrócił uwagę, że mieszkańcy wsi nie bardzo są zachwyceni zmianami, a jeszcze mniej – pojawianiem się na uroczystościach nieproszonych urzędników państwowych. Ale już na jesieni coś zaczynało się zmieniać, coraz rzadziej spotykało go na pogrzebach wymowne milczenie i ponure spojrzenia. Ludzie zaczęli kiwać głowami, słuchając jego słów, najwyraźniej też doceniali uścisk dłoni i słowa pociechy.

Potem spadł pierwszy śnieg, a on powtarzał sobie, że będzie przestrzegać zasady pochówku najpóźniej osiem dni po śmierci. Zużycie drewna okazało się jednak kolosalne, podobnie jak praca, którą musiał wkladać w kopanie grobów kościelny. Obaj mężczyźni stali teraz nad zwłokami Klary Mytting i musieli przyznać, że noworoczne trzaskające mrozy zwyciężyły nad wszystkimi powziętymi przez kapłana postanowieniami.

Kościelny posłał kopniakiem płonący kawałek drewna w śnieg, aż zasyczało, pozbiierał zwęglone szczapki i włożył je do płóciennego worka, mamrocząc pod nosem „no, no”, po czym otarł sadzę z łopaty i kilofa.

– Tej zimy już nie będzie kopania – powiedział Schweigaard. – Ale powinniśmy zbudować kostnicę. – Wziął się pod boki i rozejrzał dookoła, zupełnie jakby szukał właściwego miejsca. – Ludziom się powinno oszczędzić tego cierpienia.

Kościelny skłonił się nieznacznie, wymamrotał kilka słów pożegnania i odszedł.

Schweigaard został sam nad otwartą raną popiołów i torfu. Woda z roztopionego śniegu płynęła wąską stróżką, która zamarała kilka metrów dalej. Na szczęście padał biały puch, który wkrótce rozścielił miękką koc na tej okaleczonej ziemi.

Zima, pomyślał pastor. Ta okropna zima.

I śmierć.

Nabożeństwo noworoczne okazało się jednym ciągiem nieszczęść, zakończonym na dodatek śmiercią w kościelnej nawie. Następne miesiące z pewnością również odcisną na parafii swoje piętno. Wierni mieli przed sobą ciągnące się w nieskończoność, ciemne dni, w których nie działo się nic dobrego, a ostry dziób mrozu dziobał tam, gdzie człowiek był najsłabszy. Dni spędzone w niedostatku, o głodzie i chłodzie.

No cóż, pomyślał Schweigaard. Kostnica będzie niezbędna. Proste, doraźne rozwiązanie. Zmarłych trzeba było wyprowadzić z gospodarstw. Ale w pierwszej kolejności będzie się musiał zająć tym strasznym kościołem. Rozmawiał z biskupem Folkestadem, zanim przybył do tej parafii, i wiedział, że świątynia jest stara, to mu nie przeszkadzało, lecz nikt nawet słowem mu nie wspomniał, iż to zachowany w stanie pierwotnym relikwiarz średniowiecza. Od pierwszego dnia złościły go wyobrażające

potwory zdobienia i pozostałości po staronordyckich wierzeniach, złościł go miech kościelnych organów, który cały czas pękał, kończąc nagle uroczyste tony urwaną, zduszoną nutą. To była świątynia nie do użytku, niemogąca służyć jego planom. Cały kraj miał przed sobą niespokojne czasy niosące wielkie zmiany. Gazety donosiły ze wzburzeniem o nowych wynalazkach i zmianach politycznych kursów, a ramię w ramię z duchem czasu kroczyła nieuchronna modernizacja. Nowa epoka będzie wymagać jasnego przywództwa, niezłomności i duchowego zdrowia. Tymczasem ten kościół, to monstrum wśród świątyń, był niczym marna łupina, która miała wypłynąć na niespokojne morze.

Pastor spojrzął w jego kierunku i mimowolnie drgnął. Poprzedniego dnia zamknął się w pustej, pogrążonej w ciemnościach nawie, usiadł na ławce, na której umarła Klara Mytting, i odmówił długą modlitwę za parafię i samego siebie. Teraz ogarnęła go nagła potrzeba, by tam wrócić, na to samo miejsce, odmówić nową modlitwę, przebłagać Pana, by natchnął go nowymi siłami.

– Nie, Kaiu Schweigaardzie – powiedział półgłosem i wyprostował się. – Nie czas na takie babskie biadolenie. Grot włóczy Pana trzeba ostrzyć każdego wieczora, a ty musisz działać. Znaleźć nowe zadania dla kościelnego. Nie zwalniać tempa i wdroyć w życie plan.

Plan.

Wymknęło mu się o nim kilka słów w czasie noworocznego nabożeństwa, gdy drobiny szronu spadły na jego Biblię, ale zdążył się ugryźć w język. Tak się jakoś tamtego dnia złożyło, bo ćwiczył już sobie to przemówienie, nic zresztą dziwnego, cieszył się, i to z całego serca, na dzień, w którym nareszcie będzie mógł powiadomić parafian, co ich czeka. Teraz było na to jeszcze za wcześnie, brakowało jednego ważnego podpisu, istniało wciąż kilka szczegółów do ustalenia, ale Schweigaard miał nadzieję, że to tylko drobnostki i że zostaną one ostatecznie wyjaśnione w liście z Drezna, który miał nadejść już lada dzień.

Na całe szczęście nie był sam. Wiele razy odwiedzał Vålebrua i rozmawiał z naczelnikiem okręgu, a przewodniczący Związku Handlowo-Oszczędnościowego z całego serca się zgadzał, że coś należy przedsięwziąć. Szkopuł w tym, że parafia nie miała pieniędzy.

I wtedy Schweigaard obmyślił swój plan.

Zadygotał na mrozie i ruszył w stronę plebanii. Także tam rozważał w szczegółach, co jest mu niezbędne, a co nie. Dom mieszkalny był zbyt wielki, zbyt stary i zbyt trudny do ogrzania, jemu samemu wystarczał właściwie tylko gabinet, sypialnia i salon. Poprosił gospodynię o zmniejszenie sztabu służby i parobków, lecz poczuł się zaskoczony, gdy jako pierwszą odprawiono najlepszą i najpracowitszą dziewczynę – Astrid Hekne.

Dzierżawcę samego majątku postanowił zostawić na starych warunkach. Człowiek ten miał sześcioosobową rodzinę i kilku parobków do pomocy. Razem z nimi zajmował się ziemią i zwierzętami, chodził w góry i od czasu do czasu zarzucał sieci, zaś jedynym zadaniem nakładanym na niego przez Kaia Schweigaarda było zapewnianie transportu i wiktualiów.

To mimo wszystko bez sensu, pomyślał. Dwadzieścia osób, by zapewnić byt jednemu pastrowi! Wszystkie puste sypialnie na piętrze przypominały mu nieustannie, że oczekiwano od niego posiadania żony i dzieci. Ale nie miał przecież możliwości zawarcia małżeństwa, nie teraz, nie tutaj! Owszem, był nadal zaręczony, ale gdyby Ida Calmeyer przybyła tu prosto od swoich kunsztownych haftów w sam środek tej dziczy, gdyby została wyrwana z kręgu wiecznie skwaszonych przyjaciółek, zmarniałaby z pewnością i umarła.

Kai Schweigaard kroczył dalej w kierunku plebanii, irytując się, że będzie musiał zrezygnować z kolejnego dobrego pomysłu. Nikomu o tym nie mówił, ale pogrzeb Klary Mytting stanowiłby najlepszą okazję do wprowadzenia w pełni nowoczesnego zwyczaju pochówków, takiego, który byłby jednakowy dla wszystkich. Żałował, że nie ma w pobliżu Astrid Hekne, która powiedziałaby mu, jak miejscowi taki nowy zwyczaj by przyjęli. Z nią jedyną tutaj naprawdę mógł rozmawiać i ona jako jedyna faktycznie służyła mu pomocą, gdy próbował pojąć, jak wyglądają sprawy w Butangen. Pozostałe służące zniknęły z izby niczym piórka wywiewane podmuchem wiatru, gdy tylko stawał w progu, zaś gospodyni, ślamazarna i ocieżała, dyrygowała nimi, człapiąc ciężko po domu i wydając ciche pomruki.

Z Astrid Hekne było zupełnie inaczej.

Nie należała do tych, które wbijały wzrok w ziemię, nie, ona chciała widzieć, co się dzieje wokół

niej. Schweigaard szybko odkrył, że lubi sprawiać jej przyjemność. Wystarczyło, że pożyczył dziewczynie starą, nędzną gazetę, a ona rozpromieniała się jak księżyc w pełni. Z początku myślał, że jego satysfakcja wynika z poczucia spełnionego obowiązku, w końcu niósł ludowi oświecenie, karmił prosty umysł wiedzą. Ale szybko odkrył, że ten umysł wcale nie jest prosty, wręcz przeciwnie. Dziewczyna okazała się ciekawa świata, pojętna, moralnie ukierunkowana na to, co dobre i sprawiedliwe. Nie minęło wiele czasu, a pragnął, by ich krótkie spotkania mogły trwać dłużej. Jej uśmiech nigdy nie był służalczy, prędzej już nieco zagadkowy, i pastor myślał, że owszem, może ją oświecać i kształcić, ale również ona ma wiele do zaoferowania jemu.

Faktycznie, dostrzegął ją, i to nie tylko oczyma kapłana.

Z początku gawędzili o codziennych błahostkach, potem zaczął ją pytać o ludzi i rodziny w Butangen, ostrożnie prosił o rady, jak zrozumieć parafian, i może zasugerował jej nawet, że posługa w tym właśnie przyczółku chrześcijaństwa jest zadaniem wystawiającym go na niemałą próbę. Pamiętał zwłaszcza jedną rozmowę, bezpośrednio po tym, jak na jednym z niedzielnych kazań złątał surowo parafian pracujących w niedzielę na polach. Dziewczyna oświadczyła wtedy zdecydowanym tonem, że proceder ten ma miejsce wyłącznie kilka razy do roku, w okresach, gdy chodziło o zgromadzenie zapasów na zimę.

– To przede wszystkim dotyczy dzierżawców – powiedziała. – A zwłaszcza tych, co nie mają własnego konia. W ciągu tygodnia pracują u gospodarza, a niedziela jest może jedynym dniem z pogodą, kiedy mogą wyjść na własną działkę.

– Z pogodą? – zapytał pastor.

– Tak, kiedy da się pracować w polu.

Kai Schweigaard zaprotestował, twierdząc, że praca w niedzielę budzi zgorznienie, ale wtedy Astrid odrzekła:

– No, to wystarczy się już nie gorszyć i nie będzie miał pastor zmartwienia!

Stropił się. Podrapał w głowę. Powiedziała to tak, że jej słowa trudno było wziąć za obrazę. Wypunktowała tylko, że to on ma jednocześnie całą władzę i wyłączność na jej sprawowanie. A ona ma za to pełne prawo, by mu to wytknąć, jak równy równemu.

– Właściwie to w kalendarzu niewiele jest dni świątecznych – odpowiedział. – Zwłaszcza odkąd zostaliśmy protestantami. Wiesz, czemu Norwegowie tak się przeciwstawiali chrześcijaństwu?

– To musiało być, jeszcze zanim pastor tu przyjechał – rzuciła.

Schweigaard nie rozumiał, o co jej chodzi.

– Mówię o czasach Świętego Olafa. Kiedy wprowadzano religię chrześcijańską. Chłopi się buntowali, ale nie tylko dlatego, że chcieli nadal czcić Odyna. Bo widzisz, w tamtym czasie istniała tylko wiara katolicka. Księża chcieli wprowadzić trzydzieści siedem dorocznych dni świątecznych.

– Oprócz niedziel? – zapytała Astrid.

– Ma się rozumieć! Trzydzieści siedem dni!

– Aż tyle? Z niedzielami to wychodzi prawie dziewięćdziesiąt.

– Prawda? Ludziom nie wolno by było pracować przez niemal ćwierć roku! Może to i uchodziło w cieplejszych krajach, gdzie łatwo się uprawia ziemię. Ale tu u nas, na północy, ten pomysł jest do niczego.

Dziewczyna skinęła głową, podniosła talerz, z którego zjadł właśnie obiad, i sztucce, ułożyła to wszystko na tacy. Nie bez pewnego brzęku.

Ten brzęk.

Mówił mu, że w ten sam właśnie sposób Astrid zbierałaby sztucce, gdyby zasiadał przy stole u niej. Wiedział, że dziewczyna pochodzi z całkiem sporego majątku, który na przestrzeni lat miał bliskie związki z kościołem, gospodarze z Hekne ofiarowali parafii dzwony i szereg innych darów, lecz teraz – zgodnie z doniesieniami gospodyni Bressum – majątek ten był „całkiem podupadnięty”.

– Wiara jest potrzebna – oświadczyła Astrid, wychodząc. – Ale głód i zdrowy rozsądek zawsze nad nią zwyciężą.

Sformułowała w ten sposób myśl dla siebie oczywistą, ale pastor siedział jeszcze przez dłuższą chwilę i dumał nad jej słowami.

Później patrzył przez palce na niedzielne wychodzenie w pole w okresach dorocznych prac, choć pojęcie to było wcześniej zupełnie mu nieznane. Może to za sprawą samotnego życia na plebanii, ale spotkania z Astrid sprawiały, że coraz częściej zapominał o luteriańskiej powadze czy surowości i zaglądał do małej izdebki w głębi swej duszy, w której głośno biło serce, izdebki, którą tak chętnie wypełniłby miłością do prawdziwej, żywej kobiety.

Izdebki tej nie rozgrzewała za bardzo myśl o Idzie Calmeyer.

Raz kiedyś, w przeszłości, wytoczył się z tego pokoiku, trafiając prosto do drzwi dziwki w Pipervika, z dekadę od niego starszej, szepczącej: „Przecież jeszcze nie jesteś pastorem”. Długo próbował wyprzeć myśl, że w ogóle do tego doszło. Usiłował zapomnieć, jak rozstał się z kolegami ze studiów, rozwrzeszczanymi i idiotycznie pobudzonymi, po jednorazowym wyskoku – paleniu opium u któregoś na stacji – żartując, że teraz idzie do burdelu na Fjerdingsgate. Jak błądził po ulicach miasta, otumaniony i wyszczerzony w zachwycie, poddając się zrządzeniom przypadku. I nagle – uśmiech z bramy. Ktoś chciał go zatrzymać? Na początku tylko gawędzili, ona zapytała go, co studiuje, a potem poczuł się bezbronny, ona chwyciła go za rękę i pogładziła po policzku, usłyszał jej niezdrowe erotyczne sugestie, był w szoku, gdy pojął, że pożądanie wygrywa w nim z wolą, i ruszył za nią do nędznego pokoju na stryszku, gdzie zaczęła go całować, silnymi palcami przebiegając po jego plecach. Potem rozebrała ich oboje, usiadła na nim okrakiem, ścisnęła go udami i wchłonęła tak bez reszty, że miał wrażenie, jakby na nowo się rodził. Sekundy w transie, kiedy ciało nie miało kontaktu z mózgiem, mokre plamy na poźółkłej pościeli, monety, „w podziękowaniu, proszę, jedna z tych większych”, i wstyd, i bezradne błądzenie po ulicach w oczekiwaniu, aż minie odurzenie opium. Następnie zaś – modlitwy o przebaczenie na klęczkach i koszmary o wielkich brodawkach rosnących w kroczu.

Dopiero dwa lata później, w którym to czasie omijał Pipervika wielkim łukiem, nawet jeśli miał w pobliżu coś do załatwienia, był w stanie myśleć o tym zdarzeniu jasno i logicznie. Próbował nazywać tamtą kobietę nocną panną, a nie dziwką i w całym tym ascetycznym żalu za grzechy zdążył tymczasem pójść za radą matki. No właśnie, radą? Właściwie był to nakaz, nakaz zaręczenia się z białą jak mleko Idą Calmeyer, która uprzejmie przyjęła jego oświadczyzny i wróciła do swoich haftów.

Ida. Część wielkiego planu. Zakładającego, że Schweigaard wkrótce zostanie pastorem w mieście, potem prałatem, a jego głos z czasem zabrzmi silnie na spotkaniach u biskupa. U jego boku: pani Schweigaard, z domu Calmeyer. Może i trochę blada, ale cnotliwa i wierna, wspierająca go w największym celu: dziele jego życia. Frazę tę powtarzano rodzinie Schweigaardów niczym zaklęcie. Te trzy słowa opisywały wartość najwyższą, cenioną dużo bardziej niż szczęście. Już od najwcześniejszego dzieciństwa jego matka, zawsze najsurowsza i najczarniej odziana wdowa na każdym świątecznym przyjęciu, wbijała mu do głowy znaczenie „dzieła jego życia”.

Pannę Calmeyer wypatrzyła sobie na jednym ze spotkań towarzyskich, Kai sam dokładnie widział, jak do tego doszło, zmrużone oczy matki spoczęły na młodej dziewczynie przy fortepianie, matka wykonała w myślach szybkie obliczenia, podnosząc do warg filiżankę z delikatnej porcelany, a odstawiając ją z powrotem na spodeczek, wiedziała już, że wynik dodawania Kaia i panny Calmeyer wychodzi na plus, i to plus zdecydowany.

Miało to być małżeństwo z rozsądku, alians pomiędzy dwoma rodami, korek zatykający dziurę wybitą przez chaotycznego i działającego niekiedy impulsywnie syna, który średnio sobie radził w szkole i któremu brakowało wielkiego formatu wuja, męża stanu. Kai nie nadawał się do kariery w dyplomacji, bo jedną z jego bardziej niefortunnych cech było to, że gdy coś go dłuższy czas irytowało, wybuchał bez żadnego ostrzeżenia. Nieszczególnie interesowały go też złożoności historii i rodzinnych powiązań. Nie widział sensu w dyskusji. Lubił działać na własną rękę, mieć rację, pokonywać przeciwności! Norweskie wsie były nadal zarządzane przez pastorów, a on uzgodnił z sobą samym, że kościelna posługa będzie dla niego właściwym wyborem. Jego wuj reformował Norwegię za pomocą kolei żelaznych, szkół oraz telegrafów i Kai Schweigaard miał cel podobny, chciał jednak reformować od wewnątrz, kształtować duszę prostego człowieka i otworzyć ludzi na nowe czasy.

Matka się wściekła na wieść, że zsyłają go do niewielkiej osady w Gudbrandsdalen, lecz uspokoiła się, gdy jej powiedział, że Butangen to tylko pierwszy krok na bardzo stromej drabinie z szeroko rozstawionymi szczeblami, w praktyce jednak opierającej się już o parapet gabinetu

podstarzałego proboszcza z Lillehammer.

Lepiej być królem w małym królestwie niż księciem w wielkim!

Stąd właśnie ta próba ognia: Butangen.

Lecz to tutaj właśnie, dzięki Astrid Hekne, pojął, że z kobiety największy może być pożytek niekoniecznie wtedy, gdy tylko kiwa głową i ze wszystkim się zgadza. Nigdy wcześniej nie czuł się tak samotny jak tu, mimo że miejscowi patrzyli na życie z pogodą ducha. Wieś hołubiła swoich oryginałów i lekkoduchów, wszyscy garnęli się do roboty mimo lejącego deszczu i okulałych koni. Zrozumienie tutejszych zwyczajów i sposobu mówienia sprawiało jednak pastorowi trudności. Tych, których nie lubiono, nazywano często żłobami, człowiek mógł zostać odziany lub rozdiany, lecz opasanie znaczyło już zazwyczaj coś zupełnie innego niż rozpasanie. Każda nieczytelna dla Schweigaarda tradycja pociągała za sobą następne. Parafianie nigdy nie odpowiadali na pytania po prostu „tak” albo „nie”, a gdy coś im się nie podobało, potrafili udawać ociężałych czy powolnych, lecz kiedy tylko sprawa się rozwiązywała, zaczynali znów pracować szybko i sprawnie.

Pewnego dnia Schweigaard zapytał Astrid, czemu w deszczowe dni przybywa do kościoła mniej wiernych. Wyjaśniła mu, że często na kilkoro uboższych mieszkańców wsi przypada jedna para butów. Dziwił się też, dlaczego niektóre rodziny nigdy nie przychodzą na świąteczne nabożeństwa. Wstydzą się swoich ubrań, wyjaśniła Astrid, a przecież właśnie w takie dni najlepiej widać różnicę. Nieco później pastor zachodził w głowę, czemu nikt nie siada w ostatniej ławie w kościele.

Tym razem nie odpowiedziała mu od razu.

– No... bo nikt tam nie chce siedzieć – odrzekła w końcu.

– Bo wieje od drzwi?

– Nie, bo to... niech pastor wybaczy.

– Powiedz mi!

– Bo to ława bękartów.

– Co? Bastardów... Dzieci z nieprawego...?

– Stary pastor mówił na nią jeszcze gorzej.

– Jak?

– „Kurwia ława”. Często wskazywał w kościele dziewczęta i opowiadał, co zrobiły. „Na przestrach i przestrozę przeciw nierządowi we wsi”, jak sam mawiał.

– Co ty też opowiadasz? Nie miałem pojęcia.

– A jak nie lubił kogoś z młodzieży, to zadawał na egzaminie przed konfirmacją niestworzone pytania, żeby tylko tego kogoś oblać. I dziewczęta z bękartami zawsze siedziały tam z tyłu. Z początku chyba dlatego, że musiały wychodzić, żeby dać dziecku mleka. Bo były same i nikt im nie pomagał w opiece. Ale jak pastor je zaczął wytykać palcami, to przestały po prostu chodzić do kościoła.

– Osobna ława? Na srom i urągowisko? To zupełnie przeciwieństwo tego, czym moim zdaniem powinien być kościół. Cudzołóstwo, z którego rodzą się dzieci, to rzecz jasna przykry problem, ale powinniśmy pamiętać o przebaczeniu! Kościół ma być miejscem czystym, jasnym, otwartym dla każdego.

Z czasem nabrał wprawy w swoich obowiązkach, coraz lepiej radził sobie z nabożeństwami, chrztami i ślubami, lecz w kwestiach pomocy ubogim i podobnej pracy dobrotliwej wciąż czuł się nieraz zupełnie zagubiony. Mimo to przyjmował na siebie kolejne funkcje. Gdy był ostatnim razem w Vålebrua, by przedyskutować kościelne sprawy z naczelnikiem okręgu, podszedł do niego lensman i zapytał od niechcenia, czy pastor mógłby zająć się wypłatami premii za ustrzelone drapieżniki zagrażające zwierzętom gospodarskim. Był to właściwie obowiązek lensmana czy rejenta, ale skoro Butangen leżało tak daleko od ich siedziby, to chyba najlepiej by było, gdyby Schweigaard wziął to na siebie. Zwyczaj ten jest powszechny w wielu norweskich parafiach na prowincji, wyjaśnił lensman, oszczędza biedującym myśliwym konieczności długiej podróży, a przecież trzeba było zachęcać ludzi do obrony przed zachłannymi drapieżnikami łakomymi się na inwentarz okolicznych gospodarzy i zwierzęną łowną ubogich. Schweigaard nie był, niestety, w stanie ocenić, do jakich zwierząt faktycznie należały przynieszone mu skóry i szpony. Myśliwi przychodzili z pazurami ewidentnie pochodzącymi od różnych gatunków ptaków, lecz wszyscy zarzekali się, że to szpony orła, za którego odstrzał należała się

duża premia, odpowiadająca wielodniowemu wynagrodzeniu parobka. Raz pewien człowiek przyniósł mu wilczą skórę, on zaś zapłacił, mimo że wydawała mu się podejrzanie niewielka i nieustannie obawiał się, że myśliwi wystawiają go – i, co gorsza, cały stan kapłański – na pośmiewisko. Tydzień później inny mężczyzna zademonstrował mu brunatną skórę zdartą z rosomaka. Pastor poprosił go, by chwilę zaczekał, oświadczając, że musi „obejrzeć skórę w lepszym świetle”.

Udał się szybko na drugi koniec korytarza, do służbówki, w której zastał Astrid.

– Powiedz mi – szepnęła, zamykając za sobą drzwi. – Czy to jest skóra rosomaka?

Dziewczyna zanurzyła palce w futrze i potarła o siebie włoski.

– To? Przecież to zwykła owca. Od razu pastor poczuje, wystarczy przejechać palcami pod włos.

O tak. Nie, tak!

Schweigaard wrócił do oszusta, zrugął go i posłał do domu bez zapłaty. Jakiś czas później inny człowiek przyniósł mu dwie skóry, zdarte rzekomo z kociąt rysia, i pastor znów ruszył z nimi na inspekcję do lepiej oświetlonego pokoju.

– Ryś? – zdziwiła się Astrid. – Nie. To pewnie lisie szczenięta. Tyle że z odciętą kitą.

– Kitą?

– Chwostem. To znaczy ogonem. Pewnie postawili futro pod włos, obcięli kitę, a potem znów je ułożyli, żeby został krótszy ogonek, jak u rysia. Ale to liski, bez dwóch zdań.

Pastor spróbował potrzeć futro między palcami, tak jak robiła to ona.

– Skąd ty wiesz takie rzeczy? – zapytał.

– Kiedyś pastorowi opowiem. A kto się zgłosił po tę premię?

– Człowiek z majątku, na który mówią Gardbogen.

– Hm – mruknęła Astrid.

Schweigaard wrócił do mężczyzny i przyjrzał mu się dokładnie. Jego wadmelowe spodnie były tak wytarte, że aż błyszcząły, twarz miał oszpeconą przez odmrożenia. Pastor poczuł ochotę, by zapłacić mu premię za rysia, mimo że kwota była dużo wyższa niż w przypadku odstrzału lisiąt. Oświadczył łagodnym głosem, że myśliwy chyba się dziś trochę pomylił, ale może odebrać nagrodę za dwa lisy i będzie tu zawsze mile widziany, gdy znów coś ustrzeli.

Po jakimś czasie we wsi rozeszła się wieść, że młody pastor potrafi odróżnić pazury koguta od szponów jastrzębia. Ale najważniejsze było to, że Astrid wyjaśniła mu, dlaczego nędza zmusza ludzi do oszukiwania na łowieckich premiach. Dziewczyna była latarnią, oświetlała mu drogę prowadzącą w głąb doliny tajemnic, jaką była Gudbrandsdalen, a światło jej pałało coraz jaśniejszym blaskiem.

Aż do dnia, w którym położyła na stole niewłaściwy obrus.

Zdarzyło się to jesienią, pastor miał przyjąć u siebie naczelnika okręgu i przewodniczącego Związku Handlowo-Oszczędnościowego, z którymi pragnął omówić sprawy kościoła. Stół, na którym podawano obiad, zgodnie z tradycją powinien być przykryty obrusem w barwach liturgicznych, lecz gdy Schweigaard zszedł do jadalni, okazało się, że Astrid przez pomyłkę wybrała obrus adwentowy. Tymczasem goście mieli się pojawić lada chwila.

– To niech pastor pomoże, we dwoje szybciej się uwiniemy – powiedziała mu wtedy.

Zrobił, o co go prosiła, nie zastanawiając się nawet, że to właściwie kobieca robota. Podszedł do jednego ze szczytów długiego stołu i podniósł swój koniec obrusa. Zaczęli składać go razem, Astrid miała na to zgrabny sposób, który on próbował naśladować, na przemian chwytała tkaninę między kciukami i puszczala ją, poruszała się jednocześnie do przodu, ściągając w ten sposób kolejne fałdy ku sobie, on robił to samo, ale oboje musieli uważnie się sobie przyglądać i wykonywać każdy ruch równocześnie, inaczej adwentowy obrus o barwie głębokiego fioletu spadłby im na podłogę.

Stopniowo zbliżali się do siebie.

W pewnym momencie on musiał zmienić chwyt, ona wypadła z rytmu, obrus się naprężył i zaczął się trząść. Drżenie z ramion pastora przechodziło na tkaninę, tworząc fale, które płynęły w stronę Astrid niczym gnane wiatrem, a potem wracały do niego, z taką samą siłą, tyle że szybciej. Pastor przełknął z trudem ślinę i nie mógł zapanować nad dygotem rąk, odległość dzieląca ich od siebie była coraz mniejsza, a im krótszy stawał się obrus, tym bardziej był naprężony i tym mocniej drżał. Schweigaard, teraz już bezwolny, uświadomił sobie, że to pożądanie przyjmuje formę fal na tkaninie i wszystko trwało

do chwili, gdy byli już bardzo blisko siebie, a on poczuł jej zapach, musiała umyć się nowym mydłem, stanęli ze sobą oko w oko i sekundę potem ona wyrwała mu z rąk jego połowę obrusa, po czym zniknęła. Dopiero wtedy pastor dostrzegł na progu gospodynię Bressum.

Następnego dnia Astrid już nie było. Najmowanie i zwalnianie ludzi leżało w gestii gospodyni. Aby sprowadzić dziewczynę z powrotem, musiałby tego zażądać, co z kolei musiałby jakoś uzasadnić, podczas gdy prawdziwego uzasadnienia nie byłby w stanie wypowiedzieć na głos. Wymamrotanie czegoś pod nosem byłoby zaś jak opuszczenie tarczy, służba od razu by zobaczyła, że pastor nosi pod sutanną codzienne odzienie, a pod tym codziennym odzieniem jest z kolei nagi.

Otulił się teraz szczelniej płaszczem i ruszył dalej w kierunku plebanii. Znów zaczął myśleć o swoim planie i zastanawiać się, czy pocztylion przywiezie mu może w tym tygodniu list z Drezna. Spieszył się tak, że zmienił nieco trasę i zaczął wydeptywać nową ścieżkę na skróty. Brodził w białym puchu, a sypki śnieg wzbijał się wokół jego skórzanych butów z wysoką cholewą. Gdy już stanął na podwórzu, zobaczył, że jakiś obcy mężczyzna stoi obok zaprzęzonego w konia wozu i rozmawia z dzierżawcą. Schweigaard wszedł do domu i ledwie zdążył zamknąć za sobą drzwi, gdy gospodyni Bressum obwieściła, że czeka na niego „ktoś od Heknów”. Pastor zdjął kapelusz, przewiesił sobie płaszcz przez ramię i pokonał schody w kilku susach. Na stołku przed jego gabinetem siedział nikt inny jak Astrid Hekne.

Tajemnica górskich skrzatów

Gerhard Schönauer wyszedł właśnie z wykładu dotyczącego mauretańskiej ornamentyki, gdy dotarła do niego wiadomość, że pragnie z nim pomówić profesor Ulbricht. Ten postawny, pedantyczny mężczyzna po sześćdziesiątce był ulubionym wykładowcą Gerharda w katedrze historii sztuki, młodzieniec wielokrotnie odwiedzał już jego zadymiony ciemnobrązowy gabinet położony w zachodnim skrzydle gmachu uczelni. „Gabinet” to rzecz jasna tylko nazwa oficjalna, bo jednym z wielu przywilejów, którymi cieszyła się kadra profesorska Akademii Sztuk Pięknych w Dreźnie, była kolosalna przestrzeń oddana im do dyspozycji. Gabinet Ulbrichta spełniał jednocześnie funkcje pracowni, sali ćwiczeniowej, galerii sztuki i salonu. Był tak przestronny, że spokojnie mógłby w nim stanąć sporych rozmiarów koń, nie zwracając przy tym na siebie przesadnej uwagi obecnych. Żartowano przy tym, że u tego konkretnego profesora taki koń znalazłby również coś do jedzenia. Ulbrichtowi przydzielono pomieszczenie z sufitem o wysokości sześciu metrów – niezbędne, by szkolić studentów w pracy z malowidłami naściennymi pałacowych rozmiarów. Półki otaczających biurko regałów ugięły się pod ciężarem ksiąg w skórzanych oprawach, stosów papierów i pożółkłych zwojów. Pod ścianami stały niezliczone drewniane ramy z rysunkami i malowidłami, a było ich tak wiele, że zajmowały połowę powierzchni posadzki. Ulbricht obrazami obwiesił nawet sufit – znalazły się tam głównie reprodukcje mistrzów flamandzkich, lecz również pojedyncze dzieła arabskie i perskie. Osiągnięcie ciasnoty w tak przestronnym lokalu wymagało nie lada wysiłków, a jednak Gerhard musiał z każdym niemal krokiem patrzeć pod nogi, by nie zdeptać przypadkiem któregoś skarbu przywiezionego przez profesora z licznych podróży.

– *Gesundes neues Jahr, Herr Schönauer!* – powitał go Ulbricht, po czym powrócił do swojej zwyczajnej, sztywnej manieri: – Mam mało czasu, więc będę się streszczał. Widziałem pańskie prace i doszedłem do wniosku, że ma pan wspaniałe, naprawdę pierwszorzędne pojęcie o ornamentyce i architekturze. Stanowiących właściwie dwie zupełnie różne dyscypliny.

Gerhard błyskawicznie wyczuł, w jakim nastroju jest profesor. To było tylko otwarcie, Ulbricht oczekiwał teraz uprzejmego skinienia głową, które też zaraz nastąpiło.

– Zbliża się czas, by wybrał pan kierunek kariery – ciągnął. – *Lassen Sie mich fragen*: na czym wolałby się pan skupić? Ornamentyce czy architekturze?

– Hm, doskonałe pytanie – wymamrotał Gerhard.

– Tak? To świetnie, bo chciałbym, żeby mi pan teraz na nie odpowiedział. Proszę bardzo!

– *Vielen Dank*. Ale ja sobie źle radzę z podejmowaniem decyzji tak... w krótkich abugach.

– Ha, proszę spróbować! Między nami, panie Schönauer, nasze korytarze pełne są ludzi aż zbyt chętnie rozpowiadających o swoich uzdolnieniach. Zainwestowanie wysiłków w jeden obszar może być dla pana zdrowe. Jest pan wyjątkowym talentem! Lecz posiadanie zdolności tak wszechstronnych ma również swoje wady. Istnieje niebezpieczeństwo, że nigdy się pan nie zdecyduje, nigdy nie osiągnie prawdziwego mistrzostwa w jednej dziedzinie.

– Najbardziej cenię architekturę. Ale znów: to ona najbardziej mnie przeraża.

– A to dlaczego? Proszę mówić szczerze.

– Dzieło architekta oceniają wszyscy, bo muszą je oceniać. Ale gdybym poświęcił swoje życie tej dziedzinie, to...

– Co takiego?

– Byłbym szczęśliwy, że ludzie mijają codziennie to, co stworzyłem. Może nawet nie chodzi o to, że podziwialiby moje dzieło, ale że czerpaliby z niego przyjemność, nie ponosząc przy tym żadnych kosztów. Przechodząc mimo budynku, wiedzieliby, że za sto lat będzie stał w tym samym miejscu. Obraz potrafi może wywołać emocje głębsze i bardziej intensywne, za to piękna willa, kamienica czy ratusz stoją nierzadko na pierwszym planie życia.

– A ornamentyka?

– Cóż. Cieszy tylko przez chwilę i trzeba ją podziwiać z bliska. Cenię w niej natomiast symetrię.

– Hm! Proszę posłuchać, panie Schönauer. Kalendarz mówi nam ponad wszelką wątpliwość, że

zbliża się czas wyjazdów naukowych. Moje proste pytanie: czy wystarczy pan o stypendium?

– Chciałbym wrócić jeszcze do Londynu – oświadczył Gerhard. – By móc się ponownie przyjrzeć dziełom Wrena i Jonesa.

– Dobrze, ale ja pytam o to, czy sfinansował pan już tę podróż.

Ubodły go te słowa. Czesne było tu niebotycznie wysokie, a większość z jego współstudentów otrzymywała pieniądze od zamożnych, zainteresowanych sztukami pięknymi rodzin. Różnice uwidaczniały się najwyraźniej właśnie przy okazji podróży. Obdarowywani prześcigali się w planowaniu bajecznych wyjazdów do Florencji czy Mediolanu, gdzie mieli kopiować rzeźby i przy okazji żłopać całymi dniami wino oraz – jeśli wierzyć opowiadanym wieczorami historiom – wypuszczać się na wycieczki do niedrogich, lecz pierwszorzędnych zamczysk Lombardii i Toskanii.

– Kiedy był pan ostatnio w Londynie? – spytał Ulbricht.

– Przed paroma laty, tyle że dość krótko. Raptem dwa tygodnie. Spędziłem ponadto kolejne dwa tygodnie w Cambridge. Krótkie, lecz bardzo ubogacające wyjazdy.

– Która rodzina pokrywała wtedy pańskie koszty?

Gerhard skrzywił się nieznacznie.

– Żadna, panie profesorze. Zapłaciłem z pieniędzy zarobionych na sprzedaży portretów, które malowałem wieczorami. Nie były zbyt dobre, ale ludzie kupowali.

– Mimo wszystko imponujące! Czyli, jak rozumiem, nie ma pan żadnego mecenasa?

– Niestety.

– Pochodzi pan z Prus Wschodnich, prawda? Z Królewca?

Gerhard się zdziwił. Ulbricht nie miał żadnego powodu, by wypytywać go nagle o rodzinne miasto. Musiało to oznaczać, że profesor zasięgnął wcześniej o nim języka.

– Urodziłem się trochę dalej na wschód – odparł. – Moja rodzina mieszka w Memel.

– Ach, tam! Czyli zupełnie na wschodzie. Proszę mi powiedzieć... macie tam bogatą historię wznoszenia budowli drewnianych, nieprawdaż?

– Oczywiście. Tamtejsza ludność pielęgnuje nawet własną odmianę rosyjskiej tradycji chłopskiej: układanie ścian z drewnianych bali, łączonych tylko w narożnikach.

Ulbricht pokiwał głową.

– A proszę mi powiedzieć, młody panie Schönauer, czy jest pan gotów poddać się prawdziwej próbie?

Gerhard odrzekł, że tak. Starał się sprawiać wrażenie zachwyconego, dodał też coś o tym, że żaden prawdziwy student Akademii Sztuk Pięknych nie odpowiedziałby na takie pytanie przecząco, choć sam przecież słyszał, jak fałszywie to brzmi.

– O takie nastawienie nam chodzi! – Ulbricht poklepał go mocno po ramieniu. – Szukam właściwego człowieka, który udałby się w podróż do miejsca bardzo egzotycznego, i jest to zadanie dla architekta.

Gerhard wymamrotał, że bardzo chętnie, ale...

– Ach, przejrzałem już pana na wylot! – wykrzyknął Ulbricht. – Proszę nie zawracać sobie głowy wydatkami – nachylił się nad nim i dodał szeptem: – Pokryje je saski dwór królewski!

Gerhard nie bardzo zrozumiał. Uczelnia, na której studiował, była akademią królewską, zarządzaną zgodnie z wolą Alberta Pierwszego. Ale Ulbricht powiedział to takim tonem, jakby prezentował mu plan osobiście uzgodniony z samym władcą.

– *Vielen Dank, Herr Professor, aber...*

– Otrzyma pan dodatkowo wynagrodzenie. I to bardzo szczodre! Wyjazd ma potrwać siedem miesięcy, bo w grę wchodzi transport przez zamrznięte jezioro, możliwy tylko zimą! Ha, ha, widzę, że pana zaciekawiłem! Cóż, jeśli zdecyduje się pan przyjąć moją propozycję, możemy się tu spotkać jutro.

– Ale... gdzie wy mnie chcecie posłać?

– Do norweskiej części Szwecji!

– *Nach Norwegen?*

– Owszem. Na daleką północ. Proszę się nie niepokoić, mamy dobre mapy.

– Ale panie profesorze... proszę mi wybaczyć śmiałość... tam przecież właściwie nie ma dzieł

architektury. Czy to nie jest przypadkiem kraj nierozwinięty, w którym dominuje prymitywne rolnictwo? To znaczy... o tych stronach właściwie się nawet nie wspominało na naszych wykładach z architektury europejskiej.

– Najwyraźniej nieuważnie pan słuchał – zbył go Ulbricht rozbawiony. – Tak się składa, że raz wspominałem o Norwegii. Owszem, kraj jest ubogi, ale górskie skrzaty strzegą tam u siebie pewnej tajemnicy.

Unosząc wysoko nogi, Ulbricht przeskoczył kilka leżących na podłodze gipsowych głów i sięgnął po płaszcz zawieszony na ugiętym ramieniu rzeźby wyobrażającej Salome. Posąg miał na głowie włożony na bakier kapelusz, na szyi zaś – udrapowany szal w cynobrowym odcieniu. Profesor zdjął go z niej teraz i powiedział:

– Jestem dziś zajęty, panie Schönauer. Spotkajmy się jutro o dziesiątej. W tym samym miejscu. – Zerwał kapelusz z głowy Salome. – A przy okazji, proszę być tak dobrym i zachować naszą rozmowę dla siebie.

Gerhard nie był w stanie zachować tej rozmowy dla siebie. Już tego samego wieczora, ale dopiero gdy Sabinka na powrót się ubrała, obwieścił jej, że rusza w podróż do Norwegii.

– Do Norwegii? Na śmierć tam zamarznie! Przecież to zaraz obok Grenlandii!

– Nie, nie. Ten kraj jest częścią Szwecji. To zaledwie parę dni drogą morską z Hamburga.

– No dobrze... a na jak długo wyjeżdżasz?

– A, na dwa miesiące. Może trzy...

– Trzy? Trzy! Przecież już twój pobyt w Anglii był nie do wytrzymania!

Mówiła prawdę. Gerhard dowiedział się od gadatliwego współstudenta, że dziewczyna faktycznie nie wytrzymała tego miesiąca, kiedy studiował architekturę w Londynie i Cambridge. Wiadomość, że w rzeczywistości nie będzie go przez siedem miesięcy, planował zaserwować jej później – obawiał się, że w innym wypadku Sabinka już teraz znalazłaby sobie innego.

– Wyjeżdżam dopiero w kwietniu – powiedział. – I tym razem będą z tego pieniądze. Całkiem duże.

– Ty i twoje pieniądze! Żeby się tylko na gadaniu nie skończyło. Idź już, zanim przyjdą inni.

Sabinka pochodziła do życia lekko. Była siostrą pochodzącej z Moraw modelki aktowej, jednej z tych dziewcząt, z którymi studenci absolutnie nie mogli utrzymywać kontaktów, lecz co bardziej przedsiębiorczy szybko je nawiązywali. Gerhard spędził święta Bożego Narodzenia u rodziców, ale wrócił do Drezna, by świętować Nowy Rok z Sabinką. Wybrali się na huczną zabawę do Lindenkrug, przed wejściem do tej knajpy goście rozglądali się nerwowo na boki, a wypełniał ją śmiech kobiet niedbających o ludzkie gadanie i mężczyzn, którzy takie kobiety lubili, nie wiążąc jednak z nimi planów małżeńskich.

Sabinka była cięższa i bardziej przysadzista od siostry, dłonie miała popękane od roboty w pralni. Gerhard wykonał wiele portretów obu dziewcząt, zarówno ołówkiem, jak i węglem. Szkicowanie Sabinki przepelniało go zawsze spokojem. Miała piękną twarz, ale też tendencję do otyłości. Jej piersi były tak wielkie, że zimą stawały się chłodne i Gerhard obawiał się, że z czasem stracą swój urok.

Lecz na razie Sabinka była młoda, on też był młody i mogli być młodzi razem w Dreźnie.

Pożegnał się z nią i ruszył w stronę swojej stacji w Antonstadt. Nadłożył drogi, by przejść obok różowego barokowego kościoła, skręcił na promenadę oświetloną dwoma rzędami gazowych latarni, stanął nad brzegiem Elby i patrzył przez chwilę na przeglądające się w wodzie gmachy. Fontanny, posągi na dachach, fasady domów, którym do twarzy było w niebieskościach i jasnych zieleniach.

Bryza znad rzeki owiała mu policzki. Za jego plecami rozległ się stukot kopyt koni ciągnących dorożkę, z której wysiadła po chwili wytwornie ubrana para.

Drezno. Całe to miasto było jednym wielkim dziełem sztuki. Sumą idei zbyt wielkich, by powstały w umyśle jednego tylko człowieka czy nawet całego pokolenia. Najpiękniejsze miasto Europy, jedyne, które mogło się mierzyć z Florencją. Każdy tutejszy gmach był wypadkową ambicji, dobrego smaku, pieniędzy i najwyższej rzemieślniczej umiejętności. Każda z tutejszych pereł architektury powstawała co najmniej pięć lat. Rzeźbiony granit, cegła, tynki, miedź, wapień i farba. Wszystko, co tu budowano, musiało być najpiękniejsze, przynajmniej do chwili, aż ktoś – najczęściej już w następnym

roku – stworzy coś jeszcze lepszego. I tak właśnie kolejne stulecia nieustannie prześcigały się w urodzie.

Gerhard ruszył dalej bez żadnego planu, minął gmach opery, muzea, kościoły, sale koncertowe. Dostrzegł kuchenne drzwi restauracji, otwarte przed chwilą, by wywietrzyć swąd oleju do smażenia. Na swojej stacji miał do jedzenia tylko suchary.

Pewnego dnia będzie jadł i pił to, co zapragnie, wchodził wszędzie, gdzie sobie zażyczy. Nakryją mu do stołu, podadzą dźwięczące sztuce, stek cielęcy z parującym sosem przyniosą mu dokładnie wtedy, gdy w kuflu zostanie jeszcze połowa piwa, a on kiwnie głową na pytanie kelnera, czy jemu i jego gościom potrzeba czegoś jeszcze.

Gerhard Schönauer zbliżył się do brzegu Elby, nasłuchując plusku leniwej, szerokiej rzeki. Światła miasta promieniały, on również promieniał, był w końcu wybrańcem posłanym na północ i w tym właśnie momencie zaczął się zastanawiać, do któregoż to norweskiego miasta pośle go Ulbricht.

Dzwony nie przestaną bić

Astrid Hekne wstała i dygnęła, a Kai Schweigaard powiedział:

– Bardzo się cieszę, że cię znów widzę, nawet w tak smutnych okolicznościach.

Po chwili siedzieli już w gabinecie, po przeciwnych stronach biurka. Na środku pustego blatu stała niewielka buteleczka z brązowego szkła, opatrzona wypisaną odręcznie etykietą: „Olej na reumatyzm”.

– Klara zdążyła ją zużyć tylko do połowy – powiedziała Astrid. – Więc pomyśleliśmy, że olej może trafić do kogoś, komu się jeszcze przyda, niech pan pastor zdecyduje, do kogo.

Kai Schweigaard podniósł buteleczkę. Oleista zawartość przelewała się w niej leniwie. Nie miał pojęcia, z czego zrobiono ten specyfik, ani też czy on faktycznie na cokolwiek pomaga. Ale przypomniał sobie, że sam załatwił go Klarze Mytting minionego lata, chcąc jakoś ulżyć jej cierpieniom.

„Pan pastor”, tak teraz zwracała się do niego Astrid. Jaki tu właściwie miała interes? Jeśli olej na reumatyzm stanowił wymówkę, to sprawa, z którą faktycznie przyszła na plebanię, musiała być dużo ważniejsza. Dziewczyna zmieniła pozycję na krześle, poprawiła szal, pastor zaś odchrząknął i skierował myśli tam, gdzie powinny być od początku, do biednej, zgarbionej staruszki, która zmarła w jego kościele.

– Gospodarna z niej była kobieta, nie marnotrawiła leku – powiedział Kai Schweigaard. Odstawił buteleczkę na blat, trochę bliżej swojej krawędzi biurka, demonstrując w ten sposób, że olej wrócił do niego jako dysponenta pomocy dla ubogich.

– Klara niczego nie miała – odrzekła mu Astrid. – Ten lek jest jedynym, co po niej zostało.

– Ach tak. W rzeczy samej. A czy tobie jest... dobrze... tam w gospodarstwie?

– Dość dobrze, dziękuję. Choć wcześniej było lepiej.

Pastor kiwnął głową, mimo że jej nie rozumiał. O jakim „wcześniej” mówiła?

– Gdzie jest teraz Klara? – spytała Astrid.

Podziwiał blask jej włosów. Łuki brwi, tajemniczość spojrzenia, jasność myśli. Tkanina obrusa znów zaczęła drżeć.

Astrid odchrząknęła i powtórzyła pytanie.

– Ach. W szopie, tam gdzie trzymamy wóz. Rzecz jasna leży w trumnie. Temu, kto umarł w domu Pana, powinno się pozwolić poczekać na pogrzeb w... no cóż, jednym z zabudowań Pana.

– Przyjechaliśmy, żeby ją zabrać z powrotem do Hekne. To znaczy ja i parobek.

– Ach, czyli to jego widziałem przed domem. No tak. Cóż, niestety wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Musimy odłożyć pogrzeb do wiosny. Kościelny nie zdołał przebić się przez zmarzniętą ziemię.

– Aha – odrzekła Astrid krótko.

– Nie chciałem, żeby to tak wyszło – powiedział Kai Schweigaard, zadowolony, że wypowiedź mogła odnosić się też innej sprawy dotyczącej ich obojga: faktu, iż Klara zamarzyła na śmierć w trakcie nabożeństwa, które odprawiał. – Również dlatego, że planowałem, by została pochowana wedle nowego obrządku.

– Nowego obrządku? – spytała dziewczyna, a on usłyszał, że jest nieco wzburzona. Tak, na tym właśnie polega specyfika ludzi w tej wsi, pomyślał. Sam ten ich stosunek do słowa „nowy”. Jakby było rzuconym im wyzwaniem!

– Chciałbym, żeby ceremonie pogrzebowe odbywały się od teraz w kościele – powiedział. – I ma to dotyczyć wszystkich. Nie tylko możliwych. Klara będzie pierwszą pochowaną w ten sposób parafianką swojego... stanu.

Astrid przekrzywiła głowę.

– Zmarli będą leżeć w kościele?

– Ten zwyczaj praktykuje się w miastach już od kilku lat. Nie widzę powodów, dla którego miałby on nie trafić na prowincję.

Zobaczył, że dziewczyna wierci się niespokojnie na krześle.

– O co chodzi, Astrid?

– Jej spódnica – powiedziała w końcu.

– Spódnica?

– Klara miała na sobie tego dnia pożyczoną spódnicę i buty. Chciała ładnie wyglądać w kościele, tak jak i my wszyscy.

I znów to samo, wracały tutejsze realia. Za każdym razem, gdy pastorowi udało się obmyślić dobry plan, szyki mieszały mróz albo ubóstwo, uniemożliwiając wprowadzenie go w życie. Zupełnie jakby prześladował go jakiś ponury, staroświecki skrzat, wiecznie dłubiący sobie w zębach i wyśmiewający jego nowoczesne koncepcje.

Pożyczone buty. Odświętna spódnica. Przymarznięte do trupa. Wyobraził sobie, jaką pracę tu by trzeba było wykonać. Ciało zmarłej musiało częściowo odtajać, następnie należało zerwać z niego ubranie, odziać je w śmiertelną koszulę i umieścić z powrotem w szopie.

– Załatwię sprawę ubrania i butów – oświadczył Kai Schweigaard, od razu podbudowany faktem, że jego słowa brzmią tak pewnie. Owszem, tak to właśnie ma wyglądać, żadnego migania się od dodatkowych obowiązków spadających na instytucję Kościoła! Dodał z zapalem: – Ciebie nie mam zamiaru tym obciążać, Astrid. Możesz tu wszystko odebrać za trzy dni. Uprane i poskładane, sam o to zadbam.

Astrid wydawała się zaskoczona, on zaś uświadomił sobie z radością, jak radykalnie – i nowocześnie – właśnie się zachował. Ludzie nie przywykli w tej wsi, by inni brali za nich odpowiedzialność, być może jego decyzja wydała jej się nawet trochę zuchwała. Lecz miał jednocześnie świadomość, że to jego zdecydowanie wynika z nie do końca czystych intencji, i zastanawiał się, czy chodzi tu bardziej o bezinteresowną potrzebę niesienia pomocy bliźnim, czy raczej typową dla mężczyzn chęć imponowania przeciwnej płci.

– A ten nowy obrządek – zagadnęła go znów Astrid. – Czy dla zmarłych teraz też będzie się dzwonić? To znaczy kościelnymi dzwonami?

– Oczywiście. To część ceremonii. Zupełnie oczywista. I nie będzie nic kosztować!

– A co z tymi biedakami, co sami sobie odbierają życie?

To pytanie zbiło go z pantałyku. Nie dlatego, że nie miał na nie dobrej odpowiedzi; po prostu nie wybiegał na razie myślami aż tak daleko w przeszłość.

– Prawo stanowi tu jasno. Tacy ludzie mogą teraz spocząć w święconej ziemi, tyle że bez pobłogosławienia trumny ani mowy nad grobem. Ale skromna uroczystość dla najbliższych krewnych byłaby chyba zgodna z prawem i na miejscu... jeszcze się nad tym zastanowię.

Gdzieś w tej wypowiedzi musiał nieopatrnie zostawić znak zapytania, bo Astrid skinęła głową i rzekła:

– No właśnie. Tak o tym teraz pomyślałam. Bo pan pastor przecież wie, że nie wszyscy wytrzymują.

Schweigaard podrapał się po skrzydełku nosa. Nie był dziś w stanie z nią rozmawiać, wszystko, co mówił, brzmiało sztywno i staroświecko. Może ona też zwróciła na to uwagę. Że on nie był dziś sobą, jak sama miała to w zwyczaju nazywać.

– Lecz mając na uwadze... hmm... charakter sprawy – powiedział, znów nie mając pojęcia, skąd ten dobór słów – to mamy dobrą okazję do wprowadzenia tych nowych obrzędów pogrzebowych, bo Klara umarła w końcu... cóż, poza domem. A to samo w sobie sprawia, że jej sytuacja jest... ekstraordynaryjna.

Astrid spojrzała na niego, ale nic na to nie powiedziała.

– Co ty o tym sądzisz? – spytał.

– A to nie jest tylko takie na łąpu-capu? – spytała dziewczyna. Zirytowała go, lecz jednocześnie zafascynowała nieco tą bezczelnością, pozwalającą zestawić jego ekstraordynaryjność z potocznym wyrażeniem, którego znaczenia nie był pewien. – Tego nie można robić zbyt gwałtownie – dodała. – Pan pastor musi pamiętać, że ludzie lubią dawne zwyczaje. Zawsze sami starali się jakoś uczcić zmarłych w dniu pogrzebu. A z Klarą to myśleliśmy, że stary nauczyciel mógłby dla niej zaśpiewać, zanim ją złożymy do ziemi.

– Nadal będziemy czcić zmarłych – odrzekł Kai Schweigaard. – Tyle tylko że w ramach zasad ustanowionych przez Kościół. Zarówno bogaczy, jak i ubogich.

Doskonale wiedział, że bliscy i krewni faktycznie robią wiele dla swoich zmarłych. Problem leżał w tym, że ceremonie pochówku okraszane były zazwyczaj mnóstwem pogańskich zwyczajów i zabobonów. Palono słomę, na której spoczywały wcześniej zwłoki, i wrócono przyszłość z kierunku, w którym wiatr pędził dym, a gdy wynoszono trumnę z domu, wszyscy stali na podwórzu, wgapiając się w konia zaprzęgniętego do wozu lub sań. Jeśli koń jako pierwszą podniósł prawą nogę, oznaczało to, że następny w tej rodzinie umrze mężczyzna, a jeśli lewą – żałobnicy rozglądali się, zadając sobie pytanie, na którą kobietę przyjdzie teraz czas. Pastor słyszał o stypach trwających trzy dni, na których grano w karty i tańczono, nierzadko dochodziło również do pijackich awantur, a kobiety okrywały się hańbą, miotając przekleństwa i ciągnąc się za włosy, mężczyźni zaś – wymachując nożami i raniąc siebie albo innych. Ale najgorsze zdaniem Kaia Schweigaarda było zmuszanie małych dzieci do obcowania ze śmiercią. Często, gdy czuwano przy zwłokach, maluchom kazano oglądać czy nawet obejmować zwłoki, a płomień latarni przyniesionej przez mistrza ceremonii tańczył, rzucając niesamowite cienie na ścianę. Pastor słyszał o mieszkającej we wsi dziewczynce, która powiedziała coś niemilego pewnej staruszce i nie zdążyła przeprosić jej przed śmiercią, została więc, wbrew płaczom i protestom, zaciągnięta do zmarłej, by ją pocałować i w ten sposób ją przebłagać. Pomijając już ryzyko zarazy czy zatrucia wody, tego rodzaju zwyczaje dawały pożywkę różnym religijnym hochsztaplerom, opowiadającym niestworzone historie i odprawiającym rytuały wykraczające znacznie poza chrześcijańską praktykę. Ale od teraz...

– Nad czymś się zastanawiam – zaczęła Astrid. – Czy w księgach pastora piszą coś może o świętym parchu?

– O czym?

Dziewczyna powtórzyła nazwę, ty razem nieco łagodniejszym tonem.

– Nie, nigdy o czymś takim nie słyszałem – odparł Kai Schweigaard. – To pewnie jakiś przesąd.

– Klara twierdziła, że on rośnie wewnątrz kościelnych dzwonów i może leczyć różne choroby.

– Ach, już rozumiem. Właśnie takie zabobony chciałbym w tej okolicy wyplenić. Jednym z moich celów jako pastora w Butangen jest zwalczenie wszelkiego rodzaju przesądów i wmieszanych w sprawy kościoła wytworów ludowej fantazji.

– Ale to, co leży w tych małych szkatułkach – odparła Astrid. – Stary pastor nas o tym uczył przed konfirmacją. To są szczątki świętych ludzi. Paznokcie ze stóp i pukle włosów, i kości palców.

– Ach, relikwie! No tak, faktycznie się je czci, teraz raczej głównie u katolików. Cóż, w tym wypadku, to...

– To jaka jest właściwie różnica między tymi relikwiami i świętym parchem? Kto decyduje, że jedno się liczy, a drugie nie?

– Dokładne wyjaśnienie tej sprawy to temat na dłuższą rozmowę – odparł.

Spojrzała prosto na niego, jej wargi ułożyły się w delikatny uśmiech, za którym podążyły oczy, rzęsy zatrzepotały lekko i chociaż się nie odezwała, on wiedział, że miała ochotę powiedzieć: „Cóż, w takim razie może nie od rzeczy byłaby filiżanka kawy?”.

Ale tak jej przecież nie wypadało się odezwać, dlatego też milczała. Pastor odchrząknął, ona odchrząknęła, ale jednak coś się wydarzyło. Nawiązała się między nimi nić porozumienia, stanęli przed wspólną przeszkodą i każde z nich wiedziało, że to drugie również o niej wie.

Schweigaard zerknął pospiesznie na zegar. Oby tylko do gabinetu nie wparowała teraz gospodyni Bressum, jak zwykle pod jakimś wymyślonym pretekstem.

– Wtedy, w kościele, po nabożeństwie noworocznym – zaczęła Astrid Hekne ostrożnie – zaczął pan pastor mówić coś o jakichś zmianach. Że „skończą się trudy”. Albo że coś nas od trudów „uwolni”, chyba tak pastor to ujął.

Uwolni? – pomyślał Kai Schweigaard. Czyżbym faktycznie tak to ujął? Tak czy inaczej... musiała mnie dobrze słuchać!

– Mogę to krótko wyjaśnić – zaczął. – Trzeba coś zrobić z naszym kościołem. Nie chcę, żeby we wsi zaczęło się na ten temat gadanie, lecz świątynia jest wedle obowiązującego prawa za mała.

– Ale to chyba nie lensman decyduje o kościele?

– Nie, nie bezpośrednio, ale... chociaż właściwie tak, to lensman decyduje. Prawo stanowi, że w kościele powinno być dość miejsca dla trzeciej części parafian. Przejrzałem spisy ludności. W naszej świątyni nie zmieści się nawet dziesiąta część wszystkich ludzi. Ten zapis prawny jest już stary, wszedł w życie w tysiąc osiemset czterdziestym drugim roku, ale nigdy go u nas nie stosowano, a władze były wobec nas miłosierne.

Zrobił krótką pauzę, nieco stropiony, że użył słowa „miłosierne”, zazwyczaj zarezerwowanego dla wywodów o Panu.

– Kiedy zacząłem tu posługę, przejrzałem kościelne księgi. Ludziom rodzi się bardzo dużo dzieci. W ciągu sześćdziesięciu zaledwie lat liczba mieszkańców wsi wzrosła dwukrotnie, i to pomimo emigracji do Ameryki. Ziemi uprawia się natomiast tyle samo co wcześniej, ludzie nie są w stanie wyżywić się jej plonami.

– Ale prawo nie może przecież nic zrobić z liczbą ludności. Ani z tym, że niektórzy głodują w zimie.

Kai Schweigaard nie potrafił rozgryźć tej dziewczyny, zdawała się bawić swoją ciekawością świata, ograniczoną jednocześnie przez smutną świadomość, którą dzieliło wielu tutejszych mieszkańców: że życie jest ciężkie i nie ma raczej widoków na poprawę.

– Chrześcijaństwo powinno wspierać rozwój i postęp – powiedział. – Ale nasz kościół jest zbyt lichy. Plotki o tym, że ktoś w czasie nabożeństwa zamarzył u nas na śmierć, docierają aż do Lillehammer. Najlepiej, jeśli zachowasz to dla siebie, ale składam ci obietnicę, że już nigdy nie będziesz musiała czegoś takiego doświadczać.

– Czyli pan pastor chce przebudować kościół?

– Bądź tak dobra i nie zwracaj się do mnie w trzeciej osobie.

– Ale przecież jest nas tu tylko dwoje?

– Chciałem powiedzieć: nie musisz mówić do mnie „pan pastor”. Mów po prostu...

– Cóż, panie Schweigaard, czy to tak, że...

– Chodzi mi o to, żebyśmy zwracali się do siebie na ty! Używajmy tych nowoczesnych, swobodnych form.

– Wiedziałam, o co ci chodzi. Tylko tak sobie z siebie zażartowałam.

– Ach. Ale, tak, owszem, z kościołem coś się stanie.

– Ale to tajemnica?

– Cóż...

– W porządku – powiedziała. – Umiem dotrzymywać tajemnic.

Pastor miał wrażenie, że stoi na skraju przepaści. Rzadko zdarzało mu się przebywać w jednym pomieszczeniu z kobietą, a jakaś nieznana mu siła walczyła, by wydrzeć się z sekretnej izdebki, i było to zuchwałe, lecz jednocześnie przyjemnie naturalne. Na razie jakoś odwracał od niej spojrzenie, ale w końcu znów zapłonęła w nim potrzeba, by przyciągnąć ją bliżej do siebie i wtajemniczyć w swój świat. Dlatego wyznał jej, że mimo konieczności odroczenia pogrzebu planuje wybudowanie kostnicy. To też jednak nie zrobiło na niej chyba szczególnego wrażenia, bo nie zadała żadnego pytania ani nie wyraziła podziwu, zupełnie jakby przyjmowała po prostu jego słowa do wiadomości, jakby jej samej w żadnej mierze to nie dotyczyło. Nadal siedziała przed nim w wierzchniej odzieży, a on zastanawiał się, czy to dlatego, że nie zamierza zostać tu dłużej, czy może po prostu wciąż była zmarznięta.

Zapytał, czy jej zimno.

– Bywało mi zimniej. Ale ty przecież dobrze o tym wiesz.

Pastor wstał, przyniósł wełniany pled w ciemnozielono-czarną kratę, wzór inspirowany szkockim tartanem, i zbliżył się do niej. Dobrze wiedział, jak to wygląda w gospodarstwach. Ludzie spali pod skórą o zmierzwionym włosiu, otoczeni zjełczałą wonią owiec, kóz i cieląt. Tymczasem jego koc był gęsto tkany, z frędzlami na obu końcach. Mogła używać go zamiast szala albo okrywać się nim do snu. Trzymał w dłoniach wyrafinowany artykuł wełniany, przedmiot wytworny, tak jak wytworna była właściwie cała plebania, mimo że dom miał już swoje lata, ze swoimi malowanymi podłogami, szprosami w oknach i werandą. Pastor poczuł nagle bardzo konkretną potrzebę, wielką chęć ujrzenia Astrid Hekne

w innej postaci, tu, w tym otoczeniu, wyrobioną, wyrafinowaną, niczym sosnowa deska po tym, jak się ją ohebluje i pociągnie farbą.

Zawahał się przez sekundę, bo to naprawdę był bezinteresowny poryw serca, nic innego, nie powinna tego odczytać w kategoriach intymnego gestu, więc zatrzymał się nieco za daleko od niej i podając jej koc, musiał się pochylić i wyciągnąć ramiona.

– To mój pled podróżny – powiedział. – Prezent od matki. Możesz go zatrzymać do nadejścia wiosny. Bo ja się nigdzie nie wybieram. A przy okazji, mam tu gazetę, możesz ją rzecz jasna zabrać. Zachowaj ją! – Przygryzł wargę. – Na jakiś czas. Zbieram je wszystkie w moim archiwum. Ale z pledu możesz korzystać, jak długo zechcesz.

Zerknął na nagłówek gazety. Sztorm o mały włos nie zapędził parowca Finmarken na mieliznę. Astrid pogładziła pled dłonią. Ostrożnym, powolnym ruchem, jej szczupła ręka ledwie dotykała miękkiej wełnianej tkaniny, zupełnie jakby głaskała jego przedramię, tak by włoski na nim ułożyły się w jej kierunku.

– Serdeczne dzięki – powiedziała, kładąc sobie na kolanach pled i gazetę. – Ale zastanów się dobrze, czy nie chcesz przypadkiem wprowadzić zbyt wielu nowości naraz.

– To ja ci dziękuję! Musimy iść z duchem czasu. Wszystkim nam to dobrze robi. Ach, równie dobrze mogę ci to powiedzieć! Głośno i wyraźnie! Bo sprawy mają się tak, Astrid, że będziemy mieć we wsi nowy kościół!

Dziewczyna pochyliła się na krzesło.

– Dostrzegłem taką potrzebę zaraz po przyjeździe do Butangen. Nasz szacowny biskup Folkestad z Hamaru również uważa, że największą doczesną przeszkodą dla religii są przestarzałe, źle ogrzewane kościoły. Jak sam do mnie napisał: „Nabożeństw nie powinno się odprawiać w szopach, jak ma to niestety miejsce w licznych zakątkach Gudbrandsdalen”.

– Ale czy biskup ma pieniądze?

– Nie i oto właśnie trafiasz w samo sedno problemu, Astrid. Odbylem liczne spotkania z władzami, z naczelnikiem okręgu. Od początku się ze sobą w kwestii kościoła zgadzaliśmy. Tyle że nie było pieniędzy. Aż do teraz.

Przekrzywiła głowę, dając mu do zrozumienia, że może powiedzieć jej więcej, ale on zdołał się powściągnąć i rzucił tylko, że nie wszystko jest jeszcze gotowe.

– I jeszcze jedno – dodał, odchrząknawszy. – Kościelne dzwony nie przestaną bić nad naszą wsią.

Chwilę potem Astrid wyszła. Kaiowi nie udało się zapalić jej do tego pomysłu, a na to liczył. Wydawała mu się jakby doroślejsza i zobojętniała. Jakby w jego słowach było coś, co zepsuło im pożegnanie, bardziej nerwowe niż serdeczne. Astrid nie narzuciła sobie pledu na ramiona, wzięła go za to pod pachę, by samej otworzyć sobie drzwi.

Kai Schweigaard nasłuchiwał jej oddalających się kroków. Odwrócił się do wieszaka i zaczął grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu fajki i kapciucha z tytoniem. Nie przestaną bić. Czemu niby, na sam koniec, powiedział jej coś tak oczywistego? Nie nabił fajki, wysunął natomiast szufladkę sekretarzyka i wyjął z niej kopię ostatniego wysłanego do Drezna listu.

Palec Boży wskazał Norwegię

Gerhard Schönauer był rano tak zaaferowany, że zaciął się podczas golenia, tuż przy kąciku ust, a idąc teraz w stronę gabinetu Ulbrichta, złapał się na tym, że raz po raz dotyka ranki koniuszkiem języka. Został wpuszczony do środka i przedstawiony dwóm mężczyznom, stojącym w sporej od siebie odległości i podziwiającym dzieła sztuki na ścianach. Jeden z nich, człowiek o wypielęgnowanych wąsach, noszący nazwisko Kastler, wydierał silną woń pomady, a Gerhard nie był pewien, czy przypadkiem się nie przesłyszał, gdy profesor nazwał go kawalerem dworu i wysłannikiem królowej. Drugi z mężczyzn wydawał się zniecierpliwiony i niedbale pozdrowił Gerharda, który dosłyszał tylko tyle, że ma do czynienia z urzędnikiem kancelarii burmistrza.

– Pozwólcie, moi panowie, że zacznę od informacji – Ulbricht poprowadził ich szybkim krokiem do okrągłego stołu – która być może nie jest wszystkim znana. – Przystanął i wyciągnął ramiona do góry, zwracając uwagę gości na rozmiary pomieszczenia. – Ten gabinet należał kiedyś do profesora Dahla. Tak, tego słynnego Norwega. Jego pełne imię i nazwisko to Johan Christian Dahl, lecz wy znacie go zapewne jako I.C. Dahla. Należałem do jego uczniów, potem miałem zaszczyt bliskiej z nim współpracy, a po jego śmierci w roku pięćdziesiątym siódmym odziedziczyłem po nim i ten gabinet, i profesurę. Dahl miał wybitny talent do malarstwa krajobrazowego i głównie za to się go pamięta, lecz zajmował się również średniowieczną architekturą w swoim rodzinnym kraju. A to z kolei łączy się z jedną z dziedzin najbliższych mojemu sercu, to jest badaniami korzeni kultury starogermańskiej.

Powolnym, ceremonialnym niemal ruchem położył dłoń na starej, oprawionej w skórę księdze, a Gerhard przypomniał sobie, że Ulbricht faktycznie wygłosił kiedyś wykład o średniowiecznej ornamentyce staronordyckiej. Wspomniał wówczas o jednym ze swoich osobistych skarbów – kosztownym albumie z planszami opracowanym przez profesora Dahla, wydrukowanym w bardzo małym nakładzie, a przedstawiającym ponoć bajeczne drewniane zdobienia i dzieła sztuki budowlanej.

– *Meine Herren* – powiedział Ulbricht, a Gerhard po tych dwóch tylko słowach poznał, co ich teraz czeka: długi, pompatyczny wykład. Profesor był tak odczytany, że stracił już właściwie umiejętność posługiwania się językiem potocznym. „Nawet jak mówi o pogodzie, to jest encyklopedyczny”, zauważył kiedyś jeden ze współstudentów Schönauera.

– Stajemy w obliczu zagrożenia, tak jeśli chodzi o historię sztuki, jak i o samą jej filozofię – zaczęła Ulbricht. – Ostatnie pozostałości najwybitniejszych drewnianych dzieł europejskiej architektury średniowiecznej są obecnie niszczone, i to z całą świadomością! Mówię tu rzecz jasna o kościołach słupowych w Norwegii. W swoim czasie było ich w tym mrocznym górzystym kraju ponad tysiąc. Wspaniałe budowle, niemające sobie równych na świecie.

– W Norwegii? – wtrącił się wysłannik burmistrza. – Tam? Szanowny pan raczy sobie stroić żarty?

– Sam z zaskoczeniem się o tym dowiedziałem – przyznał Ulbricht. – Ale obecnie właściwsze byłoby stwierdzenie, że takie budowle tam istniały. Zostało ich tylko pięćdziesiąt. Zezwala się na ich niszczenie i każdego roku burzy się znaczną liczbę takich świątyń. Nie byłoby tu mowy o katastrofie, gdyby kościoły słupowe stanowiły proste budowle o zastosowaniu praktycznym, jakich w ubogiej Norwegii oglądamy wiele. Lecz na tym właśnie polega paradoks! Współczesne norweskie społeczeństwo różni się diametralnie od tego, które budowało kościoły słupowe. Kraj jest obecnie biedny i przeludniony, ale nie zawsze przecież tak to wyglądało.

– Mamy pewne powinności – oświadczył wysłannik burmistrza. – To, co pan mówi, mogłoby dotyczyć wielu innych upadłych mocarstw i zubożałych regionów. Wystarczy tu wspomnieć Egipt czy Persję. Gdy ludziom zaczyna brakować środków do życia, jako pierwsza upada zawsze moralność kulturowo-historyczna. Grabieżcy egipskich grobowców od lat wyprzedają starożytnie skarby swego kraju; tak się toczy koło historii, wystarczy jeden tylko człowiek, jedna chwila, w której głód zwycięża nad rozsądkiem, i proszę! Narodowy klejnot sprzed czterech tysięcy lat trafia na bazar. I nie wstydzę się powiedzieć, że nasze muzea należą do najlepszych na świecie właśnie dlatego, że dostrzeżliśmy ten mechanizm i ratowaliśmy takie drogocenne dzieła w chwilach zagrożenia. Drezno jest i będzie skarbcem

światowej kultury.

– Właśnie! – podjął Ulbricht. – I teraz oto doszło w Norwegii do sytuacji, którą pozwolę sobie nazwać egipską. Tysiąc lat temu mieliśmy w tym zakątku świata do czynienia z kulturą wysoką, ale teraz ludzie mnożą się jak króliki, nie myśląc o tym, kto wychowa ich dzieci, i głodują, stosując średniowieczne metody uprawy ziemi. Ponadto sytuacja jest właściwie gorsza nawet niż w Egipcie, gdyż w przypadku Norwegii mówić należy o systematycznej i dobrze postrzeganej dewastacji dziedzictwa narodowego. Władze wprowadziły nawet prawo określające dopuszczalną wielkość świątyń, zaś mania burzenia kościołów postępuje równolegle ze wzrostem liczby ludności. A to wszystko w duchu modernizacji! Zdaje się, że zamysł jest taki, by zrównać z ziemią wszystkie stare świątynie. Do osiągnięcia tego celu niewiele już brakuje.

Kawaler dworu Kastler skinął sztywno głową, jakby dawał do zrozumienia, że akceptuje dotychczasowe słowa Ulbrichta. Mężczyzna mówił niewiele, lecz nosił się, jakby jego nieprzychylna opinia mogła sprowadzić niełaskę na najpokorniej nawet proszącego. Miał na sobie wspaniałe dwurzędowy surdut, a na wieszaku wisiał jego lśniący kapelusz i płaszcz z wysokim kołnierzem.

– Norwegia – ciągnął profesor Ulbricht – była swego czasu krajem najwytrawniejszych w Europie żeglarzy. A nawet więcej, była prawdziwym mocarstwem! Część kontynentalna kraju miała najdłuższą linię wybrzeża w cywilizowanym świecie, a władcy Norwegii panowali ponadto nad Wyspami Owczymi, Islandią, Szetlandami, Orkadami i większą częścią Hebrydów, nie wspominając już o skromnych skrawkach ziemi w Szwecji czy najlepszym odcinku grenlandzkiego wybrzeża. Mimo niezliczonych przypadków królobójstwa z użyciem topora oraz intryg na dworze i w łóżnicy norwescy władcy panowali nad północnym Atlantykiem, zaś poszczególni jarlowie i szlachcice cieszyli się wpływami w wielu europejskich rodach królewskich. I byli nieprzyzwoicie bogaci! A działo się to jeszcze przed nadejściem naszych strasznych czasów, kiedy bogacze wkładają pieniądze do banków, by pomnażać majątki. Pojęcie odsetek wówczas nie istniało. Pieniądze trzeba było wydawać, niezwłocznie i ostentacyjnie. Suma bogactwa, władzy i ambicji zapisania się na kartach historii, moi panowie, to jest właśnie sztuka! Dzieła architektury!

Ulbricht zakasłał. Wciąż jeszcze nie stworzył swojego albumu. Gerhard przypuszczał, że profesor zamierza – w duchu wytrawnego wykładowcy – zbudować jeszcze większe napięcie, i przygotował się na kolejną część przemowy.

– Pozwólcie, proszę, że wyjaśnię bardziej szczegółowo, czemu kościoły słupowe wyglądają tak, jak wyglądają – ciągnął profesor. – Chrześcijaństwo dotarło do Norwegii stosunkowo późno, a poganie byli nowej religii niechętni. Lecz papież domagał się działalności misyjnej w tym kraju żeglarzy właśnie z uwagi na jego ogólnoeuropejskie znaczenie. Problem polegał na tym, że Norwegowie byli uparci i impulsywni, obstawali ponadto przy swojej dobrze rozwiniętej i żarliwie praktykowanej religii naturalnej, opartej na wierze w zastępy agresywnych, wojowniczych bogów oraz na bezliku bajecznych legend i kosmogonicznych mitów, znanych także nam z naszej germańskiej przeszłości. Lecz w Watykanie znalazły się środki na wsparcie dzieła misyjnego. Palec Boży wskazał Norwęgę! To właśnie leży u podstaw tego niezwykle ciekawego zbiegu okoliczności warunkowanych przez geografę, religię oraz tradycję rzemieślniczą.

Ulbricht sięgnął po atlas geograficzny i otworzył go na sekcji *Norwegen und Schweden*, wymamrotawszy dwukrotnie coś pod nosem, Gerhard wiedział, czego się spodziewać, była to zwyczajowa przygrywka profesora przed retorycznym atakiem frontalnym.

– Proszę tylko spojrzeć. Norwegia jest górzysta i nieprzejezdna. Siły natury pocięły ten kraj, tworząc z niego labirynt, czy wręcz wielką twierdzę, z niebezpiecznymi górskimi przełęczami, ciągnącymi się w nieskończoność dolinami fiordów i rwącymi rzekami. Wiara w chrześcijańskiego Boga nie mogła dominować wyłącznie w miastach portowych – mówił, wskazując na Drontheim i Bergen. – Nie, musiała też dotrzeć do wnętrza kraju – przesunął palcem po mapie, ominął Dovre Gebirge, zatoczył dłonią koło nad obszarami, na których zaznaczono nieliczne tylko nazwy miejscowości, lądując wreszcie na Gudbrands Dal. – Musiała dotrzeć tutaj, do jądra mroku, pogańskiej codzienności. Tak, bo chrześcijaństwo, by móc faktycznie zapuścić korzenie w Norwegii, musiało najpierw ucześcić się nagiej skały niczym kozica. Dlatego potrzebnych było wiele kościołów, ważny był

nie ich rozmiar, lecz liczba.

– *Sehr interessant* – skwitował kawaler dworu Kastler i na tej uwadze poprzestał.

Profesor znów zamamrotał, odchrząknął, po czym podjął wywód:

– Budulca nie brakowało, bo było nim drewno. Mieli go tam wręcz więcej niż dość, zwłaszcza wysokogatunkowej sosny. To wspaniały, solidny i wytrzymały materiał, nadający się doskonale do tego, co twarde ludy północy opanowały najlepiej: szkutnictwa, stolarki i kunsztownych rzeźbień. Ich dawna, staronordycka wiara była religią w ogromnym stopniu wizualną, jej wyznawcy nie obawiali się przedstawiać twarzy swoich bogów, w odróżnieniu od na przykład mahometan, zaś staronordyckie zdobienia były bogate i spektakularne.

– Hmmm – mruknął Kastler. – *Und wertvoll*.

Ulbricht pokiwał z zapalem głową.

– Owszem! Bardzo kosztowne, jeśli próbować to liczyć nakładem pracy. I... cóż, w tym momencie sprawy nabierają rumieńców. Kościół chrześcijański zaakceptował liberalne przejście od starej do nowej wiary! – Profesor zatrzasnął atlas i odłożył go na miejsce, wyjaśniając, że papież zezwolił, być może wybierając w ten sposób linię najmniejszego oporu w konfrontacji z upartymi mieszkańcami północy, by stara nordycka wiara była równoprawna z chrześcijańską. – Wszyscy panowie rozumieją teraz już zapewne, do czego zmierzam – podjął. – Świat staronordyckich bogów wyrósł na tej samej intelektualnej podstawie co nasze wielkie mity. Zdziwiające opowieści i wyobrażenia o walkiriach, Odynie, Thorze, Lokim, inspiracje do monumentalnego *Pierścienia Nibelunga* Wagnera, cała nasza wspólna germańsko-nordycka kultura żyła w kościołach swoim życiem. Nie głoszone jej rzecz jasna z ambon, ale stała jak gdyby z boku, wszystkiemu się przyglądając, niczym religia milczących cieni! Przejawiała się w ornamentyce i rzeźbie, ukrytych, sporządzanych w alfabecie runicznym inskrypcjach, bogato zdobionych portalach. W większości kościołów elementy nordyckie zostały z czasem usunięte, lecz nieliczne z tych gmachów – tu profesor zrobił krótką pauzę i uśmiechnął się tajemniczo – po dziś dzień są świątyniami, w których czci się równocześnie dwóch bogów, pozostając zatem najstarszym zachowanym świadectwem starej germańskiej wiary.

– I teraz to wszystko ma zniknąć? – zapytał wysłannik burmistrza.

– Jeszcze gorzej! – Ulbricht rozłożył ręce. – Kościoły są bezczeszczone! Wieże oplata się linami i ściąga z dachów, zawiasy z kutego żelaza przetapia się na podkowy, drzwi do zakrystii przerabia na wrota obory, witraże wstawia do okienek wychodków, a kunsztownie malowane ściany rąbie na drewno opałowe. Wszystkie te wybitne dzieła sztuki budowlanej i zdobniczej są w całej Norwegii dewastowane. I naszym obowiązkiem jest... cóż, proszę popatrzeć... – Profesor podniósł w końcu ciężki album, tak by zebrani mogli przeczytać długi tytuł wytłoczony złotymi zgłoskami na froncie skórzanej oprawy: *Pamiętki po wysokorozwiniętej sztuce wznoszenia budowli drewnianych z wieków najwcześniejszych w najwewnętrzniejszych krajobrazach Norwegii*.

Przerzucił kilka sztywnych, bladeżółtych kart i zademonstrował im pierwszą planszę.

– *Prächtigt! Phänomenal!* – wykrzyknął Gerhard po kilku chwilach zupełnej ciszy. Rysunek faktycznie był arcydziełem stanowiącym jasny dowód na to, że naprawdę dobry szkic wykonany ołówkiem potrafi zaprzeć dech w piersi najbardziej nawet zblazowanego konesera sztuki. Trzeba było przyznać, że rysownik wybrał sobie motyw adekwatny do swych umiejętności. Był to kościół opisany jako *Borgund Kirche*, elegancka, doskonale wyważona kompozycja ostrych dachowych spadów, ornamentów, strzelistych wież i smoczych łbów o rozdziawionych paszczach. Budowla wydawała się Gerhardowi w swoim stylu równie egzotyczna co pałac perskiego szacha, lecz była to bez wątpienia wielka sztuka, zupełnie różna od ozdobnych gmachów i murowanych willi, o których projektowaniu sam snuł marzenia. Widok kościoła uderzył w jakąś napiętą strunę w jego duszy, obudził w nim uczucie drżące jakby gdzieś w wielkiej głębi, świadomość więzi z dzikim, rozpalonym światem, czasem sag, płonących ognisk i obnażonych mieczy, czasem, w którym podlegało się mocom ciemności i morza.

Profesor Ulbricht przerzucił kilka kolejnych kart, by zademonstrować tym razem rysunek opisany jako *Urnes Kirche*, i powiedział:

– Proszę zwrócić uwagę na podpis. Ten szkic został wykonany nie przez Dahla, lecz jednego z jego uczniów, Franza Wilhelma Schiertza.

Posłał przeciągłe spojrzenie Gerhardowi i opowiedział o norweskim kościele, który pod nadzorem pana Schiertza został rozebrany i przewieziony do Berlina, gdzie miano go odbudować, lecz plany ostatecznie zmieniono i świątynia stanęła gdzieś w Karkonoszach na Śląsku. Ulbricht wyjaśnił, że prace nad odbudową kościoła wiązały się z szeregiem trudności, ale że stoi on tam po dziś dzień.

– To się akurat Dahlowi udało. Ale mistrz rozczarował się bardzo recepcją tego oto albumu. Nabyli go tylko nieliczni, a nie zamówiła żadna z norweskich bibliotek.

Profesor ostrożnie przerzucił kolejne karty, cofając się do wstępu, i zacytował, co pisał Dahl o swoich licznych podróżach po kraju rodzinnym.

– „Gdy w roku tysiąc osiemset trzydziestym czwartym ponownie odwiedziłem Norwegię, wiele z tych starych kościołów zniknęło, a zastąpiły je nowe gmachy z drewna w pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu stylu. Siekiera do korzeni drzew jest już przyłożona, a wyrok został wydany”.

Ulbricht wyjaśnił, że Dahl wiązał ze swoim dziełem jeszcze dalej idące plany, lecz niedostatek czasu i pieniędzy sprawił, że nigdy nie zdołał wprowadzić swego zamysłu w życie. Profesor długo patrzył w oczy Gerharda Schönauera, po czym zrobił efektowną pauzę i sięgnął po opasłą teczkę archiwistyczną.

– A teraz, drodzy panowie, zabawię się w dzina z lampy i ucieszę wasze oczy niepublikowanymi rysunkami Dahla.

Profesor zademonstrował im szybko *Ringebu Kirche* i *Lom Kirche*, którym Gerhard chętnie przyjrzałby się dokładniej, ale Ulbricht dalej wertował zawartość teczki i już po chwili rozłożył przed nimi szkic świątyni dość podobnej do tej z Borgund. Uroczystym tonem, zupełnie jakby po długiej wędrówce wspiął się wreszcie na szczyt wzniesienia, z którego roztacza się zapierający dech w piersiach widok, oświadczył:

– Oto i on. Jeden z najpiękniejszych. *Die Kirche von Butangen*. Wybudowany w maleńkiej wiosce ukrytej w sercu kraju, gdzie grasują wilki i niedźwiedzie. Świątynia od czasów powstania nietknięta ludzką ręką.

Mężczyźni pochylili się nad stołem, stojąc ramię przy ramieniu. Kastler wydał z siebie głębokie, podniecone „hmmm!”, jakby pod długim czasie oczekiwania mógł w końcu zawiązać pod szyją serwetę, patrząc, jak kelner stawia przed nim wyszukane danie. Ten kościół robił wrażenie jeszcze bardziej spektakularne od świątyni z Borgund. Dachowe spady wydawały się ostrzejsze, smocze łby nie były tylko stylizowanymi, płaskimi deskami – stanowiły okazałe trójwymiarowe rzeźby o długich, falujących jęzorach, zdające się syczeć na cztery strony świata. Ale o wyjątkowości tej budowli decydowały tak naprawdę jej zdobienia. Podcienia i kalenice upstrzone były ornamentami, a samą perłę w koronie stanowiła partia wejściowa, zdobiona tak szczerze, że poświęcono jej osobny szkic zajmujący całą jedną stronę. Rzeźbienia godne były odlania w złocie, stanowiąc jakby wytwór skrzywionej fantazji zmaterializowany dzięki niewiarygodnej precyzji, i należały do najbardziej natchnionych dzieł sztuki, jakie Gerhard oglądał w całym swoim życiu. Drewniana powierzchnia roiała się od baśniowych stworów i gadów porośniętych łuską, zaś same wrota okalał gigantyczny wąż, rozdziawiając ku światu swoją straszłą paszczę.

– Ten portal to doskonały przykład wprowadzania do świątyń elementów wiary staronordyckiej – mówił Ulbricht. – Same kościelne drzwi są niskie i wąskie, niewiele większe niż standardowy właz na strych. Te kunsztowne zdobienia mają na celu zatrzymanie złych mocy, które by chciały dostać się do środka; co za pragmatyczne podejście do sprawy! Wystraszone upiornym wyglądem figur duchy nie miały odwagi wmieszać się w tłum wchodzących do kościoła wiernych. Zdaniem Norwegów krucyfiks czy krzyż Świętego Andrzeja to było za mało, uważali, że potrzebują takich jak ten okazów – dodał, wskazując na obnażającego kły węża.

– Dobry Boże, to naprawdę imponujące – powiedział wysłannik burmistrza. – Nigdy nie widziałem niczego, co by się z tym mogło równać. Wspaniały wyraz wiary i oryginalności. Nie możemy pozwolić, by to przepadło.

Gerhard odważył się dorzucić swoje trzy grosze:

– Jedyne, z czym mógłbym porównać te ornamenty, to chyba koszarne stwory z obrazów Hieronima Boscha. Tyle że w tym przypadku ktoś wyciął je w drewnie. *Absolut fantastisch! Wunderbar!*

– Dodatkowo – ciągnął Ulbricht – w świątyni tej znajdziemy jeszcze jeden skarb: dwa dzwony, z którymi wiąże się pewna legenda. A tego nie sposób wycenić w pieniądzu.

Trzej mężczyźni zamilkli. Kastler zajął Gerhardowi w oczy. W jego spojrzeniu było coś gadziego i hipnotyzującego, ale młody student oddalił od siebie tę myśl, stwierdzając, że musiał zasugerować się przesadnie wizerunkami jaszczurów naszkicowanymi przez Dahla. Kastler nie wyjawiał dotychczas, jak do omawianej tu sprawy odnosi się saski dwór królewski, a Gerhard zrozumiał, iż oczekuje się od niego, by sam się tego domyślił.

Ach, prawda, skinał głową Gerhard. Królowa Saksonii, Carola von Wasa, była przecież Szwedką. Kościół stał w jej rodzinnym kraju. Czy też może kraju, z którym Szwecja była w jakiejś unii?

– *Jawohl, Student Schönauer...* – rzucił w końcu Kastler, cmoknął i dodał: – Chyba powinien się pan zacząć uczyć języka norweskiego.

Gerhard spędzał trzy wieczory w tygodniu u mieszkającego na Leubnitzer Straße prywatnego nauczyciela, otłętego mężczyzny o nalanej twarzy. *Herr Lorentzen* pochodził z Danii i mówił językiem „mniej więcej takim jak norweski”. Stawiali przede wszystkim na fachowe słownictwo dotyczące elementów konstrukcyjnych (okno, dach, mur) i pracy (szybciej, przerwa, za drogo), niezbędnych w podróży zaprzęgów konnych (kantar, hufnal, siano) oraz zwroty niezbędne w codziennych kontaktach (dzień dobry, śledź, na zdrowie). Lorentzen dość szybko zaczął chwalić zarówno dykcję, jak i zasób słownictwa młodego studenta.

Optymizm Gerharda wzrósł jeszcze, gdy udało mu się zdobyć ostatnie wydanie *Meyers Dänisch-Norwegischer Sprachführer für Reise und Haus* – doskonale zredagowanego przewodnika z rozmówkami, wyposażonego dodatkowo we wspaniałe rozkładane mapy i zapewniającą trwałość okładkę z brązowego twardego kartonu. Nadal uczestniczył w wykładach na Akademii Sztuk Pięknych, obczytywał się w nordyckiej mitologii, studiował opery Wagnera, a ponadto odebrał środki na ciepłe odzienie oraz nowe przybory do szkicowania i pojechał w Karkonosze, by dokładnie obejrzeć tamtejszy kościół słupowy, stwierdzając, iż przy jego odbudowie pozwolono sobie na szereg dowolności. Zapytał Ulbrichta, czy życzy sobie, by kościół w Butangen uwiecznił również fotograf.

– Fotografie? – wykrzyknął zgorzony profesor, a jego pokaźny brzuch podskoczył na każdej sylabie. – Te tak zwane aparaty widzą tylko to, co widzi ludzkie oko. Pańskim zaś zadaniem jest dostrzeżenie duszy budowli. Ostrożne jej podkreślenie, skierowanie naszego wzroku ku temu, co najistotniejsze. Pańska kreska ma być czysta, dokładna i prawdziwa. Dobry papier z najlepszej papierni w Lipsku i grafit Fabera, o stopniu twardości, jaki uzna pan za najlepszy, oto, czego tu potrzeba!

Wynagrodzenie obiecano mu wyjątkowo szczodre.

– Lecz dużo ważniejsze jest uznanie – powiedział Ulbricht. – Od przyszłego roku nazwisko Schönauer stanie się sławne. Przeprowadza pan historyczną akcję ratunkową!

Sabinki nie widywał zbyt często. Jej uściski nie były już tak jak kiedyś mocne, długie ani serdeczne, na jego słowa coraz częściej odpowiadała milczeniem. Sabinka znalazła sobie innego, przyszła wiosna, on zaś oddał klucz do stacji na Lärchenstraße i wyjechał. Kilka zaledwie godzin po tym, jak wypucowana na połysk lokomotywa ruszyła z Berliner Bahnhof na Dresden-Friedrichsstadt, mozolnie ciągnąc za sobą wagony, Gerhard wysiadł z pociągu na dworcu w Hamburgu, gdzie tego samego wieczora wkroczył na pokład odpływającego ku Kristianii parowca. Dwie doby później poczuł znów stały grunt pod nogami. I wrósł na chwilę w tę ziemię, otoczony woniami nowoczesnego transportu: słonego morza, oleju maszynowego, sadzy, dał sobie kilka chwil, by rozejrzeć się i pomyśleć: oto stoję tu z trzema walizkami, a mam wrócić, wioząc cały kościół.

Kristiania okazała się czarującym, maleńkim miasteczkiem, spacer z Bjørvika do pensjonatu siostr Scheen na Prinsens gate zajął mu zaledwie dziesięć minut, na miejscu zaś skonstatował, że pokój jest skromny, a materac twardy, lecz podłoga, nocnik i miednica do mycia zostały pieczołowicie wyszorowane i pachną salmiakiem. Przy wyjeździe otrzymał pokwitowanie wykalfigrafowane tak kunsztownie, że zachował je sobie na pamiątkę. Pokwitowanie to miało później ocalić komuś życie, lecz o tym, że piękny charakter pisma potrafi niekiedy przesądzać ludzkie losy, nie mieli dowiedzieć się nigdy ani Gerhard Schönauer, ani siostry Scheen.

Im bardziej się zbliżał do Gudbrandsdalen, tym dotkliwiej odczuwał brak informacji

i punktualności. Dotelepał się do Hamaru w sapiącym, skrzypiącym pociągu z nadzieją, że uda mu się tam zdobyć bilet na zjeżdżającą w kierunku północnym kolejkę. Okazało się jednak, że wielkie jezioro skute jest jeszcze lodem, musiał więc, drżąc z zimna, dotrzeć powozem do Fåberg, gdzie przenocował w ciasnej i chłodnej izdebce. Okręgowe władze, chcąc wprowadzić choćby jakąś namiastkę transportu publicznego w tych obszarach, otworzyły w dolinie stałe trasy dyliżansowe, ale powóz znacznie się spóźnił, a droga wydawała się z kilometra na kilometr coraz gorsza. Trwały wiosenne roztopy, gościniec był jedną wielką kałużą, pojazdem trzęsło i zarzucało z boku na bok, raz nawet spadły z niego walizki. Współpasażerami Gerharda byli dwaj angielscy mierniczowie o sumiastych wąsach. Szybko wyciągnęli z bagażu butelkę White Horse, z której go poczęstowali, ale ponadto siedzieli w milczeniu przez większość przeprawy wąskimi, mrocznymi przełęczami. W końcu roztoczył się przed nimi widok na wielką dolinę z domkiem przy domku na zboczach, od rzecznych brzegów aż ku samym ich szczytom. Nad porastającymi linię horyzontu świerkami wisiała jasna kula słońca, jego promienie tańczyły na szerokiej, skutej lodem rzece, której wody rzeźbiły ten krajobraz. Przyroda była tu imponująca, z każdym zakrętem coraz bardziej monumentalna, Gerharda zaś ogarnęła gorączkowa myśl, że jest pierwszym wśród siebie równych, który faktycznie ogląda to miejsce. Każdy kolejny widok budził w nim potrzebę, by wyskoczyć z powozu i zacząć szkicować, lecz po chwili otwierał się przed nim krajobraz jeszcze bardziej egzotyczny i w końcu pojął, że mógłby tu spędzić wiele lat, nie nasyciwszy się bogactwem motywów.

Słońce schowało się za chmury, zerwał się zimny wiatr. Późnym popołudniem wysadzono go przy kościele w Fåvang. Zgodnie z umową miał czekać tu na niego ktoś z Butangen, najprawdopodobniej sam pastor. Zrobiło się szaro i zimno, Gerhard od dawna nie miał niczego w ustach, kościelne wrota zastał zamknięte i nie widział w pobliżu żywego ducha. Sama świątynia musiała całkiem niedawno przejść renowację, w stylu skromnym i oszczędnym, mniej więcej tak zawsze wyobrażał sobie kościoły na amerykańskiej prerii.

Gerhard stał w pośniegowym błocie, zachodząc w głowę, czy trafił we właściwe miejsce. Walizki zaczęły nasiąkać wodą. W końcu udało mu się znaleźć gospodarstwo pełniące funkcję stacji postojowej, ale jedyną istotą ludzką, na którą się tam natknął, był mały chłopiec, powtarzający raz za razem, że ktoś „zaraz” przyjdzie. Nikt nie przyszedł, za to podano mu miskę kaszy jęczmiennej.

Wreszcie pojawił się jakiś młody mężczyzna o bystrym spojrzeniu, a Gerhard zapytał go o drogę do Butangen. Powtórzył pytanie czterokrotnie, za każdym razem z nieco inną wymową i zaczął się zastanawiać, czy kurs norweskiego faktycznie był wart swojej ceny. Mężczyzna wskazał w końcu na wąską przełęcz na szczycie stromego górskiego zbocza, po czym narysował w powietrzu wysoki łuk, sugerując w ten sposób, że miejsce, o które go zapytano, położone jest po drugiej stronie.

– Tamtędy, prosto, jak w mordę strzelił – powiedział, nieprzejęty faktem, że Gerhard nie bardzo go rozumie. Robiło się późno, lecz młody student pomyślał: do cholery, czyli tak to ma wyglądać! Dobrze, będę jadł śnieg. Nie jest w końcu aż tak zimno. A skarby są przecież zawsze ukryte w pieczarach, pilnie strzeżone przez cyklopy. To są tylko pierwsze, mozolne początki. Będzie mógł opowiedzieć o tych trudach, wygłaszając cykl prelekcji pod wspólnym tytułem *Die Norwegische Mittelalterkirche*, zrobi z nich zabawną anegdotę o niesprzyjającej pogodzie, obolałych plecach i zmęczonych nogach.

Godzinę później entuzjazm Gerharda Schönauera wobec „pierwszych, mozolnych początków” zaczął cokolwiek gasnąć. Po wskazanej przez młodego mężczyznę drodze szło się niewygodnie, zaczęło padać, co jakiś czas ścieżka zupełnie się urywała. Dźwiganie trzech walizek było wysiłkiem zupełnie beznadziejnym, przy skalnym rumowisku skręcił w ogóle nie tam, gdzie trzeba, i długo błądził, zanim udało mu się odnaleźć właściwy kurs. Śnieg na rozgrzanych od słońca zboczach stopniał, ale w miejscach zacienionych musiał deptać po zlodowaciałej skorupie. Nigdzie nie widział żadnych znaków ani tabliczek, ale cały czas mijał niewielkie stosy skalnych okruchów.

Ostatecznie ścieżka zupełnie się urwała. Gerhard przystanął zdezorientowany i uświadomił sobie, że wokół niego zapada ciemność. Nagle za jego plecami rozległy się głosy. Obejrzał się i ujrzał dwie kobiety, najwyraźniej gdzieś się bardzo spieszące. Obie pochyliły się, podniosły z ziemi po kamieniu i cisnęły je w stronę najbliższego stosu okruchów. Nawet nie przystanąły, tylko kiwnęły głowami, gdy

powiedział „Butangen”. Szły szybko, coraz bardziej się od niego oddalając i co jakiś czas ciskając kamienie na najmniejsze stopy, a on domyślił się, że w ten właśnie sposób miejscowi dbają zapewne o oznaczenie drogi, a może robią to również po to, by zapewnić sobie pomyslną podróż. Szedł za nimi, aż w końcu oczom jego ukazał się wspaniały widok – rozległe jezioro, za którym musiało leżeć Butangen! Wokół niego zapadł granatowy mrok, nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś podobnego i miał taką chęć, by zaraz zacząć to wszystko malować, że aż mu się kręciło w głowie.

Zobaczył niewielkie gospodarstwa na zboczach doliny. Całe to miejsce wydawało się niezwykle spokojne, tylko w nielicznych oknach widać było światło – żółtawą, bladą poświatę, zaś w tle pięły się ku niebu ośnieżone szczyty gór. Nagle coś dostrzegł. Czyżby to był... on? Tak! Na niewielkim wypłaszczeniu przecinającym zbocze, tuż nad jeziorem, majaczył mu ciemny budynek o ostrych, spadzistych dachach.

To musiał być kościół!

Gerhard stracił z oczu dwie kobiety i zmarnował sporo czasu na znalezienie drogi umożliwiającej okrążenie podłużnego jeziora. Gdy wszedł do lasu, zrobiło się dużo ciemniej, a kiedy rozpoczął w końcu wspinaczkę na ostatnim prowadzącym do wsi odcinku, ledwie był w stanie dostrzec kościelną wieżę na tle wieczornego nieba. Nie chciał na razie iść prosto do świątyni, pragnął odbyć pierwsze z nią spotkanie w świetle dnia. Złany potem, z ramionami omdlewającymi od dźwigania, ruszył więc w stronę położonego najbliżej kościoła majątku z nadzieją, że to plebania. Dotarłszy na miejsce, postąpił zgodnie ze zwyczajem znanym mu ze stron rodzinnych – miał nadzieję, że praktykuje się go również tutaj. Polegał na tym, że jeśli wędrowiec przybywał do gospodarstwa późnym wieczorem, kładł się bez pytania w stodole, zamiast budzić ludzi i robić wokół siebie zamieszanie. Doszedł zresztą do wniosku, że najlepiej będzie przełożyć spotkanie z pastorem, podobno człowiekiem „nadmierzającym pomocnym”, na kolejny dzień, gdy obaj będą wyspani i wypoczęci.

Miał rację co do noclegu, lecz co do pastora – zupełnie się pomylił.

Gerhard obudził się przemarznięty i obolały, a gdy wykuśtykał w końcu na podwórze, strzepując z płaszcza źdźbła słomy i tymotki, zobaczył kapłana, który wychodził właśnie z domu w sutannie i kryzie.

Po krótkim, kościstym uścisku dłoni Gerhard odezwał się po norwesku:

– Z rozkoszą myślę o zainicjowaniu wielkiego przedsięwzięcia.

Pastor zamarł i zasępił się, jakby próbował dokonać w myślach jakiegoś skomplikowanego obliczenia. Gerhard był zбитy z tropu, długo ćwiczył to zdanie, ale teraz domyślił się, że nie jest ono perfekcyjne, tak pod względem gramatyki, jak i wymowy.

– Samemu trzeba mi było wojażować – dodał młody student. Pastor uśmiechnął się krótko i skinął głową. Dalsza część rozmowy odbyła się w języku niemieckim.

– Pewnie pan przemarł do kości – powiedział Kai Schweigaard. – Zapraszam do środka, zje pan coś ciepłego i się przeberze. Może bulionu? Zupy? Jemy tu dużo kaszy, z pewnością szybko się pan przyzwyczai.

– Chętnie, bardzo dziękuję! Chciałbym rozpocząć pracę niezwłocznie. Z tego, co rozumiem, kościół stoi pusty?

Kai Schweigaard przekrzywił głowę i oświadczył, że musiało dojść do nieporozumienia.

– Idę teraz odprawić nabożeństwo pogrzebowe, ale potem o wszystkim porozmawiamy – rzekł. Zrobił parę kroków w dół zbocza, ale przystanął, odwrócił się i nienagannym, lecz bezdzwięcznym niemieckim zapytał: – Naprawdę jest pan jedynym wysłannikiem?

Gerhard skinął głową.

– Zostaję tu do zimy. Tak się niefortunnie złożyło, że nikt nie czekał na mnie w umówionym miejscu.

Kai Schweigaard zamyślił się, po czym uprzejmie zauważył, że pan Schönauer przybył do wsi o cztery tygodnie za wcześnie.

– Co? Cztery tygodnie?

– Tak, musiało dojść do nieporozumienia. Ale... ma pan dzięki temu dużo czasu i nie musi się spieszyć – pastor poprosił Gerharda, by „na razie na niego zaczekał”, usprawiedliwił się, mówiąc, że jest

sehr beschäftigt – zajęty – po czym zniknął za ogrodzeniem.

Gerhard Schönauer został na podwórzu sam.

Był zaskoczony panującym tu chłodem. W Niemczech wiosna trwała już w najlepsze, lecz tu najwyraźniej zima dopiero zaczynała odpuszczać. Z miejsca, w którym stał, widział jakieś pięć czy sześć gospodarstw, niskie drewniane zabudowania, zdające się zapadać w grunt. Dom mieszkalny majątku pastora wzniesiono na konstrukcji szkieletowej, z odeskowaniem z tego samego materiału. Był malowany na biało, piętrowy i podłużny. Przerażliwie nijaki. Nie dało się tu znaleźć jednego chociażby elementu jakiegokolwiek ornamentyki czy zdobień, nie licząc jakichś pojedynczych detali wokół okien.

Wszedł do środka. Burkliwa, postawna kobieta skierowała go do jednej z izb, tam się przebrał i zszedł na dół, do pustego holu. Stała tam komoda, na której znalazł kubek gorącego, cienkiego bulionu i suchara.

Oto, jak Norwegowie wyobrażali sobie ciepłą strawę.

Gerhard Schönauer wypił łączywie bulion. Cztery tygodnie za wcześnie. Z kościoła nadal korzystano.

Otworzył jedną ze swoich walizek, wyciągnął z niej szkicownik, sztalugi i przybory do rysowania, po czym wyszedł na dwór. Gmach świątyni był stąd niewidoczny, skrywał się za skalistym pagórkem, ale z podwórza dało się za to dostrzec skraj podłużnego jeziora. Całe to miejsce wydawało się w jakiś niepojęty sposób idylliczne. Każda wzniesiona z bali chata, każde poletko na stromej skarpie, wszystko to świadczyło, że natura niechętnie pozwoliła ludziom się tu osiedlić, lecz jakoś w końcu ułożyła sobie z nimi stosunki.

Gdzieś niedaleko rozległ się stukot kopyt. W dół skarpy szły trzy konie ciągnące za sobą wozy, siedzieli na nich odziani w czerń ludzie, tuż za nimi podążało kilkoro pieszych, także oni byli ubrani na czarno.

Kondukt pogrzebowy. Gerhard śledził go dłuższy czas, odczekał chwilę, po czym ruszył za ostatnimi żałobnikami.

I wtedy jego oczom objawił się wreszcie on.

Kościół.

Gładko wkomponowany w krajobraz. Pewny, godny, prastary. Ciemnobrunatny niczym leśny niedźwiedź, zdobny niczym korona królowej, niezłomny jak wola pielgrzyma. W pewnym sensie wyczekujący, niczym zamek, którego pan od wieków nie wraca z podróży. Jeszcze bardziej imponujący niż na rysunkach Dahla. Może też odrobinę bardziej podupadły, ale cóż to był za gmach! Niezbyt wielki, lecz stanowiący dzieło skończone, sumę najwybitniejszych rzemieślniczych talentów i szalonej fantazji przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Aż do chwili, gdy te talenty i ta fantazja, choć nikt właściwie nie wie dlaczego, zanikły na zawsze.

Gerhard podszedł bliżej.

Największe wrażenie robiła konstrukcja dachu. Przypominała niezliczone połówki i ćwiartki domów poskładane w jedną zaskakującą całość, żadna z powierzchni nie była w stanie zdominować pozostałych czy nawet znudzić się patrzącemu, bo zaraz przechodziła w inną. Gerhard nigdy jeszcze nie widział czegoś podobnego i dostawał gęsiej skórki na samą myśl, że kościół miałby zostać zburzony. Co za ludzie śmieli nawet zaproponować coś takiego? Chciał to wykrzyknąć na całe gardło: „Nie wolno wam niszczyć czegoś tak pięknego!”. Lecz jednocześnie poczuł jakiś złodziejski impuls, podszeptujący, by powiedzieć po prostu: „No, no, no, kościół jak kościół”, i chyłkiem przywłaszczyć sobie ten klejnot. Zaczął już pisać w myślach pierwszy raport dla Ulbrichta, w którym pragnął podkreślić przede wszystkim to, jak bardzo inna od wszystkich innych jest ta świątynia. Zupełnie jakby na jakimś etapie rozdzieliły się dwa wielkie prądy w architekturze, dwaj równie zdolni bracia, z których jeden podniósł cegłę, a drugi ściął drzewo – i tak pożegnali się na rozstajach dróg, a pierwszy z nich dotarł do Notre Dame, zaś drugi właśnie tutaj i nigdy już więcej się nie spotkali.

Ale, ale – coś się nie do końca zgadzało. Gerhard przeniósł wzrok na szczyt świątyni i ogarnęło go przerażenie. Brakowało smoczycy łbów! Co za tragedia! To przecież właśnie one dopełniały śmiałej konstrukcji linii dachu, odstraszać swoim sykiem mroczne siły, a po zachodzie słońca uzupełniały efektowną sylwetkę kościoła na tle nocnego horyzontu.

Niemal wszyscy żałobnicy zdążyli już wejść do świątyni, Gerhard zaś zbliżył się do kamiennego ogrodzenia, uznając, że smocze łby zostały zapewne zdemontowane na wszelki wypadek, by nie niszczały, i przechowywano je w jakimś suchym i bezpiecznym miejscu. Poza tym tak czy inaczej, nawet jeśli stało się najgorsze, z pewnością będzie je w stanie odtworzyć każdy zdolny rzeźbiarz.

Nagle drgnął wystraszony, aż naciągnął sobie mięsień karku. Zaskoczyły go trzy potężne uderzenia, tak monumentalne, że dochodzić musiały z samego centrum kosmosu. Dopiero gdy rozległy się ponownie, znów trzykrotnie, dotarło do niego, że to bicie dzwonów, niezwykle donośne i przejmujące. Echo odbiło się od górskich skał i wróciło, niosąc słabszy rozdźwięk pierwotnych uderzeń, który zmieszał się z nowymi, donośnymi tonami i znów poleciał w świat, niczym słoneczne światło rozszczepiane przez pryzmat, za każdym razem słabsze, lecz świecące coraz liczniejszymi promieniami. Po dziewięciu uderzeniach rozdźwięk zaczął cichnąć i wybrzmiał do końca, niczym rozwiewająca się w powietrzu mgła nad bagnami. Lecz tony uderzeniowe wciąż dzwoniły w uszach Gerharda, zdając się nieść złowrogą wiadomość.

Zostałeś ostrzeżony.

Wypatrywany zimowy ptak

Czemu przed kościołem stał jakiś obcy człowiek i malował pogrzeb Klary Mytting? Astrid wyciągnęła szyję, by dojrzeć coś ponad głowami żałobników. Nieznajomy był dziwnie ubrany, miał na sobie długi rudawy płaszcz z wielkimi kieszeniami i przypominającymi cyfrę osiem haftami wokół dziurek od guzików. Włosy w odcieniu sosnowej szyszki opadały mu na czoło, a na szyi miał zawiązany niebieski kawałek tkaniny. Stał jakieś trzydzieści metrów od intonujących właśnie psalm żałobników z Hekne i Mytting, wydając się tym faktem zupełnie niewzruszony. Patrzył prosto przez nich na przestrzał, zupełnie jakby był na cmentarzu całkiem sam. Pracował przy wielkich sztalugach, raz po raz sięgając po przybory do rysowania leżące na składanym stoliku.

Co jakiś czas od strony lasu dochodziły odgłosy głuchych uderzeń, to topniejący śnieg osuwał się masami ze świerkowych gałęzi. W powietrzu czuć było nieznaczny woń dymu z ogniska, którego ogień rozmiękczył ostatnie resztki zimowej zmarzliny.

Kai Schweigaard stał przed nimi z Biblią i poszarzałym cebrzykiem pełnym ziemi. Z daleka wydawał się zawsze dostojny i niewzruszony, ale teraz, gdy podeszła bliżej, wyraźnie widziała w jego oczach jakiś błysk bezradności. On również zerkał co jakiś czas w stronę obcego mężczyzny. Ale to chyba niemożliwe, by pastor zapłacił artyście za wykonanie rysunku czy może nawet obrazu uwieczniającego pierwszy pogrzeb odprawiany w nowym obrządku? Dzieła, które mógłby oprawić w złotą ramę i powiesić na ścianie swojego gabinetu jako pamiątkę z dnia, gdy wieś weszła w nowy czas?

Podróżny pled przeleżał trzy dobre miesiące w płóciennym worku na stryszku stodoły, gdzie nie miały do niego dostępu ani myszy, ani ciekawskie rodzeństwo. Czasami Astrid wymykała się z domu, zakradała tam i opierała drabinę o belkę stropową. Nie odważyła się okrywać pledem w domu nawet w najchłodniejsze dni, ale nie ze strachu przed smrodem obory – uświadomiła sobie, że obawia się zupełnie innego smrodu. Kai Schweigaard nie rozumiał, jak głęboko potrafi sięgać wiejska ciekawość. Wszystko, co w jakikolwiek sposób się wyróżniało, błyskawicznie brano na języki, ważono i roztrząsano, jakby chodziło o uzgodnienie najskuteczniejszej metody gaszenia leśnego pożaru.

Lubiła natomiast siedzieć otulona pledem i czytać gazetę, zupełnie jakby była całkiem nowa, jakby właśnie trafiło w jej ręce najświeższe wydanie, jakby wciąż mieszkała na plebanii. A już najbardziej lubiła wyobrazić sobie, że to, o czym piszą w gazecie, naprawdę jej dotyczy, że jej opinia na temat unii ze Szwecją czy rozszerzenia praw wyborczych rzeczywiście ma jakieś znaczenie. Te marzenia stanowiły po części zabawę, na którą była już zbyt dorosła, po części zaś budziły nadzieję, która z czasem miała okazać się płonna, myśl, że może naprawdę jest jakaś szansa dla niej i Kaia Schweigaarda. Od ścian izby, w której spała razem z młodszą siostrą Oline, wiało zimnem, a w noc, kiedy była zbyt zmarznięta i nie mogła zasnąć, przed oczyma stawała jej twarz pastora, niosąc wspomnienie ciepła, które mógłby jej dać wełniany pled, i tak jej się to zlewało w jedno – ciepło i on sam.

Czasami te sny śnione na jawie schodziły na ogrzane słońcem manowce. Kai Schweigaard był pastorem, który potrafił dukać coś niezręcznie, gdy z nią rozmawiał, lecz był też równocześnie silnym młodym mężczyzną o jasnych włosach. Niekiedy pozwalała sobie na marzenia, w których jako mąż i żona leżeli obok siebie w chwili poobiedniego lenistwa i on był w tych marzeniach kimś, kto przyjemnie pachniał i przebiegle się uśmiechał.

W łóżku. Jak by to było, czy istniała w tym względzie jakaś różnica pomiędzy różnymi mężczyznami? Czy pastor spałby w swojej własnej izbie, a do niej tylko czasami przychodził? Może czekałby pod drzwiami? Mówiłby coś najpierw czy było to pomyślane tak, że wchodziłby po prostu i się koło niej kładł? No i: czy to by się okazało miłe, przyjemne i rozluźniające, jak w chwilach, gdy sama błędziła palcami po swoim ciele, czy też byłaby to jakaś mechaniczna, wykonywana w milczeniu czynność, jak wtedy, gdy buhaj pokrywa krowę, która nadal przeżuwa trawę, nie zwracając uwagi, że on się na nią wspina i napiera?

Były to wszystko zimowe myśli w oczekiwaniu lata, ale tymczasem przyszła chłodna wiosna. W Astrid kiełkowały marzenia, wzbierała nadzieja na rozkwitnięcie, lecz teraz musiał się odbyć pogrzeb.

A on miał narzeczoną, był zaręczony przez cały ten czas i przecież nadal będzie.

Spichlerz opróżniono na przednówku, Astrid od dawna nie jadła do syta, czuła się słaba i bezsilna. Podobnie było chyba też z Kaiem Schweigaardem. Stał kilka metrów od niej i śpiewał, zdawało się, że od ich ostatniego spotkania schudł i posmutniał, w czarnej sutannie przypominał zimowego ptaka. Cały czas zerkał na tego dziwnego malarza, a ona mimowolnie zaczęła robić to samo. Przybycie tego człowieka stanowiło najdziwniejsze uzupełnienie tego i tak już dziwnego dnia.

Robiło się coraz cieplej. Resztki śniegu zapadły się na słońcu i rozmiękły, na podcienionym ganku przysiadły dwa łuskacze. Ale kościelny nie zadbał o to, by przed nadejściem mrozów przynieść dość piasku znad ujścia rzeki, więc ścieżka, którą podążał żałobny kondukt, była oblodzona i mokra. Ludzie podtrzymywali się nawzajem, nie dla pocieszenia, ale by się nie poprzewracać.

O młodym pastorze sporo już we wsi gadano. Ludzie szemrali, komentując wprowadzanie nowych zwyczajów i pomysł z wnoszeniem zmarłych do wnętrza kościoła. Trumny, zwłaszcza w biedniejszych rodzinach, zbijano na tyle, na ile ludziom starczało umiejętności, a starczało ich czasem na niewiele. Zwłoki miały teraz leżeć dłużej przez nikogo niepilnowane, a zwyczaj trzykrotnego okrażania świątyni z trumną trzeba było zarzucić. Bliscy nie mogli już zdecydować o tym, co działo się ze zmarłymi, nie podobało im się zwłaszcza, że nie będzie im wolno pożegnać ich pięknym śpiewem przy wyprowadzeniu trumny z domu. Musieli zadowolić się jednym mizernym psalmem, odśpiewanym nad grobem przez drżące z zimna, zniechęcone zgromadzenie. Nie mogli już też sami wybrać dnia pogrzebu, dopasowując go do rytmu prac w gospodarstwie. Mówiono, że stary nauczyciel wiejskiej szkoły powszechnej, Sven Giverhaug, który swoim dźwięcznym głosem pożegnał przez lata setki zmarłych, zrobił na plebanii awanturę i zapowiadało się, że obrządek będzie podwójny, ludzie zamierzali postępować ukradkiem tak jak zawsze, a potem, gdy trumna już trafi do kościoła, pozwalać pastrowi robić swoje. No bo jak niby on, pastor, który wcale nie znał zmarłych, nie widział ich w dzieciństwie, w pracy, w nieszczęściu i weselu, miałby w takiej sytuacji powiedzieć coś rozsądnego? Jakim cudem i dlaczego ktoś spoza wsi, ktoś obcy, miałby po śmierci miejscowego wiedzieć, jakich słów użyć?

Ale Schweigaard był twardy jak skała. Nowy obrządek wprowadzono, a pierwszą pochowaną zgodnie z nim parafianką została Klara. Podczas ceremonii w kościele łatwo dało się wyczuć nieufność i niechęć żałobników. A jednak – zdaniem Astrid – tylko uparci i twardogłowi wieśniacy, czyli spora część zebranych, zdawali się nie dostrzegać faktu, że Schweigaard potraktował w tym wszystkim Klarę jak pełnoprawną parafiankę. Krótka mowa na temat jej życia była może trochę bezładna i podkolorowana, ale udało mu się nakreślić wdzięczny obraz powykręcanego przez reumatyzm życia starej komornicy. Tylko czy on właściwie mówił prawdę? Czy życie Klary było tym życiem, o którym opowiadał pastor? Schweigaard wspomniał nawet, pewnie trochę bezmyślnie, że staruszka „zmarła, czcząc swojego Zbawcę”. Pośród milczących dotychczas jak grób parafian rozeszło się krótkie „hm”. Żałobnicy siedzieli w rzędach kościelnych ław, lecz jedno miejsce pod ścianą pozostawili wolne. Nikt nie chciał usiąść tam, gdzie Klara zamarzyła na śmierć.

Ale Kai Schweigaard szybko się zreflektował.

– Klara nigdy nie zobaczyła szerokiego świata. Jej pracą było noszenie wody i obowiązek ten spełniała sumiennie, co najmniej trzydzieści razy dziennie, pokonując tam i z powrotem stumetrową drogę do strumienia. Można w ten sposób wyliczyć, że Klara przemierzała każdego dnia sześć kilometrów, a to z kolei składa się na dobre dwa tysiące kilometrów w skali roku, co oznaczałoby, że gdyby szła na wschód, docierałaby co roku do Moskwy, zaś gdyby wybrała drogę na południe, mogłaby odwiedzać Paryż. Lecz Klara nigdy nie przekraczała strumienia. Żyła tutaj, w Butangen i właśnie to życie prostej kobiety czcimy dziś i wspominamy.

Krewni Klary zaczęli przełykać ślinę. Starsi mężczyźni kiwali głowami, nawet matka Astrid otarła łzę z policzka.

Ceremonia skończyła się zamieszaniem, bo nikt właściwie nie wiedział, co się dalej będzie dziać, czy ktoś coś jeszcze powinien powiedzieć, a jeśli tak – to kto i co takiego. Słuchał ich Schweigaard, a w jego obecności trudno było mówić prosto z serca, ludzie zaczęli wiercić się niespokojnie w kościelnych ławach i rozglądać dookoła. Ale wtedy zabiły Siostrzane Dzwony, a pastor przywołał gestem kilku mężczyzn, którzy mieli nieść trumnę, dźwignięto ją wreszcie przy muzyce dzwonów tak

głośnej, że nawet gdyby ktoś wołał, żeby coś zrobić inaczej, nikt by go nie usłyszał. Krewni zmarłej z Mytting wzięli ze sobą na wszelki wypadek łopaty, lecz Schweigaard powiedział, że niepotrzebnie: grób został już wykopany.

Ceremonia wreszcie dobiegła końca. Pastor rzucił garść ziemi na wieko trumny i zaczął ścisnąć dłonie żałobników, żegnając się z nimi. Astrid dygnęła przed nim, jakby był kimś obcym, a ludzie oddalili się, mamrocząc między sobą, przygnębieni, czując, że zostawiają tu niedokończoną sprawę. Schweigaard rozbroił śmierć, jakby odcinał ciernie od kolczastej gałązki, a życie musiało mieć przecież ciernie, inaczej mucha nie różniłaby się niczym od osy.

Astrid powiedziała ojcu, że sama wróci do domu. Poczekała, aż wóz odjedzie. Ruszyła przed siebie wzdłuż kamiennego ogrodzenia, w końcu przystanąła i zaczęła obserwować malarza. Wtedy z kościoła wyszedł Kai Schweigaard. Ruszył szybkim krokiem do mężczyzny przy sztaludze, który ani na chwilę nie oderwał się od pracy, mimo że Schweigaard wymachiwał rękoma i był wyraźnie wzburzony. Astrid nie znajdowała żadnego sensu ani znaczenia w słowach, które między sobą wymieniali, i dopiero po chwili dotarło do niej, że rozmawiają w obcym języku.

Poczuła, że robi się na moment jaśniej i cieplej. Zupełnie jakby promień nowego słońca, skrywającego się gdzieś za słońcem zwykłym, codziennym, ogrzał ją przez chwilę, a potem na powrót zgasł.

Nieznajomy był cudzoziemcem. Pierwszym napotkanym przez nią człowiekiem, który pochodził ze świata zewnętrznego.

Schweigaard ruszył z powrotem do kościoła, wyraźnie się spiesząc. Astrid wiedziała, że wkrótce ma się odbyć jeszcze jeden pogrzeb, następnego zaś dnia planowano złożyć do ziemi aż czworo parafian, zmarłych czekających na swą kolej przez całą zimę.

Ruszyła do mężczyzny ze sztalugą. Chciała zająć go z boku, ale musiała okrążyć sporą kupę śniegu i stanęła z nim w końcu twarzą w twarz.

Nieznajomy przesunął się, robiąc dla niej miejsce, zrobił to elegancko i uprzejmie, ruchy miał lekkie niczym tancerz, przełożył ołówek do drugiej ręki i skierował w stronę sztalugi otwartą dłoń, gestem zdającym się mówić „proszę bardzo”, demonstrując wielką bladożółtą powierzchnię kartonu przymocowanego do ramy tak, by nie porwał go wiatr.

Nie było to obraz, lecz rysunek, nieznajomy nie szkicował wcale żałobników, tylko sam kościół. Astrid przyjrzała mu się otwarcie. Miał może dwadzieścia kilka lat, nieco ciemniejszą cerę niż miejscowi mężczyźni, wydawał się dumny i bystry. Na samym dole arkusza narysował coś w rodzaju miarki. Podcienione ganki i ornamenty wzdłuż kalenic odwzorowane zostały bardzo szczegółowo, nieznajomy zdążył się również zabrać do szkicowania wieży. Precyzyjnie odwzorował każdą kryjącą dach deseczkę, przenosząc w ten sposób rzeczywistość na swój kawałek kartonu.

Tyle że kościół nie był już prawdziwy. Wydawał się pobudowany niedawno i dostojny, nie zaś smutny i podupadły, a oboje widzieli przecież, jak wygląda naprawdę. Rysunek pokazywał ponadto coś, czego w rzeczywistości nie było w ogóle, to jest osiem rozdziawionych smoczyc paszczy, które wyrastały ze szczytu dachu, zdając się syczeć ku niebu. Dookoła świątyni nie widać było za to nieregularnych grobowych kopców, ziemia była równa, porośnięta trawą, nieznajomy narysował nawet strumień, który tak naprawdę tamtędy nie płynął.

Oboje zwrócili uwagę na jakiś ruch przy drzwiach kościoła. Kai Schweigaard znów wyszedł ze świątyni. Przyglądał im się przez chwilę, po czym ruszył w stronę plebanii. Nieznajomy i Astrid spojrzeli po sobie, mężczyzna skłonił się i powiedział coś jakąś archaiczną odmianą duńskiego. Astrid przekrzywiła głowę, dając w ten sposób znać, że nic nie zrozumiała.

– Dzwony – powtórzył cudzoziemiec i wskazał na świątynię. – Mocarny ton!

Razem ze słowami z jego ust dobył się świeży, kwaskowaty zapach. Artysta wskazał gestem rozkładany stolik. Oprócz przyborów do rysowania leżała tam obciążona skórą teczka z wytłoczonym na niej imieniem i nazwiskiem Gerhard Schönauer i nieco zmięta tutka, z której wypadło kilka pastylek o barwie bursztynu. Astrid poczęstowała się jedną z nich, zrobiła to powoli, tak by mężczyzna miał czas zaprotestować w razie, gdyby opacznie pojęła jego gest. A potem odeszła.

Kolejne zwierzałe stulecia

Gerhard Schönauer długo jeszcze spoglądał za dziewczyną. Coś w jej twarzy sprawiało, że miał ochotę ją narysować, jakiś wyjątkowy charakter. Wydawała się bystra, nie taka płocha jak inni wieśniacy, na których natknął się tego ranka. Bo tamtych bardzo precyzyjnie opisywał akapit z *Meyers sprachführer*: „Norwegowie to lud o germańskich korzeniach. Rośli i silni, są stateczniejsi i powolniejsi niż Szwedzi, lecz nie tak flegmatyczni jak Duńczycy. W pierwszym kontakcie robią wrażenie nad wyraz skrytych i sceptycznych, ale wystarczy zaskarbić sobie ich zaufanie, by stali się ufni i serdeczni. Są ponadto wytrawnymi żeglarzami i najlepszymi na świecie pilotami morskimi”.

Gerhard odłożył ołówek i zaczekał, aż dziewczyna zniknie mu z zasięgu wzroku. Żalobnicy już się rozeszli, on zaś pozostał jeszcze chwilę przy sztaludze, cierpliwie patrząc, jak dwaj ostatni mężczyźni, być może dzwonnik i kościelny, również odchodzą w swoją stronę. Pastor ruszył na plebanię już jakiś czas wcześniej. Był wzburzony i zachował się wobec niego wręcz grubiańsko – tylko dlatego, że stał tu i rysował.

W końcu został sam! Wreszcie będzie mógł dokładnie obejrzeć portal. To właśnie myśl o nim dodawała mu siłę w mozolnej podróży. Owszem, całość budowli to jedno, ale portal i wszystko, co się na niego składało – fantastyczne stwory, wiara w dawnych bogów, wtopione w gmach dzieło sztuki mające odstraszać złe duchy – wszystko to było dla jego artystycznej duszy niczym wielka torba kamforowych cukierków. Potrzebował czasu, by nacieszyć oczy tym niezwykłym widokiem.

Potrzebował go również, by trochę się uspokoić. Bicie kościelnych dzwonów wprawiło go w drżenie. Było jak potężny huk kanonady. Niepokój nie opuszczał go nawet po tym, jak tony dawno wybrzmiały, i Gerhard domyślał się, że to pewnie przez tę ciszę. Brak hałasu. Przez wiele lat żył w gwaronym Dreźnie, słuchając uderzeń kół okutych żelazem o bruk, wrzasków sprzedawców na targu, harmider otaczał go ze wszystkich stron, gdy tylko wychodził na miasto. Tu zaś wszystko zdawało się wygłuszone, tak bez reszty, że byłby może nawet w stanie uwierzyć, iż Drezno w ogóle nie istnieje. Docierały do niego wyłącznie odgłosy natury. Rżące w stajni konie, mlaskanie błota, przez które biegł mały chłopiec. Gdzieś daleko, w lesie, rozlegały się uderzenia siekiery.

W kościele trwał pogrzeb, on zaś rozstawił sztalugi i zabrał się do szkicowania budynku. Nasłuchiwał dobiegających ze środka odgłosów, kazania wygłoszonego w prostackim języku norweskim, intonowanego powoli psalmu, wszystkie te dźwięki były w takiej pracy naturalne czy nawet inspirujące i Gerhard uznał pierwszy szkic kościoła za obiecujący.

Zostawił teraz sztalugi, podszedł do świątyni i pogładził dłonią deski nasłonecznionej ściany. Nigdy wcześniej nie dotykał jeszcze tak starego drewna. Klepki były odkształcone, popękane i zostawiały na skórze suchy proszek w żółtawym kolorze. Gerhard wiedział, że ten właściwy starym ruinom pył to podobno resztki smoły, lecz wolał myśleć, iż formę taką przybrały tu kolejne zwierzałe stulecia. Czas nie pozostawiał śladów na skale, bo skały były na to już za stare, lecz wżerał się w drewno niemal tak samo jak w ludzką twarz. Dolne oczepy zostały wciśnięte w fundament przez zapadającą się konstrukcję i zupełnie w ten sposób zdeformowane. Drewniany budulec miał niezliczone odcienie brązu, w niektórych miejscach przywodził na myśl sierść gniasosza, a w innych – konia karego. Barwy zmieniały się w zależności od tego, na jakie próby wystawiały drewno siły natury, palące słońce czy cień, deszcz czy śnieg, a nakładana przez wieki smoła spływała po klepkach latem, by znów stężeć na zimę.

Gerhard szedł powoli podcienionym gankiem, aż w końcu dotarł do kamiennych schodów, ujrzał otwarte drzwi, oszacował niezbędną liczbę kroków i trasę prowadzącą do wejścia, przymknął oczy i ruszył ostrożnie przed siebie. Kroczył w kierunku portalu w kruchcie. W końcu przystanął i jeszcze przez chwilę nie otwierał oczu, wreszcie nikt mu nie przeszkodzi, o tym właśnie będzie opowiadał ze swadą i żarem w swoich prelekcjach o *Die Norwegische Mittelalterkirche*. Oto chwila, gdy po raz pierwszy ujrzy portal, który wprawiłby w zdumienie samego Hieronima Boscha.

Otworzył oczy.

Co takiego?

Portalu tam wcale nie było!

Gerhard wgapiał się w wielkie, malowane na czarno, dwuskrzydłowe wrota. Był one zawieszane na solidnej, grubej futrynie, wkomponowane w ścianę ze smołowanych desek. Zawiasy z kutego żelaza wyglądały solidnie i topornie. Ani śladu rzeźbień odwzorowanych w swoim czasie przez Dahla. Baśniowe stwory pierzchły, nie pozostawiając po sobie nawet odcisku łapy.

Gerhard chwycił za klamkę.

I stwierdził, że pastor musiał zamknąć wrota kościoła na klucz.

Słowo z zadziorem

Astrid wciąż miała cukierek w ustach, gdy stanęła przy kutym ogrodzeniu majątku pastora. Kamfora. Smak ekscytujący niczym żaglowiec w promieniach wstającego słońca. Próbowwała czasem takich cukierków przy okazji wypraw na zakupy, lecz teraz, z przyczyn, które dopiero powoli zaczęła sobie uświadamiać, postanowiła odczekać, aż smakołyk się rozpuści, i dopiero wtedy wejść na plebanię.

Kwaskowaty smak obudził w niej wspomnienia. Miała chyba wtedy jakieś dziesięć lat. Możliwe, że dwanaście, na pewno nie więcej. Ojciec uśmiechnął się tajemniczo po kolacji, wyjął małą tutkę z szarego papieru, okrążył stół, kładąc po jednym cukierku przed matką i każdym z dzieci, a kiedy tutka została w ten sposób opróżniona, poprosił, by poczekali. Dla niego już nie wystarczyło. W pierwszej chwili Astrid pomyślała, że dostaną po kawałku kandyzowanego cukru, lecz na stole z pooranego szramami drewna błyszcząły w równym rzędku złociste cukierki. Ojciec wrócił tego dnia z jarmarku, musiał najwyraźniej zjeść swojego cukierka na miejscu i zapytać handlarza, jak robi się takie słodczyce, bo gdy w końcu wolno im było spróbować smakołyku, wyjaśnił im, że olejek kamforowy pozyskuje się z drzew rosnących w Indochinach Francuskich – mieliło się te drzewa i gotowało na parze, po czym tę parę w jakiś sposób łapano w pojemniki, gdzie olejek zbierał się w krople i zastygał.

Tego wieczora, gdy w ustach ojca uformowały się słowa „Indochiny Francuskie”, Astrid pierwszy i ostatni raz dostrzegła w jego oczach jakieś rozmarzenie, był to też jeden z nielicznych wieczorów, gdy ojciec zapominał o rozgoryczeniu z powodu Dolnego Glupen i starej Wielkiej Zagrody Hekne.

– Chcę tam pojechać! – zawołała Astrid. – I zrobić mnóstwo cukierków kamforowych. Tam, do Indo...

Niestety, dała się ponieść radosnemu zapałowi do tego stopnia, że wykrzykując te słowa, połknęła cukierek, tak nowy i świeży, że nie zdążył jeszcze stracić w jej ustach ostrych krawędzi. Krawędzie te podrapały jej przełyk i chwilę później smakołyk wpadł do brzucha, gdzie nie mieszkał już zmysł smaku, tylko szare jelita wchłaniające substancje odżywcze i wszyscy zaczęli się z niej śmiać, ssąc swoje duże i nadal nierozpuszczone cukierki. Matka pociamkała swój dłuższą chwilę, po czym ułożyła go bezpiecznie pod językiem i mlasnęła:

– Może to cię nauczy, by cieszyć się z tego, co masz.

Astrid czuła teraz, jak cukierek rozpuszcza się w jej ustach, jak staje się krągły i gładki, niczym wyłowiony ze strumyka kamyczek, potem maleńki jak ziarenko, a wreszcie znika, pozostawiając po sobie tylko smak. Położyła dłoń na furcie, ale zmieniła zdanie i pobiegła w stronę Hekne. Wkrótce dogoniła żałobników, dla których zabrakło miejsca na wozie, minęła ich w pośpiechu i popędziła do gospodarstwa, gdzie wślizgnęła się do stodoły i chwyciła płócienny worek z gazetą oraz podróжным pledem. Przez szpary w ścianach z bali widziała, jak ojciec i matka idą do domu, a parobkowie wyprzęgają konie. Astrid była głodna, bolała ją głowa, ale czuła, że to się musi stać teraz.

Myśli o Kaiu Schweigaardzie kłębiły się w jej głowie, nie dając chwili spokoju. Pastor był na pogrzebie nieswój, kierując ich ku nowym czasom i występując jako reprezentant Boga w czarnej sutannie. Wcześniej myślała, że jest taki otwarty i szczerzy. Teraz coś jej ten obraz burzyło.

Zaręczony kapłan pożyczył jej pled podróжный swojej matki. We wsi miał stanąć nowy kościół, ale Astrid rozglądała się po okolicy i nie miała pojęcia, gdzie tę budowę planowano. Jakiś obcy malarz rysował starą świątynię. I te dziwne słowa pastora. „Kościelne dzwony nie przestaną bić”. Zdanie to wracało do niej raz za razem. Poza tym miała przecież wymówkę, którą dał jej on sam. Jak się coś pożycza, należy to oddać.

Wsunęła pled i gazetę pod rąbek szala i ruszyła w dół zbocza. Czuła bijące od pledu ciepło, niepotrzebne teraz, po nadejściu wiosny, i zastanawiała się, czy to tak właśnie kobiety radzą sobie bez mężczyzn.

Wkrótce znów stanęła przed ogrodzeniem majątku pastora.

Piętrowy dom z piwnicą i strychem. Maszt flagowy, rząd okien ze szprosami. Oto malowane na biało oblicze władzy i wiary w Butangen. Śmierć, dorosłość, krzyż i chrzest. Wszystko to trafiało do nich

poprzez Kaia Schweigaarda.

Dobrze pasował do tego majątku. I do wszystkiego, co ten majątek sobą reprezentował. Do ogródka warzywnego na tyłach domu, opustoszałego po ciężkiej zimie, czekającego na wiosnę. Do starych drzew o nagich gałęziach, ostatnich kupek śniegu na pożółkłej trawie. Wszystko to wyglądało, jakby czekało tylko, aż do domu wprowadzi się kobieta.

Ach, te śnione na jawie sny. Tak cudownie było pozwolić myślom płynąć swobodnie. Ale to przecież szaleństwo, czysta głupota myśleć, że on mógłby być nią zainteresowany. Zresztą nawet gdyby był, to przecież pastor z Butangen nie może się oświadczyć dziewczynie z Butangen.

Może nie teraz. Ale w dawnych czasach... Hekne należało do jej rodu od ponad czterech wieków. Kiedyś, przed wieloma laty, dom jej przodków stał dumny, wielki i porządnie osmołowany, z idealnie dopasowanymi gontami na dachu, na wysokim fundamencie, podziwiano go bardziej niż gmach mieszkalny plebanii. Zabudowania jej rodzinnego majątku wciąż prezentowały się dobrze z oddali, lecz wystarczyło podejść bliżej, by stwierdzić, że nadgryzione zębem czasu zaczynają się przekrzywiać, zaś srebrnych sztućców w komodzie wystarczyło na niewielkie zaledwie przyjęcie.

Młodsze siostry donaszały ubrania, z których wyrosła Astrid, ona sama miała tylko dwa komplety odświętnej odzieży, w tygodniu zaś wkładała spódnice, które dostawała co roku, dopóki pracowała na plebanii. Spojrzenia przyciągała zazwyczaj chustka, którą wiązała sobie na głowie, kupiona w Lillehammer, śnieżnobiała, z brzegami wyszywanymi w niebieskie prostokąty. Astrid, podobnie jak wiele innych dziewcząt w dolinie, zaczęła zakrywać włosy, mimo że była panną i pilnowała, by chustka była zawsze czysta i wykrochmalona. Sztywna biała tkanina dumnie zdobiła jej głowę, tak jak duma z dokonania poprzednich pokoleń zdobiła cały ród Hekne. W domu rodzinnym Astrid przestrzegało się kilku odwiecznych zasad. Należało rozmawiać z ludźmi wyraźnie i szczerze, nigdy nie patrzeć na nich z góry. Nie wolno było pomiatać dzierżawcami ani kręcić nosem na nowych komorników. W majątku powtarzano, że trzeba zachowywać się uprzejmie i nikogo nie należy upokarzać. Prawdziwe dziedzictwo, prawdziwa wielkość – dotrzymywanie danego słowa, silny i szczery uścisk dłoni, wierność postanowieniom – tego nie szło wycenić w pieniądzu, to nie traciło na wartości, dopóki każdy jeden członek rodu Hekne zachowywał się godnie.

Wyprostowała się i ruszyła w stronę domu pastora.

Cała trudność polegała teraz na tym, by skutecznie ominąć Margit Bressum. Ściskając pled pod pachą, Astrid wślizgnęła się do środka bocznym wejściem. Minęła kuchenne drzwi, w których mignęły jej plecy gospodyni, wspięła się cicho po schodach i ostrożnie zapukała do drzwi gabinetu.

Pastor musiał się nad czymś zamyślić, bo co prawda powiedział „proszę”, ale wydał się zaskoczony jej widokiem.

Astrid położyła pled na krześle przy drzwiach, mówiąc, że nie będzie jej już potrzebny, bo wreszcie przyszła wiosna, a tu, proszę, gazeta do archiwum, niech pastor przyjmie podziękowania za swoją beneficencję.

Wybrała to słowo po drodze z domu. Beneficencja. Miała wiele innych możliwości, mogła mu podziękować za wspaniałomyślność, za życzliwość, za pożyczkę albo po prostu pozwolić, by słowo „dziękuję” wybrzmiało bez żadnych dodatków. Ale chciała użyć słowa z zadziorem.

Schweigaard nie zwrócił uwagi na tę beneficencję. Był rozkojarzony i pobladły.

Astrid stała przy drzwiach w milczeniu. Ściany gabinetu były pomalowane na zielono, na jednej z nich wisiał niewielki, oprawiony w ramy obraz przedstawiający Jezusa na krzyżu. Zbawiciel miał szarawą twarz, wywrócone ku górze oczy i zwisające kąciki ust. Nie tak wyglądają martwi ludzie, pomyślała Astrid. Zupełnie tak nie wyglądają.

Zastanawiała się, czy Kai Schweigaard spogląda czasami na ten obraz, dochodząc do podobnych wniosków. Czy zdarza mu się wątpić w związek wiary z prawdziwym ludzkim życiem, czy też patrzy przez palce na rozbieżności pomiędzy głoszoną przez siebie nauką a rzeczywistością.

Pastor nadal milczał. Może niesłusznie zaatakowała go tą beneficencją, bo widać było, że ma jakieś zmartwienie.

– Pogrzeb był bardzo piękny – powiedziała. – Ludzie milczeli, ale to dlatego, że nie wiedzieli, co mówić. To ze strumieniem bardzo mi się podobało.

Schweigaard wstał i zmierzył ją nieodgadnionym spojrzeniem, po czym podszedł do okna, z którego roztaczał się widok na cmentarz. Odetchnął z wyraźną ulgą.

– No, w końcu – powiedział. Jego oddech zostawił na szybie niewielki obłoczek pary, który zaraz zniknął. – Nareszcie się pakuje. To dla nas ważny człowiek, ale musiałem mu wyjaśnić, że tak nie wypada.

Astrid nie ruszyła się spod drzwi, ale wyciągnęła szyję, by móc wyrzec przez okno.

Pastor odwrócił się do niej.

– Czy on ci coś mówił? Widziałem, że do niego podeszłaś.

Dziewczyna pokręciła głową. Patrzyła, jak cudzoziemiec zarzuca sobie sztalugę na ramię. Domyśliła się, że skończył już szkic i narysował ornamenty oraz podcienia.

– Kim on właściwie jest? – spytała i szybko zacisnęła usta, nie chcąc, by Schweigaard poczuł zapach kamfory.

Pastor ścisnął grzbiet nosa palcami. Zaświtało jej nagle, jaki wpływ ma na tego człowieka, ogarnęła ją na chwilę niejasna świadomość, że budzi w nim uczucia, z którymi on nie do końca sobie radzi.

– Przyjechał za wcześnie – powiedział Schweigaard. – Miał przybyć do wsi dopiero za cztery tygodnie. Chciałem ogłosić wiadomość o budowie nowego kościoła w następną niedzielę. A on mi tu nagle staje i zaczyna wymachiwać ołówkiem. Ludzie zaraz zaczną gadać.

– Pewnie już zaczęli – odparła Astrid, mimo że nie słyszała jeszcze żadnych plotek na temat kościoła.

– Zapewne – westchnął Schweigaard i przeniósł na nią spojrzenie. – I tak miałem wszystko niedługo wyjawić. – Wyglądał, jakby próbował zrzucić z barków ciężkie brzemie. – Już ci o wszystkim mówię, Astrid. Ten malarz... cóż, właściwie to jest architektem... to człowiek istotny dla prac przy nowym kościele. Na który brakowało nam dotychczas pieniędzy. Ale teraz wreszcie mogę obwieścić dobrą nowinę.

Podszedł do sekretarzyka i wyjął z niego zwój papieru. Astrid zbliżyła się do niego, zostawiając przy drzwiach niewielką kałużę ze stopionego śniegu, który naniosła na butach. Schweigaard rozwinął papier i pokazał jej szkic dużego budynku z długim rzędem okien. Prostego i skromnego, bez zdobień ani ornamentów, Astrid zdziwiła się, czemu pastor demonstruje jej rysunek składu handlowego, lecz nagle jej spojrzenie padło na niewielką szczytową wieżyczkę.

– Tu będzie miejsce dla wszystkich – oświadczył Schweigaard. – Dużo miejsca. Tyle, ile wymaga prawo, z dużym zapasem.

– Ale czy mogę się wreszcie dowiedzieć... czemu musiałeś sprowadzać cudzoziemca, żeby rysował nasz stary kościół?

– Bo będziemy go rozbierać.

Astrid zamarła bez słowa. Pastor mógłby jej równie dobrze obwieścić, że zamierza osuszyć Løsnesvatnet.

– Rozbierać nasz kościół?!

– Tak, Astrid. To konieczne.

– A nie lepiej by było pobudować ten nowy w innym miejscu? Byłyby wtedy dwa do wyboru i...

Schweigaard przerwał jej łagodnie, ona zaś domyśliła się, że sprawa ta zapewne nie daje mu spać po nocach. Pastor spodziewał się protestów i odbył już w swojej głowie liczne kłótnie, formułując odpowiedzi na wściekłe pytania, które zadawał sam sobie, wcielając się w rolę przeciwników.

– Rozważaliśmy to rozwiązanie. Studiując norweskie krajobrazy, dochodzi się jednak do wniosku, że najstarsze budowle stoją na najlepszych możliwych miejscach. W pobliżu starego kościoła nie zmieści się już żaden gmach. A budowanie nowej świątyni w jakimś zacienionym zakątku byłoby potwarzą dla parafii. Zwłaszcza w takiej wsi jak nasza, położonej na stromym zboczu. Tak się po prostu nie da.

Astrid stała przed nim, próbując wymyślić jakąś odpowiedź. Gdy milczenie stało się już nieznośne, rzuciła wreszcie:

– Nasz kościół nie ma smoczych łbów.

– Hm?

– Ten malarz narysował smocze łby na kościele, a ich przecież nie ma.

– Ach. Naprawdę? Cóż, pewnie zaczął już myśleć o rekonstrukcji.

– Ależ pastarze Schweigaard, mówi pastor o rekonstrukcji, choć nigdy wcześniej nie słyszałam od pastora tego rzadkiego słowa.

Wzdrygnęła się, zaskoczona tym dziwnym zdaniem, które wyrwało się nagle z jej ust i pojęła, że musiało ono dojrzewać w niej przez kolejne nocne godziny spędzone przy zimnej ścianie, godziny rozważania, jak mają w zwyczaju mówić panie pastorowe, gdy ich mężowie wypróbują na nich niedzielne kazania.

Schweigaard najwyraźniej również potrzebował czasu, by wziąć się w garść, odchrząknął i poskładał jakieś papiery, po czym znów je rozłożył i zaczął machać trzymanym w dłoni ołówkiem, mimo że nic przecież nie miał zamiaru pisać.

– Astrid... Zazwyczaj, gdy rozbiera się gmach kościoła, materiały trafiają na aukcję, gdzie zostają sprzedane, jeden drewniany bal po drugim. Ale nie zarabia się na tym z reguły wielkich pieniędzy. Gdy byłeś tu po raz ostatni, prowadziłem właśnie intensywną korespondencję w sprawie naszego starego kościoła. Choć cenę sobie skromność, umiar i to, co nazwać można... cóż, zdrowym rozsądkiem, nie jestem ślepy i widzę, że świątynia ta posiada w pewnym sensie unikatową wartość. Zasługuje na lepszy los niż rozsprzedanie na drewno opałowe.

– No właśnie, można by ją zostawić, gdzie stoi.

Pastor spojrział na dziewczynę i pokręcił głową.

– Sprawa przedstawia się następująco: sprzedaliśmy kościół za pięciokrotność zwyczajowej ceny, a może nawet więcej. Daje nam to środki na pobudowanie tu nowej, godnej i odpowiedniej dla naszej wsi świątyni.

– To czemu ten malarz rysuje stary kościół?

– Bo ma on zostać przeniesiony i zbudowany od nowa! Tak, to prawda! W Niemczech. Ten człowiek ma narysować, jak wszystko wygląda z zewnątrz i od środka. Przy rozbiórce opiszą każdą jedną belkę i deskę, a kiedy przyjdą mrozy, wszystko zostanie przewiezione i kościół stanie w Saksonii. To będzie długa podróż!

– Gdzie on ma stanąć?

– W Saksonii, w mieście o nazwie Drezno. Rozumiem, że brzmi to być może... niewiarygodnie, ale świątynie przenoszono w ten sposób już wiele razy! Nie tylko pomiędzy norweskimi wsiami, również na duże odległości! Nasz stary kościół otrzyma szansę na drugie życie, możliwe, że skupi wokół siebie tam na południu nowych parafian.

– Ale co ludzie będą o nim myśleć? Że dziwnie wygląda? Pojmą, jaki on jest naprawdę piękny?

– Tak, tak. To w końcu Niemcy! Ludzie kultury. Myśliciele i kompozytorzy. Nasza świątynia będzie im służyć jako kościół i jako muzeum. Chciałbym zapytać, czy słyszałaś kiedyś o...

Schweigaard zamilkł, nie dokończywszy pytania, Astrid zaś zrozumiała, że bał się ją zawstydzić, nie chciał jej zmusić do odpowiedzi w rodzaju: „Nie, nigdy o tym nie słyszałam, bo nigdy nie wyjeżdżałam z Butangen i nie spodziewam się też, że kiedykolwiek stąd wyjadę”.

Poprosił, by usiadła i zwrócony plecami do sekretarzyka, zaczął opowiadać jej o czymś, co, sądząc po doborze słów i tonie jego głosu, musiało stanowić tę dobrą nowinę. Przedstawił jej sylwetkę artysty Johana Christiana Dahla, który został profesorem w Dreźnie i niemal w pojedynkę obudził w Niemczech zainteresowanie tym, co norweskie, w szczególności zaś kościołami.

– Duchowieństwo w naszym kraju zgadza się jednak co do tego – oświadczył Schweigaard – że obsesja Dahla w temacie zniszczonych przez czas świątyni nieszczególnie przyda nam się w naszej posłudze. W roku tysiąc osiemset czterdziestym parafianie w Valdres cieszyli się myślą o budowie nowego kościoła. Wiadomość o tym dotarła do Dahla. Najpierw próbował powstrzymać rozbiórkę starej ruiny i wysuwał oderwane od rzeczywistości propozycje, które na szczęście odrzucono, a potem za własne pieniądze zakupił wrak kościoła. Został on postawiony na nowo w Niemczech, konkretnie: w krainie, która nazywa się Śląsk. No i wszyscy byli zadowoleni.

Astrid spojrzała na niego i pomyślała: w takich właśnie chwilach panie pastorowe uśmiechają się

zachęcająco i kiwają głowami. Przynoszą kawę w serwisie z delikatnej porcelany, mówią „patrzcie państwo” i proszą mężów, by mówili dalej. Dlatego też sama powiedziała:

– Ach tak?

Schweigaard przełknął ślinę.

– I teraz przechodzę do sedna! Jednego z moich przyjaciół skierowano do pełnienia posługi kapłańskiej właśnie w Valdres. Korespondujemy ze sobą. W którymś ze swoich listów wspomniał o tej dziwnej historii z lat czterdziestych. Pomyślałem sobie wtedy: ach tak? Czemu by tego nie powtórzyć? Ten mój przyjaciel utrzymywał bowiem, że na Akademii Sztuk Pięknych w Dreźnie pracują ludzie zorientowani w sytuacji Norwegii. Zainteresowanie naszym krajem jest najwyraźniej tam na południu nadal całkiem spore. Zdaje się, że niektórzy Niemcy przyjeżdżają do nas nawet, by cieszyć oko tutejszą przyrodą.

– Ale chyba polują? – zapytała Astrid. – Bo nie mogą przecież tylko chodzić i się rozglądać?

– Ależ mogą – odparł Schweigaard. – A są nawet tacy, co siedzą na pokładach statków i podziwiają wybrzeże.

– I nic nie robią?

– Nie, oni to nazywają „wywczasem” – odparł pastor. Zacisnął dłonie na oparciu krzesła, jego knykcie bieleły zazwyczaj, gdy bywał spięty. Teraz też zbieleły.

– Któż sobie może na to pozwolić? – powiedziała Astrid. – A pastor to kiedyś robił? Był na wywczasie?

– Nie, nigdy. Niestety. I nie wygląda na to, bym mógł się kiedyś wybrać, mam tu tyle do zrobienia. Ale któregoś dnia... No, może. Mogłoby być ciekawie.

Gdy wypowiadał te słowa, palce na oparciu krzesła trochę się rozluźniły. Ale teraz znów się zacisnęły, a pastor dorzucił:

– Tak to wygląda, Astrid. Ustaliłem, że Dahl był kiedyś w naszej wsi i narysował kościół. A potem już wszystko poszło jak z płatka: wysłałem list do akademii, starając się jako tako przypomnieć sobie niemiecki wyuczony w szkole, nawiązałem kontakt z pewnym profesorem i po negocjacjach zaproponowano nam szczerą sumę, którą postanowiliśmy przyjąć.

– Czyli pastor Schweigaard wcisnął cudzoziemcom walący się kościół. Coś takiego.

Astrid powiedziała to tylko po to, by zyskać na czasie. Wzbierał w niej niepokój, wspomnienie tego, co usłyszała od niego ostatnio o kościelnych dzwonach, to dziwne zdanie, które samo wiedziało, że jest na niewłaściwym miejscu, potknęło się i schowało, nie wiedząc, że już je dostrzeżono.

Schweigaard zarzucił ją mnóstwem szczegółów, próbując wyjaśnić, jak bezproblemowo można zorganizować takie przenosiny, chociaż jej nie wydawało się to wcale dziwne ani niemożliwe. Drewniane chaty we wsi cały czas gdzieś przeprowadzano. Ocieplane torfem dachy zrywano bez większego żalu, sosnowe bale mierzono i oznaczano na końcach rzymskimi cyframi, zdejmowano i układano na wozie. Zarówno stodoła, jak i obora w Hekne miały takie znaki wycięte w miejscach, gdzie krzyżowały się bale, spichlerz zaś, z tego, co pamiętała, był dwukrotnie sprzedawany i przenoszony, aż w końcu trafił do jej rodzinnego majątku.

– Musimy wkroczyć w ten nowy czas – powiedział Schweigaard. – Rozejrzyj się tylko, zobacz, jak ludzie cierpią w ruinach z przeszłości. Za godzinę zaczyna się pogrzeb tej biednej kobiety z Solfritt, wiesz, z zagrody dzierżawcy.

– Tej, która zmarła przy tym strasznym porodzie?

– Tak. Miała już szóstkę dzieci. Jej mąż, synowie i córki nie będą widzieć żadnego piękna czy godności w tym, że ceremonia pogrzebowa odbędzie się w kościele, w którym pod stropem gnieźdzą się ptaki. Trzeba zadbać o elementarne ludzkie potrzeby, a potem dopiero myśleć o chlubnej przeszłości. Musimy być ogrzani! Syci! Bezpieczni.

Astrid wyraźnie słyszała, w których miejscach pastor porzuca przygotowaną uprzednio i wyuczoną przemowę, przechodząc do zwyczajnej wymiany zdań, pytań i odpowiedzi, by zaledwie chwilę potem wrócić do zapisanego kazania, stać się pastorem Kaiem Schweigaardem, przemawiającym jak z ambony:

– Koncepcja utrzymania zabytków w stanie niezmiennym jest z pewnością szlachetna, lecz

dużo piękniejsza dla patrzących na te zabytki z boku niż dla tych, których sprawa faktycznie dotyczy. Nasz kraj wchodzi w okres przełomowy, wymagający zaangażowania pełnego potencjału myśli człowieka, a chrześcijaństwo jest w całym tym zamieszaniu jedynym prawdziwym światłem wyznaczającym drogę. Nie możemy czcić naszej wiary za wypaczonymi deskami z czasów pogańskich. No a poza tym wszystkim kościół jest wedle prawa za mały. Kropka.

Astrid zerknęła ponownie na obraz z Jezusem na krzyżu. Coś się w niej jak gdyby przesunęło i zaczęła myśleć o cudzoziemcu za sztalugą, który mógł rysować świat taki, jaki był naprawdę, a mimo to szkicował nieistniejące smocze łby.

– Czy nam, zwykłym ludziom, wolno spytać, ile ci Niemcy zapłacą?

– Nieco ponad dziewięćset koron, po wymianie pieniędzy.

– Dziewięćset koron?

– Tak, to duża suma! Sami też opłacą transport. To naprawdę dobry interes. Kościół w Garmo również zostanie wkrótce rozebrany. Wyceniono go na dwieście koron, i to łącznie z nastawą ołtarzową, amboną i chrzcielnicą. Świątynię w Torpo sprzedano za dwieście osiemdziesiąt koron, a kościół w Ål wystawiono za sześćset, ale nikt go nie kupił...

Astrid przełknęła ślinę. Na służbie u starego proboszcza zarabiała siedemdziesiąt koron rocznie.

– A jak... – zaczęła.

– Cóż, takiej kwoty zażądałem! W niemieckich markach to całkiem okrągła sumka. Chociaż nasz gość już zaczął zgłaszać zastrzeżenia, wpadł tu przed chwilą i zaraz znów poszedł rysować, ale zdążył mi powiedzieć, że w naszym kościele brakuje portalu...

– Czego?

– To coś w rodzaju framugi. Podobno nasza była ozdobiona różnymi kunsztownymi ornamentami, z tego, co zrozumiałem, wizerunkami baśniowych stworów i jakiegoś strasznego węża. Drzwi zostały pewnie na jakimś etapie wymienione na większe i solidniejsze – a to chyba dla niego nawet lepiej. No ale tak czy inaczej, to jest dla nas ogromna radość! Będziemy mieli środki na pobudowanie kościoła funkcjonalnego, kościoła, w którym będzie ciepło. Z czterema piecami, a cieśle wprowadzą dodatkowo jedno sprytnie rozwiązanie, wzniosą ściany z dwóch warstw desek, tworząc pośrodku pustą przestrzeń i wypełnią ją trocinami, by ciepło nie uciekało. Okna będą duże, łatwe do umycia, nie tak jak te powypaczane lufciki, do których nie sposób sięgnąć. Chcę, żebyśmy się w środku widzieli!

Astrid nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź. Pastor był taki podniecony, pełen zapału, taki... radosny!

– Niech poszukają tkaniny z Hekne – wtrąciła. – Jak będą rozbierać kościół.

Schweigaard zapytał, co to takiego, ona zaś opowiedziała mu wszystko, co było jej na ten temat wiadomo.

– To wyobrażenie sądu ostatecznego. Jesteś tu pastorem, musiałeś o nim słyszeć.

– Oczywiście, Astrid. Każę ludziom poszukać tej tkaniny. Masz na to moje słowo!

Mówił coś jeszcze, lecz ona już go nie słuchała. Bo nagle wszystko ułożyło jej się w głowie i stało boleśnie jasne. Przed oczyma stanął jej szkic żalostnej, niskiej wieżyczki nowego kościoła. Gdyby powieszono na niej Siostrzane Dzwony, od ich uderzeń ogłuchłaby cała parafia. Nie było tam dzwonnicy ani innego dla nich miejsca.

Przejrzała go na wylot. Udało mu się wytargować pięciokrotność zwykłej ceny, bo biorąc od nich kościół, Niemcy dostawali również coś w posagu. I to coś bardzo cennego.

Waż morski, który zniknął

Gerhard Schönauer wielokrotnie w ciągu tego dnia próbował przeprowadzić z Kaiem Schweigaardem szczerą rozmowę o brakującym portalu, lecz pastor nie miał ani sensowych odpowiedzi na jego pytania, ani też czasu. *Haushälterin* Bressum komunikowała się z nim, powtarzając norweskie zdania coraz głośniej i głośniej, do chwili aż Gerhard kiwał głową i schodził jej z drogi. Twierdziła, że pastor wprowadził coś, co pociągało za sobą „dodatkową robotę i trudności”.

Młody student kręcił się po okolicy i w pewnym momencie dostrzegł wychodzącą z plebanii dziewczynę od kamforowych cukierków. Wydawała się czymś zirytowana, a chwilę potem w drzwiach stanął pastor, posępny i wyraźnie zmartwiony. Po krótkim czasie Gerhard zauważył, że kościelne drzwi znów są otwarte. Zajrzał do środka, ale zdążył zobaczyć tyle, że nastawa ołtarzowa stoi na miejscu, potem do nawy napłynęła kolejna grupa mamroczących żałobników, a pastor wziął go na stronę i powiedział, że rysowanie nie byłoby teraz w dobrym tonie.

Wybrał się zatem na spacer po cmentarzu. Zastanawiały go żarzące się tu i ówdzie kopczyki, najwyraźniej pozostałości po palonych ogniskach. Zobaczył rząd wykopanych grobów i przestraszył się na moment, że może we wsi szaleje epidemia dżumy, ale zaraz zrozumiał, że dziury w ziemi przygotowano z myślą o zaplanowanych na ten dzień pogrzebach.

Poszedł prosto na plebanie i usiadł wstrząśnięty za zamkniętymi drzwiami. A więc tak! We wnętrzu kościoła nie wolno mu było rysować, a skoro pastor planował odprawiać pogrzeby do zapadnięcia zmroku, nie mógł też pracować przed świątynią! Nie miał też co liczyć na powitalny obiad, kapłan poinformował go, że wieczorem musi wyjść, zaś następnego dnia pogrzeby mają się rozpocząć zaraz po śniadaniu.

Gerhard pocieszył się trochę niewielką drewnianą chatką nieopodal spichlerza. Odnalazł ją skrytą za wysokimi brzozaami i z miejsca się w niej zakochał – idealnie nadawała się na pracownię. Gospodyni, która oświadczyła, iż to ona decyduje, co i jak w tym majątku, kazała służbie wynieść stamtąd rupiecie, stare deski i koła do wozów. W ich miejsce trafił do chatki heblowany stół, okopcona lampa wypełniona olejem z tłuszczu kaszalota oraz łóżko, a parobek zostawił przy drzwiach wejściowych solidny stos szczap na opał. Wkrótce już z komina buchnął dym i jedna z pokojówek zabrała się do sprzątania. Woda, którą wylała za chatą, była zastanawiająco ciemna, a gdy Gerhard rozgarnął butem stopiony częściowo w tym miejscu śnieg, znalazł w nim dwie zdechłe myszy.

Powoli się urządzał, lecz niepokój nie opuszczał go ani na chwilę. W Dreźnie wszystko wydawało mu się takie łatwe do opanowania. Początkowo zgłosił wątpliwość, czy do tak wielkiego zadania powinien zostać oddelegowany jeden tylko człowiek, nadto wszystko jeszcze student, ale Ulbricht natychmiast go uspokoił.

– Nie ma powodów do zmartwień! – oświadczył. – *Herr Schiertz* też był sam. To idealna robota dla studenta ostatniego roku. Okazje tego rodzaju zdarzają się raz w życiu. Gdy zostanie pan architektem, panie Schönauer, nie będzie miał pan czasu, by zgłębiać jakieś zagadnienie całymi miesiącami. A jeśli chodzi o kwestie praktyczne: nie wymagamy nawet, by dotykał pan desek. Najważniejsze, by wrócił pan do nas z rysunkami kościoła. Wieloma rysunkami! Dobrymi rysunkami! Szkicami każdego zakamarka i każdego kąta, w odpowiedniej skali, tak by cieśle mieli punkt odniesienia, gdy będą stawiać tę budowlę u nas. Potem wystarczy nadzorować rozbiórkę, stworzyć system oznaczenia elementów, zrobić sobie wakacje w czasie i miejscu, które uzna pan za stosowne, wrócić do Gudbrandsdalen z nadejściem zimy, dopilnować transportu i służyć naszym cieślom radą przy odbudowie.

Ulbricht oczekiwał regularnych raportów z przeprowadzanych prac, Gerhard zasiadł zatem do pisania z piórem i kałamarzem. Stołek był za niski, będzie musiał poprosić o jakiś lepszy. Przez niewielkie okienka wpadało nie dość światła, ale jeśliby ściąć rosnące tuż przy chatce rozłożyste drzewo, powinno dać się pracować.

„Nie mieści mi się w głowie, by dzieło sztuki o takiej randze jak ten portal zostało zniszczone, ale żywię niestety obawę, że tak się właśnie stało. Bezduszny pragmatyzm Norwegów wygląda dokładnie tak, jak mi go Pan opisał, Profesorze. Modernizację stawia się tu bezwzględnie na pierwszym miejscu”.

Napisał również, że zamierza rozpocząć poszukiwania zaginionych smoczycich łbów, nie wspomniał za to o fakcie, że zdaniem pastora przybył do wsi o cztery tygodnie za wcześnie. Przeszedł płynnie do dobrych wieści z Butangen, w tym najważniejszej: „*Die Schwesterglocken sind intakt*, a ton ich brzmi niczym głos samego Pana Boga”.

Ileż szczęścia przyniosą dzwony ludziom na południu! Bez trudu zdołają zagłuszyć gwar i hałas Drezna. Każde ich uderzenie wymusi chwilę refleksji w harmidrze codziennego dnia. Wzbudzi w ludziach wyższe potrzeby duchowe. Wzbogaci rozważnych mieszkańców tego centrum europejskiej kultury.

Gerhard skończył list, ale wstrzymał się jeszcze z włożeniem go do koperty. Przez okno dojrzał na podwórzu pastora i pobiegł do niego, by podziękować za przydzieloną mu łaskawie pracownię i mieszkanie w jednym.

– Świetnie – powiedział Schweigaard. – Dostanie pan wszystko, czego panu trzeba, panie Schönauer. Porozmawiajmy o tym jutro przy obiedzie. Teraz muszę się przygotować do kolejnego pogrzebu.

– Jest pewna kwestia, która nie może czekać.

– Cóż, jutro będę miał więcej czasu.

– Chodzi o ten portal, o którym już rozmawialiśmy. Kiedy mógłby pastor zbadać, co się z nim stało? Czy na przykład został przeniesiony w jakieś inne miejsce?

Schweigaard rozłożył ręce. Czy oni aby na pewno dobrze się rozumieli? Chodziło o drzwi czy o portal? Z morskimi węzami i stworami z baśni? Przeprosił gościa i wszedł do domu.

Gerhard wrócił do swojej chatki, odtworzył pośpiesznie z pamięci rysunek Dahla, złapał pastora, gdy ten wrócił na podwórze, i pokazał mu swój szkic.

Schweigaard pokręcił głową i ruszył dalej przed siebie.

– Żaden taki portal nie istnieje – stwierdził. – Za moich czasów go w każdym razie nie było.

– *Aber Herr* Schweigaard, jakim cudem został zatem narysowany przez profesora Dahla?

– Nie jestem niestety w stanie wyjaśnić panu, co Dahl tu robił przed pięćdziesięcioma laty – odparł pastor, nie zwalniając kroku. Dorzucił nieco łagodniej, że profesorowi może coś się pomyliło, a portal pochodzi z innego kościoła.

– Ale reszta rysunków Dahla zgadza się co do joty – zauważył Schönauer. – Tyle że teraz są tam wysokie dwuskrzydłowe drzwi.

Zbliżali się do świątyni. Dostrzegli, że przed wejściem stoi nie jedna, ale dwie grupy żałobników, każda ze swoją trumną. Wyglądało na to, że między zebranymi panuje pewne zamieszanie. Schweigaard szedł dalej przed siebie tym samym tempem, Gerhard Schönauer dotrzymywał mu kroku z najwyższym trudem.

– Najprawdopodobniej przybywa pan o dobrych kilka lat za późno – oświadczył pastor. – Drzwi w niemal wszystkich okolicznych kościołach wymieniono między rokiem trzydziestym a sześćdziesiątym.

– Co takiego?

– W miejscowości o nazwie Solør podczas zielonoświątkowego nabożeństwa w roku dwudziestym drugim wybuchł straszliwy pożar. W płomieniach zginęło ponad sto trzydzieści osób, a to dlatego, że kościół miał bardzo małe drzwi, otwierane na dodatek do środka. W kolejnych latach nakazano przebudowę wejść we wszystkich okolicznych świątyniach i wstawienie większych, otwieranych na zewnątrz drzwi, chociaż zakładam, że w Butangen nie wprowadzono tego w życie tak od razu. Zgaduję, ale to tylko moje domysły, że portal, którego pan szuka, zdjęto w okolicach roku pięćdziesiątego.

– Ale... to przecież tragedia!

Schweigaard zatrzymał się gwałtownie.

– Proszę mi powiedzieć: czy tragedia to ofiary w ludziach, czy zaginiony portal? Nie możemy przecież pozwolić, by parafianie nam płonęli w kościołach!

– Ale może ten portal został przeniesiony w inne miejsce? Wie pan coś na ten temat?

– Nie, nie wiem! Nie jestem panu też w stanie powiedzieć, ile niedźwiedzi przyszło na świat tej

zimy, ile lat kończy burmistrz Madrytu ani co też jadł Napoleon na obiad tego dnia w roku tysiąc osiemset czwartym! – rzucił Schweigaard i pomaszerował do czekających przed kościołem żałobników.

Gerhard Schönauer odkroił kawałek wieprzowej pieczeni i zamoczył go w sosie, tworząc kunsztowny wzór na talerzu. Kai Schweigaard odchrząknął.

– Przepraszam, że początek naszej współpracy nie wypadł najlepiej – rzekł. – Naprawdę mi przykro. Matka mawia, że to moja największa słabość. Skłonność do zaciętrzewienia. *Entschuldigung*.

Gerhard Schönauer skinął głową i odparł, że przyjmuje przeprosiny.

– Ja też byłem trochę, cóż... *mürrisch*. Jak to się mówi po norwesku?

– Hmm. Może „gderliwy” albo „marudny”. Ale proszę tak nie myśleć, panie Schönauer. Czasem, gdy jest nam ciężko, przestajemy na chwilę być sobą. Miałem też taką małą konfrontację w moim gabinecie, no i... – Pastor pochylił się nad stołem. – Gdy tylko znajdę czas, przejrzę rachunkowość i księgi kościelne, by spróbować ustalić, kiedy usunięto portal. Niestety, nasze archiwa są dość nieuporządkowane. Obawiam się, że mógł przepaść bezpowrotnie.

Jedli dalej w milczeniu. Schweigaard podsunął mu resztę zielonego groszku.

– Może będziemy rozmawiać przy obiedzie na zmianę po niemiecku i norwesku? – spytał. – Abyśmy obaj popracowali nad językiem obcym?

– Doskonale.

– Przyznam się panu do czegoś, panie Schönauer. Odkąd tu przyjechałem, marzyłem, by odwiedził mnie jakiś gość bywały w świecie, ktoś, z kim mógłbym podyskutować przy posiłku, kto wniósłby trochę wiedzy i szerszej perspektywy.

– Rozumiem.

– Proszę pozwolić, że panu naleję.

– Dziękuję. Hm. *Sehr gut*.

– Prawda? I ma pan zupełną rację! Napitek ten zwie się piwem lepszym. Jest warzony w browarze w Lillehammer. To gatunek nieco lepszy od tego, który nazywamy piwem stołowym.

Jakiś czas później odkorkowali piątą butelkę.

– Moja posługa w tej wsi to praca trochę... samotna – mówił Kai Schweigaard, napełniając ponownie ich szklanki. – Rozbiórka kościoła będzie dla wielu parafian sprawą delikatną. Dobrze, że jest nas dwóch.

– Aha – zaśmiał się Schönauer. – Chciał pan mieć współnika? Współwinnego! No cóż, oto i jestem!

Schweigaard uniósł szklankę w kolejnym toaście. Gerhard odezwał się po niemiecku:

– Skoro planuje pan budowę nowego kościoła, chciałbym zadać pytanie, które być może uzna pan za dziwne. Z czego będą zrobione klamki przy drzwiach?

Kai Schweigaard posłał mu uśmiech.

– Tego niestety nie wiem. Pewnie z kutego żelaza.

– A nie z mosiądzu?

– Nie... czemu niby z mosiądzu?

– Bo ma on właściwości, które zapobiegają chorobom. Tak zwanym bakcylozom. Odkryto to dopiero niedawno. Niemieccy metalurdzy utrzymują, że w kontakcie dłoni z mosiądzem wytwarza się niewielki ładunek elektryczny. Który zabija te bakcyle. Dzięki temu choroby nie rozprzestrzeniają się w miejscach tłumnych spotkań.

Kai Schweigaard się rozpromienił.

– Fantastyczne! Dokładnie o takie rzeczy mi chodzi. Zawsze wiedziałem, że ludzie się zarażają, bo kaszląc, zasłaniają usta ręką, a potem ściskają sobie dłonie, przed nabożeństwem przecież wszyscy to robią. Zaznaczę wyraźnie, by wszystkie klamki i poręcze zostały wykonane z mosiądzu!

Pastor upił łyk piwa i oświadczył, że bardzo podoba mu się taśma miernicza, którą przywiózł ze sobą Schönauer.

– Tak, została wykonana z wyjątkowego, nierozciągliwego płótna wyprodukowanego w specjalistycznej tkalni w Lipsku. Materiał cienki, lecz sztywny. Taśma mierzy sto stóp saskich.

– Stóp saskich? A słyszałem, że system metryczny zaczyna być teraz wprowadzany również

w Niemczech. To może być problematyczne, prawda? Że stopa nie zawsze jest stopie równa, a jednostka może być w każdym kraju inna. Tu, w Norwegii, przyjęliśmy miarę metryczną już parę lat temu. Muszę powiedzieć, że ta idea systemu międzynarodowego ma moim zdaniem dużo sensu.

– Owszem, nawróciło się na nią również Cesarstwo Niemieckie – odparł Schönauer. – Ale mój zleceniodawca upiera się przy stosowaniu dawnej jednostki miary. Wielu ludzi jest zdania, że układ metryczny nie ma dobrego zastosowania w budownictwie. Twierdzą, że w sztuce i pracach ciesielskich dużo lepiej sprawdza się system calowy, operujący całościami, połowami i częściami trzecimi, proszę tylko pomyśleć o złotej proporcji. W dawnych czasach mieliśmy nawet procedurę postępowania w sytuacji wystąpienia sporu co do saskich miar długości.

– O? Proszę opowiedzieć!

– Czterej zaufani mężczyźni, nieznający się nawzajem, mieli na rozkaz króla spotkać się w sobotę, przeznaczyć noc na podróż do losowo wybranego kościoła i stanąć przed jego wrotami. Po zakończonej mszy mieli wziąć na stronę szesnastu dorosłych mężczyzn, którzy jako pierwsi wyjdą ze świątyni, poprosić każdego z nich o zdjęcie prawego buta i ustawić zabrane w ten sposób obuwie w rzędzie, jeden but za drugim, w tej kolejności, w jakiej właściciele wychodzili z kościoła. Następnie należało odmierzyć łączną długość wszystkich szesnastu butów za pomocą cienkiego sznurka, sznurek odpowiednio przyciąć i przywieźć do króla. Taki sznurek składano pięć razy i uzyskana w ten sposób szesnasta część jego długości stanowić miała nową jednostkę, nowy standard stopy. Idealne uśrednienie, a w rezultat takiego procesu nie miały szans wmieszać się żadne siły zewnętrzne. Czyż to nie sprytne?

– Niesłuchanie sprytne! Bardzo inteligentne.

Opróżnili jeszcze jedną butelkę lepszego piwa, nim Schweigaard zadzwonił po gospodynię i poprosił o kawę. Gerhard poszedł potem do siebie, a olejowa lampka dyndała w jego dłoni. Przy wieczornym przymrozku na dworze zrobiło się ślisko, pastor wręczył mu więc na drogę spacerową laskę. Wybuchnął śmiechem, gdy Schönauer zgarbił się, udając nieporadnego starca.

Lecz w głębi duszy Gerhard dalej miał wątpliwości co do temperamentu duchownego. Otrzymał wreszcie od niego klucz do kościoła, gigantyczny przedmiot z wyslizganego do połysku żelaza, ciężki niczym rewolwer. Podobny był ciężar przestróg pastora, który kategorycznie zakazał mu zbliżania się do świątyni w czasie, gdy trwały pogrzeby. Kiedy Schönauer zaprotestował, mówiąc, że naprawdę musi narysować kościół, poczuł się, jakby drasnął miękką okładzinę, wierzchnią warstwę duszy Kaia Schweigaarda. Materia pod spodem była twarda i nieprzewidywalna, Gerhard nie podejrzewał, by dało się ją zneutralizować magiczną właściwością mosiądzu.

Za pierwszym razem wilk

– Przyszli tacy jedni, przynieśli takie szpony czy skóry i mówią, że chcą za to pieniędzy.

Gospodyni Bressum stała w drzwiach. Kai Schweigaard dokończył pisać zdanie i spojrział na nią. Takie szpony czy skóry. Ten sposób mówienia irytował go chyba najbardziej. Że też ludzie nie mogli widzieć rzeczy takimi, jakie są. Zawsze musieli stawać z boku i patrzeć na wszystko z ukosa. „Nie dostałam tej takiej czekolady słodowej, tak chyba na to mówią miastowi? A czy pastor chce też do owsianki ten taki cynamon?”

– Wiem, oni się będą dziś schodzić – powiedział Kai Schweigaard, któremu dokuczał lekki ból głowy. – Proszę ich poprosić, żeby zaczekali do dwunastej.

– Ale oni nie ma takich zegarków.

– Dobrze, w korytarzu stoi przecież zegar... ach, wszystko jedno. Kto tam jest pierwszy?

– Średni chłopak od Evensena, tego dzierżawcy z Lindvik. Kåre, tak ma chyba na imię. Nie, Karsten.

– No dobrze, w porządku. Jak mówiłem, niech chwilę zaczeka.

Przeliczył pieniądze w szarej blaszanej kasetce. Jego zegarek stał oparty o kałamarz. Wpół do dwunastej. Zawsze bał się tych spotkań z wiejskimi łowczymi. On sam przeciwko nim wszystkim. Te spojrzenia z ukosa. Nieodgadnione uśmiešky. Nerwowe gesty jak przy grze w karty. Zapach potu i lasu. Dziś przyjdzie ich pewnie wielu. Wczesną wiosną łatwiej było zapuszczać się głębiej w góry, pastor widział, jak kolejni mężczyźni z okolicznych majątków chwytają wnyki i potrzaski, by ruszyć z nimi na polowania.

Radził już sobie trochę lepiej z weryfikacją ich żądań, ale tylko Astrid potrafiła mu pomóc w chwilach bezradności. Tylko ona umiała stwierdzić, że to nie skóra rosomaka, lecz zwykłej czarnej owcy. Tylko ona prychała z pogardą, mówiąc, że to przecież kogucie pazury.

Pastor chwycił ołówek i wynotował sprawy do załatwienia na ten tydzień. Wysły mu dwie strony zapisków.

Kolejna kobieta we wsi umarła w połogu, została pochowana przed godziną, wokół trumny stała jej rodzina, mąż i dziewięcioro dzieci. Troje z nich miało na nogach za duże buty, najwyraźniej od kogoś pożyczone. Ojciec gromadki tkwił nad grobem z wykrzywioną twarzą. Był drwalem. Większość zimy pracował poza domem, latem pomagał przy spławianiu drewna. Rodzeństwem będzie musiała się opiekować najstarsza siostra. Koniec z chodzeniem do szkoły, pomyślał Schweigaard.

Wiejska akuszerka, zwana przez ludzi Framstadową, podobno dobrze знаła swój fach, ale im starsze były położnice, tym cięższe zdarzały się porody. Pastor dyskutował ostatnio o zdrowiu publicznym z doktorem i nie zdążył nawet dopić kawy, nim temat zszedł na porody. Doktor opowiedział, że jak już coś szło w tej materii nie tak, to kończyło się zazwyczaj tragicznie, a pan Baumann, lekarz okręgowy z sąsiedniej wsi, przeprowadził raz operację polegającą na wykrojeniu dziecka z brzucha matki.

– Nie było innego wyjścia – oświadczył doktor. – Tkanki miękkie miała pozarastane po wcześniejszych ciążach.

Wyjaśnił, że wszystkie kobiety, które się w ten sposób rozkrawa, umierają, lecz ta jedna matka ku zaskoczeniu wszystkich przetrwała operację. Żyła jeszcze dwadzieścia sześć dni, lecz zmarła, próbując wstać z łóżka, najpewniej na skutek odleżyn albo zakrzepu.

– Nikt w Norwegii nie przeżył tak długo po tego rodzaju operacji – dodał doktor. – A to się stało tutaj, całkiem niedaleko. W małej zagrodzie w Øyer, rok pięćdziesiąty szósty. Położnica była ponoć jeszcze dość młoda, sporo przed trzydziestką. Wszyscy to pamiętają. Rzecz jasna również Baumann. Nigdy potem już nie powtórzył takiej operacji.

Schweigaard pojechał po tej rozmowie do domu pogrążony w myślach. Dzień później odłożył „Morgenbladet” i zaczął się zastanawiać, czy artykuły z zagranicy nie są pisane przypadkiem na jakimś innym globie. Telegraf, kolej, codzienne dostawy poczty, szczepionki na ospę. Może pewnego dnia i porody przebiegać będą łatwiej. Może w Norwegii łatwiejsze będzie życie. Tylko kiedy? Fała za falą

zalewała go świadomość, że tu, w Butangen, musi nieustannie walczyć z opornymi pozostałościami po minionych czasach. W Europie królowały zmiany i kult zdrowego rozsądku, lecz on w swojej batalii z mrozem i nędzą, gruźlicą i niedożywieniem, ciemnotą i zabobonami dysponował tylko amboną i kasetką z funduszem pomocy dla ubogich.

Może to ta właśnie rozpacz obudziła w nim wściekłość tamtego dnia, kiedy łąjął Schönauera. Wściekłość, z którą, jak sądził, zdążył się już uporać. Już gdy odprawiał nabożeństwo pogrzebowe, zaczął się wstydzić swojego impulsywnego słowotoku o obiedzie Napoleona i rodzących się w górach niedźwiedziach. Schönauer był uprzejmy, ale chciał koniecznie zadowolić swoich pracodawców. Przekazał mu list, prosząc o jego wysłanie, i uprzedził, że zapłata za kościół ulegnie być może redukcji, skoro okazało się, że portal gdzieś zniknął. Jeden z warunków kontraktu zakładał bowiem, że świątynia ma być *In demselben Zustand wie auf Dahls Zeichnungen* – zakupiona w takim stanie, w jakim utrwalona została na rysunkach Dahla.

Schweigaard włożył list do szuflady i postanowił zapomnieć o nim do czasu kolejnej wizyty poczytliwa. Portal to jedno, jeszcze gorzej przedstawiała się sprawa z kościelnymi dzwonami. Od czasu do czasu zdarzało mu się słyszeć ludzkie gadanie, że potrafią one dzwonić same z siebie. Było to zresztą typowe dla tych fantastycznych opowieści, którymi wieśniacy lubili zabawiać się przy stołach. Bardzo trafnie ujął to zresztą biskup:

– Dzwony, które wieszczą niebezpieczeństwo? Moc większa od mocy Boga? Sam przecież słyszysz, ile się z tego bierze zabobonów. Pozbądź się ich. Zrobimy tak, że dostaniesz stare dzwony z kaplicy w Gausdal, one nam zostały w zapasie!

Schweigaard podszedł do stojącej w rogu gabinetu kasy pancernej i wyjął z niej księgę konsystorską, zwaną w tych stronach *kirkestolen*, czyli kościelnym stolcem. Na studiach długo zachodził w głowę, czemu nazwy tej używa się w odniesieniu do prowadzonej przez kościół rachunkowości, i długo żył w przekonaniu, że są to spisy zawartości zamykanych na klucz skrytek pod siedzeniami dawnych ław kapłańskich, w których przechowywano ornaty czy inne kosztowności. W końcu jego teorii zadał kłam jeden z wykładowców, wyjaśniając, że słowo *stol* może także po prostu oznaczać pożyczoną kwotę pieniędzy. Aktualna księga konsystorska dla Butangen obejmowała historię parafii, począwszy od roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego ósmego, i również Schweigaard prowadził w niej swoją rachunkowość. Duża część wpisów jego poprzedników była zagmatwana lub zupełnie nieczytelna. Tylko nieliczni z nich pełnili tu swą posługę przez dłuższy czas, wiele z ich zapisków było chaotycznych bądź przeczyło sobie nawzajem. Księga zawierała ponadto czasowe luki o długości roku czy dwóch, kiedy to kapłani nie odnotowywali ani słowa. Schweigaard zaczął przeglądać kolejne strony, starając się odszukać informacje o wymianie portalu, ale bardziej zaciekała go sprawa kościelnych dzwonów. Poza tym Astrid wspomniała coś o jakimś gobelinie, tkaninie z Hekne.

Wrócił do kasy pancernej, wyjął z niej najstarszą księgę konsystorską i zastukał knykiem w grubą skórzaną oprawę. Gotyckie litery, brązowy atrament. Pierwsze słowa w księdze skreślono w maju 1662 roku. Papier miał nierówne brzegi, zapewne nadgryzione przez myszy, wydzieliał ponadto nieprzyjemny zapach pleśni. Na pierwszej stronie znajdował się spis kościelnego majątku. Dwa dzwony, „stare”. „Na pamiątkę zrośniętych sióstr z Hekne”.

Ach tak. „Stare”. Czyli musiały zostać odlane na długo przed 1662. „Zrośniętych”? Chodziło zapewne o bliźniaczki. Niestety księgi kościelne z czasów, w których żyły wspomniane siostry, przepadły, ale w sporządzonym później spisie kościelnego majątku faktycznie wspomniano o gobelinie z Hekne. Pastor przerzucał dalsze karty, przeglądając kolejne spowite mrokiem stulecia. Tego rodzaju inwentaryzacje przeprowadzano nie częściej niż co jakieś dwadzieścia lat. Jaki właściwie stosunek mieli tamtejsi ludzie do czasu? Schweigaard przewertował stary tom do końca, po czym sięgnął znów po najnowszą księgę konsystorską. Gobelin widniał na liście z roku 1799, lecz w spisie sporządzonym w 1823 – już nie.

Udało mu się za to trafić na ciekawy wpis pod datą roczną 1844. „Październik. Nowa partia wejściowa kościoła”.

I tylko tyle.

Zirytowany wrócił do kasy pancernej i zaczął przeglądać stare, nadszarpnięte zębem czasu

notatniki. Jeden z nadpleśniałych tomów zatytułowano *Zapiski kapłana*. Notatki prowadzone były starannie do roku mniej więcej 1810, kiedy to do wsi zawitać musiał jeden z bardziej bałaganiarskich z natury pastorów. Kapłan ten wypełniał kolejne strony brudnopisami kazań i innymi zapiskami, dla których nie znalazło się miejsce w innych księgach. Zdania pełne były wtrąceń i uwag odnoszących się do różnych niezwiązanych ze sobą tematów.

Schweigaard przebił się przez notatki aż do roku 1844, a tam – nareszcie!

„Nakaz królewski wstawienia nowych wrót w kościele po strasliwym pożarze w Solöer w latach 20. Drzwi wysokie. Z rodzaju otwieranych na zewnątrz. 4 talary za materiał i 1 talar za robociznę. Stare drzwi i rama z pogańskimi figurami oddane cieślom Bergliemu i Hallumowi na opał. Z wynagrodzenia potrącono 1/8 talara”.

Na opał! Jak to możliwe, że tamten kapłan był aż tak krótkowzroczny?

Schweigaard stanął przy oknie. Będzie mógł stąd wyjechać najwcześniej za trzy, może cztery lata. Przepeliło go jakieś nieznanne uczucie, zaciskając mu żołądek. Czyżby... żałował? Nie. Ale był to może przedsmak żalu, który dopiero miał nadejść. Myśl, że za czterdzieści lat ktoś powie o Kaiu Schweigaardzie: do rozbiórki! Jak to możliwe, że tamten kapłan był aż tak krótkowzroczny?

Ktoś zapukał do drzwi. Gospodyni obwieściła, że zegar wskazuje dwunastą. Zza jej pleców wyłonił się młody energiczny chłopak, dzierżący w dłoni pęczek czarnych szponów.

– Dwie gapy się wczoraj złapały! – oświadczył. – Wpadły prosto w sidła.

Schweigaard chwycił pióro i powiedział.

– Karsten, tak masz na imię?

– Raczej Knut.

Pastor skinął głową, zanotował coś w dzienniku i podniósł wzrok.

– A pokaż no, co tam przyniosłeś.

Chłopak położył dwie pary czarnych szponów na blacie biurka i wbił wzrok w sufit.

Gapa... – pomyślał Kai Schweigaard. Czy to inna nazwa kruka?

– Wydają się trochę małe – rzucił.

– Młode ptaki – odparł Evensen.

– Młode ptaki o tej porze roku? A nie masz przypadkiem jakichś piór ze skrzydeł?

– Nie, obciąłem im tylko nogi i wyrzuciłem paskudy – odparł łowca.

Pastor wstał.

– Gapa, wilk i rosomak to także stworzenia Boże. Ale nie rozumieją Bożych słów z Księgi Rodzaju. Ty chyba je znasz?

Chłopak przekrzywił głowę i trudno było powiedzieć, czy było to przytaknięcie czy zaprzeczenie.

– Jesteś konfirmowany, prawda? – spytał Kai Schweigaard.

Evensen kiwnął głową.

– Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię – powiedział pastor. – Ale chodzi tu o ludzi. Nie o gapy – przestudiował otrzymaną od lensmana tabelę i wypłacił synowi dzierżawcy nagrodę za dwa kruki. Szpony wrzucił do dolnej szuflady biurka.

Kolejnym łowcą był dorosły mężczyzna. Przyniósł parę żółtawych szponów.

– Orzeł – oświadczył krótko. Chwycił płócienną torbę i wyciągnął z niej wielki łeb drapieżnego ptaka z mocnym dziobem oraz jedno brązowe skrzydło. Kai Schweigaard chwycił je między kciuk a palec wskazujący. Pióra były postrzępione i połamane. Orzeł musiał miotać się w pułapce całymi godzinami, uderzać daremnie skrzydłami setki razy, aż w końcu zdechł, zwisając głową w dół. I został przyniesiony tutaj, przedstawicielowi Boga w Butangen, by jego morderca dostał wynagrodzenie. Tutejsze zwyczaje łowieckie z początku budziły odrazę pastora. Tradycyjnymi narzędziami do polowań były w tych stronach sidła i wnyki, zwierzęta oraz ptaki konały zazwyczaj z głodu, zanim ktoś po nie przyszedł. Orły i jastrzębie łapały się w pułapki na porozstawianych w górach wysokich słupach. Skrzydlate drapieżniki uznawały je za dobry punkt do obserwacji terenu, nie wiedziały jednak, że na szczycie słupa czeka na nie samolapka.

Pastor przymknął oczy. Tutejsi ludzie umierali tak samo żałośni i zagłodzeni jak te zwierzęta. Miał już zapłacić, ale w ostatniej chwili się zreflektował. Te szpony. Czy nie były przypadkiem

zastanawiająco małe? A ta orla głowa nie wydawała się trochę zasuszone? Czy przypadkiem nie pokazywał mu jej kilka tygodni wcześniej inny myśliwy?

Podniósł wzrok na mężczyznę. Jego kurtka miała zbyt krótkie rękawy i brakowało mu dwóch przednicy zębów.

– W porządku – powiedział Kai Schweigaard, wrzucił szpony do szuflady i otworzył kasetkę z pieniędzmi.

Kolejny łowca przybył z Røen. Przyniósł ze sobą skórę wilczego szczenięcia.

– Wilk? – powiedział pastor. – Gratulacje! – wziął od niego skórę i zanurzył palce w futro, gładząc je pod włos, potarł je między palcami tak, jak pokazała mu Astrid, i podszedł do okna. Zmarszczył czoło.

– Hm – powiedział Schweigaard. – To skóra wilka, prawda?

– A owszem, wilka, pewno.

– Tylko że sprawa wygląda tak, panie Røen, że mnie to wygląda na piesaka. Białego lisa. A nagroda za niego wynosi tylko cztery korony, nie zaś dwadzieścia.

– A.

– Wyplacam natomiast identyczną kwotę za zwierzęta młode i dorosłe. Bo plan na życie mają właściwie ten sam. Może się pan pocieszyć tą myślą.

– Jak go brałem, to mi się zdało, że to wilk – powiedział Røen.

– Nie, to na pewno piesak. Futro ma zbyt krótki włos. I jest zbyt miękkie.

– A tak. Faktycznie trudno je rozróżnić, jak są młode. Czyli to nie wilk?

– Niestety. Jeszcze jedno, panie Røen – rzucił Kai Schweigaard, wskazując na swoje biurko. –

Widzi pan ten notatnik?

– A pewnie. Widzę.

– To dziennik, w którym prowadzę spis nagród za odstrzelone drapieżniki. A teraz, gdy obejrzałem tę skórę, to coś sobie chyba przypominam. Te małe plamki... o tutaj, widzi pan? Cóż, zdaje mi się, że są w tym samym miejscu co na skórze, za którą dałem już jakiś czas temu nagrodę Janowi Brendenowi. Zapłaciłem mu jak za wilka, ale teraz widzę, że to była pomyłka. Możliwe, że doszło tu do jakiegoś nieporozumienia. A może liski były z jednego miotu? Gdzie pan złowił tego szczeniaka?

– W górach, przy Øverlihøgda.

– Ach tak, dobrze. No cóż panie Røen. Nie będę roztrząsał tej sprawy. Faktycznie niewykluczone, że to szczenięta z jednego miotu. Zazwyczaj obcinam dwa pazury z łapy by zaznaczyć, że nagroda została już wypłacona, ale pan Brenden twierdził, że oskórował zwierzę z pominięciem łap, i widzę, że pan zrobił to samo.

– A... tak. Bez łap, a jakże.

– To taka wasza... tradycja, prawda?

– A tak. Zawsze tak robimy.

– No dobrze, proszę mnie teraz posłuchać, panie Røen – powiedział Kai Schweigaard, kładąc skórę na biurku. – Widzi pan ten stempel? Krzyż na nim świadczy, że to pieczęć kościoła. Przyciskam ją teraz do poduszeczki z tym czerwonym atramentem... o tak... i przystawiam tu z tyłu. Od teraz tak będziemy rozstrzygać wątpliwości. Kupiłem specjalnie silny kwas garbarski, którego dodałem do atramentu, żeby znak nie spłynął, nawet jeśli zaskoczy pana ulewa.

– Aha. Tak.

– Nie musi się pan bać, że skóra się zamoczy albo że pomyli pan ją przypadkiem z inną, za którą ktoś już zainkasował nagrodę.

– A nie, to dobrze.

– Oto pana pieniądze, panie Røen. Moje gratulacje. Potrzebuje pan może skórzanego mieszka na monety?

– Mam wolne miejsce w starym, ale bardzo pastorowi dziękuję.

– Widzimy się w niedzielę na nabożeństwie, prawda? Z całą pana rodziną?

– Może się tak zdarzyć.

– Panie Røen! Proszę mi powiedzieć: może się tak zdarzyć czy też tak się zdarzy?

– A. Owszem. Pewnie się zdarzy.

– W takim razie do zobaczenia w niedzielę. Bezpiecznej podróży do domu. Proszę rozsądnie wydać pieniądze. I pozdrowić rodzinę.

Po wszystkim, gdy po blacie biurka fruwał ptasi puch i futrzane kłaki, pastor opadł ciężko na krzesło. Najpewniej była to ta sama skóra, a jeśli tak, to zapłacił dwukrotnie za tego samego białego lisa, przy czym za pierwszym razem w przekonaniu, że to wilk. No, ale niech już tak będzie. Mężczyzna był wychudzony, a jego dzieci nie wyglądały pewnie lepiej. Nagrody za zabite drapieżniki wypłacał zarząd okręgu, wystarczyło poprosić, a przyśle więcej pieniędzy. Był to w sumie naprawdę dobry system. Zapewniał dodatkowy zarobek dla ubogich, zmniejszając jednocześnie liczbę nieproszonych, żarłocznych gości przy półmiskach Pana. Pieczęć przystawiana na skórach powinna pomóc. Ale ludzie zaczną mu pewnie niedługo przynosić szpony ptaków, których nigdy jeszcze nie widział na oczy. Szachrajstwa zaczną się mnożyć.

Kogo miał prosić o radę?

Wydawało się to dość oczywiste.

Bądź wobec siebie szczery, pomyślał. To w tobie nigdy nie zgąsło, prawda? Pot kroplący się na jej czole, drżenie naprężonej tkaniny obrusa, ciepło w twoich łądźwiach, gdy widziałeś pulsującą żyłkę na jej szyi.

Nie jesteś wykastrowanym mnichem, powiedział sam do siebie. To nie powinno tak wyglądać. Żona i dzieci, oto co sprzyja kapłańskiej posłudze. Dziewczyna jest poza tym mocna. Ma mocną głowę, mocną wolę, która ponadto zbiega się z twoją własną, wolę wywrócenia zastanego we wsi porządku do góry nogami.

Astrid nigdy nie powiedziała „taka ta czekolada słodowa”. I nigdy by tego tak nie ujęła. „Czekolada słodowa!”, oświadczyłaby z pewnością siebie. Zupełnie jakby prawo, by jej posmakować, miał każdy człowiek bez wyjątku.

Chwilami zdawało mu się, że wie, co ona lubi, i że imponują jej wielkie czyny. Była z rodzaju tych, co dostrzegają rycerstwo i odwagę. Nowy kościół. Czyżby, zabierając się do tego projektu, Schweigaard chciał zrobić wrażenie nie tylko na biskupie, ale też trochę na niej?

Ida Calmeyer zaczęła mu się w tym wszystkim wydawać zaskakująco odległa. Chwycił papier listowy i napisał: „Moja najdroższa Ido”.

Siedział przez chwilę, patrząc na te trzy słowa.

Wiedział, że kłamia.

Dwie wiewiórki i tyle

Usiedli przy stole, by zjeść *soll*, pokruszone kawałki chrupkich placek zalane mlekiem. Ojciec milczał. W tym tygodniu musiał zabić konia, dobrą klacz o imieniu Mira. Kopnęła ją w łeb młodsza klaczka pożyczona od sąsiadów. Tragedia wielka jak każda inna. Końskiego mięsa nie jedli, mimo że spichlerz świecił pustkami, było to uznawane za zwyczaj pogański, a w gospodarskiej hierarchii dobry roboczy koń stał tylko stopień niżej od dziedzica majątku. Powlekli więc Mirę w dół zbocza, jak najdalej od strumienia i pochowali ją pod przyniesionymi ze skalnego rumowiska kamieniami.

Astrid spojrzała na zebranych przy stole. Ojciec zajął miejsce u szczytu, miał na sobie czarne wadmelowe spodnie i biały kaftan. Najpewniej nadal myślał o klaczy. Był mężczyzną posępnym, naznaczonym trudami życia, ale latem, gdy wszystko wokół niego kwitło i dojrzewało, zmieniał się nie do poznania. Tego ranka przyczesał swoje krzaczaste brwi i przyciął brodę, która zaczynała mu już siwieć, mimo że miał zaledwie czterdzieści kilka lat.

Chwycił dzban z mlekiem. Jako kolejny dostałby go Emort, dziedzic na gospodarstwie, który przekazałby go następnie usadzonym według wieku braciom. Dopiero gdy najmłodszy chłopcy napełniali swoje talerze, przychodziła kolej na Astrid i jej siostry.

Miejsce Emorta było dziś jednak puste, ojciec podał więc dzban szesnastoletniemu Oswaldowi. Chłopak przesunął się na ławie, zajmując wolne miejsce starszego brata, który leżał w łóżku, rozgorączkowany i zasmarkany, po tym jak biegał po dworze w zbyt cienkim ubraniu. Matka strasznie się na niego zezłościła, odkrywszy, że się przeziębził.

– Wiosna to nie żarty, tyle razy przecież mówiłam! – łajała go. – Możesz się nabawić choroby płuc i nam zemrzeć!

Po przeciwnej stronie stołu chrupkie placki trzeszczały już między zębami Osvalda i młodszych braci, Lauritsa, Ivara i Hjalmara. Dzban z mlekiem wreszcie dotarł do dziewcząt, Astrid nalała sobie trochę i podała go siostrze, Oline i Minie. Na stół trafił tylko jeden dzban i wszyscy wiedzieli, że nie będzie on na nowo napełniany. Lecz głośno tego rzecz jasna nie powiedziano, a Astrid cieszyła się, że nikt spoza ich gospodarstwa nie może teraz do nich zajrzeć i zobaczyć, jak się u nich mają sprawy.

Wreszcie Oswald nie wytrzymał:

– Nie za dużo dzisiaj tego mleka – oświadczył, wskazując dzban skinieniem głowy.

– A czego się spodziewasz, jak karmisz konie paszą odłożoną dla krów? – spytała Astrid.

– Cisza przy stole – upomniała ich matka.

Dzban zakończył swoją wędrówkę wokół stołu. Siostry Astrid siedziały wcześniej ze skwaszonymi minami, zerkając na domowników z ukosa i pilnując, by nikt nie nalał sobie za dużo. Ale gdy same napełniły swoje talerze, zapomniały o bożym świetle i rzuciły się na jedzenie. Mimo to blat pozostał czysty i nikt nie uronił ze swojego talerza ani kropelki, bo głodni ludzie nie marnują stawy.

Cały dzień dręczyło ją dziwne podenerwowanie. Czyżby Schweigaard naprawdę nosił się z zamiarem wyprowadzenia kościelnych dzwonów ze wsi? Miała wrażenie, że cały jejród, łącznie z Eirikiem Hekne, wstał z grobów, by wybrać ją na swego posłańca, a ona już zaczęła się zastanawiać, co mogłaby powiedzieć: „Pastorze Schweigaard. Zadam ci teraz pytanie, a w tej izbie dość jest Biblii i krzyży, byś musiał odpowiedzieć zgodnie z prawdą. Nie sprzedałeś chyba Siostrzanych Dzwonów?”.

A on z pewnością odpowiedziałby jej jakimś wykrętem: „Cóż, to nie tak, że...”.

„Czyś zupełnie postradał zmysły? To wszak dar od nas, od rodu Hekne!”

Później trochę się uspokoiła. Przecież niemożliwe, by pastor był tak podstępny i ukrywał przed nią taką decyzję. Z pewnością sprzedał sam budynek kościoła. Chrzcielnica, nastawa ołtarzowa, Siostrzane Dzwony, to wszystko zostanie we wsi. Poza tym coś zaczęło jej się kołatać w głowie, te jego słowa o jakimś portalu. „Kunstowne ornamenty. Wizerunki baśniowych stworów i jakiś straszny wąż”.

Tego samego dnia zobaczyła na podwórzu ojca, który wyszedł właśnie z kuźni. Gdy usłyszał, że Astrid za nim idzie, zwolnił kroku, by mogła go dogonić.

– Czy dziadek – zaczęła dziewczyna – wspominał kiedyś o Oblubienicy z Midtstrand albo Wężu u Wrót?

– Nic takiego sobie nie przypominam. A dlaczego pytasz?
– Klara coś o tym mówiła.
– Och, kochanie. A czym miałyby być ten... jak ty go nazwałaś... Wąż u Wrót?
– Nie wiem, to chyba miało być coś w kościelnej kruchcie.
– Ona ciągle wymyślała jakieś dziwne historie. O kruchcie wiem tylko tyle, że kiedyś wymieniono tam drzwi. Na te, które są tam teraz, wyższe niż wcześniejsze.
– A kiedy to było?
– Chyba jak jeszcze byłem mały i nie musiałem się schylać, żeby wejść do kościoła. Zawsze wchodziłem na nabożeństwo wyprostowany i nigdy sobie nie zawracałem tym głowy. Mam teraz większe zmartwienie, Emortowi się pogorszyło.

Astrid poszła za ojcem do domu. Najstarszy brat leżał w osobnej izbie. Był blady, spocony i skarżył się na ból gardła. Przyznał w końcu, że nabawił się gorączki, rozstawiając sidła. Miał najwyraźniej nadzieję schwytać kunę, ale ojciec potrząsnął głową i stwierdził, że polowanie na zwierzęta futerkowe w okresie wiosennych roztopów to głupota, bo to przecież czas linienia, poza tym za kuny nie wypłaca się nagród, a na to wszystko z niejasnej, rozgorączkowanej relacji syna nie sposób było nawet wynioskować, gdzie rozstawił pułapki.

– Ja się nimi zajmę – powiedziała Astrid. – Wiem, gdzie są.

Następnego ranka otworzyła oczy o świcie, obudził ją bardziej niepokój niż światło nowego dnia. Leżała z głową w nogach łóżka, w ten sposób mogła się zawsze budzić, gdy na jej twarz padały pierwsze słoneczne promienie. Mała Oline wciąż spała głębokim snem, zwinęta w kłębek pod skórzaną narzutą na sąsiednim pościeliu.

Astrid włożyła spódnice, wyszła z domu i ruszyła przed siebie gęstym świerkowym lasem rosnącym między Hekne a Syverud. W okolicy niewiele było już takich starych drzew, większość została wycięta, górskie zbocza stały nagie, ludzie potrzebowali drewna na budulec, opał i narzędzia, na łodzie i ogrodzenia. Wkrótce Astrid odnalazła ślady brata, częściowo zatarte odciski jego butów w szarawych resztkach leżące na ziemi śniegu.

Bez trudu sobie wyobraziła, jak myślał chłopak i które wybrał drzewa. Emort sam zrobił w kuźni trzy pułapki na kuny, wykonane z precyzją i finezją, poza tym korzystali z żerdzi stojących od lat w tych samych miejscach. Mocowali do nich zbite ze sobą na kształt cyfry 4 patyki, połączone zarówno z samą żerdzią, jak i z przynętą. W takie pułapki łapały się różne zwierzęta, kuny i gronostaje, sroki i wiewiórki, a raz nawet kot domowy, którego na szczęście nie rozpoznali.

Słoneczne promienie przeciskały się pomiędzy czubkami drzew, a Astrid zwolniła pułapki opadające i odszukała potrzaski na kuny porozstawiane przez brata. Złapały się w nie dwie wiewiórki. Niezbyt cenny łup, ale z ośmiu czy dziewięciu skórek dawało się już uszyć muflę, a i mięso nie smakowało najgorzej. Jedna z wiewiórek musiała wpaść w potrzask niedawno i trochę się wrywała, Astrid zacisnęła dłoń na jej brzuszku i ją dobiła. Włożyła wiewiórki do płóciennego worka i usiadła na obalonym przez wichurę drzewie.

Roztopy zaczęły się na całego, większość pól leżała już przed nią naga, ale nocne przymrozki nadal ścinały kropelki wody na gałęziach iglastych drzew; ich szpilki oblepione były teraz dorodnymi, lśniącymi kulkami lodu. Astrid odłamała ostrożnie gałązkę i wsunęła ją do ust. Lód roztopił się natychmiast na jej języku, niosąc ze sobą lekki posmak sosny. Dziewczyna wsunęła dłonie do płóciennego worka, by ogrzać je ciepłem ciała zabitej przed chwilą wiewiórki. W górze krążyły dwie wrony, które po chwili, nie dostrzegłszy jej, wylądowały na pobliskiej kupie topniejącego śniegu i zaczęły szukać czegoś do zjedzenia.

Kawałek dalej, w dole zbocza, leżał przed nią kościół.

Astrid nie rozgrzała się jeszcze po nocy, nie opuszczał jej też niepokój. Pastor był nią może i zainteresowany, ale nie w ten sposób. Gazeta pozostawała gazetą, a pled podróżny – pledem podróżnym.

Za jej plecami śnieg osunął się z drzewa na ziemię. Wolna od ciężaru gałąź odskoczyła giętko, podkreślając doniosły fakt wyswobodzenia się z okowów zimy posłaną w powietrze chmurką wodnych kropelek, po czym wyprostowała się dumnie pod nieco ostrzejszym kątem.

Skorupa zmarzniętego w nocy śniegu pękała pod butami Astrid, gdy ta wychodziła z lasu. Wybrała dłuższą drogę nad brzegiem Løsnesvatnet, by sprawdzić, czy skuwający je lód zaczął topnieć. Północny kraniec jeziora nadal był zamrznięty i szary, po południowej stronie majaczyły zaś wolne od lodu, czarne, parujące wody. Działo się tak dlatego, że głębszy z tej strony zbiornik utrzymywał ciepło, lecz Klara powtarzała raz za razem z przejęciem i przestrachem, że południowy kraniec Løsnesvatnet nie ma dna i leży bezpośrednio nad piekłem.

„Jeśli masz rację, to piekło musi być niewielkie” – odpowiadała jej Astrid, bo przecież północny kraniec jeziora co roku zamarzał, lecz Klara odpowiadała jej na to, intonując, jak do modlitwy: „Mróz i ogień kochają się w sobie”.

Była dla Klary taka surowa! Surowa i niewyrozumiała! Tylko dlatego, że staruszka co jakiś czas dygała, powtarzając te swoje bzdury. Astrid przypomniały się tamte odgłosy. Odrażający chrzęst, gdy skóra odlepiła się od ściany. Dźwięk pękającej kości, kiedy głowa zmarłej uderzyła o kościelną ławę. Niczym wielkie, ugotowane na twardo jajo.

Teraz Astrid tęskniła za Klarą, tak jak tęskniła za dziadkiem. Brakowało jej ich żarliwej, nieskrępowanej konwenansami wiary. Dziadek, gdy reumatyzm uniemożliwił mu już pracę, przesiadywał przy piecu w towarzystwie kota, wsuwał obolałe palce w nagrzane kocie futerko i cieszył się z każdego, kto miał ochotę go słuchać. Astrid zaś rzadko odchodziła od pieca i historii dziadka, nim ktoś dwukrotnie jej nie przypomniawszy, że czas wracać do roboty.

Dziadek smucił się, bo tak niewielu miało ochotę słuchać o „dawnych dziwach”, jak sam to nazywał – ludziom brakowało czasu na jego rozważania o przyczynach wszechrzeczy. On zaś pamiętał niemal wszystkie stare historie, pilnował, by nie mieszać prawdy i wymysłów, nawet jeśli miałyby to uczynić opowiadanie ciekawszym. Ojciec Astrid interesował się tylko tym, co mogło mu się przydać do pracy w polu i przy zwierzętach. Dziadek usprawiedliwiał go, mówiąc, że takie nastąpiły czasy. „W gorszych latach ludzie są głodni i nie potrafią myśleć szerzej. Wcześniej mieliśmy czas, żeby sobie podumać nad życiem. Studiować kolejność zdarzeń. Tak jak i my dwoje teraz, Astrid”.

Uczył ją o gwiazdnych konstelacjach i przepowiadaniu pogody, a gdy skoczyła dziesięć lat, wyjawiał jej, że Czarny Lud i Baba Kari tak naprawdę nie istnieją, że to tylko straszdyła, o których od najmłodszych lat opowiadało się w dolinie jej i wszystkim innym dzieciom. W gospodarstwie było za dużo roboty, by dorośli pilnowali, gdzie bawią się maluchy, więc lepiej było pozwolić tym istotom strzec piwnic, strychów i studni, bo nawet gdyby dzieci naprawdę odważyły się tam zapuścić i zajrzeć do środka, to przynajmniej była jako taka pewność, że będą na siebie uważać.

Inne zaś historie, nawet jeszcze dziwniejsze, były za to zdaniem dziadka najprawdziwszą prawdą. Wspominał na przykład wiele razy o zrosniętych dziewczynkach, które przyszły kiedyś na świat w ich rodzie, o tkanu i Siostrzanych Dzwonach.

– Jaka szkoda, że one wszystkie przepadły – powiedziała Astrid. – To znaczy te ich tkaniny.

– Widzisz, minęło tak wiele czasu. One przechodziły z rąk do rąk. Wielu przykrywało nim kołyski noworodków, bo mówiło się, że chore dzieci od nich zdrowieją. Flamandzka tkanina, tak niektórzy nazywali te prace. Bliźniaczki wyrabiały także poszwy na poduszki. Przez lata wiele z tego się zniszczyło. Ale możliwe, że coś jeszcze zostało. Słyszałem, że jakiś fotel bujany z gospodarstwa pod Dombås został ozdobiony tkaniną z Hekne i w tym jednym fotelu nie wolno nikomu siadać.

– Czyli u nas nic nie zostało? – spytała Astrid, rozglądając się po salonie udekorowanym rękodziełem wielu wcześniejszych pokoleń: były tu tradycyjnie malowane meble, rzeźbione bibeloty, ozdobne kilimy i haftowane obrusy.

Dziadek pokręcił głową i odrzekł, że sam widział jeden tylko tkany obraz, który na pewno wyszedł spod rąk sióstr Hekne. Został on подарowany kościołowi i wisiał przy chrzcielnicy.

– To było przedstawienie nocy oskrobanej – wyjaśnił. – Pamiętasz, co to takiego?

Astrid pokiwała głową.

– Ich ostatnia praca – powiedział dziadek. – Ludzie mówili na nią po prostu „tkanina z Hekne”. Oglądałem ją jako mały chłopiec i pamiętam, że bardzo się jej bałem. A potem ona gdzieś przepadła i nikt nie wie, jak to się stało ani gdzie teraz jest.

Astrid zapytała, co wyobrażał obraz.

– Był prostokątny i bardzo duży. Kolory miał mocne, jaskrawe i przedstawiał ludzi, którzy przed czymś uciekali. Na niebie widniały ptaki o ludzkich twarzach, które pluły ogniem. Ludzie wybiegali z wielkich, dziwnych domów. Siostry z Hekne utkwały też w jednym z rogów wizerunek siebie samych.

– To te ptaki cię przerażały?

– Właściwie nie, chodziło raczej o to, co wiedziałem o historii powstania tego obrazu. Bo widzisz, to było tak, że zrosnięte bliźniaczki dzieliły ze sobą pewne zmysły. Jeśli jedna z nich chwyciła coś do rąk, druga też czuła dotyk tego przedmiotu. To, na co jedna patrzyła, widziała także druga. Podobno bawiły się tak, że jedna zasłaniała sobie oczy, a druga zerkała na coś straszego, co miało wystraszyć jej siostrę. Raz zapytałem doktora, czy coś takiego jest w ogóle możliwe, a on mi powiedział, że owszem. Właśnie dzięki temu tkwały takie piękne obrazy. Były jedną osobą, a zarazem dwójkiem ludzi. Ale to nie dlatego bałem się patrzeć wprost na tkaninę z Hekne.

– Nie?

– Bałem się, bo usłyszałem o dniu, w którym ta praca została ukończona. Dziewczyny wiedziały, że umrą, i tkwały, aż jedna z nich odeszła. Ale druga żyła jeszcze potem przez kilka godzin.

– I tkwała dalej, mimo że jej siostra zmarła?

Dziadek pokiwał głową.

– A skoro bliźniaczki dzieliły zmysły, dziewczynka mogła zajrzeć do królestwa śmierci, a może nawet w przyszłość.

Dziadek zaczął opowiadać o niezwykłych właściwościach Siostrzanych Dzwonów.

– One nie dzwonią z błahych powodów. Nie wieszczą nadejścia bandytów ani pomniejszych osunięć ziemi. Biją wtedy, gdy ludzie muszą się ocknąć i podjąć właściwe decyzje. Albo zapowiadają katastrofy, tak jak pewnego razu w osiemset czterem.

Wyjaśnił, że dzwony zaczęły bić same z siebie piątego sierpnia tamtego roku. Słyszając ich dźwięk, mieszkańcy wsi zaczęli wychodzić na podwórza, jeden po drugim. Poczyniono przygotowania, powystawiano warty, przyniesiono strzelby i napełniono prochownicę, odważni mężczyźni wspięli się na górskie zbocza, dziewczęta stały gotowe, by zadać w rogi i ostrzec o niebezpieczeństwie, reszta ludzi czuwała. Ale nic się nie wydarzyło. Ani tego, ani następnego dnia. Napięcie we wsi opadło, a okoliczni mądralsi zbadali kościelny fundament, dochodząc do wniosku, że zapadł się trochę przy jednym z rogów, wywołując w ten sposób wstrząs, który dotarł aż na wieżę, sprawiając, że dzwony zaczęły bić.

Sześć tygodni później przybył lensman, niosąc straszną wiadomość. Kilka miesięcy wcześniej piętnastu mężczyzn posłano na wojnę ze Szwecją i właśnie piątego sierpnia rozegrała się bitwa pod Matrand. Tamtych piętnastu przeżyło samo starcie, ale umarło potem na zatrucie krwi w szpitalu polowym w szańcach Vinger. Odchodzili czwórkami przez trzy kolejne dni i w końcu – w czwartej dobie śmierć wzięła ostatnich trzech.

Dziadek był zdania, że dzwony obwieściły tym samym nadchodzące lata nędzy. Bo potem już nie dzwoniły, nawet w czasach, gdy ludzie żywili się chlebem z kory drzew, a jeden nieurodzaj gonił drugi. Plony marzły na polach, a zboża nie szło kupić za żadne pieniądze.

– Gdyby dzwoniły na takie ludzkie nieszczęście, musiałyby bić każdego jednego dnia.

– Ale skąd dzwony mogą wiedzieć, jakie też niebezpieczeństwo się zbliża? – spytała Astrid.

Dziadek zdjął kota z kolan.

– Gdy je odlewano, Eirik Hekne wrzucił do tygła nie tylko srebro. Dodał do wrzącego metalu również pukiel włosów i ścinek paznokcia każdej z bliźniaczek. Dzięki temu dzwony mają dar jasnowidzenia, który zyskały dziewczynki, zaglądając w zaświaty. Ale nikt nie ma pewności, jak daleko sięgał wzrok zmarłej i gdzie kończą się niezwykle zdolności dzwonów. Niektórzy twierdzą, że są one wieczne. Że dzwony znają przyszłość aż do nadejścia nocy oskrobanej. Możliwe jednak, że nie do końca pojmujemy, czym ona tak naprawdę jest. Gdyby udało się odnaleźć tę tkaninę, może zrozumielibyśmy więcej. Bo z każdym pokoleniem pojmujemy coś nowego, ale też z każdym pokoleniem coraz gorzej orientujemy się w przeszłości.

Astrid długo siedziała w milczeniu.

– Matka bliźniaczek umarła, prawda?

– Oj, tak. W najgorszy wyobrażalny sposób. Mówiło się, że Eirik zachował pasmo włosów swojej

żony i nakazał powroźnikowi wpleść je w górną część liny dzwonów.

– Jak ona miała na imię?

Dziadek nie odpowiedział.

– Matka tych dwóch dziewczynek – ponowiła Astrid. – Jego żona.

Staruszek spojrział na nią i potrząsnął głową.

– Jej imię zostało zapomniane – odrzekł. – Ale ludzie mówią, że ona wciąż się ukazuje na kościelnej wieży.

Dziadek umarł, gdy Astrid miała piętnaście lat. Milczący kondukt żałobny poniósł go na cmentarz i pochował pod rodzinnym nagrobkiem, stary pastor zażądał zaś pieniędzy, by zabiły dla niego Siostrzane Dzwony.

Astrid poszła w stronę kościoła. W bladym świetle poranka odnalazła wzrokiem miejsce pochówku dziadka. Razem z nim leżeli w grobie ojcowie i matki wcześniejszych pokoleń.

Nagle dostrzegła, że boczne drzwi świątyni stoją otwarte. Ominęła pospiesznie strumień brunatnych wód roztopowych i przeskoczyła ogrodzenie cmentarza. Ruszyła do kościoła, odłożyła worek, w którym niosła martwe wiewiórki i potrzaski, po czym weszła spokojnie do środka i minęła nastawę ołtarzową.

Po raz pierwszy w życiu była tu sama. Otoczona pełną godności ciszą w tej wąskiej, wysokiej, pachnącej starym kurzem nawie. Panował tu półmrok i niewiele widziała, lecz mimo to ruszyła w głąb świątyni, słuchając świszczącego za ścianami wiatru.

Zdawało się, że Kaia Schweigaarda nigdzie nie ma.

Dotarła do chrzcielnicy, ale było zbyt ciemno, by dojrzeć miejsce, w którym musiała kiedyś wisieć tkanina z Hekne. W powietrzu unosił się nieznaczny fetor zwłok, zapewne po ostatnim pogrzebie.

Astrid ruszyła dalej, myśląc o pastorze i zastanawiając się, jakie emocje on w niej właściwie budzi. W każdym razie na pewno nie uczucia religijne. Raczej zażenowanie i rozpacz z powodu tego głupiego zadurzenia. Astrid się zawstydzila i z oporem podeszła do ławy, w której zmarła Klara. Gdzieś daleko przed sobą dostrzegła krucyfiks.

Minęło trochę czasu, lecz nie była w stanie stwierdzić ile. Zdawało jej się, że wyczuwa czyjąś obecność, ale nie wzbudzało to w niej strachu.

Oczy zaczęły się przyzwyczajać do słabego światła, lecz kościelną nawę nadal spowijał mrok, jedyne barwy, jakie dostrzegała, to szarość bladych promieni światła wpadających przez świetliki wysoko na ścianach. Gdzie właściwie był pastor? Czyżby zapomniał po prostu zamknąć drzwi?

Nagle Astrid poczuła pod palcami dotyk kościstego ramienia Klary, jej szorstkiego wadmelowego szala. Trwało to mgnienie oka, potem wrażenie minęło.

Nie wystraszyła się. Wiedziała, że to nie duch ani upiór, tylko wspomnienie w namacalnej formie, kształt odcisnięty w pamięci, przywołany nagle przez jej ciało.

Lecz teraz poczuła, że w kościele jest jeszcze ktoś inny.

Ktoś żywy.

Kadziło Norwegów

Tego samego ranka Gerhard Schönauer leżał w łóżku, słuchając wiatru gwizdającego między zabudowaniami. Od jego przybycia do Butangen mijało właśnie sześć dób, a kilka ostatnich nocy przeleżał właśnie tak jak teraz. Zmarznięty, zlany zimnym potem, zdenerwowany.

Wstał z łóżka. Lodowate deski zdawały się parzyć mu stopy. W drewnianej chacie nie było dywanu, więc rozłożył na podłodze swój płaszcz, postawił na nim nogi i oparł głowę na dłoniach.

Sabinka. Jej śmiech, ciepło jej rozgrzanego w łóżku ciała. Miękkie piersi, w których można było zanurzyć twarz. Zabawy, bez troska, ciemne piwo i wykłady na Akademii.

Zapalił świecę i namacał w półmroku nocnik. Następnie położył się z powrotem na łóżku i poczuł, że brzuch daje o sobie znać. Narzucił na siebie płaszcz, wyszedł na zimno poranka i ruszył do wychodka. Od jedzenia, które tu dostawał, jego odchody miały obcy zapach. Zupełnie jakby tuż przed nim z ustępu korzystał ktoś inny. Wydawało mu się to odrażające. W domu zadawał sobie czasem to pytanie, zbyt niezręczne, by dzielić się nim z innymi: dlaczego zapach jego własnych nieczystości – potu, fekaliiów, gazów – wydawał mu się interesujący, a w każdym razie z pewnością nie ohydny, przynajmniej gdy był w miarę świeży, a wonie innych zawsze były mu przykre i odrażające? Chodzi tu zapewne o kwestię znakowania terenu, pomyślał. Instynkt pozostały po prymitywnej przeszłości, zanim Bóg zdążył zdecydować, czy najbardziej rozwiniętym gatunkiem zwierząt na ziemi uczyni człekokształtne małpy, czy też zwierzęta psowate. Możliwość pozostawienia po sobie czegoś, co pozwoliłoby nam – gdy mieliśmy jeszcze lepsze nosy – powiedzieć: to jest moje, a wszystko inne to tylko smród wroga.

A teraz mój własny zapach jest obcy dla mnie samego, pomyślał Gerhard, opuściwszy wychodek i stanąwszy przy drzwiach. „To tylko ciemność – wymamrotał. – Tylko ciemność. Niedługo rozbłyśnie światło dnia, a wtedy na nowo ruszę do pracy. Herr Schiertz poradził sobie w roku czterdziestym, poradzę sobie i ja”.

Lecz nadzieja była często jak jajko. Kiedy nie miała się o co oprzeć, wywracała się i tłukła.

Zaczęło świtać. Gerhard ubrał się i zszedł do kościoła. Jak okiem sięgnąć nie widział żywej duszy, a słyszał tylko własne kroki, chrzęszczące na ściętej mrozem trawie.

Przez kilka ostatnich dni zadowalał się wykonywaniem szkiców kościoła oglądanego z dużych odległości, potem wracał do swojej chatki, by je wykończyć. To tam dochodził również do wniosku, że rysunki będą mierne. Potrafił siedzieć godzinami i je poprawiać, lecz gdy patrzył na niewprawnie zrobione szkice, czuł, jak zaciska mu się żołądek, palce i nerwy tracą pewność ruchów i uchodzi z niego cała wola działania. Wszystko to, co przez całe życie pomagało mu przewycięzać przeciwności losu, teraz gdzieś zniknęło, on zaś zwątpił, czy w ogóle ma jakiegokolwiek uzdolnienia. Tu w górach dawało się naprawdę odczuć jakąś dziwną siłę, drzemiącą pod skalnymi zboczami, na skrajach lasów, ciężki nacisk czegoś potężnego, jakiejś nieznanych rozmiarów mocy.

Spożywane z pastorem obiady stanowiły milczące, krótkie przerwy od pracy, ciszę przerywał tylko od czasu do czasu nieprzyjemny dźwięk noża zgrzytającego o talerz. Poprzedniego dnia gospodarz pokazał mu starą, nadpleśniałą księgę, w której zanotowano podobno, że portal został zdemontowany w roku czterdziestym czwartym, po czym najpewniej spalony.

Gerhard wszedł do kościoła i poczuł, jak jego nozdrza wypełniają się zapachem smoły, kurzu i pleśni. Przez małe okienka wysoko na ścianach wpadało trochę bladego światła poranka, lecz mimo to było za ciemno, by tu rysować. Jego wzrok sięgał w półmroku najdalej do połowy nawy.

Nigdy nie obejmę tej konstrukcji rozumem, pomyślał. Wszystkie elementy tego kościoła są ze sobą zrosnięte, zalane jakimś tajemnym pokostem skrywającym wszelkie ślady zastosowanej tu metody czy systemu pracy, ani jedno złącze czy zakładka nie zdradzały kryjącej się za nimi myśli.

Daleko w górze dostrzegał ułożone na krzyż dźwigary, wszystkie biegnące na skos belki, układające się w skomplikowaną zagadkę: który ciężar na czym tu spoczywa?

Wszedł do zakrystii i zbliżył się do okna. Framugi były popękane, farba kunsztownych ozdobnych malunków łuszczyła się w miejscach, w których drewno nasiąkło wodą. W Dreźnie,

pomyślał Gerhard, wystarczyło się rozejrzeć, zrozumieć kościół i wykonać rysunki robocze.

Cały problem leżał w tym, że tej świątyni nie wzniesiono, kierując się rysunkiem czy planem. Wszystko tu zostało zbudowane intuicyjnie i na oko. Przez ludzi, którzy byli bardziej drwalami niż cieślami. Łączyli ze sobą okorowane drzewa techniką, która została dawno już zapomniana. Nigdzie nie dało się dojrzeć najmniejszego śladu po pile – używano tylko topora, ośnika i innych narzędzi z gładkimi ostrzami. Nawet deski podłogowe były wyrabane toporem, a potem tylko wyrównane. Zapach smoły drażnił mu nozdrza. W tutejszych kościołach nie palono kadzidła. Smoła wystarczyła, to ona była kadzidłem Norwegów.

„Proszę myśleć o sobie jako o ratowniku, panie studencie”.

Gerhard potrząsnął głową. Bardziej niż ratownikiem czuł się rabusiem grobów. Spojrzał w kierunku nastawy ołtarzowej, którą też miał zabrać ze sobą do Drezna. Pragnął, by ktoś go pocieszył, objął, lecz nic takiego się nie stało. Daleko na przodzie, w tym samym, rozproszonym, szarawożółtym świetle przywodzącym na myśl barwę starej kości mającym figurę Chrystusa na krzyżu, lecz Zbawiciel milczał, spoglądając w innym kierunku.

Nie dam rady, powiedział Gerhard do siebie. Nikt temu nie da rady. Jeśli ten kościół zostanie rozebrany, nigdy już nie stanie znów cały. To, co się tu w środku dzieje, przechodzi moje pojęcie. Kiedy rozbierzemy ten budynek, jego kluczowa, najwewnętrzniejsza istota zniknie i już nie powróci.

Wezbrał w nim jeszcze inny lęk. Ten, który towarzyszył mu od pierwszego spędzonego tu dnia, od chwili gdy usłyszał bicie kościelnych dzwonów. Urodziła mu się teraz w głowie myśl, że dzwony go nie lubią. Były teraz gdzieś daleko nad nim, w przestrzeni, w której żyły, zawieszane wysoko, w stanie bezdźwięcznej równowagi. Czuje, świadome każdego najmniejszego ruchu tu na dole. Powinien właściwie wejść na wieżę i je obejrzeć, ale ogarnął go strach, że mógłby się zaplątać w linę, wykonać jakiś fałszywy krok, na który one odpowiedziałyby swoim potężnym głosem.

Kościelna nawa była nadal wyziębiona po nocnych przymrozkach, Gerhard długo męczył się z myślami o zbeczeszczeniu świętości, w końcu podszedł do bocznych drzwi i otworzył je na oścież. Do środka napłynęło poranne światło i świeże powietrze, nie docierając jednak do najciemniejszych kątów.

Pomyślał, że pewnie będzie mógł zacząć rysować dopiero za jakąś godzinę. Słuchając skrzypienia desek podłogowych, wszedł w głąb kościelnej nawy, tam gdzie panowały najgęstsze ciemności.

Zdawało mu się, że słyszy głosy tych, którzy niegdyś wzniesli świątynię. Przymknął oczy i spróbował ich sobie wyobrazić. Światłne promienie, w których tańczyły drobinki kurzu, padały na zgarbionych ludzi urodzonych w innych wiekach. Ludzie ci obrabiali drewno toporami i nożami, mistrzowie zapomnianego rzemiosła pracujący bez zegara ani kalendarza, początek i koniec dnia pracy wyznaczał im wschód i zachód słońca. Powoli dorabiali się sławy i chwały, bez mistrzowskich dyplomów ani ustanowionej odgórnie hierarchii, a sumą ich doświadczeń były szramy na skórzanych fartuchach.

Tutaj żyło właśnie to coś większego, czego nigdy nie dałoby się zawrzeć w programie nauczania Akademii Sztuk Pięknych w Dreźnie. Pod kościelnym sklepieniem unosiło się coś, czego nie sposób było rozciągnąć powietrzem ani rozdzielić na bardziej wytłumaczalne części składowe. Była to niewidzialna dusza pobłogosławionego drewnianego gmachu, postać utkana z dymu, wyrosła z wieków rozpacz i nadziei. Tęsknoty setek ludzi, którzy dawno odeszli, tęsknoty tak wielkie, że w swoim czasie zupełnie nie do zniesienia, zostały z chwilą śmierci uwolnione i szybowały swobodnie w tej nawie.

Gerhard dostrzegł jakiś ruch w kwadracie światła wpadającego przez boczne drzwi. Zbliżyła się do niego szczupła istota, krok miała lekki, deski skrzypiały cicho pod jej stopami, była niemal zupełnie niewidoczna, ledwie wyczuwalnym ruchem w głębokich ciemnościach.

Istota przystanęła, być może po to, by przyzwyczaić oczy do mroku, po czym ruszyła powoli przez nawę, prawie jakby unosiła się nad podłogą, a w końcu przysiadła w jednej z kościelnych ław.

Oblubienica z Midtstrand

– Jaka piękna – odezwał się mężczyzna.

Jego głos rozbrzmiał echem w kościelnej nawie, Astrid rozejrzała się dookoła, ale go nie dostrzegła. Wyłonił się przed nią z półmroku między ławami, niemiecki malarz ze szkicownikiem w dłoni. Mówił niewyraźną, dziwną duńszczyzną, przeprosił, że jej przeszkadza, zadał pytanie, którego w pierwszej chwili nie zrozumiała.

– Siedziała pani pogrążona w modlitwie? – powtórzył.

– Nie. Po prostu siedziałam.

– Tam, skąd pochodzę, ludzie często siedzą w kościołach i się modlą. Także wczesnym rankiem, po niespokojnej nocy.

Nie miała na to żadnej odpowiedzi. W tych ciemnościach nie mogła dostrzec rysów jego twarzy. Cały czas odwracał głowę, a jego gesty zdawały się sugerować, że spodziewa się przybycia kogoś jeszcze.

Zostali w kościele, na dworze powoli wstawał nowy dzień. Niemiec zaczął rysować. Zgarbiony, skoncentrowany. Nagle wyrwał ze szkicownika kartkę, zmiął ją w kulkę i cisnął na podłogę.

– Niemożliwe! – powiedział.

– Co jest niemożliwe?

To nie było nic na pokaz. Mężczyzna naprawdę się zdenerwował. Astrid przeszła obok niego, stanęła trochę bokiem, tak by nie mógł patrzeć prosto na jej pośladki, podkasła spódnicę, schyliła się i podniosła papierową kulkę.

Nigdy wcześniej nie widziała tak pięknego rysunku. Ambona i nastawa ołtarzowa. Widok, do którego z biegiem lat zdążyła się przyzwyczaić, lecz którego nigdy nie oglądała takimi oczyma. Szkic został jakby przepuszczony przez pojmowanie jego autora i był... pełen ufności. Czuło się w nim spojrzenie na stare przedmioty, które podzielała również i ona: przekonanie, że czas nie tylko niszczy, lecz także uświęca.

Już nie rysował. Wydawał się zawstydzony. Spytała go, czemu uważa, że nie jest w stanie naszkicować czegoś, co ma przed oczyma, a on odparł jej, że musi również rysować to, czego nie widać. Bez trudu zrozumiała, o co mu chodzi. Chciała nadal przyglądać się jego pracy, ale on najwyraźniej stracił zapał.

Astrid! – skarciła się w duchu. To przecież jest człowiek, który ma uprowadzić dzwony! Wywieźć stąd cały kościół!

Tak samo jak ona zabierała ze sobą ładny, znaleziony nad wodą kamyczek. Jestem dla niego, pomyślała, niczym mrówka pod takim kamieniem.

Mężczyzna minął ją, idąc w stronę głównych wrót, ona również wstała z ławy.

– To zupełnie *tragisch* – powiedział.

Zatrzymał się przy wejściu do kruchty.

– Co takiego? – zapytała.

Niemiec stanął tam, gdzie pamiętnego dnia dygnęła Klara, i wyjaśnił.

– Nie te drzwi. Za duże! Nie ma zdobień. Nie ma portalu! Wszystko zabrali i zniszczyli!

Astrid rozjaśniło się w głowie. Wchodząc wtedy do kościoła, Klara wcale nie dygnęła. Pochyliła się tylko, tak jak robiła to pod niską framugą, setki zapewne razy w latach swojej młodości.

– Same drzwi nie są takie ważne – powiedział Niemiec. – Ale zdobienia wokół nich już tak! Miały powstrzymać złe moce, które chciały się dostać do środka!

– Jak one wyglądały? – zapytała.

Niemiec znów chwycił szkicownik i wkrótce spod tańczącego na kartce ołówka wyłonił się piękny rysunek.

Astrid zamarła jak skamieniała, porażona zarówno samym szkicem, jak i różnicą, która zaznaczyła się za jego sprawą między Kaiem Schweigaardem a cudzoziemcem. To, co dla pastora było „różnymi wizerunkami baśniowych stworów”, stało się za sprawą zwinnych dłoni Niemca dokładnym

odwzorowaniem arcydzieła rzeźbiarskiej sztuki.

Ołówek tańczył wytrwale na papierze, kreśląc kolejne linie i zaznaczając cienie. Kościelny portal rósł przed jej oczyma z sekundy na sekundę. I tak samo, stopniowo, zaczęło jej świtać, o co chodziło Klarze.

Drzwi miały szerokie zawiasy ze zdobionego kutego żelaza i zwieńczone były u góry łukiem. Wielkie drewniane powierzchnie wokół nich roiły się od rzeźbionych figur. Głównym elementem zdobienia był ogromny wąż wijący się po obu stronach. Stanowił niemal samodzielne dzieło sztuki rzeźbiarskiej, gruby jak kłoda drewna, porośnięty łuską przypominającą gonty na dachu kościoła. Jego łeb i ogon stykały się wysoko nad wejściem, groźne każde na swój własny sposób, tworzyły razem obraz przerażający, strasząc obnażonymi kłami, smagającym, ostrym czubkiem i rozdziawioną potworną paszczą.

To musi być Midgardsorm, pomyślała Astrid. Ten sam, którego widziała na rysunku w jednym z magazynów ojca. Czytała o tym stworze, zastanawiając się, czy ktoś w dawnych czasach faktycznie wierzył w tego opasującego świat węża, który połykał statki, gdy za bardzo zbliżyły się do krawędzi ziemi. Ojciec odpowiedział jej, że ludzie żyjący na wybrzeżach myślą z pewnością inaczej niż mieszkańcy dolin – zawsze widzą drugi brzeg każdej wody.

W rysunku Gerharda Schönauera przybijało szczegółów. Wokół olbrzymiego węża roilo się od fantastycznych stworów, łatwych do rozpoznania, mimo że naszkicowanych kilkoma zaledwie kreskami. Na oczach Astrid powstawały niesamowite wije, istoty o porośniętych łuską brzuchach, rogach i przerażających kłach, gady, wilki i ptaki, obnażone kły, wysunięte pazury, wszystko to skotłowane ze sobą w jednej wielkiej płataninie. Niemiec narysował też smoka, który chwycił węża szponami, wpatrując się w jego łeb, w pewnym sensie z ufnością, niemal czule, a w każdym razie tak czule, jak smok potrafi się wpatrywać w węża.

„Oblubienica z Midstrand”, powiedziała Klara. Majątek Midstrand leżał na samym środku osady Strand. A ponieważ całym światem Klary było Butangen, możliwe, że nazwa Midgardu, mitycznego królestwa ludzi, mieszała się jej właśnie z Midstrand. Nie miała też zbyt wielkiego pojęcia o smokach, najprawdopodobniej więc sądziła, że stwór z portalu był oblubienicą Midgardsorma.

Astrid wskazała smoka na rysunku i spytała Niemca, czy to o to mogło chodzić.

– Co? Ten smok? Jako oblubienica? Nie sądzę.

Wyjaśnił, z nieco zbyt wielką jak na jej gust pewnością siebie, że poświęcił dużo czasu na studiowanie staronordyckich wierzeń i nie przypominał sobie, by taki stwór gdziekolwiek się pojawiał.

– To musi być jakiś lokalny wytwór fantazji!

Ostrożnie wydarł arkusz z rysunkiem ze szkicownika.

– Na pani własność niechaj będzie! – oświadczył Gerhard Schönauer.

– Nie, nie mogę go przyjąć!

– Do pani niechaj należy! Proszę uniżenie! To tylko szkic!

Astrid stała z arkuszem w dłoni. Miała wrażenie, że nakreślone ołówkiem linie żyją w jej rękach.

Rysunek zdawał się także mówić coś jeszcze. Ten mężczyzna, podpisany jako „G. Schönauer”, nie był po prostu rabusiem grobów. Nikt nie zdołałby stworzyć takiego szkicu, nie żywiąc szacunku do odwzorowywanych motywów. Astrid nabrała także pewności, że nikt z jej wsi nie zniszczyłby nigdy takiego dzieła sztuki, jakim był kościelny portal.

Dobra nowina

Usłyszał bicie dzwonów, ale nie ruszył się od biurka. Kazanie skończył pisać już dzień wcześniej, nadal je wygładzał, upiększał, dodając zgrabne sformułowania, ale gdy próbował czytać je na głos, zamyślał się co chwila, bo gdy wymawiał takie słowa jak radość, radosny czy szczęście, zadawał sobie pytanie, jak odnoszą się one do jego własnego życia.

Potrzebował kilku tygodni, by zrozumieć, co takiego widzi w Astrid Hekne, i paru kolejnych, by zaakceptować tę sytuację. Każdej nocy słyszał głosy dochodzące z tej tajemniczej izdebki w swoim sercu, tego pogrążonego w ciemnościach miejsca, w którym sam sobie spowiadał się z namiętności. Zawsze, gdy zdobywał się na odwagę, by do tego pokoiku zajrzeć, dostrzegał w nim światło, a w poświęceniu tej stała zawsze Astrid Hekne. Czasami wchodził do środka, zamykając za sobą drzwi, i brnął dalej, aż jego marzenia przybierały formę doczesną, niemal zwierzęcą, lecz gdy opuszczał izdebkę, Bóg patrzył na niego surowo, a oblicze Astrid zmieniało się w twarz dziwki z Pipervika.

To niegodne pożądanie, przez które ogarniał go wstyd za każdym razem, gdy ją widział, sprawiało, że zachowywał się w jej obecności niezręcznie i dziecinnie. Lecz równocześnie przepełniało go jakies zupełnie czyste do niej uczucie, równie silne i równie niezrozumiałe. I tak jak jeden był tylko Bóg, w jego sercu płonął jeden tylko ogień miłości.

Mimo wewnętrznego oporu zastanawiał się, czego tak naprawdę chce. Zawsze wyobrażał sobie, że ożeni się z miłą, cichą osobką, która zajmie kącik w jego salonie. Wspaniałomyślną, życzliwą kobietą, która będzie się z nim zgadzać we wszystkich ważnych sprawach. Ida miała mu towarzyszyć, idąc z nim przez życie krok w krok. Rzadko fantazjował natomiast o tym, jak ona wygląda pod ubraniem. Była dla niego sumą uprzejmych, nieznaczących skinień głowy, udawanego zainteresowania, nielicznych słów wymienianych w temacie prowadzenia domu, zgodności co do znaczenia wiary.

Z jej ust nigdy by nie padło: „Nie tak wygląda świat, Kaiu”. Nie mógłby się z jej strony spodziewać oporu, który zmusiłby go do zmiany sposobu myślenia i – z trudem przyznawał to przed sobą po krótkim okresie pogardliwego prychnania – wynajdowania lepszych, sensowniejszych rozwiązań. Wiedział jednak, że nie przystoi mu ta gwałtowna potrzeba posiadania Astrid. Przecież ona zupełnie by się nie nadawała na panią pastorową. Była zbyt porywcza. Za dużo kobiecości, zbyt wiele imperatywów. Brakowało jej kluczowej umiejętności mądrej białogłowy: dochodzenia do swego poprzez zwodzenie mężczyzny, tak by wierzył, że sam wpadł na dany pomysł. Matka objaśniła mu kiedyś tę strategię i z tego, co rozumiał, posługiwała się nią wprawnie przez całe życie.

Czasem pozwalał sobie na myśli o ożenku z Astrid, a wówczas przechodziły go rozkoszne dreszcze. Gospodyni Bressum kipiałaby pewnie wściekłością jak garnek nieupilnowanego mleka. To zaś byłoby tylko niewinną rozrywką w porównaniu ze scenami podczas wizyt znacznych gości. Astrid miałyby wkładać czarną elegancką suknię z koronkowym kołnierzykiem, dygać przed biskupem i spuszczać skromnie wzrok? Nie do pomyślenia. O pokorze można by zapomnieć, uprzejmości też pewnie szłyby szybko na bok. „Proszę powiedzieć, co zamierzacie zrobić!”, żądałaby pani pastorowa. Po paru zaledwie minutach dochodziłoby do żenujących, nieuniknionych konfrontacji. A później, gdyby wypracowała sobie pozycję, kim wtedy by się stała? Zapewne kobietą jeszcze bardziej waleczną, może nawet przyćmiłaby jego własne osiągnięcia.

Dzwony znów zabiły. Pastor wstał, zebrał swoje papiery i wyszedł do warzywnika. Wiedział, że nie wyglądałoby to dobrze, gdyby przybył do kościoła równocześnie z wiernymi, więc stał przez chwilę przy ogrodzeniu, wdychając świeże powietrze, w oczekiwaniu, aż ostatni parafianie znikną za drzwiami świątyni.

A co by powiedzieli w jego rodzinnym domu? Toż to by było trzęsienie ziemi! Ledwie miał odwagę wyobrazić sobie, jak wspina się po schodach do matki. Gdyby tylko dotarła do niej najsubtelniejsza sugestia, że ludzie o nim gadają, natychmiast odkręciłaby słoiczek z arsenikiem.

Oczywiście, że Astrid była zbyt porywcza. Ale to teraz sytuacja się tak przedstawiała. Musiał istnieć jakiś sposób, by ją okiełznać, na pewno da się sprawić, by pojęła, że w różnych światach obowiązują różne zasady i nawet jeśli chce się takie zasady zmieniać, to nie można zacząć od łamania

ich wszystkich naraz. Była przecież taka bystra, na pewno to rozumiała. Bo dało się w niej wyczuć też odrobinę cynizmu, skłonność do wyrachowania, mierzenia wysoko. Może było tej skłonności dość, by rozważyła również porzucenie wiejskiego dialektu?

Kai Schweigaard otrząsnął się z tych rozmyślań. Potoczył wzrokiem po zabudowaniach Butangen i uświadomił sobie, że tu nie zostanie. Nawet biskup Folkestad nie będzie żył wiecznie. A wymagania wobec jego małżonki wzrosną zapewne razem z jego rangą.

No cóż.

Schweigaard ruszył pospiesznie w dół zbocza, otworzył drzwi zakrystii, usiadł i skontrolował kolejność przygotowanych papierów.

Czas oczekiwania. Samotny czas oczekiwania, w którym wyobrażał sobie, że wymienia spojrzenia z dwiema kobietami.

Za ścianą zabrzmiały kościelne organy. Rozległy się słowa psalmu, jednego z utworów Landstada. *Śpiewajcie głośno o lasce Pana.*

Ida Calmeyer była i będzie najpewniejszą kartą.

Ale on wiedział już teraz, pojawiwszy, jaką moc nosi w sobie Astrid Hekne, że uciekając myślami od coraz większego biurka z dębowego drewna, wracałby ciągle w marzeniach do Butangen i zastanawiał się, co też się z nią dzieje. Czy dorobiła się gromadki dzieci, nieustannego bólu pleców, czy ma spracowane dłonie i świadomość, że porzuciła marzenia.

Z nią u boku stałby się kimś innym. Mogliby uczynić tyle dobra. Pewne było, że on i ona razem stanowili wyższą wartość, a życie z Astrid Hekne naprawdę byłoby czymś więcej.

Lecz pastor nie mógł przecież biegać po wsi, uwodzić i się mizdrzyć. Jasno postawiona oferta małżeństwa. A potem bezpieczne życie rodzinne. Mógłby wtedy uwolnić się od wstydu, wymazać z pamięci twarz tamtej dziwki, pokazać Astrid prawdziwego Kaia Schweigaarda, elokwentnego, zabawnego mężczyznę.

Tylko czym mógłby ją do siebie zachęcić? Wydawało się, że jedyną jej słabość stanowiło to znane mu zamiłowanie do wielkich dzieł i dokonań. Poczucie obowiązku wobec rodu. I historii. To tu można było przypuścić atak.

Za ścianą zapadła cisza, on zaś wstał i wyszedł do wiernych, aby ogłosić im dobrą nowinę.

– Tym nowym gmachem kościoła będziemy cieszyć się już kolejnej zimy! – obwieścił, tocząc wzrokiem po zebranych.

Ludzie zaczęli szeptać. Frekwencja na nabożeństwie była całkiem wysoka, a pastor po szóstym psalmie, kiedy to zazwyczaj przemyczał swoje krótkie referaty o stanie świata, zapowiedział zamiast tego ogłoszenie parafialne, odchrząknął i obwieścił, iż kościół zostanie rozebrany, a na jego miejscu zbuduje się wkrótce świątynię nową, większą i lepiej ogrzaną.

Astrid Hekne siedziała na samym przodzie. Zerknęli po sobie, lecz on szybko oderwał od niej wzrok, odchrząknął raz jeszcze i spojrzał na parafian, dodając, że stary kościół został sprzedany i ma być odbudowany w Niemczech, gdzie stanie na wieczną pamiątkę.

Podziękował biskupowi, naczelnikowi okręgu i przewodniczącemu Związku Handlowo-Oszczędnościowego, słysząc, jak w tylnych ławach rozlegają się ciche, uprzejme „hm!”. Poinformował następnie, iż budowa nowego kościoła zostanie ukończona przed Bożym Narodzeniem, zaś ceremonie ślubne i pogrzebowe będą odbywać się do tego czasu w prowizorycznej kaplicy zorganizowanej w salonie Prestangen.

– Przy okazji – dorzucił. – Ten młody pan z Niemiec, który od jakiegoś czasu przechadza się po okolicy ze sztalugami, to wysłannik nabywców kościoła. Będzie nadzorował rozbiórkę i odbudowę świątyni. Proszę, abyście dobrze się z nim obchodzili.

I to było na tyle.

Zebrał swoje papiery. W kościele zapadła cisza. Słysząc było tylko stłumione, zwyczajne odgłosy dochodzące od strony ław. Ktoś wiercił się na swoim miejscu, ktoś inny szeleścił kartami śpiewnika, starsze kobiety ciężko oddychały.

Pastor potoczył znów wzrokiem po zebranych, spodziewając się reakcji, która nie nadeszła. Daleko z tyłu nawy dostrzegł ojca Astrid, będzie musiał z nim potem porozmawiać, zatrzymać go na

placu przed kościołem, uciąć sobie z nim krótką pogawędkę, wyjaśnić wszystkie formalności związane z dzwonami.

Przyszedł czas na kolejny psalm. Schweigaard chwalił wcześniej w kazaniu posługę misjonarza Engha na Madagaskarze i aby uczcić go dodatkowo, parafianie zaintonowali *Nieś wieść do kraju pogan*. Siostrzane Dzwony zabiły na koniec nabożeństwa, on zaś zobaczył, że Astrid nie spieszy się z wyjściem ze świątyni. Po raz pierwszy zdało mu się, że słyszy w biciu dzwonów jakiś inny, ponury ton, zupełnie jakby wieszczły klęskę albo ganiły nieroztropność.

Prezent ślubny

Kasza. Marny to niedzielny obiad, lecz tak wyglądały sprawy tej wiosny, a tym razem przynajmniej jedzenia starczyło dla wszystkich. Astrid zjadła pół swojej porcji, pochyliła się nad stołem i spojrzała ojcu w oczy.

– Czego chciał pastor? – spytała.

Mlaskanie przy stole ucichło. Ojciec nie odpowiedział i po chwili wszyscy wrócili do jedzenia.

W końcu gospodarz namyślił się i rzekł:

– Zapytał, czy to prawda, że dzwony są darem od naszej rodziny. „Od ludzi z Hekne”, jak to powiedział.

Tym razem jedynie Osvald nie przestał jeść.

– Ale on już przecież o tym wiedział? – zdziwiła się Astrid.

– Nie wyglądało mi na to – stwierdził ojciec.

– Musiał udawać, że nie wie.

– Dość tego! – złajęła ją matka, stukając łyżką o blat. – Jest niedziela! Nie egzaminuj mi tu ojca przy stole!

Gospodarz wybuchnął śmiechem.

– No tak, skończmy obiad w spokoju. A potem przyjdź do mnie na górę, Astrid.

Mówiąc „na górę”, ojciec myślał o izbie na piętrze, w której miał niewielki stolik i krzesło, mapę leśnych posiadłości oraz pokwitowania od rejenta. Ta „góra” była również miejscem, w którym, jako dzieci, dostawali lanie, jeśli coś przeskrobali lub pozwolili sobie na impertynencję. Wtedy szło się „na górę”, drzwi się zamykały, a rodzeństwo stało u stóp schodów z rozdziawionymi z przejęcia buziami. Na ścianie małej izdebki wisiała cienka, wysłużona brzoza różga. Astrid dostała nią lanie ostatni raz, gdy jako jedenastolatka zakłęła, upuściwszy na ziemię cebryk z mlekiem. Ojciec wymierzał dziewczynkom karę, dopóki nie skończyły dziesiątego roku życia, potem już nie przekładał ich sobie przez kolano i nie bił po pupie. Zdane były na łaskę matki, która zadzierała im spódnice i chłostała po tyłach ud, dużo zresztą mocniej niż ojciec.

Skończyli jeść, podziękowali matce za posiłek i Astrid poszła z ojcem na górę. To ona zamknęła za nimi drzwi izby. Stała za progiem i wbiła wzrok w brzoza różgę. Ojciec, gdy nad czymś się zastanawiał, miał w zwyczaju skubać brew i to właśnie robił w tej chwili.

– Zrozumiesz to, kiedy urodzisz dzieci – powiedział, zostawił brew w spokoju i wskazał różgę skinieniem głowy. – Co, mam nadzieję, nastąpi już wkrótce. Dobra będzie z ciebie gospodyni, Astrid. Jak tylko pozbędziesz się tych swoich waporów, tej swojej... narowistości.

Astrid milczała.

Ojciec usiadł.

– Pastor powiedział mi tyle, że dzwony pojedą z kościołem tam, gdzie go zawiozą. Twierdzi, że są jego częścią.

– Ale to przecież nie on może o takich rzeczach decydować.

– Wypowiedział się dość zdecydowanie.

– One były darem.

– I o to też właśnie chodzi. One są darem. A z darami obdarowany może robić to, co mu się żywnie podoba. W tamtych czasach, tak dawno temu, nikt sobie nawet nie wyobrażał, że kościół zostanie zburzony.

– A ty na to pozwoliła?

– Mam dość swoich kłopotów, ani myślę poróżnić się jeszcze z pastorem.

– Tato. Posłuchaj, co sam mówisz! Chcesz posłać dzwony gdzieś daleko od naszej rodziny!

Ojciec zerwał się z miejsca. Stali naprzeciw siebie, aż w końcu Astrid spuściła oczy. Ojciec zamrugał i opadł z powrotem na krzesło.

Za szybko się poddał, myślała dziewczyna. Eirik Hekne zburzyłby kościół, grzebiąc Kaia Schweigaarda w jego ruinach, a potem zaniósłby dzwony do swojego domu, nawet gdyby z każdym

krokiem miała mu pękać w plecach jedna kostka.

Astrid podeszła do niewielkiej półki za biurkiem. Stał na niej pleciony koszyk, z którego wyjęła fajkę z zakrzywionym ustnikiem. Na dnie koszyka leżał zniszczony notatnik. Jedyne, co zostało im po dziadku. Dziewczyna zważyła fajkę w dłoni i odłożyła ją na miejsce.

Obok koszyka stał na półce rocznik ilustrowanego magazynu, który ojciec otrzymał w nagrodę, nauczyciel uważał go bowiem za wyjątkowo pojętnego ucznia. Tom miał na okładce wytłoczoną królewską koronę, dla zaznaczenia, od kogo nagroda pochodzi. Astrid czytała kolejne zeszyty raz po raz, studiowała rysunki, cieszyła się różnymi sprawami, o których tam pisano, i była szczerze dumna z królewskiej korony. Ale ojciec przechowywał ten tom tu, na górze, nie zaś w salonie razem z Biblią czy innymi, należącymi do rodziny nielicznymi książkami i dzięki temu łatwiej było jej pojąć, że ojciec i gospodarz na Hekne to może nie zawsze jedna i ta sama osoba.

Ich czas dobiegł końca.

Ojciec nabrał powietrza, sięgnął po zeszyt i oznajmił, że musi w nim odnotować wydatki z tego tygodnia.

– A trzeba to robić właśnie teraz? – spytała Astrid.

Kiwnął głową, wyjaśniając, że musi załatwiać tę sprawę w każdą niedzielę, gdy jeszcze pamięta wydarzenia z tygodnia, inaczej wszystko pomiesza mu się w głowie.

– Mam to po twoim dziadku. On też tak zawsze robił. Ale poza tym nie jestem do niego za bardzo podobny. Niech ta różnica będzie moim prezentem ślubnym dla ciebie.

– Co masz na myśli?

– Że będzie ci wolno wyjść za kogoś, kto jest podobny do twojego dziadka, a nie do mnie.

Nie miała na to żadnej dobrej odpowiedzi.

– Dzwony być może stąd wyjadą – powiedział ojciec, gdy Astrid chwyciła za klamkę. – Ale za to Hekne zostanie po mojej śmierci w rodzinie.

Chwyciła nosidło, słuchając gderania matki, że powinna się spieszyć, i ruszyła nad strumień. Noszenie wody należało właściwie do obowiązków nowej komornicy, którą wzięli do siebie po śmierci Klary, ale kobieta leżała zmożona chorobą i wymiotowała, chociaż właściwie nie miała już czym.

– Ty się tym lepiej zajmij, dobrze? – powiedziała matka, skinąwszy głową na Astrid. – I będzie z głowy.

Dziewczyna ruszyła do roboty bez marudzenia, bo matka powiedziała „lepiej” i „dobrze”. W tych dwóch krótkich słowach kryło się wiele znaczenia. Ich upadek z rangi możnych gospodarzy do ubogich chłopów. Od najstarszej córki do pomocy domowej i w końcu do nosiwody. Matka nie miała łagodnego usposobienia, ale nie była też przesadnie przykra. Niepokój zwalczała zazwyczaj, zaganiając ludzi do pracy. Kazała swoim dzieciom i służbie biegać między oborą a chlewem. Nikt się na to nie użalał. Za marudzenie można było dostać w twarz, bo jęczeniem się człowiek nie naje i tylko odchodzi od niego ochota do pracy. Matka lubiła mieć wokół siebie porządek, jej ulubionym wyrażeniem było „z głowy”, przy stole zazwyczaj się najadali i w ten oto sposób życie w gospodarstwie było lepsze, niż gdyby miała usposobienie łagodne.

Astrid poszła nad strumień, napełniła wiadra, wlała ich zawartość do stojącej w domu beczki, po czym ruszyła po więcej. Klara była w stanie przynieść na raz tylko pół wiadra i człapała cały dzień między domem a strumieniem, w równym tempie, rok za rokiem. Codziennosc kobiet była w tej wsi niezmienna od lat. Astrid nie pamiętała, by za jej życia przyrządzono w kuchni jakąś nową potrawę. Nie próbowano też wprowadzać nowych metod pracy. Gdyby to ja rządziła w Hekne, myślała, kazałabym komuś położyć prowadzącą do strumienia długą rurę z miedzi czy blachy. Da się coś takiego wymyślić, a to znaczy, że da się to też zrobić. Długa rura położona na zboczu, prowadząca do ustawionych w pobliżu obory i domu mieszkalnego beczek, a gdy jedna beczka już by się napełniła, woda zaczęłaby płynąć inną rurą.

Tyle że miedź była droga, a robota kobiet nie wliczała się do domowych rachunków. Ojciec nie pozwoliłby z pewnością na konstrukcję czegoś, co mogło się zaraz znów rozpaść, kiedy dużo łatwiej było posłać do noszenia wody pracującą za darmo babę.

Kolejny raz napełniła wiadra. Nosidło wrzynało jej się w ramiona, zimna woda chlapała na

wadmelową spódnicę, tkanina nasiąkła i zaczęła jej się plątać między nogami. Przed wejściem do domu stał Osvald. Skinął głową w kierunku stajni.

– Przyniesi potem cztery wiadra dla Blistra. Trzeba go wyprowadzić.

Astrid nie zatrzymała się, szła prosto na niego, dopiero gdy była już bardzo blisko, brat odsunął się, by ją przepuścić.

– Emort powiedział, że Blister ma zostać w stajni, dopóki nie dostanie nowej podkowy na tylną nogę – rzuciła, mijając go.

– Pal sześć Emorta, jest chory i to ja tu rządę.

Astrid szła dalej, nie oglądając się za siebie.

– Jak Hekne ma wrócić do świetności – rzucił Osvald – to nie ma sensu trzymać koni w stajni dla ozdoby.

Dopiero teraz się do niego odwróciła.

– Paskudny jesteś, wiesz? Jak możesz tak mówić o ludziach, co leżą chorzy?

– A, patrzcie ją. Nic jej się już nie podoba. Biegałaś po plebanii i co rok dostawałaś nową spódnicę, to ci się w głowie przewracało. No i ten pastor.

– Co z nim?

– Gapi się na ciebie.

– A niech się gapi. I sam sobie przyniesi wody.

Odwróciła się i poszła do domu. Przełała zawartość wiader do beczki i ruszyła z powrotem nad strumień. Przy stajni zobaczyła Osvalda z ojcem. Wyprowadzili Blistra.

Do ogrodu zbliżał się kołodziej, Gottfred Fyksen. Piasty u kilku ich wozów były zniszczone od ciągłego użytkowania, a Astrid słyszała, jak ojciec mówi, że pieniędzy starczy im na wymianę najwyżej dwóch.

Odwróciła wiadro do góry dnem i zastukała w nie knykiem. Był to niemądry stary zwyczaj mający na celu odstraszenie złych mocy, które by się chciały w środku schować, a ona zrobiła to teraz tylko po to, by uczcić pamięć Klary. Uklękła nad brzegiem, nabrała wody w dłonie i się napiła. Patrzyła urzeczona na migoczący strumień.

Gdzie się podziała cała dzikość i odwaga jej rodu, gdzie się podziała śmiałość Eirika Hekne? Wszystko zostało już załatwione, całe wieki temu, przez ojców i pastorów. Przez mężczyzn, niezmiennie przez mężczyzn. To przez ich ręce przechodziła każda korona. Nigdy nie próbowali sięgać dalej niż po to, co było im niezbędne do życia. Zupełnie jakby cała godność i wielkość gdzieś zniknęła, przeleciała przez ich zmarznięte palce, zgubiła się w muczeniu krów i kurzym gdakaniu. Kołowrotek kręcił się jak zawsze, o piękniejszej przędzy nie było nawet co myśleć.

Astrid przypominała sobie pewną dziewczynę z sąsiedniego majątku. Była najstarsza z dziewięciorga rodzeństwa, jej matka zapracowała się na śmierć i padła martwa nad balią z praniem w wieku lat zaledwie czterdziestu dwóch. Dzień po pogrzebie Astrid zajrzała do przyjaciółki i zastała ją nad tą samą balią z praniem, z tym samym wyrazem twarzy, który widywała tyle razy wcześniej u jej matki. Była zbyt zajęta, by z nią porozmawiać, a wkrótce potem przyjęła oświadczyzny pierwszego chłopaka, który się nią zainteresował. Od tego czasu minęły cztery lata, dziewczyna miała dwójkę dzieci, była w ciąży z trzecim i chodziła po wsi z zaciętym wyrazem twarzy.

Nie chcę, powiedziała Astrid sama do siebie. Odmawiam.

Pomyślała o kościelnych dzwonach. Może i do niej nie należały, ale miała do nich większe prawo niż ktokolwiek inny we wsi. Dzięki nim w ich życie wkraczała jakaś wielkość, mimo nędzy czuli godność. Bicie dzwonów niesło pociechę w ubóstwie i latach nieurodzaju.

Przed jej oczyma stanął znów Schweigaard, zarówno w sutannie, jak i bez niej. W jednej chwili jej nieśmiałość wobec niego uczucie nabrało jakby temperatury, zagotowało się i zmieniło stan skupienia, przechodząc we wściekłość, zaś między tworzącymi się na jego powierzchni bąblami powietrza Astrid dostrzegła coś, co żarzyło się i migotało. Poczuli się nagle jak Eirik Hekne. Ogarnęła ją chęć, by wywrócić cały porządek, utopić srebrne talary w tyglu, dokonać jakiegoś rycerskiego czynu, od którego zdrzą cała ziemia.

Odstawiła wiadra.

Muszę tam iść, i to zaraz, natychmiast, pomyślała. By cisnąć do tygla swoje srebrne talary. Bo może wszystko uda się rozstrzygnąć w jednym pojedynku. I nawet jeśli to będzie nierozważne, dowiem się przynajmniej, jak to jest pocałować mężczyznę.

To tylko zabobony

Kai Schweigaard odłożył list od biskupa Folkestada. Dostał go na początku tygodnia i długo zbierał się na odwagę, by go otworzyć. „Raduje mnie, że plan nasz został już ujawniony. Proszę wywrzeć wszystkie możliwe naciski, by praca przebiegała bez zbędnej zwłoki. Nowy dom Boży musi stać gotów najpóźniej w grudniu, a im wcześniej, tym lepiej”.

Schweigaard zaczął się zastanawiać, w jakie słowa ubrać swoją odpowiedź. „Skonsternowany” będzie w tym wypadku chyba zbyt łagodnym terminem. Biskup z pewnością nie spojrzy łaskawym okiem na konieczność obniżenia ceny z powodu brakującego portalu.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, do jego gabinetu wkroczyła Astrid Hekne. Tuż za nią wpadła gospodyni Bressum, wymachując rękoma i mamrocząc, zdyszana, że „próbowała ją powstrzymać”.

– Proszę się przestać awanturować – powiedział Schweigaard i wstał zza burki. – Nic się nie stało, pani Bressum, bardzo pani dziękuję. Proszę usiąść tutaj, panno Hekne.

Sam podszedł do drzwi, by je zamknąć, i odczekał kilka sekund, chcąc się upewnić, że gospodyni faktycznie sobie poszła.

– Nie możesz tu tak po prostu wpadać – syknął do Astrid. – Jestem przecież... – Przystąpił z nogi na nogę i zaczął od nowa: – Musisz szanować urząd pastora.

– Nie może pastor sprzedawać kościelnych dzwonów. On je przekazał w darze dla wsi!

– Co za on?

– Eirik z majątku, z naszego majątku. Mój przodek, żył dawno, dawno temu. A teraz ten malarz ma ponoć je ze sobą zabrać i...

– Nie, posłuchaj... – zaczął Kai Schweigaard, ale Astrid weszła mu w słowo:

– ... i zdaje mi się, że ty tego pożałujesz!

Kai Schweigaard spłonął rumieńcem.

– Astrid, przecież... to było ze dwieście lat temu. Albo nawet więcej.

– Pokazywałeś mi rysunki. Tego nowego kościoła. Ale nic nie mówiłeś, że wywiozą też dzwony.

Pastor starał się jej wyjaśnić, że wtedy jeszcze nie znał całej historii, lecz jego tłumaczenia nie padły na podatny grunt. Sam zresztą słyszał, jak niepoważnie brzmią jego słowa, że dzwony są „przecież tylko zrobione z metalu”.

– Istnieją różne rodzaje metalu – powiedziała Astrid. – Ale widzę, że dla ciebie to nie ma znaczenia! To, że jest w nich też całe nasze srebro!

Kai Schweigaard aż drgnął, słysząc tak bezczelną odpowiedź, ale odzyskał panowanie nad sobą i rzekł:

– Owszem, to ma dla mnie znaczenie. Wiąże się z nimi ważna opowieść, wspomnienie o czymś, co miało miejsce w dawnych czasach...

– Cóż, a pan pastor zarabia na życie, powtarzając historię sprzed prawie dwóch tysięcy lat!

– Wystarczy! Dość już tego! – Schweigaard uniósł ku niej otwarte dłonie, jakby próbując bronić się przed atakującym go upiorem. – Staram się... naprawdę się staram być... łagodny. Strzeż się, Astrid, bo to, co mówisz, jest... bluźnierstwem, ty... tak, ty dokonujesz zbezczeszczenia! Ja tylko próbuję powiedzieć, że dzwony są czymś w rodzaju... pamiątki. A tak naprawdę chodzi o to, że Klara zamarzyła w tym kościele na śmierć.

– Pewnie, kazanie było tak długie, że w sumie nic dziwnego.

– Ależ musiałem przecież dokończyć nabożeństwo! Miałem posłać parafian do domów w połowie? Tak się składa, że przeskoczyłem nawet trzy czy cztery psalmy, widząc, że ludzie marzną. – Rozłożył ręce. – A biskup się ze mną zgadza. Powiedziałem mu o tej legendzie. Odparł na to, że...

– A patrzcie go, biskup! Nie zwalaj winy na biskupa! On tu nigdy nawet nie przyjechał. A jak niby ci Niemcy się dowiedzieli, że dzwony mają jakąś wartość? To ty musiałeś im o tym powiedzieć!

Miał jej już coś odrzec, lecz ona nie dała mu dojść do słowa.

– Legendzie, powiadasz? Niezły z ciebie gagatek! Sprzedałeś dzwony, choć wiedziałeś, ile one znaczą dla naszej rodziny. Wy dwoje nie macie najwyraźniej zamiaru zostać we wsi na długo, co?

– Wy dwoje? O kim ty mówisz?

– O tobie i twojej narzeczonej!

Pastor zerwał się i uderzył pięścią w stół.

– Dość już! Koniec! Nie masz pojęcia, czego chcę od życia! Od swojej posługi! Moje intencje są szczerze! Więc nie wolno ci... nie wolno ci jej w to mieszać. Przestańcie na mnie naskakiwać!

Stali po przeciwnych stronach biurka, z trudem chwytając oddech. W końcu pastor jako pierwszy opadł z powrotem na krzesło. Atrament z wywróconego kałamarza rozlewał się po blacie wielką ciemną plamą.

– Przepraszam, Astrid. Czasami... potrafię się zapomnieć. Nie zawsze nad tym panuję. Ale zazwyczaj szybko mi przechodzi.

Podrapał się w kark, wstał, podszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz, by sprawdzić, czy gospodyni Bressum przypadkiem nie podsłuchuje.

Na korytarzu nikogo nie było.

– W czasie noworocznego nabożeństwa ochrzciłem dziewięcioro dzieci. W następnych miesiącach trzydzieścioro dwoje, z czego piętnascioro z nieprawego łoża. Troje z tych niemowląt zmarło na skutek choroby. We wszystkich domach panuje straszna ciasnota, a tutejsza ziemia nie jest nas w stanie wyżywić. Liczba ludności gwałtownie rośnie, dom Boży nie może pomieścić wszystkich wiernych. Nasza parafia potrzebuje edukacji, roztropności, mądrego przewodnictwa! Jesteś rozsądną kobietą, Astrid. Sama chyba widzisz, czego tu trzeba. Pomyśl o tym lepiej tak, że dar od twojej rodziny zostanie przeznaczony na szczytny cel, na poprawę sytuacji kościoła i wzmocnienie w ludziach wiary.

– Ale ludzie potrzebują też czegoś, co jest piękne. Czegoś do... przystrojenia. To znaczy... nie takich zwyczajnych ozdób. Ozdób, od których robiłoby się im raźniej na duchu.

– No tak. Oczywiście.

– Ciekawe, co on by na to powiedział.

– Kto?

– Eirik. Ojciec siostr Hekne. Bo zdaje się, że teraz zupełnie nikt o nim nie myśli.

– Ludzie są tak biedni, że się tego wstydzą – powiedział Kai Schweigaard. – Minęły całe wieki, odkąd widziałem w ofiarnej puszcze monetę pięćdziesiąt øre. Wrzuca się tam z reguły jednoørówki. Jedne i drugie dźwięczą tak samo. Tyle że wartość jest inna.

Widział, że dziewczyna się uspokoiła. Zacisnęła palce na podłokietniku. Nie poruszała już nerwowo stopami.

– Poza tym mamy problem z tym zaginionym portalem. Ale czego właściwie oczekuje Schönauer? Że cofnę się w czasie i zgaszę płomień, który go strawił?

Podniósł wywrócony kałamarz i postawił go na spodeczku, barwiąc sobie koniuszki palców na niebiesko. Odchrząknął.

– Astrid. Chciałbym, byśmy mogli... spotkać się w innych okolicznościach. Lepszych, pozwalających na większą swobodę.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Okolicznościach, w których nie byłbym pastorem. Albo w których bym nim był, lecz moja posługa nie zagrażałaby czemuś, co jest tak bliskie twojemu sercu. Takich, w których moglibyśmy, cóż, pójść, dajmy na to, na spacer.

Przygryzł wargę, gdy tylko padły te słowa. Spacer. Z pastorem. Zupełnie jakby zostało to ogłoszone publicznie.

Wtedy Astrid Hekne wstała. Ruszyła w jego stronę, rozplątując swój szal, zrobiła ku niemu kolejny krok, ale chyba zorientowała się, że stoi pod krucyfiksem, i znów usiadła, niepewna i zażenowana. Wydawało się, że coś sobie przygotowała, zamierzała coś zrobić, ale nie była w stanie wprowadzić planu w życie.

Spojrzeni na siebie tak jak wtedy, gdy trzymali końce obrusa. W gabinecie zapadła cisza. Jezus wisiał na ścianie, wpatrując się w podłogę.

– Cóż, pastorze Schweigaard, takiego spaceru również ja bym sobie życzyła. Ale to nie będzie możliwe. Chyba że wycofa się pastor z tego handlu. Wtedy być może pójdziemy razem na spacer.

Tracę ją, pomyślał pastor. W tym momencie ją tracę.

– Muszę się zdać na zdrowy rozsądek – powiedział. – Nowa kościelna wieża jest dużo niższa, Siostrzane Dzwony wisiałyby tuż nad głowami parafian. Wierni pogłuchliby od ich bicia. Dostaliśmy już w zamian dwa mniejsze dzwony, wiszące dotychczas w kaplicy w Gausdal.

– A jak one brzmią?

– Najpewniej równie dobrze. Nie widziałem ich jeszcze. Czekają w stodole nad Løsnesvatnet razem z innymi materiałami do budowy nowego kościoła.

Astrid wstała bez słowa i ruszyła do drzwi, ale przystanęła w pół drogi, oglądając się przez ramię.

– Równie dobrze? To niemożliwe. Pomyśl tylko o całym tym srebrze w Siostrzanych Dzwonach. To ono nadaje im ten niezwykły dźwięk. Srebrzysty ton.

Schweigaard potrząsnął głową ze smutkiem, wiedząc, iż to, co teraz przemija, było w jej życiu niczym podniosła muzyka organów. Poczul też, że jednocześnie marnieje jego własne życie i że ciężko mu będzie wyjść z tego zmizernienia.

– Ton dzwonom nadaje brąz, Astrid. Srebro nie ma żadnego wpływu na dźwięk. To tylko zabobony.

Na bezdrożach po pogrzebie

Astrid Hekne zeszła do kościoła, kierując się wprost ku Gerhardowi Schönauerowi, który rozstawił swoje sztalugi pomiędzy dwoma przekrzywionymi nagrobkami. Wiedziała, że widać ją z okna gabinetu pastora, nie odwracała się więc, szła pewnym krokiem w dół zbocza, zmęczona tym wszystkim, zmęczona jego uporem, grobowym chłodem, zdrowym rozsądkiem, myślą o pocałunku, do którego na szczęście nie doszło.

– Klucz – powiedziała do Gerharda Schönauera. – Daj mi swój klucz. – Wskazała na kościół i wykonała dłonią gest, jakby coś przekreślała.

Niemiec wymamrotał jakąś odpowiedź, wyraźnie zaskoczony, i złapał się za kieszeń. Już po chwili Astrid zamknęła za sobą drzwi zakrystii.

Muszę je zobaczyć, pomyślała. To moje prawo, ujrzeć je, zanim znikną. Wspięła się na schody prowadzące na pusty stryszek, zeszła po kilku stopniach i otworzyła drzwi mieszczące się za organami. Wspięła się po stromo ustawionej drabince. Stając wreszcie na podeście widocznym w skąpym świetle wpadającym do środka przez wąskie okienko, ujrzała dwa wiszące w powietrzu grube sznury, wyslizgane od spoconych dłoni dotykających je setki lat.

Kolejna drabina w półmroku. Astrid podkasała spódnicę i ruszyła do wspinaczki. Szorstkie drewno, połączone ze sobą szerokie belki. Światło przeciskało się do środka przez szpary pomiędzy deskami ścian. Miała wrażenie, że dotarła do zupełnie innego gmachu, było tu chłodniej, pachniało inaczej, lecz nie na tym polegała różnica. Przestrzenią tą rządziła inna myśl, był to obszar niepojęty, zrozumiały jedynie dla tych, którzy wzniesli ten kościół.

Odpowiedź dla Kaia Schweigaarda, gdyby ten postanowił przybiec tu za nią, miała już gotową: chcesz przecież rozebrać kościół, co więc w tym złego, że tu weszłam?

Zamarła i zaczęła nasłuchiwać. Cisza. Dobiegały do niej tylko skrzypnięcia i westchnienia starych drewnianych elementów. Ruszyła dalej w półmroku, trafiała rękoma na belki pokryte grubymi warstwami kurzu i ptasich odchodów, przypominał jej się dziecięcy lęk, z którym wchodziła na strych, gdzie nie wolno jej się było zapuszczać.

Wokół niej zapadły w końcu zupełne ciemności, ale zorientowała się, że stoi pod kolejnym podestem. Pchnęła klapę, która uniosła się odrobinę, a potem upadła na powrót z głuchym hukiem. Policzki oprószył jej kurz, poczuła dochodzący z góry duszny, zatęchły zapach, przymknęła oczy i wstrzymała oddech, nagle zdało jej się, że słyszy jakieś odgłosy dochodzące z oddali, oddzielone od niej nie przestrzenią, lecz czasem.

Odczekała kilka chwil, aż dało się znów swobodnie oddychać. Wsunęła głowę pod klapę, unosząc ją w ten sposób, i brnęła dalej do góry. Miała wrażenie, że przebija się przez grubą warstwę prastarych chmur.

Wgramoliwszy się w końcu na szczyt dzwonnicy, uklękła na podłodze. Drobinę kurzu osiadały jej na twarzy. Światło wpadało do środka przez szpary w okiennicach.

Opuściła klapę na miejsce. Przed nią w półmroku majaczyły dzwony – dwa czarne, ciężkie tajemnicze kształty. Były większe, niż je sobie wyobrażała, i... pachniały. Wydzielały ostrą woń przywodzącą na myśl zaschnięte kurze odchody. Astrid podeszła ostrożnie do okiennic i uchyliła je, podniósłszy haczyki. Zbliżyła się do dzwonów, które zyskały teraz wyraźniejszą barwę, szaro-brązowy metal lśnił zielonkawym blaskiem. Tańczyły na nim światło i cienie, dzwony wydawały się takie potężne, takie... wyczekujące. Odnieść można było wrażenie, że wystarczył jeden fałszywy ruch, by rozdzwoniły się, bijąc na trwogę. Ich płaszcz zdobiony był dwoma rzędami kwiatów. Pomiedzy nimi majaczyły zarośnięte patyną litery.

Astrid ukucnęła i zajrzała do wnętrza jednego z dzwonów. Czarny jak węgiel niebyt, niekończąca się noc. Wzdłuż wewnętrznej krawędzi widać było wyraźne ślady, jakby ktoś oskrobywał metal. Klara miała więc rację, opowiadając o świętym parchu, a Astrid w tej właśnie chwili pojęła, że w starciu z dwoma takim potężnymi bytami ludzki rozsądek nie miał żadnych szans.

Podmuch wiatru otworzył na oścież skrzypiące okiennice. Wraz z odświeżającym chłodem do

środka wpadło światło dnia. Wieża zachwiała się nieznacznie. Astrid nigdy jeszcze nie miała takiego widoku na wieś. Zakręciło jej się trochę w głowie, widziała stąd oba brzegi Løsnvatnet i ciągnące się w oddali mokradła. Przez identyczne okienko na przeciwległej ścianie roztaczał się widok na plebanię. Daleko w dole, pomiędzy nagrobkami, stał Niemiec, wpatrując się w niebo.

Astrid ogarnął nagle strach, że dzwony zaczną bić same z siebie i że ją ogłuszą. Chciała zamknąć okienko, podeszła do niego, ale zamarła, widząc ślady swoich stóp na pokrywającym podłogę kurzu.

Tak gruba jego warstwa mogła oznaczać tylko jedno.

„Jestem pierwszą osobą, która weszła tu na górę od dwudziestu, może czterdziestu lat”.

W ukośnych promieniach słońca tańczyły roziskrzane pyłki kurzu. Ogarnęło ją uczucie, że w dzwonnicy jest jeszcze ktoś. I że ten ktoś czegoś od niej chce.

Cienie rozwiały się w mocniejszym świetle i wiele z wytłoczonych na płaszczu dzwonu liter dawało się teraz odczytać. Astrid odcyfrowała inskrypcję, a gdy uświadomiła sobie jej znaczenie, krzyknęła bezgłośnie i zaczęła dygotać.

„Na wieczną pamiątkę Halfrid i jej Matce Astrid”.

Usłyszała wydobywający się z dzwonów cichy pomruk, bogaty, wielogłosowy dźwięk przywodzący na myśl rój trzmieli. Wstrzymała oddech i poczekała, aż szum ucichnie, po czym ukucnęła, musnęła brąz małym palcem i zbliżyła język do jego opuszka. Smak był ostry i słony.

Podeszła ostrożnie do drugiego z dzwonów.

„Na wieczną pamiątkę Gunhild i jej Matce Astrid”.

Zaczęły do niej docierać stłumione odgłosy z innego czasu, rozdźwięk ukryty w mrokach nieświadomości, łoskot, który rozbrzmiewał coraz głębiej i głębiej w jej wnętrzu, dochodząc do samego środka, aż w końcu odnalazł ostatnie resztki zdrowego rozsądku i uformował się w wyraźny głos przekręcający inskrypcję na dzwonach, szept kobiety, która słowami niczym sprzed wieków powiedziała:

Tyś jest ich matka.

Astrid pomyślała, że staje się kimś innym. Otoczyło ją zimno i mrok, nozdrza wypełnił obcy zapach, czuła, że ktoś do niej coś mówi. Zmieniło się również powietrze, wszystko było teraz starsze, ona zaś miała wrażenie, że ktoś jej się tu spodziewał. Poczowała się mądrzejsza i silniejsza, jakby nagle urosła i przeżyła całe życie. Przed jej oczyma zaczęła się formować sylwetka, jakiś kształt wsysający w siebie szarość tańczącego w powietrzu kurzu, przybierający ciemniejszą, bardziej stałą formę. Nagle sylwetka rozviała się, lecz wciąż była obecna. Astrid czuła, jak drżą ścięgna jej szyi i gardła, jak tętnią żyłki na skroniach, nagle zakręciło jej się w głowie i zawirowała, pędząc przez kolejne epoki, a w tej nieskończoności ujrzała tamtą istotę, wirującą jak i ona. W następnej chwili stała już z powrotem na ziemi, czując, że jest teraz w połowie kimś innym.

Ruszyła bezwolnie do dzwonów, jakby pchała ją do nich jakaś siła, i położyła obie dłonie na szorstkim sznurze. Władające nią moce nie chciały, by teraz go pociągnęła, pragnęły jedynie pokazać, że może. Wypuściła sznur z dłoni i ten nieznaczny ruch wywołał w brązowych dzwonach słabe drgania, obudził najgłębiej żyjące w nich oktawy, pogłos na bezdrożach po dawnym nabożeństwie pogrzebowym.

Dzwony wydały się nagle zupełnie nowe i lśniące, Astrid mogła się przejrzeć w ich połyskliwym płaszczu. Ujrzała obcą kobietę z innego czasu, w czerwonym stroju z szorstkiej tkaniny, miała posrebrzany pas i ręce skrzyżowane na brzuchu. Na brąz padło rozproszone światło, dzwony zmatowiały i znów stały się stare, a w tej samej chwili Astrid oprzytomniała i niesamowite wrażenie znikło, rozviało się niczym mgła nad mokradłami.

Dary portu w Latakii

– Miał pan owocny dzień pracy? – spytał Kai Schweigaard swoim płynnym niemieckim.

– Cóż, muszę przyznać, że umiarkowanie. Próbowałem... – Schönauer zakasłał w kułak. – Próbowałem naszkicować konstrukcję sklepienia. Ale w środku jest tak ciemno i miałem tak mało czasu... Poza tym nie bardzo wypada pracować w dzień świąty, choć może ludzie nie uważają sztuki za pracę?

Kai Schweigaard zabębnił palcami w blat stołu. Kiedy ta Bressum wreszcie przyniesie obiad? Nie był się w stanie skupić, jego myśli miały się pomiędzy Astrid Hekne a obowiązkami kapłańskimi. Nie dostał na razie listu od Idy Calmeyer. Schönauer również nadal czekał na odpowiedź profesora Ulbrichta.

– Ale przynajmniej mógł pan popracować w spokoju? – spytał Schweigaard.

– Tak, oczywiście.

– Nikt panu nie przeszkadzał?

– Nie. Spotkałem tylko tę młodą kobietę, która pożyczyła ode mnie klucz do kościoła. Ona tu pracuje?

– Nie. Ale kiedyś pracowała. Pochodzi z majątku, którego gospodarze przed wiekami podarowali parafii kościelne dzwony. Ma do nich *ein bisschen romantisches* stosunek. Lepiej, aby nie rozmawiał pan z nią więcej niż to konieczne.

– Ach. Zrobiłem dla niej szkic portalu.

– Naprawdę? Kiedy?

– Przed kilkoma dniami. Spotkałem ją w kościele. O bardzo wczesnej porze.

Schweigaard zmarszczył nos z niesmakiem. O tym mu chyba nie wspominała?

Czuł do Gerharda Schönauera szacunek, ale wiedział też, że nigdy go nie polubi. Rozmowa w czasie ich wspólnych obiadów na ogół się rwała. Niemiec zdawał się z początku taki pełen życia i żwawy, niemal dumny, paradując po wsi ze swoimi sztalugami i pretensjonalnym płaszczem, ale teraz popadał coraz częściej w dziwne zamyślenie, skarżąc się, że nie rozumie kościoła.

Gospodyni Bressum przyniosła w końcu półmiski z jedzeniem, rąbnęła nimi o stół i się oddaliła. Porcelana zdawała się ważyć więcej niż sam obiad. Od kilku dni jedli wyłącznie posiłki przyrządzone z resztek zimowych zapasów. Parszywe ziemniaki, solony śledź i grube chrupkie placki.

Schönauer nałożył sobie trzy kartofle. W zamyśleniu upuścił łyżkę na stół. Porozmawiali chwilę o tym, co Schweigaard przeczytał w gazecie, że Wielka Brytania ma wprowadzić jednakową miarę czasu dla całego kraju, by dało się wreszcie rozszyfrować rozkłady jazdy pociągów, potem Niemiec opowiedział o swojej podróży do Anglii. Wdał się w niepotrzebne szczegóły i dokładnie objaśnił system katalogowania zbiorów stosowany przez pewną księgarnię w Cambridge, ale Schweigaard i tak postanowił czerpać radość z faktu, że ma za gościa człowieka tak bywałego w świecie.

Nagle pastor odłożył sztuce. Czyżby ta przesadnie rozbudowana opowieść o księgarskim katalogu była wybiegiem, by nie mówić o spotkaniu z Astrid Hekne? Czyżby dziewczyna robiła w kościele coś, o czym Niemiec nie chciał wspominać?

Schönauer zakończył swój wykład i odezwał się znów, po chwili milczenia:

– Pomyślałem, że mógłbym jakoś odwdziżyć się za gościnę.

Wyłowił z kieszeni kwadratową blaszaną puszkę, otworzył ją i postawił na stole.

– Nazywa się Grousemoor – powiedział. – Kupiłem w Londynie dwa funty, została mi tego jakaś czwarta część.

Schweigaard sięgnął po puszkę z wahaniem.

Tytoń fajkowy?

Zbliżył nos do zawartości, pociągnął nim dwukrotnie i natychmiast poczuł, że to wyśmienita mieszanka. Wyjechawszy na studia do Kopenhagi, szybko zauważył, podobnie zresztą jak inni młodzi teolodzy, jak dalece rozpieszczone doskonałymi sklepami z tytoniem jest to miasto. Sam przechowywał u siebie pół kilo mieszanki od Wilhelma Øckenholta Larsena z Amagertorv i jego żony, a każde słowo,

które przeczytał w wydziałowej bibliotece, spowite było niebieskoszarym dymem z zacnego tytoniu tego kupca, z reguły 1864 lub No. 05. Tu, w Norwegii, był on niestety niedostępny, Schweigaard musiał zadowalać się mieszankami Tiedemanna, nieco gorzkimi w smaku i szczypiącymi w język.

Wziął szczyptę tytoniu z puszki i wysypał go sobie na dłoń. Pięknie pachnące drobiny w odcieniu złocistego brązu musiały pochodzić z Wirginii w Stanach Zjednoczonych. Nieliczne grube czarne pasemka wydawały silną, niemal duszącą woń, był to najpewniej drogocenny i niezrównany tytoń sprowadzany z Latakii w Syrii.

Schweigaard nabił fajkę i ją zapalił.

Faktycznie. Mieszankę tę musiał stworzyć prawdziwy magik. Miała charakter i moc, lecz lekko egzotyczny aromat czynił ją bez reszty urzekającą, możliwe, że była to ta mała „tajemnica”, o której powiedział mu kiedyś Larsen, czyli drobno mielone liście bananowca.

Rozmowa ucichła zupełnie naturalnie. Pastor zobaczył, że Niemiec po drugiej stronie stołu również zapala fajkę. Sam zapadł się w głębiny tytoniowej rozkoszy.

Palili w milczeniu. Kai Schweigaard poczuł, że ogarnia go spokój ducha i przyjemność porównywalna tylko z tą, którą odczuwa się w najwcześniejszej fazie opiumowego rauszu.

I wtedy nagle do niego wróciła. Dziwka z Pipervika. „Przecież jeszcze nie jesteś pastorem”.

Schweigaard się ocknął. Dym przysłonił mu na chwilę cienką kawę gospodyni Bressum i kłopoty ze spalonym portalem. A także zmartwienie być może jeszcze większe: fakt, że ten oto człowiek, którego zaprosił pod swój dach, zaczyna się interesować Astrid Hekne.

Zasłonił główkę fajki kciukiem. Żar parzył mu skórę, ale pastor wytrzymał, dopóki wszystko nie zgasło.

– Co jeszcze mówiła panu ta spotkana w kościele dziewczyna? – spytał pastor.

Niemiec podniósł wzrok.

– Hm? Mówiła? A o czym?

– Na przykład o tym portalu. Powiedział pan, że go pan dla niej narysował. Przed kilkoma dniami. Jak ona na to zareagowała?

– Zdało mi się, że go rozpoznała.

– Co? Ona?

– Owszem, to było *ein bisschen merkwürdig*. Bo pan mówił mi przecież, że portal spalono jakieś czterdzieści lat temu. Jej wtedy jeszcze nie było na świecie. Chyba że jest dużo starsza, niż na to wygląda! Bo na moje oko ma jakieś dwadzieścia lat. Może dziewiętnaście?

Kai Schweigaard złożył powoli serwetę i dyskretnie otarł nią usta.

– Za parę tygodni uporam się z pogrzebami – rzekł, dając gestem do zrozumienia, że czas kończyć posiłek. – Będzie miał pan wtedy swobodny dostęp do kościoła, panie Schönauer. Ale do tego czasu w świątyni będzie się dużo działo. Tak dużo, że powinien pan sobie zrobić przerwę w pracy. Czy to aby nie wędkę widziałem w pańskim bagażu?

Plama na ścianie spichlerza

Siedziała w stodole, dygocząc, i marzyła o podróznym pledzie, którym mogłaby otulić ramiona. Zrobiło się późno, a ona nadal była niespokojna. Gdy w końcu doszła do siebie tam, na wieży, poczuła się odrętwiała, zupełnie jakby wstała ze snu przy wygasłym pod gołym niebem ognisku.

Dreszcze przestawały powoli dręczyć jej ciało, za to głowa ciągle czekała na ulgę. Astrid krążyła niespokojnie po obejściu, zajrzała do Emorta i położyła dłoń na jego czole. Chłopak wydawał się jeszcze bardziej wymizerniały, skórę miał wilgotną i błyszczącą.

– Znalazłam twoje pułapki – powiedziała mu. – Dwie wiewiórki.

– Aha.

– To było parę dni temu. Dopiero teraz się obudziłeś.

– Aha.

Chciałaby powiedzieć bratu o wszystkim, co się wydarzyło, ale on był zbyt chory, by to teraz zrozumieć. Nazajutrz, po bezsennej nocy, rannym oporządziła zwierzęta w oborze i usiadła na podwórzu. Zdarzenie na kościelnej wieży pozostawiło piekącą bliznę w miejscu, gdzie nie było wcześniej żadnej rany. Ktoś wykrzyczał imię Astrid Hekne, domagając się od niej jakiegoś wielkiego czynu.

Kawałek dalej, przy słonecznej ścianie warzelni, leżały dwa koty z przymkniętymi ślepiami. Podeszła do nich i wzięła jednego na kolana. Słoneczne promienie odbijały się w wypaczonych szybach okien jej rodzinnego domu. Na szarej, suchej ścianie spichlerza widniała czarna, tłusta plama, niedaleko rogu, który po nadejściu cieplejszych miesięcy rozgrzewał się jako pierwszy. Klara zawsze smarowała tamto miejsce masłem, naprawdę solidną jego porcją, rok za rokiem – ten zwyczaj miał zatrzymać wiosnę na dobre. Astrid irytowała się kiedyś takim marnotrawstwem, i to jeszcze w okresie, gdy w domu brakowało jedzenia. W tym roku nikt nie dopilnował rytuału, a na dworze nadal panowały chłody.

Myśli kłębiły się w jej głowie. Niczym rzucane podmuchami wiatru, miały się między karą, grzechem, zakochaniem, żalem, ciekawością i drganiem dwóch kościelnych dzwonów, których woli nie była w stanie pojąć. Pobiegła do domu, wślizgnęła się do spiżarki, wzięła masło i nasmarowała nim plamę na ścianie spichlerza.

A potem usiadła, by swobodnie kielkowały w niej kolejne pytania. Czemu dziadek nigdy jej nie wspominał o inskrypcji na kościelnych dzwonach? Dlaczego nie opowiedział jej o Wężu u Wrót? Wróciła do domu, pokonała schody i weszła „na górę”. Drzwi gabinetu ojca nigdy nie zamykano na klucz, nikt nie miał odwagi wchodzić tam pod jego nieobecność, lecz ona teraz wślizgnęła się do środka, odwróciła wzrok od wierzbowej różgi, zdjęła z półki pleciony koszyk i otworzyła notatnik dziadka.

Odręczne pismo prowadziło ją przez kolejne minione dekady. Lata potu, spracowanych dłoni, obolałych pleców i kobiecej harówki. 1833. 1834. Zboże do siewu. Cielące się krowy. Podatki. Konie. Pługi. 1835. 1836. Dzierżawcy. Pożar. Sadzenie ziemniaków. Opłata od najmu. Łupkowy dach. Uzdatnianie ziemi pod uprawę. 1842. Zagroda dzierżawcy w Halvfarelia. Kute żelazo. Zęby do brony. 1844. „Handel z Berglim i Hallumem”. Dwa talary.

Astrid zmarszczyła czoło. „Handel”. Tego słowa dziadek nie używał nigdy wcześniej. Zazwyczaj pisał „opłata”. A w tym chyba roku...

– Co ty tu robisz?

Zatrzasnęła notatnik. Ojciec stał na progu, wypełniając cały otwór drzwiowy swoją potężną sylwetką. Wydał jej się nagle kimś groźnym i obcym.

– Odpowiadaj, ale już. Co tu robisz?

– Czytam zapiski dziadka.

– Co się z tobą dzieje, Astrid?

– Nic, chciałam tylko do nich zajrzeć.

– Nieprawda, stałaś tu i rozmawiałaś sama ze sobą.

– Ach?

Czekała, aż ojciec każe jej odejść. Lecz on tylko usiadł za biurkiem.

– W czterdziestym czwartym – zaczęła – dziadek kupił coś od dwóch mężczyzn i zapłacił im za to dwa talary.

Ojciec wyciągnął rękę po notatnik. Zerknął na wskazany mu fragment i skomentował, że całe dwa talary były wtedy całkiem sporą kwotą.

– To dziwne, że nie napisał, o co chodziło – powiedziała Astrid. – A przecież zawsze tak dokładnie prowadził rachunki.

Ojciec znów zajrzał do notatnika. W następnej linii widniała notatka o nowych dzierżawcach przybyłych do Halvfarella oraz uwaga, że postawiono tam owczarnię.

– Halvfarella – rzucił ojciec, a Astrid doskonale wiedziała, o czym myśli. Była to jedna z niewielu zagród dzierżawców, które zostały przy Hekne, ale gospodarze pozwalali jej mieszkańcom, Adolfowi i Ingeborg, żyć tam i uprawiać ziemię, nie stawiając im przesadnie wysokich wymogów. Stanowiło to jedną z zasad należących do, jak nazywał to ojciec, „hekneńskich zwyczajów”. Chodziło o coś w rodzaju poczucia sprawiedliwości i łagodności wobec ludzi starszych. Adolf i Ingeborg mieli sześcioro dzieci, ale wszystkie jak jedno wyjechały do Ameryki. Starszy mężczyzna nie przepracowywał się w Hekne, czynsz spłacał, przynosząc im mięso i ryby, był cierpliwym łowcą i wychodziło z tego więcej pożytku, niż gdyby miał harować przy sianokosach. Zimą zastawiał sidła na pardwy, a czasami udawało mu się ustrzelić wczesną jesienią renifera, którego mięso było w Hekne rarytasem podawanym wyłącznie od święta.

Spojrzenie ojca zdawało się jednak mówić, że nie myśli teraz o Adolfie i Ingeborg.

– Wtedy w kościele – odezwał się. – Co takiego powiedziała ci Klara?

– Mówiła o jakimś Wężu u Wrót.

– A nie o Czarnym Wężu?

– Nie. A co to takiego?

– Jedyne, co mi się kojarzy z Wężem u Wrót. Chodzi o tę owczarnię w Halvfarella.

– Opowiedz.

– Najpierw muszę się dowiedzieć, co ty właściwie wyprawiasz.

Wyznała mu wszystko, co była w stanie wyznać, nie schodząc jednocześnie na tematy dla niej wstydlive. Ojciec siedział dłuższą chwilę w milczeniu, w końcu powiedział „hm”, sięgnął znów po notatnik i oświadczył:

– Słyszałem tę historię już dawno temu. Jeszcze zanim Adolf i jego żona się tam przenieśli. Odwiedził nas pewien stary człowiek z Mikkelslåa. Opowiedział o czymś, co dobrze sobie zapamiętałem. Właściwie to ojciec sprawił, że w ogóle zwróciłem na to uwagę. Bo tak dziwnie się zaśmiał na słowa tego człowieka.

– To był jakiś żart?

– Nie, chodziło o owce. Byłem wtedy mały, miałem jakieś osiem czy dziesięć lat. Tamtego roku wszystkie owce we wsi zachorowały. Ochwaciły się, niektóre dostały białych plam na pyskach. Choroba dotarła do wszystkich gospodarstw w okolicy i wiele zwierząt zdechło. Ale był wyjątek. Owce w Halvfarella pozostały zdrowe. Każda jedna.

– Ta zagroda leży na uboczu – powiedziała Astrid. – Może zaraza tam nie dotarła.

Ojciec pokręcił głową.

– Pamiętam, że ludzie bardzo się bali tej choroby, rozmawialiśmy o tym przy stole. Tamten stary człowiek uśmiechnął się przebiegle. Powiedział, że owce w Halvfarella są zdrowe, bo strzeże ich Czarny Wąż. To był jedyny raz, gdy o nim usłyszałem.

Wędkarz bez robaka

Następnego dnia, uporządziwszy zwierzęta w oborze, rozpoczęli prace na położonym najwyżej polu. Astrid stała przy becze ze zgromadzonym przez zimę popiołem, nabierała go do wiaderk i pokazywała młodszemu rodzeństwu, jak posypywać nim pozostały na ziemi śnieg, by szybciej dzięki temu stopniał.

Wciąż nie miała żadnej dobrej wymówki, by udać się do Halvfarelia. Lecz wkrótce niebo pociemniało i nadeszła pierwsza tego roku burza z piorunami. Był to pewny znak, że żywica znów zaczęła krążyć w drzewach, więc Astrid powiedziała, że przejdzie się do brzeziny w pobliżu Halvfarelia, by zobaczyć, czy da zdjąć z drzewek dartkę do wyplatania kobiałek. Ale najpierw musiała iść po nosidło i naostrzyć nóż, a gdy stała już w kuźni z osełką i stalową ostrzałką, usłyszała, jak za jej plecami trzaskają drzewa.

– Astrid?

Na progu stał Emort, chudy i blady. Dziewczyna zrobiła dwa kroki w tył, po czym podeszła do niego i położyła dłoń na jego piersi.

– Czemu to robisz?

– Żeby sprawdzić, czy żyjesz.

– Przecież żyję – oświadczył jej brat, przeciągając palcem po kowadle. – Wstałem z łóżka. Ile śniegu spłynęło!

Astrid objęła go i uściśnęła, mówiąc, jak bardzo się cieszy.

– To ty posmarowałaś ścianę spichlerza masłem?

Kiwnęła głową i znów objęła brata. Gdy Emort wrócił do domu, by odpocząć, ruszyła w kierunku Halvfarelia.

Po drodze dostrzegła młodego Niemca. Niósł w ręku niewielką rurę obciążoną brązową skórą. Astrid zwolniła kroku i zaczęła śledzić go wzrokiem. Szedł wzdłuż strumienia i w końcu zniknął w lesie. Czemu idzie tamtędy, pomyślała, przecież ścieżka biegnie po drugiej stronie?

Rozejrzała się dookoła. W pobliżu nie było nikogo. Zeszła z drogi i ruszyła za nim, śledząc go z przeciwległego brzegu. Strumień nie nosił żadnej nazwy, mimo że był całkiem spory. Należał do wielu, które spływały z gór i wpadały do Lønesvatnet, Astrid nie miała pojęcia, jak długo woda zostaje w jeziorze, bo potem spływała ku Fåvang, przechodząc w rzekę Laugen, w której zaczynała się nagle spieszyć, zdążając ku morzu, zbyt wielkiemu, by je objąć umysłem.

To, co poczuła wtedy na kościelnej wieży, wydawało jej się teraz odległe, jak coś pomiędzy myślą a wizją. Zdarzało jej się już, że zwłaszcza w chacie na górskich pastwiskach widywała w ciemnościach różne stworzenia, ale zawsze dochodziła do wniosku, że to tylko wyobraźnia płata jej figla. Prychała, słuchając gadaniny starszych ludzi o huldrach czy żyjących pod ziemią istotach. Wiedziała, że prości mieszkańcy Butangen od zawsze musieli wynajdować sobie wyjaśnienia na wszystko, co się wokół nich dzieje, inaczej powstawała pustka, która sprawiała, że zaczynali się bać gór i lasów. A skoro musieli się mierzyć z siłami natury, przy różnej pogodzie, często głodni czy z bólem głowy, to czasem widywali różne rzeczy i jakoś to sobie tłumaczyli, bo lepiej by w ciemnościach kryły się huldry niż nie wiadomo co. Fantastyczne istoty miały swoje imiona, by łatwiej było do nich przemówić i je udobruchać oraz ostrzec przed nimi innych. I tak oto życie mogło płynąć dalej.

Lecz tamto dziwne zdanie wciąż tkwiło jej w głowie jak zaklinowane. Owszem, życie płynęło dalej, lecz ona czuła się, jakby ktoś lub coś jej w nim towarzyszyło.

Niemiec buszował teraz w zaroślach na drugim brzegu strumienia. Astrid dostrzegła go i szybko się pochyliła. Niósł ze sobą płócienną torbę, która cały czas płatała mu się między gałązkami, a gdy w końcu udawało mu się ją uwolnić, gubił kierunek i brnął dalej, potykając się, ku skarpie, którą Astrid doskonale знаła, a on zaś pewnie nie miał nawet pojęcia o jej istnieniu.

Co by było, gdyby tak po prostu zniknął? Czy z tego miasta o nazwie Drezno przysłano by do Butangen kogoś na jego miejsce? Myśli Astrid popłynęły ku Kaiowi Schweigaardowi, dziewczyna znajdowała przewrotną uciechę w dręczeniu się straconą nadzieją.

„Napijesz się kawy, drogi Kaiu? Tak myślałam. Proszę bardzo, świeżo zaparzona. Przeczytałeś już gazetę? Och, dziękuję. Ojej. Widziałeś, co tu piszą? »Wciąż żadnych wieści o niemieckim malarzu, który zaginął w Gudbrandsdalen tej wiosny«. Czyż to nie straszne? Owszem, ja też tak uważam! Ach, chyba już zima za pasem. Tak, dziś rano trawa była oszroniona. Przy okazji: cieszę się, że mogliśmy zatrzymać stary kościół. Tak w nim ciepło i przytulnie, odkąd obudowaliśmy go deskami, zupełnie jak w Fåvang”.

W tej samej chwili Niemiec zleciał ze skarpy, wydając przeciągły, żałośniejszy z każdą chwilą krzyk. Rozległ się chrzęst kamieni, do uszu Astrid dobiegły słowa będące zapewne niemieckimi przekleństwami. A potem nastała cisza. Zobaczyła, jak mężczyzna wdrapuje się z powrotem na górę. Mamrotał coś pod nosem, ukląkł, pogmerał przy tej dziwnej rurze, którą ze sobą niósł, po czym pokuśtykał dalej, z obitym najwyraźniej kolanem. Cały czas robił wokół siebie dużo hałasu. Astrid słyszała szelest ogarnianych gałązek, stukot butów o kamienie. Na zboczach dźwięki jego kroków ginęły w szumie strumienia, lecz na płaskich odcinkach znów stawały się słyszalne. W końcu Niemiec wyłonił się z zarośli i przelał na drugą stronę strumienia kawałek przed nią.

Zawsze zdawało jej się, że jeśli zewnętrzny świat dotrze kiedyś do Butangen, zrobi to z mocą i pewnością siebie, nadciągnie niczym niepokonana armia, rozbije na chwilę we wsi obóz i pojedzie dalej, zatknąwszy tu barwne sztandary. I że jedynym, co po nim zostanie, gdy już opadnie kurz, będzie świadomość, iż oto nadeszły nowe czasy.

Lecz teraz zewnętrzny świat siedział na kamieniu, przybrawszy postać młodego Niemca o zgarbionych plecach.

Wydawał się taki samotny.

Spocony, z przemoczonymi butami i spodniami. Odpoczął chwilę, po czym ruszył dalej w kierunku miejsca zwanego przez tutejszych wędkarzy Martwą Zatoką, nie dlatego, że nieszczęśnicy odbierali sobie tam życie, lecz dlatego, że nigdy nie brały tam ryby. Wydawało się, że zatoczka pełna będzie pstrągów, woda była w niej czarna, głęboka i migocząca, lecz mimo to wędkarze zawsze odchodzili stąd z pustymi rękoma, wielu sądziło, że występuje tu to samo zjawisko co w trzech pobliskich jeziorach noszących tę samą nazwę – Breitjønne. Roilo się w nich od pstrągów, lecz nie sposób było złapać ich na haczyk – miały najpewniej na dnie jakiś pokarm, którym interesowały się bardziej niż robakami. Tyle że nikt nie wiedział, co by to mogło być.

Niemiec pogmerał w torbie, którą niósł przewieszoną przez ramię, i już po chwili podmuch wiatru poniósł w stronę Astrid jakiś nieznaną jej zapach. Była to fascynująca mieszanka ciężkich korzennych woni, w której dawało się rozróżnić poszczególne nuty, a mimo to stanowiła spójną aromatyczną całość. Jeden z zapachowych niuansów przywodził jej na myśl bagno i wydawał się mdlący, drugi kojarzył się ze świeżym sianem, trzecia znów nić w tej utkanej z woni chmurze była jak powiew Bożego Narodzenia. Kompozycja zapachów przywodziła na myśl to, co Astrid pamiętała z gazet Kaia Schweigaarda, oczarowujących ją nie samą wonią drukarskiej farby i papieru, ale oczekiwaniem, które z takimi aromatami nierozzerwalnie się wiązało.

Halvfarella. Jeśli nie pójdzie tam teraz, natychmiast, nie zdąży na wieczorny obrządek w oborze.

A tymczasem tuż przed nią siedział Niemiec. Niczym rzadki okaz egzotycznego zwierzęcia, który mogła podziwiać z bliska.

Musiała mu zgasać fajka, bo zapalił ją na nowo i rzucił zapałkę na ziemię. Robił to raz za razem. Zdaniem Astrid było to niepotrzebne marnotrawstwo – w jej domu nie używano nigdy więcej niż jednej zapałki dziennie, rano rozpalano w piecu, a przez resztę dnia wtykano do ognia gałązki i w razie potrzeby przenoszono tak płomień z miejsca na miejsce. Wiatr niósł aromaty w jej stronę i mimowolnie rozkoszowała się zapachami, które docierały do niej, wydmuchiwane najpierw przez tego obcego człowieka. Niemiec wyjął z torby podłużną książeczkę oraz ołówek, a ona zaczęła się niecierpliwić, bo widziała go przecież wcześniej, jak stał przed kościołem, rysując całymi godzinami, lecz wtedy wiatr jakby zmienił kierunek i poniósł jej zniecierpliwienie ku niemu, bo zatrzasnął szkicownik, otworzył za to obciążoną skórą rurę i wyciągnął z niej ciemnozielony futerał. Po chwili dzierzył w rękach wspaniałą lakierowaną wędkę o wysłużonym korkowym uchwycie i okrągłym kołowrotku, z którego rozwijała się mocna jasnożółta linka.

Chciał łowić ryby? Teraz? Woda była za zimna, pstrąg z pewnością nie będzie brał, wszyscy to widzieli, wystarczyło rzucić okiem na wzburzony od roztopowych wód nurt strumienia, w cieniu wciąż leżały resztki śniegu, a poza tym gdzie on teraz wykopie robaki, przecież ziemia była jeszcze zmarznięta?

Niemiec znów zrobił coś dziwnego. Ukląkł nad brzegiem, podwinął rękawy i zaczął odwracać leżące w wodzie kamienie, zupełnie jakby się spodziewał, że coś pod nimi znajdzie. Podeszedł do nagich krzaków rosnących nad strumieniem, potrząsnął ich gałązkami i pozbiierał szybko to, co z nich opadło, wyjął następnie niewielką mosiężną kasetkę i po chwili przywiązał do linki haczyk ozdobiony piórkami. Ruszył w górę strumienia, przystanął dobry kawałek od Martwej Zatoki i jasnożółta linka śmignęła w powietrzu. Niemiec nie zarzucał jej do wody, z każdym zamachem popuszczał coraz więcej linki, a ona wlatywała w powietrze tak wysoko, że zaczęła się układać w litery na tle zbocza doliny, najpierw przekręcone U, które rozciągnęło się zaraz w przekręcone J, potem zaś strzeliło do przodu, stając się drugim J, tyle że już skierowanym wygięciem ku górze. Ta litera zmieniła się wreszcie w prostą linię, która wylądowała na wodzie tuż przy zmarzniętym brzegu.

Po chwili Niemiec zwinął linkę i znów ją zarzucił. Czasami wypadał z rytmu, tak że żółty sznureczek układał mu się w poplątane esy-floresy, które błyskawicznie zwijał, nawet jeśli haczyk lądował w wodzie, najbardziej cieszyły go chyba piękne, rysowane wędką kształty i wkrótce ona także poddała się jego emocjom – przy czym u niej, tak wygłodniałej wiosny, były one jeszcze większe. Zaczęła sobie wyobrażać pstrągi, które rzucały się w wodzie, a potem wiły na brzegu, wreszcie zaś rzucały się i wiły na rozgrzanej patelni. Widziała oczyma duszy czerwone mięso odchodzące od ości, widelec, sól, młode ziemniaki i masło.

Jak długo można było patrzeć na człowieka, który łowił ryby w miejscu, gdzie ryby nigdy nie biorą?

Uświadomiła sobie, że całkiem długo.

Niemiec znów zarzucił haczyk, tym razem tuż obok okrągłego kamienia, szarego i suchego z wierzchu, a czarnego tam, gdzie obmywała go woda. Wędka wygięła się w łuk, a do uszu Astrid dotarł zgrzyt rozwijanej z kołowrotka linki.

Windswept February Red

Stał na brzegu huczącego strumienia, wezbranego po roztopach i przypominającego właściwie niewielkich rozmiarów rzekę. Górskie szczyty dookoła były tak samo białe jak w zimie. Zalegający na nich śnieg zaczął się topić zapewne dopiero niedawno. Gerhard ukląkł i pogładził dłonią futerał wędki.

Zrezygnował z pracy jeszcze przed południem. Wyglądało na to, że ani pastor, ani sam kościół nie życzyli sobie jego obecności. Rzucił przybory do rysowania w kąt, wziął wędkę i ruszył przed siebie wzdłuż najbliższego strumienia. Wędka wykonana była z pieczolowicie przygotowanej do tego celu bambusowej klejonki i w namacalny sposób łączyła go z cywilizacją, niczym lśniący oszczep wyprodukowany w brytyjskim imperium, przeznaczony do użytkowania na najdalej wysuniętych posterunkach i w dzikich jak ten terenach. Gerhard zakupił wędkę w czasie wyjazdu do Londynu, stała wystawiona w witrynie jednego ze sklepów na Jermyn Street i natychmiast skradła jego serce, mimo że przybytek ten został otwarty niewiele wcześniej i nie dorobił się jeszcze szczególnej renomy. Wędkę skonstruowali dwaj bracia o nazwisku Hardy i stanowiła ona prototyp w serii, którą, według sprzedawcy, mieli zamiar nazwać Smuggler, czyli szmugler, z racji tego, że sprzęt ich pomysłu można było rozkładać na sześć elementów i bezproblemowo przewozić. Gerhard mierzył wędkę wzrokiem, wybiegając myślami o dekadę w przód. Wyobrażał sobie, że jest znanym architektem, często podróżuje, realizując doskonale opłacane kontrakty na projekty wysmakowanych budowli, sypia w wygodnych hotelowych pokojach, w bagażu wozi niewiele poza przyborami do rysowania oraz wędką i spędza leniwe chwile nad brzegami spokojnych rzek, czekając, aż umysł mu odpocznie, a myśli dojrzeją do kolejnego dnia pracy.

Tamtego dnia w Londynie poprosił o zmontowanie wędki, zważył ją w dłoni i pozwolił ekspedientowi złożyć na powrót. Była pięknie opakowana w ciemnozielone płótno żeglarskie z wszytymi kieszeniami różnej szerokości, po jednej na każdą jej część, a gdy futerał został zwinięty w niewielki rulon, na jego zewnętrznej powierzchni ukazał się lśniący, wyszyty czerwoną jedwabną nicią emblemat braci Hardy, razem z dwoma sznureczkami, którymi można było związać i w ten sposób zabezpieczyć tkaninę. Następnie zaś futerał został wsunięty do obciągniętego skórą kołczana, mającego zabezpieczyć wędkę przed uszkodzeniami, o jakie nietrudno na łonie dzikiej natury.

Tym samym jego serce zostało ostatecznie zdobyte, a towar – sprzedany.

Gerhard wyjął teraz wędkę z kołczana i skonstatował, iż upadek ze skarpy faktycznie jej nie zaszkodził. Rozwiązał sznureczki i futerał z sześcioma częściami rozwinął się u jego stóp, po lewej stronie miał korkowy uchwyt, a dalej na prawo kolejne, coraz cieńsze elementy, układające się niczym zdanie w jednej linii i już po chwili trzymał elegancką wędkę w dłoni. Poodwracał kamienie leżące w wodzie przy brzegu, próbując rozpoznać gatunek lęgnących się pod nimi owadów, ale ostatecznie postanowił zacząć od zwyczajnej mokrej muchy, Greenwell's Glory.

Już teraz czuł, że ogarnia go spokój. Tak właśnie należało korzystać z wędki braci Hardy, oto brytyjski perfekcjonizm w konfrontacji z dziką naturą. Do tego imitacja żywego owada, czysta gra, uczciwość człowieka wobec natury.

Zamocował muchę i zapalił fajkę. Cudownie było otoczyć się pachnącym korzennymi przyprawami dymem tytoniu z Latakii. Czuł, jak nikotyna delikatnie stymuluje jego nerwy, pieści go i uspokaja. Tęsknota za tym właśnie uczuciem powodowała, że nie zostało mu już zbyt wiele tytoniu, a ostatnie zapasy stopnieją najpewniej szybko, gdyż wyglądało na to, że ta sama tęsknota dręczy również pastora.

Już przy drugim rzucie poczuł, że ktoś go obserwuje. Coś poruszyło się między niskimi świerkami, jakaś gałązka odgięła się i wróciła na swoje miejsce, mimo że reszta drzewa pozostała w bezruchu. Szmer strumienia nie wydawał mu się już monotony, zdawał się szeptać do niego słowa w jakimś nieznanym mu, prastarym języku.

Otrząsnął się z tego wrażenia.

Najprawdopodobniej były tu ryby, tyle że z jakiegoś powodu nie brały. Rosło w nim pełne wyczekiwania podniecenie, napięcie wyparło natrętne myśli o gmachu kościoła. Zmienił muchę na Quill

Stonefly, odważył się nawet wypróbować Black Gnat, ale nadal nic mu się nie udało złapać i doszedł do wniosku, że pstrągi muszą polować na żyjące przy dnie widelnice, założył więc Windswept February Red i zarzucił muchę daleko od brzegu.

Wokół było pusto, ani żywej duszy. U jego stóp lśniła fenomenalnie czysta woda. Był w stanie policzyć każdy spoczywający na dnie kamyczek. Co za niezwykły kraj!

Nagle poczuł ciężar i opór na drugim końcu linki. Wędka Hardych wygięła się w ostrym łuku, coś zaczęło szarpać pod wodą. Już po kilku chwilach udało mu się wyciągnąć ładnego brązowego pstrąga. Nie był zbyt duży, ale bardzo piękny, Gerhard odłożył wędkę, ukląkł na brzegu strumienia i chwycił rybę w dłoń.

I wtedy usłyszał przytłumiony przez szmer płynącej wody szelest dobiegający od strony rosnących nieopodal jałowców. Odwrócił się i między gałęziami mignęło mu coś czerwonego, najwyraźniej ktoś się do niego zbliżał, a na widok ten przeszył go najbardziej dojmujący dreszcz w jego życiu. Poczuł mrowienie na karku, włoski na plecach stanęły dęba, ciarki wędrowały w dół i w górę, był to dreszcz strachu i głębokiego wzruszenia, a gdy Gerhard w końcu zamrugnął, czerwień zniknęła. Zamiast niej pojawiła się przed nim młoda kobieta o kręconych włosach, szła w jego kierunku, odziana w ten sam ciemny strój, który miała na sobie wtedy w kościele.

Czy to na pewno ona? W tej samej chwili zdało mu się, że pytanie wróciło do niego echem, zupełnie jakby dziewczyna zastanawiała się nad tym samym, jakby ich myśli zostały ku sobie ciśnięte i uzgodniły w milczeniu, że wszelkie wyjaśnienie zniszczyłoby niezwykły czar tej chwili.

– Nie było dziś malowania?

Gerhard pokręcił głową.

– Dzisiaj jestem wędkarzem.

Dziewczyna usiadła na ziemi, dając mu znak, że ma sobie nie przeszkadzać. Wykonał kilka rzutów, ale denerwowała go jej obecność i w końcu nawinął sznur na kołowrotek.

– Jak się nauczyłeś duńskiego?

Nie zrozumiał pytania i poprosił, by powtórzyła, dodając po chwili, by mówiła trochę wolniej. Wyjaśnił, że uczył się na kursie.

– Mam jeszcze to – dodał, wyjmując z torby niewielką książeczkę. Zamigotały tłoczone w grubym kartonie złociste litery: *Meyers Sprachführer für Reise und Haus*.

Zapytała go, jak złowił rybę bez robaka.

Spojrzał na nią, potem na pstrąga, potem na swoją wędkę, na góry za jej plecami i wyjął mosiężną kasetkę na przynętę, zastanawiając się, czy wyniósł z kursu duńskiego dość słownictwa, by opowiedzieć o Windswept February Red. Chwycił przewodnik, ale ona wzięła już kasetkę do ręki, najwyraźniej znajdując w niej odpowiedź. Wyjęła jedną z much i zaczęła oglądać ją pod różnymi kątami. Była to nimfa, Sawyer's Nymph.

– Pastor powiedział, że mam z tobą więcej nie rozmawiać – rzucił Gerhard i zaśmiał się krótko.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– A nawet nie wiem, kim jesteś. Jak twoje imię?

Nauczył się tego zdania na kursie, ale musiał je źle wymówić, odnalazł w przewodniku sekcję poświęconą „Pozdrowieniom i uprzejmościom”. Dziewczyna stanęła obok niego, a on wskazał na właściwą linię i przeczytał jeszcze raz, po norwesku:

– Jak się nazywasz?

– Astrid. Astrid Hekne.

Stali przez chwilę, mierząc się wzrokiem. A potem ona wzięła przewodnik z jego rąk i zaczęła go przeglądać. Spytała, czy dowiedział się czegoś więcej o dawnych drzwiach do kościoła.

– Katastrofa – odrzekł jej. – Pastor jest pewien, że spalone. Czekam na odpowiedź z Drezna, co teraz począć.

Dziewczyna przeglądała dalej książeczkę.

– Możesz pożyczyć – powiedział. – Książkę! Przynies do pracowni, jak skończysz!

Lampy gazowe Drezna

Gdy Astrid Hekne wróciła do domu i otworzyła *Meyers Sprachführer*, uświadomiła sobie, że to jest właśnie ta chwila, w której całe jej życie zostanie rozdzielone na „przedtem” i „potem”. Dusiła to w sobie od wielu lat, ale teraz ta potrzeba, by wyruszyć w podróż, wsiąść do wagonu kolejowego, znów obudziła się w niej do życia. Jej wola rozdziwiła się i mówiła całkowicie różnymi głosami, które nie mają szans na zgodę, niczym dwie siostry ciągnące się za ręce w przeciwnych kierunkach. Bo prosta nauka, jaką dało jej Butangen, brzmiała: potrzeba woli, by wyjechać, i potrzeba woli, by zostać.

A teraz pożyczony od Niemca przewodnik otworzył przed nią na oścież drzwi do innego świata. Długa, wydrukowana w nim lista zawierała zwroty niezbędne podróżnym odwiedzającym Norwegię. Lecz gdyby odwrócić ich kolejność, książka prowadziła ją w przeciwną stronę, ku Niemcom, i w ten sposób Astrid mogła zajrzeć w głąb tego kraju chcącego ratować norweski kościół słupowy od Kaia Schweigaarda.

Na końcu przewodnika znalazła adresy różnych hoteli, od Szwajcarii po północne Niemcy, największe z ogłoszeń zdobił rysunek gmachu hotelu Kaiserhof w Dreźnie, przed którym widniał rząd smukłych żelaznych słupów z zawieszonymi na nich lampami.

Astrid raz po raz to zerknęła na podpis, to zaglądała do słowniczka, starając się odcyfrować tekst.

„Nocami promenada przy Brühlsche Terrasse oświetlona jest uroczym blaskiem gazowych lamp”.

Światło, pomyślała. Światło w nocy.

Światło, przy którym można czytać w domu. I światło na dworze po zmroku, umożliwiające spacerowanie. To musiała być przemiana niczym ta z Księgi Rodzaju. Kiedy stała się światłość. Można było wyjść z domu, nawet gdy księżyc był w nowiu, spotkać kogoś i go rozpoznać. Oto wyzwolenie z leśnych ciemności. Od strachu przed huldrą i Czarnym Ludem, przesiadywania przy kominku, od powtarzanych do znudzenia, zmyślanych historii. Bo tak działała ciemność. Wystarczyło wyjść z domu w zimową noc, by zacząć się zastanawiać: czy na pewno jestem teraz sama?

Światło by ten lęk unicestwiło. W ciemnych kątach przecież i tak nie czaiło się nic groźnego. Dzięki niemu mieliby lepszą zimę, nie musieliby już przemykać pospieszenie pod ścianami domów.

Astrid rozkładała mapy północnych Niemiec, Danii, Norwegii i Szwecji, uczyła się, jak zamawiać dania w restauracjach i pytać o cenę biletu na parowiec czy pociąg.

Ogarnęła ją potrzeba, wielka i silna. Dużo większa niż wtedy, gdy czytała gazety Kaia Schweigaarda; był to pęd do podróży, dalekiej podróży, grzania się w promieniach tego drugiego słońca, skrywającego się za pierwszym, dobrze jej znanym.

Tu i ówdzie znajdowała zrobione przez Gerharda na marginesach notatki. Charakter pisma miał piękny, łatwy do odcyfrowania, młody artysta starał się pisać norweskie zdania na stronach rozdziału *Praktyczne porady dla podróżnych*: „Poszukuję ulicy do doliny Gudbranda. Gdzie człowiek może swój obiad kupić”.

Znalazła wciśnięty pomiędzy karty rysunek, datowany na styczeń tego roku. Gerhard siedział wtedy zapewne w miejscu, o którym ona teraz marzyła, wyobrażając sobie Norwegię. Krajobraz najeżony był spiczastymi szczytami gór, drzewa wyglądały krągło i obco, lecz mimo to pięknie, a na wskroś panoramy biegła szeroka droga, którą jechał powóz zaprzężony w konia, mimo że na ziemi leżał śnieg i każdy normalny człowiek podróżowałby saniami. W tle zaś piął się ku niebu gmach kościoła.

Astrid czytała dalej rozdział *Praktyczne porady dla podróżnych*, fantazując, że wszystko, co w nim napisano, tyczy się jej osoby. Nabyła w marzeniach skórzane walizki i podróżny strój, po czym pokonała tę samą drogę co Gerhard Schönauer, tyle że w przeciwnym kierunku, miała na głowie czepiec z zawiązaną pod brodą kokardą i wsiadła na pokład parowca („Proszę o kajutę dla pań, obawiam się choroby morskiej”), następnie przesiadła się do dorożki, udzielając fiakrowi jasnych instrukcji („Proszę jechać szybciej, czy nie ma pan bata?”), odprawiła chcących ją oszukać miglanców (*Sie fordern zu viel*), przybyła do pięciopiętrowego hotelu i poprosiła o pokój na parterze („Niechętnie chadzam po schodach”), następnie zażądała lepszego lokum, z klozetem, i przestała się awanturować dopiero, gdy

pokojówka przyniosła świeże napoje oraz wodę do mycia i zamknęła za sobą drzwi.

Jednocześnie wracała raz za razem do rysunku hotelu z widokiem na promenadę przy Brühlsche Terrasse. Do żółtawego blasku gazowych lamp. Nie było to zwykłe ślepe krążenie ómy wokół płomienia. Widziała, jak głęboko sięga ten blask, rozświetlając nie tylko domy, ale i ludzkie myśli.

Lecz gdy zamknęła książkę, dotarło do niej, że siedzi sama na zakurzonej stryżku stodoły, z zewnątrz dochodziło do niej gderanie matki goniącej dzieci i parobków do roboty, słyszała Osvalda zwołującego ludzi do czyszczenia koni, silnych roboczych zwierząt, które rodziły się w tym gospodarstwie i miały tu zdechnąć. Astrid zapragnęła znaleźć się w tym samym miejscu, lecz o minutę wcześniej, kiedy snuła marzenia. Wiedziała przy tym, że wkrótce będzie musiała oddać pożyczoną książkę, że niedługo dopadnie ją to, co przyjdzie później, jeszcze przed świętami, po wyjeździe Niemca. I wtedy to „wcześniej” nieś będzie w sobie stłumiony rozdźwięk całej tej wiosny.

Siedziała, rozmyślając o dwóch mężczyznach, którzy zaproponowali jej małżeństwo. Amund wiosną, a Sverre jesienią. Każda pora roku miała swojego wystrojonego zalotnika, swoje spotkanie na kościelnym placu, swoją uprzejmą propozycję złożoną w salonie jej domu. Oświadczyły z Nordrum i Dolnego Løsnes, porządnych majątków. Do żadnego z niedosłych narzeczonych nie było się zresztą o co przyczepić. Na pewno nie do Amunda, dużo przystojniejszego, jeśli nie liczyć wybitego zęba, milczącego i już trochę podstarzałego, bo prawie trzydziestolatka. Sverremu też nie miała nic do zarzucenia, był nieco postawniejszy i cięższy, lecz wesoły i dbały o wygląd.

Właściwie to z jednym i z drugim wyszłoby na to samo. Astrid długo sama nie rozumiała, czemu im odmówiła. Ale zrobiła tak właśnie dlatego, że wyszłoby na to samo. Przybyłaby do ich domów, do ich łóżek, do ich kuchni. Ich matki i babki jeszcze żyły. Musiałaby wywalczyć sobie prawo do rządzenia domem po swojemu, choć właściwie nie różniłoby się to wcale od wcześniejszych porządków. Poganiałaby służbę. Boże Narodzenie, Wielkanoc, sianokosy, dożynki i kolejne Boże Narodzenie.

Lubiła pracę w gospodarstwie, nie o to chodziło. Pomaganie przy kocących się owcach, gdy trzeba było wyciągać jagnięta siłą, uspokajanie spłoszonych krów, machanie grabiami od rana do wieczora w czasie sianokosów, dni przy wykopkach tak długie, że budziła się zgięta wpół. Ale zawsze przystawiała to wszystko do czegoś, co kiedyś powiedział jej dziadek: „Zastanów się, za co cię zapamiętają, Astrid. Gdy po wielu latach opowiadamy o czymś życiu, nie ma czasu, by mówić zbyt wiele. Ja sam nie sądzę, by ktoś mnie za coś zapamiętał. No, może za to, że próbowałem traktować ludzi z sercem, ale o tym trudno się opowiada. To, za co pamięta się ludzi, jest odlewane w metalu, wycinane w drewnie, to się tka, maluje czy pisze. Zło i głupota, ale nie w sprawach małych, lecz dużych – tego też się nie zapomina”.

Astrid poszła do swojej izdebki i sięgnęła po rysunek podarowany przez Gerharda Schönauera. Ten młody człowiek przybył tu pełen podziwu. Podziwu dla kościoła, który Schweigaard chciał zrównać z ziemią. Rysunek był piękny, a ona widziała, jak powstawał. W ciągu kilku zaledwie minut. Gdyby dać temu człowiekowi do dyspozycji dzień, miesiąc, całe życie – cóż byłby wtedy w stanie osiągnąć?

W tym rysunku była miłość. Miłość, która miała swoją cenę w niemieckich pieniądzach, zwanych – czego Astrid dowiedziała się z przewodnika – markami i fenigami.

Kolejny raz poczuła się zadziwiona tym, ile myśli potrafi naraz przebiegać przez jej głowę. Każda z nich była niczym spiesząca gdzieś mrówka. Od chwili gdy stanęła przy dzwonach, zaszła w niej jakaś przemiana, przepełniało ją teraz poczucie obowiązku, niejasny strach przed karą. Nagle spośród setek myśli wyłoniła się jedna, ważniejsza niż wszystkie. Astrid przyjrzała jej się ze wszystkich stron, znajdując w niej wspomnienie z kościelnej wieży. Na grubej warstwie kurzu nie było śladów stóp. Ostatnim człowiekiem, który wspinał się tam przed nią, musiał być zatem stary dzwonnik, ten sam, który przynosił ludziom święty parch. A to oznaczało że nikt, a już na pewno nie Kai Schweigaard ani niemiecki malarz, nie miał pojęcia, jak naprawdę wyglądają kościelne dzwony.

Wreszcie wszystko stało się dla niej jasne. Wiedziała, jak je uratować.

Następnego dnia wykręciła się od pracy w oborze i ruszyła do Halvfarella.

Żadnej dzwonnicy w pani imieniu

Kai Schweigaard wyglądał na podwórze. Nie dało się w jego parafii dostrzec przejawów radości, nie dało się słyszeć dziękczynnych okrzyków. Dobra nowina nie obudziła szczególnego zachwytu, nikt nie pojmował, że obwieszczona przez pastora decyzja podjęta została po wielu miesiącach snucia planów i pisania listów. Tutejsi mieszkańcy nie byli co prawda tak ponurzy jak ludzie z Østerdalen, o których mówiło się, że mięśnie ich twarzy zanikają, gdyż kolejne pokolenia wieśniaków uczą się, by nie zdradzać takich uczuć jak smutek czy radość. Niemniej parafianie z Gudbrandsdalen byli nad wyraz oszczędni w pochwałach. Potwierdzeniem, że zrobiło się coś naprawdę dobrze, były najwyżej cichnące na chwilę narzekania. Pastor zaczynał sobie także uświadamiać, że budowa nowego kościoła może się dla niego okazać bardzo samotną żegluga.

Poza tym we wsi dużo się działo. W ostatnim tygodniu dotarły do niego plotki, dziwaczne gadania o panoszącym się tu Grzechu. Dwa dni wcześniej dwie niezamężne dziewczęta wydały na świat dzieci, dokładnie o północy, i żadna z nich nie chciała zdradzić, kim jest ojciec. Ktoś, najprawdopodobniej nauczyciel Giverhaug, rozповідаł, że dzieci poczęte zostały w grzechu, gdyż matki ich poszły na nabożeństwo, na którym „młody pastor” palił w kościele świece łojowe. A przecież przez wszystkie poprzednie lata w świątyni płonęły świece z pszczelego wosku, gdyż pszczoła ma jedną płeć i jest zatem wolna od grzechu. Tyle tylko że wosk drogo kosztował i dlatego nabożeństwa starego pastora odprawiane były głównie w półmroku, Schweigaard zaś zbagatelizował ostrzeżenia kościelnego i nakazał mu sprawić świece łojowe, które porozstawiano w całej świątyni. Wszystkie protesty zbył, mówiąc, że zapach i kopczenie wcale nie przeszkadzają. Świece były tanie, zapewniały silne, jasne światło i oczywiście można je było ustawić również na ołtarzu.

I tak mu się teraz odwdzięczano? Co za wszeteczna, świętokradcza banda. Dzieci spłodzili rzecz jasna jacyś tajemni kochankowie albo dwaj zadowoleni z siebie gospodarze, wykorzystawszy łatwowierność dziewcząt. Poza tym pszczoły nie miały wcale jednej tylko płci, nic z tych rzeczy, Schweigaard wiedział, że parzą się wysoko w powietrzu, samiec tracił w takim akcie organ płciowy i umierał, samica zaś, pozostawiona sama sobie, składała jaja i nie stanowiło to bynajmniej zdrowego wzoru pożycia rodzinnego ani intymnego. Wszystkie te bzdury należało sprostować, lecz sprawa niegodna była tego, by poruszać ją z ambony. Ambony, która i tak wkrótce zostanie rozebrana.

Na to wszystko jego własne życie duchowe przysparzało mu coraz większych cierpień. Zastanowił się raz jeszcze, co może zrobić, by złagodzić złość Astrid Hekne, bawił się nawet myślą, że wparuje do Schönauera, walnie pięścią w stół i powie: „Proszę posłuchać, kościół dostanie pan zgodnie z umową, ale Siostrzanych Dzwonów nie mam panu prawa sprzedać. Przykro mi, możemy obniżyć cenę przez ten brakujący portal, ale będziemy musieli zmienić nasze ustalenia!”.

Tak to powinno wyglądać: odważne uderzenie topora, które przecina więzy, wykuwając jednocześnie łańcuch.

Nagle, tak jak wiele razy wcześniej, gdy o niej myślał, ujrzał ją, idącą wzdłuż wiejskiej drogi w szarym świetle poranka. Niechętnie musiał przyznać, że do takich zbiegów okoliczności dochodzi głównie dlatego, że myśli o niej ostatnio niemal przez cały czas.

Astrid szła przed siebie zdecydowanym krokiem, gdy zaś skręciła w stronę plebanii, pastor poczuł, że ogarnia go radość. Otworzyła furtkę, a jego przeszył dreszcz. Dotarła do wielkiej kałuży na środku podwórza, po czym zmyliła chyba drogę. Nie ominęła jej z lewej strony, kierując się ku drzwiom domu mieszkalnego, tylko okrążyła z prawej, idąc do chaty zajmowanej przez Schönauera. Czyżby ona... A jeśli tak, skąd mogła wiedzieć, że on tam właśnie mieszka?

Zapukała i weszła do środka, a w chwili gdy Kai Schweigaard stracił ją z oczu, przepełniło go coś gorzkiego i bolesnego. Poczuł, jak wzbiera w nim złość, zalewają go fale wściekłej zazdrości.

Astrid wróciła na podwórze, spędziwszy u Schönauera czas niewystarczający na załatwienie jakiegokolwiek sprawy.

Wściekłość się w nim wygotowała, lecz pozostały po niej szumowiny. Dziewczyna była w środku zbyt krótko, by odbyć z nim jakąkolwiek rozmowę, lecz zbyt znów długo, by zakładać, że tylko

weszła, stwierdziła, iż Niemca nie ma, po czym wróciła na dwór. Przemierzyła podwórze, wyszła przez furtkę i zniknęła z pola widzenia. Schweigaard wypadł na korytarz, ruszył na drugi koniec domu, skąd roztaczał się widok na drogę, i dostrzegł ją na zakręcie. Stała tam i chyba się za kimś rozglądała, lecz w końcu najwidoczniej zmieniła zdanie, obróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem na plebanię.

Tym razem weszła do gabinetu, niedostrzeżona przez gospodynię Bressum, nie była wzburzona ani zła, tylko milcząca.

– Dzień dobry, Astrid – odezwał się głosem bez wyrazu.

– Dzień dobry, pastorze Schweigaard.

Pastor odchrząknął, przeczesał włosy palcami i powiedział:

– Astrid. Nie myśl, że nie zależy mi na tej sprawie. Po naszej ostatniej rozmowie przyjrzałem się możliwościom zmiany warunków umowy. Wyłącznie przez wzgląd na ciebie.

– Naprawdę? Ale...

– Jest za późno. Odpowiadam za sprawę przed Kościołem. Warunków umowy trzeba dotrzymać.

Dlatego stało się tak, jak się stało.

– Ale nic jeszcze nie jest przesądzone.

– Ach tak?

– Mówił pastor, że on szuka jakiegoś portalu. Ten Niemiec.

Kai Schweigaard wypuścił powietrze nosem.

– Z tego, co rozumiem, od dawna już o tym wiesz – odwrócił się do okna. – O czym z nim rozmawiałaś?

– Z kim?

– Z Niemcem, rzecz jasna. Tym architektem.

– Myślałam, że jest malarzem – odparła Astrid.

– Ten człowiek ma najwyraźniej wiele talentów – odparł Schweigaard ponuro.

– Gapił się pastor na mnie?

– Czy ja... czy ja co?

– To skąd pastor wie, że go szukałam?

– Cóż... to podwórze należy do mnie, to znaczy do plebanii.

– Nie, nie rozmawiałam z nim. Chciałam mu tylko to oddać – odparła dziewczyna, pokazując mu książkę. – Pożyczyłam od niego. To niemiecki słownik.

– Ach tak. Czyli ten człowiek wypożycza... słowniki?

Nie poprosił, by usiadła. W czasie ich rozmowy przechadzała się po gabinecie szybkim, nerwowym krokiem, w końcu stanęła przy ścianie, tuż pod krucyfiksem. Zaciśnęła pięść, wbijając paznokcie w odcisk na dłoni.

– Jak ostatnio sobie ucieliśmy... pogawędkę, to zrozumiałam tyle, że te nowe, małe dzwony...

– One nie są wcale małe. Mają zupełnie normalne rozmiary.

– Ale już tu przyjechały?

– Owszem. Wspominałem, że przetransportowano je zimą po lodzie. Czekają w stodole.

– Proszę mi powiedzieć, Kaiu Schweigaardzie. Gdyby Niemiec miał pecha i zabrał ze sobą nie te dzwony co trzeba, czy bardzo by to cię zmartwiło?

– Astrid! – Duchowny odwrócił się gwałtownie i wysyczał: – Nie próbuj mnie wciągać w coś takiego! Nie mogę odpowiadać za oszustwo!

– To nie będzie oszustwo, jeśli go skłonimy, żeby zabrał ze sobą te drugie dzwony z własnej woli.

– A jak niby miałyby do tego dojść? Jak zaszczepimy w nim tę wolę? Która, jak niesłusznie być może podejrzewam, jest twoją wolą?

– Przekonam go, żeby pomylił dzwony.

– Nie, tego mi nawet nie przystoi słuchać. Matactwo? Nie mogę przecież wyłudzić od tych ludzi pieniędzy, pozbawiając ich zarówno portalu, jak i kościelnych dzwonów! Czy ty wiesz, że Gerhard Schönauer jest tu z królewskiego polecenia? Cenę za kościół uiszcza sama królowa Saksonii. Ludzie tego pokroju płacą i żądają.

– Ale on nigdy nawet nie widział tych dzwonów! Wspięłam się na kościelną wieżę, podłoga jest

zasłana kurzem, a to znaczy, że nikt nie wie, jak one naprawdę wyglądają!

– Wybacz, Astrid, ale nie wolno ci myszkować w kościele! Poza tym Niemiec ma klucz i może sobie w każdej chwili wszystko obejrzeć! Tak czy inaczej, zobaczy dzwony przy rozbiórce.

– Wcale nie, jeśli by je owinąć... płótnem. I postawić obok tych nowych. W stodole. I oznaczyć na przykład... kartką.

– Nie. Zrobienie czegoś tak... bezecnego jest zupełnie wykluczone. Poza tym mówiłem ci przecież, że stare dzwony są za duże! Ogłuchłby od nich nie tylko sam dzwonnik, ale i cała parafia!

– W Ringebu mają wolno stojącą dzwonnice. Taką osobną budowlę na dzwony.

– Panno Hekne. Nie wybudujemy tu żadnej dzwonnicy w pani imieniu.

– No dobrze, to może chociaż kostnicę, w której byłoby miejsce na dzwony? Zmarli przecież nie ogłuchną.

Schweigaard opadł na krzesło, zupełnie czerwony na twarzy. W końcu powiedział:

– Czemu sądzisz, że Niemiec zgodziłby się zabrać ze sobą nie te dzwony, co trzeba?

– Bo portal nadal tu jest.

– Co ty wygadujesz?

– Tutaj, we wsi!

– We wsi? I był tu cały czas?

– Żaden cieśla nie spaliłby czegoś tak pięknego. Oszukali pastora.

– No tak, wy nie robicie w tej wsi nic innego.

– Dzwony były darem. A ja chciałabym teraz poprosić o zwrot tego daru. W zamian za portal.

Pastor musi tylko dopilnować, żeby nowe dzwony stały w pobliżu starych.

Kai Schweigaard przygryzł wargę. Faktycznie, to byłby jakiś plan. Niewykluczone, że Niemiec naprawdę byłby zadowolony z takiego handlu wymiennego. Zdawało się jednak, że handel ten dotyczył czegoś więcej niż tylko dzwonów. A jakże ona miała zamiar uiścić dopłatę do ceny? Co było tu jej walutą?

– I on się na to zgodził?

– Jeszcze nie. Proszę mi tylko powiedzieć, że to możliwe. Że możemy coś takiego zrobić.

Upadasz, pomyślał. Jesteś tak opętana myślą o uratowaniu tych dzwonów, że sama zaraz wpadniesz do tygla.

A potem dał jej odpowiedź. Nieznaczące, ledwie widoczne skinienie.

– Możliwe, że wyjadę w dniu, kiedy on będzie zabierał dzwony ze wsi – powiedział i pokręcił głową. – Ach, musisz być ostrożna, Astrid. Ten człowiek jest...

– Nieuczciwy?

– Nie. Ale on... upiększa prawdę.

Spojrzeli po sobie.

– Astrid. Nie mogę ci pomóc go przekonać. Duchownym nie wolno kłamać.

– Może duchownym nie – odparła błyskawicznie. – Ale ich żonom już tak.

Zrobiła krok w jego stronę, tak jak ostatnim razem, gdy byli sami, ale teraz się nie zawałała, okrążyła biurko, patrząc, jak on przyciska plecy do oparcia krzesła, pochyliła się i pocałowała go w policzek. Schweigaard próbował sobie potem tłumaczyć, że nie miała na myśli nic złego i zrobiła to z radości, lecz jednocześnie bał się, iż ten pocałunek może się okazać pocałunkiem na pożegnanie i że smakuje trucizną.

Spędził tę noc bezsennie, podobnie zresztą – sądząc po drgającym w oknie drewnianej chaty płomieniu łożowej świecy – jak jego niemiecki gość.

Kai Schweigaard podniósł się z łóżka, sięgnął po lampę naftową i ją zapalił. Blask rozlał się nad podłogą, on zaś podszedł do regału z książkami. Zdjął z niego zniszczony tom, który przywiózł z Kopenhagi. Twórczość Johna Donne'a niemal zawsze przynosiła mu ukojenie. Poza tym nie było w parafii człowieka, który by o nim słyszał, dzięki czemu Kai mógł wplatać cytaty z jego dzieł do swoich kazań. Tym razem długo pochylał się nad słowami: „Nie ma człowieka, który byłby wyspą, z siebie samego ulepiony”, po czym przysunął lampę nieco bliżej i zaczął czytać *Paradoksy i problemy* z 1590 roku. Donne zapytywał tam, czemu nikt już nie umiera dla miłości we „współczesnych naszych czasach”.

Schweigaard zbliżył książkę jeszcze bardziej do oczu i studiował dokładnie każde słowo. Autor zastanawiał się również, czemu to grzesznicy i bandyci mają zazwyczaj najwięcej szczęścia z kobietami.

I jak zwykle odpowiedzią na jego pytanie okazywał się jeszcze większy paradoks: „Bo sam los jest jak ladacznica?”.

Kai Schweigaard opuścił książkę na kolana. Długo wpatrywał się w lampę, próbując myśleć, że Astrid Hekne nie jest warta spalanej w niej nafty. Przymknął powieki. Blask płomienia wypalił się na siatkówce jego oka. Zgasił lampę i ogarnęły go ciemności, w których widział to samo, nieważne, czy miał oczy otwarte czy zamknięte.

Syn oficera artylerii

Gerhard Schönauer odłożył ołówek. Wciąż mu nie wychodziło.

W ogóle mu nie wychodziło. Z początku szkicowanie kościoła było trudne, teraz stało się zupełnie niemożliwe. W świątyni tkwiła jakaś zagadka, nierozwiązywalna niczym splątane, mokre zwoje liny okrętowej. Nie pojmował, na czym opierały się górne arkady, wycięte w kształt łuku deski w nawie, jak łączą się ze sobą więzary nożycowe dachu ani nawet czy zastrzały drewnianej ściany również biorą udział w dźwiganie ciężaru umieszczonych wyżej drewnianych mieczy.

Na dworze było zimno, obiady u pastora upływały w milczeniu. Poza tym gdy tylko patrzył na kościelną wieżę, jego ciało ogarniało przedziwne drżenie. Całe jego skupienie ulatniało się, zmieniając w niekontrolowany chaos, w którym ta dziewczyna o kręconych włosach, ta Astrid, jednocześnie go przeraża i jako jedyna niesie ukojenie.

Kastler poinstruował go, by nie zdradzał się ze wszystkim, co wie, zwłaszcza zaś z tym, że zna legendę o dzwonach. Na jednym ze spotkań w Dreźnie Ulbricht zademonstrował mu plik zszytych arkuszy znaleziony wśród starych papierów Dahla.

– Nieopublikowany rękopis – wyjaśnił Ulbricht – dotyczący historii kościołów słupowych, autorstwa Norwega, niejakiego I. Kveilena.

Profesor był zdania, że ów Kveilen sam przełożył tekst na znany w świecie język niemiecki, liczył bowiem, że książkę uda wydać się w Lipsku, mieście drukarzy, manuskrypt był jednak odrzucany raz za razem, przechodząc przez coraz to nowsze ręce i coraz bardziej niszcząc.

– Tytuł raczej nie pomógł autorowi w znalezieniu wydawcy – stwierdził, wskazując na pierwszą stronę: *Weryfikowalne i apokryficzne relacje z podań i legend ludowych oraz osobiste przeżycia metafizycznych rodzajów związane z gmachami kościołów w najwewnętrzniejszych krajobrazach Norwegii.*

– Autor opisuje wszystkie kościoły odwiedzone przez Dahla – ciągnął Ulbricht – zaś ten tytuł każe mi myśleć, że podążał za nim w nadziei skorzystania na jego pracy. Kveilen plagiatuje wprost fragment tytułu dzieła, a mianowicie *...in den inneren Landschaften Norwegens*. Manuskrypt zawiera miejscami czcze wymysły i rojenia, są w nim też długie passusy o tym, że w starych budowlach i przedmiotach mogą zagnieździć się niewidzialne moce, cudowne siły, które da się przywołać dzięki autosugestii. To rzecz jasna duby smalone, ale w rozdziale poświęconym naszemu kościołowi autor trzyma się ściśle weryfikowalnych faktów. Podaje daty, kwoty, nazwy rodów i gospodarstw.

Ulbricht odchrząknął i przeczytał długą opowieść o *Die Schwesterglocken von Butangen*, a gdy odłożył manuskrypt, zapadła grobowa cisza.

– Nie najgorzej – stwierdził wysłannik burmistrza. – To opowiadka, jakiej można się spodziewać po ludziach tak przywiązanych do natury jak Norwegowie, lecz nie należy jej lekceważyć. Chcemy, by nasz kościół był tłumnie odwiedzany. Pokazać świątynię ludziom to jedno, a opowiedzieć o niej, coś zupełnie innego. Dzięki tej legendzie kościół i dochodzące z niego tony stworzą większą całość, ułożą się w opowieść o charakterze prawdziwie ezoterycznym. Niech dzwony brzmią nad miastem, po wsze czasy przypominając o naszym dziele.

W tamtym miejscu i tamtym dniu, daleko na południu, w Dreźnie, mieście pięknych budowli i nowoczesnych udogodnień, kawiarni i rozbudowanej sieci kolei, Gerhard uśmiechał się pod nosem, słuchając historii o Siostrzanych Dzwonach, podobnie zresztą jak Kastler i Ulbricht.

Ale teraz nie był już wcale taki pewien swego.

Kluczem do całej zagadki wydawała się tamta dziewczyna, z którą rozmawiał nad rzeczną zatoką. Mgnienie oka, gdy zdało mu się, że jest ubrana w czerwień, jej upięte włosy. W takich chwilach był pewien, że coś dostrzega, może motyw jakiegoś dzieła, a może to, że zachodziła w niej jakaś przemiana, ale najpewniej jedno i drugie, gdyż chwile takie wymykały się zwykłemu światu, pozostawiając po sobie potrzebę przetworzenia ich na sztukę. Bo czymże było właściwie dzieło sztuki, jeśli nie uchwyconą i utrwaloną chwilą?

Tego wieczora zaczęła ją rysować, lecz ona wciąż zlewała się z tym samym chaosem, który mącił

mu myśli przy próbach szkicowania kościoła, a igła jego kompasu wirowała jak zepsuta. Spod jego rąk chciał się wydostać inny rysunek, domagał się od Gerharda jakiejś głębszej, dzikiej fantazji, obejmującej zarówno dziewczynę jak i to, co czuł, spoglądając na kościelną wieżę. Zaczął pracować nad dość upiornym szkicem, trochę po to, by skonkretyzować swój strach, a trochę – by go okiełznać. Tak, powtarzał sobie. Cokolwiek to jest, musi stanowić jakąś zapowiedź, to posłaniec o wielkich skrzydłach, zastryk z nierozcieńczonego lęku. Kreślił różne sylwetki, aż w końcu zasnął nad szkicownikiem, a gdy doszedł do siebie, gorączkowe wizje się rozwiały, za to na biurku leżał gotowy, wykonany ołówkiem rysunek.

Przedstawiał on kobietę o głęboko osadzonych oczach, odzianą w sięgającą ziemi szatę. Postać promieniowała niezwykłą kusicielską siłą, tą samą, której Gerhard doświadczał, zaglądając w przepaść, by sprawdzić, jaka jest głęboka. A gdy widział, że upadek z takiej wysokości oznaczałby niechybną śmierć, budził się w nim zaraz impuls, by skoczyć z krawędzi.

Wszystko to było na tym rysunku faktycznie widoczne. Tak. To była dobra praca. Zbyt dzika, by ją pokazać komuś w Akademii Sztuk Pięknych, lecz jednocześnie jedna z najlepszych, jakie kiedykolwiek wyszły spod jego ręki. Był w niej pachnący tą dziewczyną powiew wiatru.

Akademia nauczyła go rysować wszystko to, co miało konkretną formę, potrafił uchwycić na papierze parowiec, lokomotywę, obwieszoną orderami admirala, zdychającego tygrysa czy kościół. Potrafił również narysować serce, mózg czy krąg kręgosłupa. Anatomii uczył się w zimnym, położonym w piwnicy studiu o ceglanych ścianach, zwanym „gabinetem strachów”, gdzie w słojach ze spirytusem przechowywano głowy szympanów i całe węże, lecz gdzie największe przerażenie budziły szczątki dziesiątków ludzi. Niektórzy z nich byli ofiarami pożarów, ich wysuszone ciała można było oglądać w przekroju poprzecznym, zaś w szklanych gablotach stał cały rząd czarno-brunatnych szkieletów ludzi zmarłych podobno na tyfus, w tym pięciorga małych dzieci.

Tak czy inaczej, wykładowcy zawsze wymagali od niego realizmu. Nigdy go nie uczono, jak rysować niejasną, mglistą materię nieba, amplitudy i częstotliwości. Upiorne poczucie, że hańbił tych martwych ludzi, przenosząc ich na papier w sytuacji, gdy nie mogli zaprotestować, wrażenie, że patrzy na kogoś, kto przebywa w królestwie śmierci, miało dopaść go dopiero później.

Dopiero teraz.

Gerhard znów spojrział na swój rysunek.

To właśnie uczucie udało mu się teraz uchwycić.

To była Astrid Hekne, lecz jednocześnie ktoś zupełnie inny. Bo właśnie ta siła i ten blask stanowiły widmo duszy innego człowieka. Stwierdził, że ta postać powinna mieć na sobie ubrań, że musi być wolna od wszelkich naleciałości czasu. Musi być naga. Wykonał kolejne cztery szkice, przedstawiające całą sylwetkę, następnie kilka detali – kark i włosy, w jednej wersji rozpuszczone, w drugiej – upięte na czubku głowy, po czym spróbował ubrać postać w długą balową suknię, lecz w końcu znów narysował ją nagą, przechadzającą się pośród wielkich głazów.

To jest całkiem dobre, uznał. Ale nie czuje się w tym tego magnetycznego pola, tej energii, która promieniuje z kościelnej wieży. Muszę użyć barw, namalować ją farbami.

Już w tamtym momencie wiedział, że wystarczą mu zaledwie cztery kolory: indyjska żółć do poświaty za plecami postaci, do cieni – palona umbra, twarz kobiety miała mieć liliowo-brunatny odcień *caput mortuum*, resztę sylwetki i detale chciał namalować różnymi mieszankami wszystkich tych trzech kolorów. Ale wiedział też, że do jej stroju niezbędny mu będzie cynober.

Użycie tych czterech barw miało konkretny cel. Były to kolory natury, a metody pozyskiwania tych właśnie pigmentów uchodziły za niemal obsceniczne. *Caput mortuum* wytwarzało się dawniej z ludzkich czaszek. Na wykładach z teorii koloru nauczył się, że żółć indyjską pozyskiwano z moczu krów karmionych liśćmi mangowca, zaś słowo *umbra* może w niektórych językach oznaczać niewyraźną wizję upiora lub poltergeista. Tubka cynobrowej farby była najdroższą rzeczą, jaką w życiu kupił, zawierała bowiem prawdziwy siarczek rtęci.

Namalował obraz w jednym, nieprzerwanym zrywie, zupełnie jakby stał na niewielkim szkiele i musiał zdążyć, nim porwą go fale przyływu. Z poplamionymi farbą palcami zrobił krok w tył i spojrział.

Gotowy obraz nie przypominał niczego z królestwa dziennego światła. Wywodził się z zakamarków umysłu, zakurzonego stryszku zapomnianych lęków, był niepokojący niczym ostry nóż, który nagle ginie z kuchni, lecz jednocześnie nie przypominał tworu szaleńca, wręcz przeciwnie, dzieło wyszło spod opanowanej ręki i było to dzieło dobre. Zdarzało się, że gdy Gerhard kończył pracę, przesywał go dreszcz, a tym razem drżenie trwało tak długo jak w dniu, gdy ujrzał dziewczynę na brzegu strumienia.

Następnego ranka Gerhard Schönauer zatęsknił do domu. Zaprzagnął wyjechać z Butangen, wyjechać z Drezna, znaleźć się znów w wielkim apartamencie za miejskimi murami Memel, dwa piętra nad księgarnią muzyczną Frau Henkel, zatęsknił do porannych zapachów dochodzących z *Herr Mannlicher und Söhne*, piekarni po drugiej stronie ulicy, do wiatru znad Bałtyku, niosącego woń świeżych słodkich bułeczek aż do okien jego dziecięcego pokoju pełnego ołówków Fabera i szkicowników.

Usiadł na łóżku i spojrzął na schnący wciąż obraz. Ogarnęła go nagła potrzeba, by opowiedzieć o miejscu swojego pochodzenia, opowiedzieć o nim jej, Astrid. O rodzinnym mieście Memel, o ojcu, oficerze artylerii w forcie na wybrzeżu, o pochodzącej z Litwy matce, Lence, i braciach, Winfriedzie i Matthiasie, świeżo wykształconych oficerach. Sam nie odkrył w sobie nigdy zamiłowania do wojska. Dzieciństwo spędził w towarzystwie ołówków i arkuszy papieru, miał niewielu przyjaciół, do rysowania zachęcała go tylko matka, a jego nudziły zabawy cynowymi żołnierzami, które kapitan Schönauer kupował dla synów. Ojciec znosił im co roku całe kilogramy miniaturowych armat i okrętów, śledził bowiem uważnie rozbudowę armii i flot na całym kontynencie, uczestnicząc w europejskim wyścigu zbrojeń, tyle że na mniejszą skalę i w zaciszu własnego domu.

Razem z dwoma starszymi synami odwzorowywał słynne bitwy, wykorzystując do tego całą podłogę w salonie. Mieli miarkę i pilnowali dat dziennych, przesuując kawalerię, artylerię i piechotę, odtwarzając ruchy armii pod Waterloo i Lipskiem, a żeby przedstawić naturalne nierówności terenu, korzystali z biblioteczki matki. Wzgórze, z którego dowodzono bitwą, budowali na przykład z tomu *Andrees Weltatlas*, który umieszczali na podłodze, układając na nim kolejne książki coraz mniejszych formatów. Powieści zmieniały się w skałę, ziemię i piasek, zaś subtelniejsze detale budowali z tomików poezji czy nieczytanych nigdy wydań folio, które w końcu do czegoś się przydawały. Dziesiątkujące oddziały przeciwnika salwy artylerii padały zarówno z Biblii, jak i pierwszego wydania *Epilogu do Dzwonu Schillera* Goethego, zaś uciekających z pola walki francuskich oficerów siekano szablami bądź brano do niewoli na *Hermanie i Dorocie* tegoż autora.

W ten właśnie sposób setki cynowych żołnierzów walczyły w salonie, a kapitan i jego dwaj synowie odtwarzali głucho wystrzały armat, charcząc i wymachując rękoma, zaś szczyt – a zdaniem Gerharda dno – wszystkiego został osiągnięty, gdy ojciec nabył niewielki blaszany gwizdek i zaczął imitować austriackie pobudki wojskowe, siedząc przy tym pod jadalnianym stołem.

Gerhard spędzał natomiast czas ze swoimi rysunkami, a potem – z pędzlem i płótnem.

Jego relacje z ojcem naznaczone były pewną rezygnacją, aż do dnia, w którym chłopak usiadł przed rozstawionymi cynowymi żołnierzami i namalował bitwę pod Gravelotte.

Kapitan, który do tamtej chwili nie rejestrował, jak przebiega rozwój najmłodszego syna, był zadziwiony.

Wielce zadziwiony.

Obraz namalowany został z perspektywy linii obrony wroga, a pod tym tylko kątem można było ukazać zacięte twarze ruszających do ataku dzielnych Prusaków, poza tym, o czym doskonale wiedział kapitan Schönauer, perspektywa ta oszczędzała oglądającemu widoku toczącej się na polu walki rzezi – była to w końcu linia frontu, była to chwila decydująca.

Chłopak stworzył małe dzieło sztuki. Do tego jeszcze: w formie, której kapitan Schönauer posiadał pełną zdolność pojmowania. Pikielhauby miały właściwe proporcje, na obrazie nie dało się zauważyć najmniejszego nawet błędu w wojskowych dystynkcjach, oficerowie robili to, co należało do obowiązków oficera. Nie było tu też żadnych bzdur w rodzaju umieszczenia rączki zamka po niewłaściwej stronie karabinów Dreyse albo zbyt krótkich bagnetów. Może i dało się przyczepić do niektórych aspektów cieniowania, perspektywy i anatomii, lecz zdaniem kapitana Schönauera

najważniejszy był fakt, iż obraz oddawał jak należy zdrowego pruskiego ducha walki, z którym on sam się identyfikował, pewne niepisane zasady, jak na przykład to, że niemoralnie celować do poszczególnych ludzi w natarciu, zwłaszcza do oficerów. I właśnie to, sama moralność walki, było czymś abstrakcyjnym i ulotnym, lecz Gerhard zdołał to uchwycić, pozwalając sobie na ostrożną dozę artystycznej dowolności. Można to było wyczytać w twarzach Prusaków ruszających do ataku na masę wroga.

Ojciec podkreślił węża, albowiem uświadomił sobie, że obrazy jego syna, jeśli będzie je z czasem malował większe i lepsze, mogą mieć określoną wartość pieniężną. Gerhard sam później odkrył, że właśnie malarstwo batalistyczne, artystyczne przedstawienia ważnych w historii bitew, stanowi najpopularniejszą formę sztuki wizualnej w całych Prusach Wschodnich.

Salon, gdzie przez lata zabraniano gospodyni ścierać kurze, zmieniano w kolejne pola bitewne, Gerhard zaś malował to, co ojciec w nim rozstawiał. Obrazy sprzedawano następnie oficerom, przyjaciom pana domu, wieszano je w jadalniach, wszędzie, gdzie wypadało powiesić okazałych rozmiarów dzieło sztuki wyobrażające jakąś historyczną bitwę, a miejscem takim był w praktyce każdy salon w stołecznym Królewcu czy całej reszcie Prus Wschodnich. Ale po kilku latach sprzedaż się załamała, nasycił się rynek nabywców płacących za obraz dlatego, że jest stosunkowo tani i do tego namalowany przez syna kapitana Schönauera. A jeśli spojrzeć na te obrazy nieco surowszym okiem, to konie Gerharda przypominały nieco osły, zaś namalowani przez niego kawalerzyści, którzy siedzieli okrakiem w siodle i siekli Francuzów szablą, wydawali się trochę sztywni i zdrętwiali, zupełnie jakby stężeli gdzieś zgarbieni, a potem zostali doklejeni do wierzchowca. Talent młodego malarza trzeba było rozwijać, a gdy Gerhard ukończył lat osiemnaście, przystąpił do egzaminów wstępnych do najlepszej szkoły sztuk pięknych w zjednoczonych Niemczech. Dostał się na Akademię w Dreźnie, gdzie program nauczania był tak wszechstronny, iż młodzieniec stracił wkrótce zainteresowanie malarstwem batalistycznym, zagłębiając się za to w architekturze i ornamentyce.

I to był właśnie cały on.

To były jego lata.

Ale tu, w Norwegii, wszystko to pozostawało nieopowiedziane, jakby nigdy się nie zdarzyło, bo nikt go nie mógł wysłuchać, po niemiecku mówił tu tylko pastor, człowiek niezainteresowany niczym poza najświeższymi nowinkami ze świata.

Pozostawała mu tylko Astrid Hekne. Gerhard wiedział, że następnego dnia powróci nad zakole strumienia w nadziei, że i ona znów się tam pojawi.

Czemu tak tego pragnę? – zapytał sam siebie. Dlaczego to takie dla mnie ważne, by ta norweska dziewczyna wiedziała, kim naprawdę jestem?

Smutek, który go przepełniał, tęsknota i odczuwana głęboko w ciele potrzeba znalezienia kogoś, kogo można by objąć, kogoś, kto by go rozumiał, nie byłby mu wrogi, lecz nim zainteresowany, wszystko to zamienił na kolejne wyobrażające ją rysunki, wprowadził ją do siebie, do ciasnej izdebki w drewnianej chacie. Zasnął ze szkicownikiem u boku, a rysowana raz po raz postać wniknęła do jego snów, zmieniając je w fantazje, w których kładła się obok niego, a on wiedział, że im dłużej szkicuje tę dziewczynę, tym groźniejsza ona się dla niego staje.

Przysięgam na Meyers Sprachführer

Astrid widziała, że pstrąg słabo się trzyma na haczyku, a gdy Gerhard pociągnął wędkę do tyłu i ukląkł, by go podnieść, ryba mu się zerwała. Pstrąg zaczął się rzucać na przybrzeżnych kamieniach, od wolności dzieliło go tylko jedno mocniejsze uderzenie ogonem, jedna zaledwie sekunda w nieco głębszej wodzie. Astrid przyskoczyła do ryby, wcisnęła palce pod jej skrzela, podniosła ją i skrzyła jej kark, aż krew pociekła jej po dłoniach. Wymienili spojrzenia.

Dziewczyna podeszła do kupki wciąż zalegającego w pobliżu ziarnistego śniegu, wsunęła w nią ręce i szorowała je przez chwilę, aż się zaogniły, po czym otrzepała je i wytarła w wadmelową spódnicę, zdjęła z głowy chustkę, wygładziła ją i włożyła ponownie, on zaś stał długo, patrząc bez wstydu na jej odsłonięte włosy. Kiedy dłonie miała już suche, wzięła jego szkicownik, usiadła na kamieniu i zaczęła przeglądać rysunki.

W domu wszyscy odpoczywali po drugim śniadaniu, a ona się wymknęła, pospiesznie, w obawie, że ktoś ją zobaczy. Odnalazła teraz szkic kościoła i zapytała go, co jest cenniejsze: dzwony czy portal. On zaś potrząsnął głową i wyjaśnił, że te to dwie zupełnie różne rzeczy.

– Ale jeśli chodzi o portal, to wiem, ile on jest wart.

– Ach tak?

– Dostaliśmy list. Moi zleceniodawcy żądają, by obniżyć cenę o trzysta koron. Pastor był w rozpacz, jak mu powiedziałem.

Astrid odłożyła szkicownik.

– On się pomylił – oznajmiła. – Pastor. Portal nie został spalony.

Gerhard Schönauer odłożył wędkę i zaczął dreptać w kółko, wymachując przy tym rękoma.

– *Du sagst... to znaczy... portal... nicht in Flammen aufgegangen?* Nadal istnieje? Jest nietknięty? Gdzie go teraz znaleźć?

– Widziałam go. Nie jest zniszczony. Używano go dotąd jako drzwi... niewielkiego budynku.

Gerhard Schönauer krążył nadal, w kółko wyrzucając z siebie strzępki zdań po niemiecku.

– Widziałas go? Ty go widziałas? Ale kto chce... do kogo on teraz należy?

– Portal znajduje się w miejscu przynależnym do naszego gospodarstwa.

Niemiec stanął jak wryty.

– I ty cały czas to wiedziałas? Ale... co chcesz w zamian za niego?

– Obietnicę.

– Obietnicę zapłaty?

– Nie. Obiecuję, że nigdy nie spojrzysz na nagie kościelne dzwony. Ani razu.

– To wszystko? – Gerhard zmarszczył brwi i uśmiechnął się krzywo.

Astrid wstała.

– *Unglaublich* – rzucił. – Nie żartujesz sobie? Portal naprawdę istnieje?

Dziewczyna skinęła głową i zamilkła.

– W takim razie chcę wiedzieć, czemu nie wolno mi patrzeć na dzwony.

– Jest we wsi taka legenda. Nieżonaty mężczyzna, który zobaczy Siostrzane Dzwony nagie, niechybnie umrze.

– Umrze?

– Tak. Umrze.

– Ale nie da się przecież rozebrać kościoła bez patrzenia na dzwony! I nie mogę okłamać ludzi, którzy mnie tu przysłali. Muszę je ze sobą przywieźć.

– Nikogo nie okłamiesz. Kościelne dzwony pojedą do Drezna. Stare kościelne dzwony. Będą stały gotowe do załadunku na sanie, gdy tylko przyjdzie zima. Trzeba to będzie po prostu zrobić we właściwy sposób. Tak, jak każe legenda.

– Czyli jak?

– Jeśli Siostrzane Dzwony mają trafić w nowe miejsce, należy dopilnować, by niezamężna kobieta z rodu Hekne owinęła je w płótno. A kiedy zostaną już opuszczone na ziemię, trzeba dla każdego

z nich zbudować drewnianą skrzynię i żadnej z tych dwóch skrzyń nie wolno otworzyć do chwili, gdy dzwony trafią do nowego kościoła. Wciągniecie je w Niemczech na wieżę, a potem znajdziecie niezamężną kobietę, która zdejmie z nich płótno i zamknie prowadzący na górę właz.

Gerhard zmarszczył czoło.

– A gdyby jednak ktoś spojrział na dzwony – spytał – to jak by umarł?

– Na udar i na chorobę. Powoli. Umierałby przez wiele tygodni. Marniałby w oczach.

– *Jawohl. Jawohl.*

– Myślisz pewnie, że sobie stroję kpiny. Ale ja nie mówię tych rzeczy, żeby cię straszyc. Mówię je, by cię ratować.

– Ale... ja o takich sprawach nie decyduję, jest taki profesor o nazwisku Ulbricht, będę go musiał zapytać!

Astrid zacisnęła usta i pokręciła głową. Gerhard rozłożył wędkę na części, które ostrożnie umieścił na powrót w futerale, zakręcił kołowrotkiem, mimo że linka była na niego całkiem nawinięta, i stał przez chwilę, wsłuchując się w jego terkot.

W końcu zamarł.

– Tak czy inaczej, muszę najpierw zobaczyć portal.

– Niedługo – odparła Astrid. – Przyjdę po ciebie, gdy wszystko będzie gotowe.

Gerhard skinął głową i chwilę się zastanowił.

– Dobrze, może tak być.

– Może tak być? Musisz mi obiecać!

Cała jego beztroska i rozbawienie zupełnie gdzieś uleciały. Skupił wzrok w innym punkcie, poruszał palcami dłoni. Stał tak dość długo, a kiedy znów przeniósł spojrzenie na dziewczynę, zdało mu się, że patrzy na kogoś innego.

– Obiecuję. Nigdy nie spojrzę na kościelne dzwony. Gdybym miał przy sobie Biblię, to bym na nią przysiągł. Niestety nie zabieram Biblii na ryby.

– Możesz przysiąc na to – powiedziała Astrid Hekne.

Gerhard otworzył szeroko oczy.

– Czemu nie – kiwnął głową. – Może być.

Tomik, który wyciągnęła w jego stronę, był tak mały, że ich palce się musnęły.

– Przysięgam na *Meyers Sprachführer für Reise und Haus*, że nigdy nie spojrzę na nagie Siostrzane Dzwony. Przysięgam na moją z tobą przyjaźń. Na przyjaźń pomiędzy Niemcami a Norwegią.

Astrid spieszyła do domu. Jeszcze bardziej spięta, jeszcze bardziej wystraszona. Zgodził się. Niemiec naprawdę się zgodził. Ale zrobił to tak po prostu, czy aby na pewno miał dobre zamiary? Ach, do tego jeszcze ten Schweigaard! Cały poprzedni dzień pracowała w gospodarstwie jak opętana, po to tylko, by trzymać z dala od siebie wspomnienia o tamtym głupim pocałunku. A teraz one znów do niej wróciły, tak się cieszyła, że wszystko poszło po jej myśli i wszystkie te niedokończone sprawy nagle znów w niej rozkwitły. Pastor był sztywny i zimny, bił od niego chłód jak ze studni, a na ścianie wisiał Jezus, patrząc na to wszystko i być może obmyślając już dla nich karę.

Na wysokości Røvlingen spotkała dwoje dzieci pędzących stadko kóz. Dzieciaki zatrzymały się, by z nią porozmawiać, ale ona minęła je niemal biegiem, rzucając w przelocie wymówkę, że musi wracać do domu.

Dzieci stały jeszcze chwilę i za nią spoglądały.

Czemu się tak spieszyła? Nie miała w rękach żadnego narzędzia, nie niosła brzozonej dartki w nosidle, nie prowadziła ze sobą zwierząt.

Na udar i na chorobę.

Wymyśliła to na poczekaniu. Ale sama zdziwiła się, słysząc, jak wiarygodnie, jak prawdziwie zabrzmiały jej słowa. Zupełnie jakby faktycznie opowiadała zapomnianą legendę z Butangen.

Czterdzieści lisich skórek za wierną żonę

Kai Schweigaard bardzo schudł tej wiosny, zrzucając nie tylko zimową wagę odłożoną po tygodniach pałaszowania karnawałowych przysmaków podtykanych mu przez gospodynię. Najpierw zniknęła warstewka tłuszczu spod skóry, która zacisnęła się wyraźnie wokół ścięgien. Wystające łopatki zarysowały się pod sutanną, pastor nagle jakby się postarzał. W półmroku odnieść można było wrażenie, że jego twarz przybrała sinawy odcień, skóra na dłoniach stała się szorstka, jakby zrogowaciała, a na szyi robiły mu się po goleniu krostki.

Podczas obiadów z Schönauerem panowała ogłuszająca cisza, mimo że Niemiec przynosił do domu pyszne pstrągi, które jakimś cudem łowił o tej porze roku. Lecz tym, co ostatecznie przybiło Kaia Schweigaarda, okazał się ostatni tydzień pogrzebów. Nowy obrządek z ceremoniami w kościele kosztował go niemal życie. Źle oszacował nakład pracy wiążący się z pisanem mów na cześć ludzi, o których kompletnie nic nie wiedział, a na to wszystko nakładała się dodatkowo przykra rozbieżność czasowa pomiędzy tajaniem zmarzniętej ziemi a tajaniem zmarzniętych zmarłych. Mróz skuwał grunt na cmentarzu jeszcze długo po tym, jak wiosenne słońce topiło śniegi. Ziemia rozmarzała na kilkanaście zaledwie centymetrów, po czym kopiący odnosił wrażenie, że jego łopata trafia na skałę. Ale leżące w szopach i stodołach zwłoki od dawna były już miękkie, a bijąca od trumien woń zaczęła się rozlewać nad lasem i polami. Zza rogów zabudowań wyglądały lisy, a stróżujące w gospodarstwach psy wyły dzień i noc.

Siły natury po raz kolejny odtączyły taniec zwycięstwa na trumiennym wieku, pastor źle sypiał, czasami drogę do jego snów znajdowała Astrid Hekne, lecz każdego ranka i tak musiał wstawać do nowych pogrzebów. Szopa na drewno świeciła pustkami, a przypisany plebanii dzierzawca musiał wysyłać ludzi do szukania suchych gałęzi. Ceremonie skracano do niezbędnego minimum, by wierni byli w stanie wytrzymać fetor, wszystkie kościelne drzwi stały otworem. W innych krajach praktykowano układanie wokół trumien silnie pachnących kwiatów, bzów, gałęzi czeremchy czy konwalii, które maskowały woń śmierci, ale w tych stronach, mimo palącej potrzeby, musiały minąć jeszcze całe tygodnie, nim pierwsze roślinki wypuszczą świeże liście.

Pastor myślał często, że trupi fetor będzie prześladował go przez całe lato. Ten słodkawy, duszący zapach rozkładających się członków i ziemi, która z wdzięcznością je przyjmowała. Schweigaard odprawiał sześć pogrzebów dziennie, pozwalał, by ogniska paliły się nawet, gdy trumny opuszczano do grobów, również dlatego, że bijący od nich dym tłumił nieco smród sączący się spod desek. Kusiło go, by przenieść ostatnie ceremonie pod gołe niebo, ale zacisnął zęby, wytrzymał i na pogrzebie ostatniego zmarłego tej zimy parafianina wygłosił doskonałą przemowę.

A potem pokuśtykał z powrotem na plebanię, powiedział Niemcowi, że ma odtąd wolny dostęp do kościoła, i padł na łóżko. Zasnął ciężkim snem, obudził się następnego dnia, późno i z bólem głowy, po czym poprosił panią Bressum o kawę. Schönauera nie było w pobliżu, więc pastor rozsiadł się w salonie i zabrał do czytania wiadomości z zagranicy w „Gońcu Lillehammer”.

Dopiero późnym popołudniem poczuł, że jako tako doszedł do siebie.

Sięgnął po kościelne księgi i spróbował zsumować wszystkie zmartwienia tej wsi. Szalejąca w styczniu i lutym epidemia grypy pozbawiła życia dwadzieścia sześć osób. Koklusz i szkarlatyna odebrały rodzicom dziewięćdziesięciu dzieci. Schweigaard przejrzał księgi i stwierdził, że te same nieszczęścia zdarzały się co roku. Stary pastor bezlitośnie odnotowywał przyczyny śmierci.

„Uboga kobieta znaleziona martwa na Slovarp. Dziecko Haugena spalone po uderzeniu pioruna. Stary Cygan wpadł do paleniska. Dziecko obcej kobiety znalezione nieżywe. Bękart u Jensenów urodzony martwy. Erik i Knud Myhr, obaj wpadli między żarna młyna w Løsnes. Dziecko Moena zmarłe zaraz po porodzie. Stara kobieta uderzona na śmierć kłodą, która spadła na nią u Bjørgego”.

I tak ciągnął się ten obraz nędzy i rozpacz, zapisywany teraz piórem Schweigaarda, tyle tylko że młody pastor był nieco łagodniejszy w odnotowywaniu przyczyn zgonów, jednocześnie bardzo pilnował właściwego zapisu nazwisk. Wyglądało natomiast na to, że warunki życia w Butangen nie ulegały z czasem poprawie. Nieślubne dzieci, zapalenia płuc, nagłe zgony na skutek wypadków przy

pracy i innych zrzędzeń losu. Tak krótkie życia, tak wielu wyjeżdżających do Ameryki i mimo to wieś nadal była przeludniona. Chrztu ciągnęły się nawet godzinę, a często zdarzało się, że nowy parafianin już po roku trafiał do trumienki. To właśnie ta nędza spędzała mu sen z powiek. To, że gospodarstwa zmieniały często właściciela w jednej karcianej partii, że jedyną pociechę niósł bimber. Za drzwiami czekała harówka, a w izbie – rozczarowania, zaś skutki tego wszystkiego spadały prosto na jego głowę.

Czy naprawdę nikt nie widział, co on próbuje zrobić?

Podszedł do okna. Po co w ogóle tu siedzieć, skoro wszystko jest takie trudne? Czemu nie wystarać się o posługę w innej parafii, znaleźć sobie miejsce, które mógłby nazwać domem, zapomnieć o nocnych pojedynkach i ukłuciach szpad śmierci, przyrody i ciemnoty, odnaleźć spokój, siłę i kwitnące ogrody, odnaleźć kogoś, kto poruszyłby go tak, jak poruszała go Astrid Hekne?

Jakże cudownie będzie, kiedy ze wsi zniknie wreszcie ten kościół. Miał go tak dość, tak po dziurki w nosie dość! Jak również i tego, że zawsze go z nią kojarzy, tę żalną, zapadniętą w ziemię szopę, w której nigdy nie mogło być ciepło i przewiewnie, tylko ciemno i ciasno, niewiele lepiej niż w ziemiance. I to tam ludzie musieli stawiać czoła najtrudniejszym chwilom w swoim życiu.

Pogrążona w żałobie matka wychodziła ze świątyni bardziej zmarznięta, niż kiedy do niej wchodziła. W takich warunkach żyją co najwyżej zwierzęta.

Schweigaard padł na kolana i zaczął się modlić o siłę. Lepsze czasy musiały kiedyś nadejść, a sprowadzi je do wsi zdrowy rozsądek, umiarkowanie oraz nowy kościół. Dobry Boże, błagał, daj mi do pomocy zacząć małżonkę. Daj mi ją. Błagam cię, daj mi ją.

Następnego dnia też zrobił sobie wolne i pocieszał duszę fajkowym tytoniem, kawą oraz „Gońcem Lillehammer”. Poczul się nawet wyraźnie lepiej, aż do chwili, gdy w jego drzwiach stanął spóźnialski parafianin. Gościem okazał się zgrzybiały starzec mieszkający w zagrodzie przy ścieżce na górskie pastwiska, który oznajmił, że jego żona zmarła tej zimy, „jakoś przed świętami”, jak sam to określił.

I ten właśnie pogrzeb, odprawiony następnego dnia, okazał się najgorszy. Zgarbiony staruszek siedział samotnie w pierwszej ławie, ale nawet Schweigaard z trudem zachowywał spokój z powodu koszmarnego fetoru. Przebarwiona trumna ważyła tyle co nic, kościelny i jego pomocnik wynieśli ją na dwór tak szybko, jak się tylko dało. Pastor dowiedział się później, że starzec tego samego dnia, w którym zgłosił śmierć swojej żony, zaszedł do Vålebrua, gdzie sprzedał prawie czterdzieści lisich skórek, na plebanię zaś zajrzał w drodze powrotnej. Gospodyni Bressum zaserwowała Schweigaardowi ciekawą kawę oraz szczegółową opowieść o tym, jak wyglądały ostatnie tygodnie w jego małej górskiej zagrodzie. Wdowiec był zapalonym myśliwym, a gdy nadeszła wiosna, bijący od szopy zapach zaczął wabić lisy z okolicznych lasów. Każdej nocy zwierzęta były w końcu, po wielu latach pudłowania, w zasięgu strzału jego starej odtylcówki. Po jakimś czasie lisów zaczęło przychodzić coraz mniej, lecz dopiero gdy cała lokalna populacja została odstrzelona i oskórowana, mężczyzna stwierdził, że wypadałoby złożyć żonę do ziemi.

Kai Schweigaard poszedł do sypialni, zerwał koszulę i oparł głowę o ścianę. Musiał znaleźć jakieś ujście dla swoich smutków, pozbyć się całego tego brudu. Pozbyć się go z myśli! Gdyby tylko mógł pozwolić sobie na chwilę wolności, jeden jedyny raz, pójść w sobotę do stodoły, w której urządzano tańce i pijatyki, powiesić sutannę wysoko na ścianie, wmieszać się w tłum i oddać zabawie, tańczyć i błaznować, pić, żartować, łaskotać i szczypać, trzymać butelkę za szyjkę, całować, śmiać się i dokazywać, zapadać się głębiej i głębiej, ogłupić się jak wszyscy wokół niego, wyrzucić nogi w górę, strzelić w powietrze obcasami, wylądować z hukiem na podłodze, a potem wskazać sutannę na ścianie i powiedzieć:

„Tam wisi pastor, a ja jestem tu!”.

Wreszcie zielony pąk

Zaryczała krowa. Ta jedna, która miała jeszcze siłę ryczeć. Reszta gapiła się tępo przed siebie, wychudzona i koścista, z pomarszczonymi wymionami.

Astrid przerwała dojenie, odsunęła stołek i podniosła drewniany cebrzyk do światła. Na samym jego dnie przelewało się kilka żalonych kropel mleka. Zostały jej jeszcze dwie krowy, ale udój był tak mizerny, że nie widziała właściwie sensu, by w ogóle do nich siadać.

Poza tym czekał na nią Gerhard Schönauser, zapewne przebierając niecierpliwie nogami.

Krowy za to czekać nie mogły. Dawno nie było już tak ciężkiego przednówka, mimo że jesień poprzedniego roku okazała się łaskawa. Parobkowie zbierali liście, zwozili mech z okolicznych gór, kosili trawę na podmokłych łąkach Samdalen i zwozili do majątku wóz za wozem siana, zebrali też sporo paszy z własnych łąk, ale teraz stodoła była już właściwie pusta, a na dworze jak okiem sięgnąć ani jednego zielonego źdźbła. Astrid wstała i poszła do domu.

– Niech mama przyjdzie do obory.

Jeśli chodziło o zwierzęta, matka nigdy jej się nie sprzeciwiała. Tym razem też poszła za nią bez marudzenia, położyła dłoń na karku krowy i ścisnęła go palcami. Skóra zwierzęcia była tak luźna, że można ją było zebrać w garści.

– Same kości – stwierdziła matka i pokręciła głową.

Astrid pokazała jej cebrzyk z mlekiem.

– Ledwie mokry na dnie.

– Widzę. Tak nie może być.

Wyszły z obory, żeby się chwilę zastanowić. Rosnące wokół nich brzozy były nagie, pola i łąki miały brudną żółtawobrunatną barwę. Wyglądało to tak samo we wszystkich gospodarstwach, małych i wielkich. Ziemia w końcu odtajała, ale powietrze było chłodne i ostre, noce – zimne i wciąż od czasu do czasu popadywał śnieg. Rok wcześniej o tej porze już dawno wypuściły krowy na pastwiska, ale teraz Astrid zadawała sobie pytanie, czy zwierzęta w ogóle zdołają wyjść z obory o własnych siłach. Najpewniej będzie musiała je podnosić i ciągnąć za sobą na dwór. Przed paroma tygodniami zdecydowali się chwycić ostatniej deski ratunku i zaczęli karmić krowy końskim nawozem, bo konie nie trawiły przecież wszystkiego i często przez ich brzuchy przelatywał całkiem dobry owies. Ale teraz cały nawóz został już pożarty. Nie mieli go zresztą zbyt wiele, bo okoliczni dzierżawcy zabierali go często ze sobą, wracając wieczorem do domu. Najwięcej nawozu leżało zazwyczaj u stóp wzgórz, na które konie wciągały ciężkie ładunki, to tam przystawały, by się wypróżnić, i to tam najczęściej schylali się dzierżawcy. Tej wiosny musiały się tam również schylać dzieciaki z Hekne.

Karmienie zwierząt w okresie głodu było formą sztuki, którą zdążyli tu całkiem nieźle opanować.

Formą sztuki było także mieszkanie pod jednym dachem z głodnymi ludźmi. Wszyscy wiedzieli, na co najłatwiej byłoby się skarżyć – na to, że mężczyźni karmią konie kosztem krów. Ale nikt nie powiedział tego głośno. Najgorszy był tu Oswald, chociaż Emort i ojciec też nie pozostawali bez winy. Nie było jednak sensu walczyć z nimi o cele doraźne, bo na dłuższą metę wszystkich ich czekała jedna przyszłość. Jeśli konie opadną z sił, nie będzie można zaorać pól i wtedy najbliższa jesień okaże się ich ostatnią.

– Muszę iść do Hellorn i naciąć gałązek – powiedziała Astrid. – Innego wyjścia nie widzę.

Hellorn było wysoko położonym miejscem na skraju wsi, wciąż należącym do Hekne. Przed nadejściem czarnej śmierci mieszkali tam podobno ludzie i zwierzęta, których nie odstraszał koszmarnie stromy teren. Lecz ziemi nie dało się w Hellorn już uprawiać, bo wielkie osuwisko zasypało całe zbocze skalnymi odłamkami, i to właśnie od norweskiej nazwy odłamka – *helle* – utworzono obecną nazwę tego miejsca. Wiosna za to rozkwitała w Hellorn dość wcześnie. Późną zimą dochodził stamtąd rumor osuwających się śnieżnych mas, a kwietniowe słońce szybko roztopiało to, co po nich zostało. Jedynym, co teraz rosło pomiędzy skalnymi odłamkami, były wierzbowe krzewinki i poskręcane brzoźki, zbyt mizerne, by palić nimi w piecu, ale ich liście nadawały się na paszę dla zwierząt, mimo że ciężko się było do nich dostać.

Astrid wzięła sierp, drugie śniadanie i nosidła, po czym ruszyła w drogę.

Zbocze Hellorn było tak strome, że musiała się na nie wdrapywać, pomagając sobie rękoma. Wyciągnęła ramię w kierunku jednej z brzózek i odcięła gałązkę. Dostrzegła coś na jej koniuszku, jakiś dyskretny, ledwie zauważalny barwny punkt. Pąk. Zielony pąk. Wsunęła go do ust i nagryzła. Poczowała jego smak. Za jakiś tydzień, jeśli nie wrócą przymrozki, na drzewkach wyrosną liście wielkości mysich uszu.

Zaczęła ciąć gałązki, metodycznie, drzewko po drzewku. Jakiś czas potem przyjechał po nią wozem Oswald i razem zawieźli owoce jej pracy aż do samej obory. Ze środka zaraz dobiegło krowie porykiwanie. Matka kiwnęła z zadowoleniem głową, ustaliły, że Astrid pójdzie do Hellorn także następnego ranka i zniesie gałązki na drogę, a Emort weźmie starego Baldera i zwiezie je do domu pod wieczór.

– Powinnaś zabrać ze sobą kogoś do pomocy – powiedział ojciec.

– Nie – odrzekła mu Astrid. – Lepiej nie ogołacać wszystkich drzewek, a ja i tak natnę więcej, niż krowy zdołają zjeść. Pójdę tam jutro rano.

Waż u Wrót

Gerhard Schönauer przełożył sztalugę do drugiej ręki. I tak niósł ją ze sobą tylko na wypadek, gdyby się natknął po drodze na ludzi. Szedł drogą, którą mu wcześniej opisała, a w umówionym miejscu Astrid wyszła do niego z cieni i pokazała, którędy ma iść dalej. Sama zniknęła w lesie. Gerhard zszedł w dół zbocza tak stromego, że musiał stawiać stopy bokiem, a daleko w dole, nad rzeką, której nurt przelewał się między głazami i połamanymi drzewami, dostrzegł coś, co w pierwszej chwili wziął za stożki płaskich skalnych odłamków, lecz co okazało się krytymi gontem dachami kilku niewysokich zabudowań.

Astrid ruszyła w stronę średniej wielkości drewnianej szopy, tak starej i zapadniętej w ziemię, że tworzące ściany bale zdawały się układać zgodnie z nierównościami terenu. Na uginającym się torfowym dachu rosły niewielkie drzewka. Z wnętrza dochodziło pobekiwanie owiec.

– Ale to przecież...

– Obórka, tak tu na to mówmy.

Zmierzył ją wzrokiem. Starał się ocenić jej sylwetkę pod ubraniem, przyjął taką optykę jak wtedy, gdy ją w sekrecie malował. Czy to tak właśnie wyobrażał sobie jej nagość? Ciało o delikatnej skórze, silne, lecz jednocześnie krągłe?

Obórka była osobiście wysoka i wąska. Na jednej z krótszych ścian zobaczył niewielkie łukowe drzwi, ciemniejsze od szarych bali. Ich kształt przywodził na myśl nakreślony przez Dahla szkic kościelnego portalu, ale futryny wykonano z pospolitej deski, zaś kute żelazne zawiasy były proste i krótkie.

– Ależ to nie jest przecież portal?

– A i owszem, tyle że stoi tył na przód.

– Co masz na myśli?

– To, czego szukasz, jest tam od środka. Wzory ukryto pod deskami, ale poprosiłam o pomoc i dało się je zdjąć.

– Powiedz, do kogo należy to miejsce.

– Do Hekne. Mieszka tu teraz para staruszków. W zamian dostajemy od nich czasem upolowaną zwierzynę. Będziesz musiał wyłożyć co nieco ze swoich pieniędzy na podróż i zapłacić im za materiały na nowe drzwi.

– Byłaś w środku? Widziałaś portal?

– Nie. Człowiek, który tu mieszka, zdjął deski ochraniające rzeźbienia. Zrobił to wczoraj, a ja wiem tylko tyle, że to, co jest w środku, należało kiedyś do kościoła.

Gerhard poczuł, jak krew tętni mu w skroniach. Ta obórka faktycznie była zastanawiająco wysoka.

– Chciałam poczekać – dodała Astrid. – I obejrzeć to wszystko razem z tobą.

Wyjęła zza pasa spódnicy wypaloną do połowy łojową świecę i pudełko z zapałkami. Drzwi były tak niskie, że ledwie sięgały jej piersi. Przystąpiła o krok na bok i poprosiła go, by wszedł do środka. Gdy pchnął drzwi, rozległo się przejmujące skrzyknięcie zardzewiałego żelaza i spęczniałego sosnowego drewna. Usłyszał beczenie owiec i poczuł ciężki, słodkawy zapach, a w środku była ciemność i to w tę ciemność i w ten słodkawy zapach wpełzł bez chwili wahania.

Na krótką chwilę ogarnęło go poczucie, że oto wstępuje do kościoła takiego, jaki był przed setkami lat. Poranek rozżarzył niebo, zmienił się w noc i znów zapłonął, a jemu się zdało, że tkwi nagi na deszczu, lecz wszystko przeminęło tak szybko, jak się zaczęło, i zaraz poczuł, że stoi w suchej, nagrzanej obórce, i ujrzał przed sobą w blasku płomienia łojowej świecy twarz Astrid Hekne. Dostrzegł, że również i ona jest jak w transie, tyle tylko że dziewczyna patrzyła na niego, nie zaś na portal.

Jej rozmarzenie przeminęło tak, jak przemija lato, powoli i niechętnie.

– Jest – szepnął Gerhard Schönauer.

Stał z otwartymi ustami, wskazując na rój majaczących przed nim w świetle drgającego płomienia rzeźbień. Po obu stronach drzwi wił się gigantyczny wąż i nie był to wzór wycięty w desce,

potwora osadzono ponad jej powierzchnią, rzeźbiąc go w grubej drewnianej kłodzie. Był tłusty i krzepki, pełził i skręcał się wzdłuż drzwi, na samej zaś górze syczała jego paszcza z wyciągniętym jęzorem, a zaraz obok prężył się gotowy do uderzenia silny ogon. Dopiero teraz Gerhard dostrzegł, że wizerunek bestii składa się tak naprawdę z wielu drobniejszych węży gryzących się nawzajem w ogony. Otaczał go zaś rój ornamentów wyobrażających smoki, jaszczury, wilki z rozdziawionymi paszczami oraz jeźdźców uzbrojonych w długie łuki.

Płomień świecy łojowej zadrgał i zgasł. Owce beczwały cicho, ale pozostawały w bezruchu, jakby same były odpoczywającymi baśniowymi stworami.

– *Warte* – powiedział Gerhard, gdy Astrid chciała zapalić świecę na powrót. Przez szpary w ścianach wpadały do środka pojedyncze promienie światła, a on stanął tuż przy portalu, położył na nim dłoń i zaczął go ostrożnie badać opuszkami palców.

– Rzeźbienia. Musisz ich dotknąć, by zrozumieć. *Gib mir die Hand.*

Usłuchała go.

– *Spürst du die hier, nein, die hier?* Wyczuwasz jaszczurze łuski?

– Tak. To znaczy... tak. Wyczuwam je.

– *Und hier, Entschuldigung*, przepraszam... tu, na górze... wąż morski. A tu... tutaj jest smok. Czujesz... to... tego wilka?

Rzeźbienia były oszlifowane przez setki lat i kapryśną pogodę, lecz w ciemnościach, pod palcami, wydawały się ostre, wyraźne, nowe. Astrid pozwalała, by trzymał jej dłoń, prowadząc ją po wyobrażeniach mitów, jej palce muskały wilka Fenrisa i kruki Odyana, dotykały Naglfara, żeglującego do królestwa śmierci okrętu zbudowanego z paznokci zmarłych, Gerhard sunął jej ręką przez płomień, żar, który już wygasł albo miał dopiero zapłonąć, przez walkę światła z ciemnością, jeszcze za czasów, gdy jedno oddzielało się od drugiego, rozstawił palce i poczuł jej ciepłą dłoń pod swoją, poczuł puls pierwotnej siły pod ich złączonymi rękoma. Przesuwali nimi w ciemnościach wzdłuż kolosalnego cielska węża, wyczuwając pod skórą drżenie, które rozchodziło się głębiej do wnętrza i dalej na zewnątrz, w nieskończonych, nadprzyrodzonych falach.

Ku wrogom potężniejszym niż on

Kai Schweigaard wyszedł na podwórze w chwili, gdy wjechał na nie zaprzężony w konia wóz. Leżało na nim coś wielkiego, płaskiego i brunatno-czarnego. Koń prychał, młody chłopak prowadził go na wodzy. Tuż obok niego dreptał Gerhard Schönauer, upominając go co chwila, by był ostrożny. Niemiec kucnął na chwilę, znikając pastorowi z oczu, po czym wyskoczył po prawej stronie wozu i znów zaczął besztać chłopaka.

Schweigaard rozpoznał konia. Było to jedno ze zwierząt z Hekne. Zobaczył też, że prowadzącym go chłopakiem jest Emort, dziedzic w gospodarstwie.

Jej samej nigdzie nie było. Lecz to, co przed sobą widział, nie pozostawiało wątpliwości, że Astrid Hekne znów coś uknuła.

Nie miał pojęcia, na czym polegał ten handel, czy była to zwykła wymiana: portal za kościelne dzwony, czy też miała może miejsce jakaś dopłata w pieniądzu lub – co gorsza – w uczuciach. Poprzedniego dnia Schönauer oznajmił mu, że „ktoś ze wsi” zaproponował mu sprzedaż portalu i w takiej sytuacji zupełnie naturalne byłoby zadanie nieco podejrzliwych pytań: z kim ubił taki interes? Za jaką cenę? I do czego to wszystko właściwie ma prowadzić?

Lecz pastor żadnego z tych pytań nie zadał, sprawiając w ten sposób tylko, że zrobiło się jeszcze dziwniej niż dotychczas. Obaj siedzieli sam na sam, każdy ze swoją półprawdą, i te dwie półprawdy składały się w sumie na jedno kłamstwo. A czymże było właściwie kłamstwo wobec saskiej królowej, jeśli przeciwstawić je kłamstwu wobec samego Boga?

Poprosił dzierżawcę, by sprowadził mu ludzi do pracy. Trzeba było czterech mężczyzn, by zdjąć portal z wozu i zanieść go do szopy. Trzysta koron wróciło na swoje miejsce w księgach rachunkowych nowego kościoła. Lepiej, żeby mężczyźni nigdy nie poznali tej kwoty, bo odpowiadała ona dwuletnim zarobkom każdego z nich.

Emort odjechał, a Kai Schweigaard podszedł niechętnie do Schönauera, bardzo przejętego tym historycznym wydarzeniem i faktem, że bezcenne dzieło sztuki wreszcie zostało zabezpieczone. Pastor stwierdził w pierwszej chwili, że portal wygląda jak sterta zwykłych desek, ale gdy ustawiono go w szopie, a on podszedł bliżej, drewniana powierzchnia obudziła się do życia. Uświadomił sobie, że faktycznie stoi przed elementem wydartym z kościoła. Labirynt rzeźbień wydał mu się z początku chaotyczny, ale po chwili zrozumiał, że prowadzą przez niego uporządkowane zastępy stworów z zamierzchłej przeszłości. Ogromny wąż zaglądał w samą wieczność, zerkając ku wrogom potężniejszym niż on, tym, którzy żyli w głębokich rzekach i ciemnych jaskiniach. Pastor chciał już odejść, ale poczuł, że musi wrócić do portalu, zastygł przed nim i podziwiał go w milczeniu. Był pogański, dziki, do przesady zdobny. Stały za nim miesiące, może lata wysiłków. Precyzja i niebywała drobiazgowość, w każdą najmniejszą figurkę włożono tu zapewne tyle samo pracy co w przygotowanie noworocznego nabożeństwa odprawianego przez biskupa. Portal roił się od niezliczonych detali, uporządkowanych zgodnie z jednym wielkim zamysłem.

Powstał kiedyś, przed siedmiuset laty. W wielkim zrywie mocy twórczej, płomieniu narodzonym z najszczerzej wiary. Może wyszedł spod ręki tutejszego artysty, artysty mającego w sobie wiele z Gerharda Schönauera.

„Ludzie potrzebują też czegoś, co jest piękne. Ozdób, od których robiłoby się im raźniej na duchu”.

Kai Schweigaard długo patrzył na portal, który teoretycznie mógłby pozostać tu we wsi. Gdzieś by się go wystawiło. Jako pomnik – pastor nie przypominał sobie zresztą, by kiedykolwiek wcześniej cenił to konkretne słowo szczególnie wysoko – pomnik na cześć wszystkiego, czego nie pojmował, a co miało jednak wartość. Bo przecież mógł doświadczyć miłości, lecz nie byłby nigdy w stanie tego uczucia wyjaśnić. Ramię w kościelnej nawie połączone z jego ramieniem, on odziany na czarno, ona – w nowej, kupnej sukience.

W wizji tej za jego plecami stał Gerhard Schönauer. Schweigaard dotąd nie pojmował, cóż takiego widziała w tym Niemcu Astrid Hekne. Ale teraz rozumiał, że on sam także może chwycić za

broń na tym polu walki. Gdy Astrid w końcu sprawi, że wszystko rozwiąże się po jej myśli, z pewnością dostrzeże tę przemianę, która zaszła w pastorze. Zdolność szerszego spojrzenia na życie, nową szczodrość, którą zdoła w sobie obudzić.

Będzie musiał zerwać zaręczyny z Idą Calmeyer. Siostrzane Dzwony pozostaną w Butangen.

A on zbuduje dla nich dzwonnice w imieniu Astrid Hekne.

Spojrzał na zamknięte drzwi, schylił się i chwycił za klamkę. Lecz drzwi otworzyły się do wewnątrz, uderzając o ścianę, a on zrozumiał, że nigdy nie będzie mu dane przejść przez ten portal.

Słowo na wielkie K

Wracali znad martwej zatoki. Dni w końcu stały się dłuższe. Odczuwalnie dłuższe. Wiosna przysłała na dobre, szemrały spływające ze wzgórz strumienie.

– Tak się cieszę – powiedział. – Że go uratowaliśmy. Bo tam to by tylko... ach, pomyśl o tych wszystkich owcach! Wysłałem już list do profesora Ulbrichta.

Astrid skinęła w milczeniu głową. Z początku wszystko wydawało jej się jak najbardziej właściwe, ale teraz ten początek dobiegł końca. Zaczęła się zastanawiać, kim ona właściwie jest, że wydaje wyroki nad minionymi wiekami, lekceważąc ostrzeżenia dziadka. Tamtego dnia w Halvfarella stulecia owiały ją swoim oddechem i zapytały: kto jest tak naprawdę właścicielem kościelnych drzwi, czy drzwi w ogóle mogą być czyjąś własnością? Bo owszem, posiadać można drewnianą powłokę, ale nie sam otwór, zaś bez otworu drzwi przestają być drzwiami, a poza tym komu wolno decydować o kościelnych dzwonach, kto jest właścicielem ich dźwięku, który wgrzył się w rzeczne koryta i skaliste zbocza, kto może posiadać coś, co jest starsze niż najstarsi ludzie, których pamiętamy, i co przeżyje tych, którzy już dawno o nas zapomną?

Tymczasem jednak wszystko się już dokonało, a decyzje i pytania pozostawiły po sobie nerwową pustkę domagającą się wypełnienia. Myśli o tym młodym człowieku nie dawały jej spokoju. Gerhard Schönauer miał w sobie ciepło, zamiłowanie do tego, co ona sama uważała za piękne. Był samotną, błakającą się po Butangen istotą, której nikt tak naprawdę nie rozumiał.

– To prawda, że w Dreźnie są lampy nocne? – zapytała.

– Lampy nocne?

– Takie, co świecą, żeby ludzie mogli chodzić w nocy między domami?

Zrozumiał chyba, że najlepiej odpowie na to pytanie rysunkiem, i wykonał dla niej szkic panoramy Drezna.

– Drogi są wyłożone kamieniem? Tak żeby ludzie mogli chodzić w... – wskazała na swoje buty, przesuając palcem po cholewie niczym nożem.

W zrozumieniu pytania pomógł mu dopiero *Meyers* – Astrid chciała wiedzieć, czy ludzie mogą chodzić na ulicach w półbutach. Gerhard nie pojmował, jak dziwna wydaje się taka koncepcja w tych stronach, było to nie do pomyślenia, nawet latem, z tutejszymi mokrymi, porozjeżdżanymi przez wozy drogami i ścieżkami, co kilka kroków przeciętych strumieniem czy mokradłami. Astrid pytała go, skąd pochodzi, próbowała się dowiedzieć, jak odkrył swój talent i w jakich warunkach pozwalał mu wzrastać. Była rozczarowana, gdy wyjaśnił jej, że dziewczęta nie mogą studiować na Akademii Sztuk Pięknych, ale niestrudzenie wypytywała, jak to możliwe, że nie kazano mu zostać w tym jego kraju na gospodarstwie, a pozwolono, by spędzał całe godziny z cienkim ołówkiem w ręku – jakie porządki panowały w tamtych dalekich stronach, skoro coś takiego było w ogóle możliwe? I jak odkrywano takich wielkich malarzy jak on?

– Nie jestem wielkim malarzem – powiedział. – Tylko zwykłym stu...

Przełknął ślinę.

– Jestem architektem – zreflektował się. – Przede wszystkim architektem.

Przystanęli na chwilę, szli niełatwą trasą, Astrid wybrała ścieżkę tak, żeby nikt ich nie widział. Zrobili postój w jednym z niewielu miejsc na zboczu doliny, gdzie nadal leżał śnieg, zupełnie jakby zatrzymali się na granicy między zimą a wiosną i dopiero tam dziewczyna poczuła, że robi jej się lżej na duszy.

Wszystko skończyło się dobrze. Dobiła targu, dzwony były bezpieczne. I szła teraz ścieżką z mężczyzną, który co rusz – myśląc, że ona tego nie widzi – zerkał na nią ukradkiem, który niby to się ociągał, by tylko iść z tyłu, a to z kolei sprawiało, że mocniej kołysała w marszu biodrami.

Szczęście. Czy to było szczęście? Przysłane jej z dalekiego kraju na południu?

Usiadła na kamieniu i sięgnęła po *Meyers Sprachführer für Reise und Haus*.

– Puczysz mnie niemieckiego?

W kolumnie po lewej stronie było słowo niemieckie, w prawej zaś – norweskie, a on usiadł po

jej lewej ręce i siedzieli tak, odwzorowując układ książki. Wskazywali palcem wybrane słowa, na zmianę, pomagając sobie nawzajem prawidłowo je wymawiać, tak by brzmiały dobrze w obu językach.

Astrid znalazła „góre” i próbowała wymówić *Hochgebirge*, on natomiast chciał działać metodycznie i wrócił do początku, żeby rozpocząć od A.

– *Abend?* – zapytała, on zaś wyjaśnił jej, że powinna zakończyć wyraźniejszym t.

– *Wieczór. Kveld* – powiedział, starając się odczytać norweskie słowo w jej dialekcie, z otwartym, przednim *æ* i retrofleksją, a jego próby doprowadziły ich oboje do śmiechu.

– *Aber?* – powiedziała.

– Tak, prawie dobrze – pochwalił ją. – Nie tak ostro na końcu.

Wytłumiła nieco wibrujące r, a on skinął głową.

– *Abergläubisch* – powiedziała ona.

– Przesądny – powiedział on.

– *Abfahren* – powiedziała ona.

– Odjechać – powiedział on i zamilkł.

Brnęli dalej przez A, lecz litera ta zdawała im się teraz obciążona jakimś smutkiem, przeszli więc do B, stwierdzając po chwili, że nudno tak niewolniczo trzymać się alfabetu. Zaczęli skakać między słowami tak, jak im się podobało.

– *Strudel?*

– *Wir.*

– *Leiden?*

– Męczarnia. Cierpienie.

– *Lippe* – powiedziała ona.

– *Warga* – powiedział on powoli i oboje spojrzeli na hasła wydrukowane powyżej, *Leben* oraz *lieben*.

Przyszła kolej Gerharda, by wybierać słowa, lecz on się zawahał, chwycił książkę nieco krzywo, Astrid musiała się do niego przysunąć, by móc śledzić tekst, poczuła bijące od niego ciepło i musnęła policzkiem szczecinę na jego podbródku.

Wylądowali w końcu na N, bawili się *Notschuss* – strzałem ratunkowym, i *Nordlicht* – zorzą polarną, po czym dziewczyna wyjęła książkę z jego rąk i otworzyła ją na K.

– *Kühnheit?* – powiedziała ona.

– Śmiałość – powiedział on.

– *Kurzatmig?* – powiedziała ona.

Odchrząknął.

– *Zdyszany. Kurtpusset* – powiedział.

– Nie, *kortpustet*. Spróbuj jeszcze raz.

– *Kurtpuzet*.

– *Kortpustet* – powtórzyła.

– *Kort-kortpust*.

Przeniosła palec na słowo poniżej, a drzenie jego ciała dało się zapewne odczuć głęboko pod ziemią, próbował odwrócić spojrzenie, ale to ona nadal trzymała książkę i żadna siła na świecie nie była w stanie odsunąć jej palca od słowa na wielkie K.

– *Kuss* – powiedziała.

Zawahał się przez chwilę, tak samo jak przed *Liebe*, lecz i tym razem nie wymówił tego hasła, tylko otoczył dziewczynę ramieniem i je zademonstrował, a *Meyers Sprachführer für Reise und Haus* spadł im na ziemię.

Astrid odchyliła się w pierwszej chwili do tyłu, opierając rękę o kamień, na którym siedzieli. Ale zaraz podniosła dłoń, objęła go i wplątała palce w jego włosy, on chwycił ją wpół i mocno do siebie przycisnął, a ona zmiękła w jego ramionach niczym wierzbowy witek.

Wreszcie poznała różnicę pomiędzy całusem a pocałunkiem. Życzliwością a zakochaniem. Przetęganą wodą a górskim strumieniem. Różnicę pomiędzy Kaiem Schweigaardem a Gerhardem Schönauerem.

Poprzez rysik ołówka

Gerhard Schönauer stał w kościelnej nawie. Światło wpadające przez umieszczone wysoko okienka sączyło się na niego i na kreślony ołówkiem szkic nastawy ołtarzowej. Wciąż nie udało mu się przełożyć wymiarów kościoła na saskie stopy. Czuł się, jakby próbował ustalić rozmiar kapelusza noszonego przez upiora. Nie miał już odwagi unosić ołówka w obawie, że zepsuje rysunek. Uciekał myślami do Astrid Hekne, kręcił się po świątyni i w końcu usiadł na ławie pod ścianą, w tym samym miejscu, w którym siedziała ona tego ranka, gdy się tu spotkali.

Oparł głowę o deski i przymknął oczy.

Pod powiekami migotały mu obrazy nastawy, ambony i krzyży Świętego Andrzeja, miał wrażenie, że zasypia i znów się budzi, a potem kolejny raz znalazł się w ubogiej zagrodzie, do której zabrała go Astrid, by pokazać mu portal. Dziewczyna czekała na dworze, tym razem miała na sobie staroświecki czerwony strój i wyciągała rękę, zachęcając go, by wszedł do środka.

Pochylił się, wpełził do owczarni, wyprostował się w kościele słupowym. Tym kościele, takim, jaki był zaraz po wybudowaniu. Deski sosnowych ścian zostały dopiero co oheblowane i pałały jasnością. Drewno pachniało żywicą i świeżą terpentyną, na podłodze leżały ośniki i topór ciesielski, musiał chyba trafić na przerwę w pracy, słyszał głosy, lecz nigdzie nie widział ludzi. Dachy jeszcze nie położono i cała konstrukcja była skąpana w słonecznych promieniach. Ruszył ostrożnie dalej i rozpoznał krzyże Świętego Andrzeja, zobaczył, w jaki sposób są zamocowane do grubych słupów strzelających w niebo z podłogi, zerknął w stronę galerii i zrozumiał, że cieśle przepracowali tu już jakieś dwa lata z planowanych czterech.

Nie przeniósł się w przestrzeni, lecz przeleciał przez stulecia, pokonując kolejne wiry przeszłości, przechodząc przez miraż zapomnianych dziejów. Bo miejscem, w którym stał, był przecież kościół w Butangen, tyle tylko że przed siedmiuset laty. Cieśle mieli do dyspozycji jedynie nieliczne narzędzia. Długie, ręcznie wycinane kliny z twardego drewna leżały jeden na drugim w grubej wiązce. Obok nich – topory i ośniki o błyszczących ostrzach z czarnego kutego żelaza. Znajdował się w czasach sprzed powstania legend, jedynymi śladami po cieślach były poskręcane wióry i drzazgi na podłodze. W końcu rozbrzmiało uderzenie młota czasu, wszystko się zakotłowało i skłębiło, zaś przez noc przemaszerował kondukt postaci z tańczącymi latarniami.

Gerhard doszedł do siebie.

Wstał i popatrzył na przypominające wielkie podkowy drewniane łuki, które łączyły słupy kościoła. Zrozumiał, dlaczego nawa wydaje się taka smukła i przestronna – odległość pomiędzy słupami na dłuższych ścianach była dwukrotnością odległości na ścianach krótszych. Pojął też, w jaki sposób krzyże w triforium nie tyle wiążą konstrukcję, co ją dźwigają.

W mgnieniu oka wypełniający kościół zapach smoły wydał mu się przyjemny, nawet skrzypienie podłogi brzmiało teraz znajomo i przyjaźnie.

Chwytał ołówek i wykonał ogólny szkic. Po raz pierwszy od dawna skinął z zadowoleniem głową, patrząc na swoją pracę. Rysunek był precyzyjny w kwestii proporcji, jednoznaczny w detalach technicznych, a jednocześnie nadal dawało się w nim odnaleźć mrok i powagę kościelnej nawy. Gerhard rozejrzał się dookoła. Nie bał się już westchnień, które słyszał od strony schodów, ani tańczących w półmroku cieni. Poczuł się nagle, jakby miał przygotować do przeprowadzki gmach pełen śpiących ludzi. Całe to wrażenie przeniosło się na zrobione tego dnia rysunki i tchnęło w nie ducha, nie były to już chłodne, techniczne ilustracje, dzięki cieniowaniu i grze światła z mrokiem udało mu się oddać ulotną, tajemniczą naturę tej budowli.

Po południu znów zaczął myśleć o Astrid. Dopuścił do siebie pomysły, które rodziły się w nim od jakiegoś już czasu, a które próbował zagłuszyć głosem rozsądku – bo miał przecież wyjechać, wrócić do Drezna, opuścić tę wieś i już nigdy do niej nie wrócić. Lecz teraz, na środku kościelnej nawy, marzenia w nim rozkwitały, ujawniając się w całej swojej krasie.

Wahanie przeobraziło się w wiedzę i świadomość.

W Dreźnie czekały na niego pieniądze.

Nie czekała natomiast Sabinka.

Gdy kościół zostanie wzniesiony na nowo, a jego nazwisko trafi na odpowiednią tabliczkę, biura architektoniczne walczyć będą o zatrudnienie u siebie pana Gerharda Schönauera. Wynagrodzenie architekta mogłoby zapewnić im w Dreźnie dostatnie życie.

Bo ona przecież chciała tego samego? Poprosiła, by naszkicował jej jeszcze raz most nad Elbą i rozświetloną nocną promenadę. Sama jej bliskość sprawiała, że rósł, dodałaby mu śmiałości, nie tylko w odbudowie kościoła, ale też projektowaniu nowych gmachów, wielkiej architektury. Już teraz przepelniała go chęć, by stworzyć coś, co zostanie zapamiętane, nie tylko przez sto, ale nawet i siedemset lat! Bez niej u boku nie był mistrzem Gerhardem Schönauerem, lecz zaledwie Gerhardem Schönauerem, zwyczajnym kopistą.

Miał zostawić w tej wsi *Die Schwesterglocken*.

Ale zamierzał zabrać ze sobą do Drezna coś innego.

To ona, potomkini legendarnego Eirika Hekne, pojedzie za kościołem do Niemiec, razem przejdą pod portalem i pobiorą się w tej świątyni, gdy już zostanie odbudowana – tak! Pójdą do ołtarza przez tę nawę, ramię w ramię, a dzwony będą dla nich bić.

Splot namiętności

Dwa tygodnie później podarował jej pierścionek i poprosił, by pojechała z nim do Drezna.

Pierścionek był wykonany ze splotu miedzianobrazowych nici metalu, a gdy zamigotał na jego dłoni, Astrid zobaczyła, że jest to miniatura Węża u Wrót, wijące się smukłe gady gryzły swoje ogony, tworząc w ten sposób potężną, nieskończoną istotę. Splot został zrobiony z cienkich haczyków od suchych much, Gerhard podgrzał je nad płomieniem świecy i powykręcał, przeciągając groty przez oka, po czym wyrównał całą konstrukcję uderzeniami młotka. W pierścionku tym widać było wiele godzin jego mozolnej, precyzyjnej pracy, przyświecającą mu myśl, ideę, której nie odrzucił, która nie zbladła nawet pod wpływem podszeptów zdrowego rozsądku, która nie dawała mu spokoju, nalegając: musisz zdobyć pierścionek.

Wsuwając go na palec, Astrid poczuła lekkie ukłucia zadziórów, których nie udało mu się wyrównać młotkiem, lecz cała konstrukcja była tak zmyślnie połączona, że trzymała się mocno i pewnie, choć żaden element nie został tu zlutowany. Nie pojmowała, jak udało mu się zrobić coś tak pięknego z przedmiotów przeznaczonych do zupełnie innych celów. Powiedziała mu o tym, lecz wtedy pojęła, że on zamiast pochwał usłyszałby dużo chętniej odpowiedź na zadane jej wielkie pytanie.

– Powiedz – poprosił.

Lecz prośba ta padła z jego ust po norwesku, a ona stała dłuższą chwilę, patrząc mu w oczy.

– Powtórz to po niemiecku – odrzekła, a gdy to zrobił, poczuła, jak przeszywa ją dreszcz. Bo Gerhard przybył do niej, przybył tutaj, pełen zachwytu nad rzekami rojącymi się od pstrągów i ciszą, i gwiazdami, które tak jasno świecą na niebie. Wyjaśnił jej, że niebo w Dreźnie wygląda inaczej, bo nie zapada tam nigdy tak idealna ciemność jak tutaj.

Wspięła się na palce i go pocałowała.

Podobno na ulicach Kristianii też były lampy, ale po co marzyć o Kristianii, skoro można marzyć o Dreźnie? Tak, daj mi lepiej lampy gazowe Drezna, pragnę ich najbardziej na świecie. Chętnie zgaszę Wielki Wóz, by móc taką lampę zobaczyć, pograżę w ciemnościach Wielką Niedźwiedzicę za jeden pocałunek pod uliczną latarnią.

Przy obu składanych jej dotychczas propozycjach małżeństwa dom w Hekne roił się od ludzi. Obaj niedoszli narzeczeni stawali w progu, przed jakimś dziesięciorgiem czy piętnasciorgiem ludzi w różnym wieku, po czym, z wahaniem i nadęciem, oświadczali, że pragną rozmawiać z jej ojcem, bo wszyscy przecież doskonale wiedzieli, że tak się te sprawy załatwia.

Zupełnie inaczej wyglądało to z Gerhardem Schönauerem, który powiedział *Ich liebe dich*.

Miłować. Słowo to nie istniało nawet w jej dialekcie, żaden mieszkaniec Gudbrandsdalen nie był go w stanie wypowiedzieć, nie czując się przy tym jak kłamca. I ona także nie umiała go wyartykułować. Słowo pieniało się w jej ustach, próbując wrócić do płuc, brzmiało nieszczerze, było zbyt wielkie, nie pasowało do chwili. Widziała je gdzieś przed sobą, owszem, realizowane poprzez ofiary i działanie, ale wypowiedzenie go wydało jej się niemożliwe.

A za to w jego języku, dobry Boże, jakże cudownie ono brzmiało! I w ogóle: jak cudowne brzmienie miał język niemiecki! Słuchała Gerharda, gdy się pewnego razu zirytował, a wtedy głoski „i” oraz „n” trzaskały i skrzyły się jak w ognisku: *Nein!* Słowa przypominały górskie łańcuchy o ostrych szczytach, lecz kiedy łagodziła je treść, nie było języka łagodniejszego niż niemiecki. Gdy Gerhard wypowiadał nazwę *Die Schwesterglocken*, kiedy nazywał ją *Fräulein*, z jego słów układał się widok na rozgrzane słońcem zbocza doliny, głos jego był zaś niczym porastająca te zbocza trawa, miękka i wysoka, szumiąca na letnim wietrzyku, przybierająca kształt podmuchów, by potem prostować się znów i czekać.

I tak jak Gerhard Schönauer powiedział *ja*, gdy poprosiła go, by *Die Schwesterglocken* zostały w Norwegii, tak i ona dała mu, niczym współbrzmiający ton kościelnego dzwonu, odpowiedź w harmonii z jego odpowiedzią.

– Tak – rzekła. – Pojadę z tobą do Drezna. *Ja*.

Wróciła do domu wieczorem i znów zaczęła oglądać pierścionek. Splot nie miał żadnego

początku i w związku z tym też żadnego końca, podobnie zresztą jak wszystkie węże, które się na niego składały, nie sposób było dojrzeć, która paszcza gryzie który ogon ani policzyć poszczególnych gadów.

Przewracała się w łóżku z boku na bok, badając pierścionek palcami i wyobrażając sobie, że poduszka jest Gerhardem Schönauerem.

Żaden mężczyzna nie widział jej nigdy nago. Swojego odsłoniętego ciała nie widziała nawet ona sama, przynajmniej nie w całości. Mieli w domu tylko jedno lustro na tyle duże, by mogła odbić się w nim cała sylwetka, ale stało ono w korytarzu. Wszystko w niej pulsowało i kłuło, marzyła, by móc się mu pokazać.

Bo czyż nie jesteś piękny, pomyślała, w chwilach gdy nagle zerkasz w przestrzeń, przeglądasz tę swoją książeczkę, poruszasz wargami, gdy wydaje ci się, że tego nie widzę, gdy bezgłośnie wypróbujesz norweskie zdania, których z takim zapalem próbujesz się uczyć, a dalej masz to swoje bezradnie rżące „r” i wszystkie te przesadnie długie „a”.

Z jego szkicownika wyłaniały się obrazy Drezna, rysował jej Memel, swoich rodziców i braci, rysował mieszkanie w Neustadt, do którego mieli się wprowadzić, rysował promenadę nad Elbą z gazowymi lampami, a potem, pijany miłością, zaczął szkicować ich dwoje, tak jak wyobrażał ich sobie we wspólnym życiu, małżeńskie lata wypełniały stronę za stroną, rysował błyskawicznie, a mimo to pięknie i w ten sposób jego szkice nadrabiały to wszystko, co chciał jej powiedzieć, lecz na co brakowało mu słów. W rysunkach pokazywał jej konkretnie to, o czym marzył: ich mały murowany domek z tarasem, szkicował ich razem, Astrid w pięknej miejskiej sukni, z upiętymi włosami, narysował ją też w łóżku, rozczochraną i z szelmowskim uśmiechem – i tu posunął się tak daleko, że chwyciła arkusz, by wydrzeć go ze szkicownika, ale rysunek był zbyt piękny, więc zostawiła go w spokoju, następne były zaś już skromniejsze i bardziej nastrojowe.

Kiedy miała powiedzieć matce i ojcu, że zamierza wyjechać?

Oboje pewnie padną ze zdumienia.

A może nie. Może będą się cieszyć, że w końcu uda im się ją wydać za mąż. Wszyscy trzej bracia matki zaczęli nowe życie w Kanadzie. Ludzie cały czas stąd wyjeżdżali, teraz po prostu przyszła kolej na nią. Będzie tęsknić za Emortem. Za dniami w chacie na górskich pastwiskach. Za krowami.

Nie karciała się w myślach, nie dopuszczała do siebie żadnych zastrzeżeń. Gdzieś w szerokim świecie czekało na nią dobro. U boku Gerharda odnajdzie swoje przeznaczenie, cokolwiek miałoby nim być, i dopilnuje, by czekające gdzieś daleko szczęście stało się jej szczęściem.

Pewnego wieczora Gerhard powiedział jej, że niedługo skończy rysować kościół. Szli przez las, tak by nikt ich nie mógł zobaczyć, w drodze do Løsnesvatnet, bo narzeczony był ciekawy, jak biorą tam ryby.

– Są tam jakieś mielizny? – zapytał. – Żebym mógł wejść do wody i spróbować?

Astrid kiwnęła głową, wskazując na drugi brzeg.

– Tam gdzie strumień wpada do jeziora. Trochę na lewo od miejsca, gdzie cumują łodzie. Ale nie mogę tam z tobą pójść. Ludzie by nas zobaczyli.

Odprowadziła go kawałek, aż tafla wody zamigotała między drzewami, pokazała mu mieliznę, a potem usiadła w lesie i przyglądała mu się z oddali. Gerhard wszedł do lodowatej wody, z nogawkami czarnych spodni podwiniętymi do kolan i rękawami białej koszuli podciągniętymi do łokci. Lśniąca brązowa wędka poczęła znów wyginać się raz za razem w giętkie łuki, zaś żółtawa linka rysowała na niebie kolejne litery.

Tego samego wieczora, pod osłoną ciemności, przyszła do jego chatki w majątku pastora. Gerhard powiesił w oknie swój płaszcz i zamknął drzwi na klucz.

– Pozwól mi naprawdę cię narysować – powiedział.

Postawił świecę łojową po jej lewej stronie, a ona zrozumiała, że dzięki temu lepiej będzie widzieć jej profil, stronę słoneczną i stronę ocienioną, zaś łuk rysujący się na jej czole, nosie i ustach będzie niczym granica między światłem a mrokiem.

Była ubrana, lecz czuła, że Gerhard przeświecła jej odzienie wzrokiem, bo dla niej on również był nagi.

– Wcześniej... – zaczęła Astrid. – Wcześniej myślałam, że da się wszystko wytłumaczyć. Ale

teraz im więcej próbuję pojąć, tym mniej rozumiem.

– Są wiersze – powiedział Gerhard.

– Wiersze? O czym?

– O tym właśnie.

– W ogóle prawie nie słyszałam w życiu wierszy – stwierdziła.

– „Piękne jest to, co widzimy” – zaczął. – „Piękniejsze – to, co wiemy, lecz najpiękniejsze jest...”

– Przestań – przerwała mu. – Powiedz to po niemiecku.

– Nie wiem, czy dobrze pamiętam.

– Powiedz i tak.

– *Schön ist, was wir sehen. Noch schöner, was wir verstehen. Am schönsten aber, was wir nicht fassen können.*

Zdmuchnęli świecę i położyli się pod futrzaną narzutą. Niedaleko majątku pastora płynął wezbrany od wód roztopowych strumień, a oni leżeli, słuchając jego szumu.

Zaczął jej dotykać, a ona dotykała jego. Dłonie na plecach, dłonie na udach, wędrujące po brzuchu w dół i w górę. Astrid odkryła, że jego oddech staje się cięższy, gdy kładzie mu ręce na biodrach i odkrycie to tak ją zafascynowało, że wkrótce oboje się w nim zatracili.

Nad ranem znów spadł śnieg i cały wiosenny krajobraz leżał skąpany w bieli.

– Muszę wracać do domu – powiedziała. – Ale on nie może zobaczyć moich śladów.

Gerhard otworzył drzwi i zaniósł ją na rękach aż do skraju lasu, gdzie śnieg łądował na gałęziach, a nie na ziemi, wypuścił ją z ramion na kobiercu z zeszłorocznych liści i patrzył, jak znika między drzewami niczym sarna. Biegła, szepcząc modlitwy do Boga i zadręczając się myślą, że ktoś ich widział.

Obudziła się do nowego dnia pracy. Musnęła palcem pierścionek i schowała go.

Śnieg, który spadł tej nocy, stopniał przed obiadem i to tego właśnie dnia naprawdę nastąpiła wiosna. Słońce zaczęło przypiekać jak w środku lata, ruszyły też wiosenne prace w gospodarstwie. Ugorem nie mógł leżeć ani metr kwadratowy, a tam, gdzie było zbyt stromo dla koni, musieli rozbijać grudy ziemi motyką i wyrównywać teren ręcznie. Jedli drugie śniadanie, odpoczywali i wracali do roboty. Nagie dłonie w zimnej ziemi. Wozy ciągnięte niespiesznie przez konie. Kolejne wyprawy, by naciąć gałązek. Wymię niespokojnej krowy, świeżo wyszorowane dłonie niosące wiadra, też zimne, odgłos mleka tryskającego do drewnianego cebrzyka, coraz cichszy, w miarę jak naczynie się napępniało.

Widok pracowitego mężczyzny przed kościołem, znikającego co chwila za drzwiami.

Zegar stojący w pustym salonie powoli odmierzający czas do czegoś, co się miało wydarzyć.

Miłość tą samą pójdzie drogą

Poczuła ból tego, co już się stało i co miało się stać, a w chwili, gdy do niej przywarł, na jej myśli padł jakiś ołowiany cień i to wszystko sprawiło, że wymierzyła mu policzek. Zamarł gwałtownie, a ona zajrzała mu w oczy i patrzyła w nie, aż ujrzała w nich strach, po czym chwyciła jego pośladki obiema dłońmi, żeby nie przestawał, wciąż patrzyła mu w oczy i trwało to do chwili, aż zniknął wielki płaski głaz, na którym leżeli. Ocknęła się dopiero, gdy jego łza spadła jej na policzek.

Długo jeszcze leżeli na tym głazie. To wcale nie jest wstrętne, pomyślała. Wcale nie wstrętne. Wszystkie zwierzęta parzą się na dworze. Czemu więc nie pozwolić, by działo się to wtedy, gdy się dzieje, nieważne, gdzie i kiedy, niech płynie to jak nurt rzeki przechodzącej w wodospad.

Ten jego ciężar i siła, ciepło jego ciała, wszystko to, co ten ciężar, siła i ciepło robiły, zdobywając ją, i ta jej radość, gdy pozwalała mu się zdobywać.

Ubrała się i usiadła obok niego.

Gerhard złożył dłonie na kolanach. Na brzegu Martwej Zatoki leżała wędka Smuggler braci Hardych. Linka była sucha. Słońce świeciło jasno przez trzy ostatnie dni, gwałtowne i rozżarzone, a głaz, na którym leżeli, był twardy i nagrzwany.

Doszła powoli do siebie. Wszystko to było tak rozpedzone, miało taki ciężar, że toczyło się w dół siłą bezwładności i nie dało się w porę zatrzymać.

Kościół miał zostać zburzony. Ale ona się nie da.

– Odtąd będziemy się spotykać w chacie przy górskich pastwiskach – powiedziała. – Przenoszę się tam za parę dni. W każdy sobotni wieczór wystawię świecę w oknie. Jeśli będę sama.

– A jeśli nie będziesz sama?

– Wtedy musisz nasłuchiwać krowich dzwonek. I mnie szukać. Jak skończysz, będziemy mieć całe lato.

Wyglądało na to, że jej nie zrozumiał.

– Możesz też nawoływać. Jak już znajdziesz krowę.

Zamilkł. Pogładziła go po ramieniu.

– Co z tobą?

– Nie słyszałaś? – zapytał.

– Czego?

– Wydawało mi się, że słyszę kościelne dzwony.

– Ale przecież nie czas na nabożeństwo?

– Nie, nie. Jest za wcześnie. Posłuchaj, znów biją.

Zerwali się na równe nogi, tak szybko, że Astrid zakręciło się przez chwilę w głowie, i wbiegli na wzgórze. W miarę jak oddalali się od szumiącego strumienia, dźwięk dobiegał do nich coraz wyraźniej i głośniejsze.

Siostrzane Dzwony huczały we wsi, zupełnie jakby oznajmiały, że coś się dopełniło, wieszcząc jednocześnie to, co miało nadejść, był to szaleńczy klangor bez taktu ani rytmu, niczym burzowe grzmoty i Astrid pojęła nagle, że nie ma już między nimi harmonii, po raz pierwszy wyraźnie słyszała różnicę w dźwięku wydawanym przez dwa różne dzwony i rumor ten trwał, gdy zbiegali z Gerhardem w dół, dzwony biły jak szalone, do chwili gdy nagle zamilkły.

Przybiegli do wsi pogrążonej w takim chaosie, że żadna plotkara nie zauważyła ich jednoczesnego przybycia. Wszyscy wybiegli z domów, drogą kuśtykali nawet obłożnie chorzy starcy, gnani do wspólnego celu, chcący wmieszać się w tłum na przykościelnym placu. Ludzie stali między mogiłami, wymachując rękoma. Ze wzburzonych okrzyków dało się wywnioskować, że Siostrzane Dzwony zaczęły bić same z siebie. Dzwoniły i dzwoniły, szaleńczo i jak na trwogę, ich dźwięk wystraszył siedzące na drzewach ptaki i ukryte w cieniu kamiennego ogrodzenia borsuki, które rozpierzchły się na cztery strony świata. Psy w gospodarstwach wyły, a pierwsi parafianie, którzy przypędzili do kościoła, myśleli, że będzie odprawiane dodatkowe nabożeństwo, lecz nie pojmowali, czemu na cmentarzu nie ma żywego ducha, a dzwony nadal biją. Nie mogli dojść do żadnego

porozumienia ani wyjaśnić sytuacji, bo ton był tak ogłuszający, że nie dało się ze sobą rozmawiać. Stary kapitan kawalerii przypomniał sobie zwyczaj, według którego bicie w kościelne dzwony może oznaczać przystąpienie Norwegii do wojny. Zgrzybiały oficer wymachiwał rękoma, rozkazując ludziom rozesać wici, bo oto nadchodzą wrogie armie i ta właśnie plotka – że wojna! Wybuchła wojna! – rozeszła się na te same cztery strony świata, w które rozpierzchły się borsuki, by zostać zdementowaną dopiero następnego dnia. Dzieciaki wdrapywały się na kamienne ogrodzenie, starcy marszczyli czoła i wrzeszczeli sobie nawzajem do uszu, zaś chóry plotkarskich bab zbiły się w niewielkie, ściśle grupki, bo tworzące je kobiety plotkowały również o sobie nawzajem, żyjąc jednocześnie w wiecznym strachu, że ludzkie gadanie zwróci się kiedyś przeciwko nim.

Tymczasem do kościoła przybiegli Kai Schweigaard z dzwonnikiem, ale żaden z nich nie miał przy sobie klucza, obaj byli bowiem przekonani, że to ten drugi wszedł do środka i zaczął bić w dzwony.

Nad ich głowami wciąż rozlegały się kolejne tony, dzikie i szalone, silne jak nigdy, wytwarzając drgania, od których grzechotał żwir na cmentarzu. Kiedy już pastor i dzwonnik pobiegli po klucze, wielu zebrało się na odwagę, by podejść do kościelnych drzwi i sprawdzić, czy faktycznie są zamknięte, co okazało się prawdą, i Kai Schweigaard musiał po powrocie przedzierać się przez tłum, dzierżąc klucz w wyciągniętej ręce.

Wtedy też stało to, co uznano za zły omen i co miało obudzić we wsi uspioną wiarę w zabobony: w tej samej chwili, gdy pastor wsunął klucz do zamka, dzwony umilkły jak zakłęte.

Wielu widziało to na własne oczy.

Gdy tylko klucz wsunął się na swoje miejsce, dokładnie w momencie, kiedy metal spotkał się z metalem, bicie ustało. Ludziom szumiało w uszach, a rozdźwięk odbijał się jeszcze między zboczami doliny, wracając w końcu od strony gór porozbijanym echem, zaś chwilę przed tym, jak kościelne drzwi stanęły otworem – co z całą mocą twierdziły trzy kobiety, z których każda straciła pierworodne dziecko w połogu – ziemia na cmentarzu wydała przeciągłe westchnienie.

Ludzie wpadli do środka za pastorem, w kościele zapanował taki tłok, że ewentualny winny całego zajścia mógłby bez kłopotu wyjść ze swojej kryjówki i wmieszać się w tłum. Ale na fakt ten zwracali potem uwagę tylko ci, którzy szukali rozsądnego wyjaśnienia całego tego zajścia. Tych zaś ludzi i tak nikt nie chciał za bardzo słuchać.

Pomimo całego tego zamieszania Kai Schweigaard zdołał odprawić poruszające nabożeństwo, biorąc w karby ludzkie oszołomienie i panikę. Kościół pękał w szwach, on zaś skłonił parafian, by usiedli w ławach, i rozpoczął długo przygotowywane kazanie, którym zamierzał pożegnać gmach świątyni. Przyrównał ten dzień do kropki na końcu zdania, niepozornego znaku, któremu nieliczni tylko przypisują jakieś odrębne znaczenie, a który jednak zawsze wieńczy najpiękniejsze passusy w literaturze.

Przemowa ta była szlifowana całymi tygodniami, pełna godności i zapału, pastor zakończył ją pewnie i elegancko, znał każde słowo na pamięć, bo ćwiczył je w swoim gabinecie, za widza i słuchacza mając żeliwny piecyk. Przy pisaniu tego kazania posiłkował się twórczością wielkich kontynentalnych duchownych i poetów, w tej kwestii pozwalał sobie być złodziejem dżentelmenem chrześcijaństwa, więc tej niedzieli na ambonie w Butangen do głosu doszli zarówno Marcin Luter, jak i John Donne. Schweigaard, opowiadając o przyszłości kościoła w nowym kraju, pozwolił sobie nawet rzucić śmiałą aluzję do chrześcijańskiej obietnicy zmartwychwstania, lecz jego przemówienie stało się pod koniec wyraźnie smutniejsze, głos przybrał ton tak żałobny, że niemal przeszedł w szept, a mimo to niósł słowa po nawie, niósł je do chwili, gdy pastor powiedział „amen”. I dopiero wtedy się załamał.

Ten smutek nie był wyćwiczony. Pojawił się, gdy Kai Schweigaard ujrzał Astrid Hekne siedzącą w ławie, na tym samym miejscu, na którym umarła Klara Mytting.

W tym właśnie momencie uświadomił to sobie, zrozumiał, że już za późno. Wieś miał opuścić nie tylko stary kościół. Tą samą drogą pójdzie miłość. Gdy zamknął Biblię i gdy dzwony zabiły na koniec nabożeństwa, ich ton zabrzmiał ciężko i żałobnie, on zaś wystraszył się, że Pan zechce zamknąć też drzwiczki do tej najwewnętrzniejszej izby jego duszy i w odróżnieniu od Biblii, zatrzaśnie je na dobre.

Opowieść druga

Upadek

Odświeżenie

Niedziela to dzień ducha. Poniedziałek to dzień pracy.

Krótko po wschodzie słońca wszyscy stawili się na miejscu, dwudziestu dwóch mężczyzn ze wsi, każdy z nich był szanowanym rzemieślnikiem, mieli w sumie ogromne doświadczenie i wiedzę w swoim fachu, niektórzy z nich byli młodzi i nieustraszeni, inni – starzy i przebiegli, a wszystkimi dowodził Borgedal starszy, najznakomitszy cieśla w całej wsi, który kazał się nazywać nie inaczej jak „mistrzem budowlanym”, bo był to tytuł, którym chlubili się mieszkańcy Lillehammer i inni miastowi.

Mieli rozebrać kościół wybudowany wiele pokoleń wcześniej przez ludzi reprezentujących ten sam fach, najpewniej również swoich przodków.

Stali godzinę z dłońmi na biodrach, dyskutując i wszystko oglądając, a potem wspięli się na kościelne schody, zostawili czapki oraz podręczne noże w kruchcie, po czym strawili kolejną godzinę na dyskusjach i oglądaniu. Nikt nie wskazywał na nic palcem, dużo było za to kiwania głowami. Wyszli znów na dwór i podzielili się na trzyosobowe drużyny, następnie zaś ruszyli do pracy, bez ani jednego znaku na desce czy zapisanego gdzieś planu działań.

Gerhard Schönauer próbował skłonić Borgedala starszego, by powiedział swoim ludziom, że nie jest to bynajmniej zwyczajna rozbiórka, kościół ma być odbudowany, dlatego trzeba postępować ostrożnie, wykazać się delikatnością i nie połamać desek w miejscach, w których przycięto je, by tworzyły złącza. Borgedal tylko kiwał głową i nic nie mówił załodze. Za jego życia we wsi nie zmarnowano ani jednego porządnego kawałka drewna.

Przykościelny cmentarz, jak poprzedniego dnia, wypełnił się gapiami, zachowującymi zastanawiające milczenie. Nie udało się ostatecznie ustalić, kto zaczął bić w dzwony. Kluczami do świątyni dysponowało wielu ludzi: swoje egzemplarze mieli i kościelny, i Gerhard Schönauer, a pewnie z czasem powstawały liczne kopie zapasowe, poza tym otwarciem wytrychem zamka wykutego na tym samym kowadle co lemiesz pługu nie było chyba aż takie trudne. Mimo to nie dało się w żaden logiczny sposób wytłumaczyć faktu, że dzwony ucichły w tej samej chwili, kiedy pastor wsunął swój klucz do zamka i wszyscy wiedzieli, że to „wściekle bicie” pozostanie w ludzkiej pamięci na całe lata.

Nikt się nigdzie nie spieszył. Początek lata był upalny, słońce od dłuższego czasu spoglądało na nich łaskawie, posadzono ziemniaki i posiano zboże, pierwsze w tym roku połowy siewu okazały się całkiem obfite. Ludzie mogli spokojnie patrzeć, jak dzieje się coś większego, trudna rozbiórka starego kościoła i budowa nowego, ale po wszystkich minionych latach nieurodzaju to, co większe, stało się im obce i nie widzieli w tym radości z pracy odczuwanej przez wcześniejsze pokolenia. A ci, którzy byli w stanie tę różnicę pojąć, mieli trudności z jej wyartykułowaniem: kiedyś tak potrafiliśmy budować i jesteśmy tymi samymi ludźmi, a mimo to teraz tak nie budujemy. Zdawało się, że pracujący przy kościele cieśle byli tego samego zdania. Mieli postawić nową świątynię, ale pragnęli belek i zamków zamiast ram szkieletowych z słupów i klepek.

Wyłożono narzędzia, zdjęto drzwi z zawiasów, wszyscy byli gotowi ruszać do pracy, gdy Kai Schweigaard podszedł pospiesznie do starego Borgedala i wziął go na stronę. Cieślom nakazano poczekać, a pastor ruszył na plebanię, pozostawiając zadziwionych widzów ich domysłem.

Zapomniał odświeżyć kościół!

Zaczął przeglądać w swoim gabinecie książkę za książką, nie wierząc właściwie, że uda mu się znaleźć cokolwiek na temat ekssekracji. Na studiach teologicznych nie wprowadzono ich w tajniki tego rytuału, nie dało się wszak nauczyć ich wszystkiego, dlatego też przeskoczyli na przykład egzorcyzmy, mimo że trzech jego współstudentów było tematem szczerze zainteresowanych. Schweigaard zostawił otwarte książki na biurku i zdjął z półki kolejne. John Donne nie bardzo mu teraz pomoże. Właściwie powinien był zapytać o to Folkestada z Hamaru i uzgodnić z nim całą procedurę, ale zajęłoby mu to trzy czy cztery dni.

Pastor położył na biurku arkusz papieru i odkręcił kałamarz.

Potrzebny był jakiś symbol. Coś... widocznego.

Wgapił się w blat biurka. Pióro czekało.

A jeśli popełnię jakiś kardynalny błąd? Potrząsnął głową. Będzie mu przebaczone.

Kwadrans później był już z powrotem pod kościołem, z palcami poplamionymi atramentem i złożonym arkuszem papieru w kieszeni. Znalazł dużą woskową świecę i mając cieśli za publiczność, klęknął przed ołtarzem. Zapalił świecę, wstał i poszedł w miejsce, gdzie pod dachem wisiał miniaturowy żaglowiec, symbol podróży, którą odbywa dusza, oraz – wszyscy to rozumieli – również nadchodzącej podróży kościoła. Schweigaard skłonił się w strony czterech rogów nawy i rzekł:

– Dziękujemy temu staremu i dumnemu niegdyś budynkowi świątyni za to, że przez stulecia służył chrześcijańskiej wierze. Dziękujemy Bogu, że ocalił go od wojny i od pożaru, dziękujemy, że było w nim miejsce na nasze pobożne modlitwy i pokorne nadzieje, nasze chrzty i naszą liturgię. Dziękujemy temu gmachowi za wszystko. A teraz zwalniam go z jego obowiązków.

Nabrał powietrza do płuc i przysunął trzymaną w obu dłoniach woskową świecę bliżej do swojej piersi. Miał ją już zdmuchnąć, ale zatrzymał się i dodał:

– Dziękujemy też kościelnym dzwonom za to, że zwoływały nas tu na nabożeństwa, że były na radość i na żałobę. Je również zwalniam z ich obowiązków. – Zdmuchnął świecę, szybko i zdecydowanie, aż kropelka wosku przysnęła na paznokieć jego wskazującego palca i zaraz tam stężała.

W ten oto sposób chrześcijańska wiara po siedmiu wiekach wyprowadziła się z kościoła.

Całe wyposażenie wyniesiono z zachowaniem należytej ostrożności, w milczeniu, jak przy wyprowadzaniu z kościoła trumny, zupełnie jakby mężczyźni chcieli mu oszczędzić widoku brutalnej rozbiórki, która miała nastąpić. Ewakuowano zdobione malowanymi wzorami sakralia, zawsze trzymały je co najmniej dwie pary dłoni, a niosący niezmiennie zdejmowali czapki. W ten sposób opuściła kościół chrzcielnica ze steatytu, rzeźba wyobrażająca Świętego Wawrzyńca, epitafium na cześć niemieckiego kapitana, które wisiało na ścianie, choć nikt już nie pamiętał dlaczego, a wszystko to przeniesione zostało na plebanię i ustawione w salonie pod czujnym okiem Margit Bressum. Z każdym kwadransiem na świeże powietrze trafiały kolejne przedmioty, przedmioty, na które mieszkańcy wsi gapili się dotychczas w półmroku, wszystkie te zagadkowe artefakty, którymi przez stulecia zmieniającej się wiary uznawano za stosowne zapełniać kościół i których usuwanie zawsze z perspektywy czasu wydawało się niewłaściwe. Ludzie wyrażali zdumienie ich widokiem, elementy wystroju świątyni były niczym uwolnieni z twierdzy bladzi więźniowie, którym po wielu latach niewoli pozwolono w końcu wyjść na światło dnia: brązowe królewskie lwy o złotych grzywach, chroniące podwójny złoty monogram Fryderyka IV, wiszący nad nawą okręt o żaglach z kruchego papieru, wielki krucyfiks, który zdjęto z łuku tęczowego i wyniesiono tak, jak krzyże nosili kiedyś skazańcy, aż w końcu sami cieśle się zreflektowali, widząc w swojej pracy nawiązanie do Golgoty i ułożyli krucyfiks płasko na wozie, posłanym zaraz na plebanię. Wszystko trafiało do salonu, zdobione kunsztownymi malunkami przedmioty i wycięte w drewnie ornamenty, całe wyposażenie, którego Schweigaard nie uwzględnił w kontrakcie z Dreznem.

– Reszta pojedzie do Niemiec – oświadczył pastor. – Łącznie z ławami.

Mówiąc „reszta”, miał na myśli ambonę i nastawę ołtarzową, kolumny z Odynem i Thorem oraz różnymi rzeźbieniami i elementami staronordyckiej ornamentyki. Wszystko to miało trafić do wielkiej stodoły nad Løsnesvatnet, wynajętej do tego celu już dawno temu, dach był świeżo załatany i to tam materiały miały czekać aż do zimy. Pod ścianami stały rzędy wiader z wodą, gotowe, by w razie najgorszego stworzyć ludzki łańcuch gaśniczy.

– Jest jeden wyjątek – powiedział Kai Schweigaard. – Jeśli znajdziecie zwiniętą w rulon tkaninę, coś, co przypominałoby gobelin, najprawdopodobniej ukryty pod deskami podłogi albo na strychu, zresztą nieważne gdzie: nie dotykajcie go. Przerwijcie pracę i natychmiast mnie zawołajcie.

Cieśle pokiwali głowami i wrócili do roboty. Otrzymali dwieście metrów bieżących płótna żaglowego, które zostało pocięte tak, by w nie owinać co delikatniejsze i bardziej kruche przedmioty. Do podniesienia ambony potrzebnych było sześciu mężczyzn, a potem przyszła kolej na nastawę ołtarzową, tak drogocenną, że cieśle zbili do jej ochrony specjalną ramę obciążoną owczą skórą. Pod ołtarzem znaleziono misę ofiarną, trybularz i grawerowany srebrny kielich, zapowiedź niewyobrażalnych skarbów ukrytych być może pod podłogą – jak zakładano, razem ze szkieletami chowanych tam ludzi. Kai Schweigaard przyjął wszystkie odnalezione przedmioty z nieco zaskoczonym

skinieniem głowy.

Kościelne ławy ustawiono jedną na drugiej i załadowano na wóz, a Gerhard Schönauer dwoił się i troił, próbując zanotować, gdzie i jak co stało, w protokole mającym umożliwić potem odtworzenie pierwotnej organizacji przestrzeni.

Po długim dniu pracy kościół wydawał się zaskakująco nagi i pusty. Każdy krok odbijał się od ścian obcym, głośnym echem. Tkaniny z Hekne nie odnaleziono.

Schweigaard kiwnął głową i powiedział:

– Dobrze. Dzwony zabierzecie jutro rano. Opuśćcie je ostrożnie i postawcie w stodole, razem ze wszystkim, co już tam zaniesiono.

Tymczasem na dworze zapanował niepokój. Do chwili, gdy kościelne ławy pojechały do stodoły nad jeziorem, ludzie nie mieli pełnej świadomości, co się właściwie dzieje na ich oczach. Praca cieśli przypominała zwykłe przemeblowanie, a tylko nieliczni wiedzieli, jaki prosty, skromny gmach ma zastąpić ich kościół. Ludzie nie mieli też powodów, by o to pytać, wiedzieli bowiem, że ich zastrzeżenia będą nie na miejscu oraz że nikt ich i tak nie wysłucha. Nikomu nie mieściło się w głowie, że ławy zostaną wywiezione. Miały przecież nazwy miejscowych gospodarstw wymalowane na drzwiczkach, a teraz zwieziono je do stodoły, skąd miały później zniknąć na dobre. Opuszczały świątynię jedna po drugiej, siedziska z nazwami starych i dumnych majątków, Flyen, Kinn, Hjelle, Hilstad, Romsås, a szepty zebranych przed kościołem parafian przeszły w pełen niezadowolenia pomruk. Wszyscy sądzili dotychczas, że stare ławy staną w nowym kościele, tymczasem cieśle podzielili się na dwie grupy – jedna zносиła wyposażenie na plebanię, druga – do stodoły nad jeziorem, zdając się w ten sposób zaznaczać symbolicznie granicę pomiędzy życiem a śmiercią.

Dlatego też na Gerharda Schöнауera padało coraz więcej nieprzyjaznych spojrzeń. Rozbiórka świątyni miała zacząć się następnego dnia, a we wsi już panowała atmosfera jak przed egzekucją. Przybyły z daleka Niemiec przybierał na zmianę w ludzkich oczach rolę to kata, to zaś skazańca.

Również i Astrid nie była w stanie uwolnić się od tych myśli. Stała przed kościołem razem z Emortem i Oline, za plecami stłoczonych sąsiadów, i czuła ukłucia wątpliwości za każdym razem, gdy jej spojrzenie padało na Kaia Schweigaarda i Gerharda Schöнауera. Mężczyźni chodzili wokół gmachu świątyni, wskazywali różne rzeczy palcem i kiwali głowami, zdając się nie widzieć i nie słyszeć niezadowolonego tłumu za ogrodzeniem.

Ona też wcześniej się z nimi przechadzała, szeptała do nich i była z nimi blisko.

Ci dwaj mężczyźni oddychali, czuli i żyli.

Lecz także burzyli, niszczyli i demontowali. Ci dwaj mężczyźni chcieli rozebrać kościół i sprzedać dzwony. Przechadzali się w swoich butach o wysokich cholewach wokół świątyni wszystkich rodów w Butangen, zupełnie jakby to był byk renifera, którego można było poprowadzić do wilczego dołu i zabić. Obmyślali plany, wprowadzali je w życie i mieli w sobie chłód do tego niezbędną. Nie była w stanie wytrzymać tego zimna, bolało od niego jej rozdarte serce, a każde spojrzenie na tych dwóch mężczyzn było niczym kolejne, coraz dotkliwsze ukłucie w piersi.

Moje imię pod żaglowym płótnem

– Będzie leżeć na schodach na wieżę – powiedział jej wcześniej Gerhard. – Rulon żaglowego płótna i zwój liny. Drzwi do zakrystii zostawię otwarte.

Cieśle się spakowali, Emort powiedział, że nie ma tu już dziś na co patrzeć. Oline musiała iść do lasu, by się wysikać. Astrid rozstała się z nimi, mówiąc, że ma jeszcze ochotę na ostatni spacer wokół kościoła. Rodzeństwo odeszło, a ona spoglądała za nim przez chwilę, zastanawiając się, czy Emort zauważył, co się z nią dzieje.

Wokół świątyni krążyli chcący ją pożegnać ludzie, zarówno mniejsze czy większe grupki, jak i pojedyncze samotne dusze. Astrid знаła imiona ich wszystkich i w pewnym stopniu wyobrażała sobie, co teraz myślą. Zwolniła kroku, by idący przed nią sąsiedzi nieco się oddalili, a gdy została sama przy krótszej ścianie świątyni, wślizgnęła się do środka przez drzwi zakrystii.

Stała kilka minut w nagim, pustym kościele, wdychając rozchodzący się wciąż po nawie rozdźwięk spokoju, wolnego dnia, święta i wszystkiego, co przeminęło. Myślała o niezliczonych ludziach, którzy tu siedzieli, o Eiriku Hekne i wszystkich z jej rodu jeszcze przed nim, ludziach, których imiona dawno już zapomniano. Siostry Hekne także musiały schylać się pod framugą drzwi, żeby tu wchodzić. Wszyscy w Butangen pozostawili tu po sobie ślady, ślady, które – zdawało jej się – zebrał jakiś cierpliwy nieznajomy, ktoś, kto nadał się tu w środku przechadzał, kto przerobił wszystkie szepty, całą tęsknotę i szczęście na mgiełkę kurzu tańczącego w promieniach światła sączących się do nawy przez okienka wysoko na ścianach.

Zacząła się zastanawiać, czy to w ogóle możliwe. Przenieść kościół do Drezna. Przenieść dziewczynę z Butangen do Drezna.

Ale dałam już słowo i tak się musi stać, pomyślała.

Wsunęła rulon żaglowego płótna pod pachę i kolejny raz odnalazła drogę prowadzącą w górę po skrzypiących stopniach, przez ciemne zakamarki pachnące starością, chwytając się drewnianych szczebli w miejscach, w których dawna woń spoconych ciał zdawała się mieszać z jej własną, aż wreszcie znalazła się znów na kościelnej wieży, uchyliła okiennice i wpuściła do środka wieczorne światło.

Siostrzane Dzwony czekały tu na nią.

Dwie ciemne czasze, dwie liny przymocowane do osi u szczytu dzwonów, sznury, które zniknęły w otworze pod jej stopami, spadając w nieskończoność ku kościelnej nawie. Stop srebra i brązu, gotowy, by zareagować na każde najmniejsze drganie.

Astrid wciągnęła powietrze przez nos.

– Nie dzwońcie – wyszeptwała. – Bądźcie dla mnie dobre, nie dzwońcie, nie zaczynajcie teraz bić.

Obejrzała się przez ramię. Pogładziła linę i zdało jej się, że widzi brunatne włoski między jasnoszarymi włóknami. Tamta druga, tajemnicza postać była bardzo blisko. Niczym nieznacznym oddechem, ktoś, kto zaszedł zbyt daleko w śmierć, by poruszyć oczami czy dać inny znak życia, lecz kto wszystko obserwował, oceniając to, co ma się zaraz wydarzyć.

Astrid ukucnęła, by odpiąć serce pierwszego z dzwonów. Miała wrażenie, że opróżnia strzelbę z prochu. Podniosła ręce we wnętrzu czaszy, ale zaraz je opuściła. Jeszcze raz zadała sobie pytanie, czy ma prawo odebrać dzwonom głos.

A potem to zrobiła. Uniosła ramiona i poczuła, jak zimne żelazo wypełnia jej dłonie. Wkrótce już serce znalazło się w jej rękach, ciężkie i zimne niczym obciążnik bezmianu. Zawieszona było we wnętrzu czaszy na żelaznej belce zakończonej zakrzywionym hakiem, a ona uniosła je nieco, obróciła i odpięła, lecz hak uderzył o czaszę i otoczył ją nagle niski, wibrujący pomruk, który szybko zmienił ton i ucichł, a ona pomyślała, że gdyby dźwięk ten był widoczny, przypominałby kapiącą do wody krew.

Ostrożnie opuściła serce dzwonu. Żelazo drżało w jej rękach, czuła się, jakby trzymała w dłoniach młot kowalski odwrócony obuchem ku ziemi, ale udało jej się wyciągnąć ciężki element, nie zważając o czaszę. Ostrożnie ułożyła serce na ziemi i wypuściła powietrze z płuc.

Za oknami zawiął wiatr, Astrid poczuła, że podłoga kołysze się pod jej nogami. Każde najmniejsze drgnięcie kościelnego gmachu było tu, na górze, odczuwalne po wielokroć, podmuchy

odnajdowały szczeliny w ścianach, przeciskały się między nimi, imitując ludzki szept.

Astrid wytarła spocone dłonie, odpięła drugie serce i ułożyła je tak, by nie było wątpliwości, do którego dzwonu należy. Następnie rozwinęła żeglarskie płótno, przywiązała jego rąbek do pierwszej korony i owinęła nim Halfrid. Musiała rozwijać tkaninę, przytrzymując jednocześnie dolną krawędź dzwonu, całą operacją wykonać należało bez zbędnych, gwałtownych ruchów, bo łatwo było wprawić całą konstrukcję w drżenie, lecz gdy tylko udało jej się okryć połowę płaszcza, płótno zsunęło się, odsłaniając słowo „Astrid”. Kiedy wreszcie zdołała owinąć cały dzwon, zasłaniając w ten sposób swoje własne imię, uświadomiła sobie, że na całym świecie nie ma najpewniej nikogo, kto kiedykolwiek zrobiłby coś podobnego i że nie życzyłaby nigdy nikomu, by musiał takie zadanie wykonać.

Na udar i na chorobę

Kiedy trzeba zdejmować z wysokości ciężkie przedmioty, często pojawia się pytanie, jakim cudem ktokolwiek w ogóle zdołał je tak wysoko umieścić. Minęły stulecia, odkąd Siostrzane Dzwony trafiły na swoje miejsce, wciągnięte najprawdopodobniej przez cztery zamontowane na zawiasach klapy podłogowe, które, gdy się je wszystkie otwarło, tworzyły głęboki szyb. W kolejnych latach zbudowano podest dla dzwonnika, tak zmyślnie, że nie stał on na żadnym rusztowaniu, a za to zwisał z jakiegoś umieszczonego daleko w górze punktu, najpewniej łączącego się z miejscem, w którym zawieszono same dzwony.

W ten właśnie punkt wpatrywał się teraz Gerhard Schönauer. Po raz pierwszy wspiął się na kościelną wieżę, a wzrok jego uciekał co chwila ku zasłoniętym dzwonom, owiniętym w płótno żaglowe warstwa po warstwie, ściśle opasanych liną powiazaną w mocno zaciśnięte węzły.

Jej mocne węzły.

Gerhard podniósł jedną z lin dzwonów i zaczął ją zwijać, ale gdy chwycił za nóż, by odciąć linę od jarzma, jedna z okiennic zatrzasnęła się z głośnym hukiem. Otworzył ją na powrót, schował nóż i jednak odwizał liny ostrożnie.

Na stromych stopniach pojawił się stary Borgedal. Powiedział „Ach tak”, dodając, że zawinięcie dzwonów w płótno było dobrym pomysłem. Wpatrywali się obaj w punkty zawieszenia. W biegnące na ukos drewniane belki, suche i popękane ze starości, z napęczniałymi złączami ukrytymi pod grubą warstwą ptasich odchodów i zatrząsniętymi na skutek kolosalnego obciążenia, tak że każda jedna deska była niczym trzonowiec osadzony głęboko w dziąśle. Po chwili zdającej się trwać wieczność Borgedal wskazał w końcu belkę daleko w górze, mówiąc, że przeciekający dach doprowadził do jej zbutwienia i trzeba ją odciążyć, zanim zaczną opuszczać dzwony, a żeby to zrobić, należałoby już na tym etapie rozebrać część kościelnej wieży.

Na zewnątrz przystawiono do dachu długie drabiny. Jako pierwszy wspiął się po nich najmłodszy z cieśli, który stanął na dachu i zaczął wdrapywać się wyżej, ku kościelnej wieży, a tłum gapiów, większy niż poprzedniego dnia, westchnął tak głośno, że westchnienie to dotarło najpewniej do uszu chłopaka daleko w górze. Nikt nie był w stanie dostrzec, jakim cudem młodzieniec znajduje oparcie dla stóp między gontami, wyglądającymi z daleka niczym rybie łuski, ale wszyscy się domyślali, że celem cieśli jest zdjęcie wiatrowskazu, umieszczonego tak wysoko, że zdawał się nikać z oczu na tle jasnego nieba.

Polujący na renifery myśliwy o bystrym spojrzeniu dojrzał, w jaki sposób wspina się chłopak, i zaczął to wyjaśniać wszystkim dookoła. Wysoko na kościelnej wieży z pokrycia wystawał rząd drewnianych palików. Nie były one zamocowane na stałe, a młody cieśla wyciągał je jeden po drugim zanim na nie nastąpił, pluł na ich końce, by usztywnić w ten sposób włókna drewna, następnie wbijał je z powrotem w otwory i szedł po nich do góry. Był już tak wysoko, że widział pewnie całą wieś, ale do nikogo nie zamachał, a nikt z zebranych nie miał odwagi nic powiedzieć. Chłopak miał za pasem młotek i obcęgi. Gdy był już w połowie wysokości kościelnej wieży, zerwał się wiatr, do uszu zebranych doszły od strony cmentarnych nagrobków ciche trzaski. Młody cieśla zakołysał się razem z wieżą.

Dotarł w końcu na szczyt, przywiązał się, by nie spaść, miał teraz obie ręce wolne i mógł rozpocząć demontaż dekoracji, smukłej i strzelistej niczym osiem średniowiecznych mieczy. Dwaj mężczyźni weszli na dach, by złapać wiatrowskaz, a gdy młodzieniec go do nich opuścił, zdziwili się jego ciężarem, lecz nie dali mu spaść. Wkrótce już leżał płasko na trawie. Ludzie przeciskali się do cmentarnego ogrodzenia i patrzyli po sobie, oniemiała.

Wiatrowskaz, który zawsze mieli za koguta, okazał się teraz nagle krukiem, ptakiem o mocnym dziobie i wojowniczym, mądrym spojrzeniu. Był to bez wątpienia kruk, tyle że dziobaty od rdzy i najwyraźniej bardzo wiekowy.

Gerhard Schönauer zrobił coś, czego robić był nie powinien. Podeszedł pospiesznie do wiatrowskazu i wyglądało to tak, jakby go konfiskował, nie dając młodemu cieśli, reszcie rzemieślników ani gapiom czasu, by się mu dobrze przyjrzeni. Stanął nad nim okrakiem i zaczął obmierzać go taśmą, po czym przywiązał jakąś etykietkę sznurkiem do kruczego dziobu.

Rozległo się skrzypnięcie drewna podważanego łomem, ludzie przenieśli spojrzenie ku mężczyznom balansującym na kalenicy. Cieśle pracowali podzieleni na kilka zespołów, a podziwianie ich roboty nigdy się nie dłużyło. Na ziemię spadały kolejne gonty, zbierane do drewnianych skrzyni przygotowywanych na bieżąco przez inną grupę rzemieślników. Stary Borgedal stał obok Kaia Schweigaarda, obserwującego pracę jego ludzi ze spokojem, natomiast Gerhard Schönauer biegał tymczasem wokół kościoła, zapisując litery i liczby, którymi oznaczał poszczególne elementy. W miarę jak usuwano pokrycie dachu, odsłaniało się coraz więcej belek nośnych, a młody architekt wymuszał na rzemieślnikach przerwy, by nadać ze szkicowaniem ukrytych detali konstrukcyjnych. Cieśle musieli przymocowywać kawałki kartonu do każdego zdemontowanego elementu, on tymczasem zapisywał na nich kod grubym ołówkiem i wprowadzał wszystko do protokołu pełnego skomplikowanych ciągów cyfr i liter. Późnym popołudniem pomiędzy otworami w szkielecie świątyni zamajaczyło ciemnoniebieskie niebo, kościół zaczął się nagle wydawać dużo niższy i wyszło na to, że wieża opiera się na nieoczekiwanie solidnej konstrukcji, potężnym słupie i biegnących na ukos belkach usztywniających coraz mniejszych rozmiarów, przywodzących na myśl szkielet żmii. Wewnątrz tego szkieletu dało się już dostrzec dwa owinięte żaglowym płótnem kościelne dzwony.

Następnego ranka okazało się, że narzędzia nie leżą na swoich miejscach. Zagubiony zwój liny znalazł się w końcu w zakrystii, a gdy cieśle go rozwinęli, zauważyli, że ktoś zawiązał na nim siedem węzłów beczkowych, zaś odległość między każdym z nich wynosi jeden ćwierćpalik. Była to używana lokalnie jednostka długości, która co prawda wyszła z użycia jeszcze przed czasami duńskiej dominacji, ale dało się ją łatwo rozpoznać w proporcjach konstrukcji kościoła. Uznano, że tego rodzaju zdarzenia nie są niczym niezwykłym w starych gmachach, zwłaszcza gdy nadchodziły wielkie zmiany, węzły więc rozwiązano i zabrano się do demontażu podestu dla dzwonnika. Gerhard Schönauer wprowadził zakaz używania we wnętrzu świątyni narzędzi do cięcia czy rąbania, nie można więc było przynieść ze sobą piły ani topora. Cieśle starali się obluźować punkt mocowania, próbując tu i ówdzie podważyć konstrukcję łomem, ale każda taka próba kończyła się złowieszczym trzaskiem drewnianych elementów.

Ten nieprzyjemny trzask to jedno. Dużo bardziej złowrogi wydawał się natomiast drgający rozdźwięk kościelnych dzwonów. Zostały owinięte płótnem, lecz mimo to brąz i srebro z Hekne wychwytywały drżenia wywołane pracą rzemieślników i za każdym razem, gdy ktoś zapał się na łomie, skrzypieniu drewna towarzyszył ponury pomruk.

Podest udało im się rozebrać dopiero po wielu godzinach. Zamontowano następnie nową belkę, z której mieli skorzystać, opuszczając dzwony z wieży.

Wkrótce wydarzył się też pierwszy wypadek. Zapowiedział go krzyk cieśli – po nim rozległ się jęk zrosniętych ze sobą przez stulecia drewnianych elementów, które postanowiły nagle się rozdzielić, i zaraz potem obluźowała się i spadła jedna z belek, wydając huk tak straszliwy, że cały kościół zadrżał w posadach. Spod dachu sfrunęła chmura drobnego pyłu, oślepiając na chwilę wszystkich pracujących, w mgłę kurzu dało się słyszeć kasłanie, potem na dłuższą chwilę zapadła cisza, aż w końcu pierwsi mężczyźni odważyli się wyjść przed kościół, wszyscy jak jeden poszarzali, zupełnie jakby przywdziali nowe, jednolite mundury, jakby nie byli już rzemieślnikami, którzy budują, lecz tymi, co robią coś wręcz przeciwnego. Wrócili do środka z jeszcze większą zaciętością, zupełnie jakby budowla była ich wrogiem, a obserwujący ich zachowanie Gerhard zrozumiał, że mężczyźni zapomnieli już, iż pracują w świątyni. Zaczynali też kłać, gdy coś szło nie po ich myśli.

Nad ich głowami nie przestawały mamrotać kościelne dzwony. Gdy tylko ktoś napierał na łom albo odrywał kolejną deskę, dźwięk odtwarzał się w ponurym tremolo niczym wyrok zapadający nad każdym ruchem przerywającym ciszę minionych wieków.

Gerhard Schönauer kazał przynieść długą drabinę, chciał mieć dobry widok, gdy cieśle zaczęły opuszczać dzwony. Nowa zamontowana przez mężczyzn belka była wykonana ze świeżo ociosanej sosny i gruba jak sama kościelna kalenica, a mimo to ugięła się lekko, przyjmując ciężar pierwszego dzwonu, który rozpoczął ostrożną drogę w dół, kołysząc się nieznacznie jak wahadło. Był to pierwszy raz od stuleci, gdy dzwony zostały rozdzielone i każdy z nich wydał nagle pełen niepokoju, drgający pomruk.

Za pomrukiem tym podążyło zaraz przeciągłe skrzypnięcie, a chwilę potem rozległ się głośny

trzask – trwające sekundę ostrzeżenie, że belka nie wytrzyma.

Drewno pękło, lina zawisała nagle bezradnie, straciwszy cały podtrzymywany ciężar.

A dzwon spadł z wieży.

Żaglowe płótno zaczepiło się o coś i zerwało się niczym skóra z oprawianego zwierzęcia. Nagi metal błysnął w słonecznych promieniach, Gerhard Schönauer patrzył na szybujący w dół dzwon i na linę skręconą w górze niczym wijący się wąż. Dzwon trafił w drewnianą kłodę i złamał ją na dwoje, nie tracąc prędkości ani nie zmieniając kierunku, zmierzał dalej ku ziemi, a pęd powietrza pociągnął za sobą drewniane odłamki i luźne deski, potem zaś – wszyscy to widzieli – dzwon zmienił w powietrzu kierunek i skręcił w stronę Gerharda Schönauera. Młody architekt spadł z drabiny i poleciał w dół, jakby ścigany przez ten wielki ciężar, zdawał się uciekać przed nim w swobodnym locie aż do momentu, w którym dzwon uderzył w solidną krzyżownicę i się na niej zatrzymał, zaś Gerhard Schönauer z miękkim plaśnięciem wylądował na kościelnej podłodze.

W szybującej z wieży chmurze pyłu i odłamków drewna była również długa, cienka żerdź, która spadła pionowo, trafiając w brzuch młodego chłopaka, tego samego, który zdemontował wiatrowskaz. Po chwili podłoga zalała się krwią, a dzwon, który pozostał na wieży, dźwięczał nad nimi ponurym, smutnym tonem niczym ostrzeżeniem, tonem uboższym, bo nagle po latach samotnym.

Ostatnie wyjście

Cieśle pochowali swojego kamrata w zacisznym miejscu na cmentarzu. Wybrali je sami, sami też wykopali grób i odprawili ceremonię zgodnie ze starym zwyczajem. Nie było już przecież konsekrowanego kościoła, w którym mogłoby się odbyć nabożeństwo żałobne. Kai Schweigaard pobłogosławił trumnę, ale był tak wzburzony tą nagłą śmiercią, że zachowywał się jak nie on. Cieśle skorzystali z materiałów, których pierwotnie zamierzali użyć do zbiccia skrzyń transportowych, przygotowali długą, sześciokątną w przekroju trumnę, drewno oheblowali i udekorowali, jak tylko umieli najlepiej, ich pracy przyglądali się gapie, a oni wycinali piękne zdobienia na wieku. Gdy na trumnę rzucono pierwszą garść ziemi i czarne grudki wpadły w rzeźbione zagłębienia, poskręcany wzór ujawnił się jeszcze wyraźniej, niczym niezbity dowód na to, że chowanym w grobie człowiekiem jest cieśla.

Gerharda Schönauera znaleziono bez przytomności, oblepionego pyłem i krwią. Mężczyźni ułożyli go na wozie i zawieźli na plebanię. Leżał bez zmysłów tak długo, że zaczęto się bać, iż w końcu umrze z pragnienia. Kiedy się wreszcie obudził, gospodyni Bressum dała mu gorzałki na bóle, a następnego dnia sprowadzono do niego doktora, by sprawdził, czy Niemiec wyzdrowieje i czy nie złamał jakiejś kości.

Gerhard znosił cierpienia, przyjmował kolejne łyki wody, cienkiej zupy i gorzałki, aż kilka dni później zdołał już sam stanąć na nogi. Uda, klatkę piersiową i ramiona miał całe sine, poobijane i opuchnięte, lecz mimo to chwycił się krzesła i dźwignął do pozycji stojącej. Pod żebrami i w nadgarstkach odezwał się zupełnie nowy ból.

– Jaki dziś dzień? – spytał gospodynię.

– Sobota.

– Czy ktoś u mnie był, gdy spałem?

– A kto miałby to niby być?

Wymamrotał coś w odpowiedzi i pokuśtykał na dwór. Spojrzał w dół zbocza, na kościół. Świątynia stała już bez drzwi i dachu. Nie było wokół niej widać żadnych pracujących ludzi. Siła wyższa zwolniła ich z roboty, wyjaśniła gospodyni Bressum. Historia o wypadku rozeszła się tak szybko, jak tylko potrafią biegać chłopięce nogi.

– Wypadku? – zapytał Gerhard.

– Zginął jeden z cieśli. Najmłodszy w drużynie.

Dała mu laskę, on zaś zszedł z mozołem ku kościołowi. Zauważył na cmentarzu ślady kół pomiędzy grobami, zaś wewnątrz świątyni przypominało coś pomiędzy placem budowy a miejscem wypadku. W punkcie zupełnie niewiarygodnym, w rogu kościoła tuż nad chórem, tkwił wciąż zaklinowany dzwon.

Już cię widziałem nago, pomyślał Gerhard, wspinając się z mozołem na drabinę. Matowy brąz był poprzecinany licznymi rysami, lśniącymi na tle brunatno-zielonkawej patyny. Zauważył na nim inskrypcję.

„Na wieczną pamiątkę Halfrid i jej Matce Astrid”.

Zaczął drzeć na całym ciele. Zamknął oczy i się odwrócił. Płótno żaglowe leżało rozdarte u stóp drabiny, Gerhard rozłożył je i wspiał się z nim do dzwonu, nie patrząc wprost na niego, zawstydzony i przepełniony strachem, zupełnie jakby musiał pielęgnować własną chorą matkę. Ból wzbierał w jego piersi, karku i kolanach, lecz ostatkiem sił udało mu się owinąć dzwon w płótno.

– Zostaniesz tutaj – powiedział. – Obiecuję ci to. Ty i twoja siostra. Nie rób mi krzywdy.

W czasie gdy Gerhard Schönauer leżał na plebanii bez zmysłów, Kai Schweigaard próbował zorganizować nowych ludzi do pracy. Lecz żaden mężczyzna z Butangen ani okolicznych wsi nie miał zamiaru wchodzić do kościoła, choćby nie wiadomo jak wysokie wynagrodzenie mu proponowano.

Kolejną okolicznością, której nie przewidział pastor, było to, że historie o kościele i drzemiących w nim nadprzyrodzonych mocach zaczną krążyć po wsi, powtarzane wieczorem przed zaśnięciem niczym legendy sprzed wieków. Zupełnie jakby gdzieś na skraju lasu czaiły się jeszcze jakieś resztki

dawnej wiary. Gmach kościoła był bowiem przed wiekami nie tylko świątynią, lecz także widzialnym schronieniem, twierdzą trzymającą moce ciemności na wodzy.

Wszyscy mieszkańcy wsi dzielili te same doświadczenia. Gdy wychodzili na odległe od domów pastwiska lub zapuszczali się w góry, uświadamiali sobie, że żyją tam inne dwunożne istoty niż ludzie. W górskich chatach mieszkali stwory, które potrafiły opróżniać cebrzyki z mlekiem i wyprowadzać mądre zazwyczaj krowy na bagna. W Pulli i w Åsdalen gospodarze musieli przynosić świeżo pobudowane obory, bo krowy ryczały jak opętane, buntowały się i nie chciały wejść do środka. Stwierdzono, że obory pobudowano nad wejściami do królestwa podziemi, i w obu miejscach budynki rozebrano, po czym postawiono na nowo sto metrów dalej – i krowy zaraz się uspokoiły.

Lecz u nich we wsi nie zdarzały się nigdy takie trudności. Wyjaśnienie zdawało się proste: to kościół odstraszał mroczne siły. Nabożeństwa i kazania były zaledwie jak wystawione w oknie świeczki, ochronę zapewniał im sam budynek. Kai Schweigaard uświadomił sobie, że tego rodzaju przesady właściwe są wszystkim niemal mieszkańcom Gudbrandsdalen. Ludzie ci nie byli przesadnie pobożni, lecz stare kościoły zawsze bardzo szanowali.

W żadnym innym miejscu nie było to tak widoczne jak w Butangen. Teraz, gdy kościelna wieża została rozebrana, wracały stare gusła mające na celu zapewnić ochronę przed złem. Ludzie zaczęli wystawiać w domach miseczki z kaszą zapewniające przychylność skrzatów, po wsi krążyły plotki, że Baba Kari, kobieta w długiej spódnicy wielka jak dom i z twarzą owiniętą w szmaty, pojawia się znów w okolicy nocami, uprowadzając wychodzące samotnie z domu dzieci. Powtarzano pradawne historie, między innymi tę, która tłumaczyła pochodzenie białych kamieni na polach wokół kościoła. Opowieść, od dawna uważana za bajkę, traktowała o olbrzymach, które z wściekłością ciskały głązy w stronę nowo wybudowanej świątyni, aż do chwili, gdy postanowiły się poddać i odeszły w stronę gór, gdzie zresztą podobno nadal mieszkają. Do historii tej dołączyła teraz jednak inna, utrzymująca, że ton Siostrzanych Dzwonów, gdy tylko wciągnięto je na wieżę, dotarł aż do uszu uśpionych w górach olbrzymów, które cisnęły w stronę kościoła trzy gigantyczne głązy stojące teraz na samym środku pola Høystad, po czym przeniosły się ku wzgórzom Grøtørhøgda i Gråhøgda, na tyle daleko, by nie słuchać już podzwaniania chrześcijańskiego brązu.

Przez całe pokolenia historie tego rodzaju traktowano jak bajki dla dzieci. Lecz teraz najbardziej nawet rozsądni i rozważni mieszkańcy wsi zaczęli przeczuwać jakieś nadchodzące zagrożenie. Pomiędzy resztkami kościelnych ścian walczyły w nocy borsuki i leśne koty, lecz z grot i rzecznych dolin zdawały się wynurzać inne, fantastyczne stworzenia. Starsi mężczyźni wrócili do zarzuconego dawno zwyczaju wykładania kawałków słoniny na wystających z rzecznych wód kamieniach, były to dary dla rybnika, szarawego, nagiego duszka, który skakał na czterech łapach i zaganiał ryby na tarliska. Lepiej się było zabezpieczyć, nikt nie chciał ryzykować niewiarą.

Kai Schweigaard codziennie odnotowywał jakąś zmianę. Widział ludzi kręcących się wieczorami po okolicy, wieśniacy wychodzili do lasu w grupkach, a potem wracali pojedynczo, kiwając w milczeniu głowami. Zaczęto również kwestionować zwykłe chrześcijańskie tradycje. Skoro nie było już świątyni, w której można by było odprawiać pogrzebowe rytuały, wszystkie nakazy i zakazy w tej materii zwyczajnie ignorowano.

Gdyby tylko ludzie mieli światło, myślał pastor. Gdyby tylko w każdym jednym domu była solidna lampa, której blask pozwoliłby dostrzegać twarze bliskich i karty podnoszących na duchu książek, wtedy rozprawilibym się z tym szaleństwem w kilka zaledwie lat. Tymczasem gdy tylko zachodziło słońce, mrok wkradał się i do wsi, i do ludzkich umysłów, zaś tajemne moce przejmowały władzę nad światem aż do kolejnego świtu.

Skończyło się to tak, że Kai Schweigaard pojechał do Vålebrua, by naradzić się z naczelnikiem okręgu, a gdy go nie było, ktoś z Hågå uznał za stosowne pochować starą kobietę, nie poinformowawszy o tym ani pastora, ani kościelnego. Sprowadzono nauczyciela Giverhauga, który śpiewał głośniejsze i piękniejsze niż kiedykolwiek wcześniej, i jeszcze po jego śmierci wiele lat później powtarzano słowa, które wypowiedział tamtego lata: że pastor, który burzy swój własny kościół, nie powinien za bardzo liczyć na lojalność parafian.

Kai Schweigaard musiał przyznać mu rację. Rozkazał wynieść ze świątyni swoją własną ambone

i pojął, że gdy już budowa nowego kościoła zostanie ukończona, jego zadaniem będzie nadrobienie nie roku, lecz dobrej dekady odwrotu od wiary. Przekonanie do siebie na powrót ludzi będzie zadaniem trudniejszym niż wyciągnięcie krowy z trzęsawiska. Na razie został mu zniszczony kościelny gmach, zniechęceni parafianie, a także niedotrzymana umowa, gdyż, zgodnie z kontraktem, to on odpowiadał za rozbiórkę świątyni. Na dworze świeciło słońce, tak jak każdego dnia przez kilka ostatnich tygodni, tak wiele słonecznych dni oznaczać mogło tylko, że wkrótce nadejdzie mrok, a na kościół bez dachu spadną jesienne deszcze.

Zostało mu już tylko jedno, ostatnie już wyjście.

Poprosić o pomoc bergeńczyków.

Trumna siostr Hekne

Następnego dnia pastor pojechał do Lillehammer i nadał pierwszy z wielu telegramów do Bjørgvin. Właściwie powinien zgłosić się do prepozyta, ale zamieszkał w hotelu Victoria i pożerał kaloryczne posiłki jeden za drugim, krążąc nieustannie między swoim tymczasowym mieszkaniem a telegrafem. Obiady – kotlet wieprzowy w sosie śmietanowym, gulasz mięsny i tłusta grochówka – umocniły go w przekonaniu, że jego plan jest słuszny i realny. Wiedział, że w Bjørgvin rozebrano rok wcześniej kościół słupowy, w naiwnym przekonaniu, że uda się go odbudować gdzie indziej. Schweigaard skontaktował się z tamtejszym prepozytem i spytał, czy dałoby się sprowadzić do Butangen tę samą drużynę rzemieślników. Obiecał przy tym, iż zapewni mężczyznom wikt i opierunek, pod warunkiem jednak, że przybędą szybko.

W ciągu kolejnych tygodni Butangen wypełniło się hałaśliwymi bergeńczykami, robiącymi wokół siebie takie zamieszanie, jakby ich było sześćdziesięciu, choć tak naprawdę drużyna liczyła zaledwie dwunastu cieśli. Gerhard Schönauer wrócił do pracy, kuśtykał wokoło, robił szkice i zapisywał każdy zdemontowany przez mężczyzn element. Brygadzystą był energiczny człowiek o nazwisku Michelsen. Znał on nawet język niemiecki i w ciągu zaledwie godziny wdrożył się w system numerowania, po czym wyznaczył do oznaczania materiałów młodego, bystrego chłopaka z Fany.

Przy opuszczaniu kościelnych dzwonów posłużyli się tą samą metodą co poprzednia drużyna, tyle że ich belka z jakiegoś powodu utrzymała ciężar i Halfrid powędrowała w dół na linie, kołysząc się delikatnie, jakby wystarczyło grzecznie ją o to poprosić. Zbito dla niej skrzynię transportową zgodnie z wytycznymi Gerharda Schönauera, z uchwytami, tak by czterech silnych mężczyzn mogło ją dźwignąć, wynieść i postawić koło kościelnego fundamentu. W jej ślady poszła Gunhild, komentując opuszczanie na ziemię głuchym pomrukiem, który ucichł, gdy dzwon stuknął o podłoże.

– Postawcie je w stodole, obok nowych dzwonów – powiedział Kai Schweigaard. Spojrzał w oczy Gerharda Schönauera, obaj mężczyźni dość długo mierzyli się wzrokiem, po czym skinęli nieznacznie głowami.

Gapiów było teraz zdecydowanie mniej. Ludzie przechodzili nieopodal mniej więcej raz dziennie. Przystawali, brali się pod boki, pochrząkiwali „hm”, po czym szli dalej.

Kai Schweigaard przyłapał się na tym, że robi to samo. Zawsze uważał, że mieszkańcy Butangen są upartymi dziwakami, lecz mimo to ogarniało go poczucie porażki, gdy widział, że hałaśliwi przybysze z zachodu są w stanie dokonać tego, czemu nie podoleli miejscowi cieśle. Musiał jednak przyznać, że przybysze nadają się do tego zadania idealnie. Nie tylko dysponowali najświeższą wiedzą o rozbiórce kościołów słupowych, lecz byli również, jak wszyscy bergeńczycy, uzbrojeni w niezachwianą pewność siebie i racjonalną arogancję, dzięki której nie bali się żadnej pracy. Ci potomkowie hanzeatów i portugalskich rozbitków nie wierzyli w huldry, nie zagłębiali się w skomplikowane interpretacje zmiany kierunków wiatru czy niewyjaśnione odgłosy dobiegające z gór. Studiowali konstrukcję budynku na zimno, uzgadniali teorię, na której konstrukcja ta się opiera, i podważali łomami te deski co trzeba. Rozgościli się na plebanii, gdzie okupowali łóżka oraz podłogę, a także irytowali Margit Bressum, chodząc po izbach w brudnych roboczych butach i na każdy posiłek domagając się ryby.

Kościół słupowy w Butangen zniknął z dnia na dzień. Upadły ściany, umożliwiając wgląd do wnętrza, zaś z licznych punktów widokowych we wsi dało się teraz spojrzeć na wskroś przez kościół na marszczone wiatrem wody Løsnesvatnet migoczące między ostatnimi elementami konstrukcji. Wkrótce już w resztkach budynku nie dało się rozpoznać kościoła. Deska za deską i belka za belką, wszystkie kawałki świątyni zostały ułożone na ziemi, ponumerowane zgodnie z protokołem i odwiezione do stodoły. Szkody okazały się minimalne i wkrótce też Kai Schweigaard uświadomił sobie, że to wszystko dobrze się skończy.

Astrid Hekne nie widywał wcale. We wsi nie została właściwie żadna młoda dziewczyna, wszystkie posłano na górskie pastwiska razem z krowami, dość wcześnie, biorąc pod uwagę tak opieszale nadejście w tym roku wiosny, ale ktoś stwierdził najwyraźniej, że rozsądnie będzie trzymać dziewczęta z dala od zadufanych w sobie bergeńczyków, których w każdej chwili mogły zaświerzbic

ręce.

Wyobrażał ją sobie na górskiej drodze, o wschodzie słońca, trzymającą w dłoni gałązkę jarzębiny. Pomyślał, że chociaż jej będzie oszczędzony widok rozbiórki kościoła i może dzięki temu nie dostrzeże też tak wyraźnie jego w tym roli. Wróci przed końcem lata. Wieś będzie odmieniona, ona również, bo zrozumie, że wszystko się stało zgodnie z jej życzeniem.

A on zaskoczy ją nowo wybudowaną dzwonnica.

Rozbiórkę kontynuowano. Wkrótce zostały już tylko słupy, te, wokół których zbudowano cały kościół, dwanaście grubych i długich masztów umieszczonych w równych od siebie odstępach. Pięły się ku niebu i wyglądały zapewne tak samo jak w czasach, gdy pod rządami króla Magnusa rozpoczęto budowę świątyni. Słupy zostały ostrożnie od siebie oddzielone, wyjęte z gniazd i ułożone na ziemi.

Tak oto kościół z Butangen zniknął z tego świata. Została po nim tylko podłoga i nikt nie potrafił z całą pewnością określić, co się pod nią kryje.

– Nadszedł już czas, panie pastorze.

– Dobrze – powiedział Schweigaard i wstał od śniadania. – Czy wczoraj wieczorem wszystko załatwiono?

– Wszystko, o co pastor prosił.

Otworzyli drzwi wejściowe i stanęli w nich przez chwilę, wyglądając na wstający dzień.

– Dziesięć trumien?

– Zbiliśmy ich dwadzieścia, dla pewności. Zawsze się przydadzą.

Schweigaard kiwnął głową i ruszyli w stronę dawnego kościoła.

– Niemiec nie będzie przeszkadzał? Chcę to załatwić sprawnie, najlepiej bez świadków.

– Schönauer jeszcze śpi, a gospodyni Bressum wie, żeby go przez cały dzień trzymać od nas z daleka.

– Kościelny już czeka na miejscu?

– Stoi gotowy. Jest nas w sumie sześciu, przeczyściliśmy i napełniliśmy lampy olejowe.

– Dobrze – powiedział Kai Schweigaard. – To będzie naprawdę długi dzień.

Stanąwszy przed kościołem, którego już nie było, poprawił płaszcz, przełożył Biblię do drugiej ręki i krótko skinął Michelsenowi głową. Wyobrażał sobie, że wszystko, co znajduje się pod podłogą, otoczone kamiennym fundamentem, pokryte będzie gigantyczną kołdrą z kurzu, szarej mąki zapomnianych czynów, chwalebnych i niegodnych minionych stuleci, że będą tam szkielety i zmieniające się z kolejnymi wiekami wizerunki Boga. Najbardziej niepokoiła go zawartość wszystkich trumien, które zapewne tam umieszczono. Najlepiej będzie, stwierdził, jeśli zmarli zostaną szybko posortowani i pochowani w nowym miejscu bez zbędnego szumu. W koszmarnych snach widział, jak miejsce to nawiedza nocami nauczyciel Giverhaug, prowadząc grupkę mamroczących wieśniaków z lampami do oświetlania obór, by „strzec przeszłości”.

Zastanawiał się, z jakich czasów pochodzić mogą te trumny, i przejrzał królewskie rozporządzenia, które przesłano jeszcze staremu pastorowi. Ustalił w ten sposób, że pochówki pod kościelną podłogą ukrócono w roku 1805, na drodze postanowienia, które równie dobrze mógłby napisać on sam. „Nie przystoi, by przybytek poświęcony kultowi Najwyższej Istoty wykorzystywać jako kryjówkę dla oddanych rozpadowi ludzkich członków”.

Schweigaard pokręcił głową. Rozpadowi. Przez całą wiosnę wzdrygał się przed słodką, intensywną wonią zwłok, lecz w dawnych czasach trupi fetor sączył się pewnie spod podłogi przez wiele tygodni z rzędu. W rozporządzeniu zaznaczono nawet, że ukrócenie dotychczasowego zwyczaju zapewni „zdrowotność żyjących”. Czyżby ludziom naprawdę było wtedy wszystko jedno? A może po prostu żyli tak blisko śmierci, że jej woń przestała im przeszkadzać?

Lecz gdy Kai Schweigaard wspiął się na kamienny fundament, ogarnęło go zaskoczenie. W pierwszych porannych godzinach bergeńczycy zdjęli deski z mniej więcej trzeciej części kościelnej podłogi. Nie było pod nią wcale kurzu. Ziemia przywodziła na myśl świeżą glebę na polu zarzuconą drobnymi kamykami, tak jak wyglądała wczesną wiosną, zanim jeszcze cokolwiek zacznie kiełkować. Błade światło poranka padało na nią z ukosa. Po chwili pastor dojrzał pierwszą trumnę, poszarzałą ze starości i zupełnie zbutwiałą na rogach.

– Odejdźcie na bok – powiedział Schweigaard.

Zebrał sutannę na wysokości kolan i zszedł po krótkiej drabince. Zbliżył się do trumny i położył Biblię na jej wieku.

– Przeniesiemy cię teraz – wyszeptał Kai Schweigaard w kierunku końca, w którym, zakładał, była głowa zmarłego. – Spoczywaj w spokoju.

Chodził zgarbiony w chłodnym półmroku między trumnami. Wiele desek popękało i wystawały spomiędzy nich resztki kości. Inne trumny były w stanie tak dobrym, jakby rozporządzenie roku 1805 ignorowano przez kolejne dekady.

Pastor wrócił do rzemieślników.

– Zdejmijcie resztę podłogi – powiedział do Michelsena. – Jak najostrożniej. Wszystkie nieuszkodzone trumny delikatnie wyjmijcie na powierzchnię. Żadnej nie otwierajcie. A ty – zwrócił się do kościelnego – przełóżysz wszystkie luźne kości do nowych trumien. Po jednym szkielecie w każdej. Jeśli będzie taka potrzeba, zbijcie nowe trumny. Pracujcie ostrożnie, ale bez zwłoki. Wszyscy muszą zostać pochowani przed nadejściem wieczora.

Nawet bergeńczycy wykonywali tę robotę, porozumiewając się ze sobą ściszymi głosami. Ponad kamienny fundament podniesiono pierwszą trumnę, ale ktoś ją wypuścił i drewniana skrzynia się przekrzywiła. Najpierw dało się słyszeć grzechot kości, a potem odgłos jakiegoś toczącego się kulistego przedmiotu i głuchy stuk uderzającej o deskę ludzkiej czaszki.

Tego błędu już nie powtórzyli. Kolejne trumny przenoszono poziomo, w dojmującej ciszy pogodnego letniego dnia.

Schönauera nigdzie nie było widać. Schweigaard zajrzał na plebanię i przebrał się w wygodniejszy strój, a potem razem z dzwonnikiem chodził z żelaznymi grabiami, zbierając monety, amulety i inne przedmioty, które musiały powpadać przez przypadek w podłogowe szpary bądź zostały umieszczone pod kościelną posadzką na szczęście.

Po południu przy fundamencie leżało już czternaście starych trumien przykrytych szarymi kocami. Tuż obok nich stał rząd trumien świeżo zbitych, lecz również one zostały niezwłocznie przykryte, zaś prace toczyły się tak dyskretnie, że gapię tylko na chwilę przystawali za kamiennym ogrodzeniem, i zaraz potem wracali do swoich spraw.

W końcu do Kaia Schweigaarda podszedł Michelsen.

– Czekaliśmy z wydobyciem ostatniej trumny. Trochę ona... dziwna.

– Ach tak?

– Chodzi o kształt. Jest bardzo szeroka. Jakby pochowano w niej dwoje niskich ludzi.

– Może małżeństwo?

– Jak na dorosłych jest chyba za krótka.

– Ludzie nie byli wtedy zbyt wysocy.

Michelsen odchrząknął.

– Musieliśmy ją siłą wyciągnąć z ziemi, ale nie słyszeliśmy żadnego... grzechotu.

– I?

– A mimo to coś tam na pewno jest. Sądząc po ciężarze.

Kai Schweigaard odstawił grabie. Michelsen zaprowadził go w róg, gdzie dwóch mężczyzn stało oddalonych na pełen szacunku dystans od dużej drewnianej skrzyni.

– Jak pastor widzi, nie jest zbutwiała – powiedział brygadzysta.

Kai Schweigaard ukląkł na ziemi. Miał przed sobą zdobioną trumnę z poszarzałej sosny, wszystkie złącza wciąż się dobrze trzymały. Skrzynia była zbita z wygładzonych strugiem desek, długa na półtora metra i niemal tak samo szeroka. Na środku wieka wycięto niewielkie „H”. Trudno było odgadnąć, który koniec jest górą trumny, a który – jej dołem, zaś ta konkretna litera nie bardzo pomagała mu to ustalić.

Michelsen ukucnął.

– To przeżywiczona sosna. Nie butwieje. Trumna może być naprawdę bardzo stara.

– Nie jestem wcale pewien, czy to jest w ogóle trumna – powiedział pastor. Musnął wieko dłonią.

– Mamy ją otworzyć?

Kai Schweigaard jednocześnie chciał i nie chciał. Miał wrażenie, że trzyma w dłoniach kielich z mętnym płynem.

W końcu wstał z ziemi.

– Nie. Nie ruszajmy tego. Możliwe, że kości po prostu... leżą tam sobie w spokoju. Pochowajmy je.

– Je?

Pastor kiwnął głową.

– Tak. Pochowajmy je natychmiast.

Rzemieślnicy nie zareagowali od razu. Niektórzy gapili się w niebo, inni grzebali w ziemi czubkami butów. W końcu Michelsen powiedział.

– Dzień chyli się już ku wieczorowi, panie pastorze.

– Zdaję sobie sprawę.

– Ujmując rzeczy nieco dosadniej, obawiam się, że będziemy to ciągnąć jeszcze po zmroku. Jest tu więcej trumien, niż początkowo sądziliśmy.

– Jak będzie trzeba, to sam się zabiorę za kopanie – powiedział Kai Schweigaard. – Nie chcę, żeby zmarli czekali tu przez noc.

Pod wieczór dało się słyszeć odgłos wbijanej w ziemię łopaty i przerzucanej ziemi, pastor pobłogosławił w końcu ostatnią trumnę w świetle olejowych lamp. Szeroka skrzynia spoczęła w najdalszym grobie, on zaś wciąż nie był pewien, czy nie popełnia przypadkiem błędu.

Bergeńczycy stali wokół niego z czapkami w dłoniach.

– Zaśpiewajmy *Psalm o miłości Bożej* – powiedział Kai Schweigaard.

Nowa misja

Żadna chwila nie jest tak cicha jak chwila po wyjeździe bergeńczyków.

Gerhard Schönauer patrzył na kościelny plac, na którym nie było już kościoła. Słońce przygrzewało, a on miał na sobie koszulę z podwiniętymi rękawami. Na brzozech zieleniły się soczyste liście. Po wodach Løsnesvatnet pływały kaczki z licznym stadkami młodych.

Chwytał protokół w drugą rękę i ruszył ku stodole, w której przechowywano materiały. Przy ogrodzeniu jednego z pól spotkał kilku mieszkańców wsi, skinął im uprzejmie głową, a oni odpowiedzieli mu słowem, które zabrzmiało jak „dbry”. Dookoła bzyczały komary, muchy i pszczoły, powietrze wydawało się gęste i soczyste. Gerhard nie sądził, że do Butangen mogą zawitać tak wysokie temperatury, ale teraz czuł, że zbocza dolin zatrzymują ciepło niczym ścianki garnka. Widział ludzi uwijających się z narzędziami w rękach, konie ciągnęły wozy po zboczach, krowy się pasły, a w przyjemnym cieple ludzi i zwierzęta ogarniał błogi spokój.

Słońce przypiekało gontowy dach. Zapach smoły dało się czuć nawet z dużej odległości. Gerhard wszedł do środka. Musnął dłonią precyzyjnie przyciętą belkę, obejrzał jej nieco jaśniejszy fragment, w miejscu, w którym łączyła się niegdyś z innym elementem, przypomniał sobie swój system katalogowania i szybko znalazł drugą, pasującą do belki część. Rozmieszczenie materiałów w stodole zostało dokładnie zaplanowane, przez środek pomieszczenia biegł szeroki korytarz, tak by zimą można było wygodnie załadować wszystko na sanie i stąd wywieźć.

Gerhard dojrzał stojące w głębi pomieszczenia cztery kościelne dzwony. Dwa duże i dwa nieco mniejsze. Owinął te mniejsze płótnem żaglowym, ustawił kilka desek na skos nad Siostrzanymi Dzwonami, tak by sprawiały wrażenie, że należą do zupełnie innej partii materiałów, po czym wyszedł ze stodoły.

Dokonało się.

Wzdłuż przeciwległego brzegu Løsnesvatnet płynęli łodzią dwaj mężczyźni, łowili ryby przy tej samej mieliźnie, na której on wczesną wiosną stał ze swoją wędką. Astrid schowała się wtedy nieopodal, nie chcąc, by ktoś ją zobaczył. I sytuacja ta zdawała się nie ulegać zmianie. Gerhard wiedział, że dziewczyna jest na górskich pastwiskach, ale, biorąc pod uwagę, jak szybko rozchodziły się plotki, musiała usłyszeć o jego wypadku. Mimo to nie wymyśliła najwyraźniej żadnej wymówki, by go odwiedzić.

Odwrócił się i popatrzył w górę skarpy. Nawet on przyzwyczał się do widoku kościoła, teraz rozmyślał nad jego brakiem i nad tym, jak gmach świątyni będzie się prezentował w Dreźnie. W swoim ostatnim liście Ulbricht napisał, że uzgodniono już, gdzie zostanie odbudowany, wybrano wspaniałe miejsce w Große Garten otoczone iglastymi drzewami, zaraz przy sztucznym stawie nazwanym na cześć królowej. Również kościół otrzyma w Dreźnie nazwę *Carolakirche*.

Młody architekt poczuł ukłucie smutku. Świątynia nie będzie w Niemczech tym samym co tu. On sam również stanie się kimś innym po powrocie do kraju. Bo coś było nie tak, coś zboczyło ze swojej właściwej trasy, niczym jaskółka, której gniazdo zniszczono. Gerhard wyczuwał jakieś niewidoczne drgania w okolicach cmentarza. Trzydzieści metrów nad ziemią, tam gdzie była kiedyś kościelna wieża, powietrze zdawało się wibrować, zupełnie jakby coś próbowało odnaleźć na powrót swoją stałą formę.

Astrid.

W jego głowie kłębiły się niespokojne myśli. Dziewczyna miała w sobie jakąś nieprzewidywalność, niczym barwę podstawową w otaczającej ją paletce kolorów. On sam był zaś pewien, zwłaszcza teraz, po takim czasie rozłąki, że farby w jego duszy bez niej po prostu wyschną. Stężeją w swoich tubach na zawsze.

Kilka tygodni wcześniej wysłał list do profesora Ulbrichta, w którym donosił, że rozbiórka kościoła w końcu przebiega zgodnie z planem. zaproponował, iż pobierze część przeznaczonych na podróż pieniędzy jako zaliczkę na poczet swojego wynagrodzenia, by „odwiedzić rodziców w Memel i wrócić, gdy rozpocznie się transport materiałów”.

Był to błąd. Nie planował żadnej wycieczki do domu, potrzebował natomiast funduszy, by

zapłacić za bilet do Drezna dla Astrid.

Gerhard Schönauer wystawił twarz do letniego słońca. Fakt, że przez te kilka miesięcy zniszczył sobie ubrania oraz buty i mało nie postradał życia, nie miał już żadnego znaczenia. Kościelne dzwony zostały ocalone. On natomiast był teraz tutaj i tutaj pragnął być. Czy coś go poganiało? Absolutnie nic. Chciał teraz odnaleźć ją tam na górskich pastwiskach. Ogłosić zaręczyny. Dostać przekaz pieniężny z częścią czekającego nań w Dreźnie wynagrodzenia, nabyć kupon tkaniny dla Astrid, by mogła sobie z niej uszyć podróżny strój. Sam może opłacić miejsce w jakiejś górskiej chacie, spędzać poranki na malowaniu krajobrazów, popołudnia na wędkowaniu, odwiedzać ją, gdy będzie taka możliwość, gorące, czułe spotkania pod nocnym niebem o barwie granatu i fiołków. Stary Borgedal powiedział, że transport przez Løsnesvatnet rusza zazwyczaj pod koniec listopada, północna część jeziora zamarza wtedy zazwyczaj na kamień po pierwszej bezchmurnej i mroźnej pełni.

Oni dwoje. Razem na ostatnich saniach, jadący po lodzie ku nowemu życiu.

Cóż to będzie za życie! Ogarnęła go przemożna chęć, by powiedzieć jej o tych planach. Jak cudownie, że jego pierwsza myśl to podzielić się z nią radością!

Gerhard poszedł do swojej kwatery, uporządkował przybory do rysowania i posortował muchy. Zapomniał o upływie czasu, a gdy wreszcie stawił się na obiad, Schweigaard już skończył jeść. Siedział teraz z nogą założoną na nogę i czytał uważnie list.

– Jest pan wreszcie! – powiedział pastor.

– Dzień dobry, dzień dobry.

Duchowny posłał mu przeciągle spojrzenie przez całą długość stołu.

– Otrzymałem list od profesora Ulbrichta. Pan najwidoczniej też – skinął głową, wskazując biały talerz Gerharda, przy którym leżała podłużna koperta zaadresowana doskonale znanym mu charakterem pisma, ze znaczkiem Deutsche Reichspost.

Architekt chwycił kopertę i rozciął ją nożem.

– Odnoszę wrażenie – Schweigaard upił łyk kawy – że powinniśmy się wybrać do banku. I że pan ma się udać zaraz potem w dłuższą podróż.

Drezno, czerwiec 1880 r.

Panie Schönauer!

Gratuluje doniosłego czynu, którego Pan dokonał. Dziękuję również za piękne rysunki załączone do Pańskiej ostatniej wiadomości. Przedyskutowaliśmy kolegalnie Pański list, przedłożyliśmy go kawalerowi Kastlerowi i pragnę poinformować, iż mamy wobec Pana nowe plany, które pozwalamy sobie uznać za ambitne oraz ze wszech miar dla Pana korzystne. Formalności wymagają, by przed egzaminami końcowymi przedłożył Pan jeszcze szereg prac, my zaś potrzebujemy precyzyjnych szkiców większej liczby norweskich kościołów słupowych, które podkreśliłyby jeszcze doniosłość odbudowy świątyni w naszym Dreźnie. Opinia publiczna musi pojąć, że przeprowadziliśmy akcję ratunkową historycznego formatu, nie zaś po prostu przenieśliśmy przypadkowy średniowieczny budynek z miejsca na miejsce. Przyszłe pokolenia już teraz nas oceniają! W kolejnych latach rozbiórce ulegną kolejne norweskie kościoły słupowe – niewykluczone, że nawet wszystkie – i należy stworzyć ich rejestr. Tak, zgadza się: Pan, Studentie Schönauer, ukończy dzieło rozpoczęte przez I.C. Dahla! Zapewni Pan w ten sposób swemu nazwisku bezpieczną pozycję wśród wszystkich miłośników sztuki i architektury.

W banku w Lillehammer odbierze Pan sowitą kwotę na wydatki związane z podróżą. Proszę zakupić pas ze schowkiem, nie będzie się Pan musiał dzięki temu obawiać napadu rabunkowego. Proszę również przysyłać regularne raporty ze swoich prac. Niech Pan rusza natychmiast. Nie warto marnować czasu w miejscu Pańskiego aktualnego pobytu. Krajobrazów i szkiców chłopów z owcami mamy już dość. Poinstruowaliśmy Pańskiego przyjaciela, Pastora, by strzegł materiałów niezbędnych do odbudowy kościoła. Proszę wrócić do wsi 1 grudnia i dopilnować transportu. Niech Pan nie zapomina, że jest Pan nadal królewskim wysłannikiem i za pośrednictwem kawalera dworu Kastlera podlega Pan rozkazom

królowej Caroli. Każdy przejaw nieposłuszeństwa spotka się z najsurowszymi reperkusjami.

Z przyjacielskim pozdrowieniem,

Ulbricht

Gerhard odłożył list. Na osobnej kartce znalazł sporządzoną obcym charakterem pisma trasę podróży. Oczekiwano od niego, że w ciągu czterech następnych miesięcy odwiedzi siedem kościołów słupowych rozrzuconych po wielu norweskich okręgach. Droga między każdym z nich miała potrwać kilka dni.

– Każdy z nas ma zainkasować w Lillehammer swoją kwotę – powiedział Schweigaard. – Przyszło już honorarium za stary kościół, a pan, z tego, co rozumiem, uzupełni swój budżet podróży. Mój dzierżawca przygotowuje dla nas powóz. Najchętniej ruszałbym już jutro. Wychodzę z założenia, że nie zatrzymują tu pana żadne pilne sprawy?

Jak trzeba, to trzeba

Słońce przypiekało drewnianą ścianę chaty.

Przez dziurę w fundamencie wypadł Kruczek, niosąc w pyszczku mysz. Gryzoń jeszcze żył, a kot wypuścił go na łupkową płytkę i pacnął łapką, próbując zachęcić do energiczniejszych ruchów. Astrid wstała i zabiła mysz szczapką drewna. Plaga gryzoni w górskiej chacie bardzo ją irytowała, a Emort zbił skrzynkę dla jej ulubionego kota, by wzięła go na plecy i przyniosła tu, idąc w góry z krowami.

Pierścionka nie nosiła. Powiedziała sobie, że mógłby się zniszczyć od ciężkiej pracy, i schowała go do skórzanego woreczka. Maleńkie zadziory drapały jej skórę, a gdy zdjęła pierścionek, serdeczny palec zaraz przestał ją boleć.

W drodze pod górę odwróciła się jeden jedyny raz, by spojrzeć na rozbiórkę kościoła. Wieża została już pozbawiona poszycia, gonty zdjęte z dachu, a wokół świątyni widziała rzemieślników, którzy z tej odległości zdawali się malutcy i nikogo ze zgromadzonych na placu mieszkańców wsi nie dało się rozpoznać.

Krowy odnalazły drogę zupełnie bez pomocy, niektóre były tak pełne zapachu, że popędziły w górę skarpy, rozumiały, gdzie się wybierają – na wysokie łąki i dalej, w kierunku górskich zboczy, ku soczystej trawie i świeżym listkom powykęcanych od wiatru brzołek.

Pierwszego wieczora Astrid przerwała pracę w połowie dojenia pierwszej krowy, odsunęła stołek i zaczęła pić ciepłe mleko prosto z drewnianego cebrzyka. W kolejnych tygodniach ubijała masło, jadła bez przerwy, masło i chrupkie placki, i jeszcze więcej placków z masłem, i pokruszone placki z mlekiem, i jeszcze więcej masła, mleka i placków, a Emort i Oline przychodzili do niej raz w tygodniu, by wyrabiać ser – wtedy zajadali się nim wszyscy troje.

Kruczek przyniósł kolejną mysz. Astrid chwyciła ją za ogon, wyrzuciła za ogrodzenie i w tej właśnie chwili zauważyła mężczyznę schodzącego z gór z bronią i oprawionym zwierzęciem na plecach. Rozpoznała Adolfa z Halvfarelia. Mężczyzna zmienił na jej widok kierunek, Astrid otworzyła mu furtkę, a on usiadł tak, że niesiony na plecach ciężar oparł się o ziemię, pozwalając mu na odpięcie szelek. Rogi z łba zwierzęcia zostały odpiłowane, a Astrid spytała:

– To łania renifera?

– Nie, o tej porze roku jeszcze za wcześnie, żeby do nich strzelać. Mogą być brzemiennie. To mały samiec.

– Ach tak.

– Właściwie jest też za wcześnie, żeby strzelać do byków – dodał Adolf. – Ale jak trzeba, to trzeba.

– Jak trzeba, to trzeba.

– I tak jest ze wszystkim.

Mężczyzna niósł upolowane zwierzę na czymś w rodzaju własnoręcznie zrobionej drewnianej ramy z szelkami. Powiedział jej, że przeleżał w górach dwie noce, zanim trafiła mu się zwierzyna. Astrid podniosła jego broń i stwierdziła, że jest ciężka, on zaś wyjaśnił jej, że to stary karabin odcylcowy, tak zwany kammerlader, z Fabryki Broni w Kongsberg, ona dała mu mleka, masła i chrupkich placków, tak dużo, że nie był w stanie wszystkiego zjeść.

– Dziękuję, Astrid – powiedział, ocierając usta rękawem. – Więcej mi nie trzeba, teraz na pewno będę miał siły na powrót do domu.

Zgodzili się co do tego, że na drogach jest pełno ludzi i Adolf na pewno natknie się na kogoś, kto będzie jechał wozem i go podwiezie.

Mężczyzna zapiął szelki i zaczął się zbierać.

– Już go nie ma – oświadczył. – Starego kościoła.

– To prawda – powiedziała Astrid.

– Tak jakoś się dziwnie zrobiło.

Kiwnęła głową.

– Widzę, że nie jesteś szczęśliwa. Bo rozebrano kościół.

- Boję się wracać do wsi.
- Słyszałaś, że spadł jeden z dzwonów?
- Tak, Emort tu zajrzał i mi powiedział.
- Dziwna sprawa.
- Naprawdę dziwna.

Zapytała go, czy zrobił nową ścianę i drzwi do obórki.

- A jakże – odrzekł Adolf. – Twoja sprawa też załatwiona?

Odpowiedziała mu, że tak, lecz w taki sposób, że już o nic więcej nie pytał. Dała mu na drogę kawałek sera. Ich dzierzawca mógł robić, co mu się podobało, była to niewielka cena za mięso zwierzęcia takiego jak dziki renifer. Astrid czuła, że powinni byli powiedzieć sobie coś więcej, potrzebowała od niego jakiejś obietnicy, ale nie umiała określić, jakiej – zgubiła tę myśl, zaraz jak sobie uświadomiła, że jest ważna i należałoby ją zapisać. Adolf ruszył w dół zbocza, żyłasty mężczyzna z bronią, prochem i oprawionym zwierzęciem. Zanim jeszcze odszedł, wyjął zdobycz z drewnianej ramy i odciął dla niej ładny kawałek karkówki. Astrid usmażyła go na swoim własnym, świeżo ubitym maśle, na kości ugotowała zaś zupę i po raz pierwszy od Bożego Narodzenia zjadła świeże mięso.

Następnego ranka krowy dały się bez kłopotu wygonić z zagrody, zaczęły paść się na trawie zaraz przy oborze, mlaskając ozorami, Astrid zaś pokrzykiwała na nie, próbując zapędzić je dalej w stronę torfowisk. Gdy szła w górę zbocza, zapachy się zmieniały, od chłodnego aromatu żywicy w cieniu świerków rosnących wokół chaty do gorzkawej woni świeżych listków w pobliskiej brzezynie. Krowy znalazły sobie wygodne miejsce na płaskowyżu i leniwie zlizywały wilgoć z trawy.

Wtedy właśnie pomyślała o Gerhardzie Schönauerze. Wsunęła pierścionek na palec i obróciła go.

Życie wydawało jej się takie niezwykle i pełne niespodzianek.

Ale czuła też, że gdzieś przed nią leży ziejąca otchłań. Próbowała wyobrazić sobie, że żyje w Dreźnie, w Saksonii, tym kraju na drugim końcu *Meyers Sprachführer*, ale miała wrażenie, że z górskich zboczy spływa jakiś nowy, nieznanym jej dotąd głos rozsądku i całą ją przepelnia.

Nadal chciała wyjechać.

Ale ceną za wyjazd był brak odwrotu. Będzie musiała tam zostać.

Pożegnanie z matką, ojcem i rodzeństwem. Pytanie, czy kiedykolwiek wróci do domu. Żarty, że Gerhard kupił ją w ramach transakcji związanej razem z kościołem. Powiedział jej, że zostanie panią architektową, ale czy ona chciała w ogóle kimś takim zostać? Brzmiało to tak samo staroświecko jak pani pastorowa. Nie znała niemieckiego i nigdy nie zostanie Niemką. Może wszyscy będą na nią patrzeć, jakby mąż znalazł ją pod krzakiem. Będzie się uśmiechać do gości, lecz nie pojmie ani słowa z tego, co do niej mówią. A co takiego niby jest tam na południu inaczej? Co zmieni się w samej jej codzienności? Na czym będzie polegać jej przeobrażenie, poza tym że zostanie „panią”? I czy ten Gerhard Schönauer faktycznie jest tak szlachetny i godzien zaufania, jak sądziła? Cóż mogło się skrywać w tym człowieku rysującym świat takim, jakiego pragnął?

Krowy były spokojne, żadna z dziewcząt przebywających w tym roku na górskich pastwiskach nie dała jej znać o grasujących w okolicy niedźwiedziach czy wilkach. Astrid ruszyła z powrotem do chaty, pozdrawiała spotkanych po drodze znajomych i szła przed siebie, pośród pastwisk i pasących się na nich zwierząt, poszarzałych drewnianych zagród i górskiego letniego życia.

Zobaczyła go, okrążając pagórek. Stał daleko w dole, ubrany w rudawy płaszcz, z wędką w ręku. Wydawał się zagubiony, napisał coś na kawałku papieru, który wcisnął w szparę drzwi obórki. Ruszył następnie w stronę ogrodzenia, rozejrzał się jeszcze raz dookoła i zniknął jej z oczu, odchodząc w kierunku strumienia.

Zrozumiała wtedy, że musi odpowiedzieć sobie na jedno wielkie pytanie.

Ucieszyła się na jego widok. Lecz czy na tyle, by pojechać z nim do Dreżna?

Stała przez chwilę, spoglądając na zakręt, za którym przed chwilą zniknął.

A potem popędziła w dół. Sekundę przed tym, jak dopadła drzwi obórki, zerwał się lekki wiatr, a kartka, na której coś zapisał, spadła na kamienny schodek. Kolejny powiew pognał ją gdzieś daleko.

„Posłuchaj teraz! – powiedziała do siebie. – On, Gerhard Schönauer, to on właśnie tam idzie! To

teraz stop bulgocze w tyglu, to teraz masz wystąpić przed szereg i skoczyć w ten ukrop ze wszystkim, co masz”.

Pobiegła za nim, czuła się wolna, czysta i szczerą, krzyząc „Gerhard!” nad górskimi łąkami, krzyząc bez zważania na to, że ktoś ją usłyszy, i wykrzyczała jego imię raz jeszcze. Popędziła na skróty przez pokrzywy i krzaki jałowca i zawołała jeszcze głośniejsze: „Zaczekaj!”.

Słońce wpełzło do środka przez niewielkie okienko. Astrid przywarła do ciała kochanka. Przeleźli tak prawie całą noc. Bała się, trochę dlatego, że ktoś mógł przyjść, a trochę dlatego, że wiedziała, że on musi wyjechać.

– Wejdz ze mną do środka – powiedziała wtedy, dogoniwszy go. – Chociaż raz pójdźmy do łóżka pod dachem, na suchym pościelaniu. Przeleźmy cały ten czas od teraz do wschodu słońca. Jedną jedyną noc.

Wyznał jej, że musi wyjechać, i to natychmiast.

– Ostatni tydzień listopada – dodał. – Wtedy do ciebie wrócę. Ale mogę pisać listy.

– Nie pisz listów. Po prostu przyjdź do Hekne. Zapukaj do drzwi. Wyjedziemy razem tak czy inaczej.

W środku nocy usiadła na nim okrakiem, pełna zapału i pożądania – marzyła o tym w długie, samotne noce, a teraz stwierdziła, że to nie tylko możliwe, ale też przyjemne dla nich obojga. Potem zasnęli, a on w godzinie istniejącej poza czasem obudził ją czymś, o czym sam fantazjował w długie samotne noce i potem to znów on został obudzony, aż wreszcie obudzili się właśnie o wschodzie.

Leżała wtulona w niego, gładząc go po ramieniu i ściskając lekko jego dłoń, tę samą, która umiała przenieść myśl czy nadzieję na kartkę papieru. Wiedziała, że sama posiada większą od niego moc przenoszenia myśli i nadziei w rzeczywistość, a rozważania takie snuły się w jej głowie niczym chmury na niebie.

Gerhard przekonał pastora, by przełożył wyjazd o jeden dzień. Ale umówili się, że już następnego poranka będzie na niego czekał zaprzęg, a w ten następny poranek właśnie tu razem leżeli.

Ubrali się, Astrid podała mu świeże, tłuste mleko ze stojącego w ziemiance cebrzyka.

– Listopad – powiedział.

Skinęła głową i pociągnęła nosem.

– Listopad.

Potem on odszedł, a Astrid wiedziała, że jest w tym samym co ona stanie ducha, na wpół zrozpaczony i na wpół podekscytowany, otoczony aurą czegoś nieznanego. Zostawił jej wędkę, torbę, którą zabierał na ryby, i kilka rysunków. Schowała wszystko za szafką, wyszła na słońce i poczuła się jak syta pszczoła.

Dzień spędzony z krowami był upalny i dziwny.

Potem, w środku nocy, nagle się obudziła.

Panowała cisza jak makiem zasiał. Astrid ubrała się w ciemnościach. Jedyne odgłosy, jakie słyszała, to jej własne. Rozpaliła ogień, nastawiła kawę i czekała, aż ogień zgaśnie. Żar jaśniał jeszcze przez chwilę wokół okopconego czajniczka.

I właśnie wtedy to poczuła.

Tak samo jak czuła dwa dzwony, których już nie było. Czuła go tak jak kościół, który przestał istnieć. I poczuła go głęboko w swym wnętrzu, w miejscu, o którym nigdy wcześniej nawet nie myślała.

Teraz się będzie działo

Kai Schweigaard nie mógł zasnąć. Choć był środek lata, on miał wrażenie, że czuje lodowaty przeciąg, zimne powietrze napływało do jego łóżka w kolejnych podmuchach, jakby włączane uderzeniami skrzydeł jakiejś wielkiej niewidzialnej istoty. Koc wydawał mu się szorstki, wełniane włókienka drażniły skórę, drobne i niecierpliwe niczym owadzie odnóża.

Zszedł do salonu w samej bieliźnie, otworzył drzwi prowadzące do sadu i sprawdził, jaka jest pogoda. Nie paliła się żadna lampa, fakt przekroczenia progu zasugerował mu jedynie chłodniejszy powiew, bo w półmroku trudno było stwierdzić, czy jest się jeszcze pod dachem, czy jednak na zewnątrz.

Jabłonie przekwitały, pastor przeszedł pomiędzy nimi i zwrócił się w stronę kościelnego placu, na którym nie było już kościoła. Jego elementy rozproszyły się po wsi. W kasetce w gabinecie pastora leżały wszystkie monety i dziwaczne przedmioty znalezione pod podłogą. Dzwonnik, wiedziony impulsem, zanurzył palce w otworach pozostałych po kościelnych słupach i znalazł w nich niewielkie płytki ze złocistego metalu. Oczyszczili je z ziemi i odkryli wybite na nich pogańskie wizerunki. Na jednej z płytek widniał unoszący ramię mężczyzna w hełmie, na innej uwieczniono ceremonię zaślubin olbrzyma z człowiekiem.

Uświadomili sobie, że tam, gdzie stała świątynia, praktyki religijne musiały trwać już od niepamiętnych czasów. Było to może miejsce składania ofiar, miejsce kultu. Niewykluczone, że aby wzniesć kościół, zburzono tu kiedyś pogański ołtarz. Ktoś umieścił te płytki pod słupami, tak by kolumny podtrzymujące nową, chrześcijańską wiarę opierały się na religii staronordyckiej. A może chodziło raczej o to, by kościół trzymał dawne wierzenia w ryzach?

Tak czy inaczej, mniej więcej siedemset lat wcześniej jakiś duchowny musiał powiedzieć to samo co on. „Nie możemy wzniesć nowej świątyni w miejscu gorszym niż to zajmowane przez starą. Trzeba zburzyć stary budynek!”

Ida Calmeyer przysłała mu list, w którym napisała, że „rozumie”. Przyjęła zerwanie zaręczyn z takim samym obojętnym spokojem co oświadczyły. No cóż, pomyślał. Wracaj do swojej posługi, Kaiu Schweigaardzie. Trzeba się zabrać do pracy. Z miłością lub bez niej.

Wrócił na próg i usłyszał, jak gospodyni Bressum trzaska drzwiami w głębi domu. Chwilę potem w kuchni rozległy się przytłumione hałasy.

– Pani Bressum!

– A czego pastor chce o tej porze?

– Pastor chce wielkiego talerza boczku, jajek i smażonych ziemniaków.

– Ach tak. Czyli po wyjeździe Niemca będzie teraz suto jedzone.

– To nie ma z nim żadnego związku. Przy okazji: niech pani od teraz parzy mocniejszą kawę. Z dwóch garści ziaren.

– Dwie garści w jednym imbryku?!

– I niech pani poprosi stajennego, żeby mi przygotował bryczkę na dziewiątą. Planuję nawiedzić pana Gildevollena.

Pastor położył nacisk na słowie „nawiedzić” i nie zrobił tego bez przyczyny. Miejscowi cieśle, którzy mieli rozebrać kościół, przyjęli też zlecenie postawienia nowej świątyni. Lecz w zamieszanu powstałym w wyniku zerwania umowy jeden z okolicznych gospodarzy, Ole Asmund Gildevollen, dostrzegł szansę najęcia najlepszej we wsi drużyny rzemieślników do budowy gmachu mieszkalnego w swoim majątku – i to za utargowane wcześniej przez kogo innego wynagrodzenie.

Gospodarstwo Gildevollen było jedynym w okolicy, które od biedy mogło nosić miano bogatego. Zostało założone wedle prastarego zwyczaju: pierwszy gospodarz przyplął wyposażony jedynie w topór i krzesiwo, następnie pokonał biegiem trasę od brzegu Løsnvatnet na szczyt zbocza, gdzie rozpałał jedno ognisko za drugim mające wyznaczać punkty graniczne. Lecz nie wystarczyło być chciwym, biec daleko, rozpałać ogień i pędzić dalej, człowiek ten musiał też sam ganiać między poszczególnymi punktami i podtrzymywać płomienie, gdyż takie wyznaczanie granic nie liczyło się przed zapadnięciem zmroku, a śmiełek dostawał jedynie teren leżący pomiędzy ogniskami, które nie

wygasną. Na polaci ziemi, która później zyskała miano Gildevollen, ogień płonął w wielkim kwadracie od Løsnesvatnet aż po same szczyty zboczy i dokonania tego już nikt w późniejszych latach nie zdołał powtórzyć.

W nowszych czasach Gildevollen podziwiano za długą, prowadzącą do budynku mieszkalnego aleję obrośniętą kwitnącą białą czeremchą. Ta roślina należała w Butangen do rzadkości, lecz gospodarz znał stare, sprawdzone metody, dzięki którym ją wyhodował. Jego ród przywykł do snucia dalekosiężnych, ambitnych planów, dlatego też wykopano po dziewięćdziesiąt dziur po każdej stronie alei i zachęcano parobków, by jedli jagody czeremchy razem z owsianką. Owoce były lekko trujące i powodowały rozwolnienie, ludzie biegali więc, każdy do swojej dziury, i wypróżniali się tam, następnie przysypując odchody ziemią. Owsiankę podawano dzień po dniu, aż sto osiemdziesiąt dziur zostało obsianych i nawiezionych, a w ciągu lata wykiełkowały pierwsze krzewy.

Tą właśnie wspaniałą aleją jechał tego poranka Kai Schweigaard, w świeżo pomalowanym powozie pastora ciągniętym przez dwa gniade konie. Woźnica miał na sobie czyste ubranie i zrobił rundę wokół masztu flagowego, po czym poprosił napotkanego na podwórze chłopaczka, by zawołał Olego Gildevollena.

Na słonecznym placu z pięknym widokiem na Løsnesvatnet trwała budowa domu. Rzemieślnicy przerwali na chwilę robotę, zdjęli czapki z głów i zamarli. Schweigaard zobaczył, że prace są już dość zaawansowane. Fundamenty wykonane były z ładnie przyciętych bloków szarego kamienia, a drewniane bale, z których budowano ściany, sięgały mężczyznom do barków. Zgodnie z tradycją, budowali z drzew świeżo wyciętych w lesie, a niedawno okorowane żółte sosnowe drewno lśniło w promieniach słońca.

Ole Gildevollen nie wyszedł na podwórze, odesłał za to chłopaka z wiadomością, by to pastor dołączył do niego w środku. Schweigaard dopiero później miał się dowiedzieć, że gospodarz nie zamierzał wcale być nieuprzejmy, po prostu siedział w tym czasie z Trondem Stenumgårdem, opowiadającym mu o wydarzeniach ostatniej niedzieli. Lensman z Øyer przybył na potańcówkę urządzoną po licytacji upadłego majątku, chcąc ją zakończyć, ale ostatecznie sam się upił i wrzucił czapkę Einara Garverhaugena na dach. Gdy przybiegł chłopak z wiadomością od pastora, Stenumgård był dopiero w połowie swojej opowieści, a Ole Gildevollen zupełnie się zapomniał i dał posłańcowi niedbałą odpowiedź.

Odpowiedź ta obudziła w Kaiu Schweigaardzie wściekłość. Wrodzona porywczosć, niczym proch strzelniczy, który w sobie nosił, miała mu na dalszej drodze życia przynieść dużo korzyści, lecz również przysporzyć kłopotów, a w tej właśnie chwili eksplodowała z siłą dobrze podłożonego dynamitu. Głos pastora zagrział nad podwórzem, gdy z taką emfazą, jakby był ostatnim człowiekiem na ziemi, zakrzyknął, że spuści Olemu Gildevollenowi lanie pałką, jeśli gospodarz nie wyjdzie do niego, i to natychmiast!

Na ziemię zwała się ciężka sosnowa kłoda. Ośmiu cieśli zamarło z rozdziawionymi ustami. Ole Gildevollen wyszedł z domu i zaczął przeproszać, a po krótkiej dyskusji przy maszcie flagowym została zawarta umowa. Schweigaard miał dostać rzemieślników z powrotem, na początek dziesięciu mężczyzn do położenia fundamentów, a resztę jak najszybciej.

– Właściwie nawet lepiej, że drewno wyschnie i porządniej się zejdzie. Dom postoi w takim stanie jakiś rok, a potem się wstawi okna i drzwi, mam rację, panie Gildevollen?

– Tak, ma pastor rację.

– No to się zgadzamy – podsumował Kai Schweigaard.

Następnego dnia, gdy przystępowano już do wymierzania fundamentów nowego kościoła, pojawił się kłopot. Najlepsze miejsca pochówku położone były przy samych ścianach starej świątyni, ludzie płacili przez kolejne stulecia sowite kwoty, by grzebać tam swoich bliskich. Nagrobki na tych mogiłach były wysokie i porośnięte mchem, na niektórych widniało nawet trzydzieści imion, ale trzeba je było przenieść, by zrobić miejsce dla nowego kościoła, po prostu wyrwać z ziemi i umieścić gdzie indziej.

– Nie ma wyjścia – powiedział Kai Schweigaard.

Nie musiał długo czekać, a stanęło przed nim ośmiu gospodarzy, którym nikt nigdy wcześniej w ich życiu się nie sprzeciwił. Dwóch z nich skłonnych było rozmawiać o rozwiązaniach pośrednich, na

przykład o tabliczce w nowym kościele, bo tak czy inaczej ich przodkowie będą przecież spoczywać pod podłogą świątyni. Sześciu pozostałych nie zgadzało się na przeniesienie nagrobków w miejsce proponowane przez pastora, choć znajdowało się ono na nasłonecznionej, malowniczej skarpie. Wszystko dlatego, że słowa Schweigaarda podchwycili już wiejscy plotkarze i zaczęto żartować, jaką nazwę nadać temu miejscu: „Kurhan Bogaczy” czy może „Talarowe Zbocze”.

Pastor poprowadził sześciu mężczyzn na plac budowy. Nagrobki musiały zostać przeniesione, inaczej skończą z kościołem nie większym niż stary.

– Musimy – upierał się pastor.

Gospodarze nadal stali przed nim z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Schweigaard rozejrzał się dookoła. Na cmentarzu panował – trzeba było przyznać – straszny bałagan. Drewniane krzyże zbutwiały, kamienne nagrobki poprzekrzywiały się po latach marznięcia i tajania gruntu. Porośnięta trawą ziemia była nierówna i zdeptana, nosiła ślady kolejnych dekad, w których parafianie sami organizowali pogrzeby. Nieliczni tylko kopali głębokie groby, mógł nie umieszczano w jednej linii, nie wszystkie nagrobki zwrócone były w stronę zmartwychwstającego na wschodzie słońca.

Pastor odchrząknął.

– Przyznaję wam rację, moi panowie. Odciągnijmy wasze nagrobki trochę na bok, tak by nadal stały w pobliżu kościoła, w tej samej od niego odległości. Nie musimy odrzucać wszystkich dawnych zwyczajów.

Gospodarze spojrzeli po sobie, zupełnie jakby powątpiewali, że takie słowa naprawdę padły z ust Schweigaarda.

– Ale jak pastor chce to zrobić? Zmarłych też będziemy przenosić?

– Zmarli już dawno obrócili się w proch, a prochu ruszyć się nie da. Przecież tym, co czcimy, jest ich pamięć. Nie prochy. Wytyczymy na nowo granice cmentarza i ustawimy na nim nagrobki w bardziej uporządkowanej formacji. Będziemy mieć proste linie i ścieżki dla odwiedzających.

W kolejnych tygodniach położono fundamenty, z tartaku nad brzegami Brei sprowadzono materiały dobrej jakości, a tuż u stóp stromego zbocza w spokoju i otoczeniu brzóz płaczących pracowało sześciu mężczyzn, wznosząc z drewnianych bali piękną, wolno stojącą dzwonnice. Dzwony miały wisieć w niej pod samym sklepieniem, w kwadratowej skrzyni o dużych otworach, tak by dźwięk dobrze się niósł, lecz słowem nawet nie wspomniano o tym, do czego będzie służyć przestrzeń pod nimi. Kowal wykuł zawiasy i zamek do drzwi, zdobiąc je tak, jak potrafili tylko nieliczni, bardzo się przy tym dziwiąc naleganiom Schweigaarda, by kłamkę i poręcz koniecznie wykonać z mosiądzu, który musiał sprowadzić aż z Hamaru.

Cieśle stawiający nowy kościół mieli teraz więcej pracy, lecz mniejszy do niej zapał. Studiowali rysunki i zastanawiali się, czy gmach nie jest aby zbyt prosty. Czyż nie wydawał się przypadkiem tak okropnie... nagi?

Lecz już wkrótce zabrzmiały nad wsią uderzenia młotków. Trociny płynęły między nagrobkami razem z deszczówką, w pogodnie dni wiatr niósł ze sobą aromat świeżego sosnowego drewna i w ciągu kilku następnych tygodni na placu stanął już szkielet budowli, zaś elementy więźby dachowej strzelały pod niebo niczym zęby piły.

– Teraz się będzie działo – powiedział mały chłopiec, który przyglądał się pracy. Nie pojmował, że jego słowa były dla wielu wieśniaków niepokojące.

Pesymiści zbierali się za cmentarnym murem, snując ponure wizje, jakby wręcz pragnęli, by każde niecelne uderzenie młotkiem, każdy posiniały paznokieć kciuka, każda jedna zagubiona na placu budowy piła okazały się złym omenem. Ale Schweigaard trzymał ich gadanie w ryzach. Poprosił Borgeđala o dopilnowanie, aby jego cieśle powstrzymali się przy pracy od pogańskich zamawiań i zaklęć, sam zaś podtrzymywał duchowe życie parafii, wykorzystując do tego prowizoryczną kaplicę w salonie swego domu. Udzielał tam również ślubów, zaś w poniedziałki, jak zawsze, wypłacał nagrody za odstrzeloną zwierzynę. Ludzie przestali go nazywać młodym pastorem.

Każdego dnia przeprowadzał inspekcję placu budowy, z podobną uwagą nadzorował również pracę kościelnego. Nagrobki zostały wyprostowane i ustawione w nowym miejscu, na planie szachownicy. W rzeczywistości żaden kamień nie znajdował się już nad przypisaną mu mogiłą, ale

ponieważ i tak nikt nie panował nad tym, kto gdzie leżał na starym cmentarzu, a odwiedzanie grobów bliskich nie było w tych stronach szczególnie pielęgnowaną tradycją, przeciwko takiemu rozwiązaniu nie zaprotestował nikt oprócz nauczyciela Giverhauga, cały czas mamroczącego pod nosem jakieś pełne niezadowolenia obiekcje, których Schweigaard nie brał zresztą na poważnie. Udało się w końcu zapanować nad nierównym terenem i przekrzywionymi płytami nagrobnymi, o które potykali się parafianie, a pod koniec lata Kai Schweigaard zobaczył coś, czego nie widział tu nigdy wcześniej. Na nowy cmentarz przyszła wdowa i usiadła przy nagrobku swojego męża. Pomamrotała pod nosem, położyła na ziemi bukiet orlików z paroma gałązkami paproci, przeniosła się pod krzyż postawiony na pamiątkę utopionej córki i umieściła pod nim pęk grzybieni, przyniesionych zapewne aż znad brzegu Løsnesvatnet.

Gdy nadeszła jesień, nowy gmach przypominał już kościół, a białe ściany lśniły w otoczeniu pożółkłych liści. Lecz uderzenia młotkiem nie były już tak miarowe i metodyczne, wielu cieśli musiało pomagać przy żniwach, mężczyźni zdawali się nie przejmować przesadnie tym, kiedy świątynia będzie gotowa, dbali jedynie o to, by praca była wykonana należycie. Gdy zboże i ziemniaki trafiły pod dachy, budowa znów ruszyła, choć zaczęły się już październikowe przymrozki. A Kai Schweigaard coraz częściej wychodził na jesienny chłód, zastanawiając się, czemu zupełnie już nie widuje Astrid Hekne.

Poprzeczna belka

Jesienne ciemności zapadły tak szybko. A z tych jesiennych ciemności wyrosła inna ciemność, taka, której nie było w stanie przepędzić światło dnia, Astrid tkwiła w środku najczarniejszej nocy i wiedziała, że nie pomoże jej żadna lampa, a nawet wszystkie latarnie gazowe Drezna.

Przypominała to sobie teraz, dokładniej za każdym razem, gdy o tym myślała, tamten spędzony z dziadkiem wieczór, o którym trochę zapomniała, a trochę go wyparła, bo dziadek zachowywał się wtedy tak dziwacznie i niepokojąco. Ale teraz wszystko znów pamiętała, dotykała swojego brzucha i wiedziała dlaczego. Wszystko przez słowa, które jedna z siostr Hekne wypowiedziała do swojej bliźniaczki. A jak wszystko już będzie utkane, obie tu wrócimy.

Wiedziała, że są sposoby, by dowiedzieć się czegoś o nienarodzonych dzieciach, ale sposoby te działały tylko w księżycowe noce.

A teraz właśnie księżyc świecił nad polami.

Astrid ruszyła ścieżką pomiędzy warzelnią a stodołą i weszła w las. Nad gospodarstwem panowały wieczorne ciemności i cisza, zwierzęta były spokojne. Szła tak, by nikt nie był jej w stanie zobaczyć. Ostrożnie pokonała strumień i dotarła do gościńca na skraju wsi. Teraz kroczyła już szybciej, nie oglądając się za siebie. Wiatr zrywał się i cichł w kolejnych porywach, zaś chmury w tym samym rytmie zasłaniały księżyc, by go po chwili odsłonić. Gdy zapadała ciemność, musiała spoglądać na czubki drzew, nie chcąc zbłądzić z obranej drogi.

Nagle zwątpiła, dokąd właściwie idzie, mimo że była tam już tyle razy. Zaczęła myśleć o Babie Kari, upiornej kobiecie wyłaniającej się z lasu. A kiedyś sama naśmiewała się z tych, którzy w nią wierzyli.

Tuż przed miejscem, w którym droga rozdzielała się na dwie ścieżki, do jej uszu dobiegł szmer strumienia i wiedziała już, że dobrze idzie. Skręciła w lewo i ruszyła wzdłuż brzegu aż do drewnianej chaty stojącej na leśnej polanie. Uniosła dłoń, by zapukać, ale w tej samej chwili drzwi się uchyliły. Stała za nimi Framstadowa, widoczna w blasku trzymanej w dłoni łojowej świecy.

– A więc przyszedł, Astrid Hekne.

Astrid kiwnęła głową i spuściła wzrok.

Istniała tylko jedna przyczyna, dla której młode dziewczęta odwiedzały samotnie tę chatę – ciąża. Wiejska akuszerka była stara niczym przeżywiczona sosna, potrafiła wyrabiać leki z roślin, a jej najczęstszą poradą dla ludzi cierpiących na ból głowy był nakaz picia naparu z kory wierzbowej i nikt nie miał pojęcia, dlaczego to działa, ale faktycznie działało. Mówiono, że Framstadowa potrafi zgasić życie, jeszcze zanim zostanie wydane na świat, lecz nikt nie miał pojęcia, czy naprawdę to robiła. Pewne było natomiast, że kobieta przyjęła porody większości dzieci w tej przeludnionej wsi, niektórzy wyliczali, iż była przy narodzinach pięciuset maluchów, inni zaś twierdzili, że liczba ta jest o wiele większa.

Astrid miała przyjaciółkę, która zaciążyła w wieku lat piętnastu. Dziewczyna przyszła do Framstadowej, prosząc, by wyciągnęła z niej dziecko, skoro jeszcze jest małe. Akuszerka nie chciała tego jednak zrobić i stwierdziła, że to niebezpieczne. Jedyńm wyjściem było urodzić, wpisać malucha do kościelnych ksiąg razem ze wszystkimi innymi bękartami i jak najlepiej przeżyć resztę życia. W dzień swoich szesnastych urodzin dziewczyna urodziła syna i syn ten miał już teraz cztery lata. Przyjaciółka Astrid nadal pozostawała niezamężna, a Framstadowa nigdy nie wygadała nikomu, kto jest ojcem dziecka. Przyjmowane przez nią porody przebiegały bez połajanek i zamieszania, niezależnie od tego, jak długo się przeciągały. Wraz z jej przybyciem wszystkich domowników ogarniał spokój, udawało jej się nawet ratować położnice, których dzieci ułożone były w poprzek, nikt do końca nie wiedział, co w takich przypadkach robiła, bo gdy tylko zaczynały się jakieś trudności, Framstadowa żądała, by pozostawić ją sam na sam z rodzącą. Zazwyczaj w takich przypadkach po godzinie albo dwóch rozlegał się dziecięcy płacz, a akuszerka wpuszczała domowników do spoconej matki z maleństwem przy piersi. Czasami jednak płacz nie rozbrzmiewał, Framstadowa zaś opuszczała dom z nieco cięższą torbą i nikt nie miał odwagi o nic pytać, a domownicy musieli przywyknąć do ciszy.

Teraz akuszerka podeszła do kołowrotka i nim zakręciła. Jej ciało kołysało się z boku na bok.

– Podobno się można dowiedzieć, czy to chłopiec, czy dziewczynka – powiedziała Astrid.

– Można się dowiedzieć o wiele więcej.

Stara kobieta podeszła do niej i ujęła jej dłonie. Astrid poczuła dotyk szorstkiej skóry i drgnęła, bo akuszerka znalazła się nagle tak blisko, a jej gest był tak niespodziewany. Zachwiała się na nogach i zdało jej się, że słyszy podzwanianie, rozdźwięk dawnego wydarzenia z innego życia, czegoś, co wędrowało przez pokolenia, a teraz stało się razem z nią w tej izbie.

– Powątpiewasz, biedaczko. Nie wiesz, co trzeba teraz zrobić.

– Przecież wszystkie dziewczyny tak do ciebie przychodzą. Wątpiąc.

Framstadowa nadal trzymała jej dłonie w swoich. Zaczęła nucić pod nosem. Takie jej zachowania były Astrid znane, akuszerka wyczyniała podobno różne dziwactwa, zarówno przed narodzinami dzieci, jak i potem. Gdy tylko maleństwo przyszło na świat, akuszerka żądała, by umieścić kościelny śpiewnik u wezłowia kołyski, w której układano noworodka. Dziecko należało ubierać, wsuwając najpierw w rękaw prawą rączkę, inaczej mogło zostać mańkutem. Bardzo też pilnowała, by wrzucać rozżarzone węgle do wody, w której myto noworodka, i zabraniała tej wody wylewać od razu, można to było zrobić dopiero następnego dnia po wschodzie słońca. Inaczej mroczne siły mogły poczuć zapach dziecka i się nim zainteresować. Należało tego pilnować zwłaszcza we wsiach, w których nie było kościoła. Noworodki trzeba tam było chronić na stare, sprawdzone sposoby, aż do dnia ich chrztu. Do kołyszek dziewczynek wkładano nożyce, do chłopięcych – noże. Dopiero gdy małe było już ochrzczone, można było usunąć śpiewnik i stal oraz zacząć wylewać wodę od razu po myciu.

– Miałam oko na to, co się we wsi dzieje – powiedziała stara kobieta. – To ten Niemiec, prawda? Czy pastor?

Astrid cofnęła dłonie i nie odpowiedziała. Akuszerka poprowadziła ją do stołka i zaczęła pocieszać.

– Przyszłam tylko po radę – oświadczyła dziewczyna.

– I otrzymasz ją. Ale tak naprawdę – powiedziała Framstadowa, uderzając się w pierś – tu, w głębi duszy, boisz się tego, ile ich będzie. Chcesz wiedzieć, czy nosisz w sobie dwoje dzieci, czy tylko jedno.

– Jak ty widzisz takie rzeczy? – spytała Astrid.

– Po prostu wiem, że w rodzie Hekne zdarzają się bliźniaki. Nikt ci tego pewnie nie powiedział, ale twoja prababka urodziła dwojaczki.

– Co? – zdziwiła się dziewczyna. – Nie. Niemożliwe. Nigdy o tym nie słyszałam.

– To dlatego, że brat twojego dziadka zmarł, a więcej rodzeństwa już nie miał. Ludzie z Hekne nikomu o tym nie mówili, ale ja wiem, jak czuł się z tym twój dziadek. Cały czas zachodził w głowę, czy jego brat byłby może lepszym gospodarzem niż on.

Astrid wzięła się w garść.

– Przyszłam, żeby zapytać, jak o siebie dbać – powiedziała. – I czy możesz mi powiedzieć, kiedy urodzi się dziecko. No i... tak... Czy to jedno, czy dwoje.

– Czy jedno, czy dwoje, tego nie wie nikt do chwili, aż pierwsze maleństwo wyjdzie na świat. Wtedy się okazuje, czy zaraz za nim nie idzie następne.

Astrid przełknęła ślinę.

– Boisz się – stwierdziła Framstadowa.

– Tak – przyznała dziewczyna. – Tak, jak nigdy wcześniej się nie bałam. A przecież nie jestem strachliwa.

Akuszerka spytała ją, czego się najbardziej boi, i drgnęła nerwowo usłyszawszy odpowiedź.

– Są na to sposoby? – spytała Astrid.

– Sposoby, żeby pozbyć się dziecka?

– Nie. Żeby wiedzieć, czy się urodzi zdrowe.

Framstadowa położyła dłoń na jej brzuchu i zdawało się, że dyskutuje chwilę sama ze sobą. Po chwili wszystko już chyba uzgodniła i rzekła:

– Jest jeden stary sposób. Ale trzeba w niego wierzyć.

– Czy to niebezpieczne?

Stara kobieta pokręciła głową.

– Nie. Nie w tym sensie. Ale zaczniesz się zastanawiać, a to może być równie groźne.

– Co to za sposób?

– Poprzeczna belka. Musisz dosiąść poprzecznej belki.

Astrid przyznała, że nic nie rozumie.

Staruszka skinęła głową w stronę kąta izby, w którym stał stary warsztat tkacki. Astrid rozumiała coraz mniej. Framstadowa wskazała jej osadzony poziomo kijek, z którego zwisały nici osnowy. Cały mechanizm musiał mieć bardzo wiele lat, drewno było skurczone tak, że jego naczynia i promienie ciągnęły się wzdłuż każdego elementu rysami i wypukłościami, nasiąknięte przez lata potem z dłoni wielu ludzi, podobnie jak przytwierdzona do kościelnych dzwonów lina.

Staruszka podała jej nici, Astrid o nic więcej nie pytała, usiadła i zabrała się do tkania. Pierwsza nić była zielona; zamocowała ją, chwyciła potem czerwoną i, zupełnie się nad tym nie zastanawiając, zaczęła tworzyć wzór. Akuszerka wyszła na dwór, nie mówiąc nic więcej i zostawiając dziewczynę samą w izbie. Podzwanianie, które słyszała Astrid, wciąż nie cichło, a ona tkiała, nie wiedząc, jak długo ma jeszcze pracować ani czego się od niej oczekuje.

Po jakimś czasie staruszka wróciła do chaty. Astrid przerwała robotę.

– Teraz wstań i wyjmij nóż, który masz za pasem spódnicy.

Dziewczyna zmierzyła ją wzrokiem. Nóż ukryty był pod szalem, a zatem niewidoczny.

– Przetniesz nim nici osnowy – dodała Framstadowa.

– Ale wtedy przecież wszystko zniszczę?

– Tak to trzeba zrobić – rzekła akuszerka, a Astrid jej usłuchała, przecięła nici, tak że niegotowa tkanina spadła na ziemię. Framstadowa zdjęła z warsztatu poprzeczną belkę i poprowadziła Astrid na środek izby, po czym wetknęła jej ten drewniany kijek między nogi, jakby była bawiącym się w konika dzieckiem.

– No. A teraz masz na niej jeździć. Wciśnij ją sobie porządnie w krocze. No nie patrz tak na mnie, przecież nikt nie widzi. Jedź na niej tak – powiedziała staruszka, rysując wzór palcem w powietrzu.

Astrid zrobiła, jak jej kazano. Nie miała wrażenia, że na czymkolwiek jedzie, zdawało jej się za to, że cały potencjał tkaniny tworzonej na krosnach przemawia do nienarodzonego życia, które nosi pod sercem.

– Jeszcze trochę. Tak, w kółko.

Astrid okrążyła izbę sześciokrotnie, po czym Framstadowa kazała jej się zatrzymać.

– Dobrze. A teraz chodź ze mną.

Wyszły na dwór. Staruszka poprowadziła ją na porośnięte trawą wzgórze, ku kamieniowi szlifierskiemu, przy którym dostrzegła stołek. W bladym, rozproszonym świetle księżyca majaczyła przed nimi droga prowadząca na górskie pastwiska.

– Teraz poczekasz – stwierdziła akuszerka, zrobiwszy kilka kroków w tył. – Jeśli pierwszego zobaczysz na drodze mężczyznę, to urodzisz chłopca. A jak babę, to dziewczynkę.

– Zostań ze mną – poprosiła Astrid.

– Musisz być sama.

– Nikt przecież nie wyjdzie z domu tak późno wieczorem. A księżyc się skrył za chmurami. Nic nie widać.

– Czy ty nie rozumiesz, dziewczyno? Ktoś na pewno przyjdzie. Nie psuj wszystkiego gadaniną.

Staruszka pokiwała do chaty. Astrid siedziała, wyczekując. Wierciła się, przypuszczając, że zaraz znów dopadnie ją tak dobrze jej znany głos rozsądku. Głos, który jej powie, że powinna wstać i wracać do domu. W tej samej chwili chmury się rozwiały, a księżyc zaświecił jasno na las i ciągnącą się u jej stóp drogę.

Dostrzegła na niej jakiś ruch. Drogą szedł mężczyzna, potężny, dziwacznie zbudowany. Wyglądał, jakby coś dźwigał, być może upolowane zwierzę. Usiłowała dostrzec rysy jego twarzy, ale zaświtało jej, że człowiek ten w ogóle nie mieszka w ich wsi.

Dopiero po chwili zrozumiała, że nie mieszka w żadnej wsi. Tylko ona była go w stanie zobaczyć.

Gdy zbliżył się nieco, zrozumiała, że nieznajomy niczego nie niesie. Z góry schodził młody mężczyzna połączony z innym młodym mężczyzną, powoli, w nienaturalnym rytmie, jakby utykając. Nagle spojrzeli w jej kierunku. Astrid podskoczyła i podniosła rękę, a oni w tej samej chwili runęli na ziemię. Nie oddzielili się od siebie, wstali z mozołem i zamarli, wpatrując się w jej kierunku. Astrid powoli zaczęła tracić ich z oczu – w końcu rozwiali się w powietrzu, a ona widziała już tylko drogę, cichą i pustą, tak jak kilka chwil wcześniej.

Po czterech chłodnych miesiącach

Gerhard Schönauer stał przed gmachem świątyni w Hopperstad, gdy z nieba spadł pierwszy płatek śniegu. Była połowa listopada.

Miał za sobą cztery chłodne miesiące spędzone przed norweskimi kościołami słupowymi. Powozy, wędrówki, łodzie, wieże i dzwonnice, paskudna pogoda. Czas niczym szara breja. Godziny szkicowania ołówkiem na wilgotnym papierze, wieczny chaos na norweskich drogach, skórzane buty, które nigdy nie schły, i męczący kaszel dobywający się z głębi płuc.

Ale wszystkiemu temu sprostał. Spojrzał na kościół, potem na wysłużoną skórzaną teczkę, w której przechowywał rysunki, i pomyślał, że odwiedzone przez niego budowle już na zawsze zostaną zachowane w ludzkiej pamięci. Zrobił to, czego od niego żądano, ukończył dzieło I.C. Dahla, narysował aż osiem kościołów słupowych, tworząc w ten sposób ostatni tom *Denkmale einer sehr ausgebildeten Holzbaukunst aus den frühesten Jahrhunderten in den inneren Landschaften Norwegens*.

Świątynia, którą należało narysować jak najszybciej, mieściła się w Garmo, Gerhard dotarł tam późnym wieczorem, po to tylko, by stwierdzić, że gmach został już rozebrany. Nastawa ołtarzowa, elementy kościoła i wyposażenia – wszystko to rozproszono po okolicy, sprzedając na licytacji, Gerhard przeprawił się więc przez góry i zaczął pracę w Reinli. Świątynia w Hedalen była w opłakanej kondycji, ale przynajmniej stała na swoim miejscu. Kościół w Ål rysował w trakcie jego rozbiórki – przeprowadzonej brutalnie i bez ceregieli. Materiały zostały sprzedane na szkielety i poszycia zwykłych budynków, zdobione malowidłami słupy miały stać się płatwiami czyjś domu. Dwa pięknie rzeźbione pale rzucono na wóz, zanim Gerhard zdążył je naszkicować. A potem ruszył w długą podróż do Tuft, po to tylko, by stwierdzić, że kościół rozebrano na początku roku, ale dowiedział się tam również, że jeśli pojedzie dalej wzdłuż Numedalslågen, odnajdzie o wiele więcej kościołów słupowych, niż uwzględniono na liście Ulbrichta.

Schweigaard był na tyle przewidujący, by wyposażyć go w list z rekomendacją, pismo bogate w nieoczekiwane pochwały, otwierające mu drzwi nagich, ubogich izdebek na wyiębionych plebaniach, pod dachami pastorów przyjmujących go z niezmienną uprzejmością. Wszyscy oni jednak mieli w sobie ten sam ponury chłód co Schweigaard. Wstydzili się kościołów, którymi zarządzali, żaden z nich nie poprosił nawet o kopie rysunków Gerharda, chcieli po prostu przestać myśleć o tych domach Bożych z przegniłymi deskami na podłodze, szparami w ścianach, zapadającymi się fundamentami i przekrzywionymi wieżami. Mieli w swoich parafiach i tak więcej dość zmartwień. Głód, pijaństwo, samobójstwa.

Gerhard pojechał dalej. Bogate majątki prezentowały się pięknie i okazałe na trawiastych wzgórzach. Meyers przedstawiał Norwegię jako kraj staroświecki, ale dumny i malowniczy, nie wspominając jednak ani słowem o tym, jak uderzające były tu różnice między bogaczami a ubogimi. Młody Niemiec otwierał żelazne furtki, pukał do drzwi, siadał na stołkach z czapką w garści, czekał godzinę, a potem drugą, aż wreszcie wpuszczano go do zasępionych pastorów, by mógł im wyłożyć swą sprawę.

W Borgund zapewniono mu zarówno spokój przy pracy, jak i porządnie ogrzaną izbę, lecz przedtem doszło niestety do przykrego nieporozumienia w kwestii transportu, co sprawiło, że odbył dwudniową podróż powozem w nie tym co trzeba kierunku. Ale była to ostatnia przeszkoda, którą napotkał na swojej drodze. Słuchał dialektów zmieniających się z każdym przekraczaniem strumieniem i wkrótce, pomimo dokuczliwego kaszlu, doszedł do wniosku, że całkiem już nieźle daje sobie radę zarówno z Norwegami, jak i z samą robotą.

Wychodził ze swojej izby na szarówkę, brnął pomiędzy nagrobkami i rozstawiał sztalugę. Jesienna pogoda sprawiała, że papier szybko nasiąkał wilgocią, a palce sztywniały z zimna, dlatego też spędzał zazwyczaj na dworze parę zaledwie godzin, a potem kończył rysunki pod dachem. W każdym dniu pracy przed oczami stawała mu jedna i ta sama twarz. Każda napotkana ciemnowłosa dziewczyna sprawiała, że serce zaczynało bić mu szybciej, rozpalala się w nim gwałtowna nadzieja, gasnąca równie szybko, gdy docierało do niego, że to nie ona.

Oczywiście, że nie. Kreślone ołówkiem linie traciły swój charakter i nierzadko, w wieczornych godzinach spędzonych z jedną samotną lampą, to ona wyłaniała się z jego rysunków.

Letnia przygoda w Norwegii. Jej smak, od początku do końca. Obietnica złożona raptownie pośród gór. Sprawy wielkie. Przenosiny kościoła. Zamiana dzwonów. Zdrada królowej. Małżeństwo z miłości. Dwa ciała na jednym, rozgrzanym od słońca kamieniu. Namalowany farbami olejnymi obraz, który jeszcze sechł. Niewidzialne moce zakłęte w wietrze i brązie.

Tęsknota i mozolna praca obudziły w nim architekta. Jego pojęcie o konstrukcji budowli, to, które sprowadziło go do Butangen, stało się teraz głębsze. Słup był w rzeczywistości zbyt lichym słowem, świątynie te powinny się nazywać kościołami kolumnowymi. Zbudowanymi na podporach będących niegdyś wielkimi, strzelającymi ku niebu drzewami. Tak wysoko, jak pięła się sosna, mógł sięgać również sufit chóru kapłańskiego. Zetnij te sosny i umieść je na planie prostokąta. Połącz krzyżownicami, postaw ściany i połóż podłogę, wznies chór kapłański, wieżę i dachy z okapami, tak wysoko, jak się tylko odważysz. Lasy są nieskończone, moce przerobowe budowniczych – nieograniczone, a twoja budowla przetrwa całą wieczność.

Pod warunkiem że nie zmienia się czasy.

Bez niej u boku tęsknota nie znajdowała sobie ujścia, zbierała się w jego ołówku, zmieniając w siłę twórczą, jakiej nigdy wcześniej jeszcze nie doświadczył. Rysował kościoły w zawrotnym tempie, z niepokojącą precyzją, lecz jednocześnie szkice zdawały się uduchowione. Wkrótce zaczął śnić o kościołach słupowych. Noce wypełniały mu łuki tęczowe, drzwiczki ambon, portale i podcienione ganki, łącząc się powoli i przybierając formę jednego idealnego kościoła o cechach ich wszystkich, a w świątyni tej Gerhard zawsze widział Astrid Hekne, w pruskiej sukni ślubnej. Jednej zaś nocy, gdy leżał w twardym łóżku na stryszku plebanii w Sogn, obudził się nagle i już wiedział, co musi uczynić.

Zaczął go szkicować w blasku drgającego płomienia olejowej lampy. Kościół słupowy o najpiękniejszych cechach wszystkich odwiedzonych dotychczas przez niego świątyń. Zgrabna, spójna konstrukcja. Linie pojawiały się na papierze same z siebie, bo przez pół roku nie robił nic innego, tylko żył z kościołami słupowymi i z miłością, i wszystko to obudziło w nim wiarę, że umie narysować nowoczesny kościół słupowy. Pracował więc nad czymś nowym, czerpiąc jednocześnie z tego, co stare.

Gdy dotarł wreszcie do kresu swej wędrówki, miał już zupełnie zniszczone buty i spodnie. Trudno mu było ustać dłuższy czas w spokoju, bo wilgoć wnikała do środka przez dziurawe podeszwy, a jego stopy były białe i pomarszczone. Płaszcz nie powstrzymywał już podmuchów zimnego wiatru, a w chłodnych izdebkach, które zajmował, towarzystwa dotrzymywały mu przeciągi, bolące gardło i wieczny katar. Z każdym kościołem, od którego odjeżdżał, żegnał się już na zawsze. Wiedział, że gmachy znikną spalone w płomieniach albo rozbite na części łomami.

Ale ten nowy kościół... można by naprawdę zbudować.

Zazwyczaj odnosił się bardzo krytycznie do swoich własnych rysunków, ale to, myślał sobie, patrząc na arkusze, w które włożył niezliczone godziny pracy, to jest naprawdę pierwszorzędne. Świątynia pięła się ku niebu w harmonii pomiędzy drewnianą konstrukcją a wiarą w Boga. Piękno i jednocześnie umiar, tak wyglądałyby kościoły słupowe, gdyby metoda ich budowy miała szanse dojrzeć przez kolejne stulecia. Idealne rozwinięcie nieskrępowanej gry, zabawy kątami i kolejnymi poziomami dachów. Wszystko prostsze i czystsze, z nielicznymi, dokładnie przemyślanymi elementami dekoracji. Wieża pnąca się na zawrotną wysokość, strzeliste, wąskie okna posłuszne woli gmachu, by brnąć w górę, niczym wzniesiony ku niebu krzyk tęsknoty, wieża, w której mogłyby zabić kościelne dzwony, zabić tak głośno, by zbudzić ostatnią duszę na świecie.

Płatek śniegu nie spadł z nieba sam. Wkrótce jego rysunek pokrył się białymi ziarenkami. Gerhard podniósł wzrok i spojrzał ku chmurom, złożył sztalugę i poszedł się pakować. Rysunki zabezpieczył, układając pomiędzy nimi arkusze papieru kalkowego, wszystko usztywnił kartonem, zapakował w szary papier, który natarł tłuszczem i zapieczętował woskiem, by do środka nie dostała się wilgoć, następnie obłożył paczkę drewnianymi płytami, obwiązał płótnem i przymocował do niej uchwyt ze sznurka.

Owszem, będzie pamiętał o Dreźnie, ale przede wszystkim to Drezno będzie pamiętać o nim. Cała przygoda obrała teraz jakiś kurs, zyskała jakiś sens. Będzie wiozł ze sobą norweskie stulecia, przez

śniegi i góry.

Wreszcie pozwolił sobie na tęsknotę za domem, tęsknotę, która nie wiązała się z już z Butangen, Memel ani Dreznem, lecz z jego przyszlým domem, domem architekta Gerharda Schönauera i jego norweskiej małżonki Astrid, domem ze złocieniami na okiennych parapetach, sznyclami na talerzach i obrazami na wytapetowanych ścianach. A również, w niedalekiej przyszłości, synami i córkami bawiącymi się w kółko graniaste.

Zawieziono go łodzią do samego początku Sognefjorden, a ostatnim, co zrobił, było naszkicowanie starego kościoła w Fortun, poddanego tak gruntownej przebudowie, że przypominał silos na zboże w Stanach Zjednoczonych. Wnętrze miał nadal imponujące, ale tuż obok niego postawiono nową, białą świątynię, stara zaś czekała na rozbiórkę, opuszczona, zimna i ciemna, a pastor powiedział, że chętnie sprzeda ją za osiemset koron. Gerhard poprosił o pomoc w zorganizowaniu dalszego transportu, a wtedy duchowny zmarszczył czoło.

– Chce się pan dostać tam?

– Owszem. Przed pierwszym grudnia.

– Będzie trudno. Jeśli ma pan pieniądze, to proponowałbym drogę okrężną. Parowcem do Kristianii, a potem dalej.

– Ale to by przecież zajęło kilka tygodni?

Pastor pokręcił głową.

– Zima już za pasem, trudno powiedzieć, czy znajdzie pan kogoś, kto podejmie się przeprawy przez Sognefjellet. Zakładam, że nie ma pan zbyt wielkiego doświadczenia jako narciarz?

– Narciarz? Nie. Ale przecież śnieg dopiero zaczął padać.

– Owszem, tu na dole.

Musiał zapłacić podwójnie za przewodnika z jucznym koniem, gotowego przeprowadzić się z nim przez góry do Bøverdalen, i już o świcie kolejnego poranka ruszył w podróż, której o mały włos nie przypłacił życiem. Gdy doszli do granicy drzew, padał już ciężki, mokry śnieg. Przewodnik odpiął od juków dwie pary nart, ale za każdym razem, gdy Gerhard zostawał w tyle, mężczyzna czekał na niego bardzo niechętnie. Już wysoko w górach zaczęli kierować się wzdłuż stosów kamieni ustawionych tak gęsto, by były widoczne nawet w najgorszej zadymce. Wkrótce pogoda popsowała się jeszcze bardziej i musieli brnąć przez taką właśnie zadymkę. Zjedli wędzoną słoninę odwróceniem plecami do wiatru, a przewodnik splunął na śnieg, mówiąc, że jeśli dotrą do Røysheim, będą ocaleni.

Pod wieczór mężczyzna odwrócił się i zawołał, że muszą dotrzeć do Røysheim. Gerhard wisiał na kijkach, brnąc do przodu z mozołem i zanosząc się coraz paskudniejszym kaszlem. Po czasie zdającym mu się wiecznością usłyszał w ciemnościach, jak ktoś wali do drzwi, a gdy obudził się następnego ranka, przewodnika już z nim nie było.

Mróz zaczął się na dobre w Ottadalen. Gerhard był ubrany nieodpowiednio do pory roku, spóźniony już o wiele dni, katar przeszedł w gorączkę, a podróż w pojeździe ciągniętym przez konie z kryształkami lodu w grzywach stała się rozdygotaną, ciągnącą w nieskończoność męką. Przy Fossheim, gdy czekali, aż wymienią im konie, chmury rozwiały się i mroźną noc oświetlił jasny księżyc.

Dalsza podróż na ostrym mroźnym powietrzu.

Wiatr był zimniejszy niż kiedykolwiek wcześniej, wdzierał się do gardła i pod ubrania. Jechali dalej, mijając Bredevangen, wzdłuż zboczy wąskiej doliny. Wiatr towarzyszył Gerhardowi aż do zajazdu, gdzie zwałił się na łóżko, nie będąc nawet w stanie niczego zjeść. Musiał przeleżeć cały dzień, by jako tako dojść do siebie, o mały włos nie zapomniał rysunków i w ogóle pamiętał potem niewiele, aż do momentu, gdy znalazł się w samym środku Gudbrandsdalen i miał przenocować w Sjøggestad. W końcu dotarł do kościoła w Fåvang, nie znalazł nikogo, kto podwiózłby go dalej, i postanowił pokonać ostatni etap drogi na piechotę.

Za jego plecami rozległ się metaliczny cichy ton. Dzwonki uprząży. Zbliżyły się do niego dwa konie, jasnobrązowe i przemarznęte. Skręciły nagle, znikając za grzbietem wzgórze. Wyłoniły się zza niego na powrót zaskakująco szybko, grudy śniegu zwisały z ich grzyw, kołysząc się w takt końskiego chodu, zwierzęta ciągnęły sanie, a w saniach tych siedzieli dwaj mężczyźni, weseli mieszkańcy Hjelstuen, którzy zaproponowali, że go podrzucą. Rozmowa na mrozie się nie kleiła. Już za następnym

grzbietem pagórka Gerhard mógł stwierdzić, że północna część Løsnesvatnet faktycznie zamarła. Część zaś południowa, głębsza, wciąż była wolna od lodu i parująca. Mężczyźni nie zatrzymali sań, by sprawdzić, czy przeprawa będzie bezpieczna, wjechali prosto na jezioro z dużą prędkością i zabrzmiało nagle zupełnie inny odgłos, dźwięk kopyt podkutych na zimę koni uderzających o lód.

W połowie drogi przez jezioro Gerhard podziękował za pomoc, mówiąc, że resztę drogi pragnie przebyć pieszo. Przystanął i rozejrzał się dookoła, był na samym środku Løsnesvatnet, doskonale widoczny dla Astrid Hekne i pomyślał: tak to wygląda, gdy powraca architekt.

Wysoko na zboczu doliny, tam gdzie minionej wiosny po raz pierwszy ujrzał kościół, stała nowa świątynia Schweigaarda, biała i jaśniejsza. Wieża nie prezentowała się przesadnie okazale. Była zaledwie niewielką wypustką. I.C. Dahl nazwałby to zapewne „pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu stylem”.

A i on będzie miał już wkrótce rangę i doświadczenie, by móc szafować takimi wyrokami.

Budowa nie została najwyraźniej jeszcze zakończona, z góry dochodziły nadal odgłosy uderzeń młotków i piłowania. Tuż pod kościołem Gerhard dostrzegł dziwną drewnianą budowlę, której przeznaczenia nie potrafił się domyślić. Wysoka na jakieś siedem czy osiem metrów, z niewielkim stryszkciem i otworami na cztery strony świata.

Dotarł na brzeg i spojrzał w stronę stodoły. Nie było w jej pobliżu widać śladów stóp, nikt się też w okolicy nie kręcił. To sprytne, że nie uprzątnięto leżących tu zasp. Na pewno zdecydował tak pastor. Idealne zabezpieczenie, bo każdy najmniejszy ślad ujawniłby próbę kradzieży.

Gerhard minął nowy kościół i w drodze na plebanię zaczął już sobie wyobrażać, jak rozpala ogień w gościnnej chatce, goli się i rozgrzewa.

A potem idzie do Astrid Hekne.

Gdy stanął za furką, ogarnęło go zdziwienie. Z komina jego chatki unosił się dym. Jak miło! Mężczyźni na saniach uprzedzili zapewne Schweigaarda o jego powrocie. Może nawet gospodyni uszykowała mu świeżą pościel?

Zmarszczył brwi. Śnieg przed chatą był udeptany. Tuż przy drzwiach stał w połowie już zużyty sztapel brzoźowego drewna, a sądząc po ilości kory i drzazg, ktoś musiał palić w piecu już dobre kilka dni. Gerhard otworzył drzwi i poczuł obcy zapach.

Gmach plebanii był mu dobrze znany, pamiętał jeszcze opór, jaki stawiały drzwi, skrzypienie desek podłogi, ponurą ciszę i spojrzenie gospodyni. Ale coś tu zmieniło swój kształt. Dom wydał się inny. Usłyszał dobiegające z salonu wesole głosy, a gdy ruszył w ich kierunku, dotarło do niego, że rozmowa toczy się po niemiecku. Ktoś mówił coś donośnie, wybuchając co chwila śmiechem.

Były to głosy obytych w świecie ludzi o bogatym słownictwie i kontynentalnych manierach. Najdonośniejszy z nich przeniósł go z powrotem do sali o wysokim suficie na Akademii Sztuk Pięknych w Dreźnie i cała jego pewność siebie w mgnieniu oka zgasła, bo pojął, że już za parę sekund stanie się posłusznym psem na czyjejs smyczy.

Przy stole, zwrócony do niego plecami, siedział Kai Schweigaard. Po obu jego stronach usadowili się zaś profesor Ulbricht i kawaler dworu Kastler, odziani ze smakiem w saską miastową odzież, trzymając w dłoniach filiżanki z delikatnej porcelany. Wszyscy trzej rozmawiali ze swadą i wykrzyknęli „Schönauer!”, widząc go stojącego w drzwiach.

Lecz najbardziej zaniepokoiło Gerharda to, iż Schweigaard zerwał się z miejsca, rozpromieniony na jego widok.

Die Astridkirche

Kai Schweigaard przeciągnął się w łóżku i spojrzął na płomienie. Z początkiem listopada przerobił jedną z niewielkich izb na piętrze na sypialnię, nie tylko dlatego, że ściany pokoiku oklejone były tapetą z pięknym kwiatowym wzorem w odcieniach bladej zieleni, lecz także przez wzgląd na kominek w rogu, największy wyobraźalny luksus każdej sypialni. Najął do służby nową dziewczynę, która otrzymała polecenie rozpalania w kominku każdego dnia o godzinie szóstej rano, bez zbędnego hałasu czy zamieszania, tak by pastor mógł obudzić się w nagrzanym pokoju i spojrzeć na trzaskające płomienie, zaś punktualnie o wpół do siódmej pod drzwiami miały czekać suchary i czajniczek kawy. Schweigaard pozwalał sobie na mały poranny rytuał, wkładał szlafrok i zasiadał bosy przed kominkiem, w nowo nabytym fotelu obitym tkaniną o barwie czerwonego wina, rozkoszując się kawą i gazetami. Zimą poczta przychodziła do wsi regularniej, mógł więc faktycznie liczyć na to, że paczki z „Morgenbladet” i „Gońcem Lillehammer” będą do niego docierały w każdą środę.

Wygody te nie były w rzeczywistości żadnym luksusem, lecz koniecznością, bez nich nie doszedłby nigdy do siebie po całym tym strasznym roku. Przytył parę kilo i odzyskał zdrową cerę, a zanim spadły pierwsze śniegi, pojechał w odwiedzinach do swojej matki. Planował, że spędzi u niej kilka dni, lecz ona nie przestawała marudzić o Idzie Calmeyer i okazała się nieznośną towarzyszką. Schweigaard wrócił do Butangen i walczył z rosnącą podejrzliwością, która zastąpiła jego śmiałość do snucia wielkich planów, musiał też co chwila tłumić wybuchy wściekłości, ogarniającej go zawsze, gdy tylko coś szło nie po jego myśli. Bieżące obowiązki, pomoc ubogim, prowizoryczne nabożeństwa w salonie plebanii, przenosiny cmentarza, opóźnienia na placu budowy, to wszystko sprawiało, że czas uciekał mu przez palce. Najbardziej zadziwiła go jednak stara kobieta z chałupy na skraju wsi, która kiedyś musiała być bardzo piękna i która w dniu po zakończonych żniwach stanęła na jego progu ze snopkiem zboża. Oświadczyła, że spuszczonego wzrokiem i głosem tak cichym, że ledwie było słycać jej słowa, że przynosi mu żyto spowiednicze. Schweigaard nie miał pojęcia, czego staruszka może od niego chcieć, ale po dłuższej chwili pełnej zażenowania konfuzji pojął wreszcie, że kobieta pragnie się wypowiedzieć zgodnie ze starą tradycją nakazującą wynagradzać kapłana zbożem. Zaprowadził ją do swojego gabinetu, usiadł obok niej i wysłuchał historii o jej występkach, dosyć zresztą niewinnych. Staruszka zaczęła w ostatnich latach żałować, że zgrzeszyła kiedyś z żonatym mężczyzną, który niedługo potem wyjechał do Ameryki. Pastor pomodlił się razem z nią o odpuszczenie win i posłał ją do domu przekonaną, że Bóg spojrzy na sprawę łaskawie, sam zaś wystawił snopek do ogrodu, dla ptaków, które miały wkrótce odlecieć na południe.

Stopniowo udawało mu się zaprowadzać coraz większy porządek. W ciągu zimy nowy kościół stanie gotowy, a ponadto: Boże Narodzenie będzie świętował, pożegnawszy już na dobre pewnego Niemca. Znowu zdawało mu się, że dostrzega światełko w tej ciemnej izdebce w głębi swej duszy, o której już myślał, że zamknęła się na dobre, i pozwalał sobie nawet dziękować Bogu, że trwał przy nim w batalii o dziewczynę z Hekne.

Nie widywał jej przez całą jesień. A kiedyś przecież tak często znajdowała powody, by przychodzić na plebanie. Próbował dopytywać się o wieści z Hekne, ale nadaremno, nawet pani Bressum nie chciała powtarzać mu żadnych plotek. A potem przyszedł zaskakujący list z Drezna, opatrzony stemplem zdradzającym paskudne opóźnienie.

Sehr geehrter Pastor Schweigaard, liczne zwroty grzecznościowe, ach tak, no owszem, *Student Schönauer*, odbudowa w Große Garten, portal, a jakże, *Carolakirche*, no cóż, transport sańmi, *Die Schwesterglocken*, tak, tak – co?

Chcieli przyjechać.

Tutaj.

Profesor i kawaler dworu.

Wkrótce.

Nach Norwegen und Gudbrandsdalen, um die Region zu studieren und dem Transport zu folgen, pragnęli zatem obejrzeć otoczenie kościoła i osobiście dopilnować transportu. Zaznaczali, że „odbędzie

się to z nieocenioną korzyścią dla nauczania o pierwotnym środowisku kulturowym kościoła”. Zakładali, że ich przyjazd w na początku grudnia zbiegnie się z powrotem Schönauera.

Kai Schweigaard przygryzł wargę. Złamać siódme przykazanie to jedno. Lecz stanąć z kimś twarzą w twarz i złamać również i ósme – coś zupełnie innego.

Bo przecież z pewnością pytają o dzwony.

Wysłał szybko odpowiedź, że otrzymał list z opóźnieniem i że pan Schönauer będzie miał pełnomocnictwo, by pokazać im wszystko w okolicy, on sam zaś „planuje liczne wyjazdy w związku z kościelną posługą”.

Przybyli do wsi dokładnie pierwszego grudnia, aż czterech mężczyzn z wielkim bagażem. Zarówno Kastler, jak i Ulbricht przywieźli ze sobą własnego lokaja, a jeden ze służących okazał się zażywnym Duńczykiem w brązowym tweedowym garniturze, rozstawiającym ludzi po kątach wszędzie, gdzie tylko się pojawił.

Od razu na niego napadli. Chcieli obejrzeć wszystkie materiały, portal, kościelne dzwony i dopytywali się, gdzie jest Schönauer. Byli nadęci i wymagający, obcy w świecie i głodni. Mieli spędzić w Norwegii trzy tygodnie, a w czasie, gdy organizowany będzie transport sańmi, planowali rozejrzeć się po Gudbrandsdalen, potem zaś pojechać do Kristianii, gdzie udało im się już obejrzeć Zbiory Znaleźisk Historycznych i resztki Łodzi z Tune.

Kai Schweigaard kiwał głową i wynajdował wymówki, powiedział, że wie o Schönauerze tyle co i oni, nakazał dzierżawcy zaszlachtować świnię na uroczysty obiad, a następnego dnia uspokoił ich trochę, pokazując im portal, który nadal stał w szopie na wozy. Spóźniający się Schönauer niezmiernie go irytował.

– A co z kościelnymi dzwonami, *Pastor Schweigaard*? Gdzie one są przechowywane?

– W stodole nad jeziorem. Możliwe, że zastawione innymi elementami konstrukcji. Za to wszystko odpowiada pan Schönauer. Nie mam wglądu w jego system magazynowania materiałów.

Udał, że jest zajęty, i poszedł do nowego kościoła, lecz w porze drugiego śniadania znów na niego naskoczyli.

– Ten portal – powiedział Kastler. – Jego konstrukcja rodzi ciekawe pytanie. Dlaczego drzwi otwierały się do wewnątrz? Przecież wydaje się to nad wyraz nielogiczne.

Schweigaard odchrząknął i wyjaśnił gościom, którzy stali przed nim teraz z rękoma założonymi na plecach i kiwali głowami, że Norwegia to, jak widać, kraj, w którym pada dużo śniegu, i że łatwiej było wchodzić do świątyni i z niej wychodzić, gdy nie musiało się przepychać drzwi przez zaspę.

– Ponadto – dodał – drzwi często się zacinają. Dzięki takiej konstrukcji można je było otworzyć kopniakiem. I zamknąć kolejnym.

– Hmm! – mruknął Kastler. – Tak. To pierwsze zdaje się logiczne. Lecz druga część pańskiej wypowiedzi zupełnie nie ma sensu. – Dotknął drzwi salonu. – Proszę zobaczyć. Mogę złapać za klamkę i pociągnąć ją do siebie. Niezależnie, czy drzwi otwierają się do środka, czy na zewnątrz.

Schweigaard zmarszczył brwi.

– Do otwarcia norweskich drzwi wejściowych potrzeba siły – odrzekł, wymawiając każde słowo do przesady wyraźnie, by odwzajemnić w ten sposób docinek. – Zwłaszcza przy zmianach pogody. O górną część takich drzwi można się zaprzeć barkiem, a dolną można kopnąć. Gdyby się otwierały na zewnątrz, to człowiek kończyłby z wyrwaną klamką w garści.

Zanim Kastler zdążył powiedzieć cokolwiek więcej, Ulbricht zawołał z zachwytem:

– Aha! Wspaniały opis miejscowych doświadczeń! Dopilnujemy, by pojawił się w poświęconej kościołowi książce, której wydanie planujemy.

Schweigaard przeprosił gości i poszedł do gospodyni.

– Żadnego znaku od Schönauera?

– Co pastor chciał?

– Widziała pani Schönauera? Jedzie tu? Widziała pani kogoś, kto jechał przez lód?

– Żadnych nowych Niemców – odparła gospodyni Bressum.

Aby dać jakoś odpór marudzeniu swoich gości, Schweigaard zaprosił na kawę Monsa Flyena, zwierzchnika załogi transportowej. Tłumaczył na niemiecki słowa mężczyzny, opowiadającego

o planach wywozu ze wsi elementów kościoła. To znaczy nie było tak właściwie żadnego osobnego planu, szkielet świątyni chciano przetransportować jak zwykły ładunek drewna, tyle że ostrożniej, zaś co bardziej kruche przedmioty miały jechać na mniejszych saniach. Flyen zrobił dobre wrażenie, mimo że nie nawykł do picia kawy z małych filiżanek i pocił się w zbyt grubym ubraniu. Uspokoił gości z Niemiec, zapewniając ich, że dopilnuje, by poszczególne elementy nie szorowały o siebie zbyt mocno i że ten nałot starości, jak nazywał patynę minionych stuleci, na pewno nie zostanie z nich starty.

Flyen wyszedł, a już chwilę później, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w drzwiach stanął Schönauer.

Był wychudzony i paskudnie kasłał, profesor Ulbricht zasypał go natychmiast pytaniami, a młody architekt wydawał się całą sytuacją oszołomiony.

I wtedy Kai Schweigaard zrozumiał.

Wcale go o tym przyjeździe nie uprzedzili. Od razu pojął, kim w rzeczywistości jest Schönauer: zwykłym pionkiem na szachownicy.

Kai Schweigaard spojrział w płomienie, dopił kawę i wylał fusy do ognia.

Sam też to czuł, że się zmienia, i wcale mu się to nie podobało. Ta nowa twardość i zaciętość, które w sobie dostrzegał, były konieczne, by doprowadzić sprawę do końca. Przy Astrid będzie mógł znów zmięknąć i odzyskać swoje prawdziwe barwy.

Rozparł się na fotelu i oddał śmiałym marzeniom, wyobrażał sobie, jak budzi się u jej boku, w ciepły poranek otwierający upalny letni dzień, na innej plebanii niż ta, w mieście, z piekarnią i pocztą przywożoną dwa razy w tygodniu, gdzieś daleko od pani Bressum, lecz przede wszystkim w marzeniach tych dominowała wizja szczupłych, nagich łydek pani pastorek przy malowanych na biało nogach krzesła w salonie, jej robótka na stojącym w kącie stoliku, porzucona, bo musieli natychmiast pomówić ze sobą o czymś ważnym, jej przedsiębiorczość, rozważa, dłoń na sterze w chwilach, gdy jego okręt kluczy pomiędzy szkieletami.

Nowy rok, pomyślał. Wtedy wszyscy wyjadą, a we wsi zostanie Astrid Hekne i kościelne dzwony. Pragnął już tylko tego, by wszyscy się wynieśli, przestali zawracać mu głowę, by Schönauer okłamał wszystkich skutecznie i wywiózł to, co stare, a jemu wreszcie pozwolił zawiesić Siostrzane Dzwony w nowej dzwonnicy, gdzie będą obwieszczać nadejście świąt.

Zapalił naftową lampę, by oświetlić sobie drogę przez korytarze. Z kuchni na dole dochodziły hałasy robione przez panią Bressum. Zastał ją zaspaną i rozdrażnioną.

– Wieczorem powinniśmy podać obiad pożegnalny – powiedział Kai Schweigaard. – Czy mogłaby pani przygotować coś tradycyjnie niemieckiego?

– My się tu nie wyznajemy na tych takich niemieckich tradycjach.

– Żeberka powinny wystarczyć. I proszę podać na drugie śniadanie trochę kiełbasy. Oni to bardzo lubią.

Gospodyni Bressum zaczęła lamentować i w końcu stwierdziła, że nie ma dość służby, by spełniać tak wymyślne życzenia.

– Proszę w takim razie sprowadzić kogoś do pomocy – rzucił pastor. – Na przykład Astrid z Hekne. Tę, co tu kiedyś była.

Kobieta pokręciła głową i wróciła do roboty, mamrocząc słowa, które po części zagłuszyła waleniem garnkami.

Kai Schweigaard wyszedł. Pani Bressum zachowała się tak, jakby nie miała serca odpowiedzieć mu wprost. Co ona tam mamrotała? Coś o tym, że Astrid „niedługo już nie będzie mogła się brać do cięższych prac”?

Ruszył do pokoju, w którym umieścił Schönauera. Musiał zamienić z nim kilka słów o tym, jak to wszystko zostanie zorganizowane. Niemcy planowali przeprowadzić tego dnia inspekcję stodoły, a zaraz potem miał ruszyć transport.

Zastukał do pokoju, dał Schönauerowi trochę czasu, by się obudził, po czym zapukał po raz drugi. Ostrożnie uchylił drzwi.

– *Herr Schönauer. Schlafen Sie?*

Pastor wszedł do środka i uniósł lampę.

Sypialnia była pusta, panowała w niej duchota, Schweigaard rozpoznał zapach swojego gościa i spojrzął na nocnik w kącie. Odsunął go ostrożnie czubkiem buta. Na dnie zachlupotał ciemnożółty mocz. Płaszcz nie wisiał na wieszaku, nigdzie nie było też skórzanych butów młodego architekta.

Czyżby już gdzieś wyszedł? O tej porze, w grudniowych ciemnościach, niezdrów i zmęczony po podróży? Poprzedniego dnia wydawał się przecież taki stropiony, toczył wokoło spojrzeniem, jakby szukając ratunku.

Światło kołyszącej się lampy padło na dwie otwarte walizki, w jednej były ubrania, w drugą spakowano papiery, szkicowniki i przybory do rysowania.

Kai Schweigaard schylił się i podniósł pędzel. Długi i wysłużony. Używany, a potem czyszczony, używany raz jeszcze i czyszczony ponownie. Poplamione, powyciskane tuby z farbami. Ołówki, ostrzone tylokrotnie, że zostały z nich właściwie ogryzki.

W walizce leżało też kilka rysunków z Butangen, były naprawdę piękne, jeden musiał przedstawiać okolice Norddølom, inny był chyba naszkicowany w Spangrud. Letnie, kwitnące, pełne życia krajobrazy. Po raz pierwszy pastor uświadomił sobie, jak zdolny jest rzeczywiście Schönauer. Rysunki cechowała wyjątkowa staranność. Powiedzieć, że były ładne, to za mało, niektóre zachwyciły Schweigaarda to tego stopnia, że zupełnie się zapomniał. Odstawił lampę i rozłożył prace na podłodze, przestudiował cały szereg szkiców nieznanego mu kościoła, gmach był strzelisty i niezwykle piękny, ale, w odróżnieniu od pozostałych, nie dawał się skojarzyć z żadnym konkretnym miejscem.

Jakże niezwykle... urokliwa była ta świątynia! Miała wysokie, wąskie gotyckie okna ciągnące się w górę ku wieży i dopiero tam zastąpione rzędem mniejszych okienek, niczym płomień na czubkach innych płomieni. Drzwi wejściowe również były wysokie, otoczone ornamentami, wił się wokół nich jakiś falisty kształt, w którym pastor dopiero po chwili rozpoznał węża, lecz głowa gada nie była widoczna, wejście okalało tylko potężne cielsko, zupełnie jakby bestia owinęła się wokół drzwi i zanurkowała potem w ziemi.

Gdzie w Norwegii znajdował się taki kościół?

Gdy tylko pastor zadał sobie to pytanie, rozpoznał skarpe, pobliską brzezinę i zabudowania po lewej stronie.

To przecież... tutejsza okolica. Czyżby Schönauer umieścił tę świątynię w Butangen? Oto dopiero przepyszny bukiet ułożony z marzeń młodego Niemca, a zainspirowany tym miejscem! Kai Schweigaard poczuł ukłucie w sercu, gdy dotarło do niego, jak wielka szansa została zmarnowana. Gdyby tylko można tu było wznieść taki gmach!

Na samej górze arkusza widniał krótki odręczny napis, rząd małych drukowanych liter.

W pierwszej chwili zrobiło mu się zimno. Potem zachciało mu się płakać. A potem ogarnęła go wściekłość.

Die Astridkirche.

Pastor wyjął z walizki resztę rysunków.

Piękny namalowany farbą olejną portret Gerharda Schönauera i Astrid Hekne, niepokojąco do siebie podobnych, przed murowaną willą. Schweigaard przysunął go do stojącej na podłodze lampy, ale arkusz zahaczył o inne, wyciągając je ze sterty rysunków.

Wtedy ujrzał wreszcie to, co zobaczyć chciał, a czego widoku nie był w stanie znieść.

Astrid Hekne.

Nie tylko jej twarz. Cała ona. Bez ubrania.

Mnóstwo szkiców. Astrid taka, jaka była, lecz jakiej jemu nigdy nie było dane ujrzeć. Naga, młoda, mądra, uśmiechnięta. Chętna.

Uśmiechała się jak kobieta z Pipervika. I tak jak w wypadku tamtej dziwki – ktoś już ją wcześniej miał.

I sprawił, że niedługo już nie będzie mogła się brać do cięższych prac.

Nigdy nie miało być mu dane ujrzeć Astrid Hekne nago. Jeśli nie liczyć wspomnień o tej żalostnej chwili, gdy klęczał na podłodze, w pokoju wypełnionym wonią szczyń Gerharda Schönauera, zapachem, który pewnie zawsze mu się już będzie z nią kojarzyć.

Ci, co opuszczą Butangen

– *Vielen dank für das sehr schöne Frühstück, Pastor Schweigaard!* Mleko i jaja najwyższej klasy! – Kastler opróżnił filiżankę z kawą i klasnął w dłonie. Obaj lokaje pożerali właśnie resztki słoniny.

Gerhard rozejrzał się dookoła. Nie był w stanie nawiązać kontaktu wzrokowego ze Schweigaardem, pastor siedział przy stole, popijając kawę, łyk za łykiem, w osobliwym, kompulsywnym niemal rytmie. Schönauera bolało gardło, tak że ledwie był w stanie przetykać.

– Nie mógłbym zgodzić się bardziej – oświadczył profesor Ulbricht, unosząc serwetkę do warg. – Serdeczne dzięki, pastorze Schweigaard. Cudownie fascynującym doświadczeniem było zobaczyć ten kraj z jego śniegiem, drewnem i tymi zabawnymi nartami, którymi bawią się dzieci, ale czas już wracać do rzeczywistości. Nadszedł czas, panie Schönauer. Pański czas. Chodźmy teraz nad jezioro obejrzeć skarby. Gdyby tylko pan wiedział, jaki jestem z pana dumny!

To tylko przedstawienie, pomyślał Gerhard. Powinienem się być domyślić. Wybrali sobie studenta ostatniego roku, jednego z najzdolniejszych, w którego żyłach płynie krew ambitnych pruskich oficerów, takiego, co będzie pracował miesiącami w nadziei, że to jemu przypadnie cała chwała. Co wyrósł daleko od Saksonii i nie ma rodziny, która mogłaby interweniować. I przyjechali tu w tajemnicy, na krótkie, pełne atrakcji wakacje z rozbiórką kościoła w *Den Norwegischen Gebirge*. Będą tam, gdy pociąg towarowy wjedzie do Drezna, witany owacjami zachwytu nad tym osobliwym darem dla królowej. Profesor i kawaler dworu na postumencie swego dzieła będą uchylać kapeluszy i pozdrawiać orkiestrę dętą łaskawymi skinieniami głowy, gdy tylko ucichnie gwizd maszyny parowej. Rzuca kilka elokwentnych zdań reporterom z „*Deutsche Allgemeine Zeitung*” i „*Dresdner Anzeiger*”. A ja w całej historii będę miał tyle znaczenia co maszynista pociągu.

– Jest pan spocony i blade, studencie Schönauer – zauważył Kastler. – Czyżby był pan niezdrow?

– To przeziębienie. Od pracy na dworze.

– No cóż, nie umrze pan od tego – stwierdził Ulbricht, klepiąc go po ramieniu. – Wczoraj wieczorem przejrzałem pańskie rysunki. Dwa czy trzy były w rogach nieco uszkodzone przez wilgoć, niektóre wymagają dopracowania, ale mimo wszystko: kolekcja jest dużo lepsza, niż mógłbym śnić w najśmielszych marzeniach. A teraz wracamy do domu na święta!

Mons Flyen czekał już na dworze. Kai Schweigaard zapiął płaszcz jako pierwszy. Zszedł po kamiennych, świeżo odśnieżonych schodach i poprowadził pochód do brzegu Løsnestvatnet. Poranek był pogodny, śnieg leżał na ziemi, świeciło ostre słońce. Szli w trójkę, jeden przy drugim, a biały puch skrzypiał pod ich podeszwami: Schweigaard, Kastler i Ulbricht, w świeżo nasmarowanych zimowych skórzanych butach i wysokich kapeluszach, za nimi podążał Mons Flyen odziany w czarny wadmę, na samym końcu zaś Gerhard Schönauer w swoim zniszczonym płaszczu. Dziewiczy śnieg wokół stodoły został odgarnięty z samego rana, zapewne przez ludzi skierowanych do tej roboty przez Schweigaarda. Do wrót prowadziła teraz szeroka, precyzyjnie wytyczona ścieżka.

– *Meine Herren* – powiedział pastor, odsuwając się na bok. – Panie Schönauer! Oto klucz. Proszę pokazać mi nasz stary kościół, a ja się z nim pożegnám i będę mu życzył dobrej drogi!

Zamienili się miejscami pod drzwiami stodoły, Gerhard przekręcił klucz w zamku. Zapach smoły i starości wydawał się na mrozie nieco słabszy. Był jak wyziew umierającego smoka, ostatni dech dobiegającego kresu życia. Za plecami Schönauera rozległo się niecierpliwe mamrotanie, mężczyźni wyciągali szyje, strząsali śnieg z butów i w końcu weszli za nim do wąskiego przejścia pomiędzy stertami materiałów.

To jest zapach lata, pomyślał Gerhard. Zapach Astrid Hekne. Zapomniał o pozostałych, zapomniał na chwilę nawet o szokującym porannym spotkaniu z ukochaną i przez kilka krótkich sekund po prostu patrzył. Miał wrażenie, że cały kościół odbił się nagle w odłamkach stłuczonego lustra. W promieniach wpadającego do środka przez szpary ścian światła widział kunsztowne ornamenty zaraz obok na wpół zbutwiałego drewna, tu i ówdzie dojrzał zdobiony słup skryty za kościelną ławą, wszystko to opatrzone setkami skrawków papieru tworzących jego własny, skomplikowany system.

Kastler i Ulbricht wskazywali palcami, mówiąc coś głośno i z zachwytem, ale ich słowa do niego nie docierały. Zobaczył bowiem, że gdzieś tam leży w stodole śnieg, naniesiony przez kogoś zapewne na podeszwach butów. Ktoś musiał tu być wczesnym rankiem. Drzwi za jego plecami zostały otwarte na oścież, by wpuścić do środka jak najwięcej światła, słoneczne promienie padły na przejście, sięgając aż do ściany, pod która umieszczono nastawę ołtarza. Pozłacane kwiatowe wzory zamigotały w półmroku, Kastler precyzyjnie przycisnął się obok niego i ruszył w głąb pomieszczenia, Ulbricht zaś deptał mu po piętach.

Zatrzymali się i rozejrzeli w milczeniu, zupełnie jakby nagle znaleźli się w bankowym skarbcu. Ulbrich uniósł kawałek żaglowego płótna, by przyjrzeć się rzeźbionemu słupowi, Kastler zauważył ambonę i zamarł, kiwając głową, w końcu mężczyźni zbliżyli się do siebie i chwilę poszeptali, po czym kawaler dworu spojrział w kąt stodoły, oświetlony tylko przeciskającymi się przez szpary promieniami.

– Ach – kiwnął głową profesor Ulbricht. – Słynne kościelne dzwony. *Die Schwesterglocken*.

Wskazał dwa kształty stojące pod ścianą.

Gerhard ruszył za swoimi mocodawcami i poczuł nagle, że serce zabiło mu szybciej. Zobaczył bowiem, że ktoś odsunął deski mające skrywać Siostrzane Dzwony przed ludzkim spojrzeniem. Przycisnął się do przodu i podszedł do pary mniejszych dzwonów, odwrócił się do Ulbrichta i Kastlera, lecz nic nie zdążył powiedzieć, bo Schweigaard przyskoczył do nich nagle i oświadczył:

– Chyba się pan pomylił, panie Schönauer!

Wyjął nóż i rozciął nim węzeł, którym Astrid związała żaglowe płótno.

– To właśnie są Siostrzane Dzwony – powiedział Kai Schweigaard. – Ci, co opuszczają Butangen, zabiorą ze sobą to, na co sobie zapracowali.

Pociągnął płachtę, która zsunęła się z wysrebrzanego brązu, tak by wszyscy mogli zobaczyć inskrypcję na płaszczu. Z brzegu, tam gdzie kończył się napis, majaczyło w półmroku ostatnie tworzące go słowo: Astrid.

Miesiące bez krwi

Gerhard obiecał jej Drezno. Kai obiecał jej spacer. Lecz Astrid wiedziała, że nic z tego nie będzie, z niczego już nic nie będzie, i w dniu, gdy sobie to uświadomiła, ogarnęło ją dziwne odrętwienie. Wszędzie chadzała sama, chowała się w oborze, przestała zadawać pytania, bo odpowiedzi i tak już nie miały znaczenia.

Jej brzuch nieustannie rósł. Powiedziała wszystkim, zanim cokolwiek zdążyli zauważyć. Ojciec westchnął zrezygnowany, matka zaczęła ją łajać. Emort płakał razem z nią, Oswald kręcił głową, a młodsze rodzeństwo nic z tego nie rozumiało.

– No to ładnie nas urządziłaś – skwitowała matka, podsumowując w ten sposób całość sytuacji. Dzieci z nieprawego łoża nie były mile widziane, lecz dla zwykłych ludzi stanowiły, jeśli spojrzeć na sprawy w szerszym kontekście, nieszczęście mniejsze niż na przykład skręt kiszki u roboczego konia.

Dla zwykłych ludzi. Ale nie dla dziewczyny z Hekne, i to najstarszej córki.

Bo Hekne było nadal, mimo odpadających z dachu gontów i pochylonej ściany obory, szanowanym majątkiem, siedzibą rodu z tak dobrą sławą, że nikt we wsi nie miał odwagi sprzeciwić się jej ojcu, sławą, która dawała dzierzawcom pewność, że nikt ich nie wyrzuci z zagrody, a kowalowi – że otrzyma zapłatę.

Ona zaś miała być teraz płamą na honorze rodziny. Bo biegała z obcym mężczyzną do lasu. Może i ktoś jeszcze ją zechce, ale na pewno nie wyjdzie dobrze za męża. A i tak musiałyby oddać dzieciaka na wychowanie, by zacząć z tym nowym człowiekiem wszystko od początku.

Następnego dnia po wizycie u Framstadowej poszła w górę strumienia, brnąc przez stopy jesiennych liści, i odnalazła płaski kamień, na którym leżała z Gerhardem w tamte dobre dni. Był nadal nagrany od świecącego cały dzień słońca, a ona usiadła na nim i zaczęła się modlić. Potem uklękła nad Martwą Zatoką. Woda była w niej czarna, spokojna i zdawała się nie mieć dna. Astrid wyciągnęła palec wskazujący ku swemu odbiciu, celując w sam środek oka, i nie sposób było stwierdzić, czy wskazuje w dół, czy może jest już pod powierzchnią, wyciągając rękę w górę. I pomyślała: tak będę wyglądać, kiedy mnie tu znajdą.

A potem zwinęła dłoń w pięść i uderzyła się w środek twarzy, przebiła powierzchnię, niszcząc odbicie, i drgnęła przerażona. Jej twarz w lustrze wody długo jeszcze była zniekształcona i drżąca, ona zaś wstała i odeszła, nie dając odbiciu czasu, by wróciło na swoje miejsce.

W następnych dniach spoglądała często w kierunku wysokiego gmachu, wiedząc, że przebywa w nim Kai Schweigaard, rozgrzany, w eleganckim odzieniu. Nieopodal kościoła stała dzwonnica, a ona zadrezczała się myślami, że nie przyjęła wtedy jego zaproszenia na spacer. Spacer ten poprowadziłby ją, zapewne dość szybko, przed ołtarz i przed twarz udzielającego im ślubu prepozyta.

Tyle tylko że dzwoniłyby dla nich małe, żalodne dzwony.

Mijały miesiące bez krwi, a potem przyszły mrozy, brzuch rósł, lód skuł jezioro i nadszedł wreszcie tamten grudniowy tydzień. Tydzień po powrocie Gerharda Schönauera, w którym nie zdarzyło się nic dobrego.

On miał przynajmniej odwagę, której brakowało Kaiowi Schweigaardowi. Odwagę, by przyjść do Hekne. By kroczyć w samotności drogą, będąc doskonale widocznym pomiędzy śnieżnymi zaspami. By zapukać do drzwi i przekazać jej złe wieści, naprawdę złe wieści. I by wysłuchać jej z godnością, gdy i ona przekazywała złe wieści, naprawdę złe wieści jemu.

Nadal miał zamiar dotrzymać swojej przysięgi. Nadal obiecywał jej Drezno. Lecz na plebanie przybyli jego zleceniodawcy, śledzili każdy jego krok i Gerhard nie wiedział, jak teraz miałyby przebiec ich podróże. Usłyszała rezygnację w jego słowach i pojęła, że oto stoi przed nią człowiek, który chce dotrzymać danego słowa, lecz nie jest w stanie tego zrobić. Ugiął się pod ciężarem jej wyznania o dzieciach, które nosiła pod sercem, posmutniał i zrobił się jakiś dziwny, jego rozpacz przeszła nagle w strach. Pożegnali się, a ona odetchnęła z ulgą, gdy sobie poszedł, bo łączny ciężar ich cierpienia był tak wielki, że ziemia zapadłaby się pod nimi, gdyby za długo stali blisko siebie.

Tkwiła na progu jeszcze przez chwilę i odprowadzała go wzrokiem. Przepędziła domowników,

weszła do swojej sypialni i to tam ujrzała siebie samą na ulicach Drezna. Trafie tam z dwójką dzieci, dzieci będą głodne, gdzie szukać dla nich jedzenia, tam, na południu?

A potem dowiedziała się, co zrobił Kai Schweigaard. Wcześniej wpadłaby do gabinetu pastora i zapytała, czy zapomniał może, kim był Judasz Iskariota.

Przypomniała sobie słowa dziadka. „Zło i głupota, ale nie w sprawach małych, lecz dużych – tego też się nie zapomina”.

Pewnego dnia zakrwawisz, wyszeptła. Pewnego dnia noc oskrobana dopadnie i ciebie, Kaiu Schweigaardzie. Gdzieś na tkaninie z Hekne widać też twoją twarz.

Nazajutrz znów ruszyła nad Martwą Zatokę, tym razem brnąc przez zasy, ze śniegiem oblepiającym wełniane pończochy. Gdy weszła na zamrznięte zakole strumienia, rozległ się groźny trzask, a ona uklękła, odgarnęła śnieg rękawem i wpatrywała się w czarną wodę odbijającą jej twarz. Lecz lód zniekształcał odbicie, jej rysy stały się ostrzejsze, zupełnie jak na jednym z niegotowych szkiców Gerharda.

Wokół niej był tylko śnieg i cisza. Siostrzane Dzwony już nigdy nie zabrzmiały nad Butangen. Lecz dla kogo zadzwoniły w dniu, kiedy leżeli z Gerhardem na kamieniu przy Martwej Zatoce? Czy obwieszczały w ten sposób, że los jej dzieci jest przesądzony, że przeznaczenie już o nim zdecydowało? A może chciały powiedzieć, że czeka ją coś jeszcze gorszego?

Na nocach nie można było do końca polegać. Za każdym razem, gdy przewracała się na drugi bok, wszystkie jej nadzieje zalewała fala rezygnacji. Astrid porządkowała swoje widoki na przyszłość, znikające w nocy jeden po drugim, by wrócić po chwili w tak samo beznadziejnej formie i zaraz znów zniknąć, niczym dzieci szukające daremnie czegoś do jedzenia.

Może powinna zejść nad jezioro, do ludzi na saniach i zmusić ich, by zabrali ją do Drezna? Jaką formę przybrałaby tam jej porażka? Rozważała to i nagle poczuła ciepło bijące od myśli, która zdała jej się najlepszym rozwiązaniem: Ameryka. Musiałaby w takim wypadku wyruszyć przed narodzeniem dzieci, inaczej czekałby ją wydatek na trzy bilety.

Chyba najlepiej będzie jednak zostać w gospodarstwie, odnaleźć w sobie dawny upór, bo przecież wiedziała, że gdzieś się w niej tli. Pochodziła z tej wsi, ludzie będą o niej gadać, ale taki los jest chyba lżejszy niż samotne błąkanie się po okolicy, żywot ubogiej dziewczki, którą najmuje tylko do pomocy przy żniwach. Sama przecież widywała takie kobiety, kładące owinięte w szmaty niemowlęta na skraju łąk i ruszające do pracy z grabiami, by co jakiś czas wymykać się do lasu i dawać małemu mleka. Owszem, spotykało się dziewczęta radzące sobie na własną rękę, ale wszystkie były zacięte i głęboko niezadowolone z życia. Astrid zaś czuła, że i w niej zaczyna coś podobnego kiełkować.

Wyjęła pierścionek od Gerharda Schönauera i obróciła go między palcami. Nie rób mi tego, pomyślała. Bądź dla mnie dobry, Boże. Nie rób im krzywdy. Nie krzywdź moich dzieci.

Trzydziestu w futra odzianych

Konie i sanie czekały już przed stodołą. Odziani w futra mężczyźni zabrali się do pracy, większość z nich miała sumiaste wąsy, gdyż cecha ta od niepamiętnych czasów stanowiła znak rozpoznawczy kompetentnego przewoźnika.

Każdy wiedział, za co odpowiada, a plan był właściwie prosty. Około trzystu partii ładunku. Osiem zaprzęgów, cztery przejazdy dziennie. Dziesięć dni. Najpierw trasa do kościoła w Fåvang, potem przeładunek na większe sanie. Pojadą na południe wzdłuż Losny, jak pasażerowie na gapę na uśpionej rzece, po lodzie tak grubym, że nigdzie nie dało się nawet słyszeć bicia serca jej nurtu. A potem na stały ład w okolicach Tretten, do Lillehammer, znów na lód, przeprawa przez Mjøse do Eidsvoll, gdzie przeładuje się transport do wagonów pociągu towarowego odjeżdżającego do Szwecji i dalej – do samych Niemiec. Jedynym utrudnieniem będzie konieczność przeładowania wszystkiego raz jeszcze w Hamarze, bo poszczególne odcinki linii kolejowej miały różnych właścicieli i różny rozstaw szyn, a lokalni przewoźnicy powątpiewali, czy wagony towarowe z ręcznymi hamulcami to bezpieczny środek transportu dla tak cennych materiałów.

Najtrudniejszym jednak odcinkiem trasy był ten pierwszy. Transport przez Løsnesvatnet odbywał się od stuleci wedle tego samego wzorca, po lodzie skuwającym północne partie jeziora. Sama przeprawa przebiegała zaskakująco szybko, ale po drugiej stronie trzeba było sforsować skarpy i zbocza, by dotrzeć do położonych wyżej podmokłych równin, a konie dawały radę pociągnąć w górę tylko lżejsze ładunki. Sanie bardziej obciążone musiały jechać wzdłuż brzegu jeziora, aż do jego ujścia po stronie południowej, trasa była nieprzyjemna, bo para buchająca z wolnych od lodu głębin osadzała się szronem na końskiej sierści, zmieniając zwierzęta w przerażające lodowe rumaki.

Zaczęło się. Konie prowadzano na wodzy tam i z powrotem przed stodołą, by dobrze udeptały grunt. Tego poranka nad jeziorem uwijało się dziesięciu mężczyzn, dwudziestu kolejnych miało dołączyć do nich w ciągu dnia. Przyprawiono sanie. Kolejne materiały wynoszono na śnieg szybko i bez zbędnych ceregieli, uzgadniając przy tym najlepsze ich rozłożenie na kolejnych pojazdach. Słupy podtrzymujące przez wieki ciężar kościoła wydawały się na białej ziemi bezradne i zagubione, stare i pomarszczone, miały tę samą brązową barwę co sierść roboczych koni.

Zebrał się ten sam co zawsze tłumek gapiów, wodzili wzrokiem pomiędzy nową świątynią a stodołą, a gdy pierwsze konie popędziły przez lód, ciągnąc za sobą sanie pośród muzyki dzwonek, ludzi zaskoczyło nie tempo, w którym to wszystko się odbywa, lecz coś więcej, coś poważniejszego, bo nigdy w historii wsi nie zdarzyło się, by tak duża grupa ludzi przybyła tu, by coś ze sobą zabrać. Żeliwne piece, okienne szyby i ostrza pił przyjeżdżały do Butangen, a gdy już tu docierały, pozostawały we wsi, dopóty nie rozpadły się ze starości lub nie przerdzewiały.

Gerhard Schönauer stał z protokołem w dłoniach, notując, które elementy trafiają na które sanie. Nikomu nie udało się uchwycić jego spojrzenia, młody architekt mówił bardzo niewiele. Profesor Ulbricht i kawaler dworu Kastler kręcili się w pobliżu, odziani w przepyszne niedźwiedzie futra, kupione za okrągłą sumkę od Hallsteina Husego.

Pierwsza partia materiałów odjechała bez zbędnych ceremonii. Załadowano je na sanie, okręcono szorstkim konopnym sznurem i wywieziono ze wsi gdzieś w szeroki świat. Kolejna część materiałów pojechała zaraz po pierwszej, bez konieczności dyrygowania ludźmi czy wydawania jakichkolwiek poleceń. Sanie wróciły kilka godzin później, a po obiedzie Gerhard Schönauer pojechał pod kościół w Fåvang, by sprawdzić tam, jak mają się sprawy. Wyjął znów swój protokół i zaczął notować. Jeden z koni szturchnął go pyskiem w plecy, było to olbrzymie zwierzę, spokojne i łagodne, a gdy poklepał je po pysku, poczuł się, jakby dotykał porośniętej sierścią skały. Tutejsze konie przypominały mu te, które pamiętał z Memel, zwożące na przystań ładunki drewna z lasów rosnących przy granicy z Rosją, zwierzęta, które równym krokiem przechodziły przez całe swoje życie, nie oczekując podziękowań ani nie mając nawet zdolności ich przyjąć.

Podczas kolacji profesor Ulbricht, ubrany w szary garnitur i krawat wpuszczony pod kamizelkę, ogłosił, że następnego dnia wybiera się z Kastlerem do Lillehammer, chcieli pojechać za saniami

wiozącymi portal, zatrzymać się w hotelu i przeprowadzić „kulturowo-historyczne studium regionu”. Okazało się, że już uzbierali sobie całą skrzynię trofeów z tego dzikiego kraju, skarbów, które – jak zakładał Gerhard – przydadzą się do przechwałek nad kieliszkami koniaku w Dreźnie. Były tam malowane półmiski, posrebrzane noże, rzeźbione szpule do włóczki i kopyści do mąki i kaszy, ozdobne weselne brosze i haftowane damskie czapeczki.

Obaj podziękowali za jedzenie i wstali, by iść wcześniej do łóżek.

Gerhard Schönauer został przy stole. Kai Schweigaard odprowadził gości na korytarz, pożegnał ich i stanął w drzwiach jadalni.

– Spójrz na mnie – powiedział Schönauer.

– Przecież patrzę.

– Spójrz mi w oczy. Rozumiesz, co zrobiłeś? Rozumiesz?

– Przecież w nich nie ma nic niezwykłego – stwierdził Kai Schweigaard. – Możecie je zabrać.

To tylko brąz.

Gerhard Schönauer zaczął kasłać, wstał i podszedł do pastora.

– Myślałeś, że jestem niedojdą. Cherlawym artystą.

Kai Schweigaard prychnął.

– Niech pan się pójdzie położyć, panie Schönauer. Bo chyba pan nie wie, co mówi. Sprawa wygląda tak, że uwiódł pan niewinną dziewczynę, a teraz pan sobie wyjeżdża. To jest prawdziwy powód do wstydu, a dźwięk dzwonów będzie panu o tym tam na południu w Dreźnie przypominał.

Stali naprzeciw siebie dłuższą chwilę.

– Pożałujesz tego – powiedział Gerhard Schönauer. – Na tyle cię znam. Ale teraz zobaczysz, do czego ja jestem zdolny.

Odszedł, a Kai Schweigaard został sam, wpatrując się w swoje odbicie w szybie jadalnianego okna.

Kastler i Ulbricht wyjechali następnego poranka, upewniwszy się wcześniej, że przewoźnicy wiedzą, które dzwony należy zabrać. Niemcy wywieźli ze sobą rysunki kościołów wykonane przez Gerharda, by „ocenić ich jakość w lepszym świetle”. Duński lokaj wymachiwał ramionami i wyrzucał z siebie kolejne rozkazy, a potem wsiedli na sanie, spokojni i weseli, bezpieczni i rozleniwieni w swoich niedźwiedzich futrach, cieszący się najwyraźniej na podróż niczym na świąteczny kulig.

Gerhard Schönauer pracował dalej.

Przyzwyczał się już do odgłosów. Pomruków mężczyzn nabierających powietrza głęboko do płuc chwilę przed tym, jak mieli dźwignąć jakiś ciężar, parskania koni, skrzypienia płóz, stukotu kopyt na lodzie i dobiegającego z oddali wiecznego walenia młotków przy nowym kościele. Zappełniał linię za linią w swoim protokole, wysyłał w podróż kolejne części świątyni, pracował od rana do wieczora z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Co chwila spoglądał w stronę Hekne, lecz myślał o dniu, w którym jeden z dzwonów zmienił kierunek w locie i zaczął spadać wprost na niego. Wiedział, że w tej sprawie rozmawiać może tylko z siłami wyższymi.

Pod kościołem w Fåvang rosły brązowe stosy materiałów, pięknie przyciętych drewnianych bali, które przestały już spełniać swoją funkcję i leżały tu, jakby ktoś je przywiózł z jakiegoś zaczarowanego lasu. Mężczyźni przykładali się do roboty, wozili ładunek za ładunkiem bez słowa skargi, pocili się, prowadząc konie pod górę, i marzli, schodząc w dół. Osypani śniegiem ludzie i zwierzęta wyłaniali się z lasu, wioząc stary kościół, by wyładować go niedaleko innego, nowszego. Ponieważ Gerhard musiał być obecny zarówno przy stodole, by wszystko protokołować, jak i w Fåvang, gdzie kontrolował rozładunki, wożono go codziennie tam i z powrotem. Konie znajdowały już drogę bez pomocy i parę razy wracał nad jezioro sam, trasa była łatwa, zwierzęta brnęły do domu przez zamrożone na kamień mokradła.

Sanie krążyły tam i z powrotem, niczym czółenka tkające motyw kościoła, i przyszedł w końcu ten dzień, w którym Gerhard Schönauer przewiózł niewielką partię materiału zupełnie sam. Następnego dnia zrobił to ponownie i wrócił do wsi z kolejnymi liniami zapisanymi w swoim protokole. I jeździł tak, aż pozostali nawykli do tego, że im pomaga. Czuł w kręgosłupie ruchy podkutego szerokimi podkowami konia. Zwierzę skręcało ufnie przy stromym zboczu wzgórza i brnęło wzdłuż nieskutej lodem brzegu,

niedaleko mielizny, na której wędkował tamtego lata, gdy wszystko jeszcze było inaczej.

To jeszcze nie koniec, pomyślał Gerhard, tocząc spojrzeniem po Løsnvatnet. Ktoś tu jeszcze może się zamachnąć swym łuskowatym ogonem.

Tam, gdzie pływa szary śryż

Sen okrył ją wreszcie swoim pledem i śniło jej się, że podchodzi do kuszących swym pięknem kwiatów po to tylko, by odkryć, że rośliny chcą opleść ją ciemnymi łodygami i pokuć. Potem nastąpiła nagle zima, a ona szła po Løsnesvatnet, aż do miejsca, w którym lód był tak cienki, że głębia przyjęła do siebie ją i jej dzieci.

W ciągu nocy koszmary odpuściły. Łagodna dłoń gładziła ją po policzku, tak jak robiła to czasem matka, chcąc pochwalić ją za dobre zachowanie, ale to był ktoś inny, kobieta naznaczona jakąś wielką stratą. Astrid zamrużyła oczami i zdało jej się, że widzi nieznaną siedzącą na skraju łóżka. I powiedziała sobie: nie jesteś kimś takim, nie jesteś tą, która się topi w Løsnesvatnet.

Nie jesteś kimś takim.

Nie jestem kimś takim.

Zasnęła głębokim, spokojnym snem, a gdy się obudziła, na dworze było już szaro i zdało jej się, że słyszy kościelne dzwony.

Usiadła na łóżku.

Tony kościelnych dzwonów brzmiały nad Butangen. Lecz nie było to zwykłe dzwonicie, raczej jedno nieustające bicie, uderzenie za uderzeniem niosące się nad jeziorem, odbijające od zboczy doliny i zderzające ze swoim własnym echem, dwojonym i znów dwojonym na nowo. Ton stawał się coraz bardziej przytłumiony i wkrótce został po nim już tylko rozdźwięk, a gdy Astrid dopadła do okna i spojrzała na sypiący z nieba śnieg, poczuła w brzuchu kopnięcie i była już pewna, że to nie zmysły płatały jej figla.

To brzmiały Siostrzane Dzwony.

Ludzie ujrzeni karego konia, który pędził przez skute lodem jezioro, ciągnąc za sobą hołoble, w tak zawrotnym tempie, że zniknął im zaraz z oczu w zadymce. Gdy w końcu udało się go komuś złapać, musieli prowadzić go spokojnie przez pół godziny, żeby koń nie dostał krwotoku po takim wysiłku. Schodzili się kolejni gapie, a przewoźnicy wrócili spod kościoła w Fåvang i powoli zaczęła nabierać kształtu historia, a przynajmniej jej pierwsza wersja:

Sanie wiozące Siostrzane Dzwony musiały wywrócić się na skarpie nad Løsnesvatnet, przy południowym brzegu, gdzie woda była głęboka i wolna od lodu, a Gerhard Schönauer został wciągnięty pod powierzchnię razem z nimi. Dzwony zaczęły dźwięczeć od kolejnych uderzeń o ziemię, spadając ze skarpy, ich potężny ton rozbrzmiewał jeszcze spod wody, coraz bardziej stłumiony w miarę, jak tonęły coraz głębiej, aż w końcu dotarły na dno, gdzie zamilkły na wieki. Nie sposób było powiedzieć, w którym dokładnie miejscu doszło do wypadku, bo buchająca z jeziora para roztopiła leżący na długim przybrzeżnym odcinku śnieg, zaś i ten, który nie stopniał, był udeptany na pasie o szerokości kilku dobrych metrów, przez jeżdżące tamtędy codziennie kolejne zaprzęgi.

Z nieba wciąż sypało, wielkie, leniwe płatki topiły się, zmieniając w szarą śryżową powłokę na otwartej wodzie, lecz wszędzie indziej świeży śnieg robił to, co robi zazwyczaj, i – jak na współnika uciekinierów przystało – rozesał gruby biały kobierzec nad wszystkimi śladami, zarówno płóz, jak i stóp.

Ktoś wszedł na lód i dotarł aż do skraju ciemnej, parującej wody, ludzie chcieli zobaczyć, czy Niemiec unosi się może na powierzchni, lecz nikt nie miał odwagi podejść zbyt blisko, otchłań przywozowała na myśl krawędź świata, jeszcze w czasach, gdy najmądrzejsi nawet ludzie sądzili, że Ziemia jest płaska.

Dwaj mężczyźni odgarnęli śnieg sprzed przystani i wyprowadzili z niej łódź. Nieco pojaśniało, szary blask poranka przebijał się przez sypiący śnieg, ale widoczność była mimo to tak słaba, że nikt nie miał wielkich nadziei na znalezienie zwłok. Mężczyźni powiosłowali wzdłuż brzegu, przez parującą ziemię niczyją pomiędzy oderwanymi kawałami kry a niezamarzniętą wodą i dalej, ku złowieszczej szarej zupie śryżu i pary skrywającej zanurzone w wodzie wiosła. Gapie widzieli łódź w kilkusekundowych odstępach, a potem znów zniknęła im z oczu, ludzie słyszeli chrzęst, gdy stępka szorowała o lód, i właśnie w jednej z takich chwil, gdy śmiałków na pokładzie spowiła kolejna chmura

pary, rozległ się ich krzyk. Mężczyźni wyłowili z wody konopny sznur, a gdy wracali już do brzegu, natrafili na pływającego tuż przy łądzie oprawiony w skórę notatnik. Otworzyli go i patrzyli, jak woda ścieka po nazwisku mężczyzny, który przybył do nich w kwietniu: „Gerhard Schönauer”.

Legenda o końcu Siostrzanych Dzwonów została tego dnia wykuta i zahartowana tak szybko i nieodwracalnie jak opowieść o ich stworzeniu. Po wydarzeniach tego poranka wszyscy byli zgodni, że to dzwony przynależne ich wsi, bardziej jeszcze niż kiedykolwiek wcześniej, bo wszystko zdarzyło się teraz, na ich oczach, i w ten właśnie sposób stare historie o dzwonach stopiły się z tą jedną, nową. Potrzeba wyjaśnienia jakiegoś tego, co się stało, dała początek mnóstwu domysłów i powstała w końcu legenda złożona, tak jak zdobienia w kościele łącząca w sobie elementy wiary dawnej i wiary nowej. Ludzie byli zgodni, że to sam Bóg zaprotestował przeciwko wywiezieniu dzwonów z Butangen. Wielu oczekiwało, że w kolejną niedzielę rozlegnie się pod wodą ich bicie. Historie krążyły między grupkami ludzi, niektórzy zegnali się znakiem krzyża i nikt nie zauważył, że to Astrid Hekne weszła najdalej na skute lodem Løsnesvatnet, zbliżając się do krawędzi otwartej wody, mimo poczynionych już ustaleń, że Niemca porwały pewnie podwodne prądy, ciągnąc go na dno albo gdzieś dalej pod lodem i że jego ciało raczej w tym samym miejscu już nie wypłynie.

Poszła tam, bo chciała tam pójść.

Stanąła na cienkiej krawędzi oddzielającej postrzępiony lód od otwartej wody, tam gdzie para unosiła się nad małymi, leniwymi falami, i tkwiła tam, ponieważ miejsce to przypominało przestrzeń, w której znalazło się także jej życie, zawieszona pomiędzy bezpieczną codziennością a nadchodzącą katastrofą.

Tam leży wasz ojciec, powiedziała do dzieci. Dzwony musiały bić dla niego przez całą drogę w dół, a on tonął coraz głębiej i łatwiej będzie go tak pamiętać, ja zaś zostanę tutaj, szczęśliwa, że on jest blisko nas.

Śmierć stosunkowo lekka

Plotki to nasiona legendy, lekkie, by mógł rozsiewać je wiatr, szybko kielkujące. Zanim prawda się ukorzeni, plotka już dawno rozkwitnie i wypuści pędy swoich własnych prawd, bo najbardziej nawet niedorzeczne wymysły cechują się tym, że ktoś przecież je powtarza, zaś ten właśnie fakt – że są powtarzane – jest przecież prawdą, mimo że samo to, o czym się mówi, nigdy nie miało miejsca.

Ludzie zachodzili przede wszystkim w głowę, jak to możliwe, że tak liczna załoga mężczyzn, wytrawnych przewoźników i mistrzów w powożeniu sańmi, rozkładaniu na nich ciężaru i zabezpieczaniu transportu, pozwoliła, by młody, obcy człowiek, cudzoziemiec, odjechał z najcenniejszym ze wszystkich ładunków, zupełnie sam, w śnieżnej zadymce, bez eskorty z przodu czy z tyłu, bez nikogo, kto pomógłby mu w razie trudności. Kolejnym wątpliwym wątkiem w tej historii było poluzowanie się lin. Dzwony przytwardzali przecież do sań mężczyźni z czterdziestoletnim doświadczeniem, ładunek nie miał więc prawa spaść, nawet w wypadku wywrotki.

Kwestie te podniesiono na poważnie, gdy w miejsce zdarzenia przybył Mons Flyen i dwaj najstarsi ludzie z jego załogi. Flyen posłał po przebywającego w Lillehammer profesora Ulbrichta, następnie zaś przemierzył pieszo odcinek od stodoły do miejsca wypadku. Śnieg zdążył już zasypać ślady płóz, lecz on schylał się mimo to wielokrotnie i kopał w białym puchu, zatrzymywał się w punktach widokowych, w których mógł zmierzyć odległości i kąty, zdejmował wełnianą rękawicę, pocierał podbródek i bębnił palcami w usta. Szybko ustalił, że pan Schönauer zachowywał się poprzedniego dnia dziwnie, a wczesnym rankiem bardzo nalegał, by oba kościelne dzwony załadować na jedno sanie. Następnie przygotowano dwa kolejne pojazdy, które miały pojechać razem z nimi. Ale wtedy kary koń zaprzęgnięty do sań z dzwonami nagle się spłoszył. Popędził przed siebie, a Niemiec rzucił się na ładunek, lecz nie zdołał – albo też nie chciał – zatrzymać zwierzęcia, które pobiegło przed siebie. Jakiś czas później koń i sanie zamajaczyły pomiędzy drzewami po drugiej stronie jeziora, po czym potem rozległ się ten straszny dźwięk i zwierzę wróciło samo, oszalałe ze strachu.

Akt oskarżenia przeciwko Schönauerowi był skomplikowany i wymagał znajomości terminów takich jak napierśnik i hołoble, kleszczyny i nagrzbietnik, jak również rozeznania w terenie na przeciwnym brzegu Løsnesvatnet, na który mało kto lubił się wypuszczać. Mogło się wydawać, że Gerhard Schönauer sam spowodował wypadek, po czym uciekł albo się utopił. Lecz podejrzania te były zbyt mało konkretne, by zachwiały się pod ich ciężarem podwaliny historii, która już krążyła po okolicy, tak samo wyraźna i przejmująca jak unoszące się rankiem nad wsią kolejne uderzenia dzwonów. Wedle niej to siły wyższe doszły do głosu, dokonując tego, co próbowała zrobić przy rozbiórce kościoła Halfrid, i pozbawiając życia człowieka, który chciał uprowadzić dzwony. To wyjaśnienie było lepsze, jasno wiązało się z wsią, nie sposób było go zlekceważyć, niosło w sobie jednocześnie naukę i głęboki morał. Mało prawdopodobne zdawało się, by Niemiec sam chciał zniszczyć wszystko, na co z takim zapałem i wysiłkiem pracował już od kwietnia. Prawda musiała być taka, że człowieka tego spotkała kara boska. A ponadto: widywano go przecież razem z Astrid Hekne, której przodek ofiarował niegdyś kościołowi te dzwony i która teraz chodziła w ciąży.

Lecz przewoźnicy prowadzili dalej swe śledztwo, odkrywając coraz to kolejne podejrzone szczegóły. Znaleźli zdeptaną w śniegu linę, ewidentnie przeciętą nożem. Przerwali pracę i uzgodnili, że wrócą do niej tylko, jeśli dostaną obietnicę wypłaty pełnego wynagrodzenia. Upierali się, że zmarły Schönauer sam zniszczył przewożony ładunek.

Niedługo potem zdarzyło się coś jeszcze. Zgłoszono zaginięcie Arvida Hallego, ułomnego chłopaka, który nie powinien właściwie wychodzić sam z domu. Zaginiony ruszył rankiem nad jezioro razem ze swoim bratem, by obejrzeć pracujące przy transporcie konie, ale zawieruszył się potem w całym zamieszaniu. Ludzie kręcili się przy brzegu i minęło trochę czasu, nim brat zauważył, że chłopaka przy nim nie ma. Gapie byli coraz bardziej wzburzeni, on zaś zaczął biegać dookoła i nawoływać Arvida, poruszając się w coraz większych kręgach, aż w końcu dojrzał brata w lesie na drugim brzegu Løsnesvatnet. Chłopak szedł, brodząc w śniegu, od strony północnej, gdzie nikt nigdy nie miał żadnego interesu, wlokąc za sobą jakiś ciężki przedmiot o nieregularnych kształtach. Okazało się, że to płaszcz,

przemoczony i zamrznięty w nieforemną bryłę o czerwonych fałdach. Arvid ciągnął go za rękaw, zostawiając za sobą ślad, i gdy dotarł w końcu do zgromadzonych na brzegu ludzi, ktoś zaraz rozpoznał w nim rudawe okrycie Gerharda Schöнауera z czerwonymi ósemkami wyhaftowanymi wokół dziurek na guziki.

Arvid Halle nie mówił zbyt wyraźnie, ale z pomocą brata dało się ustalić, że płaszcz został znaleziony przy północnym krańcu Løsnesvatnet. Ruszyła tam natychmiast długa, wąska kolumna mieszkańców wsi, najszybsi szli na przedzie, najwolniejsi wlekli się z tyłu. Gapiów była prawie setka, a gdy dotarli na miejsce, musieli niechętnie przyznać, że dzień stracił na atrakcyjności, bo kleczenie legendy to jedno, gdy materiały są ulotne i dają się łatwo formować, a widok zamrzniętego na śmierć człowieka to już coś zupełnie innego.

Leżał twarzą w dół, skulony, z dłońmi wcisniętymi między nogi, na żalostnej kupce świerkowych gałęzi, w mokrych butach i z lodem we włosach, zaraz przy stosie gałązek, z których chciał zapewne rozpaść ognisko. Tuż obok jednej z jego dłoni spoczywało mokre pudełko zapalek z napisem w języku niemieckim. Kilku mężczyzn utorowało sobie do niego drogę, rozpychając się w tłumie łokciami, uklękło nad ciałem i stwierdziło, że wychłodzenie potrafi mieszać w głowie, a dotknięci nim nieszczęśnicy często czują, że jest im gorąco, i zaczynają zdejmować wierzchnie odzienie. Następnie wyczerpanie stępią zupełnie zdolność myślenia, tak że biedacy ci mrą śmiercią stosunkowo lekką.

Tyle że siły wyższe, czym lub kimkolwiek były, zdawały się mieć wobec Gerharda Schöнауera inne plany niż zwykła śmierć nad brzegiem Løsnesvatnet na oczach dziewięćdziesięciorga gapiów. Gerhard wymamrotał coś po niemiecku, poruszył się powoli, niczym mucha na okiennym parapecie, która budzi się z zimowego snu, nie będąc w stanie się bronić, nieświadomy, gdzie jest ani kto na niego patrzy. Wielu zgłosiło się na ochotnika, by go ponieść, i te same sanie, na których jechały tego ranka Siostrzane Dzwony, powiozły go teraz na plebanię, gdzie powitał go Kai Schweigaard, zamyślony i jakby nieobecny. Schöнауera wniesiono do sypialni, Schweigaard rozebrał go i nakazał, by nie rozpaść w piecu zbyt gwałtownie. Gdy Margit Bressum ujrzała stopy i palce Gerharda, powiedziała, że trzeba posłać po doktora i od razu po piłę, bo tu wchodzi w rachubę tylko amputacja.

Pastor ukucnął i chwycił stopy Schöнауera. Trzymał je długo w swoich dłoniach. Następnie ujął jego rękę i trzymał je równie długo.

– Proszę przynieść krucyfiks z mojego gabinetu. I powiesić go tutaj nad łóżkiem.

Gospodyni zrobiła, co jej kazał.

– Po piłę pošlemy dopiero, jak będzie wiadomo, że trzeba coś odpiłować – oświadczył Kai Schweigaard. Pani Bressum nie wiedziała, co ze sobą zrobić, pokręciła się po izbie, zaciągnęła zasłony i zaczęła zamiatać podłogę przy kominku.

– Nie trzeba – powiedział jej Kai Schweigaard. – Proszę sprowadzić Astrid Hekne. Żeby go doglądała.

– Ją? Tutaj? Co też pastor gada?!

– Powiedziałem, co powiedziałem.

– A co na to ludzie?

– Proszę przygotować dla niej posłanie w izbie obok, posłać na górę jedzenie i dać jej klucz do drzwi. Nie obchodzi mnie, co na to ludzie. Od teraz martwimy się tylko, co na to Bóg.

Kai Schweigaard klęczał w sypialni.

A teraz jeszcze zabójstwo, myślał.

Jeśli on umrze, to będzie zabójstwo.

Astrid przybyła na plebanię jakiś czas wcześniej, rozpoznał jej kroki w korytarzu. Ale nie miał odwagi się z nią spotkać. Tkwił w izbie, sam, tak blady, że służąca bała się wejść do środka, dręczony wyrzutami sumienia na myśl o chwili, w której zdradził Astrid Hekne i siebie samego. Wszystko, co kiedyś niosło w sobie obietnice, teraz pierzchnęło na cztery wiatry. Równie dobrze mógłby przyklejać opadłe szpilki do zeszlórocznego świątecznego drzewka.

Splótł dłonie i wbił sobie kostki kciuków w skórę na czole tak mocno, że cała czaszka zawibrowała.

Odpowiedz mi, modlił się.

Odpowiedz mi, Boże, czemu w moich żyłach płynie ten czarny szlam. Popiół i ocet, i żółć. Powiedz mi, jak się go pozbyć. Powiedz, czy w ogóle wolno mi być duchownym, czy chcesz, bym jeszcze nim był.

Twarde deski podłogi. Nagie ściany. Wygasły kominek.

Odpowiadaj!

Doskonale wiedział, sam zresztą mówił o tym przecież na kazaniach, że wiara jest wiarą tylko wtedy, gdy nie ma żadnej odpowiedzi i żadnego dowodu. Lecz skała w jego sercu tkwiła już tak głęboko, że nie potrafił ocenić jej wielkości, możliwe, że wypełniała go już całego, a warstwa gleby, na której coś mogło wyrosnąć, była kłamliwie cienka.

Kolejny raz sięgnął po wysłużoną księgę niebędącą Biblią. „A przeto nigdy nie wypytuj, komu bije dzwon – bije on tobie”.

Następnego ranka przybyli Ulbricht i Kastler, obaj w paskudnym humorze. Pastor próbował uspokoić ich wyjaśnieniem, że dzwony zatoniły na skutek wypadku i nie powinni za to winić Gerharda Schönauera.

– Naprawdę bardzo mi przykro – powiedział Kai Schweigaard. – Ale niewiele da się tu zrobić. Warunki umowy zostały dopełnione.

Oświadczył, iż Gerhard Schönauer, mimo przeziębienia i bólu głowy, pracował równie sumiennie i starannie jak w pierwszych dniach po przyjeździe do Butangen, teraz zaś leży trawiony wysoką gorączką i jest w stanie podać jedno tylko sensowne wyjaśnienie całej sprawy: płoza sań trafiła na przysypany śniegiem pień i pojazd spadł ze skarpy, Gerhard zaś wylądował w wodzie, starając się uratować dzwony przed zatonięciem.

– Chcemy z nim pomówić – powiedział Kastler. – Gdzie go znajdziemy?

– Ależ on jest nieprzytomny – zaprotestował Schweigaard.

– On jest nasz! – stwierdził Ulbricht.

Pastor nakazał gospodyni wyprowadzić Astrid z pokoju chorego, a potem poszedł tam z gośćmi. W izbie unosił się duszący, ostry zapach, sam zaś Schönauer leżał w białej pościeli spocony jak mysz.

– Czy mógłby pan zostawić nas samych, panie pastorze? – zapytał Kastler.

Profesor i kawaler dworu długo siedzieli w pokoju Gerharda. W końcu zeszli do salonu, a Ulbricht oświadczył:

– Trzeba sprowadzić do niego porządnego lekarza. Niezwłocznie. Musimy też znaleźć kościelne dzwony. Wyznamy nagrodę. Obwieścimy, że gotowi jesteśmy zapłacić sto koron za każdy z *Die Schwesterglocken*, jeśli uda się je odnaleźć w ciągu dwóch dni. Musicie szukać! Teraz!

Kai Schweigaard powiedział:

– Wątpię, czy ktokolwiek zdołałby je odnaleźć. Nie mam pojęcia, co tak naprawdę się stało, ale Løsnvatnet to bardzo głębokie jezioro. Powiedzieć mogę tyle: dostaliśmy dwa dzwony do nowego kościoła w darze od innej parafii. Mogę je panom zaproponować w zamian.

– W zamian? – spytał Kastler.

– Co za różnica. Dzwony to dzwony.

Kawaler dworu długo mierzył go wzrokiem. Uśmiechnął się nieznacznie i prychnął. Obaj mężczyźni odjechali, nie mówiąc, gdzie się wybierają ani co planują.

Następnego wieczora Kai Schweigaard dostrzegł coś za oknami plebanii. Daleko w ciemnościach, po drugiej stronie Løsnvatnet, majaczyły żółtawe drgające światła. Wyglądało na to, że ktoś chodzi z pochodniami nad brzegiem. Pastor narzucił na siebie płaszcz i zszedł do stodoły, gdzie spotkał mieszkańców wsi, również zachodzących w głowę, co się dzieje. Czterech mężczyzn ruszyło przez lód, by to sprawdzić, lecz wtedy pochodnie zgasły, a zwiadowcy wyłonili się z ciemności, nie ustalwszy, kim byli tamci ludzie.

Koperty w Pieśni nad Pieśniami

Gerhard Schönauer obudził się tej samej nocy, ale nie poznał Astrid. Dziewczyna skłoniła go do wypicia odrobiny mleka, chory mamrotał coś po niemiecku, co chwila wstrząsały nim dreszcze. Astrid zamknęła drzwi na klucz i przytuliła się do niego, tak jak z początku, gdy był zmarznięty i trzeba go było rozgrzać. Kładła się wtedy raz za jego plecami, a raz twarzą do niego, aż sama zaczynała marznąć. Wtedy wstawała i szła do kominka, by rozgrzać skórę, wracała do niego i tak się to powtarzało przez całą noc. Palce miał paskudnie odmrożone, kładła je sobie pod pachy, na brzuch, w którym rosły dzieci, przenosiła z miejsca na miejsce, by zimne dłonie zawsze dotykały cieplej skóry.

A teraz trawiła go gorączka. Spróbował usiąść na łóżku, ale zaraz znów stracił przytomność. O świcie Astrid nie miała już odwagi leżeć naga, ubrała się, otworzyła drzwi i usiadła na stołku.

Margit Bressum przyszła podać jej kawę i zabrać nocnik. Ktoś znów zapukał do drzwi, a Astrid, przekonana, że to wraca gospodyni, pozwoliła jej wejść do środka.

– To ja – odezwał się Kai Schweigaard.

Stał w progu. Miał na sobie sutannę.

Astrid przeniosła wzrok z Kaia Schweigaarda na Gerharda Schönauera, przełknęła ślinę i chciała wstać, lecz pastor potrząsnął głową i poprosił, by się nie ruszała z miejsca.

– Dzwony – powiedziała. – Ty...

– Bądź tak dobra i nic nie mów, Astrid. Wiem, co mam na sumieniu, i jest tego tyle, że to już sprawa między mną a Wszechmogącym.

Podszedł do łóżka i zapytał, czy Gerhard coś jadł. Astrid powiedziała mu o tych kilku łykach mleka. Schweigaard uniósł kołdrę i przyjrzał się palcom u stóp chorego.

– Profesor i kawaler dworu podejrzewają, że umyślnie zatopił dzwony – rzekł. – Choć nie pojmują dlaczego.

– Dzieci – rzuciła Astrid.

– Co?

– Zrobił to dla dzieci.

– Dlaczego mówisz w liczbie mnogiej?

– Bo jest ich dwójka. Wiem, że jest ich dwójka. Framstadowa mi to pokazała.

Minęła dłuższa chwila.

– Chciałaś wyjechać razem z nim? – spytał Kai Schweigaard.

Odparła mu, że tak to sobie wyobrażała.

– Nie możesz mu teraz towarzyszyć do Drezna. Niemcy wiedzą, że dzwony pochodzą z Hekne. Od razu by się domyślili, że on to zrobił dla ciebie.

– Chcę przy nim być. Ale nie mamy pieniędzy, by razem wyjechać.

– Będzie tu musiał po was wrócić. Ale...

– Ale co?

Kai Schweigaard pokręcił głową.

– Jest tak chory, że nie wiadomo, czy przeżyje. To byłaby zupełnie inna sytuacja dla ciebie i dla... dzieci, gdybyś urodziła jako mężatka. Rozumiesz?

Potwierdziła.

– Pojadę za nim później – powiedziała. – Skoro on zdołał dotrzeć z Drezna do Butangen, to z pewnością uda mi się pokonać tę samą drogę, tyle że w odwrotnym kierunku.

– Ale ty go chcesz poślubić? – spytał Kai Schweigaard z gardłem ściśniętym tak, że jego słowa zabrzmiały niewyraźnie.

Astrid spojrzała na Gerharda i rzekła:

– Chcę go poślubić. Oczywiście, że chcę poślubić kogoś takiego jak on.

Pastor zadrżał nieznacznie, ale uspokoił się zaraz.

– Nie macie zbyt wiele czasu – rzekł. – Możliwe, że Niemcy wrócą jeszcze dzisiaj z lekarzem i sałmami. Potrzebują go do odbudowy kościoła. I może właśnie dlatego uda mu się ująć z tego cało.

Gerhard Schönauer poruszył się niespokojnie w łóżku.

Astrid wstała i podeszła do lustra, przeczesała włosy dłonią, a ruch ten był niczym pełen zmęczenia gest pożegnania z tym, co minęło.

– Chciałam to zrobić w kościele. Ubrana w kupną suknię. Otoczona świecami. Przy biciu dzwonów.

– Nic nie stało się tak, jak miało się stać – odrzekł Kai Schweigaard. – Z mojej wyłącznie winy. Nie masz pewnie pierścionka, ale...

– Mam pierścionek – przerwała mu Astrid.

– Poślij po mnie, kiedy on się obudzi – powiedział pastor. – Gdy tylko otworzy oczy.

Astrid poszła po swoje odświętne ubranie, a gdy matka zapytała, co też wyprawia, odparła, by się zajęła swoimi sprawami, bo przecież nie było kościoła ani ołtarza, do którego mógłby poprowadzić ją ojciec. Nikt nie pojął, że dziewczyna mówi poważnie, ona zaś wróciła na plebanię. Gerhard obudził się jakiś czas wcześniej i siedział wsparty na poduszkach, udało mu się nawet wydusić z siebie kilka słów między kolejnymi napadami kaszlu. Gospodyni upięła włosy Astrid, dla Gerharda znalazła odświętny strój, który został jej po mężu nieboszczyku. Chwilę później z korytarza na parterze dobiegły głosy. Stali tam ojciec Astrid, Oline i Emort.

Sprowadzili Gerharda do prowizorycznej kaplicy w salonie, gdzie młoda para i świadkowie zajęli miejsca pośród nielicznych, z rozmysłem wybranych pozostałości starego kościoła.

Kai Schweigaard wkroczył do pokoju. W Biblii, którą ze sobą niósł, wciśnięte między pierwszy a drugi rozdział Pieśni nad Pieśniami, tkwiły dwie małe koperty z aktami małżeństwa.

Pobrali się na środku salonu, w blasku zimowego słońca sączącym się przez okno. Gdy Kai Schweigaard wypowiedział słowa „Bóg ustanowił małżeństwo”, jego głos nagle się załamał.

Astrid Hekne położyła dłoń na jego ramieniu i gdy wszyscy troje stanęli tak, złączeni jej dotykiem, rzekła:

– Powiedz to, proszę, wszystko po niemiecku.

Pastor kiwnął głową i odprawił dalszą część ceremonii w języku Gerharda Schönauera. Młody Niemiec powiedział Astrid *ja*, mimo że strasznie świszczało mu w płucach, i wsunął pleciony pierścionek na palec jej prawej dłoni.

Chwilę potem zostali sami. Dziewczyna przytuliła się do niego i słuchała jego oddechu. Gerhard zebrał siły i się do niej odwrócił.

– Astrid?

– Tak, Gerhardzie?

– *Schön ist, was ich sehe.*

Pojedziesz do Drezna

Pochodnie po drugiej stronie Løsnesvatnet zapłonęły również tego wieczora. Następnego ranka było już jasne, że w poszukiwaniach bierze udział co najmniej ośmiu mężczyzn. Przewodził im Kastler i jakiś obcy, bardzo wysoki człowiek w czarnym płaszczu, a ci, co odważyli się podejść bliżej, zobaczyli, że nieznajomy ma dziobatą twarz, przywodzącą na myśl kaszę, która stała za długo w garnku i zaczęła fermentować.

Pomiędzy mieszkańcami Butangen doszło w tamtych dniach do niezwykłego porozumienia. Nikt nie chciał pożyczyć obcym łodzi do poszukiwań, u nikogo nie było nagle noclegu, żadnego jedzenia, a już z pewnością nie dało się znaleźć suchego drewna na ognisko. Odnalezienie Schönauera zrobiło na miejscowych wielkie wrażenie, lecz wypadki tego dnia interpretowano różnie. Niektórzy uważali, że dzwony dokonały na nim swej ostatecznej zemsty, inni zaś sądzili, iż to właśnie on okazał się ich wybawcą, i tak dla jednych młody Niemiec był grzesznikiem, który odpokutował za swoje przewinienia, dla drugich był bohaterem. Wszyscy natomiast zgadzali się co do tego, że południowy skraj Løsnesvatnet stał się mogiłą dla dzwonów, a każde uderzenie wiosła w tamtejszą wodę to nic innego jak świętokradztwo.

Pracy obcych mężczyzn przyglądał się spory tłumek gapiów, niektórzy wynajdowali sobie sprawy do załatwienia po drugiej stronie jeziora, wymagające wypuszczenia się tam konno lub na nartach i wchodzenia im w drogę. Po łodzi krążyły tam i z powrotem regularne pielgrzymki, a każda z nich przynosiła ze sobą nowe plotki o tym, co robią i mówią obcy. W okolicach południa udało im się podobno znaleźć na brzegu złamaną deskę. Widniała na niej zapisana ołówkiem waga w funtach bezmianowych, dlatego też rozpoznano ją natychmiast jako pozostałość po skrzyni, w której przewożono dzwony. Lecz nic więcej nie udało się odnaleźć, a tego wieczora pochodnie nad jeziorem już nie zapłonęły.

Następnego ranka zmieniło się zaś wszystko.

Odkryto włamanie do przystani i kradzież łodzi, zaś po drugiej stronie jeziora stało pięciu ludzi, podekscytowanych i zadowolonych. Zebrali się wokół kościelnego dzwonu, jeszcze ogrzanego od wody. Płatki śniegu topniały na brązowym płaszczu.

– Jesteś wreszcie. A teraz pojedziesz do Drezna – oświadczył jeden z mężczyzn.

Udało im się odnaleźć Halfrid. Dzwon leżał na boku niczym świeżo ustrzelona łania renifera – przewodniczka stada.

Na plebanii panowała cisza. Dało się słyszeć jedynie człapanie gospodyni i podzwanianie czajnika na kawę. Świat za oknem spowiła śnieżna zadymka. Drzwi sypialni na piętrze były zamknięte na klucz. Para nowożeńców uzgadniała imiona dla dwójki dzieci.

Tego dnia nadszedł, jak co roku o tej porze, czas łagodniejszej grudniowej pogody, który zawsze zapowiadał święta. I w tej grudniowej pogodzie, zaprzęgniętymi w silnego konia sańmi, przyjechał na plebanię duński lokaj, by zabrać ze sobą Gerharda Schönauera.

Kaiowi Schweigaardowi powiedział, że Halfrid leżała w wodzie płytko, tuż przy uskoku, za którym zaczynała się głębia, zakładano, iż drugi dzwon znalazł się jakieś dwadzieścia metrów pod wodą, bo udało im się dokładnie przeszukać całą mieliznę. Duńczyk dodał, że nagroda za odnalezienie drugiego dzwonu wciąż obowiązuje, lecz gdyby nic to nie dało, przysłał tu w następnym roku ludzi, którzy wyłowią go z głębin.

Miejscowi dokładnie śledzili każdy ruch obcych, a gdy sanie z Gerhardem Schönauerem ruszyły z plebanii, ludzie ustawili się po obu stronach drogi, żegnając młodego Niemca w dialektie, który zdążył już doskonale poznać.

W majątku pastora wszyscy wyszli z domu, Kai Schweigaard i Astrid Hekne odprowadzili go do sań i stali teraz daleko od siebie, w milczeniu śledząc oddalający się pojazd, który jechał ku chmurom pary buchającej znad Løsnesvatnet.

Tracę go teraz, myślała Astrid Hekne, gdy sanie wjechały na lód. Teraz go tracę.

Pojazd dotarł do przeciwległego brzegu i skręcił, tak że widać było bok konia i sań, lecz odległość nie pozwalała już stwierdzić, czy Gerhard Schönauer odwrócił się w stronę Butangen.

Samobracia

Nowy kościół był już prawie gotowy, zostały tylko pojedyncze prace wykończeniowe, a odgłosy pił i toporów cichły pośród zalegających wokoło śnieżnych zasp. Robotę tę wykonywali jednak niespiesznie bardzo drobiazgowi rzemieślnicy, którzy dali pastorowi jasno do zrozumienia, że gmach nie stanie gotowy na święta, a prace przeciągną się na kolejne zimowe tygodnie.

Kai Schweigaard przyjął ich wyjaśnienia. Przychodził codziennie na plac budowy, ale najchętniej siedział w swoim gabinecie, przy piecu.

Wkrótce już ludzie zaczęli gadać o czym innym.

Ścisnął mróz. Mieszkańcy chowali się w domach krótko po zachodzie słońca. Owce nie przytyły za bardzo tego lata, przez co w większości izb panował półmrok. Brakowało świec łożowych, a te nieliczne, które udało się utoczyć, nie były zbyt dobrej jakości, zaś w blasku ich drgających płomieni wieczorne opowieści stawały się coraz dłuższe i coraz bardziej nieprawdopodobne. Mróz skuł również ziemię, lecz Kai Schweigaard zaczął w końcu dostrzegać owoce swojej pracy: trumny wnoszono do dzwonnicy i zamykano je tam na klucz.

Chrzcił dzieci w salonie na plebanii, jedno za drugim, było ich tak wiele, że zaczynały mu się mylić imiona. Zaprosił swoich parafian na bożonarodzeniowe nabożeństwo do kościoła w Fåvang, lecz znał ich na tyle, by mieć pewność, że niewielu wyruszy w taką podróż. Droga do Fåvang była zimą krótka, jeśli ktoś chciał potańczyć albo pograć w karty, lecz w wypadku kościelnych ceremonii stawała się straszliwie długa i uciążliwa. Jego parafianie nie chcieli przybyć do świątyni niczym horda bezdomnych, siadać na ławach grzanych innymi ciałami czy wdychać zapachów obcych. Dlatego też Kai Schweigaard odprawił bożonarodzeniowe nabożeństwo w pustym niemal kościele, co doprowadziło nieuchronnie do ukucia tej nieszczęsnej zimy nowego terminu, „msza jak z Butangen”, określającego kościelną ceremonię, na którą nikt prawie nie przyszedł, a słowa kapłana odbijają się echem od ścian.

Lecz w głębiach Løsnesvatnet leżało coś, czemu mieszkańcy wsi mogli zaufać. Był o wielkiej mocy, odlany z rozpacz i tęsknoty. Zaczęto nawet mówić, że gdy drugi dzwon dotrze do tego dalekiego kraju o nazwie Saksonia, a stary kościół zostanie odbudowany i Halfrid zawiśnie na wieży, wtedy Gunhild odpowie jej, dzwoniąc pod wodą, ponuro i jękliwie. Tak obie siostry będą się nawoływać, a to, co stanie się w Dreźnie, będzie miało swój rozdzwięk również tutaj i odwrotnie – dzwon na południu zabije, gdy coś wielkiego zdarzy się w Butangen.

W styczniu do legendy o Siostrzanych Dzwonach dopisano ostatni i – jak się potem okazało – najważniejszy rozdział. Arvid Halle, ułomny chłopak, który odnalazł Gerharda Schönauera, wyznał, że jakiś głos zwabił go na skute lodem jezioro. Arvid przygotował świąteczny snopek dla ptaków i chcąc zrobić dobry uczynek, upierał się, by położyć go w miejscu, w którym znalazł nieprzytomnego Niemca. Jego siostry były zdania, że to tylko niemądry wymysł, nikt nie widział tam ptaków, poza tym chłopak był zbyt niesamodzielnym, by się tak daleko wypuszczać, ale przed świętami wszyscy mieli dużo roboty, więc Arvid poszedł tam przez nikogo niezatrzymywany, zatknął snopek na drągu w głębokim śniegu i poczłapał z powrotem do domu. Szedł tak jak zawsze, lubił ssać śnieg zlizany z rękawic i rozglądać się dookoła, i nagle zwrócił uwagę jakiś dźwięk dochodzący znad wolnej od lodu części Løsnesvatnet. W pierwszej chwili zdało mu się, że to tylko chłopot wody, ale ten dziwny odgłos zmienił się nagle w szept i Arvid wyraźnie usłyszał, jak ktoś go woła po imieniu.

Poszedł aż na krawędź lodu i tam głos było słychać jeszcze wyraźniej. Należał do kobiety, dorosłej kobiety, chłopak nie widział jej, lecz ona nie wydawała się groźna, bo mówiła dialektem z Butangen. Poznała go chyba i rzekła:

„Tylko siedmiu samobraci spod jednego domu powiedzie dzwon siostrzany do drugiego dzwonu”.

Arvidowi uwierzono, bo dzieci, które nie radziły sobie najlepiej z czytaniem czy rachunkami, miewały często inne, rzadsze zdolności. Ludzi przekonało zwłaszcza słowo „samobracia”, bo chłopak nie byłby nigdy w stanie sam go wymyślić. Wielu, nawet najstarsi, kręciło głowami, mówiąc, że nie są pewni jego znaczenia, ale w pobliskim gospodarstwie rodziło się właśnie dziecko i tak o całym zdarzeniu

dowiedziała się Framstadowa. Przypomniała sobie, że słyszała to słowo od swoich poprzedniczek, najstarszych akuserek, było to określenie bardzo stare, nieużywane od dekad.

– Samobracia – oświadczyła – to bracia, pomiędzy którymi nie urodziła się żadna siostra.

I tak obudziła się w ludziach nadzieja, mieszkańcy wsi spoglądali po sobie, zachodząc w głowę, czy dzwony faktycznie jeszcze kiedyś będą razem, czy jeden z nich uda się sprowadzić z dalekiego kraju na południu, a drugi wydobyć z głębi Løsnesvatnet, zastanawiano się, co by było trudniejsze, a potem ktoś zaczął mamrotać, że Astrid Hekne oczekuje dziecka, ale nikt nie miał odwagi snuć tych domysłów dalej.

Niemal równocześnie – w tak krótkim odstępie czasu, że ta historia nie mogła się rozejść po ludziach – Gyda Braastad, szesnastolatka o bystrym umyśle, przybiegła do domu, przynosząc identyczną niemal opowieść. W jej przypadku głos obłókł się w ciało, przyjmując postać kobiety w długiej czerwonej sukni, stojącej na lodzie i przywołującej ją do siebie. Kobieta, która nie zdała się wcale Gydzie groźna, odwróciła się do niej i powiedziała to samo, co wcześniej usłyszał Arvid. Dziewczyna twierdziła, że tajemnicza postać mówiła „zwyczajnie”, a ponieważ Gyda nigdy nie opuściła rodzinnej wsi, bardziej obyci w świecie doszli do wniosku, że kobieta w czerwieni posługiwała się gwarą z Butangen. Ktoś zapytał wprost, czy tajemniczą postacią nie była może Astrid Hekne, ale wtedy dziewczyna pokręciła głową.

Gyda Braastad powtórzyła zatem właściwie historię Arvida Hallego, z jedną tylko niewielką różnicą. Twierdziła, że kobieta mówiła o dwóch samobraciach. Stwierdzono, że wynika to z podobieństwa pomiędzy brzmieniem słów oznaczających liczby „dwa” i „siedem” w miejscowym dialekcie, a ponieważ siódemka wydała się wszystkim cyfrą bardziej znaczącą i pasującą do legendy, uzgodniono, że przepowiednia brzmiała: „Tylko siedmiu samobraci połączy znów ze sobą Siostrzane Dzwony”.

Kobieta na lodzie ukazywała się jeszcze kilkakrotnie. Wkrótce doczekała się także imienia, z początku zwano ją Czerwonostrojną albo Zimową Panią, lecz niedługo została po prostu Dzwonną Strażniczką, bo ktoś przypomniał sobie, że stara Klara Mytting, która zawsze zajmowała tak mało miejsca na tej ziemi, często powtarzała to miano, mamrocząc je w kółko pod nosem.

Architekt pośród architektów

Gerhard Schönauer czekał na wschód słońca. Przespał parę godzin, śniąc o niej i dzieciach, a potem się obudził. W tygodniach gorączki śmiertelnie bał się zasypiać, bo gdy tylko poddawał się zmęczeniu, zaczynał śnić koszmar, w którym błądził przez białe piekło Norwegii, otoczony przez spadające dzwony i odmrożone stopy, była tam też jakaś dziewczyna bez twarzy szukająca swoich dzieci, a on budził się zawsze z żołądkiem ściśniętym przez strach.

Całe dni przeleżał w łóżku, nie wiedział nawet gdzie, lekarz postanowił ostatecznie nie amputować mu odmrożonych palców u stóp i rąk, ale co to za różnica, skoro od najmniejszego nawet chłodu stawały się sztywne i traciły czucie. Gdy dotarli do Drezna, został umieszczony w szpitalu miejskim na Friedrichstraße, gdzie miano go wyleczyć z zapalenia płuc. Przeleżał w nim całe święta, pewnego styczniowego poranka obudził się i zaczął mówić po norwesku, by udowodnić sobie, że miniony rok nie był tylko snem. Opuszki palców u rąk szczypały, więc przede wszystkim sprawdził, czy nie utracił zdolności rysowania. Po trzech tygodniach prowadził już ołówkę prawie tak jak wcześniej. Wypisano go w końcu ze szpitala, lecz zapalenia płuc nie udało się doleczyć. Wciąż mu się zdawało, że ma ciasno w piersi, jego oddech nie przestawał świszzczeć, gorączka przychodziła niespodziewanie i potem odchodziła.

Przy życiu trzymało go jedno tylko wspomnienie. Jej twarz. Rysunek stał na nocnym stoliku, w niewielkiej ramce, w której trzymał wcześniej portret matki. Wiedział, że wszystkie jego cierpienia będą wynagrodzone, gdy tylko kościół zostanie odbudowany. Wróci wtedy do Norwegii. Pozna swoje dzieci. Wszystko uporządkuje i załatwi. A potem przyjadą razem na południe. Pierwszym pociągiem, za ostatnie pieniądze.

Obiecał jej to w dwóch listach. Otrzymał dwie odpowiedzi, w których zgadzała się na jego plany.

Pewnego dnia wymknął się z mieszkania na ostre powietrze poranka. Odzyskał swoją stancję na Lärchenstraße i mimo wszystkich zmartwień oraz niedogodności cieszył się z okolicznego hałasu, korzystnie – z jego punktu widzenia – wpływającego na cenę najmu. W tych częściach miasta czuł się bezpiecznie, jak u siebie. Tumult dochodzący od strony torów i zgiełk w jednostce wojskowej zagłuszały ciszę, którą przywiózł ze sobą z północy.

Podeszwy butów stukały o bruk – także to zdawało mu się teraz dźwiękiem obcym, bo w Norwegii przecież ziemia była miękka. Błoto, śnieg lub trawa, to wszystko zawsze tłumilo odgłosy jego kroków.

Po lewej ręce miał plac ćwiczeniowy. Żołnierze biegali i ustawiali się w szeregi, nerwowi i wystraszeni surowością oficerów, on zaś pomyślał o ojcu i braciach, którzy złościli się zapewne, bo już długo zwlekał z listem. Przemierzył Carolaplatz i wyszedł na Albertbrücke. Most wznosił się nad rzeką łukiem, by mogły przepływać pod nim statki, więc aby pokonać go pieszo, należało podejść kawałek w górę i nawet tych kilka kroków było dla niego nie lada wyczynem. Na balustradzie opierało się pięciu mężczyzn, tych samych, których widywał każdego poranka, łowili ryby w wolnej od lodu wodzie na środku rzeki, podawali sobie butelkę i zwijali linki, gdy widzieli zbliżającą się barkę.

Powietrze nad Elbą było zimne i ostrzejsze niż w innych częściach miasta, Gerhard poczuł drapanie w piersi, zapowiadające nadchodzący kaszel. Skupił się, sięgnął do kieszeni po brązową buteleczkę z lekarstwem, upił z niej łyk i zdążył go przełknąć chwilę przed tym, jak zaczął się atak. Schodząc po łuku mostu, zachwiał się na nogach, lecz nie dlatego, że było tu ślisko – po prostu brakowało mu sił.

Centrum Drezna budziło się do życia. Gerhard wmieszał się w cały jego ruch, znalazł swoje miejsce pomiędzy pieszymi a dorożkami, mijał zamiataczy ulic, machających w półśnie swoimi miotłami, przechodził obok świateł w oknach kawiarni, sprzedawców gazet i policjantów, mających na to wszystko oko. W wielkomiejskim harmidrze przestał już odwracać głowę, gdy słyszał, że ktoś krzyczy. Tu na południu skurczył się do rozmiarów małej kropeczki, tak niewielkiej, że właściwie niedostrzegalnej w całym tym wielkim arcydziele noszącym miano Drezna. Bliżej Große Garten miejski harmider nieco ucichł, a Gerhard doszedł wreszcie do linii wysokich iglastych drzew. Minął szary dom,

przed którym każdego ranka zwalniał kroku, bo ktoś zawsze ćwiczył tam w środku na jakimś instrumencie dętym, bodaj oboju, był to być może jeden z muzyków zatrudnionych w orkiestrze filharmonii.

Dziś jednak nie słyszał oboju, a w oknie było ciemno.

Poszedł dalej.

Na wysokości Carolasee zobaczył wysokie ogrodzenie z desek wokół placu budowy, trochę po to, by zabezpieczyć go od złodziei, a trochę – by niespodzianka po zakończeniu prac była jeszcze większa. Lecz może przede wszystkim, pomyślał Gerhard, by ukryć trudności wiążące się z odbudową norweskiego kościoła słupowego.

Stróż nocny, siwowłosa mężczyzna w ciemnozielonym zamkowym mundurze, wyszedł ze skleconej z desek szopy przy bramie. Piękny owczarek niemiecki dźwignął się ze swego postania i podbiegł do Gerharda z merdającym ogonem.

– Lubi pana – stwierdził stróż.

Gerhard skinął głową i ukucnął.

– Ja też go lubię.

Wyprostował plecy i wszedł do środka przez bramę.

Stał przed nim kościół z Butangen, a właściwie tylko jego szkielet. „Dresdner Anzeiger” wydrukowało długi artykuł o świątyni, wymieniający wyłącznie nazwiska Ulbrichta i Kastlera, zupełnie jakby osobiście, ku chwale królowej Caroli, pojechali do niebezpiecznego kraju na północy i ocalili drewniany kościół przed dewastacją oraz zapomnieniem. Sam Gerhard był niczym żywy, naklejany na paczkę dokument przewozowy i doskonale już wiedział, że po wszystkim stanie się równie bezużyteczny jak stara pocztowa nalepka. Bo chociaż na miejsce trafiły wszystkie materiały i rysunki, protokół transportowy przepadł w wodach Løsnesvatnet. Gdy tylko wypisano go ze szpitala, otrzymał przykaz sporządzenia nowego zestawienia, a kilka zaledwie dni później zaczęto odbudowę, która toczyła się jak na razie właściwie po omacku.

Położono już fundament. Był wykonany z grubo ciosanego kamienia i prezentował się bardzo dobrze, w niebo strzelało zaś dwanaście kolumn – Gerhard zaczął tak nazywać w myślach te elementy, określenie to było jego zdaniem lepsze niż „słupy”. Ale od tego miejsca kościół nie pozwalał się już jakby odbudowywać. Materiały leżały w szopie przykryte brezentem i czekały. Stare i powykręcane, czarne lub brunatne, czasami białe w miejscach, w których powinny dotykać innego elementu, a odmawiały powrotu do punktu osadzenia. Złącza były zbyt wąskie, klepki dawało się gdzieś dopasować, ale pod niewłaściwym kątem względem kolejnego elementu. Próbowano różnych kombinacji, a podejrzliwy z natury Kastler wściekał się coraz bardziej w czasie kolejnych wizyt na placu budowy, choć Gerhard raz za razem tłumaczył, że belka H38 musi łączyć się z łukiem F21. Na placu uwijało się ośmiu cieśli, lecz oni tylko gapili się na jego rysunki, nie pojmowali pryncypiów, podstawowego zamysłu, na którym opierała się konstrukcja kościoła, każdego z nich cechowało zarozumiałstwo, a dwóch czy trzech nawet lekka głupota.

Halfrid została tymczasowo umieszczona w piwnicach miejskiego muzeum, razem z niezliczonymi posągami z Grecji i Italii. W kwestii dzwonów Gerhard powiedział tyle, że koń się nagle spłoszył i że ktoś – najpewniej jeden z wieśniaków, niezadowolony, że dzwony mają zostać wywiezione – przeciął zabezpieczające je na saniach liny. Gdy pojazd się wywrócił, skrzynie transportowe spadły ze zbocza. Gerhard próbował je zatrzymać lub skierować z dala od wody, ale nie zapanował nad dwiema skrzyniami, ich ciężar ostatecznie go pokonał – potknął się, wpadł do jeziora, a potem stracił przytomność.

Ulbricht uspokoił na jakiś czas Kastlera, pochwalił Gerharda za jego rysunki kościołów, lecz nakazał mu surowo, by nadzorował każdy etap odbudowy, wysilał pamięć i starał się sobie przypomnieć, jak należy dopasować poszczególne elementy. Profesor obiecywał, że po wszystkim wynagrodzenie zostanie mu wypłacone, on zaś będzie mógł wrócić na uczelnię i złożyć ostatnie egzaminy.

– I to już będzie koniec – powiedział Ulbricht. – Będzie pan wolny i wyruszy w szeroki świat. Jako architekt pośród architektów.

Gerhard potrząsnął głową. Próbował odnaleźć chociaż ślad odwagi przepełniającej go w chwili,

gdy stanął w tamten grudniowy dzień na skutym lodem Løsnesvatnet, by zabrać ze sobą do kraju kościół i narzeczoną. Usiadł w kościelnej ławie porzuconej na środku placu budowy. Na jej przymocowanych zawiasami drzwiczkach wymalowano żółtawo-brunatnymi wysokimi literami nazwę majątku, którego gospodarze zapłacili za stałe miejsce w kościele: Vestad.

Zaczął przeglądać rysunki, zerkał to na nie, to na stosy materiałów, zupełnie jakby starał się określić swoje własne położenie na mapie. Znów zgiął się wpół od kaszlu, dochodzącego jakby z najgłębszych zakamarków płuc. W pierwszej chwili zdawało mu się, że atak szybko minął, ale zaraz poczuł drapanie w piersi zapowiadające kolejny, długotrwały skurcz, kasłał tak, że pociemniało mu przed oczami, upuścił ołówek oraz trzymany w dłoniach szkic i musiał przytrzymać się ławy.

Od strony bramy rozległo się szczekanie owczarka. Rzadko się to zdarzało, w końcu pies tu stróżował i szybko zaczął rozpoznawać wszystkich członków brygady. Teraz jednak ujadał niespokojnie, a Gerhard usłyszał za ogrodzeniem jakieś podniesione głosy.

Poszedł do plotu, zastanawiając się, kto tu od rana urządza takie awantury.

– Panie Michelsen? – wymamrotał. – To pan?

– Naturalnie! – odrzekł mu bergeńczyk. – Chciałem zobaczyć, jak się mają sprawy z naszym kościołem! – wskazał dłonią towarzyszącego mu mężczyznę. – Pamięta pan mojego kompana?

Gerhard pokiwał głową i spróbował stłumić kolejny atak kaszlu.

– Boże drogi – zauważył Michelsen. – Strasznie pan wychudł, panie Schönauer.

Trzej mężczyźni mierzyli się chwilę spojrzeniami. Michelsen miał na sobie wysoki kapelusz i nowy płaszcz, pod który włożył wspaniałą brokatową kamizelkę, z kieszonki wyglądał srebrny łańcuszek zegarka. Jego towarzysz nosił natomiast brązowy garnitur w czerwone prążki, na głowie zaś miał kaszkiet.

Stróż pociągnął za łańcuch, do którego uwiązany był pies, i wpuścił obu mężczyzn do środka.

– Kto po panów posłał? Ulbricht?

– Nikt! – oświadczył Michelsen z dumą. – Przybyliśmy z Lipska wczoraj wieczorem. Trzeba stwierdzić – zaczął, a jego charczące bergeńskie „r” zagrzmiało nad placem budowy – że w Lipsku jest mnóstwo Norwegów. Nasz krajan, wielki kompozytor Grieg, jeździ tam często ze swoją ukochaną Niną. Mają w mieście wielu przyjaciół, między innymi jednego doktora, pana Sängera, świeżo zaręczonego ze studentką konserwatorium muzycznego pochodzącą z Ålesund. Byli tu w Dreźnie i widzieli, jak elementy kościoła przyjeżdżają wśród dźwięków trąb i powiewających flag.

Gerhard posłał mu pytające spojrzenie.

– Dowiedziałem się o tym z listu, który napisali do naszych wspólnych znajomych. Wiedzieliśmy, że przyda wam się pomoc. I że żaden Niemiec tak po prostu o nią nie poprosi. Proszę mi uwierzyć, nikt tak jak bergeńczyk nie rozpozna arogancji i pychy!

Ruszyli w stronę kościoła. Michelsen schylił się i obejrzał fundament, następnie uniósł wzrok ku słupom, mamrocząc co chwila zagadkowe „hm!” albo „aha!”. W końcu zapytał:

– Kościół przewożono koleją, prawda?

Gerhard skinął głową.

– Pociągiem i barką.

– Hm.

– Elementy nie chcą się do siebie dopasować – stwierdził Niemiec. – Jakby kościołowi się nie podobało, że go przeniesiono.

– A pewnie, że mu się nie podoba! – wykrzyknął Michelsen. – Rozebraliśmy go w Norwegii wczesnym latem. A teraz próbujecie go odbudować w zupełnie innym klimacie, do tego zimą.

Na plac budowy weszło trzech cieśli. Zmierzyli Gerharda i dwóch nieznanym wzrokiem, po czym podeszli do szopy i przystanęli tam, czekając, co dalej.

Kompan Michelsena wyjął z kieszeni fajkę. Obrócił ją w dłoni i wskazał dwanaście kościelnych słupów czarnym bakelitowym ustnikiem.

– Problem leży w tym – zwrócił się do Gerharda – że słupy się przekręciły. Nie pochylili, nie skrzywiły, ale właśnie przekręciły. Gdyby mógł je pan obejrzeć z góry, zobaczyłby pan natychmiast, że wszystkie punkty spięcia znajdują się obecnie pod niewłaściwym kątem. Ale ci wásacze rzecz jasna

o tym nie myślą – stwierdził, wskazując skinieniem głowy mężczyzn przy szopie. – Bo wyrosli w chatach krytych strzechą, żłowiąc codziennie piwsko.

– Czyli... trzeba poczekać do lata? – spytał Gerhard. – Aż słupy przekręcą się z powrotem?

Michelsen zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie. Musimy wykonać pewną drastyczną i bardzo pracochłonną operację. Potrzeba do niej pary wodnej i pasów transportowych. Niech nas pan zaprowadzi do swojego zleceniodawcy, to przedyskutujemy z nim kwestię wynagrodzenia.

Kilka tygodni później słupy postawiono na nowo. Łączące je łuki trafiły na swoje miejsca i było zupełnie tak, jakby kościół zmartwychwstał dla Gerharda Schönauera. Odnalazł na powrót swoje proporcje, ożył i z każdym tygodniem rósł na jego oczach.

– Będzie dobrze? – spytał młody architekt Michelsena.

– Tak. Od teraz wszystko powinno pójść szybko. Tylko przy dachu będzie trochę dębaniny. Ale oni powinni sobie z tym poradzić.

– Jest pan pewien?

Michelsen pokiwał głową.

– Przeniósł pan kościół słupowy, Gerhardzie Schönauer.

Gerhard wspiał się po schodach. Stał na wielkiej kamiennej płycie przywieszanej z Butangen i umieszczonej z powrotem na swoim miejscu. Wszedł do środka, stąpając po podłodze z nieoheblowanych desek, położonej tylko prowizorycznie, po czym usiadł na drewnianej skrzyni pozostawionej w głębi nawy, mniej więcej tam, gdzie siedziała Astrid Hekne w dniu, gdy ujrzał ją w świątyni.

Siedział tak, rozglądając się dookoła. Nad otwartą od góry konstrukcją jaśniało wieczorne niebo. Lecz wszystko miało już kształty kościoła, to miejsce promieniowało mocą świątyni, on zaś złożył ręce i modlił się za nią i za dzieci.

Kolejny atak kaszlu zgiął go wpół.

Musiał jak najszybciej jechać na północ. Pomóc jej przejść przez wszystko, co ją czeka.

Jeszcze kilka miesięcy wcześniej, w Butangen, wzruszał ramionami, słysząc o śmierci, bo ta go nie dotyczyła. Lecz teraz, gdy już było inaczej, zrozumiał, z czym musiał się mierzyć Kai Schweigaard, i pojął, że poza czernią i bielą istnieją też różne odcienie szarości. Gerhard Schönauer wiedział również, że w końcu, po wszystkich trudach, będzie w stanie odcienie te narysować, bo miał w sobie potencjał wielkiego artysty, a od teraz odpowiadał nie tylko za zmarłych, lecz i za żyjących: będzie miał dwóch synów, których poprowadzi przez kolejne lata.

Wszystkie te myśli ledwie zdążyły przybrać formę w jego głowie, gdy poczuł, że zbliża się kolejny atak kaszlu, nadciągający niczym galopujący koń, który potrafił go i obalił na ziemię.

Po wszystkim siedział jeszcze długo w kościele, słuchając wizgów dochodzących ze swoich własnych płuc. Myślał o dniu, w którym przybył do Dreżna i zobaczył Akademię Sztuk Pięknych. Gmach był tak wielki, że samo obejście go dookoła zajęło dziesięć minut. Musiał udać się na drugą stronę Elby, by w pełni pojąć, jak potężny jest ten ciemny kolos, stał na brzegu rzeki, podziwiając jego dach zwieńczony ogromną, lśniąco szklaną kopułą, oświetloną od środka tak, że zielonkawa i czerwona poświata były ku niebu, na szczycie kopuły stał zaś połączony Eros z pochodnią i rozłożonymi skrzydłami, balansując na jednej nodze. Pamiętał, że tamtego pierwszego dnia w Dreżnie pokonał znów rzekę, wrócił do gmachu Akademii i obejrzał kolumny jej fasady. Na każdej z nich wykuto złoconymi literami nazwiska:

STEINBACH – LEONARDO – DÜRER.

Zastanawiał się, czemu na ostatniej kolumnie z brzegu nie ma żadnego nazwiska, tylko oszlifowane gładkie pole, jakby zapomniano o jego wypełnieniu.

A teraz siedział wewnątrz szkieletu starego kościoła i w końcu pojął, czemu miała służyć ta pusta przestrzeń.

„Mistrz ma pochodzić stąd, a mistrzem tym możesz być ty”.

Jego nazwisko wsunęło się na swoje miejsce na kolumnie. Uhonorowane za Kościół Astrid. Ostatni podmuch tysiącletniej tradycji budownictwa natchnął go, przybierając formę jednej, prawdziwej

świątyni.

Wspomnienia kościoła stojącego niegdyś w Butangen zaczęły się zlewać ze szkieletem, w którego wnętrzu siedział. Zobaczył przed sobą wieżę i usłyszał dochodzące w wysoka bicie samotnego dzwonu, który mu wszystko przebaczał.

Budynek rósł, piął się wzwyż, dachy zmieniały formę, przybierając kształty tych z Kościoła Astrid, wyciągały się i unosiły, cały rząd gotyckich okien trafił na swoje miejsce, zamigotały barwne witraże, a gdy wizja już się dopełniła, Gerhard siedział w świątyni, którą sam narysował, i widok ten podążył za nim, gdy złożył dłonie i padł na ziemię, architekt pośród architektów.

Der Kaiserschnitt

W Butangen znów ścisnął mróz. Powietrze było suche, a nad brzegami Løsnesvatnet północny wiatr zapraszał do tańca płatki śniegu. Dzieci bawiły się w błękitnym półmroku na sankach. Zjeżdżały po zboczach dolin, pędząc, aż łzawiły im oczy, piszcząc z uciechy, gdy płozy podskakiwały na co większych stromiznach.

U stóp skarpy sanki skręciły w śnieżną zaspę, maluchy spadły z nich i wybuchły śmiechem. O mały włos nie wjechały w przechodzącego nieopodal mężczyznę. Człowiek ten skręcił pospiesznie, zupełnie jakby nie dostrzegł całego zdarzenia. Dzieci przestały się śmiać, widząc wyraz jego twarzy, i zaraz przerwały też zabawę, wiedziały bowiem, że ten, kto przyjeżdża z najlżejszym bagażem, przywozi często ze sobą największy ciężar.

Przechodzącym mężczyzną był pocztylion. Zazwyczaj udawał się po przybyciu do wsi na stację pocztową, lecz tym razem szedł prosto do Hekne, znalazł bowiem wśród korespondencji grubą kopertę ostemplowaną pieczęcią z Lipska, list z czarną, żałobną obwódką.

Przeplakała po nim resztę wieczora i większą część następnego poranka. Uspokoiła się tylko dlatego, że bała się skurczy mogących zaszkodzić dzieciom.

Tyle jeszcze mogłeś osiągnąć, myślała, tylu rzeczy dokonać. Ty, ja i my. Dzień za dniem i jeszcze dzień kolejny. Twoje talenty i siły, wszystko obróciło się w proch, zdmuchnięte powiewem wiatru. Twój uśmiech i twoje dłonie, i głos przemawiający tak miękko po niemiecku. Czekają tak wiele pustych połąci płótna, tyle pieszczot, tyle dzieci i tyle wymachów wędką. Wszystko to, czym mogłeś wypełnić swoje godziny, dni, tygodnie i lata. A oni wrzucili cię do ziemi i tam zostawili, wokół ciebie będą gnić obcy ludzie, jesteś martwy i zupełnie sam, nie ma przy tobie nikogo, kto mógłby powiedzieć *Ich liebe dich*.

Siedziała nad jego skrzynką zawierającą życie, o którym niegdyś marzył. Wyjęła z niej szkicownik i stopy rysunków, podziwiała ten, na którym stoją przy kamiennym ogrodzeniu, on i ona, pan i pani Schönauer, dzieci, murowany dom. Na niepokojący obraz tego, czego doświadczyła wtedy na kościelnej wieży, nieprzyjemny, lecz stanowiący niezbity dowód na to, że nikt nie zajrzał nigdy w głąb jej duszy tak jak on.

Doszła do siebie dopiero pod wieczór, mobilizując te same siły, dzięki którym dochodziły do siebie kobiety przez całe stulecia, po osunięciach się ziemi i powodziach, po suchotach i epidemiach czerwoni, mrozach ścinających zboże i pożarach gospodarstw.

Nadawcą listu był człowiek o nazwisku Michelsen. Koperta została otwarta, a potem zaklejona na nowo. Zawierała dwustronnie zapisany arkusz papieru z podpisem u dołu ostatniej strony. Mężczyzna przedstawiał się, wyjaśniając, czemu odwiedził Gerharda w Dreźnie, oraz opisując tygodnie, w których razem pracowali. Wszystko zgadzało się z ostatnim listem, który Schönauer wysłał do Astrid, tyle tylko że w liście tym nie wspomniał ani słowem, jak bardzo jest chory. Michelsen pisał natomiast, iż przyjęto go do szpitala miejskiego z nieuleczalnym obustronnym zapaleniem płuc.

Przerwaliśmy tego dnia pracę, by towarzyszyć Gerhardowi do szpitala, lecz on po drodze zażądał, byśmy wstąpili do banku. Oznajmiliśmy mu, że musi jak najszybciej uzyskać pomoc lekarza, ale on nalegał i przepchał się w końcu do kontuaru, chociaż kaszał tak, że ledwie zgodzili się wydać mu pieniądze. Otrzymał wreszcie osiemnaście marek i sześćdziesiąt trzy fenigi, które, jak wynika z załączonych pokwitowań, wymieniłem na norweskie korony. Z tego, co zrozumiałem, jest to całe jego wynagrodzenie wypłacone przez Akademię.

Astrid spojrzała na banknoty. Oto jak wyglądała rzeczywistość. Pieniądze po mężu nieboszczyku. Zmarł dwie doby po ich wypłaceniu i został pochowany na cmentarzu Świętego Mateusza, a w pogrzebie uczestniczyli Michelsen, drużyna cieśli pracujących przy kościele oraz profesor Ulbricht.

Astrid włożyła list i pokwitowania do *Meyers Sprachführer für Reise und Haus* i jeszcze raz przeczytała skreślony ręką Michelsena dopisek na załączonej do listu karteczce:

Droga Astrid, piszę te słowa już na poczcie w Lipsku. Wczoraj wieczorem przyszło mi coś do głowy. Gerhard wspominał, że jesteś brzemienna. I że w Twojej rodzinie zdarzały się bliźnięta. Mówił

również, iż obawiasz się powtórzenia jakiejś przykrej historii z przeszłości. Lipsk sąsiaduje z Dreznem i nawiązuję tu dużo interesujących znajomości. Odwiedziłem niedawno niemieckiego lekarza położnika zaręczonego z Norweżką. Człowiek ten często przebywa w Kristianii, wizytując szpital Rikshospitalet, jedzie tam również teraz na wiosnę. Nazywa się Max Säger. Od wielu lat udoskonala pewną metodę przyjmowania trudnych porodów, zwaną tu Kaiserschnitt. Wiąże się ona niestety nadal z wysokim ryzykiem. Pozwoliłem sobie wspomnieć mu o Waszej sytuacji, a on wyraził zainteresowanie obecnością przy Twoim porodzie. Zapytaj o niego w Klinice Położniczej w Kristianii.

Twój przyjaciel, Michelsen

Maciora nie oprosi się łatwiej

– Słyszałam, że nie żyje – powiedziała Framstadowa.

Astrid kiwnęła głową i weszła do środka. Nie mówiąc nic więcej, zaczęła zdejmować szal. Staruszka położyła dłoń na jej brzuchu, nacisnęła, przesunęła rękę i tak badała ją, aż w końcu obmacała cały brzuch.

Astrid rzekła:

– To dwójka, prawda? Dwoje dzieci.

Framstadowa pokręciła głową.

– Nie sposób powiedzieć. Równie dobrze może się okazać, że to jeden duży chłopak. Nie dowiemy się, dopóki nie zaczniesz rodzić.

– Ale nie ma żadnych... znaków?

Framstadowa odchrząknęła.

– Tylko poprzeczna belka. A ty przecież wiesz, co ona ci powiedziała.

– Wierzysz w poprzeczną belkę?

– Historia pokazuje, że miewała rację. I to nieraz.

– Więcej niż połowę razy?

– Dużo więcej.

– Mnie pokazała, że będzie dwójka – oświadczyła Astrid. – Dwóch chłopców. Miałam wizję.

Framstadowa ściągnęła brwi, był to grymas ledwie widoczny na jej pomarszczonej twarzy, przysunęła się na skraj krzesła i rzekła, że jeśli Astrid chce, może jej o tej wizji opowiedzieć.

– Oni byli jakby... zrośnięci. Jakby jeden niósł drugiego. Albo jakby się nawzajem ciągnęli.

– Szli w stronę gór czy z nich schodzili?

– Schodzili.

– Coś za sobą ciągnęli?

– Nie. Ale jeden tak jakby włókł drugiego przy sobie.

Staruszka potrząsnęła głową i oświadczyła, że sama nie wie, co myśleć.

– Możliwe, że w tym, co widziałas, była jakaś przepowiednia. Albo wizja tego, co już się zdarzyło lub co się dopiero wydarzy. Ile lat mieli ci ludzie?

– Chyba tyle co ja teraz. Może trochę więcej.

Framstadowa chrząknęła i poszła po dwa kubki wiszące na haczykach na ścianie. Izba miała w kącie okopcone palenisko, nad którym wisiał czajniczek na cienkim łańcuchu. Staruszka napełniła jeden z kubków, podała go Astrid, po czym nalała też sobie. Kawa była gorzka, ale przynajmniej gorąca.

– To ważne, by nie lekceważyć znaków – oświadczyła Framstadowa. – Ale nie możesz też pozwolić im się prowadzić. Dzwony mają w sobie twoje rodowe srebro, możliwe, że zajrzałaś w jakiś boczny nurt historii swojej rodziny, ślad, który biegnie obok twojego śladu. Wydaje mi się, że widziałas swoje dzieci, ale to wcale nie musi oznaczać, że urodzą się zrośnięte.

– Ja... trochę się rozpytałam – powiedziała Astrid. – Jest taka operacja. Jeśli poród przebiega nie tak, jak powinien, wyjmuje się dzieci przez skórę na brzuchu.

A czemu miałyby nie przebiec jak powinien? – Astrid miała nadzieję, że staruszka zada jej to pytanie.

Lecz słowa te nie padły, a ją przeszył dreszcz.

– Mówisz o cięciu cesarskim? – spytała zamiast tego Framstadowa. – Możesz od razu o tym zapomnieć.

– Ale są przecież lekarze...

– Astrid. Astrid! W Kristianii nie potrafią niczego, czego byśmy nie potrafili tutaj. Dziecko musi wyjść tą samą drogą, którą wszedł jego ojciec. A jeśli nie chce wyjść, to... cóż, wołałabym ci tego nie pokazywać, ale chyba muszę.

Framstadowa stanęła na środku izby i odsunęła stopą chodnik, odsłaniając klapę wjazdu. Ukucnęła, uniosła ją i wyjęła z kryjówki szarą torbę. Był w niej przedmiot przypominający nieco

pogrzebacz. Nie podeszła z nim do Astrid, pokazała go jej tylko z daleka. Narzędzie wykonane było z szarawego metalu pokrytego plamkami czarnego nalotu. Miało długi, smukły trzonek, a przytwierdzone do niego dwa dzioby przywodziły na myśl duże kuchenne łyżki.

– Odkąd jestem akuszerką, coraz mniej kobiet mrze tu we wsi przy porodach. Może o tym słyszałaś. I być może również wiesz, że jak się robi pod górkę, dlatego na przykład, że dziecko leży w poprzek albo matka zaczyna krwawić, proszę, by wszyscy wyszli z izby. Ludzie myślą, że to dlatego, że lubię pracować w spokoju. Tymczasem ja właśnie wtedy wyjmuję to narzędzie, a nie chcę, by ktoś się o nim dowiedział.

– Co to właściwie jest?

– Kleszcze położnicze.

– Kleszcze?

– Pomagają przy wyciągnięciu dziecka. Wykuto je w Åmotsfors w Szwecji. Jest nas w Gudbrandsdalen osiem akuszerek z kleszczami na stanie. To narzędzie uratowało ze czterdzieści, a może i więcej kobiet.

– To dlaczego je ukrywasz?

– Bo nie wolno mi go u siebie trzymać, a tym bardziej go używać. W naszym kraju z kleszczy może korzystać tylko lekarz i uwierz mi na słowo: żaden doktor nie lubi się za nie chwytać i prawie żaden też nie umie się nimi posługiwać.

Framstadowa schowała kleszcze z powrotem do torby. Przykro było na nie patrzeć, Astrid wolała nawet nie myśleć, jak się z nich korzysta, a tym bardziej – jakie to uczucie być pacjentką poddawaną takiemu zabiegowi.

– Ale i tak czasem dzieci rodzą się martwe – wyszeptowała.

– No owszem – odrzekła Framstadowa. – Nad tym już nikt nie panuje.

– Ty też używasz kleszczy?

– Astrid. Jak dzieci się zaklinują, to ja je wyjmę. Możesz być spokojna. Wydostanę je.

Framstadowa nie miała już w tej sprawie nic więcej do dodania. Astrid nie dowiedziała się więc, że akuszerka miała na dnie torby jeszcze inne narzędzia, takie, których używała zgodnie z literą prawa, lecz o których nikt we wsi nie mógł się dowiedzieć. Sięgała po nie w razach, gdy dzieci nie udawało się wydobyć za pomocą kleszczy. Wtedy chodziło już tylko o ratowanie matki. Zdarzało się, że dziecko leżało w poprzek lub miało pępowinę owiniętą wokół szyi. W innych przypadkach zupełnie się klinowało lub było już martwe, a matka traciła przytomność. Wtedy to Framstadowa musiała sięgać na samo dno szarej torby, po te narzędzia, na które ledwie miała odwagę patrzeć, mimo że większość z nich skonstruowała sama. Najskuteczniejszym z nich był wielki hak osadzony na okorowanej wierzbowej gałązce, którą akuszerka regularnie wstawiała do wody, by nie traciła sprężystości. Inne narzędzie przypominało kleszcze położnicze, tyle że zamiast łyżek miało na końcach ramion dwa zaokrąglone ostrza, niczym noże. Najczęściej Framstadowa korzystała jednak z mocnej nici rybackiej do wyplatania sieci, którą owijała wokół ciała dziecka i piłowała, by je rozczłonkować. Zawsze robiła to w samotności, zawsze miała w takich razach obie ręce zajęte i czasem czuła, że dziecko żyje, po czym żyć przestawało i każdej nocy nawiedzały ją w koszmarach odgłosy, dźwięki czegoś mokrego i ciężkiego, co uderza o podłogę lub wpada do wiadra. Zanim przystępowała do takiej roboty, kładła zawsze dłoń na brzuchu matki i chrzciała nienarodzone dzieci, nie zważając na to, czy żyły, czy też nie. Nadawała im staroświeckie imiona, takie jak Bolette czy Jakup, owijała szczątki w ściereczki, wkładała do torby na narzędzia i zawsze potem tłumaczyła, że dziecko zmarło długo przed porodem i nie ma na co patrzeć, lecz w rzeczywistości zabierała rozczłonkowane trupki do domu i chowała je na niewielkiej kwietnej łące nieopodal chaty. Leżało na niej już ponad trzydzieścioro dzieci wydobytych w ten sposób z ciał swoich matek.

Lecz same matki przeżywały. W rękach Framstadowej przeżywały niemal wszystkie. Stara akuszerka wydostawała dzieci na zewnątrz, wyskrobywała pozostałości łożyska, nie uszkadzając macicy, a potem kobiety te znów stawały się brzemiennie i w ten sposób wydawały na świat dziecko co drugi rok, aż w końcu kres kiełkowaniu nowego życia kładł nieubłagany upływ czasu.

Astrid nie dowiedziała się o tym jednak tego wieczora. Framstadowa zamknęła klapę w podłodze,

podeszła do okna i wyjrzała na podwórze.

– Muszę już iść – powiedziała dziewczyna.

– Nie jedź do Kristianii.

– Ale oni nie bez przyczyny są przecież doktorami?

– Chłop nie powinien oglądać porodu. To nie przystoi. Poza tym nie wolno zbierać wielu rodzących w jednym miejscu. Mogą wtedy dostać gorączki i poumierać. Czasem mrze jedna na dwadzieścia, a parę tygodni później już co czwarta. Mnie się wydaje, że w powietrzu albo we krwi jest coś, co się między nimi roznosi, jakaś choroba. Rano mogą być zdrowe, a w ciągu dnia dostają gorączki i nic się już nie da zrobić.

– A u nas tak się nie dzieje?

– Na wsiach? Nigdy. Mu trzymamy rodzące osobno i w kółko wszystko myjemy. Dlatego zawsze proszę o wrzątek i ścierki do wycierania. Mogą być szmatki, ale koniecznie czyste. Chłopy się na takich sprawach nie wyznają. Stoją przy łózkach w fartuchach sztywnych od krwi. Tak było w każdym razie kiedyś, ale ja bym nie ryzykowała, że coś się do teraz poprawiło.

Astrid poczuła, że zbiera jej się na płacz.

– Nie bój się, dziewczyno. Oni tam nie potrafią niczego, czego nie potrafiłabym ja. Maciora nie oprosi się łatwiej od tego, że się ją zawlecze do Kristianii.

Spacer

Pod koniec lutego zawitała do Butangen łagodniejsza pogoda. Astrid siedziała przy piecu na piętrze i dziergała na drutach pierwszy z dwóch maleńkich sweterków. Czuła się przy tym dziwnie i obco. Dzieci nadal kopały w jej brzuchu, w ten sam co wcześniej sposób, tylko coraz mocniej, jeden spokojny i jeden niespokojny maluch.

Astrid usłyszała głosy w korytarzu na parterze i znów zabłysła w niej na chwilę ta nonsensowna nadzieja, że przyjechał Gerhard, odruch, który nadal gdzieś w niej żył, ale powoli już wygasał.

Do domu jej rodziców przybył inny mężczyzna. Po chwili rozpoznała rytm kroków na dole i usłyszała wspinającego się po stopniach ojca. Wyprostowała plecy i odłożyła robotkę.

Ojciec zapukał, uchylił drzwi i powiedział, że prowadzi jej gościa.

Mógł to być tylko jeden człowiek.

I tak stanął przed nią, w korytarzu, z barkami przyprószonymi śniegiem, śledzony przez milczących dorosłych i dzieci z rozdziawionymi buziami. Zrozumiała, że nadszedł czas, by pastor z Butangen spełnił swoją obietnicę dotyczącą spaceru.

Astrid przyniosła szal i zasznurowała buty. Ruszyli przez podwórze, lecz mówili ze sobą niewiele, dopóki nie otworzył się przed nimi widok na Løsnesvatnet.

Zapytał ją, kiedy spodziewa się rozwiązania.

– W kwietniu – odrzekła.

Zerknęła na niego, domyślając się, że pastor próbuje właśnie wyliczyć, którego to letniego dnia stracił swą ostatnią szansę, i dodała pospiesznie:

– Ale możliwe też, że wcześniej. Nie wiem, czy to trwa dokładnie dziewięć miesięcy, tak jak napisano w Biblii.

– W Biblii? Nie wiedziałem, że jest tam coś o brzemienności. Ale nie znam też każdego zapisanego w niej słowa.

– Wszyscy wiedzą, że to trwa dziewięć miesięcy. Wystarczy wyliczyć czas od Zwiastowania Maryi do Bożego Narodzenia.

Dotarli do nowego kościoła, a on podał jej ogromny klucz. Otrzepali śnieg z butów, weszli do kruchty i Astrid otworzyła drzwi. Wszystko było białe, sufity – wysokie, do środka wpadały szerokie pasy słonecznego światła. Nie rozpalono jeszcze w piecach, więc żadne z nich nie zdjęło grubych wełnianych rękawic.

– Jak tu dziwnie, wszystko pachnie nowością. – Astrid rozejrzała się dookoła.

– Za jakiś czas przyjedzie biskup – rzekł pastor. – By pobłogosławić świątynię. Cieśle twierdzą, że mają jeszcze przed sobą ostatnie prace wykończeniowe, ale powtarzają mi to już od świąt.

Astrid ruszyła przez nawę, ale przystanęła w połowie drogi. Musnęła dłonią ławę, wykonaną z jasnego drewna sosnowego, takiego samego jak podłoga.

– Kawał dobrej roboty – oświadczyła. – Kościół jest taki, jak chciałeś.

– Tak, to kawał dobrej roboty.

– Ale?

– Powinniśmy byli zbudować inną świątynię.

– Jaką?

– Tę, którą narysował Gerhard. Widziałem jego szkice.

Astrid podeszła do okna, z którego roztaczał się widok na zbocze i drogę nad jezioro. Stała tam dzwonnica, jej ściany nadal jaśniały nowością, należało poczekać jakiś rok, aż wyschną, i dopiero potem będzie je można osmołować. Ktoś odgarnął śnieg, tworząc szeroką ścieżkę prowadzącą aż pod drzwi.

Schweigaard zbliżył się do niej, przystanął i położył dłoń na parapecie, któremu brakowało na razie listwy, odwrócił się, po czym ruszył w kierunku malowanej na biało, skromnej ambony, ku starej chrzcielnicy ze steatytu, zdającej się zupełnie tu nie pasować. Jedynym kolorowym elementem wystroju była nowa nastawa ołtarzowa, nad nią wisiał zaś ciemny, prosty krzyż.

Pastor wzruszył ramionami.

– Nietrudno żałować takich decyzji – stwierdziła Astrid. – Nowemu zawsze czegoś brakuje, a na stare człowiek już patrzeć nie może.

Schweigaard pokiwał głową. Zrozumiała, że słowa te, tak dla niej proste i oczywiste, przyniosły mu pociechę. I że pastor życzyłby sobie słuchać takich słów każdego dnia.

– Gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo żałuję – powiedział. – On umarł przez to, co zrobiłem. Odparła, że jest dla siebie zbyt surowy.

– Zdradziłeś nas, Kai. To prawda. Ale i ja ci niczego nie ułatwiłam. Poza tym to Gerhard przewrócił sianie, bo chciał, żeby dzwony wpadły do wody.

– Ale mimo wszystko... ja go do tego popchnąłem.

– Więc czemu to się stało? Jeśli zechcesz mi to teraz wyjaśnić.

Kai Schweigaard nie był w stanie udzielić jej odpowiedzi. Ale milczał dość długo, by Astrid zrozumiała, że jest jej wdzięczny za ubranie tego w tak oględne słowa. Wdzięczny za pytanie: „Czemu to się stało?”, nie zaś: „Dlaczego to zrobił?”. W końcu pastor odchrząknął.

– Nie wiem, jak długo będę jeszcze pełnił tu posługę. I jak długo w ogóle będę pełnił posługę kapłańską.

– Nie mówisz chyba poważnie? Przecież tyle ci się udało osiągnąć.

– To wszystko mnie przerosło. Nikt mnie nie może zmusić do bycia pastorem. A cokolwiek bym robił i jakkolwiek dobre byłyby moje intencje, wszystko i tak się wali.

– Jesteś najlepszym kapłanem, jaki się mógł zdarzyć tej wsi. Trochę surowym, ale ludzie się liczą z tym, że pastor będzie surowy.

– Może lepszy byłby ze mnie nauczyciel.

– Tutaj, w Butangen?

Schweigaard pokręcił głową.

– Gdzieś daleko. Może w Ameryce. Podobno na Brooklynie mieszkają jacyś Norwegowie. Mówi się, że nawet całkiem ich sporo.

Astrid opowiedziała mu o liście od Michelsena i wizji, którą miała u Framstadowej.

– Jeśli coś się stanie – powiedziała – jeśli stanie się najgorsze, to musisz przyjść i ochrzcić dzieci w moim łonie.

Pastor odchrząknął.

– Musiałbym znać imiona.

– Jehans i Edgar.

– Tak... ach tak?

– Edgara wybrał Gerhard. Chyba znał kogoś o takim imieniu.

Kai Schweigaard nie zapytał, czemu nie wybrali imienia dla dziewczynki. Powiedział tylko:

– A Jehans... to ktoś z Hekne?

– Nie. A właściwie tak. Ale ten człowiek już od dawna nie żyje. Przybył do nas z gospodarstwa pod Dovre jako mały chłopiec. Rodzona matka nie była w stanie się nim zająć. Przyjął nazwisko Hekne, był wielkim myśliwym i łowcą reniferów. To od niego nauczyłam się rozróżniać szpony i zwierzęce skóry.

Pastor powtórzył imiona i obiecał, że je zapamięta.

– Jehans urodzi się jako pierwszy – powiedziała Astrid. – Czuję go w dole brzucha, jest bardzo niespokojny. Edgar kopie tylko od czasu do czasu, ale za to mocniej. Chcę, żeby każdy z nich został ochrzczony swoim imieniem, nawet jeśli będą zrośnięci, a ja umrę przy porodzie.

Oboje odwrócili wzrok. Po dłuższej chwili milczenia Astrid oświadczyła, że powinna już wracać do domu.

– Jeszcze tylko jedna sprawa – powiedział Kai Schweigaard, podchodząc do niej bliżej. – Gdyby wszystko się ułożyło inaczej, gdyby pan Schönauer zginął wtedy nad Løsnesvatnet, to mógłbym... to wtedy...

Kiwnęła głową, zachęcając, by mówił dalej.

– To wtedy zrzuciłbym sutannę i uznał ojcostwo.

Astrid zamrugała kilka razy.

– Ale to by nie była prawda.
– Nie. Ale nie byłoby to też kłamstwo.
– Możliwe jest coś takiego?
– Owszem, jeśli prawda jest większa niż nieprawda.
– Mój drogi... ja już sama nie wiem, gdzie góra, a gdzie dół. Powiedz mi, czym w takim razie jest prawda.

– Prawda jest taka, Astrid, że ja... że ja...
Pastor odchrząknął i wbił wzrok w podłogę.
– Ty też nie potrafisz tego powiedzieć?
– Nie – rzucił i potrząsnął głową. – Ale kupiłem pierścioneł. Taki porządny. Na samym początku lata.

Tym razem to ona nie zdołała na niego spojrzeć. Usłyszała wyjący na dworze wiatr, podmuch zerwał się znad Løsnesvatnet, zupełnie jakby głos zdrowego rozsądku próbował przedrzeć się przez kościelne ściany.

Zdrowy rozsądek szeptał jej, że nie ma już wielu mężczyzn do wyboru. Że powinna trzymać się tego, co zapewni jej ubranka dla dzieci. Obudzić w sobie na nowo uczucia do Kaia Schweigaarda, tamtego młodego pastora, który wyskoczył z powozu z dwiema zaledwie walizkami.

Chciała go zapytać, czy myślał o tym także, doprowadzając do skutku jej małżeństwo z Gerhardem. Czy miał z tyłu głowy, że pastorowi nie wolno pojąć za żonę panny z dzieckiem, lecz może bez kłopotu poślubić wdowę?

Ale wiedziała, że on już wycierpiał swoje, więc nie zadała mu tego pytania.

– Kaiu, ja wkrótce urodzę. Dopiero gdy dzieci przyjdą na świat, będę się mogła zastanowić, co czuję. To wszystko musi płynąć w swoim tempie.

Musnęła kciukiem pleciony pierścioneł niewidocznym pod grubą rękawicą gestem.

– Wysłałam za umierającego człowieka. Jeśli coś pójdzie nie tak przy porodzie, nie ożenisz się przecież z martwą kobietą. Co zaś do pierścionków, to musisz wiedzieć o jednym.

– O czym?

– Palec serdeczny kobiety pomyślany jest tak, że wejdą na niego dwa.

Ruszyli z powrotem przez kościelną nawę, lecz on nie podał jej ramienia, na którym mogłaby się wesprzeć. Już w kruchcie zatrzymał ją i rzekł:

– Chcę wiedzieć, czy mi przebaczysz. Czy możesz mi przebaczyć.

Zdjęła rękawice i ujęła jego dłonie.

– Poczujesz to. Tyle ci mogę obiecać, Kaiu Schweigaardzie. Naprawdę poczujesz, jeśli ci wybaczę.

Rozdzwięk starego brązu

Po lutym przyszedł marzec, a ona poruszała się z coraz większym trudem. Młodsze rodzeństwo nieustannie upominano, by nie wspominać o jej stanie, a rozmowy cichły, gdy tylko się do nich włączała. Strach przychodził już na długo przed tym, jak kładła się spać, budził ją jeszcze przed świtem, zmartwienia towarzyszyły jej przez każdą nocną godzinę.

Martwiła się o to, gdzie urodzi.

O to, co przyniosą kolejne dni.

O daną Kaiowi Schweigaardowi odpowiedź.

O ludzkie gadanie, docierające do niej niemal przez okna.

Dreńcące ją myśli były tak uporczywe, jakby wszystko przesądziło się już dawno temu. Nie bała się już tak bardzo, że jej życie dobiegnie końca, zamartwiała się za to wyobrażeniami, jak ten koniec mógłby wyglądać i czy faktycznie jest końcem, czy może tylko zostanie przeniesiona w inne miejsce, z którego będzie mogła patrzeć, co się dzieje z dziećmi. Bardzo żałowała, że nie ma przy niej dziadka ani innej starszej osoby, która nie byłaby zajęta i mogła czuwać przy jej łóżku.

Dom budził się do życia. Ludzie trzaskali drzwiami, wnoszono do środka drewno i wodę. Nasłuchiwała wszystkich dyskretnych odgłosów gospodarstwa, myszy ukrywających się w ścianach, szczekających na dworze psów pasterskich. Poczekała ze zjedzeniem śniadania do chwili, gdy pozostali domownicy wyjdą, a potem poszła na górę do ojca.

– Musisz mnie zawieźć do lekarza okręgowego – powiedziała.

– Do doktora?

– Chcę go zapytać, co mam robić. Pomówić z nim o pewnej operacji.

Ojciec nie przypominał sobie nawet, by kiedykolwiek wcześniej słyszał we wsi to słowo. Opowiedziała mu o liście i o niemieckim lekarzu, lecz szybko zrozumiała, że on ma już po dziurki w nosie Niemców i ich obłąkanych pomysłów, a nie chciała dzielić się z nim swoim niepokojem o to, że dzieci jest dwójka i że mogą być zrośnięte.

Ojciec odchrząknął.

– Miałem jechać do Vålebrua obejrzeć konia – oświadczył. – Najlepiej zrobić to jak najszybciej, zanim go kupi kto inny. Bądź gotowa jutro rano, Astrid. Jeszcze przed świtem. Będziemy jechać powoli, żebyś się nie umęczyła. Droga jest wyboista. Ale przecież dobrze to wiesz.

– Proszę posłuchać, pani...

Lekarz okręgowy pochylił się nad notatnikiem.

– Hekne – podpowiedziała mu Astrid. – Jestem wdową. Po śmierci męża wróciłam do nazwiska panińskiego.

– Dlaczego?

– Jeśli dzieci będą dorastać beze mnie, poradzą sobie lepiej z tutejszym nazwiskiem. Poza tym chcę, żeby o mnie pamiętały.

Lekarz zastanowił się nad tymi ostatnimi słowami dłuższą chwilę, ale ostatecznie o nic więcej nie zapytał. Całe badanie polegało na tym, że ją obejrzał, po czym stwierdził, że sądząc po wielkości brzucha, urodzi najpewniej dużego chłopca. O kleszczach położniczych nie wspominał ani słowem. Astrid zadawała kolejne pytania, a on zapalił fajkę i odpowiadał rzetelnie, lecz ona była coraz to bardziej dociekliwa i w końcu doktor przerwał jej, mówiąc:

– Rozumiem, że miejscowa akuszerka nie powiedziała pani wszystkiego. To bardzo rozsądnie z jej strony. Jest wiele rzeczy, których przyszłe matki nie powinny wiedzieć o własnym porodzie. Nie każda wiedza wychodzi na zdrowie. Lecz mimo to pozwolę sobie zapytać: czy akuszerka wspominała pani może o metodach destruktywnych?

Astrid pokręciła głową.

– I bardzo dobrze. Ale skoro pani tak nalega, to proszę, oto cała prawda. Będzie pani bezpieczna w rękach akuszerki. Jeśli dziecko się zaklinuje, ona zrobi wszystko, by panią ratować. Ale odbędzie się to kosztem dziecka. Będzie musiało zostać z pani ciała wydobyte. Martwe. Przez pani kanał rodny.

Rozczłonkowane. Stąd nazwa: metody destruktywne. Nie będę się zagłębiał w szczegóły. Ale pani w takiej sytuacji przeżyje i będzie mogła jeszcze później rodzić.

Astrid chwyciła się za głowę i wbiła wzrok w podłogę.

– Takie dzieci i tak nie miałyby szans – oświadczył doktor. – Ale skąd pomysł, że nosi pani bliźnięta? Jak powiedziałem: mnie to wygląda na dużego chłopca.

– Słyszałam, że w Kristianii – zaczęła Astrid – jest taka duża klinika położnicza. Z doktorami.

– Pracują tam akuszerki takie same jak i u nas. Lekarza sprowadza się tylko w razie konieczności. Ale pani przecież mieszka tutaj! Jeśli będzie potrzeba, przyjadę do porodu. Miałaby pani wlec się aż do Kristianii i tam czekać?

Zapytała go o krążącą w mieście chorobę. Doktor stwierdził, że akuszerka musiała mieć na myśli gorączkę połogową, ale że teraz zdołano już ją zwalczyć.

– A ta operacja?

– Nie. Nie. Nie znajdzie pani żadnego lekarza, który by się jej podjął. Nawet gdyby matka podpisała oświadczenie, że chętnie poświęci życie, by tylko dzieci przyszły na świat zdrowe – a podejrzewam, że tak właśnie byłoby w pani przypadku – to byłoby wykluczone. Nie podoba mi się, że ktoś nawet rozważa możliwość takich operacji. Ludzie mówią, że słynny cesarz został wykrojony z brzucha swojej matki, ale to nieprawda. Bo wiadome jest, że matka tego cesarza przeżyła i zmarła jako stara kobieta. A gdyby ją rozcięto, to byłaby przecież martwa.

– To czemu mówi się na to cięcie cesarskie?

– Bo samo słowo „cesarz” przypomina termin oznaczający krojenie. Po łacinie.

Astrid wstała, by wyjść.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział lekarz. – Gdyby coś się działo, akuszerka albo ja podejmiemy decyzję za panią. Wyratujemy panią od śmierci i od kłopotów.

– Ale nie od żałoby.

– Nie. Żałobą się nie zajmujemy i nie próbujemy nad nią panować.

Astrid milczała, gdy ojciec odwoził ją do domu. Koń został sprzedany poprzedniego wieczora i oboje stanęli w marcowej plusze przed kościołem w Fåvang, każde z nich ze swoją przegraną sprawą. Dziewczyna spojrzała na południe, wzdłuż rzeki Laugen, ku Kristianii, a potem koń zaczął wspinać się z mozołem na strome zbocza Butangen.

Tego wieczora sięgnęła po *Meyers Sprachführer für Reise und Haus*, zadając sobie pytanie, co zrobiłby na jej miejscu Gerhard. Ale nie ten człowiek, który pięknie rysował i łowił ryby na muchę, lecz ten, który zaryzykował dla niej życie.

Spomiędzy stron przewodnika wypadła cienka karteczka, która z szelestem spłynęła na podłogę. Było to pokwitowanie za nocleg w pensjonacie sióstr Scheen w Kristianii. Kobięcy charakter pisma, piękny i łatwy do odczytania. Cena nie wydała się jej aż taka wysoka. Astrid zestawiła ją w myślach z kwotą otrzymaną od Gerharda i kosztami porodu w Kristianii, oszacowanymi przez lekarza okręgowego. Wyszła z domu, przystanęła tuż za progiem i wpatrywała się w ciemność. Czerń przełamywała tylko drgająca poświata w oknach jednego z sąsiednich majątków. Noc rozścieliła się nad Løsnesvatnet, zboczami doliny, lasami i cmentarzem.

Następnego ranka zawiązała na głowie chustkę, zeszła do przystani i stanęła na zamarzniętym jeziorze. Wody po stronie południowej nadal leżały odsłonięte, a gdy zbliżyła się do skraju lodu, spod chmur buchającej pary dobiegł do niej miarowy plusk.

Ruszyła na drugi brzeg. Ślady pozostawione na lodzie przez sanie przewoźników dawno już zniknęły, zmieniając się w ledwie widoczne zagłębienia w lodzie. Od tamtych grudniowych dni nikt nie jeździł tędy z ciężkim ładunkiem, a ona poszła, brodząc w głębokim śniegu, do miejsca, w którym Gerhard wpadł do jeziora razem z dzwonami.

Powiedział jej, gdzie leży Gunhild. Dzwon spoczął niedaleko mielizny, przy której łowił minionego lata ryby, Gerhard próbował zatopić oba skarby tuż przed podwodnym uskokiem, na głębokości nie większej niż dwa czy trzy metry, by móc je potem wydobyć. Halfrid stoczyła się na mieliznę, lecz Gunhild odskoczyła na bok i wylądowała w głębinach.

Co jeszcze powiedziały mu Siostrzane Dzwony? Czy mówiły, że są z niego zadowolone? Stare

i nowe napierało na siebie w tym miejscu, a przestrzeń między jednym a drugim była tak wąska, że Astrid poczuła się ściśnięta. Musiała być może opuścić Butangen i za kilka tygodni pożegnać się też z życiem.

Zaczął padać śnieg z deszczem.

Nieco dalej, tam gdzie zaczynała się głębia, dostrzegła niewielki krąg, który rozchodził się na wodzie, jak ślad wynurzającej się ryby, który sprawiłby na pewno, że Gerhard Schönauer opuściłby głowę, szykując się do kolejnego zamachu wędką.

Wokół niej rozległ się nagle ponury, drgający ton, współbrzącający z cierpieniem, które ją przepełniało. Zdawało się, że tłumi go woda, że dobiega gdzieś z głębin. Astrid straciła równowagę i postąpiła o krok do przodu. Dzieci w jej brzuchu obudziły się nagle, kopały, lecz jej zdało się teraz, że czuje w sobie jakiś nowy ruch, niczym mocne pchnięcie. Dopiero po chwili bliźniaki wróciły do swoich zwyczajnych harców i przepychanek. A potem zupełnie się uspokoiły i wreszcie Astrid poczuła to raz jeszcze, jedno kopnięcie, silne i długie, jakby dzieci wymierzyły je równocześnie. Zdawać by się mogło, że mają trzy, nie zaś cztery nogi.

Strach napierał na nią z każdej strony. Niczym odległy ton, który z początku ignorowała, ale teraz, gdy rozbrzmiewał co chwilę, musiała sama przed sobą przyznać, że faktycznie go słyszy, za każdym razem głośniejsze i coraz bliżej, niczym rozdźwięk starego brązu, trzask pękającego na wiosnę lodu, stuk spadających z góry kamyków, który zapowiada zejście lawiny. Strach wkroczył do jej duszy i się tam zadomowił, a ona wiedziała, że będzie w niej trwał aż do porodu, że od teraz to przerażenie zatruje jej wszystko, zapanuje nad wdychanym przez nią powietrzem, będzie w jedzeniu i w wodzie, w zapachu krwi i widoku kościelnego krzyża.

Dom zgiętych karków

Była przekonana, że wkroczy do solidnego murowanego gmachu, w którym króluje nauka i jasne światło dnia. Lecz gdy tylko została wpuszczona do budynku Kliniki Położniczej w Kristianii i stanęła w ciemnym, śmierdzącym pleśnią korytarzu, gdy tylko poproszono ją, by zaczekała na naczelną położną, wszystko stało się dla niej niejasne.

Nie był to dom radości.

Był to dom zgiętych karków, mozołu i cierpienia.

Dom wydarzeń, o których się głośno nie mówiło. Dom punktów zwrotnych w ludzkim życiu, przybytek, w którym przypominało się kobietom o ich miejscu w królestwie zwierząt.

Usiadła na stołku przy drzwiach wejściowych, czekała tak długo, że chwycił ją głód, a gdy spytała przechodzącą kobietę w białym kitlu, kiedy przyjdzie naczelną położną, kobieta ta odpowiedziała zaskoczona, że to ona jest naczelną położną i że nikt jej nie wspomniął o czekającej pacjentce. Poprowadzono ją do małego pokoju z szarymi ścianami i poproszono, by usiadła. Kobieta w białym kitlu wyszła, a Astrid usłyszała przez szparę w drzwiach, jak prosi kogoś o „przeprowadzenie przesłuchania”. Druga położna była wysoka i oschła, również odziana w na białe. Zdziwiła się, gdy Astrid powiedziała, skąd pochodzi, i zareagowała podejrzliwie na wiadomość, iż nowa pacjentka jest wdową i może przedstawić akt małżeństwa. Zaczęła coś pisać w notesie i spytała, czy Astrid wie, którego dnia doszło do zapłodnienia i czy jest pewna tożsamości ojca dziecka.

– Mów normalnie, żebym cię mogła zrozumieć – przerwała, gdy Astrid zaczęła odpowiadać.

Dziewczyna zdusiła w sobie złość i przestawiła się na język książkowy. A potem tamta powiedziała:

– Daj mi list.

Astrid przyznała, że nie rozumie.

– List! – powtórzyła odziana na białe kobieta, wyciągając rękę. – Każda przychodzi z listem.

– Od kogo?

– Od komisji do spraw ubogich – rzekła tamta, wciąż z wyciągniętą ręką. – Musimy mieć list, jeśli chcesz tu leżeć za darmo.

– Ale ja mam pieniądze – powiedziała Astrid.

Położna zmierzyła ją spojrzeniem od stóp do głów i wzięła się pod boki.

– Badano cię pod kątem syfilisu?

– Czemu pani o to pyta?

– Bo mówisz, że masz własne pieniądze.

– Nie mam ani listu, ani syfilisu – odrzekła Astrid. – Ale chcę mówić z doktorem.

– Chcesz mówić z doktorem?

Kobieta nabrała powietrza i wypuściła je nosem. Wstała i wyszła, mamrocząc coś do siebie.

Czas płynął.

Nikt nie kazał jej sobie pójść i nikt nie poprosił, by została. Astrid dźwignęła się z krzesła. Bolały ją plecy. Okrążyła pokój i wzrok jej padł na książkę leżącą na skraju biurka. Jeden z jej rozdziałów nosił tytuł *Ciąża wielopłodowa*. Zaczęła czytać: „Im niżej stoi organizm w królestwie zwierząt, tym jest płodniejszy, a im mniejszych rozmiarów, tym krótszy czas ciąży i niższa odporność płodu”.

Zdążyła dotrzeć do tego miejsca, gdy nagle na korytarzu rozległy się kroki. Do pokoju weszła naczelną położną.

– Nie pojmuję, jak mogłaś do nas przyjść ot, tak po prostu – stwierdziła. – To jest przybytek dla kobiet mieszkających w Kristianii, pobyt tutaj kosztuje. Poza tym jeśli już, to powinnaś do nas przybyć, gdy przyjdzie twój czas. Dlaczego po prostu nie urodzisz w domu?

– Bo słyszałam o pewnej operacji. W przypadkach, gdy poród jest trudny.

– A czemu spodziewasz się jakichś... trudności?

– Bo to bliźnięta.

– Tego nigdy nie wiadomo – odparła położna łagodnie. – Nigdy. Najprawdopodobniej nosisz

po prostu jedno duże dziecko. A cały twój kłopot polega teraz na tym, że przyjechałaś tu nadaremno. Podróż zajęła ci pewnie ze dwa dni?

– Trzy. Ale to wcale nie taka daleka droga, gdy chce się ratować dzieci.

– Z tego, co widzę, jesteś przecież okazem zdrowia!

– Jest taki doktor – rzekła Astrid. – Z Niemiec. Pan Säger.

Położna zmierzyła ją wzrokiem.

– Słyszałaś o panu Sägerze? Ty?

– On zna moje nazwisko i wie, że mam rodzić. Słyszałam, że pobrał się z Norweżką i ma wizytować tej wiosny Rikshospitalet.

Wyglądało na to, że zupełnie nie wiedzą, co z nią począć. W końcu trzecia położna zabrała ją do innego pokoju i przebadła. Posłanie kogoś po doktora Sägera było zupełnie nie do pomyslenia. Lekarze nie przebywali w szpitalu, wzywano ich tu tylko w sytuacjach, gdy „wszystkie inne środki zostały wyczerpane”. Położna zapytała, kiedy Astrid zaczęła czuć pierwsze skurcze przepowiadające i znów – kiedy dziecko zostało poczęte. Następnie obie po sobie popatrzyły.

– Zostały mi jeszcze trzy tygodnie – powiedziała Astrid.

– I gdzie się podziejesz przez ten czas?

– Zamieszkać w pensjonacie. Za który zapłacę sama.

Zapadła cisza. Oni musieli tego doświadczyć już wcześniej, pomyślała Astrid. Wiedzieli, że jak ciężarna kobieta się na coś uprze, to nie sposób jej od tego odwieść.

– Musiałabyś tu leżeć na sali z innymi kobietami. Mamy kilka pokoiów jedno- i dwuosobowych, ale trzeba za nie dodatkowo zapłacić.

Astrid pomyślała o zapachach. Jękach. Człapaniu, gdy kobiety będą wstawać, chcąc dać ulgę obolałym plecom.

– Jesteś z doliny? – spytała akuszerka.

Astrid skinęła głową.

– Pewnie pracowałaś w gospodarstwie?

Ponownie przytaknęła.

– Aż do teraz?

– Tak.

– Cóż. Jeśli nosisz dwoje dzieci, to poród zacnie się na pewno przed upływem dziewięciu miesięcy. Powinam ci właściwie kazać wracać do domu, ale trudno, idź do tego swojego pensjonatu. Przyjdź, kiedy się zacnie. Umiesz czytać?

– Dziękuję. Tak, umiem czytać.

– No to możesz sobie pożyczyć od nas książkę.

Astrid znów podziękowała. Wychodząc, spojrzała na wejście do biura adopcyjnego, mieszczącego się tuż przy głównych drzwiach.

Na dworze spoceni mężczyźni zeskrobywali śnieg z trotuaru i ładowali go na wóz. Odłożyli w końcu łopaty, chwycili za miotły i zgarnęli resztki śniegu na ulicę, brudnoszarą od chlapy porozjeżdżanej przez dorożki. Przejechał nią solidny wóz transportowy wiozący podzwaniające szklane butelki. Ciągnęły go dwa wielkie robocze konie.

Astrid pomyślała o Blisterze i Emorcie. Zawieźli ją do Lillehammer, gdzie usłyszała, że wiosenne słońce zaczęło topić lód skuwający Mjøse, więc musi poczekać z dalszą podróżą na nocne przymrozki. Droga przez jezioro minęła błyskawicznie, jechali przez sam środek pod wielkim, jasnym dyskiem księżyca, z doskonałym widokiem na całą okolicę. Płozy śpiewały w harmonii z podłożem, świszczwały, gdy lód był twardy, szurały na nierównej śnieżnej skorupie i milkły, ześlizgując się pod cienką warstewką pokrywającą lód wody. Na wysokości Skrei podróż przez jezioro stała się już niebezpieczna, musieli więc skręcić na wyboistą drogę, lecz Astrid była zbyt zmęczona, by odczuwać strach. Gdy się obudziła, sanie stały w miejscu, a dwaj przewoźnicy w futrach poczęstowali ją kakao i kawałkiem czekolady, mówiąc, że przybyli do Eidsvoll. Dodali, iż poranny pociąg odjechał, nim dotarli na miejsce, lecz droga do Kristianii jest dobra, więc taniej i szybciej wyjdzie jej zabrać się tam z nimi niż czekać na pociąg wieczorny.

Mężczyźni zaprzęgali do sań nowe konie, a ona zerkała na szyny kolejowe. Dwa ciemne tory niknące za zakrętem w oddali.

Po południu dotarli do stajni mieszczącej się, jak powiedział jej przewoźnik, na Øvre Vognmannsgate. Astrid wysiadła i zakręciło się jej w głowie. Wokół huczały końskie kopyta i koła dorożek, ludzie byli dziwnie poubierani i nikt na nią nie patrzył. Otaczało ją miasto, o którym czytała w gazetach Kaia Schweigaarda. Gdzieś za wysokimi oknami murowanych gmachów, za tymi grubymi ścianami musiały się toczyć te loterie, prelekcje o ekspedycjach na północne morza, to tam były te bale i pomarańcze z Walencji. Przyczepił się do niej jakiś obdarty chłopiec i pomógł jej znaleźć drogę do pensjonatu sióstr Scheen, który był bardzo niedaleko, a gdy dotarli już na miejsce, Astrid zrozumiała, że chłopak chce pieniędzy, więc dała mu jedno øre. Zameldowała się w pensjonacie jako Astrid Hekne, przez chwilę zastanawiała się nawet, czy wspomnieć o Gerhardzie, ale doszła do wniosku, że nikt w tym mieście nie będzie się przejmował śmiercią dawnego gościa ani też faktem, że oto stoi tu sama rok po jego wyjeździe, nosząc pod sercem jego dzieci.

Następnego dnia wróciła do kliniki. Naczelną położną powiedziała jej, że kontaktowała się z lekarzem, który zna podobno doktora Sängera, lecz nie otrzymała na razie żadnej odpowiedzi. Ta zaś nadeszłaby zapewne, gdyby Niemiec był zainteresowany jej przypadkiem. Astrid wyszła, pospacerowała trochę po ulicach, chcąc dać wytchnienie obolałym plecóm, ale nie wypuszczała się daleko, tak by w każdej chwili móc wrócić do pensjonatu sióstr Scheen.

Przy rogach domów stały tabliczki z nazwami ulic, Astrid co chwila zadzierała głowę, by patrzeć na wysokie gmachy. Były jak pewne siebie kobiety w odświętnym stroju: jeśli chcesz wiedzieć, co to piękno, patrz na nas! Poczowała się niczym kamień na rzeczonym dnie, który na chwilę wyjrzał z wody, i poszła kawałek dalej. Dobiegł do niej zapach soli i gnijących wodorostów, którego nigdy wcześniej nie czuła, lecz który mimo to rozpoznała jako woń morza, zaś tam, gdzie pachniało morze, musiały być również i statki.

Przy nabrzeżu Bjørvika czekał parowiec, kolos pnący się ku chmurom, czarny i groźny, z długim, biegnącym wzdłuż burty czerwonym pasem jako jedyną ozdobą, tak ciężki i potężny, że bezradna morska woda pluskała wokół niego z rezygnacją. W powietrzu unosił się zapach zjełczałego oleju i wysyconego tłuszczem dymu. Gdziekolwiek by się rozejrzała, Astrid widziała masy ludzi, wszyscy mieli na głowie jakieś własne sprawy i w ogóle się nią nie przejmowali. Emigranci. Całe rodziny z dorobkiem swego życia w zbitych byle jak podróżnych skrzyniach opisanych nazwiskami, skrzyniach, które nieśli między sobą, przesuając się powoli w długich kolejkach, trzymając się za rękawy, by tylko ktoś ich nie rozdzielił. Astrid ruszyła dalej i ujrzała budynek, który musiał być stacją kolejową. Przystanęła tuż przed nim.

I oto jestem. Maciora, która dowlekleła się do Kristianii. On zaś nie przyjdzie. Sänger nie przyjdzie. Może w ogóle nie ma go w tym mieście. I nikt w Klinice Położniczej nie wierzy, że noszę pod sercem dwoje dzieci.

Znów wstrząsnął nią strach, do głowy zakradła się myśl: jeśli wrócę do domu, nie będę ryzykować życiem. Framstadowa wie, że to bliźnięta i że poród będzie ciężki. Nie zawaha się. Szybko chwyci za swoje narzędzia. Te, którymi wydobywa się dzieci, by matka przeżyła.

Myślała tak już wielokrotnie wcześniej, ostatni raz nad Løsnesvatnet, gdy położyła ręce na brzuchu i zadała sobie pytanie: „Ja czy wy?”.

Astrid Hekne stała dłuższą chwilę, myśląc o kobietach przy parowcu próbujących zapanować nad małuchami ubranymi w łachmany i wreszcie powiedziała sobie: niektórzy twierdzą, że nie powinniśmy powoływać dzieci na taki świat. To kto ma w takim razie je rodzic, te dzieci, które uczynią go kiedyś lepszym?

Znów rozboleła ją w krzyżu.

Ja czy wy?

Astrid zadarła podbródek ku niebu i podjęła ostateczną decyzję. Bez słów, lecz z pogłosem stopionego z brązem srebra.

Odwróciła się plecami do dworca kolejowego, wróciła do pensjonatu sióstr Scheen i tam też była, kiedy się zaczęło.

Najpierw poczuła ciepło, a potem zaraz zimno na wewnętrznych stronach ud, pochyliła się, by zajrzeć pod wystający brzuch, i wykręciła kostki tak, by wody płodowe nie naleciały jej do butów. Gdy poszła zapłacić, kobieta w recepcji wbiła w nią wzrok, zatrzasnęła księgę gości i oświadczyła, że sama ją natychmiast odprowadzi na miejsce, nie weźmie pieniędzy za ostatnią noc i zaraz przyniesie też jej bagaż. W gmachu kliniki ułożono ją na ławce w poczekalni, a kolejna położna w świeżo odprasowanym błękitnym mundurku przedstawiła jej się jako panna Ørjavik i oświadczyła, że musi przeprowadzić nowe przesłuchanie, gdyż poprzednie było niestety niepełne.

– Masz przy sobie pieniądze?

Astrid kiwnęła głową.

– Zamknę je w szafce. Mówiłaś, że chcesz leżeć w pokoju dwuosobowym?

– Jeśli nadal jest w nim wolne miejsce. Wolę nie rodzić na sali.

– Wiesz, że to kosztuje cztery korony za noc?

– A cena będzie taka sama, nieważne, czy urodzę jedno dziecko, czy dwójkę?

Panna Ørjavik zamarła z ołówkiem nad kartką papieru. Zmierzyła ją wzrokiem i stwierdziła, że jeśli będzie dwójka, to poród drugiego dostanie w gratisie.

– Jesteś sama tu w mieście?

– Tak.

– A ojciec dziecka? Czy jest znany?

– Byłby na pewno, gdyby dłużej żył.

Panna Ørjavik przekrzywiła głowę.

– Był architektem, wzięliśmy ślub, ale potem on umarł. Nazywał się Schönauer, ale chcę, żeby dzieci dostały nazwisko Hekne.

Położna skinęła głową i zapisała nazwę rodzinnego miasta Gerharda.

– Wybraliśmy imiona – powiedziała Astrid. – Na wypadek gdyby dzieci okazały się chore i trzeba by je było szybko ochrzcić.

W formularzu nie było na to rubryki, ale panna Ørjavik stwierdziła, że może zrobić dopisek na marginesie. Miała staranne pismo i używała świeżo naostrzonego ołówka.

– Jehans i Edgar – powiedziała Astrid. – Jehans urodzi się pierwszy.

– Czyli jeśli będzie jeden chłopak, to też ma być Jehans?

– Tak. Wtedy też ma być Jehans.

– A jak się okaże, że to dziewczynki?

– Nie okaże się...

– Co?

Astrid odchrząknęła.

– Gunhild i Halfrid. Gunhild to ta, co podzierga wąsko.

– Słucham?

– To znaczy... przepraszam, Gunhild urodzi się pierwsza. I jeśli będzie tylko jedna dziewczynka, to też się tak będzie nazywać.

– Piękne imiona. Już zapisałam. Wszystko, co mówiłaś.

– A co ze mną? – spytała Astrid.

– Z tobą?

– Gdzie mnie pochowają, jeśli to się źle skończy?

– Oj – panna Ørjavik odchrząknęła. – Skąd nagle takie pytania?

– Chcę wszystko z góry załatwić.

– Nie wolno tak myśleć. Będzie dobrze.

– Właśnie zapisałyśmy imiona na wypadek, gdyby nie było.

– Na cmentarzu Chrystusa Zbawiciela – odrzekła panna Ørjavik. – Cmentarz Chrystusa Zbawiciela. Tutaj w pobliżu.

– Będę miała nagrobek? Żeby mnie znaleźli, jak mnie już nie będzie?

– Pani rodzice?

– Nie, moi synowie.

Panna Ørjavik odłożyła ołówek i podrapała się po czole.

– Nie wiem – przyznała. – Ale wszystko zostanie załatwione, jak należy.

– A jeśli umrą dzieci? – pytała Astrid. – Co wtedy?

– Wtedy... jeśli będziemy się o to obawiać, wezwiemy pastora, by je ochrzcił. Jeżeli pastor nie przyjdzie, zrobimy to same. I potem chrzest zostanie sformalizowany w kościele. Jak już wrócicie do domu.

– Ale co się stanie z dziećmi, jeśli umrą?

– Nie zadreżaj się teraz takimi myślami. Takie zdenerwowanie ci nie służy.

– Denerwuje mnie tylko to – rzuciła Astrid – że nie wiem wszystkiego.

– No dobrze. Dzieci też zostaną pochowane na cmentarzu Chrystusa Zbawiciela. Tak, w święconej ziemi.

– Mam w tobołku dwa pędzle – powiedziała Astrid. – Pochowajcie je razem z dziećmi, jeśli umrą.

Obie milczały przez chwilę.

– Jest jeszcze jedna sprawa – powiedziała panna Ørjavik, tym razem sięgając po inny notatnik, większy i bardziej od poprzedniego zniszczony. – Skoro jesteś wdową. Pozwolę sobie zapytać... masz widoki na kogoś, kto was utrzyma?

– Owszem, mam.

– Ale nie jesteś zaręczona?

Astrid pokręciła głową.

– Przyjdzie do ciebie wkrótce jedna pani. Z biura adopcyjnego. Zapyta, czy jesteś w stanie zaopiekować się dzieckiem, czy też chcesz je oddać. Oni tam mają swoje sposoby. Bardzo dyskretne. Znają dobrze sytuowanych ludzi, którzy zajmą się maluchem jak swoim własnym.

Panna Ørjavik zamknęła ostrożnie notatnik, mówiąc, że Astrid nie musi się spieszyć z decyzją, ale że dobrze byłoby podjąć ją w ciągu następnego dnia. Później zaprowadziła ją do innego pokoju na piętrze, gdzie pozwoliła jej się położyć. Drugie łóżko było puste, a położna powiedziała, że jeśli Astrid się poszczęści, to może nikt go nie zajmie i będzie miała pokój tylko dla siebie. Porządnie strzepnęła kołdrę i ułożyła ją na łóżku, dała jej dodatkową poduszkę pod plecy i owinęła jej stopy kocem, po czym przyniosła kawę, którą razem wypily. Gdy kubek był już pusty, Astrid zapytała:

– Macie jakieś wiadomości od doktora Sängera?

Ale panna Ørjavik pokręciła tylko głową, mówiąc, że nigdy nawet o kimś takim nie słyszała.

W ciągu nocy bóle przybrały na sile. Akuszerka spała, ale co jakiś czas zaglądała do niej pielęgniarka. Astrid nie miała żadnego czasomierza, na ścianie pokoju nie było też zegara, więc zaczęła liczyć swoje oddechy, próbując oszacować, jak długo trwają kolejne skurcze. Zadawało jej się, że dzieła je coraz krótsze odstępy. Za którymś razem gwałtowny ucisk wydał jej się wręcz brutalny, lecz dzieci nie chciały przesunąć się dalej w dół, a ona wiedziała, że musi zrobić to, co zawsze robiły rodzące.

Wytrzymać.

Czekać.

A potem nadeszło ogromne parcie, dowlekła się więc do klozetu w korytarzu i długo tam siedziała, aż pojęła, że chyba źle zrozumiała swoje ciało. Kiedy wróciła do pokoju, czekały tam na nią akuszerka i jakaś obca kobieta. Nieznajoma, odziana w jasnozieloną suknię z haftami, siedziała na brzegu sąsiedniego łóżka, przy posłaniu Astrid stało zaś kilka dużych walizek i jasnoniebieskie kartonowe pudło przewiązane jedwabną wstążką.

– A ta to kto? – zapytała dama, wskazując na Astrid. Była dość stara, sporo po trzydziestce i raz po raz przełykała ślinę, jakby jeszcze przed chwilą płakała. Włosy miała świeżo upięte, tak kunsztownie, że ktoś jej musiał w tym pomagać. Położna zakorkowała buteleczkę z lekiem, a dama chwyciła ją za skraj kitla i rzuciła:

– Miałam dostać pokój jednoosobowy! Zapłaciłam za jednoosobowy!

– Dostanie go pani – odrzekła położna – Będzie gotowy za kilka godzin. Jak tylko zrobi się widno. Już to przecież tłumaczyłam.

– Ach. No dobrze.

Położna wyszła. Astrid opadła na łóżko i ostrożnie się ułożyła. Nie patrzyła na swoją towarzyszkę i nie odzywała się. Na dworze było ciemno. Pokój miał duże okna i zasłony w pastelowych kolorach. Do środka wpadł słaby powiew wiatru, poruszając nimi nieznacznie. Nic innego się nie działo.

Nieznajoma zaczęła pociągać nosem.

– Przepraszam – powiedziała. – Przepraszam, że tak się zezłościłam.

– Nie szkodzi – odparła Astrid.

– Jestem tu sama, a zupełnie do tego nie nawykłam.

– To może nie powinnaś prosić o pokój prywatny.

– Chciałam powiedzieć, że nie nawykłam do przebywania z ludźmi, których nie znam.

– Ja też nie – stwierdziła Astrid.

Dama zaczęła coś mówić, ale chwyciły ją bóle i słowa uwięzły jej w gardle, a gdy się już uspokoiła, nie pamiętała, co chciała powiedzieć.

– Przyszłaś tu teraz, w nocy? – spytała Astrid.

– Tak. Zaczęło się przed czasem.

– Ach. U mnie też.

Kobieta jej nie odpowiedziała.

– Jesteś z wybrzeża? – spytała Astrid.

– Z Møre. Ale ostatnich dziesięć lat przemieszkałam za granicą.

– I wolałaś rodzić tu, w Kristianii?

– Czy ty nic nie pojmujesz, dziewczyno? Nie mam siły z tobą rozmawiać! Ach, niech oni wreszcie przygotowują ten mój pokój!

Kobieta znów zaczęła płakać. Nie wyglądało na to, by miała się szybko uspokoić, nikt też do niej nie przyszedł, zapewne dlatego, że szloch był w tym przybytku odgłosem tak samo oczywistym jak odgłos kroków, więc Astrid dźwignęła się z łóżka i przy niej usiadła.

– Poprzednio też się zaczynało za wcześnie.

Astrid spytała, co znaczy „poprzednio”.

– Innym kobietom się udaje. Ale mnie nie. A mam już trzydzieści dwa lata. On jest mną rozczarowany. Wiem, że jest rozczarowany.

– Twój mąż?

– Mieliliśmy wrócić do domu dwa tygodnie temu. Ale on pojechał do Lærdal łowić łososie i dłużej mu zeszło. Zamieszkałam u ciotki w Briskeby. No i dziś wieczorem się zaczęło. Dziecko chce ze mnie wyjść. Nie jest mu u mnie dobrze. A on sobie łowi łososie!

Ci mężczyźni, w których się zakochujemy, pomyślała Astrid. Zarzucają wędki do zimnej wody wczesną wiosną i jakoś im się udaje.

Przyszła jej kolej, by stawić czoła skurczom. Fale bólu zalewały je obie coraz częściej, trwały coraz dłużej i było to coś, co je łączyło, więc w przerwach między skurczami zaczęły ze sobą rozmawiać. Kobieta powiedziała, że ma na imię Elisabeth i jest córką asesora, zaś swojego męża spotkała na przyjęciu, jako jednego z ośmiu przybyłych w jej okolicy angielskich poławiaczy łososi. Korespondowali potem ze sobą i w końcu pojechała za nim do jego kraju pewnej jesieni, zaraz po swoich dwudziestych drugich urodzinach.

– Wydawał się taki fascynujący. Na pierwszym wspólnym obiedzie powiedział mi, że brał udział w aneksji Transwalu, a ja nie wiedziałam, co znaczą słowa „aneksja” i „Transwal”, ale zaraz się w nim zadurzyłam. A on chce mnie teraz zaciągnąć na Cejlon i kupić tam plantację herbaty.

– To w Afryce?

– Nie, na południe od Indii. Taka mała wysepka.

– A teraz mieszkacie w Anglii? Mojemu mężowi podobał się Londyn – powiedziała Astrid.

– Nasz dom jest bliżej Szkocji.

– Ach.

Astrid leżała, przez chwilę rozmyślając. A potem zaczęła wypytywać Elisabeth o to, jak wygląda jej posiadłość.

– Naprawdę macie aż trzy kondygnacje?

– Tak. Dom jest zbudowany z kamienia, ale stoi właściwie na pustkowiu. On się tym rzecz jasna nie przejmuję, bo zaraz niedaleko ma te swoje rzeki z pstrągami. Na szczęście w sezonie łowieckim często przyjeżdżają do nas goście. W okolicy roi się od pardw i bażantów, on do nich strzela z mężczyznami, a panie i ja mamy dużo czasu na pogawędki.

Elisabeth poprosiła Astrid, by opowiedziała jej o swojej ciąży.

– Mówiłaś, że nazywał się Schönberg?

– Schönauer.

– I rysował kościoły?

Astrid kiwnęła głową.

– Niewielu ludzi rysuje kościoły pod koniec roku.

– Niewielu ludzi w ogóle rysuje kościoły.

Elisabeth znów zwinęła się z bólu, a Astrid zapadła na chwilę w sen. Między zasłonami przeciskało się już jasne światło poranka, gdy ktoś stanął w progu, obwieszczając, że pokój prywatny jest gotowy. Elisabeth podeszła do Astrid i dała jej do zrozumienia, że tak naprawdę nie chce odchodzić, ale że ma przed sobą coś, co musi załatwić sama.

– Powodzenia, Astrid.

– Życzę ci wszystkiego dobrego, Elisabeth.

– Dziękuję.

Uścisnęły sobie dłonie i się pożegnały. A potem drzwi znów stanęły otworem i do środka weszły dwie dziewczyny z ogromnymi brzuchami, żadna z nich nie mogła mieć więcej niż czternaście lat i obie miały mokre włosy, po tym jak je gruntownie wyszorowano. Widząc zachowanie położnej, Astrid domyśliła się, że raczej nie doszło do tego za ich zgodą. Dziewczyny złorzeczyły, nie przejmując się zupełnie jej obecnością. Na podłodze zaszurało trzecie łóżko, które wepchnięto do pokoju.

Tak to zatem wygląda, pomyślała Astrid. Tu sobie leżymy.

Te, które nie chcą dzieci, będą je mieć. A te, które chcą, nie mogą.

Zasnęła i obudziła się, stwierdzając, że dziewczyn już nie ma, a potem chwycił ją skurcz tak silny, że aż zawyla z bólu, i wszystko się w końcu zaczęło. Przyszła położna, niosąc podpory pod kolana, a Astrid czuła odrazę na myśl, że musi siedzieć w takiej pozycji, otwarta i obnażona, z lepką skórą i mokrymi włosami, spocona, brzydka i wściekła. Pod wieczór stwierdzono, że dziecko ułożyło się poprzecznie i nieważne, jaką przybierała pozycję i jak bardzo się wysilała, nie chciało z niej wyjść. Jej brzuch odmawiał zmiany kształtu, musiała przeć mięśniami, o których istnieniu zdążyła już zapomnieć, mięśniami, które czuła tylko po nocach z Gerhardem Schönauerem, a jego wspomnienie sprawiło, że zamknęła oczy i uciekła w swoje dawne marzenia o Dreźnie. Zdążyła już prawie dojść do końca promenady, gdy skurcze stały się silniejsze niż sen na jawie, a ból w krzyżu zgasił wszystkie dreźnie latarnie gazowe.

Gdy się ocknęła, latarnie znów jaśniały, a ona nie wiedziała, gdzie jest, aż wreszcie pojęła, że zapadła noc, źródło światła stanowi zaś karbidowa lampa na ścianie. Zdawała się rosnąć, coraz bardziej przy tym zamazując, żółtawa poświata zaczęła tańczyć przed jej oczami, miała wrażenie, że we wnętrzu jej ciała ugrzęzła wielka, ciężka ryba. W żółtym blasku poruszyła się nagle ciemna ludzka sylwetka, która po chwili zniknęła, a potem wróciła, prowadząc kolejny ciemny kształt. Astrid usłyszała podzwanianie metalu o metal, ktoś upuścił coś na podłogę i zaraz to podniósł.

A potem ogarnęło ją śmiertelne przerażenie.

Bo rozległy się męskie głosy.

Jak długo ona już tak leży?

Będzie półtorej doby. Położna mówiła coś o szyjce. Że jest rozwarta od wielu godzin.

No tak, to znaczy, że kanał rodny się otworzył. I ona nie jest w stanie wypchnąć dziecka?

Nie. Podobno wspominała, że podejrzewa ciążę mnogą.

A skąd by to miała wiedzieć?

Długo już leży w malignie. Mamrocze jakieś dziwne rzeczy.

Dziwne? Nie mamy czasu na mówienie ogródkami. Proszę mi wszystko powiedzieć!

Chyba sądzi, że dzieci są zrośnięte. Podobno były już takie przypadki w jej rodzinie.

Dobry Boże. To by była sensacja.

Ale nie można tego wykluczyć?

Nie. Tak samo jak nie można wykluczyć, że mamy tu do czynienia z trzema płodami.

Naprawdę pan tak uważa?

Oczywiście, że nie. Próbuje tylko pana skłonić, by spojrzął pan na tę sytuację z przytomnym umysłem, spokojnie, tu i teraz. Proszę zaufać rachunkowi prawdopodobieństwa i swemu doświadczeniu. I robić to, co trzeba. Niech pan ją znów zbada. Wyczuwa pan konkretny kształt?

Czuję coś miękkiego. Delikatnego i miękkiego.

Zapewne pośladki. Nogi dziecka podwinęły się i ustawiły równolegle do kanału rodnego. Proszę się przesunąć. Wprowadzę do środka dłoń, by je wyciągnąć.

Astrid poczuła, jak coś wciska się w jej podbrzusze, nie wiedziała dokładnie, w które miejsce, jakby ktoś napierał i szarpał jedną obrzmią, obolałą masę. Głosy wokół niej ucichły i zrozumiała, że nie jest już w stanie rozróżnić dźwięków.

Ocknęła się znów i poczuła się nieco przytomniejsza. Głosy wróciły, Astrid zamrugała oczami i teraz widziała ich już wyraźnie. Byli to dwaj mężczyźni, jeden młody, drugi stary, za ich plecami rozpoznała też naczelną położną.

Główka się zaklinowała. Teraz już nie ma odwrotu.

Proszę powiedzieć, co mam zrobić.

Przynieść kleszcze. Te nowsze.

Tak. Dobrze.

Gdzie pani była tyle czasu?

Tych kleszczy tu chyba nie ma.

To proszę rzecz jasna przynieść te drugie!

Są nadal w użyciu w innym pokoju.

Astrid znów wypadła na chwilę ze świata żywych i obudziła się ponownie, słysząc trzaskające drzwi. Zobaczyła, jak do pokoju wchodzi mężczyzna, z zakrzepłą krwią na fartuchu i jakimś kształtem w rękach.

Otworzyła szeroko oczy, dochodząc natychmiast do siebie.

Kleszcze leżały na podłużnej blaszanej tacy, długie i pokryte śluzem, niczym szczypczyki na półmisku z podawanym do stołu mięsem.

Lekarz chwycił narzędzie, ale wysunęło mu się ono z rąk i upadło z brzękiem na tacę. Przełożył je do drugiej ręki, usiłując zacisnąć pewniej dłoń na uchwycie. Metal był matowy i poczerniały, w blasku karbidowej lampy czerwieniła się na nim krzepnąca dopiero krew. Astrid usłyszała szuranie nóg taboretu o podłogę. Lekarz uniósł szczypce wysoko, ona zaś ujrzała strużkę śluzu pomiędzy ich łyżkami. Mężczyzna rozwarł narzędzie, przerywając to pasemko, śluz jeszcze chwilę zwisał z łyżki, po czym owinął się wokół jednego z ramion kleszczy i do niego przywarł.

– Nie wsadzisz tego we mnie! – wrzasnęła Astrid.

I zaczęła przeć.

Usłyszała dobiegający z oddali krzyk dziecka, coś uwolniło się i wypadło, wpuszczając do jej wnętrza chłodny powiew świeżego powietrza. Poczuła, że coś z niej wypływa, ale nie wiedziała, ile tego jest, nim nie usłyszała bębnienia kropel spadających do blaszanego naczynia, bębnienia, które przeszło zaraz w szum przywodzący na myśl strumień.

Teraz proszę się tym zająć. Czuje pan bicie serca?

Nie wiem.

Nie wie pan? Proszę się odsunąć. Ułożenie było pośladkowe, możliwe, że płody szczepiły się główkami.

Jak to?

Podbródek jednego trafił pod szyję drugiego. Dlatego pierwszy nie chciał wyjść. Właściwie to wypchnęła teraz już prawie oba.

Nie mogę dobrze złapać. Mam tyle krwi na rękach.

Proszę się przesunąć! Sam to zrobię! Nie, zaraz, niech pan zaczeka.

Co się dzieje?

Ona znowu prze.

Astrid Hekne zebrała się w sobie jeszcze raz, czerpiąc siły z jakiegoś odległego miejsca, ze stromych wzgórz i górskich lasów, od wszystkich matek w swoim rodzie, sięgając aż czasów sióstr Hekne, była wyczerpana i przerażona, a jedynym, co mogłoby ją uspokoić, był męski głos przemawiający po niemiecku, lecz głos ten nigdy nie miał się rozlec. W końcu pierwotne siły zawładnęły nią bez reszty, a w tym, co robiła, nie było już miejsca na myśli ani słowa.

Opowieść trzecia

Każda z tych ofiar to jakiś człowiek

Ty podziergasz szeroko

Astrid Hekne leżała z dwoma chłopcami przy piersi w nadziei, że napiją się z niej, nim będzie za późno. Oto jesteście, myślała. Wreszcie zyskały sens słowa „przyjść na świat”. Dzieci przeciągały się niczym leniwe kocięta, tuż przy niej, przytulone do jej ciała każde na swój sposób, patrzyły jej w oczy, a potem na siebie nawzajem, by toczyć wreszcie wzorkiem dookoła, w tych pierwszych godzinach życia, kiedy matka i brat nie jest niczym bardziej niezwykłym niż dzban z wodą na stole czy wiszące w oknie zasłony.

Jehansie, pomyślała. Nareszcie ze mnie wyszedłeś i nie zrobili ci krzywdy. Już cię rozpiera energia, powtarzasz te same, silne, niezmordowane i zwinne wierzgnięcia co w moim łonie, tyle że z każdą godziną twoje ruchy stają się pewniejsze. Zostałeś stworzony, by chodzić. A jednak to ty podziergasz wąsko.

A ty, Edgarze, rozpoznaję go w twojej buzi. Twojego ojca. Bawisz się paluszkami, jakbyś już szukał w nich pędzla. Chcesz się do mnie przytulić jak najmocniej, ale to ty podziergasz szeroko.

Edgar zaczął się wiercić, poruszał się tak, jak rusza się istota, która długo jeszcze nie zrozumie, że może chodzić na dwóch nogach. Astrid pochyliła się nad dziećmi i powiedziała:

– Zdawało mi się, że przegrałam wszystko. Ale to nieprawda. Przegrałam, byście wy mogli wygrać.

Dwaj chłopcy zaczęli ssać dwie piersi. Wreszcie poczuła, jak pokarm przepływa z niej do nich, i zapadła w drzemkę. Gdy się obudziła, siedziała obok niej panna Ørjavik.

– To już koniec, prawda? – wymamrotała Astrid.

– Leż spokojnie. Nie możesz stracić więcej krwi.

– Była pani w tamtym drugim pokoju?

– Tak. Jej dziecko nie przeżyło.

Astrid przełknęła ślinę.

– Ale nie może zabrać ich obu?

– Nie. Jej mąż nie może o niczym wiedzieć.

– Niech będzie więc tak, jak ustaliłyśmy.

– Śpij, Astrid. Jutro rano będziemy wiedzieć więcej.

Zdrzemnęła się chwilę, lecz zaraz otworzyła oczy i poruszyła nerwowo ramionami.

– Spokojnie – upomniała ją panna Ørjavik. – Jestem przy tobie. Będę na nich uważać. Nie spadną.

– Na pewno są zdrowi? Zbadala ich pani dokładnie?

– Rzadko kiedy widuję takich silnych i pięknych chłopców. Możesz być z nich dumna.

– Niezbyt są do siebie podobni, prawda?

– No, niespecjalnie. Każdy z nich jest śliczny na swój sposób. Poczekaj, poprawię ci poduszkę pod plecami.

– Widzi pani, ten ma kręcone włoski.

– Zupełnie jak ty. A u drugiego są całkiem proste. To po ojcu?

– Tak, po ojcu. Była pani przy ich narodzinach?

– Cały czas tam byłam. Jeden z lekarzy zemdlał.

Astrid znów na moment zamknęła oczy.

– Panno Ørjavik?

– Tak, Astrid.

– Rozmawiałyśmy o tym, że...

– Nie bój się. Dzieci dostaną mleko.

– Nie, później jeszcze mówiłyśmy...

Położna poprawiła się na taborecie i chwyciła jej dłoń.

– Że może szczęście jest krótkie i wielkie?

– Tak.

- Ale to nieprawda.
- Nie?
- Jest dużo dłuższe. I dużo większe.

Astrid przytuliła dzieci do siebie, położyła obie dłonie na ich główkach i tak zasnęła.

Głęboko w tym śnie przeszłość oddzieliła się od przyszłości, otwierając przed nią szeroki widok. Zobaczyła samą siebie odzianą w gęsto tkany popielaty płaszcz, stojącą na stacji kolejowej w rodzinnej dolinie. Konduktor podał jej dłoń i pomógł wsiąść do przedziału, urządzonego jak niewielki salon, świeżo wysprzątanego, w powietrzu unosił się lekki zapach chloru. Stało tu sześć zwróconych ku sobie głębokich foteli o wysokich oparciach, obciążniętych jasnoszarą tkaniną. Siedzenie było miękkie, na wysokości kości krzyżowej miało wszytą małą poduszczkę. Astrid oparła ramiona na podłokietnikach, wyciągnęła nogi, umościła się i rozsiadła wygodnie. Spoglądała na ludzi spieszących po peronie, porównując to zamieszanie z panującym w przedziale spokojem.

Edgara i Jehansa z nią nie było, bo miała ruszyć w tę podróż sama. Za oknem rozległ się gwizdek, ona zaś poczuła delikatne szarpnięcie na wysokości łopatek, rozpoczął się wielki ruch pociągu, tej siły, która była tak ogromna, że mogła zmienić świat. Wagon rozpedził się, minął pastwiska i wjechał na most, Astrid widziała, jak pociąg odbija się w tak dobrze jej znanych zielonych wodach rzeki po lewej stronie, majaczył tam długi rząd okien i zapewne też jej twarz, która również musiała tworzyć to odbicie, niewidoczna w tak szybkim pędzie, ale obecna. Przeszedł ją dreszcz na myśl, że jest częścią tego ruchu, tej wielkiej podróży naprzód, szybkiej i jednostajnej, tak przyjemnej, że u jej kresu będzie bardziej wypoczęta niż na początku, naprzód, naprzód i do przodu.

Prędkość była ogromna. Widok zmienił się znowu, a jej oczom ukazał się nowy, obcy kraj. Cały świat stanął przed nią otworem, za oknami po prawej i po lewej stronie. Nadciągały chmury, postawiła więc kołnierz płaszcza i już po chwili była pod obłokami, schyliła kark i dopiero sobie uświadomiła: w pociągu jest jej przecież ciepło i sucho, nie dotrze tu żadna niepogoda. Krople deszczu spływały jedna przy drugiej po szybie i po chwili już przestało padać.

A potem znalazła się w hotelowym pokoju. Płynęły godziny, niebo zmieniło kolor, a nad nieznanym miastem za oknem rozpostarła się ciemność. Wyszła na dwór i zobaczyła, jak rozbłyskują dwa długie rzędy żółtych, drgających świateł, jedno przy drugim, w oddali, światła wisiały na żelaznych słupach, rysując w ciemnościach łuk ścieżki. Ruszyła z wahaniem przed siebie, wkroczyła pomiędzy uliczne latarnie i stała tam w spokoju, mijana przez przechodniów. A potem poszła tą drogą utkaną ze światła, skręcającą nad brzeg rzeki, gdzie lampy rzucały drgającą poświatę na płynący nurt. Frontem do wody stały posągi wyobrażające ludzi, którzy osiągnęli sławę. Podeszła do nich, do spowitych półmrokiem pomników przeglądających się w rzece. Rozległo się wtedy bicie kościelnego dzwonu, a ona ujrzała świątynię z Butangen, odbijającą się w niewielkim jeziorze. Dzwon zabił raz jeszcze i zdało jej się, że słyszy dochodzącą z oddali, jak rozproszone echo wszystkich barw rozdźwięku, odpowiedź drugiej siostry.

Owady marne

– Pomyślałem sobie – oświadczył biskup Folkestad – że poczęstuję panów cygarem. Nie będzie to chyba grzech hedonizmu. A wszak mamy co świętować.

Piętnastu odświętnie ubranych mężczyzn siedziało przy stole na plebanii w Butangen. Zjedli już czterodaniowy obiad, między innymi bulion z mięsnymi pulpetami oraz ozór wołowy w jarzynach, wysłuchali dziesięciu różnych przemów i wzniesli tyleż toastów.

– Proszę powiedzieć, pastorze Schweigaard – podjął Folkestad – jak długo pełni tu pastor posługę? Będzie już trzy lata?

Kai Schweigaard uniósł wzrok znad niedojejzonej porcji rumowego puddingu.

– Ledwie dwa, księżo biskupie.

– Dwa? Ano faktycznie. Tym bardziej imponujące! Udało się pastorowi tyle dokonać. To rozkosz stanąć w nowo pobudowanym kościele. Widzieć, jak parafianie rozglądają się wokół z pełnym szacunku podziwem. To solidne filary religijności przyszłych pokoleń. Dzwonnicę uważam co prawda za zbędną ekstrawagancję, zwłaszcza że nie ma w niej na razie żadnych dzwonów, ale jako... kostnica dobrze spełnia swoją funkcję. Cóż, przyszła chyba chwila, by wypić pastora zdrowie. Panie naczelniku, panie przewodniczący, wzniesmy toast za Kaia Schweigaarda!

Lampy olejowe pod sufitem miały świeżo przycięte knoty, paliły się więc równo i jasno, a złocistobrazowa sherry migotała w kielichach z rżniętego kryształu. Mężczyźni odstawili je ostrożnie i już wkrótce krążyło między nimi pudełko z cygarami. Naczelnik okręgu i zarządca mleczarni kiwali głowami z zadowoleniem, odkrywszy, że to najlepszy hawański towar od Conrada Langaarda. Goście częstowali się jeden za drugim, wachając z rozkoszą swoje cygara. Pudełko okrążyło szczyt stołu, docierając w końcu do Kaia Schweigaarda siedzącego po prawicy biskupa.

Pastor nadstawił nagle uszu. Z korytarza dochodziły podniesione głosy. Trzasnęły wejściowe drzwi. Zerwał się tak szybko, że nogi krzesła zaszurały o podłogę.

Biskup zmierzył go spojrzeniem.

– Sprawa niecierpiąca zwłoki?

– Niestety. Zaraz wracam. – Schweigaard opuścił salon i ruszył do kuchni. Stały tam kobiety o czerwonych dłoniach, zmywając naczynia w kłębach wodnej pary. W rogu czekało już świeżo przystrojone piętrowe ciasto marcepanowe, a pani Bressum od razu go spytała, czy podać je już teraz.

Pastor powiedział, że nie, i skinął głową w stronę korytarza. Gospodyni wytarła ręce w fartuch i poszła za nim.

– Słyszałem, że ktoś przyszedł – powiedział, gdy byli już sami.

– Tak, Emort z Hekne.

– Co takiego?

– Ona jest w Kristianii.

– Co też pani mówi? W Kristianii?

– Żeby urodzić tam dziecko. Ubzdurała sobie, że trzeba się spieszyć, i kazała się zawieźć do Lillehammer.

Kai Schweigaard westchnął.

– Kiedy to było?

Margit Bressum odchrząknęła.

– Już parę dni temu. Jechali na złamanie karku, ale Emort nie mógł wracać od razu, bo płozy sań były zjeżdżone, a koń padał ze zmęczenia.

– Ale czemu przyszedł tu teraz?

– Takie hekneńskie zwyczaje.

– O czym pani mówi?

– Emort musiał jej obiecać, że da pastorowi znać. A ich matka pewnie się wstydzi i nie chce, żeby wieść się rozniosła po wsi.

Kai Schweigaard stał w korytarzu jak wryty.

Na parapecie obudziła się do życia ćma. Parę godzin wcześniej kobiety pootwierały okna, chcąc wywietrzyć swąd smażeniny. Owad musiał przeleżeć całą zimę w jakiejś szparze, ale teraz zerwał się do lotu i zaczął krążyć wokół lampy. Pastor sięgnął po gazetę, by go zabić, ale ostatecznie schwycił ćmę w dłonie i wyniósł na dwór, by ją tam uwolnić. Dopiero w lepszym świetle dostrzegł, że trzyma w rękach motyla.

Usłyszał uprzejmy, lecz nieco nerwowy śmiech dochodzący z salonu i wrócił pospiesznie do stołu. Pozostali mężczyźni obcięli już końcówki swoich cygar, lecz grzeczność nakazywała im poczekać z ich zapaleniem na powrót gospodarza. Otwarte pudełko stało zaraz przy jego talerzu. Schweigaard skinął gościom głową, przepraszając za zniknięcie, a gdy i on obciął koniec swojego cygara, biskup zapalił zapałkę, zbliżając ją do patyczka z cedrowego drzewa dołączonego do każdej sztuki hawańskiego rarytasu, uzyskując w ten sposób jasny, czysty płomień, w którym obrócił końcówkę cygara, aż ta równo się rozżarzyła. Pozostali poszli za jego przykładem i wkrótce już chmury dymu szybowały pod lampy, rozchodząc się w coraz większych kręgach.

Kai Schweigaard utkwiał wzrok w suficie i niewiele się odzywał. Dwie służące przyniosły kawę w srebrnych dzbaneczkach i zaczęły dolewać jej gościom.

Pastor nakrył swoją filiżankę dłonią i pokręcił głową, a gdy dziewczęta już wyszły, wstał i oświadczył:

– Księżę biskupie, panie naczelniku, szanowni goście. Jestem bardzo wdzięczny za wszystkie życzliwe słowa, które dziś usłyszałem, i za wsparcie udzielone mi w minionym roku. Miało tego wieczora miejsce pewne nieprzewidziane zdarzenie związane bezpośrednio z moją posługą i muszę niestety panów opuścić. Proszę oczywiście zostać w moim domu i miło spędzić resztę wieczora. Bardzo panów przepraszam.

Ruszył spokojnym krokiem do drzwi, zdziwienie przy stole przeszło zaś w niedowierzenie. Schweigaard skłonił się na progu i jeszcze raz przeprosił, a następnie wybiegł na korytarz, chwycił buty z wysokimi cholewami i płaszcz, po czym rzucił się do szopy na wozy, gdzie dzierżawca i dwóch parobków zaprzęgali powóz tak szybko, jak tylko się dało.

Dotarł do Kristianii późnym wieczorem następnego dnia. Było już całkiem ciemno, gdy wreszcie przekroczył próg gmachu Kliniki Położniczej i poprowadzono go do Astrid. Leżała pod cienkim białym prześcieradłem sięgającym od stóp po szyję. W wysokim świeczniku płonęła jedna, samotna świeca.

Oprócz niej w kostnicy nie było nikogo.

Kai Schweigaard stał i patrzył. Włosy miała umyte, leżała z zamkniętymi oczami. Ramiona ułożono wzdłuż jej boków, prześcieradło opinało nieznacznie wciąż powiększony brzuch.

W pierwszym odruchu chciał do niej podejść i ją ogrzać, bo przecież musiała tu marznąć pod tym cienkim płótnem, w piwnicy było tak zimno i szaro. Ale zaraz do niego dotarło, że ona już nigdy nie będzie marznąć, zatrzymał się więc na środku kostnicy i pozwolił płynąć łzom, a pielęgniarka, która go tu przyprowadziła, zostawiła go samego.

Płakał cicho, bez łkań ani szlochów. Podeszedł do stołu i ujął dłoń Astrid, spojrzał na jej twarz i uświadomił sobie, że nie wyglądała tak nigdy za życia. Zdawało się, że dziewczyna o czymś śni, a on pomyślał: gdybyśmy byli razem, obudziłbym się pewnej nocy, może już tego lata, które zaraz nadejdzie, podparłbym głowę na łokciu i leżał tak, patrząc na ciebie w łóżku. A rano powiedziałabyś mi, co ci się śniło. Lecz teraz zasnąłaś na wieczność i zawsze już będziesz wyglądać tak jak teraz, ja zaś zestarzeję się bez ciebie.

Na jej drugiej dłoni błyszczał pierścionek, który dostała od Gerharda Schönauera. Kai okrążył łóżko i wyjął z kieszeni mosiężną kasetkę z innym pierścionkiem. Lecz kiedy ujął jej serdeczny palec, uświadomił sobie, że nie jest w stanie tego zrobić.

Schował pierścionek z powrotem, złożył jej dłonie na brzuchu, pogładził ją po włosach i pocałował w usta.

Przez całą drogę modlił się za nią, cały czas ze złożonymi dłońmi, poza chwilami, gdy droga była tak wyboista, że musiał się czegoś przytrzymać. Teraz znów zapragnął złożyć dłonie do modlitwy, lecz jego palce były zaciśnięte w pięści i nie chciały się wyprostować.

Podeszedł do stóp łóżka i spojrzał na małe, zakratowane piwniczne okienko. Szyba była matowa,

lecz mimo to było za nią widać skrawek nieba między budynkami i do tego właśnie skrawka nieba rzekł:

– Myślisz, że jesteś taki wielki. Wielki i potężny. A mimo to zsyłasz na nas tylko cierpienie. Nic prócz cierpienia.

Spróbował odpiąć koloratkę. Miał ją na sobie przez całą podróż, bo wzmacniała wydźwięk jego słów, gdy kazał ludziom się spieszyć. Ale dłonie trzęsły mu się tak, że nie był jej nawet w stanie porządnie chwycić, w końcu zdarł ją z szyi, obrywając przy tym guzik. Cisnął koloratkę na podłogę, nastąpił na nią butem i znów uniósł wzrok.

– Nie było żadnego powodu, by zabierać tak wspaniałego człowieka. Żadnego powodu. Żadnego. Przeniósł cały ciężar ciała na tę jedną nogę i wdeptał koloratkę w deski.

– Cała ta twoja Biblia. Ci wszyscy biedacy. Wszyscy, którzy szukają sensu. Ślepi głupcy, których każesz nam czcić. Bo we wszystkim są ci posłuszni. A wszystko to tylko owady marne, mrówki i muchy, które rozgniatasz między palcami.

Drzwi za jego plecami stanęły otworem i do kostnicy weszła pielęgniarka. Odwrócił się do niej pospiesznie, ona zaś zaraz wyszła.

Schweigaard spojrział znów ku maleńkiemu okienku i powiedział:

– Ty za niczym nie stoisz. Nie mogę cię spytać, czy mnie słyszysz, bo ciebie przecież nie ma! Ten kościół, który wzniosłem w twoim imieniu. Pozwolę mu stać. Ale tylko dlatego, że szczelny dach wart jest więcej od krzyża.

Podszedł do Astrid i pogładził ją po policzku. Stał przy niej chwilę, po czym spuścił wzrok. Podłoga była wyszorowana chlorem, a deski tak wysuszone, że jego łyż zostawiały na nich małe, błyszczące ślady.

Do środka weszły dwie kobiety i jedna z nich powiedziała, że chyba lepiej, by już wracali na górę.

Jehans miał usta swojej matki, oczy zaś oraz szczękę ojca. Leżał na sali z sześciorgiem innych noworodków, imię miał wypisane na tasiecmce przywiązanej do rączki. Ciemne i lekko kręcone włosy wyglądały jak włosy Astrid, chłopiec raz po raz podciągał nóżki i mocno nimi wierzgał. Gdy Kai Schweigaard się nad nim pochylił, mały spojrział mu w oczy i nie odwracał wzroku, obaj przyglądali się sobie przez dłuższą chwilę. Kai wyciągnął w końcu ku niemu palec, z wahaniem, a wtedy Jehans chwycił go w swoją rączkę. Paluszki miał nie grubsze od bawełnianych sznurków, ale zacisnął je mocno. Noworodka ubrano w miękki, robiony na drutach sweterek z trzema guzikami i workowate spodnie przewiązane taśmą, a Kai rozpoznał kolory włóczki, nad którą Astrid pochylała się z drutami tamtego pamiętnego dnia.

Odchrząknął, chcąc pokonać ucisk w gardle, lecz ten nie chciał odpuścić i jego głos był zupełnie zmieniony, gdy spojrział w kierunku pozostałych kołysek i spytał:

– Gdzie leży drugie dziecko?

– Drugie? – zdziwiła się pielęgniarka.

– To ona nie urodziła dwójki?

Kobieta potrząsnęła głową.

– Przyszłam na dyżur wczoraj wieczorem i powiedziano mi tylko o jednym.

Kai Schweigaard znów odchrząknął, starał się zapanować nad swoim głosem, ale widział, że kobieta wcale nie oczekuje od niego opanowania.

– Była przekonana, że urodzi dwójkę – wydusił z siebie.

Pielęgniarka zerknęła na ścienny zegar, pokazujący godzinę wpół do drugiej w nocy. Pozwoliła mu postać jeszcze chwilę nad Jehansem, po czym oświadczyła, że muszą wyjść na korytarz. Kobieta odeszła na chwilę, a gdy wróciła, była mu w stanie powiedzieć nieco więcej.

– Faktycznie, okazuje się, że była dwójka – zaczęła. – Ale poród trwał trzy doby, a gdy już było po wszystkim, ludzie zostali odesłani do domów, by odpocząć. Najpierw był przy niej jeden lekarz, potem dwóch. Musieli zrobić... bardzo wiele. Drugie dziecko było najpewniej słabsze. Ona jeszcze potem jakiś czas żyła, ale znów zaczął się krwotok. Na sali leży chłopiec, który przyszedł na świat jako pierwszy. Tylko on przeżył.

Kai Schweigaard zapytał, czy drugi noworodek został ochrzczony przed śmiercią.

– Został. Na pewno – pielęgniarka przestępowała z nogi na nogę, nie chciała powiedzieć, co stało się z ciałem.

– A gdzie drugi sweterek? – spytał Kai. – Ona miała ze sobą dwa komplety dziecięcych ubranek.

– Naprawdę nie wiem. Pewnie oddano go komuś, kto go potrzebował.

– No dobrze, a komu?

– Musi pastor poczekać do rana, aż przyjdzie ktoś lepiej zorientowany. – Z pobliskiego pomieszczenia doszły do nich głosy, które zagłuszył po chwili coraz donośniejszy jęk przechodzący w skowyt.

Kai skinął głową, wskazując drzwi, za którymi leżał Jehans.

– Jak podajecie mu jedzenie? – spytał. – To znaczy mleko?

Kobieta spojrzała na niego zaskoczona.

– Mamy rzecz jasna mamkę.

Podeszła do nich starsza położna i oświadczyła, że jeśli pastor ma tu coś jeszcze do załatwienia, powinien przyjść następnego dnia.

– Jak słyhać, mamy pełne ręce roboty przy porodach – dodała. – Na tym tu polega nasza praca.

Odprowadziły Kaia Schweigaarda na ulicę i zamknęły za nim drzwi.

W całym szaleńczym pośpiechu zapomniał zabrać ze sobą bagaż. Zameldował się w pensjonacie, następnego ranka był pierwszym klientem u golibrody, po czym ruszył prosto do Kliniki Położniczej.

– Nazwisko Schweigaard, prawda? – zapytał go zarządca. – Kai Schweigaard?

– Do usług.

– No tak. Słyszałem, że pan... już u nas był. Rozumiem, że chce pan zabrać zwłoki celem pochowania ich w rodzinnej wsi zmarłej?

– Owszem. Chcę także opłacić mamkę, która towarzyszyłaby chłopcu w podróży do majątku jego dziadków, gdzie będzie wychowywany.

– A czy jej rodzina się zgodziła? – spytał zarządca. – Zajmować się dzieckiem?

– Przecież na pewno się zgodzą – odparł Kai Schweigaard. – To w końcu ich wnuk.

Zarządca zaczął przeglądać papiery.

– Matka była osobą samotną – stwierdził.

– Samotną? Przecież miała męża.

– Z tego, co tu widzę, mąż nie żyje. Podpisała formularz. Życzyła sobie, by w razie śmierci obojga rodziców dziecko zostało oddane.

– Proszę pokazać mi ten formularz.

Zarządca położył przed nim papiery.

– Tu mamy tylko to, co położna zanotowała podczas przesłuchania. Sam formularz trafił już do dyrekcji biura adopcyjnego, a poza tym zawiera on informacje poufne.

– Proszę w takim razie sprowadzić tę położną, chcę to wszystko usłyszeć od niej.

– Była na nogach przez trzy dni, posłano ją do domu. Nie ma tu teraz nikogo, kto uczestniczył w przyjmowaniu tego porodu.

– Mogę zaczekać – oświadczył Kai Schweigaard.

Mężczyzna zaczął się wiercić na krześle. Bawił się chwilę nerwowo nożem do otwierania listów, mimo że był dopiero wczesny poranek i na jego biurku nie było żadnej korespondencji.

– Zdaje się, że zmarła zostawiła dla pana jakąś wiadomość. Znalazła ją położna. Jest trochę niejasna.

– Co to za wiadomość? Napisała coś?

– Proszę zobaczyć – mężczyzna podał pastorowi niewielką karteczkę. – Prawie nic tu nie ma.

Przykro mi.

Kochany Kaiu. Jehans...

– Zdaje się, że nie miała siły napisać nic więcej. Zmarła, gdy znów się zaczął krwotok. Macica nie wytrzymała wysiłku. Tak się czasami dzieje po długich i ciężkich porodach. Tkanki nie są się w stanie obkurczyć. W takiej sytuacji nic się nie da zrobić. Niestety.

Kai Schweigaard siedział na krześle, wpatrując się w kartkę. Litery na niej skreślono drżącą ręką.

Dała radę napisać do niego tylko trzy słowa. Lecz mimo to zebrała w sobie dość sił, by zacząć od „Kochany”.

– Czy był przy niej ten niemiecki lekarz? – zapytał pastor. – Sängner?

Zarządca spojrział na niego zdziwiony.

– Sängner? Nikt nawet po niego nie posłał. Nie jest przecież naszym stałym lekarzem. Ale Rikshospitalet oddelegował do porodu najlepszemu specjalistę, razem z asystentem, obaj zrobili, co było w ich mocy. Ocalili dzieci, ale jej samej nie można już było uratować.

– Dzieci?

– Owszem. A przynajmniej tak im się wydawało. Ale jedno z nich... cóż – dodał, że drugi noworodek został od razu pochowany, bo takich trupków nikt nie powinien oglądać i że dziecko spoczęło zapewne pod trumną dorosłego, bo taki jest tu zwyczaj, a skupić należy się teraz na tym, iż matka pozostawiła jednego żywego chłopca, a on – to jest Kai Schweigaard – nie został wymieniony w żadnym dokumencie jako osoba najbliższa ani tegoż chłopca, ani samej zmarłej.

– Ochrcziliście drugie dziecko, prawda? Przeprowadziliście chrzest z wody?

– Tak, oczywiście, o ile mały żył w chwili przyjścia na świat. Ale, jak wspominałem, nie ma teraz na miejscu położnych ani lekarzy asystujących przy porodzie.

– Czyli to drugie dziecko to też był chłopiec?

Zarządca zajrzał w swoje papiery.

– Tak. Z tego, co widzę, też chłopiec.

Kai Schweigaard wstał i oparł obie dłonie na blacie biurka.

– O tym tak zwanym formularzu możecie po prostu zapomnieć. Zabieram ze sobą to dziecko i zabieram ze sobą Astrid Hekne. Nie mam na sobie koloratki, ale jestem proboszczem w Gudbrandsdalen, a zmarła była moją parafianką. Pochowam ją w domu, a Jehans Hekne zostanie wpisany do ksiąg kościelnych mojej parafii.

Trzy doby później przy brzegu Lønesvatnet zatrzymał się pojazd. Wiosenne słońce długo już przygrzewało, rozmiękczaając szary lód na jeziorze. Sanie były zaprzężone w dwa konie. Pod czarnym całunem odznaczał się charakterystyczny kształt trumny. Schweigaard zajmował miejsce obok woźnicy. Za ich plecami siedziała rumiana, pulchna dziewczyna z maleńkim, opatulonym w wełniane ubranka dzieckiem na kolanach. W trakcie podróży padło niewiele słów, woźnica i mamka zachowywali niezręczne milczenie właściwe sytuacjom, w których przyjmuje się duże pieniądze za wykonanie nieprzyjemnego zadania, nie wiedząc do końca, jak nieprzyjemne się ostatecznie okaże. Sanie stanęły nad samym brzegiem, gdyż powożący nimi mężczyzna bał się wjechać na lód, nie zobaczywszy na nim świeżych śladów płóz.

– Nie chcę ryzykować – oświadczył. – Nikt tędy nie jeździł od kilku dni.

– Trumnę trzeba przewieźć – rzucił Kai Schweigaard. – Rozumie pan?

Woźnica kiwnął głową, a zaraz potem nią pokręcił.

Pastor oświadczył, że w takim razie mężczyzna i mamka mogą iść naokoło, podczas gdy on sam przejedzie sańmi przez lód. Gdyby doszło do tragedii, woźnica otrzyma cztery najlepsze koniezymane na plebanii, mamka zaś będzie świadkiem zawartej przez nich umowy.

– Lód się nie załamie – stwierdził Kai Schweigaard.

– I taki pastor tego pewien? – spytał woźnica.

– Wiem, że się nie załamie. Nie dzisiaj.

Kai Schweigaard wziął Jehansa w ramiona, wyszeptał do niego spokojnie kilka słów, po czym popędził konie. Płozy sunęły z trudem przez miękką chlapę. Woźnica i mamka stali na brzegu, a gdy zobaczyli, że sanie przejechały bezpiecznie na drugą stronę, sami też odważyli się wejść na lód. Lecz Kai Schweigaard na nich nie czekał. Ruszył w górę ku zabudowaniom plebanii, a ludzie zobaczyli go i poczęli się gromadzić, zupełnie tak jak w dniu, gdy opuszczał ich Gerhard Schönauer. Pastor zauważył, że parafianie zdają się patrzeć jakby przez niego na przestrzał, domyślając się, że przywozi do domu Astrid Hekne, i pomyślał: taka jest prawda i przez wzgląd na nią nie można jej ukrywać, tak samo jak nie można ukrywać Jehansa. Przytulił małego do siebie, a chłopczyk wyciągnął wtedy rączkę, zupełnie jakby chciał chwycić za lejce, lecz okazało się, że tak naprawdę szukał Kaia Schweigaarda, który ułożył

sobie dziecko wygodniej na ramieniu i złapał jego maleńkie dłonie, podejmując w tej samej chwili decyzję co do swojej przyszłości.

Stojący dookoła ludzie kiwali głowami i patrzyli mu w oczy, a jego ogarnęła świadomość, że chcą go tu jako pastora i że nikt tu już mu się nie sprzeciwi. Miał swoją historię, a historia ta spisała się wśród nich. I żadnego z jej rozdziałów nikt nigdy nie użyje przeciwko niemu, bo przecież jedynym, czego się dopuścił, była miłość.

Astrid Hekne została pierwszą parafianką pochowaną po nabożeństwie żałobnym w nowym kościele, a Jehans Hekne – pierwszym dzieckiem w nim ochrzczonym. Woźnica wyjechał wieczorem dzień przed ceremonią i była to ostatnia tej zimy przeprawa sańmi przez Løsnesvatnet. Mamka została we wsi. Była to tęga dziewczyna z Halden, a Kai Schweigaard kazał gospodyni Bressum dawać jej tyle jedzenia, ile tylko zapragnie, oraz umieścić ją z Jehansem w wygodnej sypialni. Zaraz po przyjeździe osobiście poszedł do Hekne, by powiedzieć gospodarzom, że mają córkę do pochowania i wnuka do ochrzczenia. Kilka godzin później nadeszła z majątku odpowiedź, iż dziadkowie nie życzą sobie imienia Jehans, ale Kai Schweigaard oświadczył, iż taka była wola Astrid i Gerharda Schönauera i że woli tej nie należy się przeciwstawiać.

Właściwie miał tylko dopełnić rytuału, bo dziecko przyjęło już chrzest z wody, ale obudził mamkę o piątej rano, poszedł do kościoła i odprawił pełną ceremonię, poświęcając też kilka słów bliźniakowi, który nie przeżył. Pomodlił się za Edgara po norwesku i niemiecku i tymi słowami, które miał do dyspozycji, wyraził swój żal, że nikt się nie dowie, co mogło w sobie zawierać to małe ludzkie życie.

Następnego dnia Kai Schweigaard nie był w stanie niczego przełknąć. Pochował ją w nasłonecznionym miejscu przy ścianie nowego kościoła, tak by jej grób zraszany był deszczem kapiącym z dachu świątyni – zgodnie ze zwyczajem, o którym to ona mu opowiedziała, stawał się w ten sposób wodą święconą. Przemawiając nad jej mogiłą, pastor miał kłopot z oddzieleniem siebie samego od swojej kapłańskiej posługi.

– Wielu nas będzie tęsknić za Astrid Hekne – zaczął. – Bardzo za nią tęsknić.

Mówił o niej i o Gerhardzie Schönauerze, o pięknej, młodej miłości pomiędzy dwojgiem ludzi, nie wspominał ani słowem o Bogu czy Chrystusie, prawil za to o odwadze, niezłomności i ludzkiej woli, aż w końcu zebrał w sobie wszystkie siły i rzekł:

– Astrid Hekne nie jest pierwszą, która zmarła w połogu. Nie jest też ostatnią. Pojechała do Kristianii, wierząc, że lekarze zdołają ocalić dzieci, które nosiła pod sercem, lecz świat nie był jeszcze na to gotowy. Z każdym niewielkim krokiem, który historia robi do przodu, paść muszą jakieś ofiary, a każda z tych ofiar to jakiś człowiek. Tym razem była to Astrid Hekne.

Głos mu się załamał i w nawie zabrzmiał szloch odbity echem od kościelnych ścian.

Spojrzał na jej trumnę. Wdychał świeży zapach budynku, w którym stał, i poczuł strach, bo wiedział, że nowe dzwony nie zabrzmiały dość głośno, by zagłuszyć jego rozpacz.

Wschód słońca

Kai Schweigaard nie poprosił o przebaczenie za to, że złorzeczył Bogu nad ciałem Astrid Hekne. Nie został prepozytem ani biskupem i konsekwentnie odrzucał wszystkie propozycje awansu. Został natomiast najlepszym proboszczem w historii Butangen. Pracował przez cały tydzień od wschodu słońca do wieczora i rzadko zdarzało się, by mijający plebanię ludzie nie widzieli światła w oknie jego gabinetu. Nabożeństwa, nauki przed konfirmacją, pogrzeby i śluby prowadził spokojnie i godnie, bardziej jak urzędnik niż natchniony kaznodzieja. Zapełniał kościelne księgi linijką po linijce, zapisując wszystko o życiu we wsi. W kałamarzu czekały żal i radość, jego piórko przenosiło na karty kolejne narodziny, śluby i zgony. Z czasem zaczął myśleć o Bogu jako nienachlanym pracodawcy, z którym zawarł umowę zakładającą, że będzie żył długo, sprawując swoją posługę, bez szczególnego mieszania się drugiej strony w jego sprawy. Ustalił z Bogiem, iż pomówią ze sobą za czterdzieści lat, i obiecał, że poprosi Pana o przebaczenie, jeśli dostrzeże jakiś głębszy sens w śmierci Astrid Hekne.

Następnego lata nakazał dwóm cieślom, by zbudowali mu z solidnego drewna świerkowego łódź z poszyciem zakładkowym, którą zwodował na Løsnesvatnet. Mieszkańcy wsi nazywali ją po prostu Pastorówką i łódź ta czekała zawsze przycumowana przy brzegu, z wiosłami, bo i tak nikt nie odważyłby się wziąć jej bez pytania. Pastor zaczął sam łowić ryby na błysk, wypuszczał się na długie wyprawy, podczas których dostrzegał coraz więcej w przyrodzie, widział znaki, gęstą tkaninę sensów i powiązań między człowiekiem a naturą, dużo rozleglejszą niż ta, o której pisze się w Biblii.

Z miejscowego nauczyciela nigdy nie był do końca zadowolony, otworzył więc szkółkę niedzielną, gdzie prawie nie sięgał po Biblię, uczył za to dzieci ortografii, historii powszechnej, geografii i języków obcych, a gdy ktoś go pytał, po co, miał w zwyczaju odpowiadać, że gdy do Butangen dotrze przyszłość, to przecież nie sposób wykluczyć, że będzie mówiła po niemiecku czy angielsku.

Dokładnie śledził losy każdej rodziny, w której na świat przychodzili chłopcy, sprawdzając, czy rosną zastępy samobraci, ale najdłuższy w okolicy ciąg męskich potomków został przerwany przez dziewczynkę, gdy chłopców było pięciu. Pewnego lata dotarła do niego wieść, że sześciu młodych mężczyzn z wyższej szkoły technicznej w Niemczech biwakuje po drugiej stronie Løsnesvatnet, studenci spędzili tam wiele dni i pożyczili łódź, mówiąc, że chcą połowić ryby, lecz okoliczni mieszkańcy widzieli, że sondowali głębokość jeziora ołowianką. Schweigaard przepłynął na drugi brzeg, by z nimi pomówić, lecz zastał opuszczone obozowisko, a następnego lata nikt obcy się już nie pojawił.

Jehans nauczył się chodzić w wieku sześciu miesięcy. A potem już chodził cały czas. Szedł i szedł, w ogóle się nad tym nie zastanawiając, zupełnie jakby kogoś szukał, nie pojmując, że sam przez to nierzadko każe się szukać innym. Często znajdowano go wśród powykręcanych wiatrem brzoźek niedaleko Hekne, czasem balansował na szczycie ogrodzenia tuż nad urwiskiem, a innymi znów razy Emort musiał go szukać tak długo, że zaniedbywał przez to prace w gospodarstwie.

Mamkę odesłano do domu po dwóch dniach, mimo że Kai Schweigaard zapłacił jej za pełen miesiąc i obiecał utrzymywać ją tak długo, jak będzie potrzebna. Nic więcej nie mógł zrobić, gdyż zgodnie z literą prawa o dziecku decydowali gospodarze z Hekne. Jehansem zajmowała się głównie komornica przyjęta do majątku na miejsce Klary Mytting. Karmiono go letnim kozim mlekiem. Z początku opiekunka maczała w nim ściereczkę, którą wykręcała nad ustami chłopca, potem mały nauczył się ssać rąbek tkaniny. Niedługo siedział już na podłodze i sam zamaczał sobie ściereczkę w mleku. Emort upierał się, by Jehans dostawał mleko od jednej i tej samej kozy do chwili, gdy zacznie jeść stałe pokarmy, lecz nie umiał wyjaśnić, czemu to takie ważne. Sam miał zresztą tyle pracy, że nie był w stanie dopilnować, czym jest karmiony jego siostrzeniec.

Gdy Jehans trochę podrośł, komornica nie mogła już zapanować nad jego nieokiełznaną naturą, tak bardzo przypominającą we wszystkim nieokiełznaną naturę Astrid. W dzień swoich drugich urodzin chłopiec został posłany do Halvfarella, gdzie mieli go wychowywać Adolf i Ingeborg, otrzymując w zamian dwa razy w roku po pół tuszy wieprzowej, uprzedzoną wełnę na ubrania i pieniądze na zakup butów co drugi rok.

W trzecie urodziny Jehansa do drzwi domu w Halvfarella zastukał Kai Schweigaard. Dzierżawcy

otworzyli mu i stwierdzili, że przyniósł ze sobą niewielką walizkę, podłużny skórzany futerał oraz starą płócienną torbę. Pastor skinął głową Adolfowi i Ingeborg, po czym poprosił, by zostawili go sam na sam z chłopcem. Wychodząc, zabrał ze sobą cały ten bagaż, ale obwieścił, że wszystko, co należało do ojca i matki Jehansa, przechowywane będzie na plebanii do dnia, gdy chłopiec podrośnie.

Adolf miał starego owczarka o imieniu Pelle, który chodził za Jehansem krok w krok. Następnej zimy opiekun zmajstrował dla chłopca parę nart, skonstruowanych na starą modłę, jedną długą, na której można się ślizgać, i jedną krótszą, do odpychania. Ta druga, nazywana przez niego innejszą, owinięta była futrem renifera, ustawionym pod włos do kierunku jazdy.

Jehans zaczął więc biegać na nartach. Tej zimy sypało tak, że Pelle z trudem pokonywał kolejne zaspę, i w końcu Ingeborg musiała zacząć chować chłopcu narty w pogodniejsze dni, wystawiając je jedynie wtedy, gdy spadł nowy śnieg. Tylko tak byli w stanie odnajdywać go wieczorami, idąc po świeżych śladach. Gdy Jehans zaczął mówić, były to słowa o ogniu i drzewach, i śniegu, i psach, i nożach. Tak to dorastał w Halvfarelia i nikt nie rozmawiał z nim zbyt wiele o matce ani ojcu.

Latem po swoich szóstych urodzinach Jehans zachorował. Dostał wysypki i gorączki, leżał w łóżku, mamrocząc bez ładu i składu, a Ingeborg bała się, że chłopiec nie przeżyje. Adolf poszedł zanieść tę wiadomość do Hekne, gdzie powiedziano mu tylko, że wiele dzieci w rodzinie przeżyło tę samą chorobę, a w każdym razie coś podobnego. Wtedy Adolf zaniósł Jehansa na plebanię. Rozmówił się z Kaiem Schweigaardem. Obaj wiedzieli, że mogą posłać umyślnego po doktora, ale zajęłoby to dobę, tyle samo zaś potrwałaby zaś podróż lekarza do wsi, o ile rzecz jasna medyk nie był zajęty czuwaniem przy łóżku innego chorego. By zyskać na czasie i oszczędzić chłopcu cierpienia, Kai Schweigaard poprosił dzierżawcę, żeby okrążył Løsnesvatnet powozem i poczekał na drugim brzegu, gdzie sam zawiezie chłopca Pastorówką.

Dotarli do Vålebrua późnym wieczorem, a doktor stwierdził, że Jehans zapadł na chorobę zwaną po łacinie *morbilli*, czyli na odrę, i że choroba ta niezależnie od nazwy może być bardzo groźna. Nie było na nią żadnego lekarstwa i pozostawało tylko poczekać i zobaczyć, czy chłopiec przeżyje piątą dzień po wystąpieniu wysypki.

Miało to miejsce w piątek. Pastor nie odprawił w tym tygodniu niedzielnego nabożeństwa. Zatrzymał się z chłopcem w pensjonacie, gdzie przynoszono im jedzenie pod drzwi, by zmniejszyć ryzyko zarazy. Szóstego dnia wysypka zaczęła znikać. Wrócili do domu w ciągu tygodnia i Jehans spędził kilka kolejnych nocy na plebanii. Leżał w tym samym pokoju co niegdyś jego rodzice, a gospodyni Bressum dawała mu ciepłe mleko i kroїła słoninę na kawałeczki, które smażyła, potem zaś stawiała patelnię na piecu i dokładnie wycierała dno skórką od chleba, chcąc mieć pewność, że chłopiec zje tyle tłuszczu, ile tylko się da.

Kilka dni później Jehans bawił się już w sadzie, lecz jeszcze bez dawnej energii i zapału. Adolf i Ingeborg przyszli do niego w odwiedziny i ustalili z pastorem, że zabiorą go z powrotem do Halvfarelia po nabożeństwie w nadchodzącą niedzielę. Kai Schweigaard wziął następnie Adolfa na stronę, by zamienić z nim parę słów na temat przyszłości chłopca.

Po obiedzie pastor zaproponował Jehansowi, by wypłynął z nim Pastorówką na Løsnesvatnet i spróbował połowić pstrągi. Wędką, której używał, została wykonana z myślą o trollingu na wodach Mjøsy, miała półtora metra długości i sztywność strzelbowej lufy. Można było pomyśleć, że chłopiec zupełnie sobie z nią nie poradzi, ale Jehans ujął ją w ręce i natychmiast się domyślił, co powinien robić. Rozwinął linkę z wielkiego kołowrotka i powiosłowali razem przez jezioro. Kai Schweigaard był zmartwiony, bo Jehans niewiele się odzywał.

– Gorzej się poczułeś? Może chcesz wracać?

Chłopak pokręcił głową.

– Coś tu jest – oświadczył, zagładając w wodę.

Kai Schweigaard wyjaśnił, że to pewnie tylko przynęta ciągnie się po dnie i że ta metoda wędkowania da im albo rybę wielką, albo żadną, a teraz wypłyną na głębiny, gdzie żyją największe pstrągi.

– Skąd będę wiedział, że złapaliśmy rybę?

– Poczujesz szarpnięcia linki.

– Mocne?

– O tak. Poczujesz to. Tyle ci mogę obiecać. Naprawdę poczujesz, jeśli ryba weźmie.

Znów zapadła cisza, a Kai Schweigaard siedział, wpatrując się w Jehansa Hekne. Chłopak robił wszystko, co mu kazano, ale nie dawał po sobie poznać, co myśli ani czego pragnie. Zupełnie jakby był teraz larwą mającą przywdziać wspaniałe barwne strój dopiero, gdy przyjdzie na to czas.

Kai Schweigaard odchrząknął i przerwał milczenie.

– Masz w domu papier i ołówki?

– Ołówek mamy jeden – odparł Jehans, podnosząc mały palec dłoni. – O, taki długi.

– Dostaniesz ode mnie nowy. I kartki. Powinieneś poprobować rysunku.

– Po co?

– Wszystkie dzieci muszą próbować różnych rzeczy. Żeby zobaczyć, do czego mają talent. Mnie się wydaje, że będziesz ładnie rysował. Jeśli chcesz, możesz potem posiedzieć u mnie w gabinecie i sam się przekonać.

– A.

– Rozmawiałem z Adolfem. Gdy skończysz siedem lat, będziesz mógł przychodzić na plebanie w soboty i niedziele. Na początek nauczymy się czytać i zadbamy, żebyś miał piękny charakter pisma. Potem weźmiemy się do rachunków, a z czasem spróbujemy mówić językami z innych krajów.

– Innych krajów?

– Anglii i Niemiec. Ale wszystko po kolei. W tygodniu musisz się uczyć prac w gospodarstwie.

Chłopak złapał wędkę drugą ręką i oparł się o burtę łodzi.

– Zimno ci? – spytał Kai Schweigaard.

– Nie chcę już łowić ryb.

Pastor wciągnął wiosła na pokład i chwycił wędkę, zwijając przy tym linkę. Chłopiec wziął ją od niego, położył na dnie łodzi i przesunął się w tył, przytulając do Kaia, który chwycił jego rączki i ogrzewał je w swoich dłoniach. Pastor sięgnął po plecak, który zabrał ze sobą na wyprawę, i oświadczył, że czas zjeść czekoladę zdobytą u kupca w Vålebrua.

– Nie możesz marznąć, Jehansie. Pamiętaj, że niedawno byłeś chory.

– Tak. Okryjesz mnie pledem podróżnym?

– Co powiedziałeś?

– Że tak.

– Ale potem. Co powiedziałeś potem?

– Potem już nic.

Kai Schweigaard zamarł. Plecak był zasznurowany, nie dotykał go, odkąd wyruszyli. Krótco przed wyjściem z domu, wiedziony impulsem, wyjął z szafy pled podróżny. Koc przeleżał tam wcześniej dobrych kilka lat, pastor był zaś pewien, że przez cały ten czas słowa „pled podróżny” nie padły nawet z jego ust. Wyjął teraz z plecaka tkaninę w szkocką kratę i okrył nią Jehansa, obejmując go następnie ramieniem niczym bandolierem. Wyjął też butelkę rozrobionego z wodą syropu jagodowego i nalał go do kubka. Chłopiec wypił do dna i siedzieli tak razem w łodzi, patrząc w tę samą stronę, w końcu Jehans odchylił się do tyłu i zasnął, a Kai Schweigaard przytulał go, śledząc igrające na powierzchni jeziora światło.

Gdy chłopiec się obudził, znów zechciał wędkować. Zawrócili łódź, zarzucili przynętę i powiosłowali. Nie minęło dużo czasu, a poczuli szarpnięcie linki i Kai Schweigaard pozwolił Jehansowi kręcić kołowrotkiem, sam zaś stał w pogotowiu, by chwycić pstrąga i wciągnąć go za burtę. Ryba okazała się długa jak przedramię chłopca, była ciemnobrązowa i nakrapiana czerwonymi plamkami, rzucała się tak mocno, że dno łodzi aż dudniło. Kai spytał Jehansa, czy chce ją zabić, lecz ten odpowiedział, żeby woli popatrzeć, jak robi to pastor. Schweigaard chwycił niewielki młoteczek z wypolerowanym, zaokrąglonym obuchem i uśmiercił pstrąga jednym uderzeniem między oczy. Pomyślał, że gdy Jehans podrośnie, opowie mu, że Anglicy mówią na to narzędzie *priest*, bo kapłani często są obecni przy śmierci. Napomknie też wtedy, iż sam nie ma powodu, by nazywać je inaczej niż młoteczkiem i że uważa tę metodę zabijania pstrągów za najlepszą, pozwala ona bowiem uniknąć obfitego krwawienia, nieuniknionego, gdy używa się noża.

Siedzieli długo, podziwiając rybę, Jehans wskazywał wszystkie czerwone plamki na jej łuskach. Kai Schweigaard powiedział, że da się ustalić, ile ich dokładnie jest, jeśli tylko usiądą razem tego wieczora i nauczą się liczb. Chłopiec schylał się, polewając pstrąga zebraną z dna łodzi wodą, by lśnił tak samo jak przed śmiercią. Potem znów zarzucili przynętę, a spojrzenie Jehansa wędrowało między martwą rybą a nadzieją na końcu linki. Kai Schweigaard zapytał go, kim chce zostać, gdy będzie duży.

– Myślę, jak Adolf.

– O.

– I rybakiem, jak ty.

– Ach tak, oczywiście. A nie chcesz pojechać w świat i trochę się rozejrzeć?

– Ja nie. Ja podziergam wąsko.

Kai Schweigaard uniósł wiosła.

– Gdzie to usłyszałeś? Że podziergasz wąsko?

– Matka tak powiedziała – oświadczył Jehans, wbijając spojrzenie w taflę wody.

– Twoja matka? Kiedy?

– Jeden raz w pokoju, jak spałem.

Kai Schweigaard siedział bez ruchu, aż cała woda ściekła z piór wiosł. Łódź wytraciła prędkość, więc Jehans odwrócił się do niego, by sprawdzić, co się dzieje. Spojrzeli po sobie, a potem przenieśli wzrok na linkę, układającą się pod coraz ostrzejszym kątem w miarę, jak przynęta opadała w głębinę Løsnesvatnet.

Nocą po tym jak Jehans wrócił do domu, Kai Schweigaard obudził się z poczuciem, że ktoś jest w jego sypialni, lecz obecność ta nie przepełniała go strachem czy niepokojem. Noc była bezksiężycowa, w izbie panował mrok. Pastor usiadł na łóżku i miał już zapalić zapałkę, ale poczuł nagle, że nie chce wiedzieć, co kryje się w ciemnościach. Lepiej, piękniej i szczerzej było żyć z wiarą w to, co mieszka w mroku, zaufać swej intuicji. Dotarło do niego kilka łagodnych podmuchów, poczuł nieznaczną zmianę temperatury, falę powietrza wywołaną ruchami człowieka, oddech pełen czułości, usłyszał ciche kroki bosych stóp na podłodze.

Wypowiedział jej imię.

Kroki ucichły i rozległ się nieznaczny szelest lekkiej szaty. Odgadł jej zamiar i jej niecierpliwść, zdjął nocną koszulę i poczuł na swojej skórze oddech i ciepło żywego ciała.

Gdy się obudził, już jej przy nim nie było, lecz czuł się szczęśliwy, pełen otuchy i tęsknił już do kolejnej nocy.

Zapalił naftową lampę, ubrał się i poszedł do swojego gabinetu. W ciągu tygodnia notował zazwyczaj ołówkiem różne zdarzenia na brudno w zeszytach, by wpisać je potem do kościelnych ksiąg swoim najpiękniejszym charakterem pisma. Wyregulował teraz długość knota lampy i zdjął klucz do biurka wiszący na ścianie pod krucyfiksem. Jego dłonie powędrowały do górnej szuflady po prawej stronie, tej, w której trzymał kościelne księgi. Wymacał tam jakiś obcy przedmiot, a jego palce zacisnęły się na mosiężnej kasetce, która zazwyczaj leżała na samym dnie szuflady. Była to kasetka z pierścieniem, który kupił tamtego pełnego nadziei lata.

Otworzył ją powoli. Pierścionek zniknął.

Zostawił kasetkę otwartą i wstał powoli od biurka. I tak oto Kai Schweigaard nareszcie się uśmiechnął.

Było wciąż ciemno, gdy zszedł do Løsnesvatnet i wszedł do Pastorówki. Wiosłował, nie widząc nic wokół siebie i bez żadnego punktu odniesienia, czując tylko kołysanie łodzi i słysząc jedynie chłopot przecinających lustro wody piór.

Wciągnął wiosła na pokład i odchylił się do tyłu. W całym ciele czuł falującą, sprężystą nicość, którą w tych czarnych jak smoła ciemnościach były wody jeziora. Czarna woda pod czarnym niebem i czarne powietrze do oddychania. Nie istniały pomiędzy niczym żadne odległości, lecz mimo to czuł, że dotyka wszystkiego.

Leżał tak, aż słońce zaczęło wschodzić i mógł wreszcie ujrzeć, w którym miejscu jeziora się znalazł. Ciemność nocy ustąpiła miejsca światłu dnia, znad wód Løsnesvatnet podniosła się zaś szara mgiełka, otulając go ze wszystkich stron. Rozwiała się szybko w porannych promieniach, a na zboczach

doliny zamajaczyły mu zabudowania Butangen. Tafla wody zmarszczyła się delikatnie, pastor poczuł ciepło pod ubraniem, ciepło we włosach, na twarzy i dłoniach, ciepło słońca, które ogrzewało wszystkich niewidocznych dla niego ludzi, w tym również tych zmarłych.

Czytelnicy dobrze znający rejony Vekkom, Tromsnes i Brekkom, a być może również Dovre, rozpoznają zapewne otwierającą powieść historię o siostrach i kościelnych dzwonach, jest ona bowiem zainspirowana miejscowymi podaniami, które spisał Ivar Kleiven i inni. Ci sami czytelnicy zwrócą być może również uwagę, że wiele nazwisk występujących w książce pochodzi z Gudbrandsdalen, zwłaszcza zaś starych majątków w Fåvang. Podobieństwa do osób i zdarzeń faktycznych są przypadkowe i nieszkodliwe. Opis na stronach 20–21 został zainspirowany artykułem Hansa Aanruda z roku 1900, a książki Gunnara Buggego, Petera Ankeri i Håkona Christie były ważnymi źródłami dla fragmentów przedstawiających historię kościoła. Za pomoc w procesie powstawania tej powieści pragnę serdecznie podziękować Larsowi Smedstadmoenowi, Perowi Børdahlowi, Evenowi Hovdhaugenowi, Ingemu Asphougowi, Olemu Kristianowi Bondenowi, firmie Olsen Nauen klokkestøperi, dr Simone Fugger von der Fehr, Olemu Vestadowi, Evie Avkjern, Ansgarowi Selstø, Ingebjørg Øveraasen, Asbjørnowi Fretheimowi, Leviemu Henriksenowi, Guri Ruste, firmie Elverum bil og dekk, Tiro, Carlosowi Zoedze i Arvidowi Nordquistowi, Gudrun Hebel, Oddvarowi Aurstadowi i wszystkim pracownikom wydawnictwa Gyldendal oraz rzecz jasna Randi Mytting i – jak zawsze – Tuvie, Hedvig i Selmie. Ogromne podziękowania pragnę skierować ponadto do wszystkich moich wspaniałych pomocników, których tu nie wymieniłem – wiecie, że chodzi o Was.

W tłumaczeniu wykorzystano cytaty z następujących utworów:

J. Conrad, *Jądro ciemności*, tłum. A. Zagórska, Warszawa 1991.

J. Donne, *Medytacje. Alembik śmierci*, tłum. P. Plichta, Katowice 2014.